

B

- Joe Abercrombie -
Zemsta najlepiej smakuje
na zimno





- *Joe Abercrombie* -
Zemsta najlepiej smakuje
na zimno

Przełożył
Robert Waliś

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2019

Tytuł oryginału: *Best Served Cold*

Copyright © 2009 Joe Abercrombie

Copyright for the Polish translation © 2019 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Joanna Figlewska

Korekta: Magdalena Górnicka

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

Ilustracja na okładce: Dark Crayon

Opracowanie okładki: Piotr Chyliński

ISBN 978-83-66409-86-6

Wydanie III

Wydawca: Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 22 813 2519

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor: Dressler Dublin sp. z o. o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 22 733 50 10

www.dressler.com.pl

Skład wersji elektronicznej

pan@drewnianyrower.com

Spis treści

Benna Murcatto ratuje życie

I Talins

Kraina Wielu Możliwości

Złodziej kości

Ryba wyciągnięta z wody

Szóstka i jedyńka

Krwawa lekcja

II Westport

Trucizna

Nauka i magia

Najbezpieczniejsze miejsce na świecie

Źli przyjaciele

Dwie dwójki

Plany i przypadki

Pełna odpłata

III Sipani

Mgły i szepty

Sztuka perswazji

Życie pijaka

Wykluczeni

Kilkoro złych ludzi

Rozjemcy

Przepis na kłopoty

Seks i śmierć

To się nazywa rozrywka

Co się stało

IV Visserine

A zatem zemsta

W dół

Szczury w worku

Rozpaczliwa nadzieja
Miłosierdzie i tchórzostwo
Niedopasowana para
Ciemność
Koneser
Marna galareta
Rachunki innych ludzi
Mistrz szermierczy

V Puranti

Szóstki
Okularysta
Księżę roztropności
Ani bogaci, ani biedni
Heroiczne wysiłki, nowe początki
Zdrajca
Król trucizn
Nie gorszy
Żniwa
Stary nowy generał

VI Ospria

Jego plan ataku
Polityka
Koniec zwłoki
Czysty interes
Los Styrii
Zwycięzca bierze wszystko
Tak wiele za nic
Ruchome piaski

VII Talins

Powrót do ojczyzny
Skóra na niedźwiedziu
Przygotowania
Zasady wojny

Jeden naród

Tylko pył

Nieuniknione

I tak fortuna kołem się toczy...

Nasiona

Wszystko się zmienia

Szczęśliwe zakończenia

Podziękowania

O autorze

*Dla Grace.
Pewnego dnia to przeczytasz
i nieco się zmartwisz.*

Benna Murcatto ratuje życie

Wschodzące słońce miało kolor krwi. Jego blask wyciekał ze wschodu i plamił niebo na czerwono, znacząc strzępy obłoków skradzionym złotem. Poniżej kręta droga wspinała się po górskim zboczu ku fortecy Fontezarmo - skupisku ostrych czarnych wież wznoszących się na tle poranionych niebios. Czerwień, czern i złoto.

Barwy ich profesji.

- Tego ranka wyglądasz wyjątkowo pięknie, Monzo.

Westchnęła, jakby to było dziełem przypadku. Jakby nie spędziła godziny na mizdrzeniu się przed lustrem.

- Takie są fakty. Ich stwierdzenie to żaden dar. Po prostu dowodzisz, że nie jesteś ślepy. - Ziewnęła i przeciągnęła się w siodle, każąc mu jeszcze chwilę czekać. - Ale chętnie posłucham dalej.

Odchrząknął hałaśliwie, po czym uniósł jedną dłoń, jak kiepski aktor przygotowujący się do wielkiego monologu.

- Twoje włosy podobne są... lśniącemu całunowi z soboli!

- Ty pompatyczny fiucie. Czym były wczoraj? Zasłoną północy. To mi się bardziej podobało, miało w sobie odrobinę poezji. Słabej poezji, ale zawsze.

- Psiakrew. - Zmrużył oczy i zapatrzył się na chmury. - Zatem twoje oczy jaśnieją przesywając niczym bezcenne szafiry!

- Czyli mam na twarzy kamienie?

- Usta jak płatki róży?

Splunęła na niego, ale spodziewała się tego, więc uskokczył; flegma minęła jego konia i spadła na wysuszone kamienie obok szlaku.

- Żeby twoje róże lepiej rosły, dupku. Stać cię na więcej.

- Codziennie jest trudniej - mruknął. - Klejnot, który kupiłem, cudownie na tobie wygląda.

Uniosła prawą dłoń, z podziwem przyglądając się rubinowi wielkości migdała, w którym odbijały się pierwsze promienie słońca, upodabniając go do otwartej rany.

- Rzeczywiście, otrzymywałam już gorsze dary.

- Pasuje do twojego ognistego charakteru.

Parsknęła.

- I mojej krwawej reputacji.

- Szczęść na twoją reputację! To tylko bełkot idiotów! Jesteś snem. Wizją. Wyglądasz jak... - Pstryknął palcami. - Bogini Wojny we własnej osobie!

- Bogini, co?

- Wojny. Podoba ci się?

- Może być. Jeśli zdołasz choć w połowie tak dobrze podlizywać się księciu Orso, to może dostaniemy premię.

Benna wyduł wargi.

- Nie ma to jak pełne, krągłe pośladki Jego Ekscelencji o poranku. Smakują... potęgą.

Kopyta chrzęściły na piaszczystym szlaku, skrzypiały siodła, grzechotały uprzęże. Droga zataczała koła. Reszta świata pozostawała w dole. Niebo na wschodzie wykrwawiło się z czerwieni do różu. Ich oczom powoli ukazała się rzeka wijąca się przez jesienne lasy w głębi stromej doliny. Lśniła jak maszerująca armia, szybko i bezlitośnie płynąc ku morzu. W stronę Talinsu.

- Czekam - powiedział.

- Na co?

- Na moją porcję komplementów, rzecz jasna.

- Jeszcze mi tu, kurwa, pęknie, jak się będziesz tak puszył. - Podwinęła jedwabne mankiety. - Nie chciałabym mieć twoich flaków na swojej nowej koszuli.

- Cóż za cios! - Benna przycisnęła dłoń do piersi. - Prosto w serce! Tak mi się odpłacasz za lata oddania, nieczuła suko?

- Jak śmiesz mówić o oddaniu, prostaczkę? Jesteś jak kleszcz oddany tygrysowi!

- Tygrysowi? Ha! Kiedy porównują cię do zwierzęcia, zazwyczaj wybierają węża.

- To lepsze niż robak.

- Dziwka.

- Tchórz.

- Morderczyni.

Temu nie mogła zaprzeczyć. Ponownie zapadła między nimi cisza. Ptak śpiewał na spragnionym przydrożnym drzewie.

Koń Benny stopniowo zrównał się z jej rumakiem i mężczyzna czule wyszeptał:

- Tego ranka wyglądasz wyjątkowo pięknie, Monzo.

To sprawiło, że uśmiechnęła się półgębkiem. Z tej strony, której nie widział.

- No cóż, takie są fakty.

Szybko pokonała kolejny ostry zakręt, a wtedy przed nimi wystrzelił w niebo zewnętrzny mur cytadeli. Wąski most prowadził do stróżówki ponad oszłamiająco głęboką rozpadliną; daleko w dole połyskiwała woda. Na drugim końcu mostu ziało łukowato sklepione wejście, równie zachęcające jak grób.

- Umocnili mury od zeszłego roku - szepnął Benna. - Wolałbym nie próbować oblężenia.

- Nie udawaj, że odważyłbyś się wspiąć po drabinie.

- A więc wolałbym nie musieć posyłać kogoś innego na taki los.

- Nie udawaj, że odważyłbyś się wydać taki rozkaz.

- Zatem wolałbym nie patrzeć, jak ty to robisz.

- Racja. - Ostrożnie wychyliła się z siodła i ze zmarszczonym czołem zerknęła w otchłań po lewej stronie. Potem uniosła wzrok na stromą ścianę po prawej, na poszarpane czarne krawędzie blanków na tle jaśniejszego nieba. - Zupełnie jakby Orso martwił się, że ktoś spróbuje go zabić.

- Ma wrogów? - Benna wstrzymał oddech i wytrzeszczył oczy, udając zaskoczenie.

- Tylko połowę Styrii.

- Więc... my także mamy wrogów?

- Ponad połowę Styrii.

- A tak się starałem, żeby mnie polubili... - Kłusem minęli dwóch srogich żołnierzy, których wypolerowane włócznie i stalowe hełmy lśniły zabójczo. Stukot kopyt odbijał się echem w ciemności długiego tunelu, który stopniowo piał się ku górze. - Już widzę u ciebie ten wyraz twarzy.

- Jaki?

- Koniec zabawy na dzisiaj.

- Hmm. - Poczula, że twarz wykrzywia jej znajomy surowy grymas. - Ty możesz sobie pozwolić na uśmiech. Jesteś tym dobrym.

Za bramą zaczynał się inny świat, w którym powietrze wypełniała woń lawendy, a wszystko tonęło w lśniącej zieleni, tak odmiennej od szarego górskiego krajobrazu. To był świat starannie przystrzyżonych trawników, żywopłotów, którym w bólach nadano cudowne kształty, fontann rozpylających połyskującą mgiełkę. Nastrój nieco psuli ponurzy strażnicy ubrani w białe kasaki z naszytymi czarnymi krzyżami, stojący przy każdym wejściu.

- Monzo...

- Tak?

- Może to będzie nasza ostatnia kampania - rzekł Benna prosząco. - Ostatnie lato w pyle. Znajdźmy sobie jakieś wygodniejsze zajęcie. Dopóki jesteśmy młodzi.

- A co z Tysiącem Ostrzy? Teraz to już prawie dziesięć tysięcy czekających na nasze rozkazy.

- Mogą je otrzymywać od kogoś innego. Dołączyli do nas, żeby móc rabować, a my daliśmy im ku temu wiele okazji. Zależy im wyłącznie na zysku.

Musiała przyznać, że oddział Tysiąc Ostrzy nigdy nie stanowił elity ludzkości, a nawet elity pośród najemników. Większość z nich była niewiele lepsza od pospolitych bandytów. Większość pozostałych była od nich gorsza. Ale nie to było najważniejsze.

- Trzeba się czegoś trzymać w życiu - mruknęła.

- Nie widzę takiej potrzeby.

- Taki już jesteś. Jeszcze rok, a Visserine upadnie, Rogont się podda, a Liga Ośmiu pozostanie tylko złym wspomnieniem. Orso będzie mógł ogłosić się królem Styrii, a my roztopimy się w tłumie i zostaniemy zapomniani.

- Zasługujemy na to, by nas pamiętano. Moglibyśmy otrzymać własne miasto. Mogłabyś zostać szlachetną księżną Monzcarro z... skądś...

- A ty nieustraszonym księciem Benna? - Roześmiała się. - Ty głupi osle. Bez mojej pomocy ledwie sobie radzisz z władaniem własnymi kiszkami. Wojna to wystarczająco ciemna robota, wolę nie mieszać się w politykę. Wycofamy się po koronacji Orso.

Benna westchnął.

- Myślałem, że jesteśmy najemnikami. Cosca nigdy nie trzymał się kurczowo jednego pracodawcy.

- Nie jestem Coscą. Zresztą, niemądrze jest odmawiać władcy Talinsu.

- Ty po prostu kochasz walczyć.

- Nie. Kocham zwyciężać. Jeszcze jeden sezon, a potem ruszymy w świat. Odwiedzimy Stare Imperium. Zobaczymy Wyspy Tysięczne. Popłyniemy do Adui i staniemy w cieniu Domu Stwórcy. Zrobimy to wszystko, o czym rozmawialiśmy.

Benna wyduł wargi, jak zawsze, gdy coś przebiegało nie po jego myśli. Wydymał wargi, ale nigdy się nie sprzeciwiał. Czasami drażniło ją, że zawsze musi sama podejmować decyzję.

- Najwyraźniej tylko jedno z nas ma jaja. Nigdy nie czujesz potrzeby, abym ci ich użyczyła?

- Tobie z nimi bardziej do twarzy. Poza tym przypadł ci w udziale cały rozum. Lepiej, żeby trzymały się razem.

- A co ty dostałeś?

Benna wyszczerzył zęby.

- Ujmujący uśmiech.

- A więc się uśmiechaj. Jeszcze przez jeden sezon.

Zeskoczyła z siodła, wyprostowała pas z bronią, rzuciła wodze stajennemu, po czym ruszyła w stronę wewnętrznej

stróżówki. Benna musiał się pośpieszyć, żeby za nią nadążyć, i po drodze zaplątał się w swoją szpadę. Jak na człowieka, który zarabiał na życie dzięki wojnie, upokarzająco źle radził sobie z bronią.

Wewnętrzny dziedziniec podzielono na szerokie tarasy rozpościerające się na wierzchołku góry i obsadzono egzotycznymi roślinami. Strzeżono go jeszcze pilniej niż zewnętrznego dziedzińca. Na środku wznosiła się pradawna kolumna, która podobno pochodziła z pałacu Scarpiuma, a jej odbicie migotało na wodzie wypełniającej okrągły zbiornik, w którym kłębiły się srebrzyste ryby. Z trzech stron otaczał go potężny pałac księcia Orso zbudowany ze szkła, brązu i marmuru, niczym olbrzymi kot trzymający w łapach mysz. Od wiosny dobudowano rozległe nowe skrzydło wzdłuż północnego muru. Rusztowania wciąż częściowo zakrywały ozdobne kamienne girlandy.

- Rozbudowują się - zauważyła.

- Oczywiście. Jak młody księżę Ario pomieściłby swoje buty w marnych dziesięciu salach?

- W dzisiejszych czasach mężczyzna nie może być modny bez przynajmniej dwudziestu sal z obuwem.

Benna ze zmarszczonym czołem przyjrzał się swoim butom ze złotymi sprzączkami.

- Sam mam najwyżej trzydzieści par. Bolesnie odczuwam ten brak.

- Jak my wszyscy - mruknęła.

Wzdłuż linii dachu stały na wpół ukończone rzeźby. Księżę Orso dający jałmużnę biedakom. Księżę Orso dający wiedzę niewykształconym. Księżę Orso osłaniający słabych.

- Dziwię się, że nie kazał stworzyć rzeźby, na której cała Styria liże go po dupie - szepnął jej do ucha Benna.

Wskazała częściowo ociosaną bryłę marmuru.

- Ona będzie następna.

- Benna!

Hrabia Foscar, młodszy syn Orso, pędem okrążył zbiornik. Przypominał rozradowanego psiaka. Jego buty chrzęściły na

świeżo zagrabionym żwirze, a piegowata twarz promieniała. Od ich ostatniego spotkania próbował zapuścić brodę, jednak rzadkie jasne włoski nadawały mu jeszcze bardziej chłopięcy wygląd. Być może odziedziczył całą uczciwość swego rodu, lecz uroda przypadła w udziale komuś innemu. Benna uśmiechnął się szeroko, objął Foscara jedną ręką, a drugą zmierzwił mu włosy. W wykonaniu kogokolwiek innego ten gest zakrawałby na obrazę, jednak u Benny wyglądał uroczo bezpretensjonalnie. Benna zawsze potrafił sprawiać ludziom radość, co w oczach Monzy urastało do niemal magicznej zdolności, gdyż jej talent dotyczył zgoła odmiennych zachowań.

- Zastaliśmy twojego ojca? - spytała.

- Owszem, mojego brata także. Są u swojego bankiera.

- W jakim jest nastroju?

- Wydaje mi się, że w dobrym, ale wiecie, jak to jest z ojcem.

Chociaż nigdy nie gniewa się na was dwoje, prawda? Zawsze przywozicie mu dobre wieści. Dzisiaj też tak jest?

- Mam mu powiedzieć, Monzo, czy...

- Borletta padła. Cantain nie żyje.

Foscar nie triumfował. Nie był żądny śmierci jak jego ojciec.

- Cantain był dobrym człowiekiem.

Monzie ta odpowiedź wydała się bardzo nie na miejscu.

- Był wrogiem twojego ojca.

- Ale zarazem człowiekiem godnym szacunku. W Styrii niewielu takich zostało. Naprawdę nie żyje?

Benna wydał policzki.

- No cóż, ścięto mu głowę i zatknięto na włócznie ponad bramą, więc jeśli nie znasz naprawdę dobrego lekarza...

Wysokim, łukowato sklepionym przejściem dotarli do ciemnej sali rozbrzmiewającej echem jak cesarski grobowiec. Światło spływało z góry w postaci zakurzonych kolumn i rozlewało się po marmurowej posadzce. Stare lśniące zbroje stały w milczeniu na baczność, ściskając w stalowych pięściach wiekowe bronie. Ostre stukanie obcasów odbiło się od ścian, gdy w stronę przybyszów ruszył mężczyzna w ciemnym mundurze.

- Zaraza - syknął Benna. - Jest tutaj ten gad Ganmark.

- Daj mu spokój.

- Nawet gdybym tylko w połowie był mężczyzną, zaraz bym...

- Nie jesteś, więc daj mu spokój.

Generał Ganmark miał dziwnie miękkie oblicze, obwisłe wąsy i bladoszare wodniste oczy, co nadawało mu wygląd człowieka wiecznie smutnego. Chodziły słuchy, że został wyrzucony z wojska Unii za nietaktowne uwodzicielskie zachowania wobec innego oficera, po czym wyruszył za morze w poszukiwaniu władcy o szerszych horyzontach. Szerokość horyzontów księcia Orso była nieskończona, jeśli tylko jego słudzy okazywali się skuteczni. Monza i Benna stanowili tego najlepszy dowód.

Ganmark ukłonił się sztywno Monzie.

- Pani generał Murcatto. - Równie sztywno skłonił się Bennie.

- Generale Murcatto. Hrabio Foscarze, mam nadzieję, że nie zaniedbujesz ćwiczeń.

- Odbywam sparingi każdego dnia.

- Zatem jeszcze zrobimy z ciebie szermierza.

Benna parsknął.

- Raczej nudziarza.

- To również nie byłoby takie złe - ciągnął Ganmark z urywanym unijnym akcentem. - Mężczyzna pozbawiony dyscypliny nie jest lepszy od psa. Żołnierz pozbawiony dyscypliny nie jest lepszy od trupa. Prawdę mówiąc, jest od niego gorszy, trup bowiem nie stanowi zagrożenia dla towarzyszy.

Benna otworzył usta, ale Monza nie pozwoliła mu dojść do głosu. Później będzie mógł zrobić z siebie osła, jeśli zapragnie.

- Jak ci minął sezon?

- Odegrałem swoją rolę, utrzymując Rogonta i jego Ospriańczyków z dala od waszych skrzydeł.

- Opóźniłeś Króla Zwłoki? - Benna uśmiechnął się złośliwie. - Nie lada wyzwanie.

- To tylko drugoplanowa rola. Komediovy przerywnik w

wielkiej tragedii, ale mam nadzieję, że spodobał się publiczności.

Echa ich kroków przybrały na sile, gdy znaleźli się w kolejnym łukowato sklepionym przejściu prowadzącym do wysokiej rotundy w sercu pałacu. Duże płaskorzeźby na zakrzywionych ścianach ilustrowały dawne wydarzenia. Wojny demonów z magami i temu podobne bzdury. Potężną kopułę wysoko w górze zdobiły freski przedstawiające siedem skrzydlatych kobiet na tle burzowych chmur - uzbrojonych, odzianych w zbroje i rozwścieczonych. Boginie Losu przynoszące ziemi przeznaczenie. Największe dzieło Aropelli. Monza słyszała, że pracował nad nim osiem lat. W tym miejscu zawsze czuła się mała, słaba i całkowicie pozbawiona znaczenia. Właśnie taki był zamiar twórcy.

Wspięli się całą czwórką po szerokich schodach, na których zmieściłoby się dwukrotnie więcej osób idących ramię w ramię.

- I dokąd cię doprowadził twój komediowy talent? - spytała Monza Ganmarka.

- Do ognia i morderstwa, do bram Puranti i z powrotem.

Benna się skrzywił.

- Uczestniczyłeś w prawdziwych walkach?

- A po cóż miałbym to robić? Nie czytałeś Stolicusa? „Tylko zwierzę walczy o zwycięstwo...”.

- „Generał do niego maszeruje” - dokończyła Monza. - Wzbudziłeś dużo śmiechu?

- Myślę, że nie u wrogów. W zasadzie prawie u nikogo, ale taka jest wojna.

- Mnie czasem udaje się zachichotać - wtrącił się Benna.

- Niektórym śmiech łatwo przychodzi. To czyni z nich uroczych kompanów przy biesiadnym stole. - Miękkie oczy Ganmarka zwróciły się ku Monzie. - Ale widzę, że ty się nie uśmiechasz.

- Zrobię to, gdy upadnie Liga Ośmiu, a Orso zostanie królem Styrii. Wtedy wszyscy będziemy mogli odwieść broń.

- Z doświadczenia wiem, że broń nie nadaje się do wiszenia

na kołku. Zawsze znajduje sposób, by wrócić do ręki właściciela.

- Sądzę, że Orso cię zatrzyma - powiedział Benna. - Chociażby po to, żebyś mu polerował posadzki.

Ganmark tylko cicho westchnął.

- Zatem Jego Ekscelencja będzie miał najczystsze podłogi w całej Styrii.

Na szczycie schodów znajdowały się wysokie drzwi zdobione lśniącymi drewnianymi intarsjami w kształcie lwich pysków. Przed nimi ujrzeli krępego mężczyznę, który chodził tam i z powrotem jak lojalny pies pilnujący sypialni pana. Wierny Carpi, kapitan o najdłuższym stażu w Tysiącu Ostrzy, którego szeroką, ogorzałą, szczerą twarz znaczyły blizny pozostałe po setkach walk.

- Wierny! - Benna chwycił masywną dłoń starego najemnika. - Górską wspinaczką w twoim wieku? Nie powinieneś raczej być w burdelu?

- Gdybym tylko mógł. - Carpi wzruszył ramionami. - Ale Jego Ekscelencja po mnie posłał.

- A ty, jak na posłusznego żołnierza przystało... usłuchałeś.

- Dlatego nazywają mnie Wiernym.

- Jak wyglądały sprawy w Borletcie, gdy wyjeżdżałeś? - spytała Monza.

- Było spokojnie. Większość mężczyzn zakwaterowałem poza murami z Andiche'em i Vietusem. Uznałem że lepiej, aby nie podpalili miasta. Część bardziej godnych zaufania pozostawiłem w pałacu Cantaina pod czujnym okiem Sesarii. To weterani tacy jak ja, pamiętający czasy Coski. Zaprawieni w bojach, mało impulsywni.

Benna zachichotał.

- Czyli niezbyt bystry?

- Powolni, ale konsekwentni. W końcu zawsze osiągamy cel.

- Zatem wchodzimy?

Foscar pchnął ramieniem skrzydło drzwi, otwierając je na oścież. Ganmark i Wierny podążyli za nim. Monza na chwilę zatrzymała się w progu, starając się przybrać jak najsurowszy

wyraz twarzy. Gdy uniosła wzrok, zobaczyła, że Benna się do niej uśmiecha. Niewiele myśląc, odwzajemniła uśmiech. Nachyliła się do jego ucha.

- Kocham cię - szepnęła.

- Pewnie, że tak. - Wszedł, a ona ruszyła za nim.

Osobisty gabinet księcia Orso miał postać marmurowej sali o rozmiarach miejskiego rynku. Wzdłuż jednej ze ścian pyszniły się wysokie otwarte okna, przez które wpadały podmuchy wiatru, z szelestem poruszające jaskrawymi zasłonami. Na zewnątrz rozciągał się długi taras, jakby zawieszony w powietrzu nad najbardziej stromym zboczem góry.

Przeciwległą ścianę pokrywały olbrzymie malowidła stworzone przez najznamienitszych styryjskich artystów, przedstawiające wielkie historyczne bitwy. Zwycięstwa Stolicusa, Haroda Wielkiego, Faransa i Verturia, wszystkie efektownie odmalowane farbami olejnymi. Trudno było przegapić przesłanie, że Orso jest ostatnim z rodu królewskich zwycięzców, mimo że jego pradziad był uzurpatorem i pospolitym przestępcą.

Największe malowidło znajdowało się naprzeciwko drzwi; miało co najmniej dziesięć kroków wysokości. Któżby inny, jak nie wielki książę Orso? Siedział na rumaku stojącym dęba, wysoko unosząc lśniąca szpadę i kierując przenikliwe spojrzenie w stronę horyzontu, prowadząc swoich ludzi do zwycięstwa w bitwie pod Etreą. Malarz najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że tamtego dnia Orso trzymał się w odległości pięćdziesięciu mil od pola bitwy.

Jednakże efektowne kłamstwa zawsze wygrywają z nudną prawdą, jak często powtarzał książę.

Władca Talinsu siedział zgarbiony za biurkiem, dzierżąc pióro, a nie szpadę. Obok niego stał wysoki, chudy mężczyzna o haczykowatym nosie. Patrzył w dół jak sęp czekający na śmierć spragnionych podróżnych. W cieniu pod ścianą czaiła się potężna postać Gobby, książęcego ochroniarza o szyi grubej jak u świni. Książę Ario, najstarszy syn Orso i zarazem jego następca, siedział ze skrzyżowanymi nogami na połączonym

krześle. W dłoni trzymał kielich z winem, a na jego pozbawionej wyrazu przystojnej twarzy widniał bezbarwny uśmiech.

- Znalazłem tych żebraków włóczących się po pałacu! - zawołał Foscari. - Pomyślałem, że polecę ich twemu miłosierdziu, Ojczy!

- Miłosierdziu? - Ostry głos księcia Orso odbił się echem w rozległej sali. - Nie wydaje mi się, bym z niego słyszał. Rozgośćcie się, przyjaciele, a ja wkrótce do was dołączę.

- Czyż to nie Rzeźniczka z Caprile - mruknął Ario - oraz jej mały Benna?

- Wasza Wysokość. Dobrze wyglądasz. - Monza uważała, że Ario wygląda jak leniwy kutas, ale zachowała tę myśl dla siebie.

- Ty także, jak zawsze. Gdyby wszyscy żołnierze wyglądali tak jak ty, być może sam skusiłbym się na udział w kampanii. Nowe świecidełko? - Ario machnął udekorowaną klejnotami wążką dłonią w stronę rubinu na palcu Monzy.

- Było pod ręką, kiedy się ubierałam.

- Żałuję, że mnie tam nie było. Wina?

- O świcie?

Zerknął spod przymkniętych powiek w stronę okien.

- Dla mnie to nadal wczorajsza noc. - Zupełnie jakby siedzenie do późna było bohaterским wyczynem.

- A ja chętnie skorzystam. - Benna już nalewał sobie wino do kielicha. Nie przegapił żadnej okazji, by się popisać. Zapewne w ciągu godziny upije się i narobi sobie wstydu, ale Monza miała dosyć matkowania mu. Minęła potężny kominek podtrzymywany przez posągi Juvensa oraz Kanediasa i podeszła do biurka Orso.

- Proszę podpisać tutaj, tutaj i tutaj - odezwał się chudy mężczyzna, wodząc kościstym palcem nad dokumentami.

- Znasz Mauthisa, prawda? - Orso posłał mężczyźnie kwaśne spojrzenie. - Trzyma mnie na smyczy.

- Zawsze do usług, Wasza Ekscelencjo. Dom bankierski Valint i Balk zgadza się na prolongowanie pożyczki na rok. Bardzo

żałuję, ale później będziemy zmuszeni doliczyć odsetki.

Orso parsknął.

- Tak jak plaga żałuje zmarłych. - Zamaszyście zakończył ostatni podpis i rzucił pióro na blat. - Każdy musi przed kimś klękać, czyż nie? Przekaż swoim przełożonym wyrazy mojej bezgranicznej wdzięczności w związku z odroczeniem płatności.

- Tak uczynię. - Mauthis zebrał dokumenty. - To już ostatnia sprawa, Wasza Ekscelencjo. Muszę natychmiast wyruszyć, jeśli mam zdążyć na wieczorny przypływ i wrócić do Westportu...

- Ależ zostań jeszcze chwilę. Mamy do omówienia pewną kwestię.

Pozbawione życia oczy Mauthisa zerknęły na Monzę, a potem ponownie na Orso.

- Jak Wasza Ekscelencja sobie życzy.

Książę płynnym ruchem wstał zza biurka.

- A więc przejdźmy do weselszych spraw. Przynosisz dobre wieści, Monzcarro?

- Owszem, Wasza Ekscelencjo.

- Ach, cóż bym bez ciebie zrobił. - Od ich ostatniego spotkania, w czarnych włosach księcia pojawiła się nutka siwizny, a zmarszczki w kącikach jego oczu nieco się pogłębiły, jednak Orso był równie władczy jak zawsze. Nachylił się i ucałował ją w oba policzki, po czym szepnął jej do ucha: - Ganmark potrafi dowodzić żołnierzami, ale jak na mężczyznę, który ssie fiuty, brakuje mu poczucia humoru. Chodź, opowiedz mi o swoich zwycięstwach na świeżym powietrzu. - Objął ją ramieniem i wyprowadził na taras, mijając kpiąco uśmiechniętego księcia Ario.

Słońce wspinało się po nieboskłonie, napełniając świat kolorami. Krew odpłynęła z nieba, które przybrało jaskrawobłękitną barwę. Wysoko w górze pełzły białe obłoki. Na dnie przepastnej rozpadliny rzeka wiała się przez zadrzewioną dolinę pośród bladozielonych, pomarańczowych i jasnożółtych jesiennych liści. Na wschodzie las rozpadał się w szachownicę pól - kwadraty zielonych ugorów, czarnej żyznej

gleby i złocistych zbóż. Jeszcze dalej rzeka spotykała się z szarym morzem, rozlewając się w szeroką deltę usianą wysepkami. Monza z trudem dostrzegła zarysy malutkich wież, budynków, mostów i murów. Wielki Talins, nie większy od jej paznokcia.

Zmrużyła oczy pod wpływem ostrego wiatru i odgarnęła kosmyk włosów z twarzy.

- Nigdy nie nudzi mi się ten widok.

- Nic dziwnego. Właśnie po to zbudowałem to przeklęte miejsce. Stąd mogę zawsze mieć swoich poddanych na oku, tak jak czujny rodzic obserwuje dzieci, by się upewnić, że nie robią sobie krzywdy podczas zabawy.

- Twoi poddani mają szczęście, że czuwa nad nimi taki sprawiedliwy i troskliwy ojciec - skłamała gładko.

- Sprawiedliwy i troskliwy. - Orso z namysłem zmarszczył brwi, patrząc w stronę odległego morza. - Myślisz, że takim mnie zapamięta historia?

Monza szczerze w to wątpiła.

- Co powiedział Bialoveld? „Historię piszą zwycięzcy”.

Książę uściskał jej ramię.

- Widzę, że znasz się na rzeczy. Ario jest ambitny, ale brakuje mu wnikliwości. Nie potrafiłby za jednym posiedzeniem przeczytać nawet drogowskazu. Obchodzą go tylko dziwki. No i buty. Tymczasem moja córka Terez wylewa gorzkie łzy, ponieważ wydałem ją za króla. Nie wątpię, że gdybym zaproponował jej za męża wielkiego Euza, to i tak marudziłaby, że to kandydat niegodny jej pozycji. - Orso ciężko westchnął. - Żadne z moich dzieci mnie nie rozumie. Wiesz, że mój pradziad był najemnikiem. Nie lubię się obnosić z tym faktem. - A jednak wspominał o tym niemal przy każdym spotkaniu. - Przez całe życie nie uronił nawet jednej łzy i nosił na nogach to, co akurat miał pod ręką. To był nisko urodzony wojownik, który przejął władzę w Talinsie dzięki ostrości umysłu i szpady. - Raczej za sprawą okrucieństwa i brutalności, jak słyszała Monza. - Ty i ja jesteśmy ulepieni z tej samej gliny. Sami do wszystkiego doszliśmy, zaczynając od zera.

Orso urodził się w najbogatszej książęcej rodzinie w Styrii i przez całe życie nie przepracował ani jednego dnia, ale Monza ugryzła się w język.

- Czynisz mi zbyt wielki zaszczyt, Wasza Ekscelencjo.

- Zasługujesz na więcej. A teraz opowiedz mi o Borletcie.

- Słyszałeś o bitwie na Wysokim Brzegu, książę?

- Słyszałem, że rozbiliście wojska Ligi Ośmiu, tak samo jak pod Słodkimi Sosnami! Ganmark twierdzi, że armia księcia Saliera trzykrotnie przewyższała was liczebnością.

- Liczna armia to tylko kłopot, jeśli żołnierze są leniwi, źle wyszkoleni i dowodzeni przez idiotów. Armia rolników z Borletty, szewców z Affoi, dmuchaczy szkła z Visserine. Amatorzy. Obozowali nad rzeką, myśląc, że jesteście daleko. Rozstawili nieliczne straże. W nocy podeszliśmy lasem i zaskoczyliśmy ich o świcie. Nawet nie mieli na sobie zbroi.

- Wyobrażam sobie, jak ten tłusty wieprz Salier zerwał się z posłania i rzucił do ucieczki!

- Wierny poprowadził szturm. Szybko ich rozbiliśmy i przejęliśmy ich zapasy.

- Słyszałem, że złote kukurydziane pola spłynęły czerwienią.

- Prawie się nie bronili. Dziesięciokrotnie więcej utonęło w rzece niż zginęło w walce. Wzięliśmy ponad cztery tysiące jeńców. Za niektórych otrzymaliśmy okup, za niektórych nie, część powiesiliśmy.

- Bez wielkiego żalu, co, Monzo?

- Nie z mojej strony. Skoro tak bardzo chcieli żyć, mogli się poddać.

- Tak jak w Caprile?

Popatrzyła prosto w czarne oczy Orso.

- Właśnie, tak jak w Caprile.

- Zatem Borgetta jest oblężona?

- Już padła.

Twarz księcia rozpromieniła się jak u małego chłopca w dniu urodzin.

- Padła? Cantain się poddał?

- Gdy jego ludzie usłyszeli o porażce Saliera, stracili nadzieję.

- A ludzie pozbawieni nadziei są niebezpieczni, nawet w republice.

- Zwłaszcza w republice. Tłum wywłókł Cantaina z pałacu, powiesił go na najwyższej wieży, otworzył bramy i zdał się na łaskę Tysiąca Ostrzy.

- Ha! Zarżnięty przez ludzi, o których wolność tak zabiegał. Oto wdzięczność prostaczków, co, Monzo? Cantain powinien był przyjąć ode mnie pieniądze, gdy mu je proponowałem. Obaj ponieśliśmy mniejsze koszty.

- Ludzie koniecznie chcą zostać twoimi poddanymi, książę. Wydałam rozkazy, by w miarę możliwości ich oszczędzić.

- Miłosierdzie, co?

- Miłosierdzie i tchórzostwo są tym samym - odburknęła. - Ale pragniesz zabrać im ziemię, a nie życie, prawda? Trupy nie mogą wykonywać rozkazów.

Orso się uśmiechnął.

- Dlaczego moi synowie nie korzystają z moich nauk równie dobrze jak ty? Całkowicie się zgadzam. Powieście tylko przywódców. A głowę Cantaina zatknijcie nad bramą. Nic tak dobrze nie skłania do posłuszeństwa jak dobry przykład.

- Już tam gnije razem z głowami jego synów.

- Świetna robota! - Władca Talinsu klasnął w dłonie, jakby wieść o gnijących głowach rozbrzmiała w jego uszach cudowną muzyką. - A co z łupami?

Rachunki były domeną Benny, który teraz podszedł do księcia, wyjmując z kieszeni na piersi złożoną kartkę.

- Miasto zostało dokładnie wyczyszczone, Wasza Ekscelencjo. Ogołococono wszystkie budynki, rozkopano wszystkie podłogi, przeszukano obywateli. Zgodnie z naszymi zwyczajowymi zasadami dotyczącymi działań wojennych. Ćwierć dla znalazcy, ćwierć dla jego kapitana, ćwierć dla generałów - nisko się uklonił, rozkładając kartkę i podając ją księciu - i ćwierć dla naszego czcigodnego pracodawcy.

Uśmiech Orso stał się jeszcze szerszy, gdy książę przyjrzał się liczbom na kartce.

- Niech będzie błogosławiona Zasada Ćwiartek! To wystarczy,

by jeszcze przez jakiś czas zachować was oboje w mojej służbie.
- Staął pomiędzy Monzą i Benną, delikatnie położył im dłonie na ramionach, po czym wprowadził ich z powrotem do gabinetu. Podeszli do okrągłego stołu z czarnego marmuru, który stał na środku pomieszczenia, i wielkiej mapy rozłożonej na blacie. Ganmark, Ario i Wierny już się tam zgromadzili. Gobba wciąż ciał się w cieniu, krzyżując grube ręce na piersi. - A co z naszymi dawnymi przyjaciółmi, a obecnie zażartymi wrogami, zdradzieckimi obywatelami Visserine?

- Pola wokół miasta są spalone niemal do samych bram. - Monza kilkoma machnięciami palca przyniosła zagładę okolicznym wiejskim terenom. - Rolników wypędzono, zarżnięto bydło. Tłustego księcia Saliera czeka chuda zima i jeszcze chudsza wiosna.

- Będzie zmuszony polegać na szlachetnym księciu Rogoncie i jego Ospriańczykach - zauważył z uśmiechem Ganmark.

Księżę Ario zachichotał.

- Ospria zawsze dużo gada, ale niewiele pomaga.

- Visserine z pewnością wpadnie w twoje ręce w przyszłym roku, Wasza Ekscelencjo.

- Wtedy wyrwiemy serce Lidze Ośmiu.

- A tobie przypadnie korona Styrii.

Wzmianka o koronie jeszcze bardziej rozweseliła Orso.

- A za to wszystko powinniśmy dziękować tobie, Monzcarro. Nie zapomnę o tym.

- Nie tylko mnie.

- Niech szlag trafi twoją skromność. Benna odegrał swoją rolę, podobnie jak nasz przyjaciel generał Ganmark oraz Wierny, ale nikt nie zaprzeczy, że to twoje dzieło. Nie poradziłibyśmy sobie bez twojego oddania, skupienia, szybkości działania! Czeka cię wielki triumf, jak dawnych bohaterów Aulcusu. Przejedziesz ulicami Talinsu, a ludzie obsypią cię płatkami kwiatów, by uczcić twoje liczne zwycięstwa. - Benna wyszczerzył się w uśmiechu, ale Monza nie mogła pójść w jego ślady. Nigdy nie przepadała za gratulacjami. - Będą znacznie głośniej wiwatowali na twoją cześć niż na cześć moich synów.

Znacznie głośniej niż na moją cześć, ich prawowitego władcy, któremu tak wiele zawdzięczają. - Wydawało się, że z ust Orso zniknął uśmiech, a bez niego jego twarz przybrała zmęczony, smutny i utrudzony wyraz. - Będą wiwatowali nieco za głośno jak na mój gust.

Kątem oka dostrzegła minimalny ruch, i to wystarczyło, by instynktownie uniosła rękę.

Struna z sykiem zacisnęła się na jej dłoni, blokując ją pod podbródkiem i mocno przyciskając do gardła.

Benna ruszył naprzód.

- Mon...

Błysnął metal i książę Ario dźgnął go w szyję. Nie trafił w gardło, ale tuż pod uchem.

Orso ostrożnie się cofnął, gdy krew obryzgała podłogowe płyty. Foscari szeroko otworzył usta i wypuścił z rąk kielich z winem, który roztrzaskał się na posadzce.

Monza próbowała krzyknąć, ale tylko zacharczała przez na wpół zaciśniętą tchawicę, wydając z siebie dźwięk przypominający kwiczenie świni. Wolną ręką sięgnęła po sztylet, ale ktoś chwycił ją za nadgarstek i mocno przytrzymał. Wierny Carpi przywarł do jej lewego boku.

- Przepraszam - szepnął, wyjmując jej szpadę z pochwy i odrzucając ją w głąb sali.

Benna zachwiał się, tocząc z ust czerwoną pianę. Jedną dłonią trzymał się za twarz, a spomiędzy jego białych palców wyciekała czarna krew. Drugą ręką szukał rękojeści, podczas gdy Ario wpatrywał się w niego jak skamieniały. Najemnik zdołał wysunąć szpadę z pochwy na długość stopy, ale wtedy generał Ganmark dopadł do niego i go przebił - raz, drugi, trzeci. Cienkie ostrze wślizgiwało się i wyślizgiwało z ciała Benny przy wtórze cichych westchnień wydobywających się z jego szeroko otwartych ust. Długie strumienie krwi trysnęły na posadzkę, a na białej koszuli wykwitły ciemne okręgi. Benna zatoczył się do przodu, potknął i upadł, szorując częściowo wyciągniętą szpadą po marmurze.

Monza walczyła, czując, że jej każdy mięsień dygocze, ale

była bezradna jak mucha w słoju z miodem. Słyszała, jak Gobba stęka z wysiłku, pocierając zarośniętą twarzą o jej policzek, grzejąc ją w plecy swym olbrzymim cielskiem. Czuła, jak struna powoli wrzyna się w boki jej szyi oraz dłoń przyciśniętą do krtani. Czuła krew spływającą po przedramieniu za kołnierz koszuli.

Jedna z dłoni Benny przesunęła się po podłodze w jej stronę. Mężczyzna podźwignął się o cal albo dwa; żyły na jego szyi nabrzmiały. Ganmark nachylił się i spokojnie wbił mu ostrze w serce od tyłu. Benna zadygotał, po czym opadł na posadzkę i znieruchomiał z bladym policzkiem usmarowanym krwią. Spod niego wypłynęła ciemna krew, rozlewając się wzdłuż szpar między płytami.

- No. - Ganmark wytarł ostrze o koszulę Benny. - Załatwione.

Mauthis patrzył na to wszystko ze zmarszczonymi brwiami.

Był lekko zaskoczony, lekko poirytowany, lekko znudzony. Jakby przyglądał się zestawowi liczb, które się nie zgadzają.

Orso wskazał ciało.

- Pozbądź się tego, Ario.

- Ja? - Młodzieniec się skrzywił.

- Tak, ty. A ty możesz mu pomóc, Foscarze. Musicie się nauczyć, co trzeba robić, by utrzymać rodzinę u władzy.

- Nie! - Foscar się zatoczył. - Nie będę w tym uczestniczył! - Odwrócił się i wybiegł z sali, głośno tupiąc na marmurowej posadzce.

- Ten chłopak jest miękki jak syrop - mruknął Orso. - Ganmark, pomóż mu.

Monza śledziła ich wybałuszonymi oczami, gdy wywlekali zwłoki Benny na taras. Ganmark z ponurą i skupioną miną trzymał ciało od strony głowy, a Ario przy wtórze przekleństw delikatnie ujął Bennę za jedną stopę. Druga ciągnęła się po ziemi, pozostawiając czerwony ślad. Zrzucili mężczyznę na balustradę, po czym stoczyli go w przepaść. Zniknął w mgnieniu oka.

- Ach! - zaskrzeczał Ario, wymachując dłonią. - Zaraza! Zadrapałeś mnie!

Ganmark posłał mu surowe spojrzenie.

- Przepraszam, Wasza Wysokość. Morderstwo bywa bolesne.

Książę rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, o co mógłby wytrzeć zakrwawione dłonie. Sięgnął po drogą zasłonę wiszącą przy oknie.

- Nie o to! - parsknął Orso. - To kantycki jedwab, wart pięćdziesiąt szalek za sztukę!

- To o co?

- Znajdź coś innego albo zostaw krew na dłoniach! Czasami się zastanawiam, czy twoja matka nie kłamała o tym, kto jest twoim ojcem, chłopcze.

Nadaśany Ario wytarł dłonie o przód swojej koszuli. Monza czuła, że jej twarz płonie z braku powietrza. Orso zmarszczył brwi. Przez łzy i włosy wijące się na jej twarzy widziała go jako rozmazaną czarną sylwetkę.

- Wciąż żyje? Co tak długo, Gobbo?

- Pieprzona struna zaczepiła się o jej dłoń - syknął ochroniarz.

- Więc znajdź inny sposób, żeby ją wykończyć, półgłówku.

- Ja się tym zajmę. - Wierny wyszarpnął sztylet zza paska, drugą ręką cały czas trzymając Monzę za nadgarstek. - Naprawdę bardzo mi przykro.

- Zrób to w końcu! - ryknął Gobba.

Ostrze cofnęło się, lśniąc w promieniach słońca. Monza z całą siłą, jaka jej pozostała, nadepnęła Gobbie na stopę. Ochroniarz stęknął i poluzował uchwyt na strunie, a wtedy kobieta odciągnęła ją od szyi, warcząc i wijąc się, gdy Carpi spróbował ją zasztyletować.

Ostrze nie trafiło w cel, wślizgując się pod dolne żebro. Zimny metal palił jak ogień, przeszywając ją bólem od brzucha do pleców. Czubek sztyletu dźgnął Gobbę w brzuch.

- Gaa! - Olbrzym puścił strunę, a wtedy Monza wciągnęła powietrze do płuc, zawyła jak obłąkana i zdzieliła go łokciem, odrzucając do tyłu.

Zaskoczony Wierny niezdarnie wyciągnął nóż z jej ciała; ostrze, wirując, potoczyło się po posadzce. Kopnęła go, ale nie

trafiła w krocze tylko w biodro. Pochylił się, a wtedy wyszarpnęła sztylet z pochwy na jego pasie. Jednak jej zraniona ręka nie była w pełni sprawna i Carpi zdążył chwycić ją za nadgarstek, nim uderzyła.

Zaczęli się przepychać, szczerząc zęby, plując sobie nawzajem w twarz, rzucając się w przód i w tył, z rękami umazanymi jej krwią.

- Zabij ją!

Rozległ się chrzęst i głowę Monzy wypełniło światło. Podłoga zderzyła się z jej czaszką, grzmotnęła ją w plecy. Kobieta splunęła krwią, jej wściekłe krzyki zmieniły się w długi skrzek, gdy zaczęła drapać paznokciami gładką posadzkę.

- Pieprzona suko!

Obcas Gobby spadł na jej prawą dłoń, przeszywając bólem przedramię i wyrywając z jej ust paskudne westchnienie. But ponownie zachrząścił na knykciach, potem palcach, a wreszcie nadgarstku. Jednocześnie Wierny raz za razem kopał ją w żebra, przez co zanosila się kaszlem i drżała. Próbowwała obrócić strzaskaną dłoń, ale wtedy obcas Gobby spadł na nią z trzaskiem i rozpląszczył ją na zimnym marmurze, krusząc kość. Opadła bezwładnie na posadzkę, z trudem łapiąc oddech. Sala wirowała jej przed oczami, dawni zwycięzcy z malowideł patrzyli na nią z wyszczerzonymi zębami.

- Dziabnąłeś mnie, głupi stary draniu! Dziabnąłeś mnie!

- To tylko draśnięcie, spaślaku! Trzeba ją było mocniej trzymać!

- Powinienem was obu zabić, partacze! - zasyczał Orso. - Skończcie z nią wreszcie!

Potężne dłonie Gobby chwyciły Monzę za gardło i uniosły. Usiłowała go złapać lewą ręką, ale cała siła wyciekła z niej przez dziurę w boku i skaleczenia na szyi. Niezdarne opuszki palców tylko rysowały czerwone ślady na jego nieogolonej twarzy. Po chwili ktoś gwałtownie wykręcił jej rękę za plecami.

- Gdzie jest złoto Hermona? - spytał chrapliwie Gobba. - Co, Murcatto? Co zrobiliście ze złotem?

Monza zmusiła się do uniesienia głowy.

- Całuj mnie w dupę, pojebie. - Może niezbyt mądrze, ale prosto z serca.

- Nie było żadnego złota! - odburknął Wierny. - Już ci mówiłem, wieprzu!

- Zostało przynajmniej tyle. - Gobba kolejno ściągnęła poobijane pierścienie z jej obwisłych palców, które już zaczynały puchnąć i wściekle sinieć, powyginane i bezkształtne jak zgniłe kiełbaski. - Dobry kamień - powiedział, spoglądając na rubin. - Ale szkoda, żeby takie ładne ciało się zmarnowało. Może zostawicie mnie z nią na chwilę? Wystarczy moment.

Księżę Ario zachichotał.

- Nie zawsze warto się chwalić szybkością.

- Litości, nie jesteśmy zwierzętami! - zawołał Orso. - Wyrzucie ją z tarasu i po kłopocie. Jestem już spóźniony na śniadanie.

Monza poczuła, że ktoś ją wlecze. Jej głowa bezwładnie się kołysała. Uderzył w nią blask słońca. Uniosła się, szorując butami o kamień. Zobaczyła obracające się błękitne niebo. W górę na balustradę. Oddech drapał ją w nos, drżał jej w piersi. Wiła się i wierzgała. Jej ciało walczyło na próżno, by pozostać przy życiu.

- Jeszcze się upewnię - odezwał się Ganmark.

- Jak dużej pewności potrzebujemy? - Przez zakrwawione włosy przesłaniające jej oczy zobaczyła rozmazaną twarz Orso naznaczoną zmarszczkami. - Mam nadzieję, że mnie rozumiesz. Mój pradziad był najemnikiem. Nisko urodzonym wojownikiem, który zdobył władzę dzięki ostrości umysłu i szpady. Nie mogę pozwolić, by kolejny najemnik przejął władzę w Talinsie.

Chciała napluć mu w twarz, ale tylko wypuściła strużkę krwawej śliny na brodę.

- Pieprz się...

Potem poleciała w dół.

Jej porwana koszula nadeła się i załopotowała, uderzając o cierpnącą skórę. Monza obracała się raz za razem, a świat koziółkował wokół niej. Błękitne niebo ze strzępami chmur,

czarne wieże na szczycie góry, przemykająca szara skalna ściana, żółto-zielone drzewa i połyskująca rzeka, błękitne niebo ze strzępami chmur i jeszcze raz, jeszcze raz, coraz szybciej i szybciej.

Zimny wiatr szarpał jej włosy, wył w uszach, gwizdał między zębami wraz z przerażonym oddechem. Widziała każde drzewo, każdą gałąź, każdy liść. Mknęły ku niej z dołu. Otworzyła usta, by krzyczeć...

Gałązki zaczepiały się o nią, chwytaly ją, chłostały. Po zderzeniu ze złamanym konarem zaczęła się obracać. Wokół niej drewno pękało i darło się na kawałki, gdy pędziła w dół, cały czas w dół, aż wreszcie uderzyła o zbocze góry. Jej nogi połamały się pod ciężarem upadającego ciała, ramię pękło w zetknięciu z twardą ziemią. Jednak, zamiast roztrzaskać głowę o skały, jedynie złamała szczękę na zakrwawionej piersi swojego brata, którego ciało zaklinowało się u podstawy drzewa.

Właśnie tak Benna Murcatto uratował życie swojej siostrze.

Odbiła się od trupa, niemal nieprzytomna, i potoczyła ze stromego zbocza, wymachując kończynami jak połamana lalka. Skały, korzenie i twarda ziemia uderzały ją i miażdżyły niczym setka młotów.

Przeleciała przez zarośla pełne chłoszczących i szarpiących cierni. Toczyła się w dół w obłoku piachu i liści. Podskoczyła na korzeniu, wpadła na omszały kamień. Powoli wyhamowała i znieruchomiła w pozycji na wznak.

- Haaaarrrr....

Wokół niej grzechotały kamienie, patyki i żwir. Pył powoli opadał. Słyszała wiatr poruszający trzeszczącymi gałęziami, szelest liści. A może to był jej własny oddech, skrzypiący i trzaskający w zmiażdżonej krtani. Słońce migotało między czarnymi drzewami, drażniąc jedno oko. Drugim widziała tylko ciemność. Muchy brzęczały, krążąc wokół niej w ciepłym porannym powietrzu. Leżała w otoczeniu odpadków z kuchni Orso. Bezradnie rozciągnięta pośród zgniłych warzyw, śluzu i cuchnących resztek po zesłomiesięcznych wspaniałych

posiłkach. Wyrzucona na śmietnik.

- Haaaarrrr...

Poszarpany, bezmyślny dźwięk. Była nim niemal zawstydzona, ale nie mogła go powstrzymać. Zwierzęce przerażenie. Szaleńcza rozpacz. Jęk potępionych w piekle. Rozpaczliwie rozglądała się jednym okiem. Zobaczyła swoją poharataną prawą dłoń, bezkształtną fioletową rękawiczkę z krwawą raną na boku. Jeden palec lekko drżał. Jego opuszka ocierała się o rozerwaną skórę na łokciu. Przedramię było złożone na pół, złamana gałązka szarej kości sterczała z zakrwawionego jedwabiu. Nie wyglądała na prawdziwą. Przypominała tani rekwizyt teatralny.

- Haaaarrrr....

Ogarnął ją strach, który przybierał na sile z każdym oddechem. Nie mogła poruszać głową. Nie mogła poruszać językiem w ustach. Czuła, jak ból szarpie krawędź jej umysłu. Jak naciera na nią potwornym ciężarem, doszczętnie ją zgniata, staje się coraz bardziej dotkliwy.

- Haarr... arr...

Benna nie żył. Z jej mrugającego oka wypłynęła smużka wilgoci i powoli ściekła po policzku. Dlaczego ona nie umarła? Jak to możliwe?

Proszę, już niedługo. Zanim ból stanie się gorszy. Błagam, niech to będzie wkrótce.

- Aarr... aa... aa.

Błagam, śmierci.

I

Talins

„Aby znaleźć godnego wroga,
wybierz przyjaciela:
on wie, gdzie uderzyć”.

Diana de Poitiers

Jappo Murcatto nigdy nie wyjawiał, skąd ma tak dobrą szpadę, lecz potrafił się nią doskonale posługiwać. A jako że jego syn był o pięć lat młodszy od siostry i bardzo chorowity, Jappo przekazał swoje umiejętności córce. Nazwisko Monzcarro należało do jego matki w czasach, gdy ich rodzina miała szlacheckie pretensje. Jego żona nigdy o to nie dbała, ale umarła, wydając na świat Bennę, więc nie miało to większego znaczenia.

To były spokojne lata w Styrii, co stanowiło rzadkość.

W porze orki, gdy pług ojca brnął przez ziemię, Monza podążała jego śladem, usuwając duże kamienie ze świeżej czarnej gleby i wyrzucając je do lasu.

W porze żniw, gdy kosa ojca błyskała w słońcu, Monza podążała jego śladem i wiązała ścięte kłosa w snopki.

- Monzo - mawiał ojciec, uśmiechając się do niej - cóż bym bez ciebie uczynił.

Pomagała mu w młóceniu i sianiu, rąbała drewno i czerpała wodę ze studni. Gotowała, zamiatała, zmywała, dźwigała, doila kozę. Jej dłonie zawsze były obolałe od pracy. Jej brat robił, co mógł, ale był drobny i chorowity, więc niewiele jej pomagał. To były ciężkie lata, ale szczęśliwe.

Kiedy Monza miała czternaście lat, Jappo Murcatto zapadł na gorączkę. Razem z Benną patrzyli, jak kaszle, poci się i traci siły. Pewnej nocy chwycił Monzę za nadgarstek i popatrzył na nią błyszczącymi oczami.

- Jutro zaoraj ziemię na górnym polu, inaczej pszenica nie wejdzie na czas. Zasadź tyle, ile zdołasz. - Dotknął jej policzka. - To niesprawiedliwe, że wszystko spada na ciebie, ale twój brat jest taki mały. Opiekuj się nim. - Po czym umarł.

Benna zanosił się nieutulonym płaczem, ale oczy Monzy

pozostały suche. Myślała o zbożu, które musi zasiać, i o tym, jak to zrobi. Tamtej nocy Benna był zbyt wystraszony, by samotnie spać, więc położyli się razem w jej wąskim łóżku i przytulali, by dodać sobie otuchy. Nie mieli już nikogo poza sobą.

Rankiem, gdy jeszcze było ciemno, Monza zawlekła zwłoki ojca do lasu za domem i wtoczyła je do rzeki. Nie dlatego, że go nie kochała, ale dlatego, że nie miała czasu go pogrzebać.

Gdy wzeszło słońce, orała ziemię na górnym polu.

Kraina Wielu Możliwości

Pierwszą rzeczą, na którą Dreszcz zwrócił uwagę, gdy statek rozbijając fale zbliżył się do przystani, był fakt, że wcale nie jest tak ciepło, jak się spodziewał. Słyszał, że w Styrii zawsze świeci słońce i można się kąpać w jego promieniach przez cały rok. Tymczasem, gdyby ktoś zaproponował Dreszczowi taką kąpiel, wolałby pozostać brudny i zapewne dorzuciłby kilka cierpkich słów. Talins kulił się pod szarym niebem pokrytym pękatymi chmurami, od morza wiała ostra bryza, a krople zimnego deszczu od czasu do czasu uderzały go w policzki, przypominając mu o domu. Nie były to przyjemne wspomnienia. A jednak miał zamiar patrzeć na słoneczną stronę życia. Pewnie to po prostu gówniany dzień. Wszędzie się takie zdarzają.

Z pewnością to miejsce wygląda na zapuszczone, uznał, gdy żeglarze zabrali się za cumowanie okrętu. Wzdłuż szarej zatoki tłoczyły się ceglane budynki o wąskich oknach i zapadających się dachach. Ze ścian odłaziła farba, popękany tynk pokrywały plamy soli, zielony mech i czarna pleśń, a nad oślizgłym brukiem ściany poobklejano dużymi arkuszami. Przytwierdzone pod przypadkowymi kątami i porozdzierane, zakrywały się nawzajem, a ich postrzępione krawędzie powiewały na wietrze. Widniały na nich twarze i wydrukowane słowa. Może ostrzeżenia, ale Dreszcz nie był mocny w czytaniu. Zwłaszcza po styryjsku. Mówienie w tym języku było wystarczająco trudne.

Na nabrzeżu kłębili się ludzie, którzy wcale nie wyglądali na szczęśliwych. Ani zdrowych. Ani bogatych. W powietrzu unosił się silny zapach. A raczej straszliwy smród. Zgniłe ryby, stare

zwłoki, dym z palonego węgla i pełne latryny. Jeśli tak wygląda dom nowego człowieka, którym Dreszcz miał nadzieję się stać, to trudno nie być zawiedzionym. Przez chwilę Dreszcz rozważał wydanie większości pieniędzy, jakie mu zostały, na podróż powrotną na Północ przy najbliższym przypływie, jednak odpędził tę myśl. Miał dosyć wojny, prowadzenia ludzi na śmierć, zabijania i wszystkiego, co się z tym wiąże. Zamierzał stać się lepszym człowiekiem. Chciał czynić dobro i wybrał w tym celu to miejsce.

- No dobra. - Skinął wesoło głową najbliższemu marynarzowi. - Zbieram się.

W odpowiedzi usłyszał zaledwie mruknięcie, ale jego brat kiedyś powiedział mu, że liczy się to, co dajesz, a nie to, co otrzymujesz w zamian. Dlatego uśmiechnął się, jakby spotkało go życzliwe pożegnanie, po czym zbiegł po stukoczącym trapie na spotkanie swego nowego życia w Styrii.

Postawił zaledwie tuzin kroków, unosząc wzrok ku wysokim budynkom ciągnącym się po jednej stronie i masztom kołyszącym się po drugiej, gdy nagle ktoś wpadł na niego i niemal go przewrócił.

- Bardzo przepraszam - rzekł Dreszcz po styryjsku, próbując zachować się w cywilizowany sposób. - Nie zauważyłem cię, przyjacielu.

Mężczyzna pobiegł dalej, nawet się nie oglądając. To nieco podrażniło dumę Dreszcza. Wciąż mu jej nie brakowało, była jedynym, co pozostawił mu ojciec. Nie po to przeżył siedem lat bitew, potyczek, budzenia się ze śniegiem na kocu, gównianego jedzenia i jeszcze gorszych pieśni, by teraz ktoś go potrącał.

Jednakże bycie draniem to zarazem zbrodnia i kara. „Daj temu spokój”, powiedziała by jego brat. Dreszcz miał spoglądać na słoneczną stronę życia. Dlatego opuścił nabrzeże i szeroką ulicą wszedł w głąb miasta. Minął grupę żebraków siedzących na kocach i machających kikutami oraz wysuszonymi kończynami. Przeciął plac, na którym stał potężny posąg mężczyzny groźnie marszczącego brwi i wskazującego palcem pustkę. Dreszcz nie miał pojęcia, kto to taki, ale z pewnością

wyglądał na zadowolonego z siebie. Zapach gotowanego jedzenia sprawił, że zaburczało mu w brzuchu, i zwabił go do straganu, na którym ponadziewane na patyki kawałki mięsa smażyły się nad ogniem rozpalonym w puszcze.

- Poproszę jeden - powiedział Dreszcz, wskazując palcem. Wydawało się, że to wystarczy, więc nie komplikował spraw, by zmniejszyć ryzyko pomyłki.

Gdy kucharz podał mu cenę, Dreszcz omal nie udławił się własnym językiem. Na Północy kupiłby za to całą owcę, może nawet hodowlaną parkę. Mięso w połowie składało się z tłuszczu, a w połowie z chrząstek. Smakowało o wiele gorzej niż pachniało, ale już go to nie zdziwiło. Najwyraźniej tak było z większością rzeczy w Styrii.

Deszcz przybrał na sile, zalewając jedzącemu Dreszczowi oczy. Nic wielkiego w porównaniu z nawałnicami, z których śmiał się na Północy, ale wystarczyło, by dodatkowo pogorszyć mu nastrój i sprawić, że zaczął się zastanawiać, gdzie, do licha, spędzi noc. Woda ściekała z omszałych okapów i połamanych rynien, nadając brukowi ciemną barwę, sprawiając, że ludzie garbili się i przeklinali. Dreszcz wyszedł spomiędzy ciasno stojących budynków nad szeroki brzeg rzeki, zabudowany i ogrodzony kamieniami. Przystanął na chwilę, zastanawiając się, którędy pójść.

Jak okiem sięgnąć, wszędzie widział miasto, mosty w górnym i dolnym biegu rzeki, budynki na przeciwległym brzegu, jeszcze większe niż tutaj - wieże, kopuły, dachy, ciągnące się bez końca, na wpół zakryte i rozmyte w nierzeczywisty sposób przez szarą zasłonę deszczu. Na wietrze łopotały kolejne podarte arkusze, na których widniały litery namalowane jaskrawymi farbami spływającymi na bruk. Niektóre litery wysokością dorównywały dorosłemu człowiekowi. Dreszcz zapatrzył się na jeden z napisów, starając się coś z niego zrozumieć.

Stęknął, gdy kolejny przechodzień uderzył go ramieniem prosto w żebra. Tym razem gwałtownie się obrócił, warcząc i ściskając w garści patyk z mięsem jak ostrze. Wziął głęboki wdech. Nie tak dawno puścił wolno Krwawego-dziewięć.

Pamiętał tamten poranek, jakby to było wczoraj. Śnieg za oknami, nóż w dłoni, grzechot, z jakim go upuścił. Oszczędził człowieka, który zabił jego brata, zrezygnował z zemsty, by stać się lepszym człowiekiem. Odejść od krwi. Darowanie przewinienia przypadkowej osobie w tłumie nie było niczym szczególnym.

Zmusił się do półśmiechu i odszedł w przeciwną stronę, wchodząc na most. Taki drobiazg jak potrącenie na ulicy może sprawić, że będziesz klął całymi dniami, a on nie chciał zatruć sobie nowego życia, zanim na dobre się rozpoczęło. Po obu stronach mostu stały posągi patrzące ponad wodą, potwory z białego kamienia upstrzone ptasimi odchodami. Obok sunął tłum, jedna rzeka płynąca ponad drugą. Ludzie wszelkich rodzajów i kolorów. Tak wielu, że wśród nich czuł się nieistotny. Nic dziwnego, że w takim miejscu czasami potrąci cię ktoś ramieniem.

Coś otarło się o jego rękę. Zanim zdążył pomyśleć, chwycił kogoś za szyję, przegiął ponad balustradą dwadzieścia kroków nad spienioną wodą i ścisnął, jakby dusił kurę.

- Uderzyłeś mnie, draniu? - warknął w języku Północy. - Wytnę ci oczy, kurwa!

To był drobny mężczyzna, śmiertelnie wystraszony. Był o głowę niższy od Dreszcza i niemal o połowę lżejszy. Gdy Dreszczowi minął pierwszy atak wściekłości, zrozumiał, że ten biedny głupiec ledwie go musnął. Nie zrobił tego złośliwie. Jak to możliwe, że Dreszcz potrafi darować poważne winy, a potem traci cierpliwość z powodu takiej bzdury? Zawsze był swoim najgorszym wrogiem.

- Wybacz, przyjacielu - odezwał się po styriańsku ze szczerą skruchą. Opuścił mężczyznę na bruk i niezdarnie otrzepał pognieciony przód jego płaszcza. - Naprawdę bardzo mi przykro z powodu tego małego... jak to się mówi... nieporozumienia. Przepraszam. Czy miałbyś ochotę... - Dreszcz zrozumiał, że proponuje nieznanemu patyk, na którym tkwił ostatni skrawek tłustego mięsa. Mężczyzna zmierzył go wzrokiem. Dreszcz się skrzywił. Jasne, że facet tego nie chce. On

sam miał już dosyć. - Przepraszam...

Mężczyzna odwrócił się i zniknął w tłumie, tylko raz ze strachem oglądając się przez ramię, jakby właśnie przetrwał atak szaleńca. Może tak właśnie było. Dreszcz stał na moście, wpatrując się ze zmarszczonym czołem w brązową wodę kłębiącą się w dole. Musiał przyznać, że taką samą wodę mieli na Północy.

Wyglądało na to, że bycie lepszym człowiekiem może się okazać trudniejsze niż się spodziewał.

Złodziej kości

Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła kości.

Długie i krótkie, grube i cienkie, białe, żółte, brązowe. Pokrywały łuszczącą się ścianę od podłogi po sufit. Były ich setki. Poprzybijane w postaci wzorów, jak mozaika szaleńca. Spuściła wzrok. Oczy miała obolałe i lepkie. W umazanym sadzą palenisku migotał języczek ognia. Na kominku powyżej uśmiechały się bezzębne czaszki równo poustawiane w stertach po trzy.

A więc to ludzkie kości. Monza poczuła na skórze lodowaty dreszcz.

Spróbowała usiąść. Niewyraźne uczucie drętwoty zmieniło się w ból, tak nagle, że niemal się porzygała. Mroczne pomieszczenie zawirowało i rozmasało się jej przed oczami. Była mocno przywiązana do czegoś twardego. Jej umysł był pełen błota, nie pamiętała, jak tutaj trafiła.

Obróciła głowę na bok i zobaczyła stół, a na nim metalową tacę. Na tacy leżały starannie poukładane przedmioty. Kleszcze, obcęgi, igły i nożyce. Mała, ale bardzo poważnie wyglądająca pila. Co najmniej tuzin noży różnych kształtów i rozmiarów. Wytrzeszczonymi oczami wpatrywała się w wypolerowane ostrza - zakrzywione, proste, o poszarpanych brzegach okrutnie pyszniących się w blasku kominka. Narzędzia chirurga?

Czy oprawcy?

- Benna? - Jej głos przypominał słaby pisk.

Język, wargi, gardło, nozdrza, wszystko miała podrażnione, jakby obdarte ze skóry. Ponownie próbowała się poruszyć, ale ledwie udało się jej unieść głowę. Nawet tak niewielki wysiłek przeszył jej szyję i ramię bólem, wywołał tępe pulsowanie w

nogach, prawej ręce i żebrach. Razem z bólem pojawiał się strach, a ze strachem ból. Oddychała szybciej, rżąc przez obolały nos.

Trzask, trzask.

Zamarła, czując w uszach ukłucie ciszy. Po chwili rozległo się grzechotanie klucza w zamku. Zaczęła rozpaczliwie się wić, a ból eksplodował w jej każdym stawie i rozrywał mięśnie. Krew pulsowała za oczami, gruby język wciskał się między zęby, by powstrzymać krzyk. Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem, po czym zatrasnęły. Rozległy się kroki na gołych deskach, niemal bezgłośnie, ale i tak przeszywały jej gardło ostrzami lęku. Ponad podłogą wyciągnął się cień - olbrzymi kształt, powykęcany i potworny. Z całej siły starała się zobaczyć coś kątem oka. Mogła tylko czekać na najgorsze.

Do pomieszczenia weszła jakaś postać, minęła ją i zbliżyła się do wysokiego kredensu. Mężczyzna, najwyżej średniego wzrostu, o krótkich jasnych włosach. Zniekształcony cień był sprawką płóciennej torby przerzuconej przez ramię. Nieznajomy nucił coś niemelodyjnie, gdy opróżniał torbę i starannie układał poszczególne przedmioty na półkach, obracając każdy z nich przodem do pomieszczenia.

Jeśli był potworem, to bardzo pospolitym, przywiązującym wagę do szczegółów.

Ostrożnie zamknął drzwi, dwukrotnie złożył pustą torbę i schował ją pod kredensem. Zdjął poplamiony płaszcz, zawiesił go na haku, po czym otarł szybkim ruchem dłoni. Odwrócił się i znieruchomiał. Miał bladą, szczupłą twarz, niezbyt starą, ale naznaczoną głębokimi zmarszczkami, ostre kości policzkowe i jasne głodne oczy tkwiące w sinych oczodołach.

Przez chwilę przyglądali się sobie nawzajem, najwyraźniej oboje równie zaszokowani. Potem na jego bezbarwne usta wypłynął nieprzyjemny uśmiech.

- Obudziłaś się!

- Kim jesteś? - Przerażony szmer dobiegający z wysuszonego gardła.

- Moje imię jest bez znaczenia. - Mówił z lekkim unijnym

akcentem. - Wystarczy, jeśli powiem, że jestem adeptem nauk fizycznych.

- Uzdrowicielem?

- Między innymi. Jak już się pewnie domyśliłaś, interesują mnie głównie kości. Dlatego tak się cieszę, że... do mnie wpadłaś. - Znow się wyszczerzył, ale bardziej przypominało to grymasy czaszek. Jego oczy się nie uśmiechały.

- Jak... - Z trudem zmagala się ze słowami, miała szczękę sztywną jak zardzewiałe zawiasy. Zupełnie jakby usiłowała mówić z gównem w ustach. Zresztą, smak był niewiele lepszy. - Jak się tutaj dostałam?

- Potrzebuję ciał do mojej pracy. Czasami znajduję je tam, gdzie znalazłem ciebie. Ale jeszcze nigdy nie trafił mi się nikt żywy. Wygląda na to, że masz niezwykle szczęście. - Przez chwilę się nad tym zastanawiał. - Oczywiście miałabyś go jeszcze więcej, gdybyś w ogóle nie spadła, ale... skoro już tak się stało...

- Gdzie mój brat? Gdzie Benna?

- Benna?

Wspomnienia napłynęły gwałtowną falą. Krew tryskająca spomiędzy zaciśniętych palców jej brata. Długie ostrze przebijające jego pierś, podczas gdy ona bezradnie patrzyła. Jego twarz umazana czerwienią.

Wydała z siebie skrzekliwy krzyk, szarpnęła się i wykręciła. Ból przeszył jej wszystkie kończyny. Zaczęła jeszcze mocniej się rzucać, targana drgawkami i torsjami, ale była mocno przywiązana. Mężczyzna obserwował tę walkę, a jego twarz, przypominająca woskową maskę, była pusta jak niezapisana strona. W końcu Monza sflaczała. Plując i jęcząc, zmagala się z coraz silniejszym bólem, który chwycił ją jak zaciskające się olbrzymie szczypce.

- Gniew niczego nie rozwiąże.

W odpowiedzi mogła tylko warknąć; urywane oddechy świstały między jej zaciśniętymi zębami.

- Rozumiem, że bardzo cię boli. - Otworzył szufladę kredensu i wyjął długą fajkę oraz miseczkę zaplamioną na czarno. - Radzę

się przyzwyczać, jeśli to możliwe. - Pochylił się i za pomocą szczypiec wyłowił rozżarzony węgielek z paleniska. - Obawiam się, że ból będzie ci już stale towarzyszył.

Przed oczami zamajaczył jej zużyty ustnik. Nie raz widziała palaczy plew, rozciągniętych na ziemi jak trupy, wyschniętych jak bezużyteczne łupiny, nie dbających o nic poza kolejną fajką. Plevy przypominały miłosierdzie. Były przeznaczone dla słabych i tchórzliwych.

Na jego ustach ponownie zagościł uśmiech trupa.

- To ci pomoże.

Wystarczająco silny ból każdego zmieni w tchórza.

Dym palił ją w płuca i wprawiał w drżenie poobijane żebra. Za każdym razem, gdy się krztusiła, czuła ukłucia bólu przenikające ją aż do opuszków palców. Stęknęła, skrzywiła się i ponownie spróbowała walczyć, ale tym razem słabiej. Jeszcze jedno kasznięcie i zwiotczała. Ból złagodniał. Podobnie jak strach i panika. Wszystko powoli się rozplynęło. Stało się miękkie, ciepłe i wygodne. Ktoś nisko i przeciągle jęknął. Może to ona. Poczowała łzę spływającą po policzku.

- Jeszcze?

Tym razem dłużej przytrzymała dym w płucach, po czym powoli wydmuchnęła migoczącą chmurę. Jej oddech coraz bardziej zwalniał, a pulsowanie krwi w głowie uspokoiło się do łagodnego chlupotania.

- Jeszcze? - Jego głos obmywał ją jak fale na plaży.

Kości rozmyły się i lśniły, otoczone obwódkami ciepłego światła. Węgłe w palenisku były drogocennymi klejnotami, które migotały setką barw. Prawie nie czuła bólu, a ta resztką, która pozostała, nie miała znaczenia. Nic nie miało znaczenia. Jej powieki przyjemnie zamrugały, a potem jeszcze przyjemniej się zamknęły. Po ich wewnętrznej stronie tańczyły zmienne mozaiki wzorów. Unosiła się na ciepłym morzu, słodkim jak miód...

- Wróciłaś?

Skupiła wzrok i ujrzała przed sobą jego twarz, obwisłą i białą jak flaga kapitulacji.

- Przyznam, że się martwiłem. Nie spodziewałem się, że się ockniesz, ale skoro już to zrobiłaś, to byłoby szkoda...

- Benna? - Wciąż kręciło się jej w głowie. Stęknęła i spróbowała podeprzeć się na łokciu, ale przeszywający ból przywrócił ją do rzeczywistości i wykrzywił twarz w bezradnym grymasie.

- Wciąż cię boli? Może uda mi się poprawić ci humor. - Zatarł długie dłonie. - Już usunąłem wszystkie szwy.

- Jak długo spałam?

- Kilka godzin.

- A przedtem?

- Nieco ponad dwanaście tygodni.

Popatrzyła na niego tępym wzrokiem.

- Przespałaś jesień, nadejście zimy, a wkrótce nastanie nowy rok. To dobry moment, by zacząć od nowa. To, że w ogóle się obudziłaś, zakrawa na cud. Twoje obrażenia były... no cóż, mniemam, że będziesz zadowolona z mojej pracy. Ja z pewnością jestem.

Wyjął spod ławy zatłuszczoną poduszkę i podłożył jej pod głowę z delikatnością, z jaką rzeźnik obchodzi się z mięsem, popychając jej podbródek, by mogła na siebie popatrzeć. Nie miała innego wyjścia. Pod szorstkim szarym kocem zobaczyła nierówny zarys swojego ciała przypiętego trzema skórzanymi pasami na wysokości piersi, bioder i kostek.

- Pasy są dla twojego bezpieczeństwa, żebyś nie sturlała się z ławy podczas snu. - Zachichotał. - Nie chcielibyśmy, żebyś coś sobie złamała, prawda? Ha... ha! Tego byśmy nie chcieli. - Odpiął ostatni z pasów, po czym chwycił koc kciukiem i palcem wskazującym.

Monza patrzyła w dół, rozpaczliwie pragnąc zarazem wiedzieć i nie wiedzieć.

Zamaszystym ruchem zabrał koc, jak artysta odsłaniający swoje największe dzieło.

Z trudem rozpoznała własne ciało, nagie, wychudzone i wysuszone jak u żebraczki. Błada skóra mocno opinająca brzydkie gałki kości była upstrzona olbrzymimi czarnymi, brązowymi, fioletowymi i żółtymi wykwitami sińców. Monza z niedowierzaniem wodziła wzrokiem po własnej zrujnowanej sylwetce, coraz bardziej wytrzeszczając oczy. Jej skórę przecinały ciemnoczerwone zaognione kreski otoczone wybrzuszonym różowym ciałem i dziurkami po usuniętych szwach. Cztery podążały za łukiem jej zapadniętych żeber na jednym boku. Kolejne znaczyły biodra, nogi, prawą rękę i lewą stopę.

Zaczęła dygotać. Ta pocięta padlina nie może być jej ciałem. Powietrze syczało pomiędzy jej szczękającymi zębami, a poplamiona i pomarszczona klatka piersiowa unosiła się rytmicznie.

- Eee... - stęknęła. - Eee...

- Wiem! Robi wrażenie, co? - Pochylił się nad nią, podążając szybkimi ruchami dłoni wzdłuż drabinki czerwonych śladów na jej piersi. - Żebra i mostek były strzaskane. Musiałem wykonać nacięcia, żeby je naprawić i zoperować płuco. Staralem się ograniczyć cięcie do minimum, ale sama widzisz, że uszkodzenia...

- Eee...

- Jestem szczególnie zadowolony z lewego biodra. - Wskazał karmazynowy zygzak biegnący od krawędzi jej zapadniętego brzucha do wewnętrznej strony wymizerowanej nogi, po obu stronach otoczony szeregiem czerwonych kropek. - Kość udowa, niestety, zapadła się w sobie. - Mlasnął językiem i wsunął palec w zaciśniętą pięść. - Przez to noga nieco się skróciła, ale łut szczęścia sprawił, że złamałaś piszczel drugiej nogi, więc mogłem usunąć kawałeczek kości, by zlikwidować różnicę. - Zmarszczył brwi, łącząc jej kolana, po czym popatrzył, jak się rozsuwają, a stopy bezwładnie opadają na boki. - Jedno kolano jest trochę wyżej od drugiego i nie będziesz już tak wysoka, ale, biorąc pod uwagę...

- Eee...

- Gotowe. - Wyszczerył się, delikatnie ściskając jej pomarszczone nogi, od szczytów ud aż po gruzłowate kostki.

Monza patrzyła, jak jej dotyka, niczym kucharz ugniatający oskubanego kurczaka, ale prawie nic nie czuła.

- Wszystko gotowe, śruby usunięte. To prawdziwy cud, możesz mi wierzyć. Gdyby niedowiarkowie z akademii mogli cię teraz zobaczyć, przestaliby się śmiać. Nawet mój dawny mistrz, gdyby cię zobaczył...

- Eee...

Powoli uniosła prawą dłoń. A raczej jej drżącą namiastkę, która żałośnie zwisała na końcu ręki, powyginana, skurczona i przecięta rozległą, brzydką blizną w miejscu, w którym struna Gobby zagłębiła się w ciele. Palce były pokrzywione jak korzenie drzewa i ściśnięte razem, a mały palec sterczał pod dziwacznym kątem. Z sykiem wciągnęła powietrze, gdy próbowała złożyć dłoń w pięść. Palce ledwie się poruszyły, ale rękę przeszył ostry ból, a w gardle Monza poczuła piekącą żółć.

- Zrobiłem, co mogłem. Sama rozumiesz, drobne kości, bardzo uszkodzone, pozrywane ścięgna małego palca. - Jej gospodarz wydawał się rozczarowany. - Oczywiście, to dla ciebie szok. Ślady zbledną... częściowo. Ale tak naprawdę, zważywszy na wysokość upadku... no cóż... proszę. - Podsunął jej ustnik fajki, a Monza łapczywie zaciągnęła się dymem. Chwyciła drewno zębami, jakby stanowiło jej jedyną nadzieję. Tak było.

Oderwał mały kawałek z rogu bochenka, taki, jaki rzuca się ptakom. Monza patrzyła, jak to robi, a jej usta wypełniały się gorzką śliną. Głód czy choroba, nie było istotnej różnicy. Bezmyślnie wzięła chleb, z trudem uniosła go do ust drżącą lewą ręką, po czym wepchnęła między zęby i do gardła.

Zupełnie jakby połykała tłuczone szkło.

- Powoli - szepnął - bardzo powoli, od czasu upadku nie miałaś w ustach niczego poza mlekiem i wodą z cukrem.

Chleb uwiązał jej w gardle i dostała torsji, a mięśnie brzucha zacisnęły się wokół rany od noża, którą zadał jej Wierny.

- Proszę. - Podtrzymał jej czaszkę prawą ręką, delikatnie, ale stanowczo, po czym uniósł głowę Monzy i przystawił do ust butelkę z wodą. Przełknęła, potem jeszcze raz. Zerknęła na jego palce. Z boku głowy poczuła nieznajome zgrubienia. - Musiałem usunąć kilka kawałków czaszki. Zastąpiłem je monetami.

- Monetami?

- Wolałabyś, żebym zostawił twój mózg na wierzchu? Złoto nie rdzewieje. Złoto nie gnije. Oczywiście, to kosztowna terapia, ale gdybyś umarła, zawsze mógłbym odzyskać swój wkład, a skoro przeżyłaś, no cóż... Uznaję to za dobrą inwestycję. Będziesz miała nierówną czaszkę, ale potem odrosną ci włosy. Masz takie piękne włosy. Czarne jak północ.

Delikatnie opuścił jej głowę z powrotem na ławkę i jeszcze przez chwilę nie zabierał dłoni. Lekki dotyk. Niemal pieśczość.

- Na co dzień jestem małomównym człowiekiem. Pewnie zbyt wiele czasu spędzam samotnie. - Posłał jej trupi uśmiech. - Ale odkryłem, że ty... wydobywasz ze mnie to co najlepsze. Taka sama jest matka moich dzieci. W pewien sposób mi ją przypominasz.

Monza odpowiedziała półuśmiechem, ale jednocześnie poczuła odrazę, zmieszaną z niezdrowym uczuciem, które ostatnio tak często ją nawiedzało. Z obezwładniającą potrzebą.

Przełknęła.

- Czy mogłabym...

- Oczywiście. - Szybko podał jej fajkę.

- Zaciśnij.

- Nie chce się zacisnąć! - syknęła. Tylko trzy z jej palców się zgięły, mały wciąż sterczał wyprostowany, w stopniu, w jakim było to możliwe. Przypomniała sobie, jak delikatne, pewne i szybkie były niegdyś jej dłonie, a frustracja i wściekłość zapiekły ją mocniej od bólu. - Nie chcą się zacisnąć!

- Leżysz tutaj od tygodni. Nie po to poskładałem cię do kupy,

żebyś beczynn timer paliła plewy. Próbuj dalej!

- A może ty chcesz, kurwa, spróbować?

- Jak sobie życzysz. - Mocno objął jej dłoń i z chrzęstem zacisnął powyginane palce w pięść.

Monza wybałuszyła oczy, a jej świszczący oddech tak przyśpieszył, że nie była w stanie nawet krzyczeć.

- Obawiam się, że nie rozumiesz, jak bardzo ci pomagam. - Ścisnął jej dłoń coraz mocniej. - Nie da się wzrastać bez bólu. Nie da się bez niego czynić postępów. Cierpienie motywuje nas do wielkich osiągnięć.

Palcami zdrowej dłoni Monza bezskutecznie szarpała i drapała jego pięść.

- Miłość to wygodna poduszka, na której można odpocząć, ale tylko nienawiść uczyni cię lepszym człowiekiem. Proszę.

Puścił jej rękę, a Monza z jękiem opadła na posłanie, patrząc, jak jej drżące palce, naznaczone fioletowymi bliznami, stopniowo się rozwierają. Chciała go zabić. Chciała wyrzesczeć mu w twarz każde znane przekleństwo. Ale za bardzo go potrzebowała. Dlatego ugryzła się w język, załkała, westchnęła, zacisnęła zęby i uderzyła tyłem głowy o ławkę.

- A teraz zaciśnij dłoń.

Popatrzyła na jego twarz, pustą jak świeżo wykopany grób.

- Szybko, bo będę to musiał zrobić za ciebie.

Warknęła z wysiłku, ręka zapulsowała bólem aż po ramię. Palce powoli się zacisnęły, tylko mały pozostał wyprostowany.

- Proszę bardzo, ty skurwielu! - Potrząsnęła mu pod nosem odrętwiałą, gruzłowatą, powykręcaną pięścią. - Proszę bardzo!

- Było tak ciężko? - Podsunął jej fajkę, a ona wyrwała mu ją z ręki. - Nie musisz mi dziękować.

- Sprawdzimy, czy dasz radę...

Pisnęła, gdy ugięły się pod nią kolana. Upadłaby, gdyby jej nie złapał.

- Wciąż nie? - Zmarszczył brwi. - Powinnaś być w stanie chodzić. Kości się zrosły. Oczywiście będzie bolało, ale... może został kawałek w jednym ze stawów. Gdzie cię boli?

- Wszędzie! - odburknęła.

- Wierzę, że nie chodzi jedynie o twój upór. Nie chciałbym niepotrzebnie otwierać ran na twoich nogach. - Podłożył zgiętą rękę pod jej kolana i bez wysiłku zaniósł ją z powrotem na ławkę. - Muszę na chwilę wyjść.

Chwyciła go kurczowo.

- Niedługo wrócisz?

- Bardzo niedługo.

Jego kroki umilkły na korytarzu. Usłyszała trzask zamykanych drzwi i drapanie klucza w zamku.

- Pieprzony sukinsyn. - Spuściła nogi z ławki. Skrzywiła się, dotknąwszy stopami posadzki, odsłoniła zęby, gdy się wyprostowała, i warknęła cicho, puszczają się ławki i stając na własnych nogach.

Bolało jak zaraza, ale było cudownie.

Wzięła głęboki oddech, zebrała siły i zaczęła chwiejnie człapać w stronę przeciwległego końca pomieszczenia, czując ukłucia bólu w kostkach, kolanach, biodrach, plecach i rękach, które rozłożyła, by łapać równowagę. Dotarła do kredensu i przytrzymała się jego narożnika, po czym wysunęła szufladę. W środku leżała fajka, a obok niej stał słoik z pękatego zielonego szkła, na którego dnie spoczywało trochę czarnych grudek plew. Tak bardzo ich pragnęła. Czuła suchość w ustach, dłonie miała lepkie od chorobliwej potrzeby. Zatrzasnęła szufladę i pokuśtykała z powrotem na ławkę. Wciąż przy każdym ruchu przeszywały ją lodowate ukłucia bólu, ale z każdym dniem stawała się silniejsza. Wkrótce będzie gotowa. Ale jeszcze nie teraz.

„Cierpliwość jest matką sukcesu”, napisał Stolicus.

W poprzek pokoju i z powrotem, warcząc z zaciśniętymi zębami. W poprzek pokoju i z powrotem, chwiejąc się i krzywiąc. W poprzek pokoju i z powrotem, jęcząc, dygocząc, plując. Oparła się o ławkę, by złapać oddech.

W poprzek pokoju i z powrotem.

Lustro miało pęknięcie na środku, ale żałowała, że nie jest bardziej strzaskane.

„Twoje włosy są jak zasłona północy!”.

Ogolone po lewej stronie głowy, odrosły w postaci zaskorupionej szczeciny. Reszta zwisała rzadkimi pasmami, splątanymi i tłustymi jak stare wodorosty.

„Twoje oczy jaśniejają przesywajaco niczym bezcenne szafiry!”.

Żółte i przekrwione, posklejane rzęsy zbite w pęczki, zaczerwienione powieki i fioletowo-czarne zbolące oczodoły.

„Usta jak płatki róży?”.

Popękane, spierzchnięte, pokryte łuszczącą się szarą skórą i żółtym śluzem zebrany w kącikach. Na zapadniętym policzku widniały trzy długie strupy, brązowe i zaognione na tle białej woskowatej skóry.

„Wyglądasz wyjątkowo pięknie tego ranka, Monzo...”.

Po obu stronach szyi wyschnięte wiązki białych pasków, pozostałość po czerwonych bliznach, którymi naznaczyła ją struna Monzy. Wyglądała jak kobieta zabita przez zarazę, niewiele lepiej od czaszek spiętrzonych na kominku.

Za lustrem zobaczyła uśmiechniętego gospodarza.

- A nie mówiłem, że dobrze wyglądasz?

„Bogini Wojny we własnej osobie!”.

- Wyglądam jak pieprzony karnawałowy dziwoląg! - odparła z szyderym uśmiechem, który odwzajemniła poharatana wiedźma w lustrze.

- Lepiej niż wtedy, gdy cię znalazłem. Powinnaś się nauczyć patrzeć na to wszystko z większym optymizmem. - Przewrócił lustro, wstał i włożył płaszcz. - Na razie muszę cię opuścić, ale wrócę, jak zawsze. Ćwicz dalej dłoń, ale oszczędzaj siły. Później będę musiał rozciąć twoje nogi i ustalić, dlaczego masz

trudności ze staniem.

Zmusiła się do niezdrowego uśmiechu.

- Tak, rozumiem.

- Dobrze. A więc do zobaczenia wkrótce. - Zarzucił na ramię płócienną torbę. Zaskrzypiała podłoga na korytarzu, szczęknął zamek. Monza powoli policzyła do dziesięciu.

Wstała z ławki i chwyciła nóż oraz dwie igły leżące na tacy. Pokuśtykała do komody, zamaszystym ruchem otworzyła szufladę, po czym wepchnęła fajkę i słoik do kieszeni pożyczonych spodni, które zwisały jej z bioder. Chwiejnie ruszyła korytarzem; deski skrzypiały pod jej bosymi stopami. Weszła do sypialni i ze skrzywioną miną wyłowiła stare buty spod łóżka, po czym włożyła je, stękając.

Znów wyszła na korytarz, rżąc z wysiłku, bólu i strachu. Uklękła przed drzwiami wejściowymi, a raczej stopniowo się obniżyła, aż jej trzeszczące i rozognione kolana dotknęły podłogi. Już dawno nie próbowała otworzyć zamka. Przez chwilę grzebała w nim igłami trzymanymi w drżącej powykrcanej dłoni.

- Obróć się, ty draniu. No, obróć się.

Na szczęście, zamek nie był zbyt wyszukany. Zapadki przekręciły się z miłym dla ucha trzaskiem. Chwyciła gałkę i otworzyła drzwi na oścież.

Noc, i to nieprzyjazna. Zimny deszcz chłostał zarośnięte podwórze, śmierdzące chwasty oświetlone delikatnym blaskiem księżyca, rozpadające się ściany śliskie od wilgoci. Za pochylonym płotem rosły bezlistne drzewa, a ciemność zbierała się pod ich konarami. Ciężka noc dla kaleki. Jednakże chłodny wiatr siekący ją po twarzy oraz smak czystego powietrza sprawiły, że znów poczuła się żywa. Lepiej zamarznąć wolną niż spędzić choćby chwilę dłużej pośród kości. Wyszła na deszcz i, kuśtykając, przeszła przez ogródek, zaczepiając nogami o pokrzywy. Zagłębiła się między lśniące pnie drzew, po czym zeszła ze szlaku, nie oglądając się za siebie.

Nisko pochylona brnęła w górę długiego zbocza, chwytając się błotnistej ziemi zdrową ręką i podciągając. Stękała przy

każdym niepewnym kroku, każdy miesiąc na nią wrzeszczał. Krople czarnego deszczu skapywały z czarnych gałęzi, bębniły o opadłe liście, pełzły przez jej włosy, przyklejając je do twarzy, przenikały skradzione ubranie, które przywierało do obolałej skóry.

- Jeszcze jeden krok.

Musi się oddalić od ławki, noży i tamtej obwisłej, białej, pustej twarzy. A także drugiej twarzy - w lustrze.

- Jeszcze jeden krok... jeszcze jeden... jeszcze jeden.

Czarna ziemia przesuwała się pod jej stopami, a dłoń Monzy wodziła po mokrym błocie i korzeniach. Tak jak kiedyś dawno, gdy podążała za swoim ojcem pchającym pług, szukając kamieni w spulchnionej glebie.

„Cóż bym bez ciebie uczynił?”

Kłęczała w zimnym lesie obok Coski, czekając na zasadzkę. Jej nozdrza wypełniała wilgotna, rześka woń drzew, a serce drżało pod wpływem lęku i podniecenia.

„Masz w sobie diabła”.

Myślała o wszystkim, co mogło jej pomóc iść dalej, a wspomnienia mknęły przed jej niezdarnymi stopami.

„Wyrzucicie ją z tarasu i po kłopotcie”.

Zatrzymała się zgięta w pół, dygocząc i wypuszczając parujące oddechy w mokrą noc. Nie miała pojęcia, jak daleko dotarła, skąd wyruszyła, dokąd zmierza. W tej chwili nie miało to większego znaczenia.

Oparła się plecami o śliski pień, podważyła klamrę pasa zdrową dłonią i pchnęła ją krawędzią drugiej. Minęły wieki, zanim zdołała odpiąć to świństwo, zgrzytając przy tym zębami. Przynajmniej nie musiała zdejmować spodni, same zsunęły się z jej kościstego tyłka i poranionych nóg. Przez chwilę zastanawiała się, jak je podciągnie.

„Jedna bitwa na raz”, pisał Stolicus.

Chwyciła niską gałąź śliską od deszczu i kucnęła pod nią, zginając drżące obnażone kolana, prawą dłonią przytrzymując mokrą koszulę.

- No, dalej - syknęła, próbując opróżnić zaciśnięty pęcherz. -

Skoro musisz, to po prostu to zrób. Po prostu zrób...

Stęknęła z ulgą, gdy szczyny opryskały błoto razem z deszczem i ściekły po zboczu. Prawa noga bolała ją bardziej niż kiedykolwiek, zmęczone mięśnie drżały. Skrzywiła się, próbując przesunąć dłoń wzdłuż gałęzi, by przenieść ciężar ciała na drugą nogę. Nagle jej jedna stopa poślizgnęła się na błocie i Monza przewróciła się na plecy, gwałtownie łapiąc powietrze, a wszystkie myśli wyparło otumaniające wspomnienie upadku. Ugryzła się w język, gdy uderzyła głową o ziemię, zjechała o jeden albo dwa kroki, po czym zatrzymała się w mokrym zagłębieniu pełnym gnijących liści. Leżała na deszczu, z kostkami zaplątanymi w spodnie, i płakała.

Osiągnęła dno, nie miała co do tego wątpliwości.

Ryczała jak dziecko. Bezsilna, zniechęcona, zrozpaczona. Ataki szlochu wstrząsały nią, dławily, targały zniekształconym ciałem. Nie pamiętała, kiedy ostatnio płakała. Może nigdy. Benna płakał za nich oboje. Teraz cały ból i strach nagromadzony przez tuzin czarnych lat wypływał z jej poharatanej twarzy. Leżała w błocie i zadręczała się wszystkim, co utraciła.

Benna nie żył, a razem z nim umarło w niej wszystko co dobre. To, jak się nawzajem rozśmieszali. Porozumienie, które wynika ze wspólnego życia. Był jej domem, rodziną, przyjacielem i czymś więcej, a teraz to wszystko zostało zabite. Zgaszone lekkomyślnie jak tania świeczka. Jej dłoń była zrujnowana. Przyciskała do piersi jej obolałą, kpiącą resztkę. Kiedyś dobywała nią szpady, pisała piórem, witała się mocnym uściskiem, lecz to wszystko zmiażdżył but Gobby. Kiedyś chodziła, biegała, jeździła konno, lecz to wszystko rozsypało się na górskim zboczu pod balkonem księcia Orso. Jej miejsce na świecie, o które trudziła się i walczyła, które kosztowało ją dziesięć lat pracy w pocie i krwi, rozwiało się jak dym. Wszystko, do czego dążyła, na co liczyła, o czym marzyła.

Umarło.

Podciągnęła pas razem z martwymi liśćmi i niezdarnie go zapięła. Jeszcze kilka razy zaszlochała, po czym wysmarkała

nos na ziemię i otarła go zimną dłonią. Jej dawne życie zniknęło. Kobieta, którą była, odeszła. Tego, co zniszczyli, nie da się naprawić.

Nie ma sensu nad tym rozpaczać.

W milczeniu klęczała w błocie, dygocząc w ciemności. Te rzeczy nie zniknęły tak po prostu, ale zostały jej odebrane. Jej brat nie umarł przypadkiem, tylko został zamordowany. Zaszlachtowany jak zwierzę. Zmusiła się do zaciśnięcia powykręcanych palców w drżącą pięść.

- Zabiję ich.

Przywołała w myślach ich twarze, jedną po drugiej. Gobba, tłusty wieprz czający się w cieniu. „Szkoda, żeby takie ładne ciało się zmarnowało”. Jej twarz drgnęła, gdy zobaczyła, jak depta jej dłoń, i poczuła, jak pękają kości. Mauthis, bankier o zimnych oczach wpatrujący się w zwłoki jej brata. Niezadowolony z całego zamieszania. Wierny Carpi. Człowiek, który rok w rok wędrował, jadł i walczył u jej boku. „Naprawdę bardzo mi przykro”. Zobaczyła, jak jego ręka się cofa, gotowa ją przebić, wymacała drażniącą ranę na boku, nacisnęła ją przez mokrą koszulę, po czym zagłębiła w niej palce, aż poczuła palący ból.

- Zabiję ich.

Ganmark. Ujrzała jego miękką, zmęczoną twarz. Drgnęła, gdy jego ostrze przebiło ciało Benny. „Załatwione”. Książę Ario, rozparty w fotelu, z kielichem wina zwisającym z dłoni. Jego nóż rozciął szyję Benny, bulgocząca krew trysnęła pomiędzy palców. Przywoływała każdy szczegół, każde wypowiedziane słowo. Także przez Foscara. „Nie będę w tym uczestniczył!”. Ale to niczego nie zmieniało.

- Zabiję ich wszystkich.

I wreszcie Orso. Orso, dla którego walczyła, trudziła się, zabijała. Wielki książę Orso, władca Talinsu, który zwrócił się przeciwko nim na podstawie plotki. Zamordował jej brata, zostawił ją złamaną i bezużyteczną. Ponieważ bał się, że zajmą jego miejsce. Tak mocno zaciskała zęby, że rozbolała ją szczęka. Poczowała jego ojcowską dłoń na ramieniu i po plecach przebiegły

jej ciarki. Zobaczyła jego uśmiech, usłyszała głos odbijający się echem w jej pulsującej bólem czaszce.

„Cóż bym bez ciebie zrobił?”

Siedmiu ludzi.

Podźwignęła się, zagryzając obolałe wargi, po czym ruszyła chwiejnym krokiem przez mroczny las. Woda skapywała z jej przemoczonych włosów i ściekała po twarzy. Ból przenikał nogi, boki, dłoń, czaszkę, ale zacisnęła zęby i zmusiła się do marszu.

- Zabiję ich... zabiję ich... zabiję ich...

Nawet nie musiała tego mówić. Miała już dosyć płaczu.

Stary szlak był zarośnięty, niemal nierozpoznawalny. Gałęzie tłukły obolałe ciało Monzy. Cierniste krzaki szarpały jej piekące nogi. Przeczłgała się przez lukę w gęstej roślinności i z powagą przyjrzała miejscu, w którym przyszła na świat. Żałowała, że kiedyś nie udało jej się sprawić, by uparta ziemia wydała plon równie bujny jak rosnące tu teraz cierniste zarośla i pokrzywy. Górne pole zmieniło się w martwy ugór; dolne zarosły kolczaste krzewy. Pozostałości surowego wiejskiego domku spoglądały na nią smutno ze skraju lasu; ona także posłała im ponure spojrzenie.

Wyglądało na to, że czas obszedł się z nimi równie brutalnie.

Kucnęła, zgrzytając zębami, gdy nadwerężone mięśnie napięły się wokół powykrzywianych kości, i zasłuchała się w odgłosy kilku ptaków kraczących na zachodzące słońce, patrząc, jak wiatr porusza dzikimi trawami i targa pokrzywy. Dopiero gdy się upewniła, że miejsce jest tak opuszczone, na jakie wygląda, delikatnie rozruszała pokiereszowane nogi i pokuśtykała w stronę budynków. Z domu, w którym zmarł jej ojciec, pozostała zavalona skorupa oraz jedna czy dwie przegniłe belki. Wydawał się tak mały, że nie mogła uwierzyć, że kiedyś mieszkała w nim razem z ojcem i Benną. Odwróciła

głowę i splunęła na suchą ziemię. Nie przyszła tutaj po to, by przywoływać słodko-gorzkie wspomnienia.

Przyszła po zemstę.

Łopata leżała w tym samym miejscu, w którym zostawiła ją przed dwoma laty, koncha wciąż lśniła pod śmieciem w kącie pozbawionej dachu stodoły. Trzydzieści kroków w głąb lasu. Trudno było sobie wyobrazić, że dawniej stawiała je ze swobodą i lekkością; teraz ciężko brnęła przez chwasty, wlokąc za sobą łopatę. Zagłębiała się w cichym lesie, krzywiąc się przy każdym kroku, a połamane wzory słonecznego blasku tańczyły na opadłych liściach wraz z zapadaniem wieczoru.

Trzydzieści kroków. Wykarczowała kolczaste zarośla krawędzią łopaty, z trudem odsunęła przegniły powalony pień i zaczęła kopać. Nie byłoby to łatwe zadanie, nawet gdyby miała do dyspozycji obie dłonie i nogi. W jej obecnym stanie czekała ją ciężka przeprawa pełna jęków, potu i zgrzytania zębów. Jednakże Monza nigdy się nie poddawała, niezależnie od kosztów. „Masz w sobie diabła” - mawiał Cosca i miał rację. Zresztą boleśnie się o tym przekonał.

Zapadała noc, gdy Monza wreszcie usłyszała głucho uderzenie metalu o drewno. Odgarnęła resztkę ziemi i połamanymi paznokciami wygrzebała z piachu żelazny pierścień. Gdy napięła mięśnie, z jej ust wydobyło się warczenie. Lodowate ukradzione ubranie przywarło do pokrytej bliznami skóry. Właz otworzył się z metalicznym piskiem. W ziemi ział czarny otwór, w głąb którego prowadziła drabina, niemal niewidoczna w ciemności.

Zeszła po drabinie, przeraźliwie wolno, ponieważ nie miała zamiaru jeszcze bardziej się połamać. W mroku wymacała półkę; przez chwilę mocowała się z krzemieniem żalostną namiastką dłoni, aż wreszcie udało się jej zapalić lampę. Słaby blask płomienia oświetlił sklepioną piwnicę i załśnił na metalowych krawędziach zabezpieczeń, które pozostawił Benna.

Zawsze lubił planować z wyprzedzeniem.

Klucze zwisały z rzędu zardzewiałych haków. Klucze do

pustych budynków rozsianych po całej Styrii. Do kryjówek. Półka biegnąca wzdłuż lewej ściany była najeżona ostrzami, długimi i krótkimi. Monza otworzyła stojącą obok skrzynię. Ubrania, starannie poskładane, nieużywane. Wątpiła, by teraz pasowały na jej wyniszczone ciało. Dotknęła jednej z koszul Benny, przypominając sobie, jak wybierał jedwab, z którego ją uszyto, i w świetle lampy zobaczyła własną prawą dłoń. Chwyła parę rękawiczek, jedną wyrzuciła, a drugą włożyła na zmasakrowaną kończynę, krzywiąc się podczas dopasowywania palców. Mały palec wciąż uparcie sterczał.

W głębi piwnicy piętrzyła się sarta dwudziestu drewnianych skrzyń. Zbliżyła się chwiejnie do pierwszej z nich i zepchnęła wieko. Zalśniło złoto Hermona. Góry monet. W tej jednej skrzyni znajdowała się mała fortuna. Delikatnie dotknęła opuszkami palców boku swojej czaszki, wymacała krawędzie monet. Złoto. Można je wykorzystać na znacznie więcej sposobów poza poskładaniem głowy do kupy.

Zanurzyła dłoń w monetach i patrzyła, jak przesypują się jej między palcami. Trudno się przed tym powstrzymać w obliczu całej skrzyni pieniędzy. To będzie jej broń. A także...

Powiodła dłonią w rękawicze po ostrzach na półce, a następnie sięgnęła po jedno z nich. Długa szpada z solidnej szarej stali. Nie była kunsztownie zdobiona, ale Monza i tak dostrzegła w niej groźne piękno. Piękno przedmiotu idealnie spełniającego swoją funkcję. To była szpada od Calveza, wykuta przez najlepszego fachowca w Styrii. Podarowała ją Bennie, chociaż nie potrafił odróżnić dobrego ostrza od marchewki. Nosił ją przez tydzień, po czym zastąpił jakimś absurdalnie drogim żelastwem z idiotycznym pozłacanym koszem.

To właśnie jego usiłował dobyć, gdy go zabito.

Zacisnęła palce wokół zimnej rękojeści, nieprzyzwyczajona do używania lewej dłoni, po czym wysunęła ostrze z pochwy na kilka cali. Zalśniło jasno i chętnie w blasku lampy. Dobra stal zgina się, ale nigdy nie łamie. Dobra stal zawsze jest ostra i gotowa. Dobra stal nie czuje bólu, żalu, a przede wszystkim wyrzutów sumienia.

Poczuła, że się uśmiecha. Po raz pierwszy od miesiący. Po raz pierwszy odkąd struna Gobby z sykiem zacisnęła się wokół jej szyi.

A zatem zemsta.

Ryba wyciągnięta z wody

Zimny wiatr nadciągał od strony morza, mocno uderzając w nabrzeże Talinsu. Nie było to przyjemne dla kogoś, kto nie miał grubego ubrania, a Dreszcz zdecydowanie należał do takich osób. Mocno owinął ramiona cienkim płaszczem, ale niepotrzebnie się kłopotał, nic to bowiem nie dało. Żałośnie zmrużył oczy pod wpływem kolejnego podmuchu. Dziś zasłużył na swoje miano. Nie pierwszy raz w ciągu ostatnich tygodni.

Pamiętał, jak grzał się przy ogniu na Północy w wygodnym domu w Uffrith, z brzuchem pełnym mięsa i głową pełną marzeń, rozmawiając z Vossulą o cudownym mieście Talins. Wspominał to z pewną goryczą, gdyż to właśnie przekłety kupiec o wilgotnych oczach, który snuł słodkie opowieści o swojej ojczyźnie, namówił go na koszmarną wycieczkę do Styrii.

Vossula powiedział mu, że w Talinsie zawsze świeci słońce. Właśnie dlatego Dreszcz przed wyjazdem sprzedał gruby płaszcz. Przecież nie chciał się spocić, prawda? Gdy teraz drżał jak zwinięty jesienny liść ledwie trzymający się gałęzi, odnosił wrażenie, że Vossula nieco rozminął się z prawdą.

Dreszcz patrzył, jak niespokojne fale gryzą molo, obryzgując lodowatą mgiełką kilka gnijących skifów, które trzęsły się przy gnijącym nabrzeżu. Słuchał trzeszczenia lin okrętowych, skrzeczenia chorych morskich ptaków, grzechotania niedomkniętych okiennic poruszanych wiatrem, stękania i pomrukiwania otaczających go mężczyzn. Wszyscy oni kręcili się po nabrzeżu, wypatrując jakiegokolwiek pracy. Trudno wyobrazić sobie bardziej żalosne zgromadzenie. Brudni i wychudzeni, ubrani w poszarpane szmaty, o pokurczonych

twarzach. Desperaci, tacy jak Dreszcz. Tylko że oni się tutaj urodzili, a on był na tyle głupi, by samemu wybrać taki los.

Ostrożnie wydobył z wewnętrznej kieszeni ostatni twardy kawałek chleba, jak skąpiec oglądający swój skarb, po czym odgryzł mały kęs z jednego końca, starając się smakować każdy okruch. Nagle zauważył, że człowiek stojący tuż obok patrzy na niego i oblizuje blade usta. Dreszczowi opadły ramiona. Odłamał kawałek chleba i podał go mężczyźnie.

- Dziękuję, przyjacielu - powiedział nieznajomy, pochłaniając jedzenie.

- To żaden kłopot - odrzekł Dreszcz, chociaż kłopot był spory, bo, żeby zarobić na chleb, przez kilka godzin rąbał drewno. Teraz pozostali także wpatrywali się w niego dużymi smutnymi oczami, jak szczeniaki proszące o nakarmienie. Poirytowany wyrzucił ręce w górę. - Gdybym miał dosyć chleba dla wszystkich, tobym tu, kurwa, nie stał!

Odwrócili się od niego, mrużąc coś pod nosem. Zacharczał i wypluł zimną flegmę. Nie licząc odrobiny czerstwego chleba, było to jedyne, co tego ranka miał w ustach, ale zmierzało w niewłaściwym kierunku. Przybył z kieszeniami pełnymi srebra, obliczem pełnym uśmiechu i sercem pełnym radosnej nadziei. Po dziesięciu tygodniach spędzonych w Styrii pozostały mu tylko żalosalne resztki.

Vossula opowiadał, że mieszkańcy Talinsu są łagodni jak baranki i przyjaźnie nastawieni do gości. Dreszcz napotkał tylko pogardę i ludzi w każdej chwili gotowych pozbawić go topniejących oszczędności za pomocą przegniłego kija. Tutaj nikt nie rozdawał za darmo drugich szans. Podobnie jak na Północy.

W porcie właśnie cumował statek rybacki. Marynarze kręcili się wokół jednostki, ciągnąc liny i przeklinając żagle. Dreszcz zauważył, że zdesperowani ludzie na nabrzeżu ożywili się, licząc, że dla kogoś znajdzie się praca. Sam również poczuł delikatny płomyk nadziei, mimo że starał się go stłumić. Wspiął się na palce, by lepiej widzieć.

Srebrzyste ryby wyslizgiwały się z sieci na nabrzeże, wijąc

się w kałużach rozświetlanych słońcem. Rybactwo to dobry, uczciwy fach. Życie na morzu, gdzie nikt się nie kłóci, a wszyscy ramie w ramie walczą przeciwko wiatrowi, wyrывая odmętom ich lśniący skarb i tak dalej. Szlachetny fach, a przynajmniej tak sobie wmawiał Dreszcz, pomimo smrodu. Każdy fach, którym mógłby się zająć, wydawał mu się szlachetny.

Z łodzi zeskoczył mężczyzna, ogorzały jak stary słup w bramie, i dumnym krokiem podszedł do żebraków, którzy przepychali się, żeby tylko ich zauważył. Kapitan, odgadł Dreszcz.

- Potrzebuję dwóch pomocników - rzucił, zsuwając z czoła podniszczoną czapkę i przyglądając się obliczom pełnym nadziei. - Ty i ty.

Dreszcz nie zdziwił się, że nie został wybrany. Spuścił głowę jak pozostali i patrzył, jak dwóch szczęściarzy szybko zmierza w kierunku łodzi w ślad za kapitanem. Jednym z nich był drań, którego poczęstował chlebem. Nawet się nie obejrzał ani nie wstawił za nim dobrym słowem. Może człowieka rzeczywiście poznaje się po tym, co daje, a nie po tym, co bierze, jak mawiał brat Dreszcza, ale branie bywa przydatne, gdy próbuje się nie umrzeć z głodu.

- Srać na to.

Ruszył za nimi, przepychając się między rybakami ładującymi podskakującą zdobycz do wiader i na wózki. Przywoławszy na usta najbardziej przyjazny uśmiech, na jaki było go stać, podszedł do kapitana krzątającego się po pokładzie.

- Ładna łódź! - zawołał, chociaż widział, że to wyjątkowo główniana łajba.

- No i co?

- Może przyjmiecie mnie na pokład?

- Ciebie? A co ty wiesz o rybach?

Dreszcz biegle posługiwał się toporem, szpadą, włócznią i tarczą. Był Imiennym, który na Północy nieraz prowadził szarżę albo utrzymywał linie frontu. Odniósł kilka poważnych ran i

zadał wiele jeszcze poważniejszych, ale koniecznie chciał osiągnąć coś więcej i trzymał się tej myśli rozpaczliwie jak tonący kawałek drewna.

- Jako chłopak często łowiłem ryby. Nad jeziorem, razem z ojcem. - Kamyki chrzęściły mu pod bosymi stopami. Światło lśniło na powierzchni wody. Ojciec i brat się uśmiechali.

Jednak kapitan nie poddał się nostalgii.

- Nad jeziorem? My łowimy na morzu, chłopcze.

- Muszę przyznać, że nie mam w tym doświadczenia.

- To po co marnujesz mój czas? Mogę bez trudu znaleźć mnóstwo styryjskich rybaków, najlepszych pomocników z tuzinem lat doświadczenia na morzu. - Machnął ręką w stronę mężczyzn na nabrzeżu, którzy wyglądali raczej, jakby spędzili tuzin lat w kuflu z piwem. - Po co miałbym przyjmować jakiegoś żebraka z Północy?

- Będę ciężko pracował. Miałem w życiu trochę pecha i proszę jedynie o szansę.

- Jak my wszyscy, ale nie wiem, dlaczego właśnie ja miałbym ci ją dać.

- Tylko jedną szansę...

- Wynoś się z mojej łodzi, bladokóry draniu! - Kapitan podniósł z pokładu sękaty kij i zbliżył się o krok. - Wynocha i zabieraj ze sobą swojego pecha!

- Może żaden ze mnie rybak, ale zawsze miałem talent do robienia ludziom krzywdy. Więc lepiej odłóż ten kij, zanim każę ci go, kurwa, zeżreć. - Dreszcz poparł swoje słowa odpowiednim spojrzeniem. Zabójczym spojrzeniem rodem z Północy.

Kapitan zawahał się i zatrzymał, burcząc coś pod nosem. W końcu odrzucił kij i zaczął krzyczeć na jednego ze swoich ludzi.

Dreszcz zgarbił się i odszedł, nawet się nie oglądając. Dotarł do wlotu alei, mijając poprzyklejane do ścian podarte plakaty pokryte nabazgranymi napisami. Zanurzył się w cieniu pomiędzy zatłoczonymi budynkami, a odgłosy portu ucichły za jego plecami. Tak samo było u kowali, piekarzy i we wszystkich innych przeklętych cechach w tym przeklętym mieście. Odwiedził nawet szewca, który co prawda sprawiał porządne

wrażenie, ale ostatecznie kazał Dreszczowi się pierdolić.

Vossula twierdził, że wszędzie w Styrii łatwo o pracę, wystarczy zapytać. Wyglądało na to, że z jakiegoś niezrozumiałego powodu łągał jak pies. Dreszcz zadawał mu wiele różnych pytań, ale teraz, gdy ciężko usiadł w oślizgłej bramie, opierając stopy w znoszonych butach w rynsztoku, doszedł do wniosku, że nie spytał o najważniejsze. Ta kwestia nie dawała mu spokoju odkąd tutaj przybył.

Powiedz mi, Vossulo - skoro Styria jest takim cudownym miejscem, to co, u diabła, robisz tutaj, na Północy?

- Pieprzona Styria - syknął w północnym języku.

Czuł charakterystyczny ból w okolicy nosa zwiastujący płacz, ale był na tyle zniechęcony, że nawet się tego nie wstydził. Caul Dreszcz, syn Grzechotkarka. Człowiek Imienny, który wielokrotnie stawał oko w oko ze śmiercią. Który walczył u boku największych sław Północy - Rudda Trójdrzewca, Czarnego Dowa, Wilczarza, Hardinga Ponuraka. Który poprowadził szturm przeciwko wojskom Unii w pobliżu Cumnuru. Który zatrzymał tysiąc szanków pod Dunbrecem. Który przeżył siedmiodniową rzeź na Wysokich Szczytach. Niemal się uśmiechnął, wspominając tamte szalone, wspaniałe czasy, z których uszedł cało. Wiedział, że cały czas srał po nogach ze strachu, ale teraz wydawało mu się, że to były szczęśliwe dni. Przynajmniej nie był wtedy sam.

Podniósł wzrok, słysząc odgłos kroków. Czterej mężczyźni powoli weszli w uliczkę od strony portu, tą samą drogą, co on. Mieli smutny wyraz twarzy typowy u ludzi o złych zamiarach. Dreszcz skulił się w bramie, licząc na to, że te złe zamiary nie dotyczą jego osoby.

Serce podeszło mu do gardła, gdy stanęli nad nim w półokręgu. Jeden miał opuchnięty czerwony nos, jaki widuje się u pijaków. Drugi był łysy jak czubek buta i obok nogi trzymał długi kij. Trzeci miał nierówną brodę i brązowe zęby. Paskudna kompania, a Dreszcz podejrzewał, że mieli co do niego równie paskudne plany.

Ten, który stał z przodu, wyszczerzył się w uśmiechu. Drań o

wrednym wyglądzie i szczurzej twarzy.

- Co dla nas masz?

- Chciałbym mieć coś wartego zabrania. Ale nie mam, więc możecie odejść swoją drogą.

Szczurza Twarz zmarszczył brwi i popatrzył na swojego łysego towarzysza, rozdrażniony tym, że mogą odejść z pustymi rękami.

- No to oddawaj buty.

- W taką pogodę? Zamarzną.

- To zamarzniesz. Gównu mnie to obchodzi. Buty, zanim cię skopię dla zabawy.

- Pieprzony Talins - mruknął Dreszcz, a popioły zniechęcenia w jego krtani nagle krwawo zapłonęły.

Dręczyło go, że upadł tak nisko. Dranie wcale nie potrzebowali jego butów, po prostu chcieli poczuć się silni. Jednakże byłby głupcem, gdyby próbował walczyć sam przeciwko czterem, i to bez broni. Byłby głupcem, gdyby dał się zabić za kawałek starej skóry, niezależnie od tego, jak jest zimno.

Kucnął i zaczął ściągać buty, mamrocząc coś pod nosem. Nagle Czerwony Nos zgiął się wpół i głośno westchnął, gdy Dreszcz zdzielił go kolanem prosto w jaja. Zaskoczył nie tylko ich, ale i siebie. Najwyraźniej jego duma nie zniosłaby chodzenia na bosaka. Uderzył Szczurzą Twarz w podbródek, chwycił go za przód płaszcza i rzucił na jednego z towarzyszy, tak że obaj runęli na ziemię, wrzeszcząc jak koty podczas ulewy.

Uchylił się przed kijem łysego i odbił cios ramieniem. Mężczyzna minął go chwiejnym krokiem, tracąc równowagę i szeroko otwierając usta. Dreszcz trafił go pięścią prosto w zwisający podbródek, z trzaskiem odrzucając jego głowę do tyłu, po czym wykopnął spod niego nogi, przy wtórze jęku posyłając go na ziemię, a następnie na niego skoczył. Uderzył go pięścią w twarz - dwa, trzy, cztery razy - zmieniając ją w miążgę, zachlapując krwią rękaw swojego brudnego płaszcza.

Odsunął się, zostawiając Łysola w rynsztoku, plującego

zębami. Czerwony Nos nadal jęczał skulony, trzymając dłonie między nogami. Jednak pozostała dwójka wyjęła noże; zaśnił ostry metal. Dreszcz przykucnął z zaciśniętymi pięściami, ciężko oddychając i wodząc wzrokiem po przeciwnikach, a jego gniew szybko słabł. Powinien był oddać buty. Pewnie i tak za krótką, bolesną chwilę ściągną je z jego zimnych, martwych stóp. Przekłęta duma, tylko człowiekowi szkodzi.

Szczurza Twarz otarł krew spod nosa.

- Już nie żyjesz, ty północny jebańcu! Już jesteś... - Nagle jedna noga wysunęła się spod niego i upadł z wrzaskiem, gubiąc nóż.

Ktoś wyszedł z cienia za jego plecami. Wysoka zakapturzona postać. W bladej lewej dłoni swobodnie trzymała szpadę o długim, cienkim ostrzu, które odbijało słabe światło, błyskając morderczo. Ostatni ze złodziei butów, który jeszcze stał o własnych siłach, ten z gównianymi zębami, popatrzył na ostrze oczyma wielkimi jak u krowy, zdając sobie sprawę, że jego nóż wygląda przy nim jak nędzna zabawka.

- Lepiej uciekaj.

Zaskoczony Dreszcz zmarszczył brwi. Kobięcy głos. Brązowym Zębom nie trzeba było dwa razy powtarzać. Odwrócił się i puścił biegiem w głąb uliczki.

- Moja noga! - wrzeszczał Szczurza Twarz, trzymając się kurczowo pod kolanem zakrwawioną dłonią. - Kurwa, moja noga!

- Przestań marudzić, albo przetnę drugą.

Łysol leżał i nic nie mówił. Czerwony Nos wreszcie dźwignął się na kolana, głośno jęcząc.

- Chcesz moich butów? - Dreszcz zbliżył się o krok i ponownie kopnął go w jaja, a następnie podniósł i rzucił na twarz. - Tutaj masz jeden, draniu! - Przyglądał się nieznajomej, czując szum krwi w głowie, zastanawiając się, jak to możliwe, że wyszedł z tego cało, bez ostrza w brzuchu. Wcale nie był pewien, czy tak pozostanie. Kobieta nie wyglądała przyjaźnie. - Czego chcesz? - warknął.

- Niczego, co sprawiłoby ci kłopot. - Pod kapturem dostrzegł

kącik uśmiechniętych ust. - Być może mam dla ciebie pracę.

Duży talerz z mięsem i warzywami w jakimś sosie, a obok kromki zakalcowatego chleba. Być może smaczne, być może nie. Dreszcz był zbyt zajęty wpychaniem jedzenia do ust, by zwracać na to uwagę. Podejrzewał, że wygląda jak zwierzę, z dwutygodniowym zarostem, wychudzony i brudny po sypianiu w bramach, i to niezbyt eleganckich. Jednakże już dawno przestał dbać o to, jak wygląda, nawet w towarzystwie kobiety.

Wciąż miała naciągnięty kaptur, chociaż schowali się przed brzydką pogodą. Stała pod ścianą, gdzie było ciemno. Gdy zbliżali się do niej ludzie, pochylała głowę, a czarne jak smoła włosy zasłaniały jeden policzek. Mimo to Dreszcz dostrzegł zarys jej twarzy, gdy kilka razy udało mu się oderwać wzrok od posiłku, i uznał ją za atrakcyjną.

Wyraźnie zarysowane kości, ostra linia szczęki i smukła szyja z widoczną niebieską żyłką na boku. Wyglądała niebezpiecznie, ale żeby to stwierdzić, wystarczyło zobaczyć, jak bez wahania przecina przeciwnikowi nogę pod kolanem. A jednak coś w spojrzeniu jej wąskich oczu sprawiało, że Dreszcz czuł się podenerwowany. Patrzyła spokojnie i chłodno, jakby dokładnie go oszacowała i wiedziała, czego się po nim spodziewać. Lepiej niż on sam. Na policzku miała trzy długie ślady, stare skaleczenia, które jeszcze się nie zagoiły. Na prawej dłoni nosiła rękawiczkę i rzadko używała tej ręki. Zauważył także, że kuląła. Może wpakowała się w jakieś ciemne sprawy, ale Dreszcz miał tak niewielu przyjaciół, że nie mógł być wybredny. W tej chwili każdy, kto zechciał go nakarmić, mógł liczyć na jego pełną lojalność.

Patrzyła, jak je.

- Głodny?

- Tak jakby.

- Daleko od domu?

- Tak jakby.
- Miałeś pecha.
- Wyjątkowego. Ale podjąłem też kilka złych decyzji.
- To często idzie ze sobą w parze.
- Owszem. - Z brzękiem rzucił nóż i łyżkę na pusty talerz. - Powinienem być to lepiej przemyśleć. - Wytarł sos ostatnią kromką. - Ale zawsze byłem dla siebie najgorszym wrogiem. - Siedzieli naprzeciwko siebie w milczeniu, podczas gdy Dreszcz żuł pieczywo. - Nie powiedziałaś, jak masz na imię.
- Nie powiedziałam.
- A więc to tak?
- To ja płacę, więc będzie tak, jak powiem.
- Dlaczego płacisz? Mój przyjaciel... - Odchrząknął, zaczynając wątpić w to, czy Vossula jest jego przyjacielem. - Pewien mój znajomy ostrzegł mnie, abym w Styrii nie spodziewał się niczego za darmo.
- Dobra rada. Czegoś od ciebie potrzebuję.
Dreszcz polizał wnętrze ust i poczuł gorzki smak. Miał dług wobec tej kobiety i nie był pewien, w jaki sposób będzie musiał go spłacić. Gdy na nią patrzył, obawiał się, że cena będzie wysoka.
- Czego potrzebujesz?
- Najpierw się wykap. Nikt nie potraktuje cię poważnie, jeśli będziesz w takim stanie.
Głód i chłód odeszły, pozostawiając miejsce na odrobinę wstydu.
- Może nie uwierzysz, ale naprawdę czuję się lepiej, kiedy nie śmierdę. Pozostało mi, kurwa, trochę godności.
- Cieszę się. Więc pewnie nie możesz się doczekać, kiedy się, kurwa, umyjesz.
Poruszył ramionami, czując się nieswojo. Miał wrażenie, że wchodzi do jeziora, ale nie wie, jak jest głębokie.
- Co potem?
- Niewiele. Pójdiesz do palarni i zapytasz o człowieka nazwiskiem Sajaam. Powiesz, że Nicomo domaga się spotkania tam gdzie zawsze. Przyrowadzisz go do mnie.

- Dlaczego nie zrobisz tego sama?

- Ponieważ ci za to zapłacę, głupcze. - Uniosła monetę dłonią w rękawicze. Srebro zalśniło w blasku ognia; na jasnym metalu widniał wytłoczony wzór szalkowej wagi. - Przeprowadź do mnie Sajaama, a dostaniesz szalkę. Jeśli uznasz, że wciąż masz ochotę na ryby, będziesz mógł sobie kupić całą beczkę.

Dreszcz zmarszczył brwi. Ładna kobieta pojawia się znikąd, ratuje mu życie, po czym składa intratną propozycję? Nigdy nie miał tyle szczęścia. Ale dobry posiłek tylko przypomniał mu, jak bardzo tęskni za takim życiem.

- Nie ma sprawy.

- Dobrze. Albo możesz zrobić coś innego i zarobić pięćdziesiąt.

- Pięćdziesiąt? - zaskrzeczał Dreszcz. - To jakiś żart?

- Czy ja się śmieję? Pięćdziesiąt, a jeśli nadal będzie ci brakowało ryb, to kupisz sobie kuter i jeszcze ci zostanie na dobrego krawca. Co ty na to?

Dreszcz z zawstydzoną miną szarpnął postrzępiony brzeg płaszcza. Z taką sumą w kieszeni mógłby wskoczyć na pokład następnego statku płynącego do Uffrith i wkrótce skopać kościsty tyłek Vossuli. To marzenie od jakiegoś czasu stanowiło dla niego główne źródło przyjemności.

- Co miałbym zrobić za pięćdziesiąt?

- Niewiele. Pójdziesz do palarni i zapytasz o człowieka nazwiskiem Sajaam. Powiesz, że Nicomo domaga się spotkania tam gdzie zawsze. Przeprowadzisz go do mnie. - Na chwilę umilkła. - Potem pomożesz mi go zabić.

Musiał przyznać, że go to nie zaskoczyło. Tak naprawdę nadawał się tylko do jednego rodzaju roboty. Poza tym, tylko za jeden rodzaj usług ludzie byli gotowi zapłacić pięćdziesiąt szalek. Przybył tutaj, żeby stać się lepszym człowiekiem. Ale było tak, jak mówił Wilczarz. Jeśli raz splamiłeś ręce krwią, trudno ją potem zmyć.

Coś dźgnęło go w udo pod stołem, tak że prawie zerwał się z krzesła. Między jego nogami leżała głowica długiego noża.

Stalowy jelec broni lśnił na pomarańczowo. Obnażone ostrze spoczywało w okrytej rękawicą dłoni kobiety.

- Lepiej go weź.

- Nie powiedziałem, że kogokolwiek zabiję.

- Wiem, co powiedziałaś. Ostrze jest po to, żeby Sajaam wiedział, że nie żartujesz.

Dreszcz wcale nie przejął się tym, że kobieta wsunęła mu nóż między uda.

- Nie powiedziałem, że kogokolwiek zabiję.

- Wcale tak nie twierdzę.

- To dobrze. Nie zapominaj o tym. - Zabrał ostrze i wsunął je pod płaszcz.

Idąc, czuł, jak nóż naciska mu na pierś, niczym dawna kochanka, która wróciła po kolejne pieszczoty. Dreszcz wiedział, że to nie powód do dumy, gdyż byle głupiec może nosić nóż, ale podobał mu się dotyk broni na żebrach. Znowu czuł się kimś.

Przyjechał do Styrii w poszukiwaniu uczciwej pracy, ale gdy masz pustą kiesę, musisz się zadowolić nieuczciwym zajęciem. A Dreszcz jeszcze nigdy nie widział miejsca, które sprawiałoby mniej uczciwe wrażenie. Ciężkie drzwi w brudnej, gołej, pozbawionej okien ścianie, po obu stronach potężni strażnicy. Po sposobie, w jaki stali, widać było, że mają broń i są gotowi jej użyć. Jeden z nich był ciemnoskórym Południowcem o czarnych włosach zwisających wokół twarzy.

- Potrzebujesz czegoś? - spytał, podczas gdy drugi uważnie przyjrzał się Dreszczowi.

- Chcę się widzieć z Sajaamem.

- Masz broń?

Dreszcz wyjął nóż i podał go mężczyźnie rękojeścią do przodu.

- No to chodź. - Drzwi otworzyły się przy wtórze skrzypienia

zawiasów.

W środku powietrze było gęste od słodkiego dymu, który drapał Dreszcza w gardło, wywołując kaszel, oraz sprawiał, że oczy szczypały go i łzawiły. Było ciemno i cicho, nieprzyjemnie gorąco i lepko w porównaniu z mrozem na zewnątrz. Lampy z kolorowego szkła zdobiły poplamione ściany wzorami - zielone, czerwone i żółte błyski w mroku. Miejsce jak z koszmaru.

W pomieszczeniu wisiały zasłony z brudnego szeleszczącego jedwabiu. Ludzie leżeli na poduchach, półnaczy i senni. Jeden z mężczyzn leżał na plecach, z szeroko otwartymi ustami, z dłoni zwisała mu fajka, a resztką dymu wciąż unosiła się z jego miseczki. Jakaś kobieta przyciskała się do niego, leżąc na boku. Mieli twarze zroszone potem i obwisłe jak u trupów. Sprawiali wrażenie zawieszonych pomiędzy zachwytem a rozpaczą, ale skłaniali się ku tej drugiej.

- Tędy.

Dreszcz podążył za swoim przewodnikiem poprzez mgiełkę wzdłuż mrocznego korytarza. W mijanych drzwiach stała kobieta, która obserwowała go w milczeniu martwymi oczyma. Ktoś stękał „och, och, och” niemal znudzonym głosem.

Przez zasłonę ze stukających koralików weszli do kolejnego dużego pomieszczenia, mniej zadymionego, ale bardziej niepokojącego. Siedzieli tutaj mężczyźni różnych ras i kolorów, sądząc po wyglądzie nawykli do przemocy. Ośmiu grało w karty przy stole w otoczeniu kieliszków, butelek i drobnych pieniędzy. Kolejni kryli się w cieniu. Dreszcz od razu zauważył, że jeden z nich ma pod ręką paskudnie wyglądający topór, ale podejrzewał, że to nie jest ich jedyna broń. Na ścianie wisiał zegar, którego odsłonięty mechanizm kołysał się tam i z powrotem, tik, tak, tik, na tyle głośno, by Dreszcz poczuł się jeszcze bardziej nieswojo.

Potężny mężczyzna siedział u szczytu stołu, na miejscu, które na Północy przeznaczano dla wodza. Był to starzec o twarzy pomarszczonej jak zużyta skóra. Miał tłustą ciemną cerę, krótkie włosy i brodę przyprószoną siwizną. Bawił się złotą monetą, którą przesuwiał tam i z powrotem po knykciach.

Przewodnik szepnął mu coś do ucha, po czym podał nóż. Wszyscy skierowali wzrok na Dreszcza, który nagle doszedł do wniosku, że szalka to zdecydowanie zbyt skromna zapłata za takie zadanie.

- Ty jesteś Sajaam? - spytał głośniejszym niż zamierzał, głosem piskliwym od dymu.

Uśmiech starca przypominał żółty łuk przecinający ciemną twarz.

- Owszem, mam na imię Sajaam, co potwierdzą wszyscy moi przyjaciele. Można wiele powiedzieć o człowieku na podstawie broni, którą przy sobie nosi.

- Czyżby?

Sajaam wysunął nóż z pochwy i uniósł go, tak że stal zaślniła w blasku świec.

- Niezbyt tanie, ale też niezbyt drogie ostrze. Skuteczne, bez ząbków na krawędziach. Ostre i twarde, przeznaczone do poważnych zadań. Jestem blisko?

- Mniej więcej. - Wydawało się jasne, że starzec uwielbia gadać, więc Dreszcz nie wspomniał, że to nie jego nóż. Im mniej powie, tym szybciej będzie mógł odejść.

- A jak ty masz na imię, przyjacielu? - spytał Sajaam, chociaż słowo „przyjaciel” nie zabrzmiało przekonująco w jego ustach.

- Caul Dreszcz.

- Brrr. - Sajaam potrząsnął potężnymi ramionami, jakby zrobiło mu się zimno, co wzbudziło śmiech u jego ludzi. Wyglądało na to, że łatwo ich rozbawić. - Jesteś daleko od domu, mój drogi.

- Żebyś, kurwa, wiedział. Mam dla ciebie wiadomość. Nicomo domaga się spotkania.

Dobry nastrój opuścił zgromadzonych równie szybko, jak krew opuszcza poderżnięte gardło.

- Gdzie?

- Tam gdzie zwykle.

- Domaga się, tak? - Dwaj żołnierze Sajaama odsunęli się od ścian, a ich ręce popęzły w ciemność. - Nie brakuje mu śmiałości. A dlaczego mój stary druh Nicomo wysyła po mnie

białego olbrzyma z Północy z nożem?

Nagle Dreszcz zrozumiał, że kobieta z jakiegoś powodu mogła go wpakować po uszy w gówno. Jak widać to nie ona nosiła imię Nicomo. Jednakże w ciągu ostatnich tygodni Dreszcz przełknął już wystarczająco wiele zniewag i wolał umrzeć niż znieść kolejne.

- Sam go zapytaj. Nie przyszedłem tutaj po to, żeby przerzucać się pytaniami, starcze. Nicomo domaga się twojej obecności tam gdzie zawsze, to wszystko. Więc rusz czarną dupę, zanim stracę cierpliwość.

Zapadła długa, nieprzyjemna cisza, podczas której wszyscy rozważali jego słowa.

- To mi się podoba - mruknął Sajaam. - A tobie? - spytał jednego ze swoich oprychów.

- Chyba może być, jeśli ktoś lubi coś takiego.

- Ja czasami lubię. Odważne słowa, pogróżki i szorstka męskość. W nadmiarze szybko się nudzą, ale w niewielkiej dawce zawsze poprawiają mi humor. A więc Nicomo domaga się mojej obecności, czy tak?

- Zgadza się - odrzekł Dreszcz, nie mając innego wyjścia jak tylko pozwolić się nieść prądowi i mieć nadzieję, że ten wyrzuci go na brzeg w jednym kawałku.

- No dobrze. - Starzec rzucił karty na stół i powoli wstał. - Niech nikt nie mówi, że stary Sajaam nie spłaca długów. Skoro Nicomo wzywa... niech będzie tam gdzie zwykle. - Zatknął za pas nóż, który przyniósł Dreszcz. - Ja go zatrzymam, hmm? Tylko na chwilę.

Było już późno, gdy dotarli na miejsce wskazane przez kobietę. W zgniłym ogrodzie było ciemno jak w piwnicy i równie pusto. Otaczały ich tylko porwane papiery drgające na wieczornym wietrze, stare wiadomości zwisające z oślizgłych cegieł.

- No i? - burknął Sajaam. - Gdzie jest Cosca?

- Powiedziała, że tutaj będzie - mruknął Dreszcz.

- Ona? - Starzec oparł dłoń na rękojeści miecza. - Co, do diabła...

- Tutaj, ty stary kutasie.

Wyszła zza drzewa i stanęła w skrawku światła. Nie miała na głowie kaptura i Dreszcz wreszcie mógł dokładnie się jej przyjrzeć. Musiał przyznać, że wyglądała jeszcze atrakcyjniej i bardziej surowo niż przypuszczał. Delikatna, a zarazem twarda, z szyją naznaczoną ognistą czerwoną kreską przypominającą ślady u wisielców. Miała mocno ściągnięte brwi, zaciśnięte usta i zmrużone oczy wpatrzone w jeden punkt. Zupełnie jakby postanowiła przebić drzwi głową i gównem ją obchodziło, jak to się skończy.

Twarz Sajaama obwisła jak mokra koszula.

- Ty żyjesz.

- Widzę, że nadal bystrzak z ciebie.

- Ale słyszałem...

- Nie.

Starzec szybko się pozbierał.

- Nie powinnaś była przyjeżdżać do Talinsu, Murcatto. Powinnaś trzymać się sto mil od miasta. A przede wszystkim sto mil ode mnie. - Zaklął w jakimś języku, którego Dreszcz nie znał, po czym uniósł twarz ku ciemnemu niebu. - Boże, Boże, dlaczego nie mogłeś mi zesłać uczciwego życia?

Kobieta parsknęła.

- Ponieważ jesteś na to zbyt tchórzliwy. No i za bardzo lubisz pieniądze.

- To wszystko prawda, niestety. - Być może rozmawiali jak starzy przyjaciele, ale Sajaam cały czas opierał dłoń na rękojeści noża. - Czego chcesz?

- Twojej pomocy w zabiciu kilku mężczyzn.

- Rzeźniczka z Caprile potrzebuje mojej pomocy w zabijaniu? Jeśli tylko żaden z nich nie jest blisko powiązany z księciem Orso...

- On będzie ostatni.

- Ty szalona suko. - Sajaam pokręcił głową. - Uwielbiasz mnie sprawdzać, Monzcarro. Zawsze uwielbiałaś sprawdzać nas wszystkich. Nigdy ci się nie uda, choćbyś czekała, aż wypali się słońce.

- A gdyby jednak? Nie mów mi, że nie marzysz o tym od lat.

- Podczas gdy ty w jego imieniu pustoszyłaś Styrię ogniem i mieczem, chętnie przyjmując od niego rozkazy i pieniądze, liżąc go po dupie jak psiak, który dostał nową kość? Chodzi ci o te lata? Nie przypominam sobie, żebyś wtedy oferowała mi wsparcie.

- On zabił Bennę.

- Naprawdę? Na obwieszczeniach napisano, że dopadli was agenci księcia Rogonta.

Sajaam wskazał stare arkusze powiewające na ścianie za jej plecami. Widniały na nich wizerunki mężczyzny i kobiety. Dreszcz poczuł gwałtowny ucisk w żołądku, gdy rozpoznał znajomą twarz.

- Zabici przez Ligę Ośmiu. Wszyscy byli wściekli.

- Nie mam ochoty na żarty, Sajaamie.

- Czy kiedykolwiek ją miałaś? Ale to nie żart. W tych okolicach uznawano cię za bohaterkę. Tak się nazywa człowieka, który zabił tak wielu ludzi, że słowo „morderca” przestaje wystarczać. Orso wygłosił wielką przemowę, powiedział, że teraz wszyscy musimy walczyć zacieklej niż kiedykolwiek, by cię pomścić, a wszyscy zapłakali. Przykro mi z powodu Benny. Zawsze lubiłem tego chłopaka. Ale już oswoiłem swoje demony. Tobie radzę to samo.

- Tylko martwi mogą przebaczyć i tylko oni zasługują na przebaczenie. Pozostali mają lepsze rzeczy do roboty. Potrzebuję twojej pomocy, a ty masz wobec mnie dług. Spłać go, draniu.

Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie ze zmarszczonymi brwiami. W końcu starzec przeciągle westchnął.

- Zawsze powtarzałem, że doprowadzisz mnie do śmierci. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Wskazać mi właściwy kierunek. Przedstawić mnie

odpowiednim ludziom. Właśnie tym się teraz zajmujesz, prawda?

- Mam pewne znajomości.

- W takim razie muszę od ciebie pożyczyć człowieka o chłodnej głowie i silnym ramieniu. Takiego, który nie przestraszy się rozlewu krwi.

Wydawało się, że Sajaam się nad tym zastanawia. Po chwili obejrzał się przez ramię.

- Znasz kogoś takiego, Przyjazny?

W ciemności, za plecami Dreszcza, rozległy się kroki. Wygląda na to, że ktoś ich śledził, i to umiejętnie. Kobieta ugięła kolana, przyjmując bojową postawę, zmrużyła oczy i położyła lewą dłoń na rękojeści szpady. Dreszcz również sięgnąłby po broń, gdyby ją miał, ale sprzedał całą broń w Uffrith, a nóż oddał Sajaamowi. Zatem ograniczył się do nerwowego poruszania palcami, z czego nikt nie miał żadnego pożytku.

Przygarbiony przybysz podszedł do nich z wzrokiem wbitym w ziemię. Był o co najmniej pół głowy niższy od Dreszcza, ale wyglądał groźnie. Miał szyję szerszą niż głowę, a z rękawów jego grubego płaszcza wystawały potężne dłonie.

- Przyjazny. - Sajaam był bardzo uradowany swoją niespodzianką. - To moja stara przyjaciółka, niejaka Murcatto. Przez jakiś czas będziesz dla niej pracował, jeśli nie masz nic przeciwko temu. - Mężczyzna wzruszył masywnymi ramionami. - Przypomnij mi, jak się nazywasz?

- Dreszcz.

Przyjazny szybko podniósł wzrok, po czym ponownie wbił go w ziemię. Miał smutne i dziwne oczy.

- Czy to dobry człowiek? - spytała Murcatto.

- Najlepszy, jakiego znam. Albo najgorszy, jeśli zostaniesz jego wrogiem. Poznałem go w Bezpiecznym Miejsu.

- A cóż takiego zrobił, że zamknięto go tam z ludźmi takimi jak ty?

- Wszystko i jeszcze trochę.

Znów zapadła cisza.

- Jak na człowieka zwanego Przyjaznym nie ma zbyt wiele do

powiedzenia.

- Też tak pomyślałem, gdy go poznałem - odrzekł Sajaam. - Ale podejrzewam, że to ironiczne miano.

- Ironia? W więzieniu?

- Różni ludzie trafiają za kraty. Niektórzy z nas mają poczucie humoru.

- Skoro tak mówisz. Wezmę też trochę plew.

- Ty? To bardziej w stylu twojego brata. Po co ci plewy?

- Od kiedy pytasz klientów, po co im twój towar, starcze?

- Masz rację. - Wyjął coś z kieszeni i rzucił w jej stronę, a ona złapała to w powietrzu.

- Dam ci znać, kiedy będę potrzebowała czegoś więcej.

- Będę odliczał godziny! Zawsze powtarzałem, że doprowadzisz mnie do śmierci, Monzcarro. - Sajaam się odwrócił. - Do śmierci.

Dreszcz zastąpił mu drogę.

- Mój nóż. - Nie rozumiał szczegółów tego, co usłyszał, ale domyślał się, że wplątał się w jakąś mroczną i krwawą historię. Wiedział, że będzie potrzebował dobrego ostrza.

- Z przyjemnością. - Sajaam położył ciężki nóż na dłoni Dreszcza. - Chociaż radzę ci znaleźć większe ostrze, jeśli zamierzasz się jej trzymać. - Popatrzył na nich, powoli kręcąc głową. - Oto troje bohaterów, którzy położą kres księciu Orso? Kiedy was zabiją, wyświadczcie mi przysługę: skonajcie szybko i nie wymieniajcie mojego nazwiska. - Po tym wesołym komentarzu zniknął w ciemności.

Kiedy Dreszcz się obejrzał, kobieta zwana Murcatto patrzyła mu prosto w oczy.

- A co z tobą? Rybactwo to ciężki kawałek chleba. Jest niemal równie trudne jak uprawa roli i bardziej cuchnące. - Uniosła dłoń na rękawiczce zalśniło srebro. - Przydałby mi się jeszcze jeden człowiek. Chcesz zabrać swoją szalkę? A może zdobyć kolejne pięćdziesiąt?

Dreszcz zmarszczył brwi, patrząc na błyszczący metal. Zabijał ludzi za znacznie mniejszą zapłatę. Podczas bitew, waśni, pojedynków, w różnych miejscach i warunkach. Ale za

każdym razem miał jakiś powód. Niekoniecznie dobry, lecz zawsze coś sprawiało, że zabijanie było uzasadnione. Nie było zwykłym morderstwem za pieniądze.

- Ten człowiek, którego mamy zabić... co zrobił?

- Zmusił mnie do zapłacenia pięćdziesięciu szalek za jego trupa. To mało?

- Dla mnie tak.

Przez dłuższą chwilę przyglądała mu się ze zmarszczonymi brwiami. To spojrzenie z jakiegoś powodu go niepokoiło.

- Więc jesteś jednym z nich, co?

- Z nich?

- Jednym z ludzi, którzy potrzebują powodów. Wymówek. Jesteście niebezpieczni i nieprzewidywalni. - Wzruszyła ramionami. - Ale skoro ma ci to pomóc: zabił mojego brata.

Dreszcz zamrugał. Gdy usłyszał te słowa z jej ust, tamten dzień powrócił do niego wyraźniej niż zwykle. Dzień, gdy ujrzał poszarzałą twarz ojca i domyślił się prawdy. Gdy usłyszał, że jego brat został zabity, chociaż obiecano mu łaskę. Wtedy, w długiej sali, ze łzami w oczach poprzysiągł zemstę. Później postanowił złamać tę przysięgę, by móc porzucić krew i stać się lepszym człowiekiem.

A teraz ona pojawia się znikąd i proponuje mu kolejną okazję do zemsty. „Zabił mojego brata”. Miał wrażenie, że odmówiłby w każdym innym przypadku. A może po prostu potrzebował pieniędzy?

- Srać na to - powiedział. - Wezmę pięćdziesiąt.

Szóstka i jedyńska

Na kostkach wypadły szóstka i jedyńska. Najwyższy i najniższy możliwy wynik. Odpowiednia ocena życia Przyjaznego. Od dna koszmaru po wyżyny triumfu. I z powrotem.

Sześć i jeden to razem siedem. Przyjazny miał siedem lat, gdy po raz pierwszy wszedł w konflikt z prawem. Ale dopiero sześć lat później został złapany i skazany. Wtedy po raz pierwszy zapisali jego imię w wielkiej księdze i zasłużył na pierwszy pobyt w Bezpiecznym Miejscu. Pamiętał, że coś ukradł, ale nie był pewien co. A już na pewno nie pamiętał dlaczego. Jego rodzice harowali, by dać mu wszystko, czego potrzebował. Mimo to, kradł. Być może niektórzy ludzie rodzą się do zła. Tak mu powiedzieli sędziowie.

Zebrał kości, potrząsnął nimi w dłoni, po czym ponownie rzucił je na kamienie. Patrzył, jak się toczą, jak zawsze z tą samą radością i wyczekiwaniem. Rzucone kości mogą być wszystkim, dopóki nie znieruchomieją. Patrzył, jak określają szanse i opisują życie jego oraz przybysza z Północy. Wraz z nimi obracało się życie wszystkich mieszkańców wielkiego miasta Talinsu.

Szóstka i jedyńska.

Przyjazny lekko się uśmiechnął. Szanse na ponowne wyrzucenie szóstki i jedyńki były jak jeden do osiemnastu. To wątpliwe, powiedzieliby niektórzy, spoglądając w przyszłość. Jednakże z perspektywy czasu to było nieuniknione. Co nadchodzi? Zawsze wiele możliwości. Co minęło? To już zakończone, stwardniałe jak ciasto, które stało się chlebem. Nie ma powrotu.

- Co mówią kości?

Przyjazny podniósł wzrok, zbierając kości krawędzią dłoni. Dreszcz był potężnym mężczyzną, ale jego ciało nie było żylaste, jak to czasami bywa u wysokich ludzi. Był silny, ale nie tak jak rolnik albo robotnik. Nie był powolny. Rozumiał swoją pracę. Przyjazny potrafił dostrzec wszystkie drobne wskazówki. W Bezpiecznym Miejscu trzeba umieć w jednej chwili ocenić, jak groźni są inni ludzie. Ocenić, a następnie bez wahania zadziałać.

Może to żołnierz, i to zaprawiony w bojach? Wystarczy spojrzeć na te blizny, zacięty wyraz twarzy oraz oczy chciwie wypatrujące walki. Nie czuje się z tym dobrze, ale jest gotowy. Raczej nie ucieknie ani nie da się ponieść emocjom. Rzadko spotyka się ludzi, którzy zachowują trzeźwość umysłu, gdy wpadają w tarapaty. Na grubym lewym nadgarstku ma bliznę, która, jeśli popatrzy się na nią w odpowiedni sposób, przypomina cyfrę siedem. Dzisiaj siódemka to dobra cyfra.

- Niczego nie mówią. To tylko kości.

- Więc po co nimi rzucasz?

- To kości. Co innego miałbym z nimi robić?

Przyjazny zamknął oczy, zacisnął pięść wokół kości i przyłożył ją do policzka, czując na dłoni dotyk ciepłych, zaokrąglonych krawędzi. Jakie numery teraz dla niego szykują? Czyżby znów szóstkę i jedynekę? Iskra podekscytowania. Szanse na wyrzucenie szóstki i jedynek po raz trzeci z rzędu wynoszą jeden do trzystu dwudziestu czterech. Trzysta dwadzieścia cztery to liczba cel w Bezpiecznym Miejscu. Dobry zwiastun.

- Idą - szepnął Północny.

Było ich czworo. Trzej mężczyźni i dziewczyna. Przyjazny usłyszał niewyraźny odgłos jej nocnego dzwonka kołyszącego się na zimnym wietrze oraz śmiech jednego z mężczyzn. Pijane, bezkształtne sylwetki zataczające się w mrocznej uliczce. Kości będą musiały poczekać. Westchnął, owinął je starannie miękką szmatką - raz, drugi, trzeci - po czym schował w ciasnej wewnętrznej kieszeni. Żałował, że sam nie jest bezpiecznie ukryty w ciemności, ale sprawy potoczyły się tak, a nie inaczej. Nie było powrotu. Wstał i strzepnął z kolan pył ulicy.

- Jaki mamy plan? - spytał Dreszcz.

Przyjazny wzruszył ramionami.

- Sześć i jeden.

Naciągnął kaptur i ruszył w stronę nadchodzącej grupki, przygarbiony, z rękami w kieszeniach. Światło z jednego z wysokich okien padło na zbliżających się ludzi. Cztery groteskowe karnawałowe maski wykrzywione pijackim śmiechem. Potężny mężczyzna w środku miał miękką twarz, przenikliwe małe oczka i chciwy uśmiech. Wymalowana kobieta potykała się na wysokich obcasach. Mężczyzna po lewej stronie, szczupły i brodaty, uśmiechał się do niej pogardliwie. Ten po prawej ocierał łzę radości z szarego policzka.

- I co dalej? - pisnął rozbawiony, znacznie głośniejszym niż to było konieczne.

- A jak myślisz? Kopałem go aż się zesrał. - Kolejny wybuch śmiechu, falset kobiety kontrapunktujący bas olbrzymia. - Powiedziałem: księżę Orso lubi ludzi, którzy mówią tak, ty zakłamany...

- Gobba? - spytał Przyjazny.

Mężczyzna gwałtownie się obejrzał, a z jego miękkiej twarzy zniknął uśmiech. Przyjazny się zatrzymał. Pokonał czterdzieści dwa kroki od miejsca, w którym rzucał kośćmi. Sześć i jeden to siedem. Siedem razy sześć to czterdzieści dwa. Odjąć jeden...

- Kim jesteś? - warknął Gobba.

- Sześć i jeden.

- Co? - Mężczyzna po prawej spróbował chwiejnie odepchnąć Przyjaznego. - Spadaj, głupi skur...

Topór rozplątał mu głowę aż do nosa. Zanim jego towarzysz po lewej zdążył otworzyć usta ze zdumienia, Przyjazny już do niego doskoczył i pięciokrotnie dźgnął go długim nożem w brzuch. Następnie cofnął się, ciął na odlew w gardło i wykopał spod niego nogi, posyłając go na bruk.

Przyjazny na chwilę przerwał, by powoli wypuścić powietrze z płuc. W czaszce pierwszego mężczyzny ziała olbrzymia pojedyncza rana, czarna maź mózgu spływała na zezujące oczy. W ciele drugiego widniało pięć ran kłutych, a z rozciętego

gardła lała się krew.

- Dobrze - powiedział Przyjazny. - Sześć i jeden.

Dziwka zaczęła krzyczeć, kropki ciemnej krwi pokrywały jej upudrowany policzek.

- Już nie żyjesz! - ryknął Gobba, chwiejnie się cofając i wyciągając zza pasa lśniący nóż. - Zabiję cię.

- Kiedy? - spytał Przyjazny, swobodnie trzymając ostrza w opuszczonych dłoniach. - Jutro?

- Ja...

Dreszcz uderzył Gobbę kijem w tył głowy. To był dobry cios, zadany we właściwe miejsce, i nogi Gobby ugięły się, jakby były z papieru. Runął bezwładnie, uderzając obwisłym policzkiem o bruk, a nóż wypadł mu z dłoni.

- Ani jutro, ani nigdy.

Kobieta nie przestawała krzyczeć. Przyjazny na nią popatrzył.

- Dlaczego nie uciekasz?

Zniknęła w ciemności, chwiejąc się na wysokich obcasach, a jej jęki odbijały się echem, towarzysząc dźwiękowi nocnego dzwonka.

Dreszcz popatrzył ze zmarszczonymi brwiami na dwa trupy leżące na ulicy. Dwie kałuże krwi pełzły wzdłuż szpar między brukowcami, aż w końcu zetknęły się i połączyły.

- Na spokój umarłych - mruknął w języku Północy.

Przyjazny wzruszył ramionami.

- Witaj w Styrii.

Krwawa lekcja

Monza patrzyła na swoją dłoń okrytą rękawiczką i, obnażywszy zęby, z trudem poruszała trzema palcami, które wciąż były sprawne - na zmianę prostowała je i zginała, słuchając regularnych trzasków i chrzęstów, towarzyszących każdemu zaciśnięciu pięści. Była dziwnie spokojna jak na osobę, której życie, jeśli można to nazwać życiem, oparło się na ostrzu noża.

„Człowiekowi można zaufać tylko w sprawach, które go dotyczą”, napisał Verturio, a zabójstwo wielkiego księcia Orso i jego współników nie było prostym zadaniem. Nie mogła zaufać milczącemu skazańcowi, tak jak nie ufała Sajaamowi. Przeczuciwała, że Północny powiedział jej niemal całą prawdę, lecz tak samo myślała o Orso i nie skończyło się to dla niej dobrze. Nie zdziwiłaby się, gdyby przyprowadzili uśmiechniętego Gobbę gotowego zawlec ją z powrotem do Fontezarmo, by ponownie zrzucić ją ze skały.

Nie mogła nikomu ufać, ale wiedziała, że sama sobie nie poradzi.

Na zewnątrz rozległy się pośpieszne kroki. Drzwi otworzyły się z hukiem i do pomieszczenia weszli trzej mężczyźni. Dreszcz po prawej, Przyjazny po lewej, a między nimi Gobba ze zwieszoną głową i rękami zarzuconymi na ich ramiona, szorujący czubkami butów po trocinach rozrzuconych na podłodze. Zatem mogła im zaufać, przynajmniej na razie.

Przyjazny przeciągnął Gobbę do kowadła - góry czarnego podrapanego żelaza przytwierdzonego na środku pomieszczenia. Dreszcz przyniósł łańcuch z kajdanami na obu końcach i okręcił nim podstawę kowadła. Cały czas miał surową minę, jakby zmagał się z wyrzutami sumienia.

Sumienie to cenna rzecz, ale w takich chwilach potrafi pokrzyżować szyki.

Mężczyźni zaskakująco sprawnie współpracowali, jak na żebraka i skazańca. Nie marnowali czasu i nie wykonywali zbędnych ruchów. Nie wyglądali na zdenerwowanych, mimo że brali udział w morderstwie. Ale Monza zawsze potrafiła dobrać właściwych ludzi. Przyjazny zatrzasnął kajdany na grubych nadgarstkach ochroniarza. Dreszcz poruszył pokrętłem lampy i ogień silniej zapłonął za szkłem, zalewając światłem wnętrze brudnej kuźni.

- Ocućcie go.

Przyjazny chlusnął Gobbie w twarz wiadrem wody. Mężczyzna zakaszłał, z trudem złapał oddech, po czym potrząsnął głową, rozchlapując kropelki z włosów. Spróbował wstać, ale łańcuch zagrzechotał i przytrzymał go na miejscu. Gobba popatrzył wokół małymi surowymi oczami.

- Głupi dranie! Obaj już nie żyjecie! Już po was! Nie wiecie, kim jestem? Nie wiecie, dla kogo pracuję?

- Ja wiem. - Monza starała się iść równym krokiem, tak jak dawniej, ale niezbyt jej to wychodziło. Kulejąc, weszła w krąg światła i zdjęła kaptur.

Gobba zmarszczył tłustą twarz.

- Nie. Niemożliwe. - Jego oczy stawały się coraz większe. Szok, strach, wreszcie przerażenie. Rzucił się do tyłu, dzwoniąc łańcuchem. - Nie!

- Tak. - Monza uśmiechnęła się pomimo bólu. - Jak ci się, kurwa, powodzi? Przytyłeś, Gobbo. Bardziej niż ja schudłam. Dziwne, jak zmienny jest los. To mój klejnot?

Na małym palcu Gobby lśnił czerwony rubin oprawiony w czarne żelazo. Przyjazny ściągnął go i rzucił kobiecie. Złapała pierścień w powietrzu lewą ręką. Ostatni podarunek od Benny. Razem się nim cieszyli, gdy wjeżdżali na górę, by spotkać się z księciem Orso. Gruba obręcz była podrapana i lekko wygięta, ale kamień wciąż krwawo migotał. Miał kolor poderżniętego gardła.

- Trochę się zniszczył, kiedy próbowałeś mnie zabić, co?

Zresztą, nie tylko on. - Przez chwilę niezdarnie usiłowała wsunąć go na środkowy palec lewej dłoni, aż w końcu przepchnęła go przez knykieć. - Nadal pasuje. Co za szczęście.

- Posłuchaj! Możemy się dogadać! - Na twarzy Gobby lśniły krople potu. - Możemy dojść do porozumienia!

- Ale ja już wiem, czego chcę. Niestety, nie mam pod ręką góry. - Zdjęła z półki ciężki młot o krótkim trzonku i tęnym stalowym obuchu, czując, jak jej knykcie się przesuwają, gdy ujęła go dłonią w rękawicze. - Dlatego roztrzaskam cię za pomocą tego. Przytrzymajcie go, dobrze? - Przyjazny chwycił Gobbę za prawą rękę i ułożył ją na kowadle, rozprostowując kurczowo zaciśnięte blade palce na ciemnym metalu. - Trzeba było się upewnić, że zginęłam.

- Orso się dowie! Dowie się!

- Oczywiście, że tak. Kiedy zrzucę go z jego tarasu, jeśli nie wcześniej.

- Nigdy ci się nie uda! On cię zabije!

- Już to zrobił, nie pamiętasz? Jakoś mu nie wyszło.

Żyły nabrzmiały na szyi Gobby, gdy próbował się wyrwać, ale Przyjazny mocno go trzymał.

- Nie wygrasz z nim!

- Może i nie. Będziemy się musieli przekonać. Tylko jedno jest pewne. - Wysoko uniosła młot. - Ty tego nie doczekasz.

Obuch spadał na jego knykcie z lekko metalicznym chrzęstem - raz, drugi, trzeci. Każdy cios wstrząsał jej dłonią i przeszywał całą rękę bólem. Jednakże Gobbę bolało znacznie bardziej. Wzdychał, skowytał, dygotał, przyciskając napiętą twarz do obwisłego policzka Przyjaznego. Nagle szarpnął dłonią, obracając ją krawędzią do góry. Monza wyszczerzyła zęby i młot przeciął ze świstem powietrze, miażdżąc rękę. Kolejne uderzenie trafiło w nadgarstek, który poczerniał.

- Wygląda gorzej niż moja. - Wzruszyła ramionami. - No cóż, kiedy spłaca się dług, nie wypada zapomnieć o odsetkach. Dawaj drugą dłoń.

- Nie! - zawył Gobba, tocząc ślinę z ust. - Nie! Pomyśl o moich dzieciach!

- Pomyśl o moim bracie!

Młot roztrzaskał drugą dłoń. Monza dokładnie celowała, nie śpiesząc się, zwracając uwagę na szczegóły. Opuszki. Palce. Knykcie. Kciuk. Dłoń. Nadgarstek.

- Sześć i sześć - mruknął Przyjazny.

Monza czuła w uszach pulsowanie krwi. Nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

- Co?

- Sześć razy i sześć razy. - Puścił ochroniarza i wstał, zacierając ręce. - Młotem.

- No i? - odburknęła, nie mając pojęcia, jakie to ma znaczenie.

Gobba pochylił się nad kowadłem. Zaparł się nogami i ciągnął za kajdany, plując śliną. Na próżno usiłował przesunąć potężne żelastwo obwisłymi, poczerniałymi rękami.

Nachyliła się w jego stronę.

- Kazałam ci wstać?

Rozległ się ostry huk, gdy młot rozłupał mu kolano. Gobba upadł na plecy, ale zanim zdążył nabrać powietrza i wrzasnąć, młot ponownie spadł na jego nogę, wyłamując ją w przeciwnym kierunku.

- Ciężka praca. - Zdjęła płaszcz i skrzywiła się pod wpływem bólu w ramieniu. - No, ale nie jestem już taka sprawna jak dawniej. - Podwinęła czarny rękaw, odsłaniając długą bliznę na przedramieniu. - Zawsze mi powtarzałeś, że wiesz, jak sprawić, by kobieta się spociła, pamiętasz, Gobbo? I pomyśleć, że wtedy się z ciebie śmiałam. - Otarła twarz wierzchem dłoni. - Jak widać, mało wiem. Rozkuj go.

- Na pewno? - spytał Przyjazny.

- Boisz się, że ugryzie cię w kostkę? Zabawmy się w polowanie.

Przyjazny wzruszył ramionami, po czym schylił się, żeby zdjąć Gobbie kajdany z nadgarstków. Dreszcz surowo przyglądał się Monzie z ciemności.

- Coś nie tak? - syknęła.

Nie odpowiedział.

Gobba pełził bez celu po brudnych trocinach, opierając się na łokciach, wlokąc za sobą strzaskaną nogę. Cały czas bezmyślnie jęczał. Wydawała z siebie podobne dźwięki, gdy leżała połamana u podnóża góry pod Fontezarmo.

- Haarr...

Niestety, nie sprawiało jej to tak dużej przyjemności, jak oczekiwała, i to jeszcze bardziej ją denerwowało. W jękach Gobby było coś niesłychanie irytującego. Jej dłoń pulsowała bólem. Zmusiła się do uśmiechu i pokuśtykała za mężczyzną, udając, że sprawia jej to przyjemność.

- Muszę przyznać, że jestem rozczarowana. Czyż Orso nie przechwalał się, jakim twardzielem jest jego ochroniarz? Teraz przekonamy się, czy naprawdę jesteś twardy. Pewnie nie tak twardy jak ten młot...

Poślizgnęła się i zatoczyła na ceglana ścianę pieca, opierając się o nią dłonią. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że cegły wciąż są rozpalone.

- Psiakrew! - Zatoczyła się do tyłu jak błazen i potrąciła wiadro, ochlapując sobie nogę brudną wodą. - Kurwa!

Pochyliła się nad Gobba i jak nadąsane dziecko zaczęła okładać go młotem, wściekła, że zrobiła z siebie pośmiewisko.

- Draniu! Draniu!

Gobba stękał i bulgotał, gdy stalowy obuch trafiał go z hukiem w żebra. Nagle spróbował poderwać się z ziemi i wykręcił jej nogę. Prawie udało mu się ją na siebie przewrócić.

Wrzasnęła, gdy ból przeszył jej biodro. Uderzyła go trzonkiem młota w bok głowy, częściowo urywając ucho. Dreszcz postąpił krok naprzód, ale Monza już się uwolniła. Gobba zbulgotał i jakimś cudem usiadł, opierając się o duży zbiornik z wodą. Jego opuchnięte dłonie dwukrotnie się zwiększyły. Przypominały fioletowe miękkie rękawiczki.

- Błagaj o litość! - syknęła. - Błagaj, tłusty chuju!

Ale Gobba był zbyt zajęty patrzeniem na zmasakrowane kawałki mięsa, które znajdowały się na końcach jego rąk. Z jego ust wydobywały się krótkie, chrapliwe, oślizgłe krzyki.

- Ktoś może go usłyszeć - powiedział Przyjazny, chociaż

wydawało się, że wcale się tym nie przejął.

- Więc lepiej go ucisz.

Skazaniec zaszedł Gobbę od tyłu i zarzucił mu na szyję kawałek struny, po czym mocno szarpnął, zmieniając jego wrzaski w wilgotny bełkot.

Monza kucnęła przed ochroniarzem, tak że ich twarze się zrównały. Zmagając się z piekącym bólem kolan, patrzyła, jak struna wrzyna się w grubą szyję. Tak samo jak u niej. Zaswędziały ją blizny.

- Jakie to uczucie? - Zerknęła na jego twarz, szukając choćby odrobiny satysfakcji. - Jakie to uczucie?

Nikt nie wiedział tego lepiej niż ona. Gobba wytrzeszczył oczy, a jego podgardle zadygotało, zmieniając kolor z różowego na czerwony, a następnie fioletowy. Monza wstała.

- Powiedziałabym, że szkoda, żeby takie ładne ciało się zmarnowało. Ale to nieprawda.

Zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu. Wciągnęła powietrze nosem, zacisnęła dłonie na trzonku i wysoko uniosła młot.

- Zdradziliście mnie i pozostawiliście przy życiu?

Uderzyła Gobbę dokładnie między świńskie oczka, przy wtórce ostrego huku przypominającego odgłos pękającej kamiennej płyty. Mężczyzna wygiął plecy i szeroko otworzył usta, ale nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

- Odebraliście mi dłoń i pozostawiliście mnie przy życiu?

Młot trafił w nos i twarz mężczyzny zapadła się jak pęknięte jajko. Ciało sflaczało, strzaskana noga zaczęła wierzgać.

- Zabiliście mojego brata i pozostawiliście mnie przy życiu?

Ostatni cios rozłupał czaszkę. Czarna bulgocząca krew spłynęła po fioletowej skórze. Przyjazny puścił strunę i Gobba osunął się na bok. Spokojnie, niemal dostojnie przetoczył się na brzuch i znieruchomiał.

Nie żył. Nie trzeba było specjalisty, żeby to stwierdzić. Monza skrzywiła się, z trudem rozwierając obolałe palce. Młot z trzaskiem upadł na ziemię; obuch lśnił na czerwono, a do jednego z rogów przywarła kępka włosów.

Jeden martwy. Pozostało sześciu.

- Sześć i jeden - mruknęła pod nosem.

Przyjazny popatrzył na nią szeroko otwartymi oczami, chociaż nie była pewna dlaczego.

- Jak to jest? - spytał Dreszcz, który obserwował ją z cienia.

- O co ci chodzi?

- O zemstę. Czy jest przyjemna?

Monza nie była pewna, czy czuje cokolwiek poza bólem pulsującym w jej oparzonej oraz połamanej dłoni, w nogach i czaszce. Benna nadal nie żył, a ona wciąż była kaleką. Stała ze zmarszczonym czołem, milcząc.

- Chcesz, żebym się tego pozbył? - Przyjazny wskazał trupa, w drugiej dłoni dzierżąc lśniący rzeźnicki tasak.

- Postaraj się, żeby nikt go nie znalazł.

Przyjazny chwycił Gobbę za kostkę i zaczął go ciągnąć z powrotem w stronę kowadła, pozostawiając krwawy ślad na trocinach.

- Porąbię go na kawałki. Wrzucę do kanału. Niech szczury się pożywią.

- Nawet na to nie zasłużył.

Jednakże Monza czuła lekkie obrzydzenie. Miała ochotę zapalić. Właśnie nadeszła ta pora dnia. Fajka by ją uspokoiła. Wyjęła małą sakiewkę, w której miała pięćdziesiąt szalek, i rzuciła ją Dreszczowi.

Gdy ją złapał, w środku szczęknięły monety.

- To już wszystko?

- To już wszystko.

- Dobrze. - Przez chwilę milczał, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie wiedział co. - Przykro mi z powodu twojego brata.

Popatrzyła na jego twarz w blasku lampy. Starła się go rozszyfrować. Prawie nic nie wiedział o niej i o księciu Orso. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że o niczym nie ma pojęcia. Ale widziała, że potrafi walczyć. Wszedł sam do kryjówki Sajaama, a to wymagało odwagi. Zatem jest odważny, do tego niewykluczone, że kieruje się kodeksem moralnym. No i ma honor. To oznacza, że może być zdolny do lojalności, co stanowi

rzadkość w Styrii.

Nie przywykła do samotności. Zawsze był przy niej Benna. A przynajmniej za nią.

- Przykro ci.

- Zgadza się. Też miałem brata - rzucił, odwracając się w stronę drzwi.

- Nadal potrzebujesz pracy? - Podeszła do niego, patrząc mu prosto w oczy, a jednocześnie sięgnęła zdrową ręką za plecy i wymacała rękojeść noża. Zna jej imię, a także imię Orso i Sajaama, a to wystarczy, by sprowadzić na nich zgubę. Tak czy inaczej, musi zostać.

- Takiej jak ta? - Zmarszczył brwi, spoglądając na zakrwawione trociny pod jej butami.

- Chodzi o zabijanie. Możesz mówić wprost. - Zastanawiała się, czy wbić mu nóż od góry w pierś, czy od dołu w szczękę, a może zaczekać, aż się odwróci. - A czego się spodziewałeś? Dojenia kóz?

Pokręcił głową, powiewając długimi włosami.

- Może wyda ci się to głupie, ale przyjechałem tutaj, żeby stać się lepszym człowiekiem. Rozumiem, że masz swoje powody, ale dla mnie to wielki krok w niewłaściwym kierunku.

- Jeszcze sześciu ludzi.

- Nie. Nie. Mam dosyć. - Zabrzmiało to tak, jakby sam próbował siebie przekonać. - Nie dbam o to, ile...

- Pięć tysięcy szalek.

Już otworzył usta, by ponownie odmówić, ale tym razem nic nie powiedział. Wbił wzrok w Monzę. Początkowo wyglądał na zaszokowanego, potem się zamyślił. Rozważał, jak duża jest to suma. Co może za to kupić. Monza zawsze potrafiła właściwie oszacować cenę człowieka. W końcu każdy jakąś ma.

Zbliżyła się o krok, patrząc mu prosto w twarz.

- Widzę, że jesteś dobrym człowiekiem, a także silnym. Właśnie kogoś takiego potrzebuję. - Zerknęła na jego usta, po czym ponownie podniosła wzrok. - Pomóż mi. Potrzebuję twojej pomocy, a ty potrzebujesz moich pieniędzy. Pięć tysięcy szalek. Znacznie łatwiej być lepszym człowiekiem z taką sumą w

kieszoni. Pomóż mi. Śmiem twierdzić, że mógłbyś za to kupić połowę Północy. Zostać królem.

- Kto powiedział, że chcę być królem?

- Możesz nawet zostać królową, jeśli zechcesz. Ale mogę ci powiedzieć, czego na pewno nie zrobisz. - Zbliżyła się tak bardzo, że niemal czuł na szyi jej oddech. - Nie będziesz błagał o pracę. Uważam, że to nie przystoi takiemu dumnemu człowiekowi jak ty. - Odwróciła wzrok. - No, ale nie mogę cię do niczego zmusić.

Stał, ważąc w dłoni sakiewkę. Monza puściła rękę noża. Wiedziała, co odpowie. „Dla każdego człowieka pieniądze są czymś innym, ale zawsze czymś dobrym”, napisał Bialoveld.

Dreszcz uniósł wzrok; jego twarz stężała.

- Kogo zabijemy?

Kiedyś w takiej chwili wymieniłaby znaczące uśmiechy z Benną. „Znów wygraliśmy”. Jednakże Benna nie żył, a Monza myślała o kolejnym człowieku, który miał do niego dołączyć.

- Bankiera.

- Kogo?

- Człowieka, który liczy pieniądze.

- Zarabia na liczeniu pieniędzy?

- Zgadza się.

- Macie tutaj dziwne zwyczaje. Co on takiego zrobił?

- Zabił mojego brata.

- Znów zemsta, co?

- Znów zemsta.

Dreszcz pokiwał głową.

- No to mnie wynajęłaś. Czego potrzebujesz?

- Pomóż Przyjaznemu wynieść śmieci, wyruszamy jeszcze dziś w nocy. Nie ma sensu dalej siedzieć w Talinsie.

Dreszcz zerknął w stronę kowadła i gwałtownie wciągnął powietrze. Potem wyjął nóż, który dostał od Monzy, i podszedł do Przyjaznego. Ten właśnie zaczynał oprawiać trupa Gobby.

Monza spuściła wzrok na swoją lewą dłoń, po czym starła z jej wierzchu kilka plamek krwi. Palce lekko jej drżały. Może dlatego, że wcześniej zabiła człowieka, albo dlatego, że teraz nie

zabiła kolejnego, a może po prostu miała ochotę zapalić, nie była pewna.

Niewykluczone, że ze wszystkich trzech powodów.

II

Westport

„Ludzie stopniowo przyzwyczajają się do trucizny”.

Wiktor Hugo

Przez pierwszy rok stale głodowali i Benna musiał żebrac w wiosce, a Monza pracowała w polu i zbierała padlinę w lesie.

W drugim roku zbiory udały im się lepiej, zasadzili bulwy na poletku za stodołą i dostali trochę chleba od starego młynarza Destorta, gdy śniegi napełniły dolinę białą ciszą.

W trzecim roku dopisała pogoda, deszcz spadł we właściwym czasie i Monza zebrała obfite plony na górnym polu. Równie obfite, jak jej ojciec w najlepszych latach. Ceny były wysokie ze względu na niepokoje na granicy, więc spodziewali się dobrego zarobku. Wreszcie mieli naprawić dach i kupić Bennie porządną koszulę. Monza patrzyła, jak pszenica faluje na wietrze, i czuła dumę, która ogarnia człowieka, gdy dokona czegoś własnymi rękami. Dumę, o której opowiadał jej ojciec.

Kilka dni przed zniwami obudziła się w ciemności i usłyszała jakieś dźwięki. Obudziła Benne, który spał obok niej, zakrywając mu usta dłonią. Wzięła szpadę ojca, otworzyła okiennice i razem wykradli się do lasu, gdzie ukryli się w zaroślach za pniem drzewa.

Przed domem stały czarne postacie z pochodniami migoczącymi w ciemności.

- Kto to?

- Ciii.

Usłyszała, jak wyłamują drzwi i przetrząsają dom oraz stodołę.

- Czego chcą?

- Ciii.

Otoczyli pole i podpalili zboże, a ogień szybko strawił pszenicę. Monza usłyszała, jak jeden z przybyszy wiwatuje. Inny się śmiał.

Benna wpatrywał się w nieznajomych, a na jego szczupłych

policzkach oświetlonych migotliwym pomarańczowym blaskiem lśniły łyzy.

- Ale dlaczego oni... dlaczego oni...?

- Ciii.

Monza patrzyła, jak kłęby dymu wzbijają się w bezchmurne nocne niebo. Cała jej praca. Pot i ból. Pozostała tam jeszcze długo po odejściu mężczyzn, obserwując płonące pole.

Rankiem przyszli kolejni ludzie. Mieszkańcy doliny, o surowych obliczach żądnych zemsty. Na ich czele stał stary Destort z ostrzem przy pasie, a za nim szli jego trzej synowie.

- Więc tutaj też przyszli? Macie szczęście, że żyjecie. W dolinie zabili Creviego razem z żoną i synem.

- Co zamierzacie zrobić?

- Wytropimy ich i powiesimy.

- Pójdziemy z wami.

- Może lepiej...

- Pójdziemy z wami.

Destort nie zawsze był młynarzem i znał się na rzeczy. Następnego wieczoru dogonili napastników, którzy wędrowali na południe i rozbili obóz w lesie, nawet nie wystawiwszy porządną straż. Złodzieje, a nie żołnierze. Byli wśród nich także farmerzy z drugiej strony granicy, którzy postanowili wyrównać jakieś wydumane rachunki, podczas gdy ich panowie byli zajęci własnymi konfliktami.

- Jeśli ktoś nie jest gotowy zabijać, lepiej niech tutaj zostanie. - Destort dobył szpady, a pozostali przygotowali tasaki, topory i prowizoryczne włócznie.

- Zaczekaj - syknął Benna, kurczowo chwytając rękę Monzy.

- Nie.

Trzymając się nisko na nogach i dzierżąc w dłoni szpadę ojca, pobiegła cicho ku ogniskom migoczącym pomiędzy czarnymi drzewami. Usłyszała krzyk, szcęk metalu, odgłos cięciwy.

Wyłoniła się z zarośli. Dwaj mężczyźni siedzieli przykucnięci przy kociołku parującym nad ogniskiem. Jeden miał gęstą brodę i topór w dłoni. Zanim zdążył go unieść, Monza cięła go po

oczach i z wrzaskiem upadł na ziemię. Drugi chciał rzucić się do ucieczki, ale przebiła go od tyłu, nim zdążył postawić chociaż jeden krok. Brodacz ryczał, trzymając się za twarz. Dźgnęła go w pierś, a wtedy z jękiem wypuścił z płuc kilka wilgotnych oddechów, po czym znieruchomiał.

Patrzyła na dwa trupy, słysząc, jak odgłosy walki powoli zamierają. Benna wypełził spomiędzy drzew, zabrał sakiewkę wiszącą przy pasku brodacza i wysypał na dłoń ciężkie srebrne monety.

- Ma siedemnaście szalek.

To dwa razy więcej niż były warte ich całe plony. Po chwili Benna z wytrzeszczonymi oczami podał siostrze sakiewkę drugiego mężczyzny.

- Ten ma trzydzieści.

- Trzydzieści? - Monza popatrzyła na krew pokrywającą szpadę ojca i ze zdziwieniem pomyślała, że oto stała się morderczynią. Zaskakujące, że tak łatwo jej to poszło. Łatwiej niż oranie kamienistego pola. Znacznie łatwiej. Później czekała, aż dopadną ją wyrzuty sumienia. Długo czekała.

Nigdy nie nadeszły.

Truczna

Takie popołudnia Morveer lubił najbardziej. Rześkie, wręcz chłodne, lecz idealnie spokojne i nieskazitelne. Jasne słońce przeświecało między czarnymi bezlistnymi konarami drzew owocowych, odnajdywało nieliczne drobinki złota pośród ciemnych miedzianych trójnogów, prętów i śrub, krzeszło przepiękne iskry na płataninie zaparowanych szklanych naczyń. W taki dzień nie było niczego piękniejszego od pracy na świeżym powietrzu, tym bardziej, że tutaj ewentualne śmiercionośne opary rozwiałyby się, nie wyrządzając nikomu krzywdy. Osoby parające się fachem Morveera zbyt często padały ofiarą wytwarzanych przez siebie substancji, a on nie miał zamiaru zasilić tego grona. Także dlatego, że zrujnowałoby to jego reputację.

Morveer uśmiechał się do falującego płomienia lampy, kiwał głową w rytm delikatnego grzechotania skraplacza i retorty, uspokajającego syku uciekającej pary, pracowitego pykania i bulgotania wrzących odczynników. Te dźwięki były dla niego jak szczęk ostrza dla fehmistrza albo brzęk monet dla kupca. Świadczyły o dobrze wykonanej pracy. Dlatego z zadowoleniem i satysfakcją obserwował skupioną twarz Dzionek, widoczną przez zniekształcające obraz szkło stożkowej menzurki.

Bez wątpienia miała ładną twarz: w kształcie serca, okoloną jasnymi lokami, był to jednak przeciętny i całkowicie niegroźny rodzaj urody, który dodatkowo łagodziła rozbrajająca aura niewinności. Taka twarz, choć miła dla oka, nie prowokowała do dalszych komentarzy. Łatwo wypadła z pamięci. Właśnie dlatego Morveer wybrał tę dziewczynę. Niczego nie robił przypadkowo.

Na wylocie skraplacza uformował się klejnot wilgoci. Rozciągnął się, nadał, aż w końcu uwolnił i w ciszy spadł na dno menzurki, po drodze migocząc w powietrzu.

- Wspaniale - mruknął Morveer.

Kolejne kropelki rosły i odrywały się w uroczystej procesji. Ostatnia niechętnie zawisała na krawędzi, a wtedy Dzionek delikatnie poruszyła szklanym naczyniem i kropla spadła, dołączając do reszty. Płyn na dnie menzurki wyglądał jak woda. Wystarczyłoby go jedynie do zamoczenia ust.

- A teraz ostrożnie, moja droga, bardzo, bardzo ostrożnie. Twoje życie wisi na włosku. Moje również.

Wypchnęła językiem dolną wargę, starannie odkręciła skraplacz, po czym postawiła go na tacy. Potem powoli dołączyła do niego kolejne elementy aparatury. Uczennica Morveera miała delikatne, miękkie dłonie. Zwinne, a zarazem pewne, właśnie takie jak trzeba. Ostrożnie zatkała menzurkę korkiem i uniosła naczynie do światła. Uśmiechnęła się, gdy słońce upodobniło odrobinę płynu do ciekłych diamentów. Miała niewinny i ładny uśmiech, który jednak nie zapadał w pamięć.

- Nie wygląda zbyt imponująco.

- Właśnie o to chodzi. Nie ma koloru, zapachu ani smaku. A jednak wystarczy najmniejsza kropelka, najdelikatniejszy opar albo nawet najlżejszy dotyk na skórze, by zabić człowieka w ciągu kilku minut. Nie ma żadnego antidotum, lekarstwa ani ochrony. Zaprawdę jest to Król Trucizn.

- Król Trucizn - westchnęła z odpowiednim podziwem.

- Zachowaj tę wiedzę w sercu, moja droga, i wykorzystaj tylko w najpilniejszej potrzebie. Tylko przeciwko najbardziej sprytnym, podejrzliwym i niebezpiecznym celom. Tylko przeciwko tym, którzy są blisko zaznajomieni ze sztuką trucizn.

- Rozumiem. Przede wszystkim ostrożność, jak zwykle.

- Znakomicie. To najcenniejsza z lekcji. - Morveer wyprostował się na krześle i złączył palce dłoni. - Poznałaś moją najpilniej strzeżoną tajemnicę. Twoja nauka dobiegła końca,

ale... mam nadzieję, że pozostaniesz przy mnie jako moja asystentka.

- Będę zaszczycona, mogąc pozostać w twojej służbie. Muszę się jeszcze wiele nauczyć.

- Jak my wszyscy, moja droga. - Morveer zadarł głowę, gdy usłyszał rozbrzmiewający w oddali odgłos dzwonka przy bramie. - Jak my wszyscy.

Dwie postacie zbliżały się do domu długą ścieżką wiodącą przez sad. Morveer szybko otworzył lunetę i skierował ją na przybyszy. Mężczyzna i kobieta. On bardzo wysoki, a zarazem potężny, ubrany w wytarty płaszcz, z długimi włosami powiewającymi na wietrze. Sądząc po wyglądzie, Północny.

- Prymityw - mruknął Morveer. Pogardzał takimi ludźmi, skłonny do dzikich zachowań i podatnymi na przesady.

Następnie skierował lunetę na kobietę, która była ubrana w męski strój. Patrzyła w stronę domu. Wydawało się, że wbija wzrok w Morveera. Bez wątpienia miała piękną twarz, okoloną włosami czarnymi jak węgiel. Jednakże był to surowy i niepokojący rodzaj piękna, który dodatkowo wyostrzała ponura aura determinacji. Taką twarz niełatwo zapomnieć. Oczywiście, pod względem urody nie mogła się równać z matką Morveera, ale któż by mógł? Jego matka niemal wykraczała poza kanony ludzkiego piękna dzięki swym boskim cechom. Jej czysty uśmiech całowany przez blask słońca na zawsze wyrzył się w pamięci Morveera, niczym...

- Goście? - spytała Dzionek.

- Przyjechała Murcatto. - Pstryknął palcami w stronę stołu. - Posprzątaj to wszystko. Tylko pamiętaj, bardzo ostrożnie! Potem przynieś wino i ciasto.

- Mam coś do niego dodać?

- Tylko śliwki i morele. Chcę przywitać moich gości, a nie ich zabić. - Przynajmniej dopóki nie wysłucha, co mają do powiedzenia.

Podczas gdy Dzionek sprzątała ze stołu, rozkładała obrus i ustawiała krzesła, Morveer zadbał o podstawowe środki bezpieczeństwa. Potem usiadł, wyciągając przed siebie

skrzyżowane nogi w butach do kolan oraz krzyżując ręce na piersi, zupełnie jak wiejski panicz napawający się zimowym powietrzem w swojej posiadłości. W końcu sobie na to zasłużył, nieprawdaż?

Gdy goście zbliżyli się do domu, wstał z przymilnym uśmiechem. Murcatto lekko kulała. Dobrze to maskowała, ale wieloletnia praca w tej branży sprawiła, że Morveer miał zmysły wyostrzone jak brzytwa i nie mógł mu umknąć żaden szczegół. Przy prawym boku nosiła ostrze, i to przedniej jakości, ale nie zwracał na nie większej uwagi. Brzydkie, nieskomplikowane narzędzia. Panowie czasami je noszą, ale tylko ludzie nieokrzesani i gniewni zniżają się do używania ich. Na prawej dłoni Murcatto miała rękawiczkę, co oznaczało, że pragnie coś ukryć, gdyż lewa dłoń była odsłonięta i ozdobiona krwistoczerwonym klejnotem wielkim jak paznokieć kciuka. Jeśli to był rubin, a na to wyglądało, to był obiecująco wartościowy.

- Jestem...

- Jesteś Monzcarro Murcatto, niegdyś generał Tysiąca Ostrzy, ostatnio w służbie księcia Orso z Talinsu. - Morveer uznał, że lepiej nie dotykać rękawiczki, więc wyciągnął w stronę Monzy lewą rękę skierowaną dłonią do góry, w geście pokory i poddaństwa. - Pewien kantycki dżentelmen, którego oboje znamy, niejaki Sajaam, uprzedził mnie o twojej wizycie. - Ucisnęła jego dłoń mocno i rzeczowo. - A jak ty się nazywasz, przyjacielu? - Morveer obłudnie się skłonił i ujął w obie dłonie potężną prawicę Północnego.

- Caul Dreszcz.

- Zaprawdę, zawsze uważałem wasze północne imiona za rozkosznie obrazowe.

- Za jakie je uważałeś?

- Ładne.

- Aha.

Morveer jeszcze przez chwilę trzymał dłoń Dreszcza, po czym ją puścił.

- Proszę bardzo, siadajcie. - Uśmiechnął się do Murcatto,

która, sadowiąc się na krześle, pozwoliła sobie tylko na przelotny grymas bólu. - Muszę przyznać, że spodziewałem się kogoś znacznie mniej pięknego.

Zmarszczyła brwi.

- A ja nie spodziewałam się, że będziesz taki uprzejmy.

- Och, potrafię być bardzo nieuprzejmy, kiedy to konieczne, możesz mi wierzyć.

Dziencek zbliżyła się bezszelestnie i postawiła na stole talerz ze słodkim ciastem oraz tacę z butelką wina i kieliszkami.

- Ale w tej chwili nie mam ku temu powodu, prawda? Wina?

Goście wymienili znaczące spojrzenia. Morveer wyszczerzył zęby, po czym wyciągnął korek i napełnił swój kieliszek.

- Jesteście najemnikami, ale zakładam, że nie okradacie ani nie zastraszacie każdego napotkanego człowieka. Tak samo ja nie staram się otruć wszystkich znajomych. - Głośno siorbnał wino, jakby chcąc podkreślić, że to całkowicie bezpieczne. - Kto by mi wtedy zapłacił? Jesteście bezpieczni.

- Mimo wszystko, pozwolisz, że odmówimy.

Dziencek sięgnęła po ciasto.

- Czy mogę...?

- Ależ nie żałuj sobie - odparł Morveer, a następnie zwrócił się do Murcatto: - Zatem nie przyjechaliście, żeby napić się mojego wina.

- Nie. Mam dla ciebie pracę.

Morveer przyjrzał się skórkom wokół paznokci.

- Zapewne chodzi o śmierć wielkiego księcia Orso i kilku innych osób.

Monza milczała, ale Morveer chętnie kontynuował, zakładając, że zażądała wyjaśnień.

- Nie trzeba dysponować wybitnym intelektem, by się tego domyślić. Orso ogłasza, że ciebie i twojego brata zabili agenci Ligi Ośmiu. Potem słyszę z ust naszego przyjaciela Sajaama, że wcale nie jesteś tak martwa jak twierdzono. A skoro nie doszło do łzawego spotkania z Orso i nie ogłoszono twojego cudownego ocalenia, możemy zakładać, że ospriańscy zabójcy tak naprawdę... zostali wymyśleni. Książę Talinsu słynie z

zazdrosnej natury, a liczne zwycięstwa uczyniły cię zbyt popularną jak na gust twego pana. Czy jestem blisko prawdy?

- Wystarczająco blisko.

- Zatem przyjmij moje szczerze kondolencje. Widzę, że twojego brata z nami nie ma, a wiem, że byliście nierozłączni.

Jej zimne niebieskie oczy stały się lodowate. Potężny Północny patrzył na niego w milczeniu z posępną miną. Morveer ostrożnie odchrząknął. Być może ostrza to nieskomplikowane narzędzia, ale szpada wbita w brzuch zabija mądrych z równą łatwością jak głupich.

- Zdajesz sobie sprawę, że jestem najlepszy w swoim fachu.

- To fakt - rzekła Dzionek, na chwilę odrywając się od słodczy. - Niepodważalny fakt.

- Liczne znakomitości, wobec których użyłem swych talentów, z pewnością by to potwierdziły, gdyby mogły, ale oczywiście nie są w stanie.

Dzionek ze smutkiem pokręciła głową.

- Ani jedna.

- Do czego zmierzasz? - spytała Murcatto.

- Jakość kosztuje. Być może więcej, niż potrafisz zaoferować, skoro straciłaś pracodawcę. Słyszałaś o Somenu Hermonie?

- To nazwisko brzmi znajomo.

- Nie dla mnie - wtrąciła Dzionek.

Morveer wziął na siebie ciężar wyjaśnień.

- Hermon był ubogim kantyckim imigrantem, który został najbogatszym kupcem w Musselii. Jego luksusowy styl życia i szczodrość przeszły do legendy.

- No i co?

- Niestety, przebywał w mieście, gdy oddział Tysiąc Ostrzy, opłacany przez wielkiego księcia Orso, z zaskoczenia zajął Musselię. Ograniczyli ofiary do minimum, ale splądrowali miasto i nikt więcej nie słyszał o Hermonie ani jego pieniądzech. Zakładano, że Somen, jak to kupiec, przesadnie opisywał swe bogactwo, a tak naprawdę poza krzykliwymi, wspaniałymi sprzętami, nie posiadał... absolutnie... nic. - Morveer powoli upił łyk wina, spoglądając na Murcatto ponad

krawędzią kielicha. - Jednak inni powinni o tym wiedzieć więcej. Dowódcami podczas tamtej kampanii byli... jak oni się nazywali? To chyba byli... brat i siostra?

Popatrzyła mu w oczy.

- Hermon był znacznie bogatszy, niż wszyscy myśleli.

- Bogatszy? - Morveer poprawił się na krześle. - Bogatszy? Ojej! Przewaga dla Murcatto! Czy widzisz, jak niespokojnie się wiercę, słysząc o tak niewyobrażalnej ilości złota, która niewątpliwie wystarczy, by wielokrotnie zapłacić moje skromne honorarium? Cóż... obezwładniająca chciwość dosłownie mnie... - Uniósł otwartą dłoń, po czym z hukiem uderzył nią o blat. - Sparaliżowała.

Dreszcz powoli przechylił się na bok, ześlizgnął z krzesła i z głuchym grzmotnięciem upadł na nierówną ziemię pod drzewami owocowymi. Spokojnie przetoczył się na plecy z kolanami uniesionymi w powietrze pod tym samym kątem co podczas siedzenia. Jego ciało zeszywniało jak kawał drewna, oczy bezsilnie spoglądały w górę.

- Ach - odezwał się Morveer, zerkając ponad stołem. - Jednak przewaga dla Morveera.

Murcatto poruszyła oczami w bok. Jedną stronę jej twarzy na chwilę opanowały drgawki. Dłoń w rękawiczce lekko zadygotała na blacie, po czym znieruchomiała.

- Zadziało - szepnęła Dzionek.

- Jak mogłaś we mnie wątpić? - Morveer uwielbiał występy przed publicznością, więc nie mógł się powstrzymać przed wyjaśnieniem, jak tego dokonał. - Najpierw pokryłem dłonie olejkami z lindernii. - Podniósł ręce i rozłożył palce. - Żeby substancja na mnie nie podziałała, sami rozumiecie. Przecież nie chciałbym nagle zostać sparaliżowany. To byłoby zdecydowanie nieprzyjemne doświadczenie! - Zachichotał, a Dzionek dołączyła do niego wyższym głosem, jednocześnie pochylając się z kawałkiem ciasta w zębach, by sprawdzić puls Dreszcza. - Aktywnym składnikiem była esencja jadu pająka. Niezwykle skuteczna, wystarczy jeden dotyk. Jako że dłużej trzymałem dłoń twojego przyjaciela, przyjął większą dawkę.

Będzie miał szczęście, jeżeli paraliż dziś ustąpi... oczywiście jeśli pozwolę mu się ponownie poruszyć. Ale ty powinnaś być w stanie mówić.

- Draniu - wystękała Murcatto przez odrętwiałe usta.

- Widzę, że tak jest w istocie. - Wstał, okrążył stół i usiadł obok niej na blacie. - Naprawdę mi przykro, ale zrozum, że podobnie jak ty wspiałem się na szczyt w swojej profesji, a ludzie o niezwykłych umiejętnościach i osiągnięciach muszą stosować niezwykle środki ostrożności. Teraz, gdy już nie przeszkadza nam twoja ruchliwość, możemy porozmawiać całkowicie szczerze na temat... wielkiego księcia Orso. - Przepłukał usta winem, obserwując małego ptaka krążącego między gałęziami.

Murcatto nie odpowiedziała, ale to nie miało znaczenia. Morveer nie miał nic przeciwko mówieniu za nich oboje.

- Rozumiem, że wyrządzono ci straszliwą krzywdę. Zdradził cię człowiek, który wiele ci zawdzięczał. Zabił twojego ukochanego brata, a ciebie uczynił... kimś gorszym niż byłeś poprzednio. Zapewniam cię, że w moim życiu również nie brakowało bolesnych niepowodzeń, więc ci współczuję. Jednak świat jest po brzegi wypełniony okrucieństwem, a my, skromne jednostki, możemy go zmieniać tylko... w niewielkim stopniu. - Posłał surowe spojrzenie Dzionek głośno pałaszującej ciasto.

- No co? - mruknęła z pełnymi ustami.

- Ciszej, jeśli możesz, staram się wyłożyć swoją myśl.

Wzruszyła ramionami, oblizując palce z niepotrzebnym mlaskaniem. Morveer westchnął z niezadowoleniem.

- Młodzi ludzie na nic nie zważają. Ale kiedyś się nauczy. W końcu dla nas wszystkich czas maszeruje tylko w jednym kierunku, prawda, Murcatto?

- Daruj sobie, kurwa, to filozofowanie - wykrztusiła przez zaciśnięte usta.

- Zatem skupmy się na sprawach praktycznych. Z twoją wydatną pomocą Orso stał się najpotężniejszym człowiekiem w Styrii. Nie zamierzam udawać, że znam się równie dobrze jak ty na kwestiach wojskowości, ale nie trzeba być Stolicusem, by

zauważyć, że po twoim słynnym zeszłorocznym zwycięstwie na Wysokim Brzegu Liga Ośmiu znalazła się na krawędzi upadku. Tylko cud może ocalić Visserine, gdy nadejdzie lato. Ospriańczycy podpiszą traktat pokojowy albo zostaną zmiażdżeni, wszystko zależy od kaprysu Orso, który, jak wiesz najlepiej ze wszystkich, częściej skłania się ku miażdżeniu. Do końca roku, jeśli nie wydarzy się nic niespodziewanego. Styria wreszcie będzie miała króla. Dobiegną kresu Krwawe Lata. - Osuszył kieliszek i wykonał nim obszerny gest. - Pokój i dobrobyt dla wszystkich! Lepszy świat, czyż nie? Chyba że jest się najemnikiem.

- Albo trucicielem.

- Wprost przeciwnie, w czasach pokoju również nie narzekamy na brak zajęcia. Jednak chodzi mi o to, że zabicie wielkiego księcia Orso, jeżeli w ogóle jest możliwe, nikomu się nie przysłuży. Nawet tobie. Nie przywróci życia twojemu bratu, nie uleczy twojej dłoni ani nóg.

Jej twarz nawet nie drgnęła, jednak mogło to być skutkiem paraliżu.

- Podjęcie takiej próby zapewne skończy się twoją śmiercią, być może także moją. Dlatego musisz powstrzymać się od tego szaleństwa, moja droga Monzcarro. Powstrzymaj się natychmiast i więcej o tym nie myśl.

Jej bezlitosne oczy przypominały naczynia z trucizną.

- Tylko śmierć mnie powstrzyma. Moja albo Orso.

- Niezależnie od ceny? Niezależnie od bólu? Niezależnie od tego, kto zginie po drodze?

- Niezależnie - warknęła.

- Zatem przekonałaś mnie, że jesteś oddana sprawie.

- Całkowicie.

Morveer się rozpromienił.

- Teraz możemy dobić targu. Wyłącznie na tej podstawie. Czego nie lubię, Dzionek?

- Półśrodków - mruknęła asystentka, zerkając na ostatni kawałek ciasta na talerzu.

- Zgadza się. Ilu ludzi zabijemy?

- Sześciu - odpowiedziała Murcatto. - Wliczając Orso.

- Więc moje honorarium wyniesie dziesięć tysięcy szalek za drugoplanowe cele, płatne po dostarczeniu dowodu ich zgonu, oraz pięćdziesiąt tysięcy za samego księcia Talinsu.

Jej twarz drgnęła.

- Czy dobre maniery pozwalają prowadzić negocjacje, gdy klient jest bezsilny?

- Kierowanie się dobrymi manierami podczas rozmowy o morderstwie byłoby niedorzeczne. Zresztą nie mam zwyczaju się targować.

- Zatem umowa stoi.

- Bardzo się cieszę. Poproszę o odtrutkę.

Dzionek odkorkowała szklany słoiczek, zanurzyła czubek wąskiego noża w gęstym wywarze aż po samo dno, po czym podała ostrze Morveerowi rękojeścią do przodu. Truciciel znieruchomiał, patrząc w lodowate niebieskie oczy Murcatto.

Przede wszystkim ostrożność. Ta kobieta, którą zwą Wężem Talinsu, jest niezwykle niebezpieczna. Nawet gdyby Morveer nie domyślił się tego na podstawie jej reputacji, przebiegu ich rozmowy albo natury jej propozycji, to wystarczyłoby mu jedno spojrzenie w jej oczy. Przez chwilę poważnie się zastanawiał, czy nie zadać jej śmiertelnego pchnięcia, nie wrzucić jej przyjaciela z Północy do rzeki i nie zapomnieć o całej sprawie.

Ale zabicie wielkiego księcia Orso, najpotężniejszego człowieka w Styrii? Zmiana biegu historii za pomocą jednego przebłysku trucicielskiego talentu? Sprawienie, że jego czyn, a może nawet imię, zostanie zapamiętane na wieki? Czy istnieje lepszy sposób na ukoronowanie kariery niż osiągnięcie niemożliwego? Ta myśl sprawiła, że uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Westchnął przeciągle.

- Mam nadzieję, że nie będę tego żałował. - Ukłął Murcatto czubkiem noża w wierzch dłoni, na której powoli pojawiła się pojedyncza kropla krwi.

Po kilku chwilach odtrutka zaczęła działać. Monza skrzywiła się i powoli odwróciła głowę najpierw w jedną, a potem w

drugą stronę, po czym poruszyła mięśniami twarzy.

- Czuję się zaskoczona.

- Naprawdę? Dlaczego?

Potarła ślad na dłoni.

- Kto by pomyślał, że wielki Mistrz Trucizn ma taki mały sztylecik.

Uśmiech zniknął z twarzy Morveera. Oczywiście, po chwili odzyskał panowanie nad sobą, jednak najpierw musiał ostrym spojrzeniem uciszyć chichot Dzionek.

- Mam nadzieję, że ta chwilowa bezsilność nie okazała się nadto uciążliwa. Chyba mi wybaczysz? Mamy współpracować, więc nie chciałbym, żeby ten incydent kładł się cieniem na naszej relacji.

- Oczywiście. - Poruszyła ramionami, uśmiechając się półgębkiem. - Potrzebuję tego, co masz, a ty chcesz tego, co ja mam. Czysty interes.

- Znakomicie. Wspaniale. Niezrównanie. - Morveer posłał Monzie swój najbardziej ujmujący uśmiech.

A jednak nie uwierzył jej. To było śmiercionośne zadanie i miał do czynienia ze śmiercionośnym zleceniodawcą. Monzcarro Murcatto, niesławna Rzeźniczka z Caprile, nie miała w zwyczaju przebaczać. Wiedział, że mu nie darowała. Nie mógł nawet o tym marzyć. Dlatego od tej chwili miała się liczyć ostrożność, ostrożność i jeszcze raz ostrożność.

Nauka i magia

Dreszcz zatrzymał konia na szczycie wzniesienia. W dole rozciągał się wiejski krajobraz, chaotyczna mozaika ciemnych pól gdzieniegdzie poprząkanych tłoczonymi gospodarstwami, wioskami bądź kępami bezlistnych drzew. W odległości niecałego tuzina mil zaczynało się czarne morze, szeroki łuk zatoki, wzdłuż której rozciągała się blada skorupa miasta. Skupiska malutkich wież stały na trzech wzgórzach ponad zimną słońną otchłanią, pod żelaziste szarym niebem.

- Westport - rzekł Przyjazny, po czym mlasnął językiem i popędził konia.

Im bardziej się zbliżali do tego przeklętego miejsca, tym bardziej Dreszcz się martwił i tym bardziej obolały, zmarznięty i znudzony się czuł. Zmarszczył brwi, spoglądając na Murcatto, która jechała samotnie przodem, skryta pod kapturem czarna postać na tle czarnego krajobrazu. Koła wozu klekotały na drodze. Konie stukały kopytami i parskały. Kilka wron krakało na gołych polach, ale nikt się nie odzywał.

Od samego początku stanowili ponurą kompanię - w końcu mieli ponure zamiary. Planowali morderstwo. Dreszcz zastanawiał się, co by o tym pomyślał jego ojciec. Grzechotkark, który trzymał się dawnych wartości jak rzep psiego ogona i zawsze szukał sposobu na to, by postąpić właściwie. Zabicie dla pieniędzy człowieka, którego nigdy się nie spotkało, nie pasowało do jego sposobu życia, jakkolwiek się na to patrzyło.

Nagle rozległ się piskliwy śmiech. Dzionek siedziała na wozie obok Morveera z na wpół zjedzonym jabłkiem w dłoni. Dreszcz od dawna nie słyszał niczyjego śmiechu i teraz dał się zwabić jak ćma do płomienia.

- Co cię tak bawi? - spytał. Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

Nachyliła się w jego stronę, kołysząc się razem z wozem.

- Po prostu zastanawiałam się, czy zlałeś się w spodnie, kiedy spadłeś z krzesła jak wywrócony żółw.

- Ja twierdziłem, że pewnie tak - rzekł Morveer. - Chociaż wątpię, czy udałoby się nam wyczuć różnicę.

Uśmiech zgasł na ustach Dreszcza. Przypomniawszy sobie, jak siedział w sadzie, rzucając surowe spojrzenia ponad stołem, starając się wyglądać groźnie. Nagle poczuł mrowienie, a potem zawroty głowy. Próbował unieść rękę do głowy, ale nie potrafił. Próbował coś powiedzieć, ale również nie był w stanie. Potem świat się przewrócił. Dreszcz nie pamiętał, co było dalej.

- Co mi zrobiliście? - spytał, ścisząc głos. - To były czary?

Dziencek parsknęła śmiechem, plując kawałkami jabłka.

- Oho, robi się coraz ciekawiej.

- A myślałem, że będzie nudnym towarzyszem podróży. - Morveer zachichotał. - Czary, daję słowo. Zupełnie jak w jednej z tych opowieści.

- W tych dużych, grubych, głupich książkach! O magach, diabłach i całej reszcie! - Dziencek chichotała na całego. - Głupich historyjkach dla dzieci!

- W porządku - odrzekł Dreszcz. - Już rozumiem. Jestem bystry jak pieprzony pstrąg w syropie. To nie były czary. Więc co?

Dziencek uśmiechnęła się z wyższością.

- Nauka.

Na Dreszczu nie zrobiło to wrażenia.

- A co to takiego? Jakiś inny rodzaj magii?

- Zdecydowanie nie - prychnął Morveer. - Nauka to system racjonalnej myśli stworzony w celu badania świata i ustalania, według jakich praw on funkcjonuje. Naukowiec korzysta z tych praw, by osiągnąć konkretny cel, który w oczach ludzi prymitywnych może uchodzić za magię.

Dreszcz nie radził sobie z tymi długimi styriańskimi słowami. Chociaż Morveer uważał się za mądrego, mówił jak głupiec,

niepotrzebnie komplikując to, co było proste.

- Tymczasem magia to system kłamstw i bzdur stworzony w celu ogłupiania idiotów.

- Masz rację. Pewnie jestem najgłupszym draniem w całym Kręgu Świata, co? Dziwne, że potrafię nie zesrać się w spodnie, choć nie myślę cały czas o swojej dupie.

- Przyszło mi to do głowy.

- Magia istnieje - mruknął Dreszcz. - Widziałem, jak pewna kobieta przywołała mgłę.

- Naprawdę? A czym się różniła od zwykłej mgły? Miała czarodziejski kolor? Zielony? Pomarańczowy?

Dreszcz zmarszczył brwi.

- Taki jak zwykle.

- Zatem ta kobieta zawołała i pojawiła się mgła. - Morveer popatrzył na swoją asystentkę, unosząc brew. - Rzeczywiście cud.

Dziencek wyszczerzyła zęby i wgryzła się w jabłko.

- Widziałem mężczyznę naznaczonego literami, które czyniły połowę jego ciała odporną na każde ostrze - powiedział Dreszcz.

- Sam go uderzyłem włócznią. Powinien zginąć na miejscu, ale nawet go nie drasnąłem.

- Ooooooch! - Morveer uniósł obie dłonie i pomachał palcami jak dziecko bawiące się w ducha. - Magiczne litery! Najpierw nie było rany, a potem... nie było rany? Kajam się! Świat zaiste jest pełen cudów.

Dziencek znów zachichotała.

- Wiem, co widziałem.

- Nie, mój oszołomiony przyjacielu, wydaje ci się, że wiesz. Nie ma czegoś takiego jak magia. Z pewnością nie w Styrii.

- Tylko zdrada, wojna, plaga i pieniądze do zdobycia! - zawołała Dziencek śpiewnie.

- A tak właściwie, to dlaczego zaszczyciłeś Styrię swoją obecnością? - spytał Morveer. - Dlaczego nie zostałeś na Północy, spowitej magicznymi mgłami?

Dreszcz potarł bok szyi. W tej chwili jego motywy wydawały mu się dziwne i gdy o nich mówił, czuł się jak głupiec.

- Przybyłem tutaj, by stać się lepszym człowiekiem.

- To chyba nie będzie trudne, biorąc pod uwagę poziom, z którego zaczynasz.

Dreszcz nadal był człowiekiem honoru, dlatego kpiny tego kutasa zaczynały mu działać na nerwy. Miał ochotę strącić go z wozu toporem, ale dążył do bycia kimś lepszym, więc zamiast tego nachylił się i powiedział w języku Północy, uprzejmie i z namaszczeniem:

- Myślę, że masz łeb pełen gówna, co mnie wcale nie dziwi, bo twoja twarz przypomina dupę. Wy, kurduple, wszyscy jesteście tacy sami. Zawsze staracie się udowodnić, jacy jesteście mądrzy, żeby poczuć się z czegoś dumni. Ale nie ma znaczenia, jak bardzo będziesz się ze mnie śmiał. Ja i tak wygrałem, bo ty nigdy nie będziesz wysoki. - Szeroko się uśmiechnął. - Całe życie będziesz marzył o tym, żeby móc patrzeć ponad głowami ludzi.

Morveer zmarszczył brwi.

- Co ma znaczyć ten bełkot?

- Jesteś, kurwa, naukowcem. Domyśl się.

Dziencek parsknęła piskliwym śmiechem i Morveer musiał ją uciszyć surowym spojrzeniem. Nie przestała się uśmiechać, ogryzając jabłko do samych pestek, które następnie wyrzuciła. Dreszcz został w tyle i zapatrzył się na puste pola stwardniałe od porannego mrozu. Przypominały mu o domu. Westchnął, wydmuchując parę w kierunku szarego nieba. Wszyscy jego przyjaciele byli wojownikami: Carlami bądź Ludźmi Imiennymi, towarzyszami broni. Większość z nich już wróciła do ziemi. Dreszcz miał wrażenie, że spośród ludzi spotkanych w Styrii najbardziej przypomina ich Przyjazny, dlatego teraz trącił konia piętami i zrównał się ze skazańcem.

- Hej.

Przyjazny nie odpowiedział. Nawet nie poruszył głową, by pokazać, że usłyszał powitanie. Cisza się przedłużała. Patrząc na oblicze niewzruszone jak ceglany mur, Dreszcz nie potrafił sobie wyobrazić, że skazaniec mógłby się dla niego stać bliskim kompanem, z którym można się pośmiać. Ale nie należy tracić

nadziei, czyż nie?

- Byłeś kiedyś żołnierzem?

Przyjazny pokręcił głową.

- Ale brałeś udział w bitwach?

Ponownie zaprzeczył.

Dreszcz się nie poddawał, zupełnie jakby Przyjazny przytaknął. Nie miał wyboru.

- Ja w kilku walczyłem. Szarżowałem we mgle razem z wojownikami Bethoda na północ od Cumnuru. Bronilem się u boku Rudda Trójdrzewca pod Dunbrece. Przez siedem dni walczyliśmy w górach ramię w ramię z Wilczarzem. To był straszliwy tydzień.

- Siedem? - spytał Przyjazny, a jego gruba brew drgnęła.

- Tak - odparł Dreszcz. - Siedem. - Tamte imiona i nazwy nic tutaj nie znaczyły. Popatrzył na kilka zakrytych wozów jadących z naprzeciwka. Siedzący na nich mężczyźni w stalowych hełmach uzbrojeni w kusze patrzyli na niego surowo.

- Gdzie się nauczyłeś tak walczyć? - spytał, chociaż już tracił nadzieję na prawdziwą rozmowę.

- W Bezpiecznym Miejscu.

- Gdzie?

- Tam, gdzie cię wsadzają, gdy popełnisz jakieś przestępstwo.

- Wtedy zapewniają ci bezpieczeństwo?

- Nie tobie, tylko innym ludziom, których przed tobą chronią. Wyliczają dni, miesiące, lata, a potem zamykają cię głęboko, gdzie nie dociera światło, dopóki wszystkie te dni, miesiące, lata nie przeminą. Wtedy im dziękujesz, a oni wypuszczają cię na wolność.

Dreszcz uznał to za barbarzyńskie rozwiązanie.

- Na Północy, gdy popełnisz zbrodnię, musisz się wykupić. Albo cię wieszają, jeśli tak postanowi wódz, bądź naczynają krwawym krzyżem, jeśli kogoś zamordowałeś. Ale zamknąć człowieka w jakiejś norze? Przecież to zbrodnia.

Przyjazny wzruszył ramionami.

- Mają tam sensowne zasady. Na wszystko jest odpowiednia pora. Odpowiednia liczba na wielkim zegarze. Nie to, co tutaj.

- Ach, no tak. Liczby i w ogóle. - Dreszcz żałował, że w ogóle o to zapytał.

Wydawało się, że Przyjazny go nie słucha.

- Tutaj niebo jest za wysoko, a każdy człowiek robi, co chce i kiedy chce. I na nic nie ma odpowiednich liczb. - Patrzył surowym wzrokiem ku Westportowi, który wciąż miał postać zamglonego pasa budynków otaczających zimną zatokę. - Pieprzony chaos.

Dotarli do miejskich murów około południa i zastali tam długą kolejkę ludzi czekających na wpuszczenie. Przy bramie stali żołnierze, którzy zadawali pytania, przeszukiwali pakunki i skrzynie oraz bez przekonania dźgali ładunki wozów drzewcami włóczni.

- Rada Miasta jest niespokojna od czasu upadku Borletty - wyjaśnił siedzący na wozie Morveer. - Sprawdzają każdego, kto wchodzi. Ja z nimi porozmawiam.

Dreszcz chętnie na to przystał, wiedząc, że ten kutas uwielbia brzmienie swojego głosu.

- Imię? - rzucił strażnik, kierując na nich potwornie znudzone spojrzenie.

- Reevrom - odrzekł z szerokim uśmiechem truciciel. - Skromny kupiec z Puranti. A oto moi współnicy...

- Po co przyjeżdżacie do Westportu?

- Żeby zabić. - Na chwilę zapadła krępująca cisza. - Zamierzam zabić konkurencję jakością mych ospriańskich win! O tak, to będzie zabójczy sukces. - Morveer zaśmiał się ze swojego żartu, a Dzionek zawtórowała mu piskliwym chichotem.

- Ten wygląda na kogoś, kogo nam tutaj nie potrzeba. - Kolejny strażnik zmierzył wzrokiem Dreszcza.

Morveer nie przestawał się śmiać.

- Och, nie ma potrzeby się nim przejmować. To półgłówek.

Ma umysł dziecka, ale nadaje się do noszenia beczek. W zasadzie trzymam go z sentymentu. Jaki jestem, Dzionek?

- Sentymentalny - odrzekła dziewczyna.

- Mam za miękkie serce. Zawsze taki byłem. Moja matka umarła, gdy byłem bardzo młody. To była cudowna kobieta...

- Szybciej tam! - zawołał ktoś z tyłu.

Morveer chwycił krawędź płótna zakrywającego tył wozu.

- Może chcecie sprawdzić...

- A czy wyglądam, jakbym miał na to ochotę? Pół Styrii czeka, żeby przejść przez tę przeklętą bramę. Dalej. - Strażnik machnął dłonią. - Jedźcie.

Strzeliły lejce i wóz wtoczył się do miasta, a Murcatto i Przyjazny wjechali w ślad za nim. Dreszcz wlekł się na końcu, co ostatnio ciągle mu się przydarzało.

Za murami było tłoczno jak na polu bitwy i wcale nie mniej strasznie. Między wysokimi budynkami wiodła brukowana ulica obsadzona bezlistnymi drzewami, a na niej kłębili się ludzie wszelkich kształtów i kolorów. Bładzi mężczyźni w stonowanych strojach, wąskookie kobiety w jaskrawych jedwabiach, czarnoskórzy ludzie w białych szatach, żołnierze i najemnicy w kolczugach i zbrojach płytowych. Służący, robotnicy, handlarze, dostojni panowie, ludzie bogaci i biedni, eleganccy i cuchnący, arystokraci i żebracy. Bardzo wielu żebraków. Piesi i jeźdźcy przemykający tam i z powrotem, konie, wozy i karoce, kobiety o wysoko upiętych włosach, obwieszane biżuterią, niesione na kołyszących się krzesłach przez pary spoconych służących.

Dreszcz sądził, że w Talinsie roiło się od dziwaków, ale Westport okazał się pod tym względem znacznie gorszy. Przez tłum ktoś prowadził zwierzęta o długich szyjach powiązane cienkimi łańcuchami; ich małe głowy kołysały się smutno. Dreszcz zacisnął powieki i potrząsnął głową, ale gdy otworzył oczy, potwory nadal tam były, górując chwiejnie nad kłębiącą się ludzką masą, która nie zwracała na nie uwagi. To miejsce było jak ze snu, i to niezbyt przyjemnego.

Skrećili w węższą ulicę, wzdłuż której ciągnęły się sklepy i

stragany. Zapachy jeden po drugim atakowały nozdrza - ryby, chleb, środki czyszczące, owoce, olej, przyprawy i tuzin innych, których Dreszcz nie znał - zapierając dech w piersi i wywracając żołądek. Chłopiec jadący na wozie niespodziewanie podsunął Caulowi pod nos wiklinową klatkę, a siedząca w środku małpka zasyczała i opluła go, niemal strącając z siodła. Ogłuszały go wrzaski w niezliczonych językach. A ponad tym wszystkim unosił się jakiś zaśpiew, coraz głośniejszy, dziwny, ale piękny, który sprawiał, że stanęły mu włoski na rękach.

Po jednej stronie placu wznosił się budynek z potężną kopułą; z przedniej ściany wyrastało sześć wysokich wieżyczek o dachach zwieńczonych lśniącymi złotymi iglicami. Właśnie stamtąd dobiegał śpiew. Setki głosów, niskich i wysokich, złączonych w jeden.

- To świątynia. - Murcatto zaczęła na Dreszcza. Wciąż miała na głowie kaptur, spod którego widać było tylko jej zmarszczone czoło.

Dreszcz musiał przyznać, że trochę się jej obawiał. Nie dość, że widział, jak roztrzaskuje człowieka za pomocą młota i sprawia jej to przyjemność, to jeszcze później, kiedy negocjowali, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że chce go zasztyletować. No i jeszcze ta dłoń stale ukryta pod rękawiczką. Nie pamiętał, by kiedykolwiek wcześniej bał się kobiety, i teraz czuł wstyd pomieszany z napięciem. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że nie licząc rękawicy, młota oraz chorego poczucia zagrożenia, Monza mu się podobała. Nawet bardzo. Nie był pewien, czy ta atmosfera zagrożenia nie pociąga go bardziej niż powinna. To wszystko sprawiało, że nie miał pojęcia, co powiedzieć.

- Świątynia?

- Tutaj Południowcy modlą się do Boga.

- Do Boga? - Dreszcza rozboleła szyja od podnoszenia wzroku na iglice, wyższe od najrośniejszych drzew w dolinie, w której przyszedł na świat. Słyszał, że niektórzy ludzie na Południu uważają, że w niebie mieszka jakiś człowiek, który stworzył świat i wszystko widzi. Zawsze wydawało mu się, że to szalona

idea, ale gdy patrzył na ten budynek, niemal w nią wierzył. - Piękne.

- Mniej więcej sto lat temu, gdy Gurkowie podbili Dawah, wielu Południowców przed nimi uciekło. Niektórzy przepłynęli wodę i osiedlili się tutaj. Zbudowali świątynie w podzięce za ocalenie. Westport w takim samym stopniu należy do Południa, jak i do Styrii. Ale jest także częścią Unii, gdyż Rada musiała w końcu opowiedzieć się po którejś ze stron i zapewniła Wysokiemu Królowi zwycięstwo nad Gurkami. Nazywają to miejsce Rozstajami Świata. Przynajmniej ci, którzy nie nazywają go gniazdem kłamców. Osiedlają się tutaj ludzie z Wysp Tysięcznych, z Suljuk i Sikkur, z Thondu i Starego Imperium. Nawet Północni.

- Tylko nie ci głupcy.

- Rzeczywiście, to same prymitywy. Słyszałam, że niektórzy noszą długie włosy jak kobiety. Ale tutaj przyjmuje się każdego.

- Dłonią w rękawiczce wskazała długi rząd ludzi stojących na niewielkich platformach po przeciwnej stronie placu.

Dziwaczne zbiorowisko, nawet jak na to miejsce. Starzy i młodzi, wysocy i niscy, grubi i chudzi, niektórzy w dziwnych szatach lub nakryciach głowy, niektórzy półnaczy i wymalowani, jeden z twarzą poprzebijaną kośćmi. Kilku miało tablice z napisami w różnych alfabetach, część grzechotała koralikami lub świecidełkami. Tańczyli i podskakiwali, wyrzucali ręce w górę, spoglądali w niebo, padali na kolana, płakali, śmiali się, wściekali, śpiewali, wrzeszczeli, błagali i przekrzykiwali się w językach, których istnienia Dreszcz nawet nie podejrzewał.

- Kto to jest, do diabła? - mruknął.

- Święci. Albo szaleńcy, zależy, kogo zapytasz. W Gurkhulu trzeba się modlić zgodnie z nakazami Proroka, ale tutaj każdy może wierzyć, w co zechce.

- Oni się modlą?

Murcatto wzruszyła ramionami.

- Raczej starają się przekonać innych, że odkryli najwłaściwszą drogę.

Tłum obserwował ludzi na platformach. Niektórzy im przytakiwali, inni kręcili głowami, śmiali się, a nawet coś odkrzykiwali. Część stała znudzona. Jeden ze świętych, albo szaleńców, zaczął coś wołać w stronę przejeżdżającego Dreszcza, ale ten nie zrozumiał ani słowa. Mężczyzna uklęknął, wyciągając ręce, grzechocząc koralikami wiszącymi na szyi, krzycząc błagalnie zachrypniętym głosem. Dreszcz widział to w jego zaczerwienionych oczach - mężczyzna wierzył, że robi coś najważniejszego na świecie.

- To pewnie przyjemne uczucie - powiedział Dreszcz.

- Co takiego?

- Wiara w to, że zna się wszystkie odpowiedzi... - Odsunął się, gdy minęła go kobieta prowadząca na smyczy mężczyznę. Potężny ciemnoskóry miał na szyi obrozę z błyszczącego metalu, a w rękach niósł torby, wbijając wzrok w ziemię. - Widziałaś ich?

- Na Południu większość ludzi kogoś posiada albo jest czyjąś własnością.

- Paskudny zwyczaj - mruknął Dreszcz. - Przecież mówiłaś, że miasto należy do Unii.

- A w Unii kochają wolność, prawda? Tam nie można uczynić nikogo niewolnikiem. - Skinęła głową w stronę kolejnych ludzi, którzy pokornie pozwalali się prowadzić w rzędzie. - Ale jeśli pojawiają się tutaj tylko przejazdem, nikt nie próbuje ich uwolnić.

- Przeklęta Unia. Ciągłe chcą mieć więcej ziemi. Na Północy są liczniejsi niż kiedykolwiek. W Uffrith jest ich pełno, odkąd znów wybuchły wojny. Po co im więcej ziemi? Powinnaś zobaczyć ich miasto. Przy nim to miejsce wygląda jak wioska.

Posłała mu ostre spojrzenie.

- Adua?

- Właśnie.

- Byłeś tam?

- Tak. Walczyłem tam z Gurkami. Został mi po tym ślad. - Podciągnął rękaw, pokazując bliznę na nadgarstku. Kiedy popatrzył na Monzę, zobaczył w jej oczach coś, co

przypominało szacunek. Ucieszył się z tego. Już dawno nikt nie okazywał mu niczego poza pogardą.

- Stałeś w cieniu Domu Stwórcy? - spytała.

- Większa część miasta wcześniej czy później znajduje się w jego cieniu.

- Jak tam było?

- Ciemniej. Z mojego doświadczenia wynika, że tak bywa w cieniu.

- Ha.

Po raz pierwszy Dreszcz dostrzegł na jej twarzy coś, co przypominało uśmiech, i doszedł do wniosku, że jest jej z tym do twarzy.

- Zawsze zamierzałam się tam wybrać.

- Do Adui? Co cię powstrzymuje?

- Sześciu ludzi, których muszę zabić.

Dreszcz wydał policzki.

- No tak. - Ogarnęła go fala niepokoju i ponownie zaczął się zastanawiać, dlaczego, u licha, na to przystał. - Zawsze byłem swoim najgorszym wrogiem - mruknął.

- Więc trzymaj się mnie, a wkrótce znajdziesz gorszych. - Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - Jesteśmy na miejscu.

Nie był to cel podnoszący na duchu. Wąska uliczka, ciemna jak noc. Stłoczone rozsypujące się budynki o przegniłych okiennicach i wilgotnych ceglanych ścianach, z których odłaziły połączenia gipsu. Dreszcz przeprowadził konia w ślad za wozem ciemnym łukowato sklepionym przejściem, a Murcatto zamknęła za nimi skrzypiące drzwi i wsunęła na miejsce zardzewiały rygiel. Caul przywiązał konia do gnijącego słupka na dziedzińcu usianym chwastami i oderwanymi płytkami.

- Pałac - mruknął, patrząc w górę na kwadrat szarego nieba i okalające go ściany pokryte wyschniętymi roślinami. Okiennice zwisały żałośnie na zawiasach. - Może kiedyś.

- Wybrałam go ze względu na położenie, a nie wystrój - odparła Murcatto.

Weszli do ponurego holu, z którego pozbawione drzwi przejścia prowadziły do pustych komnat.

- Dużo pokoi - zauważył Dreszcz.

Przyjazny pokiwał głową.

- Dwadzieścia dwa.

Ich buty głucho stukały na skrzypiących stopniach, gdy pięli się przez zgniłe wnętrzości budynku.

- Od czego zaczniesz? - spytała Murcatto Morveera.

- Już zacząłem. Posłałem listy powitalne. Jutro rano mamy złożyć znaczny depozyt u Valinta i Balka. Wystarczająco znaczny, by zwrócić uwagę ich najwyższego rangą urzędnika. Ja, moja asystentka oraz twój człowiek Przyjazny przenikniemy do banku przebrani za kupca i jego wspólników. Spotkamy się z Mauthisem i poszukamy sposobności, by go zabić.

- Tak po prostu?

- W takich sprawach kluczowe jest wykorzystanie nadarzającej się sposobności, ale jeśli takowa się nie pojawi, zaplanuję bardziej... zorganizowane działania.

- A co z nami? - spytał Dreszcz.

- Nasza pracodawczyni zbyt łatwo rzuca się w oczy i może zostać rozpoznana, a ty... - Morveer uśmiechnął się kpiąco do Dreszcza idącego za nim po schodach - wyróżniasz się jak krowa wśród wilków i byłbyś równie bezużyteczny. Jesteś znacznie za wysoki, masz za dużo blizn i ubierasz się jak wieśniak. Nie nadajesz się na wizytę w banku. Co zaś się tyczy twoich włosów...

- Faj - odezwała się Dzionek, kręcąc głową.

- Co to miało znaczyć?

- To, co słyszałeś. Jesteś po prostu zbyt... - Morveer zatoczył krąg jedną ręką - ... Północny.

Murcatto otworzyła zamek w pokrytych łuszczącą się farbą drzwiach na szczycie ostatniego ciągu schodów i pchnęła je na oścież. Zabrudzony blask przesączył się do środka i Dreszcz, mrugając oczami, wyszedł za pozostałymi na światło dnia.

- Na spokój zmarłych.

Wszędzie wokół rozciągały się niedopasowane dachy o różnorodnych kształtach i kolorach - czerwone dachówki, szare płytki, biały ołów, gnijąca słoma, gołe krokwie pokryte mchem,

zielona miedź naznaczona brudem, łątana płótnem i starą skórą. Płatanina pochyłych szczytów, strychów, belek, z których obłaziła farba i wyrastały chwasty, kołyszących się rynien oraz powykrzywianych odpływów powiązanych łańcuchami i uginającymi się sznurami z praniem, spiętrzonych pod wszelkimi możliwymi kątami, w każdej chwili grożących ześlizgnięciem się na ulicę. Z niezliczonych kominów bił dym, tworząc mgiełkę rozmywającą słońce. Gdzieś tam, ponad ten chaos wzbijała się wieża, wyrzuszała kopuła bądź wyrastała kępa drzew, którym udało się przewyciężyć trudności i sięgnąć ku niebu. Morze było szarą smugą na horyzoncie, las masztów w odległej zatoce kołysał się niepewnie na falach.

Z tej wysokości wydawało się, że miasto głośno syczy. Rozlegały się hałaśliwe odgłosy pracy i zabawy, ludzi i zwierząt, nawoływania sprzedających i kupujących, grzechotanie kół i stukanie młotów, odpryski pieśni i strzępy muzyki, radości oraz rozpacz, wymieszane jak zupa w wielkim kotle.

Dreszcz podszedł do Murcatto stojącej przy balustradzie pokrytej skorupą porostów i zerknął w dół. Tłum płynął tam i z powrotem brukowaną ulicą jak woda na dnie kanionu. Naprzeciwko wznosił się olbrzymi budynek.

Jego ściana była stromym zboczem z gładkiego bladego kamienia. Co dwadzieścia kroków stały kolumny, których Dreszcz nie zdołałby objąć obiema rękami, przy wierzchołkach pokryte liśćmi oraz twarzami wyrzeźbionymi w kamieniu. Na poziomie mniej więcej dwóch wysokości człowieka biegł rząd małych okien, wyżej kolejny, a jeszcze wyżej ciąg znacznie większych okien przesłoniętych metalowymi kratami. Ponad nimi, wzdłuż całej długości płaskiego dachu, na tej samej wysokości, na której stał Dreszcz, sterczał szereg czarnych metalowych kolców, niczym ciernie ostu.

Morveer uśmiechnął się, patrząc na budynek.

- Panie, panowie i dzikusy, przedstawiam wam westporcką filię... domu bankierskiego... Valint i Balk.

Dreszcz pokręcił głową.

- Przypomina fortecę.

- Albo więzienie - szepnął Przyjazny.
- Albo bank - prychnął Morveer.

Najbezpieczniejsze miejsce na świecie

Główny hol banku Valint i Balk w Westporcie przypominał rozbrzmiewającą echem jaskinię z czerwonego porfiru i czarnego marmuru. Charakteryzował go ponury splendor imperatorskiego mauzoleum; minimalna potrzebna ilość światła sączyła się do środka przez małe, wysoko umieszczone okna poprzecinane grubymi kratami, które rzucały krzyżujące się cienie na lśniąca posadzkę. Z wysoka spoglądał rząd olbrzymich dumnych marmurowych popiersi, zapewne przedstawiających sławnych styryjskich kupców i finansistów, czyli przestępców, których kolosalny sukces zmienił w bohaterów. Morveer zastanawiał się, czy jest wśród nich Somenu Hermon, a na myśl, że słynny kupiec może pośrednio płacić jego honorarium, truciciel szeroko się uśmiechnął.

Co najmniej sześćdziesięciu urzędników pracowało przy identycznych biurkach pokrytych identycznymi stertami papierów, a przed każdym leżała olbrzymia oprawiona w skórę księga rachunkowa. Należeli do różnych ras, niektórzy nosili na głowach małe czapeczki, turbany albo mieli charakterystyczne fryzury członków kantyckich sekt. Jedynym kryterium naboru była sprawność w liczeniu pieniędzy. Pióra grzechotały w kałamarzach, stalówki drapały o gruby papier, szeleściły odwracane strony. Kupcy stali zbici w grupki i naradzali się szeptem. Nigdzie nie było widać ani jednej monety. Tutaj bogactwo tworzyły słowa, idee, plotki i kłamstwa, zbyt cenne, by je uwięzić w krzykliwym złocie czy prostym srebrze.

To miejsce miało wzbudzać podziw, zachwycać i niepokoić, ale Morveera niełatwo było zbić z tropu. Czuł się tutaj jak ryba w wodzie, podobnie jak w każdym miejscu na świecie. Minął

długą kolejkę dobrze ubranych petentów, a wyraz jego twarzy zdradzał wystudiowaną satysfakcję, jaka zawsze towarzyszy nowemu bogactwu. Przyjazny ciężko kroczył jego śladem, mocno przyciskając do piersi pancerną kasetkę, zaś za nimi skromnie i ostrożnie podążała Dzionek.

Morveer pstryknął palcami w stronę najbliższego urzędnika.

- Jestem umówiony z... - Dla lepszego efektu zajrzał do swojego listu. - Z niejakim panem Mauthisem. W sprawie znacznego depozytu.

- Oczywiście. Jeśli zechce pan chwilę poczekać.

- Dobrze, ale tylko chwilę. Czas to pieniądz.

Morveer dyskretnie rozglądał się po wnętrzu, zwracając uwagę na zabezpieczenia. Nazwanie ich odstrasżającymi byłoby grubym niedopowiedzeniem. Naliczył dwunastu uzbrojonych strażników rozstawionych wokół holu, wyposażonych bogato niczym osobiści ochroniarze króla Unii. Kolejny tuzin stał przed potężnymi podwójnymi drzwiami.

- To miejsce to prawdziwa forteca - szepnęła Dzionek.

- Ale jest znacznie lepiej bronione - odpowiedział Morveer.

- Jak długo nam to zajmie?

- Dlaczego pytasz?

- Jestem głodna.

- Już? A niech mnie! Chyba nie umrzesz z głodu, jeśli...

Zaczekaj.

Z łukowato sklepionego przejścia wyłonił się wysoki mężczyzna. Miał szczupłą twarz z dużym nosem przypominającym dziób oraz przerzedzone siwe włosy opadające na stonowaną szatę z masywnym futrzanym kołnierzem.

- Mauthis - szepnął Morveer, który znał wygląd bankiera z dokładnego opisu Murcatto. - Nasz wybraniec.

Mauthis siedł za młodszym człowiekiem o kręconych włosach i sympatycznym uśmiechu, ubranym w niebogaty strój. Prawdę mówiąc młodzieniec wyglądał na tyle przeciętnie, że mógłby się świetnie sprawdzić jako truciciel. A jednak Mauthis, mimo że podobno kierował całym bankiem, dreptał za nim ze

splecionymi rękami, jakby był jego podwładnym. Morveer przybliżył się, by znaleźć się w zasięgu słuchu.

- ...Panie Sulfur, mam nadzieję, że poinformuje pan naszych przełożonych, iż wszystko jest pod kontrolą. - Wydawało się, że w głosie Mauthisa pobrzmiwa delikatna nutka paniki. - Pod całkowitą...

- Oczywiście - rzucił mężczyzna zwany Sulfurem. - Chociaż nasi przełożeni rzadko potrzebują, by ich o czymkolwiek informować. Obserwują pana. Jeśli wszystko rzeczywiście jest pod kontrolą, to z pewnością są zadowoleni. A jeśli nie, no cóż... - Uśmiechnął się szeroko do Mauthisa, a następnie do Morveera, który zauważył, że Sulfur ma oczy w różnych kolorach, jedno niebieskie, a drugie zielone. - Miłego dnia. - Po czym oddalił się i zniknął w tłumie.

- Czy mogę państwu w czymś pomóc? - zaskrzeczał Mauthis. Sprawiał wrażenie człowieka, który nigdy w życiu się nie śmiał, a teraz nie miał już czasu, by się tego uczyć.

- Mam taką nadzieję. Nazywam się Reevrom, jestem kupcem z Puranti. - Morveer zaśmiał się w myślach ze swojego żartu, jak zawsze, gdy korzystał z tego pseudonimu, ale gdy wyciągnął dłoń na powitanie, jego twarz wyrażała tylko dobroduszość.

- Reevrom. Słyszałem o pana rodzice. To dla mnie zaszczyt, że mogę pana poznać. - Mauthis nie przyjął dłoni Morveera, utrzymując grzeczny dystans. Najwyraźniej był ostrożnym człowiekiem. Tym lepiej dla niego. Malutki kolec na spodniej części grubego środkowego palca Morveera był wypełniony jadem skorpiona rozpuszczonym w roztworze z kosaćca. Bankier beztróska wziąłby udział w spotkaniu, po czym padł trupem w ciągu godziny.

- To moja siostrzenica - ciągnął Morveer, niezrażony nieudaną próbą. - Powierzono mi zadanie eskortowania jej na spotkanie z potencjalnym zalotnikiem.

Dzionek spojrzała spod długich rzęs z idealnie odegraną nieśmiałością.

- A to mój wspólnik. - Morveer zerknął na Przyjaznego, który odpowiedział mu surowym spojrzeniem. - Zbyt mu

pochlebiam. Raczej mój ochroniarz, pan Czarujący. Nie jest zbyt rozmowny, lecz jeśli chodzi o ochronę... również średnio się sprawdza. No, ale obiecałem jego starej matce, że przyjmę go pod swoje...

- Przyszedł pan w interesach? - przerwał mu Mauthis.

Morveer się uklonił.

- Chodzi o znaczny depozyt.

- Niestety, pańscy wspólnicy muszą tutaj zostać, natomiast pana zapraszam. Z przyjemnością przyjmę depozyt i wypiszę kwit.

- Z pewnością moja siostrzenica...

- Musi pan zrozumieć, że ze względów bezpieczeństwa nie możemy robić wyjątków. Pańska siostrzenica może tutaj wygodnie zaczekać.

- Ależ oczywiście, że tak zrobisz, moja droga. Panie Czarujący! Kasetka!

Przyjazny podał metalową skrzynkę urzędnikowi w okularach, który zachwiał się pod jej ciężarem.

- Zaczekaj tutaj i bądź grzeczna! - Ruszając w ślad za Mauthisem w głąb budynku, Morveer ciężko westchnął, jakby miał ogromne problemy ze znalezieniem kompetentnych pomocników. - Czy moje pieniądze będą tutaj bezpieczne?

- Grubość ścian banku w każdym miejscu wynosi co najmniej dwanaście stóp. Jest tylko jedno wejście, w dzień strzeżone przez tuzin dobrze uzbrojonych mężczyzn, a w nocy zamknięte na trzy zamki wykonane przez trzech różnych ślusarzy. Klucze są w posiadaniu trzech pracowników. Dwie grupy strażników bezustannie patrolują teren wokół banku aż do rana. Jednocześnie wewnątrz jest pod stałą obserwacją naszego najbardziej bystrookiego i kompetentnego pracownika. - Wskazał znużonego mężczyznę ubranego w nabijaną ćwiekami skórzaną kamizelkę, który siedział za biurkiem z boku holu.

- Jest zamknięty w środku?

- Przez całą noc.

Morveer z niezadowoleniem poruszył ustami.

- Wyjątkowo wszechstronne zabezpieczenia.

Wyjął chustkę i udał, że dyskretnie w nią kaszle. Jedwab był nasączony wyciągiem z korzenia gorczycy, jednym z szerokiej gamy środków, na które Morveer już dawno się uodpornił. Potrzebował tylko kilku chwil na osobności z Mauthisem, by przytknąć materiał do tego twarzy. Wystarczy najmniejszy wdech, a mężczyzna zakaszle się na śmierć. Niestety, urzędnik uparcie szedł między nimi z kasetką w dłoniach, nie dając mu nawet najmniejszej sposobności do ataku. Morveer musiał schować śmiertcionośną szmatkę. Zmrużył oczy, gdy skręcili w długi korytarz obwieszony olbrzymimi obrazami. Światło spływało z góry przez dach zbudowany z setek tysięcy czworobocznych szybek.

- Sufit z okien! - Morveer obrócił się powoli z zadartą głową. - Prawdziwy cud architektury!

- To na wskroś nowoczesny budynek. Może mi pan wierzyć, że pańskie pieniądze nie byłyby bezpieczniejsze w żadnym innym miejscu.

- Może tylko w otchłaniach zburzonego Aulcusu? - zażartował Morveer, gdy minęli pretensjonalną artystyczną wizję tego starożytnego miasta zdobiącą lewą ścianę.

- Tam także nie.

- No i wypłata zapewne byłaby znacznie trudniejsza! Ha, ha. Ha, ha.

- Rzeczywiście. - Bankier nie zdobył się nawet na cień uśmiechu. - Drzwi naszego skarbcza mają stopę grubości i są zbudowane ze stali wyprodukowanej w Unii. Nie będzie przesadą, jeśli powiem, że to najbezpieczniejsze miejsce w całym Kręgu Świata. Proszę tędy.

Morveer wszedł do obszernej komnaty wyłożonej panelami z przytłaczająco ciemnego drewna, ostentacyjnej, a mimo to niewygodnej, zdominowanej przez biurko o rozmiarach małego domu. Nad potężnym kominkiem wisiał ciemny obraz olejny przedstawiający krępego łysego mężczyznę, który spoglądał w dół surowym wzrokiem, jakby podejrzewał Morveera o niecne zamiary. Zapewne jakiś unijny biurokrata z zamierzchłej

przeszłości. Może Zoller albo Bialoveld.

Mauthis usiadł na wysokim twardym krześle, a Morveer zajął miejsce naprzeciwko niego, podczas gdy urzędnik uniósł pokrywę kasetki i zaczął liczyć pieniądze, sprawnie posługując się rurką do monet. Mauthis przyglądał się mu niewzruszonym wzrokiem. Ani razu nie dotknął kasetki ani monet. Ostrożny człowiek. Chorobliwie, irytująco ostrożny. Jego wzrok ślizgał się po biurku.

- Wina?

Morveer uniósł brew, zerkając na zniekształcone sylwetki kieliszków widoczne przez szyby wysokiego kredensu.

- Dziękuję, ale nie. Po winie tracę nad sobą panowanie i często zdarza mi się wtedy robić coś, czego potem się wstydzę. Dlatego postanowiłem całkowicie powstrzymać się od jego picia i ograniczyć do sprzedawania go innym. To prawdziwa... trucizna. - Szeroko się uśmiechnął. - Ale proszę się nie krępować. - Dyskretnie wsunął dłoń do ukrytej kieszonki, gdzie trzymał fiolkę z Gwiezdnym Sokiem. Wystarczy na chwilę odwrócić uwagę Mauthisa i wpuścić do kieliszka dwie kropelki, podczas gdy...

- Ja również go unikam.

- Ach. - Morveer puścił fiolkę i zamiast niej wyjął z kieszeni złożoną kartkę, zupełnie jakby od początku miał taki zamiar. Rozprostował ją i udał, że czyta, jednocześnie rozglądając się po gabinecie. - Naliczyłem pięć tysięcy... - przyjrzał się zamkowi na drzwiach, jego konstrukcji i ramie, w której został osadzony - ...dwieście... - przyjrzał się płytkom, którymi wyłożono podłogę, panelom na ścianach, powierzchni sufitu, skórze na krześle Mauthisa, węglem w wygaszonym palenisku - ...dwanaście szalek. - Nic z tego nie wyglądało obiecująco.

Suma nie zrobiła na Mauthisie wrażenia. Fortuny i drobniaki znaczyły dla niego tyle samo. Otworzył ciężką okładkę księgi rachunkowej leżącej na biurku. Polizał jeden palec i zaczął rytmicznie przewracać strony przy wtórze szelestu papieru. Morveer poczuł radosne ciepło biorące początek w jego brzuchu i rozlewające się wokoło. Z trudem powstrzymał się od

okrzyku triumfu i zadowolił się sztywnym uśmiechem.

- To mój zarobek z ostatniej wyprawy do Sipani. Wino z Osprii zawsze przynosi zyski, nawet w obecnych, niepewnych czasach. Na szczęście, nie każdy jest równie powściągliwy jak my, panie Mauthis!

- Oczywiście. - Bankier ponownie polizał palec i odwrócił ostatnie kilka stron.

- Pięć tysięcy dwieście jedenaście - oznajmił urzędnik.

Mauthis gwałtownie podniósł wzrok.

- Czyżby próbował nas pan oszukać?

- Ja? - Morveer zbył pytanie bankiera wymuszonym chichotem. - Niech szlag trafi tego Czarującego, nawet liczyć porządnie nie potrafi! Zupełnie nie radzi sobie z liczbami, daję słowo.

Stalówka pióra Mauthisa zaskrzypiała na stronie księgi; urzędnik szybko osuszył wpis bibułą, podczas gdy jego przełożony elegancko, precyzyjnie i beznamiętnie wypisał kwit. Urzędnik przyniósł go Morveerowi razem z pustą kasetką.

- Oto kwit na całą sumę wystawiony w imieniu domu bankierskiego Valint i Balk - rzekł Mauthis. - Można go zrealizować w każdej szanującej się instytucji kupieckiej w Styrii.

- Czy muszę coś podpisać? - spytał Morveer z nadzieją, zaciskając palce na piórze trzymanym w wewnętrznej kieszeni. Służyło ono również jako bardzo skuteczna dmuchawka, a tkwiąca w środku igła zawierała śmiertelną dawkę...

- Nie.

- Znakomicie. - Morveer uśmiechnął się, po czym złożył i schował kartkę, uważając, by nie zaczepiła o śmiertelne ostrze skalpela. - To lepsze niż złoto i znacznie lżejsze. Pójdę już. Było mi bardzo miło. - Ponownie wyciągnął dłoń, na której lśnił zatruty sygnet. Cóż szkodziło spróbować.

Mauthis nie ruszył się ze swojego krzesła.

- Mnie również.

Źli przyjaciele

To było ulubione miejsce Benny w Westporcie. Gdy gościli w mieście, ciągnął ją tutaj dwa razy w tygodniu. Całun z luster i rżniętego szkła, polerowanego drewna i lśniącego marmuru. Świątynia boga męskiej urody. Najwyższy kapłan - mały chudy fryzjer w bogato haftowanym fartuchu - stał wyprężony jak struna na środku pomieszczenia, celując brodą w sufit, zupełnie jakby się ich spodziewał.

- Moja pani, cieszę się, że znów się spotykamy! - Zamrugał. - Ale gdzie pani mąż?

- Brat. - Monza przełknęła ślinę. - On... już nie wróci. Mam dla ciebie znacznie trudniejsze zadanie...

Dreszcz przekroczył próg, rozglądając się lękliwie jak owca prowadzona na strzyżenie. Monza otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale fryzjer nie dopuścił jej do głosu.

- Chyba widzę, w czym problem. - Okrążył Dreszcza, który zerkał na niego surowo. - A niech mnie. Pozbywamy się wszystkiego?

- Co?

- Wszystkiego - odparła Monza, chwytając fryzjera za łokieć i wciskając mu w dłoń ćwierć szalki. - Tylko delikatnie. Obawiam się, że jest do nich przywiązany i może się zdenerwować. - Zdała sobie sprawę, że mówi o nim jak o koniu. Może zbyt wysoko go ceniła.

- Oczywiście. - Fryzjer odwrócił się i gwałtownie wciągnął powietrze.

Dreszcz stał w drzwiach, blady i żylasty. Zdążył już zdjąć swoją nową koszulę, a teraz rozpinał pas.

- Chodziło mu o twoje włosy, głupku - rzekła Monza. - Nie o

ubranie.

- Aha. Od razu pomyślałem, że to dziwne, ale cóż, południowe zwyczaje...

Monza patrzyła, jak wstydliwie zapina koszulę. Jego pierś przecinała długa blizna biegnąca od ramienia, różowa i poskręcana. Kiedyś mogłaby ją uznać za brzydką, ale była zmuszona zmienić swój punkt widzenia odnośnie do blizn i kilku innych spraw. Dreszcz usiadł w fotelu.

- Noszę te włosy od urodzenia.

- Zatem najwyższy czas uwolnić się z ich duszącego uścisku. Proszę pochylić głowę. - Fryzjer zamaszystym ruchem wydobyl nożyczki, a Dreszcz zerwał się z miejsca.

- Myślisz, że pozwolę, żeby obcy człowiek zbliżył ostrze do mojej twarzy?

- Protestuję! Strzygę najznamienitszych obywateli Westportu!

- Hej. - Monza chwyciła wycofującego się fryzjera za ramię i poprowadziła go do przodu. - Zamknij się i tnij. - Wsunęła mu do kieszeni fartucha kolejne ćwierć szalki i posłała Dreszczowi przeciągłe spojrzenie. - A ty zamknij się i siedź spokojnie.

Wrócił na fotel i tak mocno zacisnął dłonie na poręczach, że na jego rękach wyrzuciły się ścięgna.

- Mam cię na oku - warknął.

Fryzjer westchnął przeciągłe, zacisnął usta i zabrał się do pracy. Monza przechadzała się po pomieszczeniu, słysząc za plecami szcęk nożyczek. Minęła półkę, w roztargnieniu wyjmując zatyczki z kolorowych butelek i wachając pachnące olejki. Zobaczyła swoje odbicie w lustrze. Wciąż miała surową twarz. Szczuplejszą, smuklejszą, ostrzejszą niż kiedykolwiek. Oczy zapadnięte od dręczącego bólu nóg, od dręczącej potrzeby, by plewy odpędziły cierpienie.

„Tego ranka wyglądasz wyjątkowo pięknie, Monzo”.

Ochota, by zapalić, utknęła w jej umyśle jak kość w przelyku. Każdego dnia pojawiała się wcześniej. Coraz więcej czasu spędzała chora, obolała i niespokojna, odliczając minuty do chwili, gdy będzie mogła ukryć się razem ze swoją fajką, zatopić

w miękkiej, ciepłej nicości. Gdy tylko o tym pomyślała, poczuła mrowienie w opuszkach palców, a jej język poruszył się chciwie w wysuszonych ustach.

- Zawsze były długie. Zawsze.

Odwróciła się. Dreszcz wił się jak ofiara tortur, gdy kępki obciętych włosów spadały na wypolerowane deski pod fotelem. Niektórzy mężczyźni zamykają się w sobie, gdy są zdenerwowani. Inni stają się gadatliwi. Wyglądało na to, że Dreszcz należy do tej drugiej grupy.

- To chyba dlatego, że mój brat nosił długie włosy, więc ja też je zapuściłem. Staralem się go naśladować. Wiesz jak to jest z młodszymi braćmi... A jaki był twój brat?

Poczuła, jak drga jej policzek, gdy przypomniała sobie uśmiechniętą twarz Benny w lustrze tuż obok swojej.

- Był dobrym człowiekiem. Wszyscy go kochali.

- Mój brat też był dobrym człowiekiem. Dużo lepszym ode mnie. Przynajmniej tak uważał ojciec. Powtarzał mi to przy każdej okazji... Chodzi mi o to, że tam, skąd pochodzę, długie włosy to nic dziwnego. Po prostu podczas wojny ludzie używają ostrzy do innych celów. Chociaż Czarny Dow się ze mnie podśmiewał. Zawsze ścinał sobie włosy, żeby nie przeszkadzały mu podczas walki. No, ale on o wszystko się czepiał. Miał niewyparzoną gębę. Twardy człowiek. Twardszy od niego był tylko Krwawy-dziewięć. Myślę, że...

- Jak na kogoś, kto słabo zna język, bardzo lubisz mówić, prawda? Wiesz, co ja myślę?

- Co?

- Ludzie dużo mówią, kiedy nie mają nic do powiedzenia.

Dreszcz westchnął.

- Po prostu staram się, żeby dzień jutrzejszy był trochę lepszy od dzisiejszego. Można mnie nazwać... wydaje mi się, że macie na takie osoby specjalne określenie...

- Idioci?

Zerknął na nią kątem oka.

- Nie to miałem na myśli.

- Optymiści.

- Zgadza się. Jestem optymistą.

- I jak ci się z tym żyje?

- Nie najlepiej, ale nie tracę nadziei.

- Jak to optymiści. Wy się nigdy nie uczycie. - Patrzyła, jak twarz Dreszcza wyłania się spod płataniny tłustych włosów. Silne rysy, ostry nos, blizna przecinająca jedną brew. To była dobra twarz. Ucieszyło ją to bardziej niż się spodziewała. - Byłeś żołnierzem, prawda? Jak oni was nazywają tam na Północy?

- Ludzie Imienni - odrzekł z dumą w głosie.

- Świetnie. Zatem dowodziłeś ludźmi?

- Owszem, miałem podwładnych. Mój ojciec był sławnym człowiekiem, podobnie jak mój brat. Ja również trochę na tym skorzystałem.

- Dlaczego to porzuciłeś? Po co przybyłeś tutaj, gdzie jesteś nikim?

Popatrzył na nią w lustrze, podczas gdy nożyczki szczękały wokół jego twarzy.

- Morveer powiedział, że ty też byłeś żołnierzem. I to słynnym.

- Nie aż tak słynnym. - Tylko częściowo skłamała. Bardziej odpowiednie byłoby określenie „niesławnym”.

- Tam, skąd pochodzę, to nietypowe zajęcie dla kobiety.

Wzruszyła ramionami.

- Łatwiejsze niż uprawa roli.

- Więc znasz się na wojnie?

- Tak.

- Zgaduję, że uczestniczyłaś w bitwach. Widziałaś, jak giną ludzie.

- Tak.

- Zatem widziałaś, co temu towarzyszy. Przemarsze, czekanie, choroby. Gwałty, rabunki, okaleczanie, puszczanie z dymem domów ludzi, którzy niczym nie zawinili.

Monza przypomniała sobie, jak przed wielu laty spłonęło jej własne pole.

- Jeśli chcesz coś powiedzieć, to mów wprost.

- Krew rodzi krew. Spłata jednego długu powoduje

zaciągnięcie kolejnego. Wojna wywołuje obrzydzenie u każdego człowieka przy zdrowych zmysłach, a im dłużej trwa, tym staje się gorsza.

Nie mogła się z nim nie zgodzić.

- Rozumiesz, dlaczego chciałem się od niej uwolnić? Stworzyć coś. Być dumnym z czegoś innego poza zniszczeniem. Stać się... dobrym człowiekiem.

Ciach, ciach. Włosy spadały i piętrzyły się na podłodze.

- Dobrym człowiekiem, co?

- Zgadza się.

- Więc ty także widziałeś śmierć?

- Nie brakowało jej w moim życiu.

- Widziałeś kiedyś wiele trupów w jednym miejscu? - spytała.

- Ułożonych w sterty po przejściu zarazy albo rozrzuconych po bitwie?

- Tak, widziałem.

- Zauważyłeś, że niektóre z ciał jakby lśnią? Pachną jak róże w wiosenny poranek?

Dreszcz zmarszczył brwi.

- Nie.

- Czyżby więc dobrzy i źli ludzie po śmierci wyglądali tak samo? Ja również to zauważyłam. Gdy jesteś dobrym człowiekiem, każdego dnia starasz się myśleć o tym, jak powinieneś postępować, i tworzysz rzeczy, z których jesteś dumny, to wkrótce i tak przyjdą jacyś dranie, by to wszystko spalić. Myślisz, że jeśli będziesz im dziękował za każdy otrzymany cios, to kiedy umrzesz i zakopią cię w błocie, twoje ciało zmieni się w złoto?

- Co?

- Czy może zmieni się w gówno, jak my wszyscy?

Powoli pokiwał głową.

- Tak, zmieni się w gówno. Ale może uda ci się coś po sobie pozostawić.

Parsknęła szczekliwym śmiechem.

- A niby co po sobie pozostawiamy poza niedokończonymi sprawami i niewypowiedzianymi słowami? Puste ubrania,

puste pokoje, pustkę w ludziach, którzy nas znali?
Niepopołnione błędy i nadzieje obrócone w pył?

- Może nadzieje przekazywane innym. Wypowiedziane dobre słowa. Szczęśliwe wspomnienia.

- I kiedy cię znalazłam, te wszystkie uśmiechy zmarłych cię ogrzewały, czy tak? Jak smakowały, gdy byłeś głodny? Rozweselały cię, gdy byłeś w rozpacz?

Dreszcz wydał policzki.

- Za to ty jesteś jak promyk słońca. Skąd wiesz, może i dały mi coś dobrego.

- Więcej, niż może ci dać kieszeń pełna srebra?

Zerknął na nią, po czym odwrócił wzrok.

- Może nie. Ale mimo wszystko, będę się starał myśleć po swojemu.

- Ha. Zatem powodzenia, dobry człowieku. - Pokręciła głową, jakby nigdy nie słyszała czegoś równie głupiego. „Niech tylko źli ludzie będą mymi przyjaciółmi”, pisał Verturio. „Gdyż ich potrafię zrozumieć”.

Rozległ się ostatni szcęk nożyczek i fryzjer cofnął się, ocierając rękawem pot z czoła.

- No i gotowe.

Dreszcz popatrzył w lustro.

- Wyglądam jak inny człowiek.

- Wygląda pan jak styriański arystokrata.

Monza parsknęła.

- A przynajmniej trochę mniej jak żebrak z Północy.

- Być może. - Dreszcz nie sprawiał wrażenia zachwyconego. - Śmiem twierdzić, że ten nowy człowiek wygląda lepiej. Mądrzej. - Przeczesał dłonią krótkie ciemne włosy, patrząc ze zmarszczonym czołem na swoje odbicie. - Ale nie jestem pewien, czy draniowi ufam.

- A na koniec... - Fryzjer nachylił się z kolorową kryształową butelką w dłoniach, po czym rozpylił nad głową Dreszcza delikatną mgiełkę perfum.

Północny podskoczył jak kot na rozżarzonych węglach.

- Co jest, kurwa?! - ryknął, zaciskając wielkie pięści i

odpychając fryzjera, który z wrzaskiem zatoczył się na drugą stronę pomieszczenia.

Monza wybuchła śmiechem.

- Może i wyglądasz jak styriański arystokrata. - Wepchnęła kilka dodatkowych ćwierćszalkowych monet w rozwartą kieszeń fryzjerskiego fartucha. - Ale nad twoimi manierami przydałoby się jeszcze popracować.

Zapadał zmrok, gdy wrócili do sypiącej się posiadłości. Monza skrywała głowę pod kapturem, a Dreszcz kroczył dumnie w swoim nowym płaszczu. Zimny deszcz bębnił o zrujnowany dziedziniec, w oknie na pierwszym piętrze płonęła samotna lampa. Monza popatrzyła na nią, a potem na Dreszcza, po czym lewą ręką wymacała rękojeść noża na pasie za plecami. Lepiej być przygotowaną na każdą ewentualność. Obłazące farbą drzwi na szczycie schodów były uchylone, a światło wylewało się przez szparę na drewnianą podłogę. Kobieta podeszła i pchnęła drzwi butem.

Dwie płonące kłody leżące w poczerniałym od sadzy kominku ledwie były w stanie ogrzać wnętrze. Przyjazny stał przy oknie w głębi i spoglądał przez okiennice w stronę banku. Morveer rozłożył papiery na starym rozchwianym stole, zaznaczając swoje miejsce dłonią uwalaną atramentem. Dzionek siedziała na blacie ze skrzyżowanymi nogami, obierając pomarańczę sztyletem.

- Zdecydowanie lepiej - mruknęła, zerknąwszy na Dreszcza.

- Och, muszę się zgodzić. - Morveer się uśmiechnął. - Dziś rano z budynku wyszedł brudny, długowłosy idiota, a powrócił czysty, krótkowłosy idiota. To z pewnością czary.

Monza puściła rękojeść noża, a Dreszcz zaczął mamrotać coś pod nosem w północnej mowie.

- Skoro się nie chwalisz, to zgaduję, że nie wykonałeś zadania.

- Mauthis to niezwykle ostrożny i doskonale chroniony człowiek. W ciągu dnia bank jest zbyt silnie strzeżony.

- Zatem w drodze do banku.

- Jedzie opancerzonym powozem w asyście tuzina strażników. Próba jego przechwycenia byłaby zbyt ryzykowna.

Dreszcz wrzucił do ognia kolejną kłodę i skierował otwarte dłonie w stronę ognia.

- A w domu?

- Nic z tego - zachnął się Morveer. - Pojechaliśmy za nim. Mieszka na otoczonej murem wyspie w zatoce, gdzie swoje posiadłości ma kilku miejskich radnych. Nie wpuszcza się tam zwykłych obywateli. Nie możemy w żaden sposób wcześniej przedostać się do budynku, nawet jeśli ustalimy, o który dom chodzi. Ilu tam jest strażników, służących, członków rodziny? Same niewiadome. To zbyt trudne zadanie. Czego nigdy nie podejmuję, Dzionek?

- Zbędnego ryzyka.

- Zgadza się. Lubię mieć pewność, Murcatto. Właśnie dlatego do mnie przyszłaś. Zatrudniłaś specjalistę, gwarantującego, że twój wróg na pewno zginie, a nie rzeźnika, rozpętującego jatkę, z której cel wymknie się, korzystając z zamieszania. Nie jesteśmy w Caprile...

- Wiem, gdzie jesteśmy, Morveerze. Zatem jaki masz plan?

- Zebrałem niezbędne informacje i opracowałem pewny sposób osiągnięcia pożądanego rezultatu. Muszę jedynie przedostać się do banku pod osłoną ciemności.

- A jak zamierzasz tego dokonać?

- Jak zamierzam tego dokonać, Dzionek?

- Dzięki rygorystycznemu wcieleniu w życie obserwacji, logiki i metodycznego podejścia.

Morveer ponownie błysnął chytrym uśmiechem.

- Otóż to.

Monza zerknęła w bok na Benę. Tylko że Benna nie żył, a jego miejsce zajmował Dreszcz. Północny uniósł brwi, przeciągle westchnął i ponownie popatrzył w ogień. „Niech tylko źli ludzie będą moimi przyjaciółmi”, napisał Verturio. Ale

muszą być pewne granice.

Dwie dwójki

Na kościach wypadły dwie dwójki. Dwa razy dwa to cztery. Dwa plus dwa to cztery. Dodaj lub przemnoż przez siebie liczbę oczek, a otrzymasz ten sam wynik. Ta myśl sprawiała, że Przyjazny czuł się bezradny. Bezradny, ale spokojny. Wszyscy próbują coś osiągnąć, lecz niezależnie od tego, co robią, skutek zawsze jest ten sam. Kości wiele nas uczą, jeśli wiemy, jak odczytywać ich lekcje.

Grupa podzieliła się na dwie dwójki. Morveer i Dzionek od początku tworzyli parę. Trzymali się razem i wspólnie śmiali z pozostałych. Ale Przyjazny zauważył, że także Murcatto i Dreszcz zaczynają zbliżać się do siebie. Teraz siedzieli przykucnięci na balustradzie, czarne sylwetki na tle ciemnego nocnego nieba, i wspólnie wpatrywali się w budynek banku, olbrzymi blok gęściejszej ciemności. Przyjazny widział wiele dowodów na to, że łączenie się w pary stanowi część ludzkiej natury. W przypadku wszystkich oprócz niego. On pozostawał samotny, skryty w cieniu. Może rzeczywiście coś było z nim nie tak, jak mówili sędziowie.

Sajaam wybrał go na swojego towarzysza w Bezpiecznym Miejscu, ale Przyjazny nie miał złudzeń. Wiedział, że Sajaam zrobił to ze względu na jego użyteczność. Ponieważ ludzie się go bali. Jak każdego, kto kryje się w ciemności. A Sajaam nigdy nie udawał, że jest inaczej. Był jedynym szczerym człowiekiem, jakiego znał Przyjazny, więc ich układ był uczciwy. Okazał się na tyle udany, że Sajaam zarobił za kratami wystarczająco dużo pieniędzy, by kupić sobie wolność u sędziów. Jako że był honorowym człowiekiem, nie zapomniał o Przyjaznym. Wrócił i zapłacił także za jego wolność.

Za murami, gdzie nie było żadnych zasad, wszystko wyglądało inaczej. Sajaam miał na głowie inne sprawy, więc Przyjazny znów został sam. Ale nie miał pretensji. Był do tego przyzwyczajony, poza tym kości dotrzymywały mu towarzystwa. Dlatego znalazł się tutaj, w ciemności, na dachu budynku w Westporcie, w samym środku zimy. Z tymi dwiema niedopasowanymi parami nieuczciwych ludzi.

Strażnicy również chodzili dwójkami, a także czwórkami oraz w dwóch grupach po czterech, przez całą noc niestrudzenie patrolując okolice banku. Padał zamarzający deszcz ze śniegiem, a oni wciąż krążyli, krążyli i krążyli w ciemności. Jedna grupka właśnie maszerowała alejką w dole. Byli silnie opancerzeni i nieśli na ramionach halabardy.

- Znów nadchodzą - powiedział Dreszcz.

- Widzę - syknął Morveer. - Zaczynj liczyć.

Wysoki, gardłowy szept Dzionek rozbrzmiewał w ciemności.

- Jeden... dwa... trzy... cztery... pięć... - Przyjazny patrzył z otwartymi ustami na jej wargi, zapominając o kościach trzymanyh w bezwładnej dłoni. Jego usta bezgłośnie poruszały się w tym samym rytmie. - Dwadzieścia dwa... dwadzieścia trzy... dwadzieścia cztery...

- Jak dostać się na dach? - zastanawiał się Morveer. - Jak dostać się na dach?

- Lina i kotwiczka? - zaproponowała Murcatto.

- Zbyt wolna, zbyt hałaśliwa, zbyt niepewna. Lina została by na widoku, nawet gdyby udało się solidnie zamocować kotwiczkę. Nie. Potrzebujemy sposobu, który nie dopuszcza wpadki.

Przyjazny marzył, żeby wreszcie się zamknęli, a on mógł posłuchać liczenia Dzionek. Od słuchania jej głosu rozboleł go kutas.

- Sto dwanaście... sto trzynaście...

Zamknął oczy, oparł się odchyloną głową o ścianę i kołysał w powietrzu jednym palcem.

- Sto osiemdziesiąt dwa... sto osiemdziesiąt trzy...

- Nikt tam nie wejdzie bez sprzętu - dotarł do niego głos

Murcatto. - Nikt. Ściany są za gładkie i za strome. No i te kolce.

- Całkowicie się zgadzam.

- Więc od środka.

- Niemożliwe. Zbyt wielu świadków. Musimy wspiąć się po ścianie, a potem wejść przez te wielkie okna na dachu. Przynajmniej w uliczce jest pusto po zmroku. To działa na naszą korzyść.

- A co z innymi stronami budynku?

- Po północnej stronie panuje znacznie większy ruch i ściana jest lepiej oświetlona. Od wschodu znajduje się główne wejście, przed którym przez całą noc stoi kolejnych czterech strażników. Po południowej stronie jest tak samo jak tutaj, tylko nie ma dostępu do sąsiedniego dachu. Nie. Ta ściana to nasza jedyna możliwość.

Przyjazny ujrzał słaby błysk w alejce w dole. Kolejny patrol, dwa razy po dwóch strażników, dwóch plus dwóch strażników, czterech strażników wędrujących wokół banku.

- Chodzą tak całą noc?

- Zmieniają ich dwie inne czteroosobowe grupki. Pilnują budynku nieprzerwanie aż do rana.

- Dwieście dziewięćdziesiąt jeden... dwieście dziewięćdziesiąt dwa... idzie następna grupa. - Dzionek mlasnęła językiem. - Mniej więcej trzysta.

- Trzysta - syknął Morveer, a Przyjazny zobaczył, że truciciel kręci głową w ciemności. - Za mało czasu.

- Więc jak? - odburknęła Monza.

Przyjazny ponownie zebrał kości, czując na dłoni znajomy dotyk ich krawędzi. Nie miało dla niego znaczenia, w jaki sposób dostaną się do banku, a nawet czy w ogóle im się to uda. Miał tylko nadzieję, że Dzionek znów zacznie liczyć.

- Musi istnieć jakiś sposób... musi istnieć jakiś...

- Ja to zrobię. - Wszyscy się obejrżeli. Dreszcz siedział ze zwieszonymi rękami oparty o balustradę.

- Ty? - parsknął Morveer. - Ciekawe jak?

Przyjazny dostrzegł w ciemności zarys uśmiechu Północnego.

- Dzięki magii.

Plany i przypadki

Mrukliwi strażnicy szli alejką. Było ich czterech - napierśniki, stalowe hełmy, ostrza halabard odbijające światło kołyszących się latarni. Gdy przechodzili, Dreszcz schował się w bramie, odczekał nerwową chwilę, po czym cicho przeszedł na drugą stronę uliczki i ukrył się w cieniu obok wybranej kolumny. Zaczął liczyć. Miał mniej więcej trzysta sekund, żeby dostać się na górę i na dach. Dlaczego się na to zgodził, do diabła? Tylko po to, by zetrzeć uśmiech z twarzy tego idioty Morveera i pokazać Murcatto, że jest wart pieniędzy, które mu zapłaciła?

- Zawsze byłem swoim najgorszym wrogiem - szepnął. Okazało się, że jest zbyt dumny i ma straszliwą słabość do ładnych kobiet. Kto by pomyślał?

Wyjął linę, z jednej strony zakończoną pętlą, a z drugiej hakiem. Zerknął w stronę okien przeciwległego budynku. Większość miała zamknięte okiennice dla ochrony przed nocnym chłodem, ale kilka było otwartych, w dwóch zaś wciąż paliły się światła. Zastanawiał się, jak duże jest ryzyko, że ktoś przez nie wyjrzy i przyłapie go na wspinaczce po ścianie banku. Z pewnością większe niżby chciał.

- Najgorszym, kurwa, wrogiem. - Przygotował się do wdrapania na podstawę kolumny.

- Gdzieś tutaj.

- Gdzie, idioto?

Dreszcz zamarł z liną w dłoniach. Usłyszał kroki i pobrząkiwanie zbroi. Przekłęci strażnicy wracali. Nie zrobili tego ani razu podczas poprzednich pięćdziesięciu rundek wokół budynku. Truciciel trajkotał o potędze nauki, ale gdy przyszło co do czego, pokpił sprawę, a Dreszcz został z jajami na

wierzchu. Wcisnął się głębiej w cień, czując, jak potężna kusza, którą niósł na plecach, drapie o kamienną ścianę. Jak im to wytłumaczy? Ot, wybrał się na nocny spacer z kuszą, ubrany cały na czarno.

Jeśli zaczną uciekać, zobaczą go, dogonią i zapewne zadźgają. Tak czy inaczej, domyślą się, że ktoś próbował się wślizgnąć do banku, a to położy kres ich planom. Z kolei, jeśli zostanie na miejscu... wyjdzie na to samo, tylko że śmierć od ostrza stanie się nieco bardziej prawdopodobna.

Głosy się przybliżyły.

- Nie może być daleko, przecież cały czas chodzimy w kółko...

Pewnie jeden z nich coś zgubił. Dreszcz nie po raz pierwszy przeklął swoje gówniane szczęście. Za późno na ucieczkę. Zacisnął pięść na rękojeści noża. Kroki rozległy się po drugiej stronie kolumny. Dlaczego przyjął jej srebro? Okazało się, że ma słabość także do pieniędzy. Zacisnął zęby, czekając na...

- Przepraszam! - zawołała Murcatto. Wyszła na środek alejki, z odsłoniętą głową, szeleszcząc długim płaszczem. Chyba po raz pierwszy Dreszcz widział ją bez broni. - Panowie wybaczą, że im przeszkadzam, ale próbuję wrócić do domu i chyba zabłądziłam.

Jeden ze strażników wyszedł zza kolumny, odwrócony tyłem do Dreszcza. Po chwili drugi do niego dołączył. Stali w zasięgu ręki pomiędzy Caulem a kobietą. Gdyby chciał, mógłby dotknąć ich zbroi.

- Gdzie pani mieszka?

- U przyjaciół w pobliżu fontanny przy ulicy Lorda Sabeldiego. - Westchnęła. - Ale dopiero od niedawna jestem w mieście i nie potrafię jej znaleźć.

Jeden ze strażników zsunął hełm z czoła.

- Rzeczywiście, trochę pani pobłądziła. To po drugiej stronie miasta.

- Wędruję ulicami od kilku godzin. - Zaczęła się odsuwać, stopniowo przyciągając mężczyzn do siebie. Pojawił się kolejny strażnik, a po nim następny. Wszyscy czterej stanęli plecami do

Dreszcza, który wstrzymał oddech, dziwiąc się, że jeszcze nie usłyszeli bicia jego serca. - Gdyby któryś z panów mógł mi wskazać właściwy kierunek, byłabym bardzo wdzięczna. Wiem, że się wygłupiłam.

- Ależ nie. Westport to zagmatwane miasto.

- Zwłaszcza nocą.

- Ja też czasami się w nim gubię.

Mężczyźni śmiali się, a Monza im wtórowała, cały czas ich odciągając. Na krótką chwilę skrzyżowali z Dreszczem spojrzenia, po czym Murcatto zniknęła razem ze strażnikami za następną kolumną, a ich wesołe głosy ucichły. Dreszcz zamknął oczy i powoli wypuścił powietrze. Na szczęście nie był jedynym mężczyzną ze słabością do kobiet.

Wdrapał się na kwadratową podstawę kolumny i otoczył ją liną, którą następnie podłożył sobie pod pośladki i zapiął, tworząc pętlę. Nie miał pojęcia, ile mu zostało czasu, ale wiedział, że musi się śpieszyć. Ruszył, przytrzymując się powierzchni kolumny kolanami i krawędziami butów, stopniowo przesuwając linę w górę i zaciskając ją, gdy zmieniał położenie nóg.

Tej sztuczki nauczył go jego brat, gdy byli jeszcze chłopcami. W ten sposób wspinał się na najwyższe drzewa w dolinie i podkradał jajka z gniazd. Przypominał sobie, jak się zaśmiewali, gdy spadał z drzewa tuż nad ziemią. Teraz wykorzystywał tę umiejętność, by pomóc komuś w zabójstwie, a gdyby spadł, sam byłby trupem. Można powiedzieć, że jego życie nie potoczyło się zgodnie z oczekiwaniami.

Wspinał się szybko i sprawnie. Przypominało mu to wspinanie się na drzewo, tylko że na szczycie nie czekały jajka, a ryzyko poharatania sobie klejnotów drzazgami było mniejsze. Mimo wszystko, Dreszcz musiał się solidnie namęczyć. Zanim dotarł do szczytu kolumny, był cały spocony, a czekała go jeszcze najtrudniejsza część. Sięgnął jedną ręką ku płataninie kamiennych kształtów na górze, a drugą odpiął linę i zarzucił ją sobie na ramię. Następnie podciągnął się, szukając palcami rąk i nóg punktów zaczepienia pośród rzeźb, ciężko dysząc i walcząc

z bólem rąk. Zarzucił jedną nogę na rzeźbę przedstawiającą surowe kobiece oblicze, po czym usiadł wysoko ponad uliczką, przytrzymując się dwóch kamiennych liści i mając nadzieję, że są bardziej wytrzymałe od prawdziwych.

Bywał już w lepszych miejscach, ale wiedział, że należy patrzeć na słoneczną stronę życia. Już dawno nie miał między nogami twarzy kobiety. Usłyszał syknięcie dobiegające z przeciwnej strony ulicy i na dachu zauważył czarną sylwetkę Dzionek. Wskazała w dół. Zbliża się następny patrol.

- Psiakrew. - Przywarł do rzeźby, starając się upodobnić do kamienia. Piekły go dłonie poobcierane od liny. Miał nadzieję, że nikt nie spojrzy w górę. Strażnicy minęli go, a Dreszcz odetchnął przeciągle, w uszach słysząc dudnienie serca. Czekał, aż skręcą za róg budynku, i zbierał siły przed ostatnim etapem wspinaczki.

Kolce ciągnące się wzdłuż ścian umieszczono na żerdziach, na których mogły się swobodnie obracać, co uniemożliwiało ich pokonanie. Jednakże na szczycie kolumn przytwierdzono je zaprawą do kamienia. Dreszcz włożył ciężkie kowalskie rękawice, po czym sięgnął w górę i mocno chwycił dwa kolce. Wziął głęboki wdech. Zawisł na rękach, zezując na żelazne szpikulce sterczące tuż przed jego twarzą. Zupełnie jak podczas wspinaczki na drzewo, tylko że tutaj można sobie wybić oko, a tego wolałby uniknąć.

Bujnął się w jedną stronę, po czym wyrzucił nogi w drugą, zarzucając jeden but na górę. Obrócił się, czując, jak kolce ocierają się o jego grubą kamizelę i napierają na klatkę piersiową.

Znalazł się na szczycie.

- Siedemdziesiąt osiem... siedemdziesiąt dziewięć... osiemdziesiąt... - Usta Przyjaznego same się poruszały, gdy patrzył, jak Dreszcz przetacza się po balustradzie na dach

banku.

- Udało mu się - szepnęła Dzionek piskliwym głosem pełnym niedowierzania.

- Szybko się uwinął. - Morveer zachichotał cicho. - Kto by pomyślał, że potrafi się wspinać... jak mała.

Północny wstał, ciemniejszy kształt na tle ciemnego nocnego nieba. Zdjął kuszę z pleców i zaczął przy niej manipulować.

- Miejmy nadzieję, że nie strzela jak mała - szepnęła Dzionek.

Dreszcz wycelował. Przyjazny usłyszał cichy brzęk cięciwy. Po chwili strzała uderzyła go w pierś. Chwycił drzewce, z powagą spoglądając w dół. Prawie nie czuł bólu.

- Całe szczęście, że nie ma grotu. - Morveer odzepił drut od pierzyska. - Wolelibyśmy uniknąć kolejnych niepowodzeń, a twoją przedwczesną śmierć z pewnością należałoby tak zakwalifikować.

Przyjazny odrzucił strzałę i przywiązał linę do końca drutu.

- Jesteś pewien, że to go utrzyma? - mruknęła Dzionek.

- Linka z suljuckiego jedwabiu - odparł z uśmiechem Morveer. - Lekka jak świt, ale silna jak stal. Utrzymałaby całą naszą trójkę, a z dołu nikt jej nie dostrzeże.

- A przynajmniej masz taką nadzieję.

- Czego nie lubię, moja droga?

- Wiem, wiem.

Czarna linka zasyczała w dłoniach Przyjaznego, gdy Dreszcz zaczął zwijać drut. Patrzyli, jak pełnie pomiędzy dachami, i liczyli jej długość. Doszli do piętnastu kroków, gdy Dreszcz chwycił drugi koniec. Naciągnęli linę, a wtedy Przyjazny przewlekł ją przez żelazny pierścień, który przybili do drewnianego dachu, i zaczął zadzierzgiwać węzeł, kilkakrotnie przeplatając linę.

- Jesteś pewien tego węzła? - spytał Morveer. - Nie mamy w planach upadku z dużej wysokości.

- Dwadzieścia osiem kroków - odrzekł Przyjazny.

- Co?

- Tyle wynosi wysokość.

Przez chwilę panowała cisza.

- To zbędna informacja.

Naprężona czarna lina połączyła oba budynki. Przyjazny wiedział, że tam jest, ale ledwie ją widział w ciemności.

Wiatr poruszał lokami Dzionek, gdy wskazywała linkę.

- Ty pierwszy.

Ciężko dysząc, Morveer przeszedł przez balustradę. Podróż po linie nie sprawiła mu żadnej przyjemności. Gdy był w połowie drogi, zerwał się zimny wiatr i serce truciciela mocniej zabiło. Kiedy terminował u niesławnego Moumah-yin-Beka, wykonywał podobne akrobacje z kocią zręcznością, ale podejrzewał, że tamte czasy bezpowrotnie przeminęły, podobnie jak jego bujna ruda fryzura. Przez chwilę wracał do równowagi, ocierając zimny pot z czoła, gdy nagle zdał sobie sprawę, że obserwuje go uśmiechnięty Dreszcz.

- Masz mi do powiedzenia coś zabawnego? - spytał ostro Morveer.

- To zależy, co jest cię w stanie rozweselić. Jak długo będziesz tak siedział?

- Tak długo, jak zechcę.

- Następnym razem radzę ruszać się trochę szybciej. W przeciwnym razie wciąż będziesz wisiał na linie, gdy jutro rano otworzą bank. - Dreszcz z uśmiechem prześlizgnął się nad balustradą i wrócił po linie na drugą stronę, szybko i pewnie, mimo potężnej postury.

- Jeśli istnieje Bóg, to przeklął mnie za sprawą ludzi, których stawia na mojej drodze. - Morveer przez krótką chwilę rozważał przecięcie węzła, gdy prostak był w połowie drogi, po czym spelzł wąskim kanałem odpływowym biegnącym między łagodnymi pochyłościami ku środkowej części budynku. Przed nim lśnił potężny szklany dach, słabe światło migotało w tysiącach zniekształcających obraz szybek. Przyjazny

przykucnął tuż obok, odwijając z nadgarstka kolejny kawałek liny.

- Ach, ta nowoczesność. - Morveer uklęknął obok Dzionek, delikatnie przyciskając dłonie do szkła. - Co jeszcze wymyślą?

- Cieszę się, że żyję w takich ekscytujących czasach.

- Jak my wszyscy, moja droga. - Ostrożnie zajrzał do wnętrza banku. - Jak my wszyscy.

W holu było niemal ciemno, po obu stronach pomieszczenia paliły się tylko pojedyncze lampki, które nadawały połysk złożonym ramom olbrzymich obrazów i wypełniały przejścia cieniami.

- Banki - szepnął, a na jego ustach zamajaczył widmowy uśmiech. - Zawsze starają się zaoszczędzić.

Wyjął narzędzia szklarskie i zaczął usuwać ołów obcęgi, ostrożnie unosząc kolejne kawałki szkła za pomocą kulek kitu. Wiek nie upośledził jego wybitnej zręczności, więc w ciągu zaledwie kilku chwil usunął dziewięć szybek, po czym przeciął szczypcami i zdjął ołowianą kratownicę, odsłaniając otwór w kształcie diamentu.

- Idealne wycucie czasu - mruknął.

Blask bijący od latarenki strażnika wspiął się po wyłożonych panelami ścianach korytarza, rzucając odrobinę światła na ciemne płótna. Kroki odbijały się echem w dole. Po chwili rozległo się donośne ziewnięcie, a cień mężczyzny rozciągnął się na marmurowych płytkach. Morveer wpuścił odrobinę powietrza w ustnik dmuchawki.

- Ga! - Strażnik złapał się dłonią za czubek głowy, a Morveer szybko odsunął się od okna.

W dole rozległy się kroki, szuranie nogami, bulgotanie, a następnie głośny huk i łoskot upadającego ciała. Gdy truciciel ponownie zajrzał przez otwór, zobaczył strażnika leżącego na plecach z bezwładnie rozrzuconymi rękami. Obok spoczywała zapalona latarenka.

- Znakomicie - westchnęła Dzionek.

- Oczywiście.

- Cokolwiek powiemy o nauce, jej działanie zawsze

przypomina magię.

- Można nas nazwać czarownikami współczesności. Poproszę linę, paniczu Przyjazny.

Skazaniec rzucił mu jeden koniec jedwabnej linki; drugim był obwiązany w pasie.

- Jesteś pewien, że mnie utrzymasz?

- Tak.

Rzeczywiście, od tego cichego człowieka biła straszliwa siła, która wzbudzała zaufanie nawet u Morveera. Zawisnąwszy na linie przymocowanej za pomocą węzła własnego pomysłu, wsunął jeden, a potem drugi miękki but do czworokątnego otworu. Przecisnął się przez niego biodrami, następnie ramionami i znalazł się w banku.

- Opuszczaj - polecił, po czym zjechał w dół szybko i gładko jakby opuszczała go maszyna.

Gdy jego buty dotknęły płytek, szarpnięciem nadgarstka rzucił węzeł i cicho wślizgnął się w mroczne przejście, trzymając w pogotowiu naładowaną dmuchawkę. Spodziewał się tylko jednego strażnika wewnątrz budynku, ale nigdy nie należał ślepo ufać swoim oczekiwaniom.

Przede wszystkim ostrożność, zawsze.

Przebiegł wzrokiem wzdłuż ciemnego korytarza, czując dreszcz podniecenia wywołany wykonywanym zadaniem. Nie zauważył żadnego ruchu. Cisza niemal kłuła go w uszy.

Podniósł wzrok, zobaczył twarz Dzionek w otworze i zaprosił ją na dół grzecznym gestem. Przecisnęła się przez otwór zwinnie jak cyrkowa akrobatka, a następnie zjechała po linie, niosąc swój sprzęt w pasie z czarnego materiału, którym się owinęła. Gdy jej stopy dotknęły ziemi, uwolniła się z liny i przykucnęła, szczerząc zęby.

Niemal odpowiedział uśmiechem, ale w porę się powstrzymał. Nie chciał jej pokazać, że podziwia jej talent, rozsądek i charakter, które rozwinęły się podczas trzech lat spędzonych u jego boku. Nie chciał, żeby podejrzewała, jak bardzo ją ceni. Gdy zrobisz coś takiego, ludzie z pewnością zdradzą twoje zaufanie. Jego dzieciństwo w sierocińcu, nauka w

terminie, małżeństwo, życie zawodowe - wszystko było usiane bolesnymi zdradami. Jego serce odniosło wiele ran. Zamierzał zachowywać się w pełni profesjonalnie, by chronić ich oboje. Siebie przed nią i ją przed sobą.

- Czysto? - syknęła.

- Jak na pustej planszy - mruknął, stając nad powalonym strażnikiem. - Wszystko zgodnie z planem. Czego najbardziej nie lubimy?

- Musztardy?

- I czego jeszcze?

- Przypadków.

- Zgadza się. One nigdy nie są szczęśliwe. Złap go za nogi.

Z niemalym wysiłkiem przeciągnęli strażnika korytarzem do jego biurka i posadzili na krześle. Głowa mężczyzny opadła do tyłu i zaczął chrapać, a jego długie wąsy poruszały się lekko wokół ust.

- Aaaa, śpi jak niemowlę. Poproszę rekwizyty.

Dzionek podała mu pustą butelkę po alkoholu, a Morveer ostrożnie ustawił ją na posadzce obok buta strażnika. Następnie podała mu drugą flaszkę, do połowy napełnioną, a on wyjął korek, po czym wylał solidną porcję płynu na przód nabijanej ćwiekami skórzanej kamizelki mężczyzny. Potem położył ją na boku obok jego zwisających palców, tak że alkohol rozlał się po płytkach w postaci cuchnącej kałuży.

Morveer cofnął się i popatrzył na tę scenkę przez ramkę ułożoną z palców.

- Żywy obraz... gotowy. Któryż pracodawca nie podejrzewa swego nocnego stróża o picie na służbie? Ta obwisła twarz, smród mocnego alkoholu, głośne chrapanie. Rankiem będą stanowiły uzasadnioną podstawę dla natychmiastowego zwolnienia z pracy. Strażnik będzie się zarzekał, że jest niewinny, lecz przy braku jakichkolwiek dowodów... - Morveer przeczesał palcami włosy mężczyzny i wyłuskał ze skóry zużytą igłę - ...nikt nie będzie miał wątpliwości. Wszystko będzie wyglądało normalnie. Ale wcale takie nie będzie, prawda? O, nie. Ciche korytarze domu bankierskiego... Valint i Balk w

Westporcie... będą skrywały śmiercionośny sekret. - Zdmuchnął płomień latarenki, pogrążając ich w jeszcze głębszych ciemnościach. - Chodź za mną, Dzionek, i nie wahaj się.

Razem powędrowali korytarzem, jak para milczących cieni, po czym zatrzymali się przed ciężkimi drzwiami gabinetu Mauthisa. Wytrychy Dzionek załśniły, gdy pochyliła się, by sforsować zamek. Już po chwili zapadki obróciły się z donośnym szczęknięciem i drzwi bezgłośnie się uchyliły.

- Kiepskie zamki jak na bank - powiedziała, chowając wytrychy.

- Dobre zamki zakładają tam, gdzie trzymają pieniądze.

- A my nie przyszliśmy kraść.

- Ależ nie, bardzo nietypowi z nas złodzieje, gdyż zostawimy tu prezenty. - Okrążył ogromne biurko Mauthisa i otworzył ciężką księgę rachunkową, uważając, by nie zmienić położenia nawet jednego włoska. - Poproszę roztwór.

Podawała mu słoiczek niemal po brzegi wypełniony rzadką mazią, a Morveer ostrożnie wykręcił korek przy wtórze cichego pyknięcia. Zaczął nakładać substancję za pomocą cienkiego pędzelka.

Było to odpowiednie narzędzie dla artysty o jego talencie. Odwracał szeleszczące kartki, pozostawiając maźnięcia w narożnikach każdej strony.

- Widzisz, Dzionek? Szybko, zręcznie i precyzyjnie, ale z należytą ostrożnością. Przede wszystkim z ostrożnością. Co zabija większość osób praktykujących nasz fach?

- Ich własne substancje.

- Właśnie. - Dlatego z należytą ostrożnością zamknął księgę, której strony już niemal wyschły, schował pędzelek i ponownie zakorkował słoiczek.

- Idziemy - powiedziała Dzionek. - Zgłodniałam.

- Idziemy? - Morveer uśmiechnął się szeroko. - Ależ nie, moja droga, jeszcze nie skończyliśmy. Wciąż musisz zasłużyć na kolację. Czeka nas cała noc pracy. Bardzo... długa... noc.

- Tutaj.

Zaskoczony Dreszcz niemal spadł z balustrady, a serce podeszło mu do gardła. Murcatto przykucnęła za nim z wyszczerzonymi zębami; parujący oddech unosił się wokół jej skrytej w mroku twarzy.

- Na spokój zmarłych, ale mnie wystraszyłaś! - syknął.

- Strażnicy zrobiliby ci coś gorszego. - Podkrađła się do żelaznego pierścienia i pociągnęła za węzeł. - A więc udało ci się wspiąć? - W jej głosie pobrzmiwało zaskoczenie.

- Miałaś jakieś wątpliwości?

- Myślałam, że roztrzaskasz sobie głowę, jeśli w ogóle uda ci się dotrzeć na tyle wysoko, by spaść.

Postukał się palcem w czaszkę.

- To najmniej wrażliwa część mojego ciała. Zgubiłaś swoich przyjaciół?

- W połowie drogi do przekłętej ulicy Lorda Sabeldiego. Gdybym wiedziała, że tak łatwo wyprowadzić ich w pole, od razu bym ich zaczepiła.

Dreszcz się uśmiechnął.

- Cieszę się, że w końcu to zrobiłaś, bo w przeciwnym razie oni by mnie zaczepili.

- A tego byśmy nie chcieli. Wciąż czeka nas dużo pracy.

Dreszcz niespokojnie poruszył ramionami. Czasami zapominał, że ich zadanie polega na zabiciu człowieka.

- Zimno, co?

Parsknął.

- Tam, skąd pochodzę, taką pogodę mamy w środku lata. - Odkorkował butelkę i wyciągnął rękę w jej stronę. - Może to cię rozgrzeje.

- Bardzo przezornie z twojej strony. - Pociągnęła długi łyk, a Dreszcz zauważył, jak poruszają się cienkie mięśnie na jej szyi.

- Jestem wyjątkowo przezornym człowiekiem, jak na członka grupy płatnych zabójców.

- Zapewniam cię, że niektórzy płatni zabójcy są bardzo miłymi ludźmi. - Pociągnęła kolejny łyk, po czym oddała mu butelkę. - Oczywiście, w naszym gronie takich nie ma.

- Jasne, same gnojki u nas.

- Są w środku? Morveer i jego małe echo?

- Tak, już od dłuższego czasu.

- A Przyjazny razem z nimi?

- Razem z nimi.

- Morveer mówił, jak długo im to zajmie?

- On miałby mi coś powiedzieć? A myślałem, że to ja tutaj jestem optymistą.

Siedzieli obok siebie przy balustradzie w lodowatej ciszy, spoglądając na mroczną sylwetkę banku. Z jakiegoś powodu Dreszcz czuł się bardzo zdenerwowany. Bardziej niż można się było spodziewać w przypadku planowania morderstwa. Zerknął ukradkiem na Monzę i nie zdążył w porę odwrócić wzroku, gdy na niego spojrzała.

- Możemy tylko czekać i marznąć, nic więcej - powiedziała.

- Nic więcej. Chyba że chcesz mi jeszcze bardziej skrócić włosy.

- Bałabym się, że kiedy wyjmę nożyczki, znów spróbujesz się rozebrać.

Dreszcz się roześmiał.

- Dobrze. Zasłużyłaś na kolejny łyk. - Wyciągnął rękę z butelką.

- Wyjątkowo lubię żartować, jak na kobietę, która zatrudnia płatnych zabójców. - Przysunęła się, żeby wziąć alkohol.

Na tyle blisko, że poczuł mrowienie w boku, którym był zwrócony w jej stronę. Na tyle blisko, że nagle poczuł w gardle własny przyspieszony oddech. Odwrócił się, nie chcąc wygłupić się bardziej niż przez ostatnie dwa tygodnie. Usłyszał, jak przechyla butelkę i pije.

- Dzięki.

- Nie ma sprawy. Jeśli będę mógł coś dla ciebie zrobić, szefowo, po prostu daj mi znać.

Kiedy się obejrzał, popatrzyła mu prosto w oczy, mocno

zaciskając usta, jakby oceniała, ile jest wart.

- Jest coś takiego.

Morveer z wielką delikatnością wepchnął na miejsce ostatnie kawałki ołowiu, po czym schował narzędzia szklarskie.

- To wystarczy? - spytała Dzionek.

- Raczej nie oprze się ulewie, ale do jutra powinno wytrzymać. Wtedy będą już mieli na głowie większe kłopoty niż przeciekające okno.

Zebrał palcem ostatnie smugi kitu ze szkła i podążył za swoją asystentką ku balustradzie. Przyjazny już zajął się linką. Morveer widział jego przysadzistą sylwetkę po drugiej stronie otchłani.

Zerknął ponad krawędzią dachu. Za kolcami i ozdobnymi rzeźbami gładka kamienna kolumna opadała ku brukowanej uliczce, przyprawiając go o zawroty głowy. Jedna z grupek strażników minęła ją niespiesznie, kołysząc latarniami.

- A co z linką? - syknęła Dzionek, gdy strażnicy znaleźli się poza zasięgiem głosu. - Kiedy wzejdzie słońce, ktoś...

- Nie zapomniałem o żadnym szczególe. - Morveer wyszczerzył zęby, wydając z wewnętrznej kieszeni małą fiolkę. - Kilka kropel przepali węzeł po naszym przejściu. Wystarczy, że zaczekamy po drugiej stronie i zwiniemy linkę.

W ciemności nie widział dokładnie twarzy Dzionek, ale asystentka wydawała się nieprzekonana.

- A jeśli przepali go szybciej niż...

- Nie przepali.

- Wydaje mi się, że to zbyt ryzykowne.

- Czego nigdy nie podejmuję, moja droga?

- Zbędnego ryzyka, ale...

- Zatem idź pierwsza.

- Tak zrobię. - Dzionek błyskawicznie skoczyła na linkę i zwieszając się na rękach, przedostała się na przeciwległy

budynek. Zajęło jej to najwyżej trzydzieści sekund.

Morveer odkorkował małą buteleczkę i upuścił kilka kropel na węzeł. Po chwili namysłu dodał kolejne kilka kropel. Nie miał zamiaru czekać do rana, aż to świństwo się rozpadnie. Przepuścił kolejny patrol, po czym przeszedł przez balustradę ze znacznie mniejszą gracją niż jego asystentka. Jednak nie musiał się śpieszyć. Przede wszystkim ostrożność. Ujął linę w dłonie okryte rękawiczkami, zawisł na niej, zarzucił na górę jedną nogę, uniósł drugą...

Rozległ się szorstki odgłos rozdzierania i Morveer poczuł zimny podmuch wiatru na kolanie.

Zerknął w dół. Jego nogawka zaczepiła się o wygięty kolec wystający z szeregu i rozdarła niemal do pośladka. Szarpnęła nogą, próbując ją uwolnić, ale jeszcze bardziej się zaplątała.

- Psiakrew.

To z pewnością nie była część planu. Ponad balustradą, do której była przywiązana lina, unosiły się delikatne kłęby dymu. Wyglądało na to, że kwas zadziałał szybciej niż powinien.

- Psiakrew.

Morveer wciągnął się z powrotem na dach banku i przysiadł obok dymiącego węzła, chwytając linę jedną ręką. Z wewnętrznej kieszeni wyjął skalpel, po czym kilkoma szybkimi ruchami odciął łopoczący materiał od kolca. Raz, dwa, trzy i prawie gotowe, sprawnie jak chirurg. Ostatnie cięcie i...

- Ach! - Z rozdrażnieniem, a następnie rosnącym przerażeniem zauważył, że skaleczył się w nogę. - Psiakrew!

Ostrze było pokryte wyciągiem z laryncji. Jako że zawsze przyprawiała go ona o poranne mdłości, pozwolił, by jego odporność na truciznę spadła. Jej działanie samo w sobie nie będzie śmiertelne, ale może sprawić, że Morveer wypuści z rąk linę, a niestety, nie wykształcił w sobie odporności na upadek z dużej wysokości na twarde bruk. Cóż za gorzka ironia. W końcu większość osób parających się tym fachem ginie z powodu własnych substancji.

Zdjął zębami jedną rękawiczkę i zaczął przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu odtrutki, miotając przekleństwa przez zęby

zaciśnięte na skórze, kołysząc się na boki, gdy zrywał się zimny wiatr, który wywoływał gęsią skórkę na jego obnażonej nodze. Malutkie szklane rurki grzechotały mu pod palcami; na każdej wytrawiono symbol, który pozwalał na identyfikację za pomocą dotyku.

Jednakże w tych okolicznościach nie było to łatwe zadanie. Beknął i poczuł przyływ mdłości, gwałtowne bolesne poruszenie w żołądku. Jego palce odnalazły właściwy symbol. Wypluł rękawiczkę, drżącą dłonią wydobył fiolkę z płaszcza, odkorkował ją zębami, po czym wyssał zawartość.

Zakrztusił się gorzkim wyciągiem i puścił z ust kwaśną ślinę na bruk daleko w dole. Kurczowo trzymał się liny, walcząc z zawrotami głowy, mając wrażenie, że czarna ulica kołysze się wokół niego.

Znów był bezsilny jak dziecko. Wzdychał, pojękiwał, przytrzymywał się obiema rękami. Tak samo rozpaczliwie obejmował martwe ciało matki, gdy po niego przyszli.

Powoli odtrutka zaczęła działać. Ciemny świat się uspokoił, a żołądek Morveera przestał się burzyć. Ulica znów była pod nim, a niebo nad nim, tak jak zawsze. Truciciel skupił się na węzłach, z których przy wtórze syczenia wydobywało się coraz więcej dymu. Czuł ostrą woń przepalanego sznura.

- Psiakrew!

Zarzucił obie nogi na linę i ruszył, żałośnie osłabiony przyjętą dawką trucizny. Powietrze syczało w jego zaciśniętym ze strachu gardle. Co się stanie, jeśli lina pęknie, zanim przedostanie się na drugą stronę? Poczuł ucisk w żołądku i zazgrzytał zębami, podskakując w powietrzu.

Po chwili ponownie ruszył, ale był straszliwie zmęczony. Płatały mu się drżące ręce, a goła skóra dłoni i nóg piekła pod wpływem tarcia. Jednakże pokonał już ponad połowę drogi i wciąż sunął naprzód. Odchylił głowę do tyłu, wciągając do płuc powietrze, przywołując resztki sił. Zobaczył Przyjaznego, który wyciągał w jego kierunku rękę w odległości kilku kroków. Zobaczył także Dzionek i z rozdrażnieniem doszedł do wniosku, że na jej twarzy błąka się cień uśmiechu.

Nagle usłyszał cichy odgłos rozdzierania dobiegający od strony drugiego końca liny.

Otworzyła się pod nim otchłań i runął w dół, a zimne powietrze wdarło mu się ze świstem do otwartych ust. Ściana sypiącego się budynku pomknęła w jego kierunku. Wydał z siebie wściekły jęk, taki sam jak wtedy, gdy oderwali go od martwej dłoni matki. Potworne uderzenie odebrało mu oddech, ucięło krzyk, wydarło linę z kurczowo zaciśniętych dłoni.

Rozległ się trzask pękającego drewna. Morveer spadał, próbując chwycić powietrze, wytrzeszczał niewidzące oczy, a w jego głowie kłębiła się szalona rozpacz. Spadał, wymachując rękami i bezsilnie wierzgając nogami, świat wirował wokół, a wiatr chłostał mu twarz. Spadał, spadał... z wysokości około dwóch kroków. Uderzył policzkiem o podłogę, a wokół niego zabębnił deszcz kawałków drewna.

- Co? - mruknął.

Zszokowany poczuł, że ktoś chwytą go za szyję, podnosi i uderza nim o ścianę ze wstrząsającą siłą, tak że po raz drugi w ciągu kilku chwil stracił oddech.

- To ty! Co jest, kurwa? - Dreszcz.

Z jakiegoś niewiadomego powodu Północny był nagi. Niechlujny pokój za jego plecami rozświetlał słaby blask węgla w palenisku. Spojrzenie Morveera powędrowało w stronę łóżka. Leżała w nim Murcatto, podparta na łokciach, z rozchyłoną pogniecioną koszulą, rozpląszczonymi piersiami. Patrzyła na niego z zaskoczeniem, jakby otworzyła drzwi i ujrzała gościa, którego spodziewała się o późniejszej porze.

Morveer pozbierał myśli. Pomimo swojego upokarzającego położenia, pulsujących w głowie resztek przejmującego strachu oraz szczypiących zadrapań na twarzy i dłoniach zaczął chichotać. Lina pękła za szybko i za sprawą szalonego, ale bardzo pożądanego przypadku truciciel po idealnym łuku wpadł przez przegniłe okiennice do jednego z pomieszczeń w rozsypującym się domu. Nie dało się nie docenić ironii sytuacji.

- Więc jednak istnieją szczęśliwe przypadki! - wykrztusił ze śmiechem.

Murcatto zmrużyła rozbiegane oczy. Miała dziwne blizny biegnące wzdłuż linii żeber na jednym boku.

- Dlaczego się palisz? - zaskrzeczała.

Wzrok Morveera ześlizgnął się na fajeczkę do plew leżącą na podłodze obok łóżka. Oto dlaczego nie była zaskoczona jego nietypowym wejściem.

- Nic dziwnego, że jesteś oszołomiona. To raczej ty paliłaś. Zdajesz sobie sprawę, że to sama trucizna. Sama...

Wyciągnęła rękę, wskazując bezwładnym palcem na jego klatkę piersiową.

- Palisz się, idioto. - Popatrzył w dół. Kilka smug gryzącego dymu unosiło się z jego koszuli.

- Psiakrew! - pisnął, gdy zszokowany Dreszcz odsunął się i pozwolił mu upaść. Morveer zdarł z siebie kurtkę; kawałki szkła z rozbitej buteleczki po kwasie zadzwoniły o podłogę. Szarpał się z koszulą, na której zaczęły się już tworzyć pęcherzyki. Wreszcie zdarł ją i rzucił na ziemię. Leżała tam, dymiąc i wypełniając brudne pomieszczenie nieprzyjemnym odorem. Patrzyli na nią we troje, dziwnym zrzędzeniem losu wszyscy co najmniej półnaczy.

- Proszę o wybaczenie - wykrztusił Morveer. - To z pewnością nie była część planu.

Pełna odpłata

Monza patrzyła surowym wzrokiem na łóżko i na Dreszcza. Leżał rozciągnięty z kocem zwiniętym na brzuchu. Jedna długa ręka zwisała z krawędzi materaca, a biała dłoń spoczywała bezwładnie na podłogowych deskach. Spod koca wystawała potężna stopa o paznokciach naznaczonych półksiężycami brudu. Zwrócona w jej stronę twarz była spokojna jak u dziecka, z zamkniętymi oczami i lekko rozchylonymi ustami. Klatka piersiowa i przecinająca ją długa blizna unosiły się łagodnie w rytm oddechu.

W świetle dnia wydawało się, że popełniła poważny błąd. Rzuciła w niego monetami, które zabrzęczały na jego piersi i rozsypały się po łóżku. Obudził się gwałtownie i zamrugał.

- Cojess? - Popatrzył zamglonym wzrokiem na srebro, które przyczepiło mu się do torsu.

- Pięć szalek. To więcej niż uczciwa cena za wczorajszą noc.

- He? - Odpędził senność, pocierając oczy dwoma palcami. - Płacisz mi? - Strącił monety ze swojej skóry na koc. - Czuję się jak dziwka.

- A nie jesteś dziwką?

- Nie. Mam swoją godność.

- Więc możesz za pieniądze zabić człowieka, ale wylizać cipy już nie? - Parsknęła. - Oto twoja moralność. Chcesz posłuchać dobrej rady? Weź tego piątaka i w przyszłości skup się na zabijaniu. Do tego masz większy talent.

Dreszcz przewrócił się na bok i okrył kocem aż po szyję.

- Zamknij drzwi, jak będziesz wychodziła, co? Strasznie tu zimno.

Ostrze od Calveza wściekle przeszywało powietrze. Cięła z lewej i prawej, wysoko i nisko. Obróciła się w narożniku dziedzińca, szurając butami po połamanych płytach, po czym wykonała pchnięcie lewą ręką, a błyszczący czubek szpady uderzył na wysokości piersi. Szybki oddech parował wokół jej twarzy, koszula przykleiła się do pleców pomimo zimna.

Każdego dnia jej nogi były w lepszym stanie. Wciąż piekły, gdy szybko się poruszała, rano były sztywne jak stare gałęzie i piekielnie bolały wieczorem, ale już prawie się nie krzywiła podczas chodzenia. Mimo że kolana strzelały, zaczynały odzyskiwać elastyczność. Mięśnie ramienia i szczęki rozluźniły się, a monety pod skórą głowy prawie nie sprawiały jej bólu, gdy je naciskała.

Niestety, prawa ręka wciąż była do niczego. Włożyła szpadę Benny pod pachę i ściągnęła rękawiczkę. Nawet to sprawiało jej ból. Poskręcana kończyna drżała, słaba i blada, a blizna po strunie Gobby opasywała ją jaskrawofioletową linią. Monza skrzywiła się, zaciskając powykrzywiane palce, wszystkie oprócz małego, który wciąż uparcie sterczał. Myśl, że będzie skazana na to ohydne kalectwo do końca życia, wywołała w niej nagły przypływ wściekłości.

- Drań - syknęła przez zaciśnięte zęby, po czym ponownie włożyła rękawiczkę. Przypomniała sobie, jak ojciec po raz pierwszy dał jej ostrze do potrzymania, zaledwie osiem lat temu. Pamiętała, jakie było ciężkie, jak dziwnie i niewygodnie leżało w prawej dłoni. Teraz niedużo lepiej leżało w lewej. Ale Monza nie miała wyboru, musiała się nauczyć.

Zacząć od zera, jeśli to konieczne.

Stała naprzeciwko przegniłej okiennicy i skierowała w jej stronę ostrze, trzymając nadgarstek zwrócony płasko w stronę ziemi. Wykonała trzy szybkie dźgnięcia i czubek szpady wydarł trzy kawałki drewna z ramy, jeden pod drugim. Warknęła, skręcając dłoń i tnąc ku dołowi, rozcinając ramę na dwie części,

posyłając w powietrze drzazgi.

Lepiej. Każdego dnia lepiej.

- Wspaniale. - Morveer stanął w drzwiach, na policzku miał kilka świeżych zadrapań. - Żadna okiennica w Styrii nie odważy się nam przeciwstawić. - Wyszedł na dziedziniec, trzymając dłonie złączone za plecami. - Podejrzewam, że robiłaś jeszcze większe wrażenie, kiedy miałaś sprawną prawą rękę.

- To już mój kłopot.

- I to duży. Już doszłaś do siebie po swoich... nocnych szaleństwach z naszym przyjacielem z Północy?

- Moje łóżko, moja sprawa. A ty? Doszedłeś do siebie po tym, jak wpadłeś przez moje okno?

- Skończyło się na kilku zadrapaniach.

- Szkoda. - Wsunęła ostrze do pochwy. - Zrobione?

- Już niedługo.

- Nie żyje?

- Już niedługo.

- Kiedy?

Morveer z uśmiechem podniósł wzrok na kwadrat bladego nieba.

- Cierpliwość jest najważniejszą spośród cnót, pani generał Murcatto. Bank dopiero otworzył podwoje, a środek, którego użyłem, działa z opóźnieniem. Pośpiech nie służy skuteczności.

- Ale uda się?

- Och, jak najbardziej. To będzie... mistrzostwo.

- Chcę to zobaczyć.

- Ależ oczywiście. Nawet w moich rękach śmierć bywa nieprecyzyjna, ale szacuję, że najlepszy moment nadejdzie mniej więcej za godzinę. Jednak stanowczo odradzam dotykanie czegokolwiek w banku. - Odwrócił się, grożąc jej palcem przez ramię. - No i postaraj się, żeby nikt cię nie rozpoznał. Nasza współpraca dopiero się rozpoczęła.

W głównym holu panował duży ruch. Kilkudziesięciu urzędników pracowało przy ciężkich biurkach, pochylając się nad wielkimi księgami, skrobiąc i grzechocząc piórami. Znudzeni strażnicy podpierali ściany, obserwując wewnątrz banku bez entuzjazmu bądź w ogóle go nie obserwując. Monza kluczyła wśród grupek wystrojonych, atrakcyjnych bogaczy, prześlizgując się między rzędami klientów pachnących wonnymi olejkami i ozdobionych klejnotami. Dreszcz przepychał się za nią. Byli tutaj kupcy i sprzedawcy, żony bogaczy, ich ochroniarze oraz słudzy dźwigający kasetki i worki z pieniędzmi. Wyglądało to na typowy dzień olbrzymich zysków w domu bankierskim Valint i Balk.

Stąd książe Orso dostawał pieniądze.

Nagle Monza zauważyła szczupłego mężczyznę o haczykowatym nosie, rozmawiającego z grupą ubranych w futra kupców, otoczonego urzędnikami, z których każdy trzymał pod pachą księgi rachunkowe. Sępia twarz wyróżniała się w tłumie jak iskra w ciemnej piwnicy i rozpała ogień w piersi Monzy. Mauthis. Człowiek, którego zamierzała zabić w Westporcie, a który najwyraźniej był cały i zdrowy.

W rogu holu rozległo się czyjeś wołanie, ale Monza wbiła wzrok przed siebie, mocno zaciskając zęby. Zaczęła przepychać się między kolejkami petentów w stronę bankiera księcia Orso.

- Co ty robisz? - Dreszcz syknął jej do ucha, ale go zlekceważyła, odpychając z drogi mężczyznę w wysokim kapeluszu.

- Dajcie mu trochę powietrza! - krzyknął ktoś.

Ludzie rozglądali się, szepcząc i wyciągając szyje, równe kolejki zaczęły się rozpraszać. Monza nie zatrzymywała się, była coraz bliżej. Bliżej niż nakazywał rozsądek. Nie miała pojęcia, co zrobi, gdy dotrze do Mauthisa. Ugryzie go? Przywita się? Dzieliło ją od niego niecałe dziesięć kroków - równie niewiele, jak wtedy, gdy patrzył na jej konającego brata.

Nagle bankier się skrzywił. Monza zwolniła kroku, ostrożnie przeciskając się przez tłum. Zobaczyła, jak Mauthis zgina się wpół, jakby ktoś uderzył go w żołądek. Zakaszła, po chwili

ponownie - to był ostry kaszel przypominający torsje. Zachwiał się i oparł o ścianę. Ludzie krążyli wokoło, hol rozbrzmiewał echami zaciekawionych szeptów i nielicznych okrzyków.

- Cofnijcie się!
- Co się dzieje?
- Odwróćcie go!

Oczy Mauthisa lśniły wilgocią, żyły na szyi napęczniały. Kurczowo przytrzymał się jednego z urzędników, gdy ugięły się pod nim kolana. Mężczyzna zatoczył się, po czym powoli opuścił przełożonego na podłogę.

- Proszę pana? Proszę pana?

Wydawało się, że cały hol ogarnęła atmosfera fascynacji graniczącej z lękiem. Monza powoli się zbliżyła, po czym zerknęła przez czyjeś ramię odziane w aksamit. Wytrzeszczone oczy Mauthisa napotkały jej spojrzenie. Bankier miał ściągniętą twarz, jego skóra poczerwieniała, włókna mięśni zeszywniały. Uniósł dygoczącą rękę i wskazał kobietę kościstym palcem.

- Mu... - wykrztusił. - Mu... Mu...

Jego źrenice uciekły do tyłu i zaczął podrygiwać, wymachując nogami, wyginając plecy, rzucając się wściekle na marmurowych płytach jak ryba wyrzucona na brzeg. Otaczający go ludzie patrzyli przerażeni. Nagle jeden z nich zgiął się wpół w ataku kaszlu. W całym holu rozlegały się krzyki.

- Pomocy!
- Tutaj!
- Niech ktoś przyjdzie!
- Mówiłem, więcej powietrza!

Jeden z urzędników zerwał się z za biurka, przewracając krzesło i chwycił się za gardło. Jego twarz przybrała fioletową barwę. Zrobił kilka chwiejnych kroków, po czym runął na ziemię, gubiąc but, który spadł z wierzgającej stopy. Kolejny urzędnik pomagający Mauthisowi uklęknął, z trudem łapiąc oddech. Jakaś kobieta wrzasnęła przesywająco.

- Na spokój zmarłych... - szepnął Dreszcz.

Z szeroko otwartych ust bankiera wydobywała się różowa

piana. Przestał się rzucać i tylko lekko drgał. Potem znieruchomiał. Jego ciało zwiotczało, puste oczy zatrzymały się na uśmiechniętych popiersiach otaczających ściany za plecami Monzy.

Dwóch nie żyje. Zostało pięciu.

- To zaraza! - krzyknął ktoś, a wtedy, niczym za sprawą rozkazu generała wzywającego do ataku, w holu zapanował chaos.

Jeden z kupców, którzy rozmawiali z Mauthisem, rzucił się do ucieczki, niemal tratując Monzę. Dreszcz zastąpił mu drogę i pchnął go prosto na trupa bankiera. Po chwili kurczowo uchwycił się jej mężczyzna w przekrzywionych okularach. Miał różową twarz i wytrzeszczone oczy makabrycznie powiększone przez szkła. Monza instynktownie uderzyła go prawą pięścią, po czym głośno westchnęła, gdy powykręcane knykcie trafiły w policzek i całą rękę przeszył ból. Szybko zdzieliła natręta kantem lewej dłoni, przewracając go na plecy.

„Żadna zaraza nie rozprzestrzenia się równie szybko jak panika i żadna nie jest tak śmiercionośna”, pisał Stolicus.

Nagle opadła fasada cywilizacji. Bogaci i zadowoleni zmienili się w zwierzęta. Odpychali każdego, kto stał im na drodze. Nie okazywali litości tym, którzy upadli. Monza zobaczyła, jak tłusty kupiec uderza pięścią w twarz elegancką damę, a ta pada z piskiem i zostaje przyduszona kopniakami do ściany, z peruką osuniętą na zakrwawioną twarz. Zobaczyła staruszkę skulonego na podłodze, traktowanego przez tłum. Na posadzkę upadła kasetka, z której wysypały się srebrne monety, jednak ludzie je zignorowali i rozrzucili nogami. To wszystko przypominało szaleństwo panicznego odwrotu z pola bitwy. Wrzaski, przepychanki, przekleństwa, smród strachu, rozrzucone ciała i połamane przedmioty.

Ktoś ją popchnął, więc uderzyła na oślep łokciem; usłyszała chrzęst i poczuła kropelki krwi na policzku. Popłynęła z tłumem jak gałązka, która wpadła do rwącej rzeki, uderzana, skręcana, rozdierana i płątana. Gniewnie warcząc, dała się ponieść na ulicę, niemal nie dotykając stopami ziemi, czując nacisk

rzucającej się i wijącej ludzkiej masy. Tam została odrzucona na bok, ześlizgnęła się ze schodów, skręciła nogę na bruku i wpadła na ścianę banku.

Poczuła, że Dreszcz chwytą ją za łokieć i na wpeł prowadzi, a na wpeł niesie w bezpieczne miejsce. Dwóch strażników bezskutecznie usiłowało zatamować potok spanikowanych ludzi drzewcami halabard. Nagle tłum zafalował i porwał Monzę do tyłu. Pomiędzy wymachującymi rękami zobaczyła męczyznę dygoczącego na ziemi, kaszlącego czerwoną pianą na bruk. Fasada przerażonych, zafascynowanych twarzy trzęsła się i podskakiwała, gdy ludzie usiłovali się od niego oddalić.

Monzie kręciło się w głowie, w ustach czuła kwaśny smak. Dreszcz szedł obok niej, szybko oddychając przez nos, oglądając się przez ramię. Skręcili za róg banku i skierowali się w stronę rozsypującego się budynku. Wściekła wrzawa cichła za ich plecami. Monza zobaczyła Morveera, który stał w oknie na górze jak bogaty mecenas oglądający przedstawienie z prywatnej loży. Uśmiechnął się do nich i pomachał jedną ręką.

Dreszcz warknął coś w swojej mowie, otwierając ciężkie drzwi i wpuszczając Monzę. Wyszarpnęła szpadę z pochwy i pobiegła po schodach, przeskakując po dwa stopnie, niemal nie zwracając uwagi na piekący ból kolan.

Gdy dotarła na górę, Morveer wciąż stał przy oknie, a jego asystentka siedziała ze skrzyżowanymi nogami na stole, zajadając się połówką bochenka chleba.

- Wygląda na to, że na ulicy panuje niemałe zamieszanie! - Truciciel odwrócił się od okna, ale przestał się uśmiechać, gdy zobaczył twarz Monzy. - Co się stało? Przeżył?

- Nie żyje. Tak jak dziesiątki innych.

Morveer lekko uniół brwi.

- To zrozumiałe, że w takiej instytucji księgi znajdują się w ciągłym ruchu. Nie mogłem ryzykować, że Mauthis sięgnie po inną. Czego nigdy nie podejmuję, Dzionek?

- Zbędnego ryzyka. Ostrożność przede wszystkim, zawsze. - Dzionek odgryzła kolejny kawałek chleba i zaczęła go żuć.

- Dlatego zatruliśmy je wszystkie. Każdą księgę rachunkową

w budynku.

- Nie tak się umawialiśmy - warknęła Monza.

- Twierdziłaś, że cena nie gra roli i nie ma znaczenia, kto zginie przy okazji. Tylko na takich warunkach pracuję. W przeciwnym razie łatwo o nieporozumienia. - Morveer sprawiał wrażenie zaskoczonego, a zarazem rozbawionego. - Doskonale zdaję sobie sprawę, że niektórym ludziom nie podoba się masowe morderstwo, jednak nigdy bym się nie spodziewał, że ty do nich należysz, Monzcarro Murcatto, Wężu Talinsu, Rzeźniczko z Caprile. Nie musisz się martwić o pieniądze. Mauthis będzie cię kosztował dziesięć tysięcy, tak jak się umówiliśmy. Reszta gratis...

- Nie chodzi o pieniądze, głupcze!

- A zatem o co? Podjąłem się zadania, które mi zleciłaś, i skutecznie się z niego wywiązałem, więc dlaczego miałbym czuć się winny? Twierdzisz, że nie oczekiwałaś takich skutków, i nie podjęłaś się tego zadania osobiście, więc dlaczego ty miałabyś się czuć winna? Odpowiedzialność spada pomiędzy nas, jak gówno żebraka, które trafia prosto do kanału, gdzie znika na zawsze i nikomu nie przeszkadza. Możemy to uznać za nieszczęśliwe nieporozumienie? Przypadek? Zupełnie jakby zerwał się wichur i przewrócił olbrzymie drzewo, które zgmiotło wszystkie robaczki w okolicy!

- Zgmiotło - zaświergotała Dzionek.

- Jeśli dręczy cię sumienie...

Monza poczuła nagłe ukłucie gniewu. Dłonią w rękawiczce chwyciła rękojeść szpady, aż trzasnęły powykręcane kości.

- Sumienie to tylko wymówka, by nie robić tego co konieczne. Tutaj chodzi o kontrolę. Od tej pory będziemy zabijać tylko pojedyncze cele.

- Czyżby?

Wtargnęła do pomieszczenia, a truciciel cofnął się, nerwowo zerkając na ostrze.

- Nie wystawiaj mnie na próbę. Nigdy. Powiedziałam... tylko... pojedyncze... cele.

Morveer odchrząknął.

- Oczywiście, ty jesteś klientką, więc będziemy działać jak postanowisz. Nie ma powodów, żeby się gniewać.

- Jeszcze nie widziałeś mnie rozgniewanej.

Truciciel ciężko westchnął.

- Na czym polega ciągła niedola przedstawicieli naszego fachu, Dzionek?

- Nikt nas nie docenia. - Asystentka wrzuciła do ust ostatni kawałek skórki.

- Otóż to. Chodź, przespacerujemy się po mieście, a nasza pracodawczyni zdecyduje, które nazwisko z jej listy jest dla nas odpowiednie. Atmosfera w tym miejscu jest skażona hipokryzją.

Morveer wyszedł z pomieszczenia z miną urażonej niewinności. Dzionek zerknęła spod jasnych rzęs, wzruszyła ramionami, wstała, otrzepała koszulę z okruchów, po czym podążyła za swoim mistrzem.

Monza zwróciła się w stronę okna. Tłum już niemal się rozproszył. Pojawiły się grupki nerwowych strażników, którzy zablokowali ulicę przed bankiem, utrzymując bezpieczną odległość od nieruchomych ciał rozciągniętych na bruku. Zastanawiała się, co by na to powiedział Benna. Pewnie kazałby jej się uspokoić. Dokładnie to przemyśleć.

Chwyliła obiema rękami skrzynię i z warknięciem cisnęła nią przez cały pokój. Skrzynia uderzyła w ścianę, posyłając w powietrze kawałki gipsu, po czym z trzaskiem spadła i otworzyła się, a ubrania rozsypały się po podłodze.

Dreszcz stał w progu i uważnie ją obserwował.

- Mam dosyć.

- Nie! - Przełknęła ślinę. - Nie. Wciąż potrzebuję twojej pomocy.

- Stawanie z wrogiem twarzą w twarz to jedno... ale to...

- Teraz już będzie inaczej. Postaram się o to.

- Tylko ładne, czyste morderstwa? Wątpię. Kiedy ktoś się nastawi na zabijanie, szybko traci rachubę ofiar. - Dreszcz pokręcił głową. - Może Morveer i jemu podobni skurwiele potrafią podejść do tego z uśmiechem, ale ja nie.

- Więc co? - Podeszła do niego powoli, tak jak podchodzi się do niespokojnego konia, próbując spojrzeniem powstrzymać go przed ucieczką. - Wrócisz na Północ z pięćdziesięcioma szalkami na podróż? Znow zapuścisz włosy, będziesz nosił kiepskie koszule i plamił śnieg krwią? Myślałam, że masz honor. Myślałam, że chciałeś stać się kimś lepszym.

- Zgadza się. Chciałem.

- I nadal możesz. Zostań. Kto wie, może dzięki temu kogoś ocalisz. - Delikatnie oparła lewą dłoń na jego piersi. - Wskaż mi właściwą drogę. Wtedy będziesz mógł zostać kimś dobrym i bogatym jednocześnie.

- Zaczynam wątpić, czy takie połączenie jest możliwe.

- Pomóż mi. Muszę to zrobić... dla mojego brata.

- Jesteś pewna? Zmarłym nie można pomóc. Zemsta jest dla ciebie.

- A więc dla mnie! - Ponownie zmusiła się do ściszenia głosu. - Nie mogę cię w żaden sposób skłonić do zmiany zdania?

Dreszcz wykrzywił usta.

- Rzucisz mi kolejnego piąta?

- Nie powinnam była tego robić. - Przesunęła dłoń w górę, powiodła nią wzdłuż jego szczęki, starając się znaleźć właściwe słowa, wybrać odpowiednią kartę przetargową. - Nie zasłużyłeś na to. Straciłam brata, który był dla mnie wszystkim. Nie chcę stracić nikogo więcej... - Pozwoliła, by te słowa zawisły w powietrzu.

Oczy Dreszcza miały dziwny wyraz. Mieszały się w nich gniew, żądza i wstyd. Dość długo stał w milczeniu, a Monza czuła, jak napina i rozluźnia mięśnie twarzy.

- Dziesięć tysięcy - rzucił w końcu.

- Sześć.

- Osiem.

- Zgoda. - Opuściła dłoń; przez chwilę się sobie przyglądali. - Spakuj się, wyruszamy w ciągu godziny.

- Jasne. - Wyszedł z pokoju z zawstydzonym wyrazem twarzy, nie patrząc jej w oczy. Monza została sama.

Na tym polega problem z dobrymi ludźmi. Są drodzy jak

zaraza.

III

Sipani

*„Wiara w nadprzyrodzone źródło zła nie jest wcale
potrzebna; sami ludzie są zdolni do każdej niegodziwości”.*

Joseph Conrad

Niecałe dwa tygodnie później zza granicy przybyli ludzie pragnący wziąć odwet; powiesili starego Destorta razem z żoną oraz spalili młyn. Po tygodniu synowie młynarza wyruszyli w poszukiwaniu zemsty, a Monza przypasała ostrze ojca i do nich dołączyła, zabierając ze sobą mazgającego się Bennę. Cieszyła się, że może odejść. Znudziła ją praca na roli.

Opuścili dolinę, by wyrównać rachunki, i nie próżnowali przez dwa lata. Dołączali do nich kolejni mężczyźni, którzy stracili pracę, gospodarstwa, rodziny. Wkrótce to oni palili uprawy, włamywali się do domów i kradli wszystko, co wpadło im w ręce. Wkrótce to oni wieszali. Benna szybko dorósł i pozbył się skrupułów. Nie miał innego wyjścia. Mścili się za zabójstwa, potem za grabieże, zniewagi, a w końcu za same podejrzenia zniewag. Toczyła się wojna, więc nie brakowało krzywd wymagających odpłaty.

Wraz z końcem lata Talins i Musselia zawarły pokój, nie uzyskawszy niczego poza górą trupów. W dolinie pojawił się jeździec w szacie obszytej złotem wraz z oddziałem żołnierzy i zabronił działań odwetowych. Synowie Destorta i reszta rozdzielili się, zabierając łupy, po czym wrócili do życia, które wiedli, zanim rozpoczęło się to szaleństwo, bądź znaleźli nowe szaleństwa, w których mogli wziąć udział. Do tego czasu Monza zdążyła zatęsknić za uprawą roli.

Dotarli tylko do wioski.

Na krawędzi strzaskanej fontanny stało uosobienie żołnierskiego splendoru w napierśniku z lśniącej stali, z rękojeścią szpady wysadzaną lśniącymi klejnotami. Pół wioski zgromadziło się, by go posłuchać.

- Nazywam się Nicomo Cosca, kapitan Kompanii Słońca, zacnego bractwa walczącego razem z Tysiącem Ostrzy,

najznamienitszą brygadą najemników w Styrii! Młody książe Rogont z Osprii nakazał nam przeprowadzenie naboru, więc szukamy ludzi! Ludzi zaprawionych w walce, odważnych, kochających przygodę i rozsmakowanych w pieniądzach! Czy ktoś z was ma dosyć grzebania się w błocie, by zarobić na chleb? Czy ktoś z was chciałby osiągnąć coś lepszego? Honor? Chwałę? Bogactwo? Jeśli tak, dołączcie do nas!

- Moglibyśmy to zrobić - syknął Benna.

- Nie - odparła Monza. - Mam dosyć walki.

- Walki nie będzie dużo! - zawołał Cosca, jakby czytał jej w myślach. - To mogę wam obiecać! A gdy do niej dojdzie, otrzymacie za nią potrójną zapłatę! Szalka tygodniowo plus udział w łupach! A łupów będzie mnóstwo, chłopcy, uwierzcie mi! Nasza sprawa jest słuszna... przynajmniej wystarczająco słuszna, a zwycięstwo pewne.

- Moglibyśmy to zrobić! - syknął Benna. - Chcesz wrócić do przerzucania błota? Każdego wieczoru padać na twarz ze zmęczenia z brudem za paznokciami? Ja nie!

Monza pomyślała o tym, jak wiele pracy ją czeka, by uprzętnąć górne pole, i ile może na tym zarobić. Zaczęła się tworzyć kolejka mężczyzn chętnych do przyłączenia się do Kompanii Słońca, głównie żebraków i rolników. Czarnoskóry notariusz zapisywał ich nazwiska w księdze.

Monza przepchnęła się przez tłum.

- Jestem Monzcarro Murcatto, córka Jappo Murcatto, a to mój brat Benna. Jesteśmy wojownikami. Czy może nam pan znaleźć pracę w swojej kompanii?

Cosca zmarszczył brwi, a czarnoskóry mężczyzna pokręcił głową.

- Potrzebujemy mężczyzn zaprawionych w walce. Nie kobiet i chłopców. - Spróbował ją odsunąć.

Nie pozwoliła się ruszyć.

- Mamy doświadczenie. Większe, niż ci łachmaniarze.

- Ja mam dla ciebie zajęcie! - zawołał jeden z rolników, rozochocony postawieniem znaku na dokumencie. - Może mi obciągniesz? - Zaczął się śmiać.

Przestał, gdy Monza kopnięciem powaliła go w błoto i za pomocą obcasa zmusiła do połknięcia połowy zębów.

Nicomo Cosca obserwował ten metodyczny pokaz z lekko uniesioną brwią.

- Sajaamie, czy w zasadach prowadzenia poboru napisano, że chodzi tylko o mężczyzn? Jak dokładnie brzmi zapis?

Mrużąc oczy, notariusz zajął do dokumentu.

- „Kawaleria oraz piechota w liczbie dwustu osób. Mają to być osoby dobrze wyposażone i sprawne”. Napisano o osobach.

- A sprawność to bardzo mgliste pojęcie. Hej, dziewczyno! Murcatto! Jesteś przyjęta, twój brat też. Podpiszcie się.

W ten prosty sposób Monza i Benna zostali żołnierzami Tysiąca Ostrzy. Najemnikami. Rolnik chwycił Monzę za nogę.

- Moje zęby.

- Poszukaj ich w swoim gównie - odparła.

Nicomo Cosca, słynny najemnik, wyprowadził swoich nowych ludzi z wioski przy wtórze wesołych dźwięków fujarki. Wieczorem rozbili obóz pod gwiazdami i zasiedli wokół ognisk, rozmawiając o bogactwach, które zdobędą podczas kolejnych kampanii.

Monza i Benna siedzieli obok siebie owinięci kocem. Cosca wyłonił się z mroku, a blask ognia zaśnił na jego napierśniku.

- Ach! Moje wojownicze dzieciaki! Moje maskotki! Zimno, co?

- Rzucił im swoją karmazynową pelerynę. - Proszę. Ochroni was przed mrozem.

- Co pan chce w zamian?

- Bierzcie ją na zdrowie. Mam drugą.

- Dlaczego? - mruknęła podejrzliwie Monza.

- „Kapitan wprawdzie winien dbać o wygodę swoich ludzi, dopiero potem o swoją”. Tak pisał Stolicus.

- A kto to? - spytał Benna.

- Stolicus? No cóż, najwybitniejszy generał w dziejach!

Monza popatrzyła na niego tępych wzrokiem.

- Dawny imperator. Najsłynniejszy ze wszystkich - dodał najemnik.

- Kto to jest imperator? - spytał Benna.

Cosca uniósł brwi.

- Ktoś podobny do króla, tylko ważniejszy. Powinniście to przeczytać. - Wyjął coś z kieszeni i wcisnął Monzie do ręki. Małą książeczkę z pogniecioną i poszarpaną czerwoną okładką.

- Tak zrobię. - Otworzyła tomik i ze zmarszczonym czołem popatrzyła na pierwszą stronę, czekając, aż Cosca sobie pójdzie.

- Nie umiemy czytać - odparł Benna, zanim Monza zdołała go powstrzymać.

Cosca spoważniał i podkreślił koniec nawoskowanego węża palcem i kciukiem. Monza spodziewała się, że zaraz odeśle ich z powrotem do wioski, ale zamiast tego usiadł obok nich ze skrzyżowanymi nogami.

- Dzieci, dzieci. - Wskazał otwartą stronę książeczki. - To jest litera „A”

Mgły i szept

W Sipani cuchnęło zgnilizną i starą morską wodą, dymem z palonego węgla, gównem i szczynami, szybkim życiem i powolnym rozkładem. Dreszczowi zbierało się na wymioty, chociaż pewnie nie zwracałby tak dużej uwagi na smród, gdyby cokolwiek widział. Noc była ciemna, a mgła tak gęsta, że chociaż Monza szła w zasięgu ręki, Dreszcz dostrzegał jedynie widmowy zarys jej sylwetki. Jego latarnia oświetlała zaledwie najbliższe dziesięć kamieni brukowych, które lśniły od zimnej rosy. Kilka razy prawie wpadł do wody. Nie było o to trudno, gdyż w Sipani woda czała się za każdym rogiem.

Wściekli giganci wyłaniali się z ciemności, wyginali, przekształcali w oślizłe budynki, po czym odpełzali. Z mgły wyskakiwały tajemnicze postacie, niczym szankowie podczas bitwy o Dunbrec, by po chwili zmienić się w mosty, balustrady, posągi, wozy. Latarnie kołysały się na rogach ulic, pochodnie płonęły przy bramach, lśniły rozświetlone okna zawieszane w mroku, zdradliwe jak błędne ogniki. Dreszcz obrał kurs na jedno z nich, mrużąc oczy we mgle, ale po chwili dom zaczął odpływać. Dreszcz zamrugał i potrząsnął głową, a grunt zakołysał mu się pod stopami. Zrozumiał, że kierował się ku barce, która sunęła po wodzie wzdłuż brukowanego chodnika, unosząc światło w otchłań nocy. Nigdy nie lubił miast, mgły ani słonej wody. Połączenie tych trzech rzeczy było jak senny koszmar.

- Przeklęta mgła - mruknął, wyżej unosząc latarnię, jakby to mogło w czymś pomóc. - Nic nie widzę.

- To Sipani - rzuciła przez ramię Monza. - Miasto Mgieł. Miasto Szeptów.

W chłodnym powietrzu rzeczywiście unosiło się pełno dziwnych dźwięków. Zewsząd dobiegało chlupotanie wody i trzeszczenie lin, gdy łodzie wiosłowe przeciskały się ruchomymi kanałami. W ciemności biły dzwony, a ludzie nawoływali się nawzajem, wykrzykując ceny, propozycje, ostrzeżenia, żarty i groźby. Szczekały psy, syczały koty, tupwały szczury, skrzeczały ptaki. Upiorny śmiech unosił się po drugiej stronie kipiącej wody, latarnie podskakiwały w ciemności, a odgłosy zabawy sączyły się w noc z tawern, burdeli, domów gry i palarni. Dreszcz dostał zawrotów głowy, jeszcze nigdy nie czuł się tak źle. Miał wrażenie, że jest chory od kilku tygodni, odkąd opuścili Westport.

Gdy w ciemności rozległy się kroki, przywarł do ściany, opierając prawą dłoń na rękojeści toporka, który trzymał pod płaszczem. Jacyś ludzie wyłonili się z mgły i przeszli tuż obok niego. Jedna z kobiet biegła, przytrzymując kapelusz na wysoko spiętych włosach. Diabelskie twarze naznaczone pijackimi uśmiechami, przemykające pośpiesznie i znikające w ciemności. Mgła kłębiła się za ich łopoczącymi pelerynami.

- Dranie - syknął Dreszcz w ślad za nimi, puszczając toporek i odsuwając się od lepkiej ściany. - Mają szczęście, że któremuś nie rozplątałem łba.

- Przyzwyczaisz się. To Sipani. Miasto Hulaków. Miasto Hultajów.

Tych drugich rzeczywiście nie brakowało. Stali przygarbieni na schodach, na rogach ulic, obok mostów, rzucając surowe spojrzenia. Były także kobiety, czarne sylwetki w drzwiach, podświetlone lampami, niektóre niemal nagie pomimo zimna.

- Jedna szalka! - zawołała któraś z okna, wystawiając na zewnątrz chudą nogę. - Za szalkę przeżyjesz najpiękniejszą noc swojego życia! Albo dziesięć cząstek! Osiem!

- Sprzedają się - mruknął Dreszcz.

- Każdy się sprzedaje - odparła Monza przytłumionym głosem. - To...

- Tak, wiem, do kurwy nędzy. To Sipani.

Zatrzymała się gwałtownie, tak że prawie na nią wpadł.

Zdjęła kaptur i zapatrzyła się w głąb wąskiej bramy w rozsypującym się ceglany murze.

- To tutaj.

- Potrafisz zabrać mężczyznę w eleganckie miejsce, nie ma co.

- Może później cię oprowadzę. Teraz mamy sprawę do załatwienia. Wyglądaj groźnie.

- Nie ma sprawy, szefowo. - Dreszcz wyprostował się i zrobił surową minę. - Nie ma sprawy.

Monza zapukała i po chwili drzwi chwiejnie się uchyliły. Ze słabo oświetlonego korytarza patrzyła na nich kobieta, wysoka i smukła jak pajak. Stała w swobodnej pozie, z wysuniętym biodrem; jedną ręką opierała się o futrynę, stukając chudym palcem w drewno. Zachowywała się tak, jakby mgła była jej własnością, podobnie jak noc, a także oni. Dreszcz zbliżył się z latarnią w dłoni. Surowa, ostra twarz, porozumiewawczy uśmiech, piegi, krótkie rude włosy sterczące na wszystkie strony.

- Shylo Vitari? - spytała Monza.

- A ty pewnie jesteś Murcatto?

- Zgadza się.

- Do twarzy ci ze śmiercią. - Spod przymkniętych powiek popatrzyła na Dreszcza. Miała lodowate spojrzenie, w którym czaił się okrutny żart. - Kim jest twój mężczyzna?

- Nazywam się Caul Dreszcz i nie jestem jej mężczyzną.

- Nie? - Wyszczrzyła zęby do Monzy. - A więc czym?

- Swoim własnym.

Skwitowała to ostrym śmiechem. Wydawało się, że wszystko robi w gwałtowny sposób.

- Jesteś w Sipani, przyjacielu. Tutaj każdy do kogoś należy. Północny, co?

- To jakiś problem?

- Kiedyś jeden zrzucił mnie ze schodów. Od tamtej pory nie czuję się dobrze w ich towarzystwie. Dlaczego Dreszcz?

To pytanie zbiło go z tropu.

- Co?

- Z tego, co wiem, na Północy mężczyzna musi zasłużyć na swoje miano. Dokonać wielkich czynów i tak dalej. Więc dlaczego Dreszcz?

- No... - Ostatnie, czego chciał, to wyjść na durnia przed Monzą. Wciąż miał nadzieję, że kiedyś wróci do jej łóżka. - Ponieważ moi wrogowie drżą ze strachu, gdy się ze mną mierzą - skłamał.

- Czyżby? - Vitari odsunęła się od drzwi, posyłając mu kpiący uśmiech, gdy schylił się w niskim przejściu. - Musisz mieć strasznie tchórzliwych wrogów.

- Sajaam twierdzi, że masz tutaj wiele znajomości - powiedziała Monza, gdy kobieta wprowadziła ich do wąskiego salonu, oświetlonego jedynie przez kilka dymiących węgielków w palenisku.

- Znam wszystkich. - Zdjęła z ognia parujący garnek. - Zupy?

- Ja nie - odparł Dreszcz, opierając się o ścianę z rękami skrzyżowanymi na piersi. Odkąd poznał Morveera, z dużo większą ostrożnością korzystał z gościnności nieznajomych.

- Ja też nie - odrzekła Monza.

- Jak chcecie. - Vitari napełniła swój kubek, po czym usiadła, zakładając jedną długą nogę na drugą i kołysząc spiczastym czubkiem czarnego buta.

Monza opadła na jedyne wolne krzesło, lekko się przy tym krzywiąc.

- Sajaam twierdzi, że potrafisz wiele załatwić.

- A czego wy potrzebujecie?

Monza zerknęła na Dreszcza, a on wzruszył ramionami.

- Słyszałam, że król Unii przyjeżdża do Sipani.

- Zgadza się. Najwyraźniej ubzdurał sobie, że jest wybitnym mężem stanu. - Vitari uśmiechnęła się szeroko, pokazując dwa rzędy białych, ostrych zębów. - Chce zaprowadzić pokój w Styrii.

- Naprawdę?

- Tak powiadają. Zamierza pomóc w wynegocjowaniu warunków rozejmu pomiędzy wielkim księciem Orso a Ligą Ośmiu. Zaprosił wszystkich przywódców, a przynajmniej tych,

którzy jeszcze żyją, z Rogontem i Salierem na czele. Spotkanie odbędzie się na neutralnym gruncie w Sipani, a na gospodarza wyznaczył starego Sotoriusa. Ściąga także szwagrów, by wystąpili w imieniu swego ojca.

Monza chciwie pochyliła się do przodu, jak myszołów nad padliną.

- Obydwu, Ario i Foscara?

- Obydwu.

- Uda im się zaprowadzić pokój? - spytał Dreszcz i szybko tego pożałował. Obie kobiety zareagowały na jego słowa pogardliwym śmiechem.

- Jesteśmy w Sipani - odparła Vitari. - Tutaj znamy się tylko na robieniu mgły.

- I tylko tego można się spodziewać po ich spotkaniu. - Monza z grymasem bólu rozparła się na krześle. - Mgły i szeptów.

- Liga Ośmiu rozłazi się w szwach. Borletta upadła. Cantain nie żyje. Kiedy poprawi się pogoda, Visserine znajdzie się pod oblężeniem. Żadne rozmowy tego nie zmienią.

- Ario będzie siedział, uśmiechał się z wyższością, słuchał i kiwał głową. Da pozostałym cień nadziei, że jego ojciec zgodzi się na zawarcie pokoju. Ale potem oddziały Orso i tak staną pod murami Visserine.

Vitari uniosła kubek, spoglądając na Monzę spod przymkniętych powiek.

- A razem z nimi Tysiąc Ostrzy.

- Salier, Rogont i cała reszta zdają sobie z tego sprawę. Nie są głupcami. Może samolubami i tchórzami, ale nie głupcami. Chcą jedynie zyskać pole do manewru.

- Manewru? - spytał Dreszcz, obracając w ustach to obce słowo.

- Wywinięcia się - odparła Vitari, ponownie pokazując zęby. - Orso nie zawrze pokoju, a Liga Ośmiu wcale go nie pragnie. Jedyńm człowiekiem, który ma nadzieję zyskać coś poza mgłą, jest Jego Wysokość, ale powiadają, że ma on talent do oszukiwania samego siebie.

- Odziedziczył go wraz z koroną - odparła Monza. - Ale on

mnie nie obchodzi. Interesują mnie tylko Ario i Foscar. Co będą robili, poza okłamywaniem swojego szwagra?

- Pierwszej nocy w pałacu Sotoriusa odbędzie się bal maskowy ku czci króla i królowej. Ario i Foscar się tam pojawią.

- Będą dobrze strzeżeni - zauważył Dreszcz, który starał się nadać za przebiegiem rozmowy, chociaż rozpraszał go dobiegający skądś płacz dziecka.

Vitari parsknęła.

- Tuzin najlepiej strzeżonych ludzi na świecie zatrzyma się pod jednym dachem ze swoimi największymi wrogami. Założę się, że będzie tam więcej żołnierzy niż podczas bitwy o Aduę. Trudno wyobrazić sobie miejsce, w którym bracia będą bezpieczniejsi.

- Więc co nam pozostaje? - odburknęła Monza.

- Zobaczymy. Nie jestem przyjaciółką Ario, ale znam kogoś, kto jest z nim bardzo blisko.

Monza ściągnęła czarne brwi.

- Zatem powinniśmy porozmawiać z...

Nagle drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem i Dreszcz gwałtownie się obrócił, do połowy wyszarpując toporek spod płaszcza.

W drzwiach stało dziecko. Dziewczynka, może ośmioletnia, ubrana w zbyt długą luźną sukienkę, spod której wystawały kościste łokcie i bosa stopy. Na głowie miała potarganą rudą czuprynę. Skierowała niebieskie oczy na Dreszcza, potem na Monzę, a w końcu na Vitari.

- Mamo, Cas płacze.

Vitari przyklękła i pogłaskała małą po włosach.

- Nie martw się, kochanie, postaram się go uspokoić. Przyjdę, kiedy tylko będę mogła, i coś wam zaśpiewam.

- Dobrze. - Dziewczynka posłała Dreszczowi kolejne spojrzenie, a on ze wstydem schował broń i spróbował się uśmiechnąć. Wycofała się z pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

- Mój synek ma kaszel - powiedziała Vitari, a do jej głosu powróciła stanowczość. - Najpierw zachoruje jedno, potem

reszta, a w końcu ja. Kto wtedy będzie matką?

Dreszcz uniósł brwi.

- Obawiam się, że nie jestem ku temu właściwie wyposażony.

- Nigdy nie miałam szczęścia do rodziny - odparła Monza. - Możesz nam pomóc?

Vitari zerknęła na Dreszcza.

- Kogo jeszcze macie?

- Niejakiego Przyjaznego, naszego osiłka.

- Dobry jest?

- Nawet bardzo - odrzekł Dreszcz, przypominając sobie dwóch mężczyzn rozsiekanych na ulicach Talinsu. - Chociaż trochę dziwny.

- To niezbędne w tym fachu. Kogo jeszcze?

- Truciciela razem z asystentką.

- Dobrego?

- Przynajmniej on sam tak uważa. Nazywa się Morveer.

- Uff! - Vitari wyglądała tak, jakby poczuła w ustach smak szczyń. - Castor Morveer? Ten drań jest równie godny zaufania jak skorpion.

Monza odwzajemniła się jej surowym spojrzeniem.

- Skorpiony też mają swoje zastosowania. Pytałam, czy możesz nam pomóc.

Oczy Vitari przypominały dwie szparki lśniące w blasku ognia.

- Mogę, ale to będzie kosztowało. Jeśli uda nam się wykonać zadanie, raczej nie będę mile widziana w Sipani.

- Pieniądze to nie problem, jeśli tylko pomożesz nam się zbliżyć do braci. Znasz kogoś, kto nam to umożliwi?

Vitari dokończyła zupę, po czym wylała resztki do paleniska, gdzie zasyczały na gorących węglach.

- O tak, znam różnych ludzi.

Sztuka perswazji

Było jeszcze wcześniej i na krętych ulicach Sipani panował spokój. Monza stała w bramie, trzymając dłonie pod pachami, skulona i szczelnie owinięta płaszczem. Tkwiała tutaj od co najmniej godziny, coraz bardziej marznąc, wydmuchując kłęby pary w mgliste powietrze. Na krawędziach uszu i nozdrzy czuła nieprzyjemne mrowienie. To cud, że gluty nie zamarzyły jej w nosie. Ale potrafiła być cierpliwa. Nie miała innego wyjścia.

„Dziewięć dziesiątych wojny to czekanie”, napisał Stolicus, a Monza miała wrażenie, że generał zaniżył swoje szacunki.

Ulicą przeszedł mężczyzna pchający taczki wyładowane słomą. Rzednąca mgła tłumiała jego niemelodyjne pogwizdywanie. Monza śledziła go wzrokiem, dopóki jego sylwetka nie rozpułyła się w mroku. Żałowała, że nie ma przy niej Benny.

Mógłby jej przynieść fajeczkę z plewami.

Poruszyła językiem w wyschniętych ustach, starając się odpędzić takie myśli, ale były jak drzazga tkwiąca pod paznokciem. Bolesne, cudowne ukłucie w płucach, smak dymu wypuszczanego z ust, kończyny coraz cięższe, świat coraz bardziej miękki. Wątpliwości, gniew, strach, wszystkie odpływają...

Buty zastukały na mokrym bruku i z ciemności wyłoniły się dwie postacie. Monza zeszywniała i zacisnęła pięści, czując ból przeszywający jej powykręcane knykcie. Kobieta w jaskrawoczerwonym płaszczu ze złotym haftem.

- Pośpiesz się! - warknęła z lekkim unijnym akcentem na mężczyznę, który szedł za nią, uginając się pod ciężarem skrzyni niesionej na jednym ramieniu. - Nie zamierzam znów

się spóźnić...

Przenikliwy gwizd Vitari przeciął pustą ulicę. Dreszcz wyslizgnął się z bramy i złapał służącego za ramiona. Zanim ten zdążył krzyknąć, Przyjazny pojawił się znikąd i czterokrotnie mocno zdzielił go w żołądek, tak że mężczyzna upadł na bruk, gwałtownie wymiotując.

Kobieta głośno westchnęła, po czym rzuciła się do ucieczki z oczami szeroko otwartymi z przerażenia. Jednakże, zanim zdołała postawić choćby krok, w ciemności przed nią rozległ się głos Vitari:

- Carlot dan Eider, jeśli się nie mylę!

Kobieta w czerwonym płaszczu cofnęła się do bramy, w której stała Monza. Uniosła dłoń.

- Mam pieniądze! Mogę wam zapłacić!

Vitari wynurzyła się z ciemności, spokojna jak wredna kotka we własnym ogrodzie.

- Och, zapłacisz na pewno. Przyznam, że zaskoczyło mnie, gdy usłyszałam, że ulubiona nałożnica księcia Ario jest w Sipani. Podobno trudno cię wyciągnąć z jego sypialni.

Vitari podprowadziła kobietę w stronę bramy, a Monza cofnęła się w głąb ciemnego korytarza, krzywiąc się pod wpływem ostrego bólu, który przeszył jej nogi, gdy się poruszyła.

- Niezależnie od tego, jak wiele zapłaciła ci Liga Ośmiu, mogę...

- Nie pracuję dla nich i czuję się urażona tym podejrzeniem. Nie pamiętasz mnie? Z Dagoski? Nie pamiętasz, jak próbowałam sprzedać miasto Gurkom? Nie pamiętasz, jak cię złapano?

Monza zobaczyła, że Vitari coś upuściła: ostrze w kształcie krzyża zatańczyło na końcu łańcucha, stukając o bruk.

- Dagoska? - W głosie Eider zabrzmiała nuta przerażenia. - Nie! Zrobiłam wszystko, czego żądał! Dlaczego miałby...

- Och, już nie pracuję dla Kaleki. - Vitari się zbliżyła. - Jestem wolnym strzelcem.

Kobieta w czerwonym płaszczu weszła w głąb korytarza, potykając się o próg. Odwróciła się i zobaczyła czekającą

Monzę, która opierała dłoń w rękawicze na głowicy szpady. Zamarła, a jej niespokojny oddech odbijał się echem od wilgotnych ścian. Vitari zamknęła za nimi drzwi i zasunęła rygiel ze złowieszczym trzaskiem.

- Tędy. - Popchnęła Eider, która prawie się przewróciła, zaplątując się w poły płaszcza. - Jeśli łaska.

Gdy kobieta odzyskała równowagę, Vitari pchnęła ją ponownie, przewracając na podłogę. Następnie wciągnęła ją do mieszkania za jedną rękę, a Monza podążyła za nimi wolnym krokiem, mocno zaciskając zęby.

Podobnie jak jej szczęka, pokój, w którym się znalazły, lata świetności miał za sobą. Kruszący się gips był zaplamiony czarną pleśnią i powybrzuszany od wilgoci, a nieruchome powietrze cuchnęło zgnilizną i cebulą. W kącie stała Dzionek i z beztróskim uśmiechem wycierała o rękaw śliwkę w kolorze świeżego siniaka. Wyciągnęła rękę w stronę Eider.

- Śliwkę?

- Co? Nie.

- Twoja strata. Są bardzo smaczne.

- Siadaj. - Vitari pchnęła Eider na koślawe krzesło, które stanowiło jedyny mebel w pomieszczeniu. Zazwyczaj zajęcie jedyne wolnego miejsca świadczy o szczęściu, ale nie tym razem. - Powiadają, że historia zatacza koło, ale kto by pomyślał, że ponownie spotkamy się w takich okolicznościach? Aż łza kręci się w oku, prawda? Przynajmniej u ciebie tak będzie.

Carlot dan Eider nie wyglądała, jakby miała się popłakać. Siedziała wyprostowana, z dłońmi skrzyżowanymi na kolanach.

Zadziwiające opanowanie w takiej chwili. Niemal godność. Nie była już dziewczęciem, ale wciąż robiła oszałamiające wrażenie, zwłaszcza że wszystko miała starannie wyskubane, pomalowane i upudrowane, by zrobić jak najlepsze wrażenie. Wokół jej gardła lśnił naszyjnik z czerwonych klejnotów, a złoto migotało na długich palcach. Przypominała hrabinę, a nie nałożnicę, i wyglądała w tym gnijącym pokoju jak pierścionek z

brylantem na wysypisku śmieci.

Vitari powoli krążyła wokół krzesła, co jakiś czas nachylając się, by wysyczyć jej coś do ucha.

- Dobrze wyglądasz. Zawsze potrafiłaś spaść na cztery łapy. Chociaż to był nie lada upadek, prawda? Z przywódczyni gildii kupców korzennych zmieniłaś się w dziwkę księcia Ario.

Eider nawet nie drgnęła.

- Trzeba jakoś żyć. Czego chcesz?

- Tylko porozmawiać. - Vitari zamruczała nisko i chrapliwie jak kochanka. - Chyba że nie otrzymamy odpowiedzi, na których nam zależy. Wtedy będę musiała zrobić ci krzywdę.

- Z pewnością sprawi ci to przyjemność.

- Trzeba jakoś żyć. - Niespodziewanie uderzyła nałożnicę Ario w żebra, na tyle mocno, że ta obróciła się razem z krzesłem.

Kobieta westchnęła i zgięła się wpół, a Vitari pochyliła się nad nią, po czym ponownie uniosła pięść.

- Jeszcze raz?

- Nie! - Eider uniosła dłoń i obnażyła zęby. Szybko rozejrzała się po pokoju, po czym popatrzyła na Vitari. - Nie... ja... pomogę wam. Tylko... powiedzcie mi, co chcecie wiedzieć.

- Po co przyjechałaś tutaj przed swoim kochankiem?

- Żeby przygotować się do balu. Kostiumy, maski i całą resztę...

Pięść Vitari trafiła w to samo miejsce, mocniej niż poprzednio, a głuchy odgłos uderzenia odbił się echem od wilgotnych ścian. Eider zajęczała, obejmując się rękami, hałaśliwie wciągnęła powietrze do płuc, po czym je wykaszła, a jej twarz wykrzywił grymas bólu. Vitari pochyliła się nad nią jak czarny pająk nad skrzepowaną muchą.

- Kończy mi się cierpliwość. Po co tutaj jesteś?

- Ario organizuje... inny rodzaj przyjęcia... później. Dla swojego brata. Z okazji jego urodzin.

- Co to za przyjęcie?

- Takie, z jakich słynie Sipani. - Eider ponownie zakaszła, odwróciła głowę i splunęła, a kilka wilgotnych drobin osiadło

na ramieniu jej pięknego płaszcza.

- Gdzie?

- W Domu Uciech Cardottiego. Wynajął lokal na całą noc. Dla siebie, Foscara i ich gości. Posłał mnie tutaj, żebym wszystko zorganizowała.

- Wysłał nałożnicę, żeby wynajęła dziwki?

Monza parsknęła.

- To w stylu Ario. Co masz zrobić?

- Znaleźć kobiety do towarzystwa. Przygotować miejsce. Upewnić się, że będzie bezpiecznie. On mi... ufa.

- Więc jest głupcem. - Vitari zachichotała. - Ciekawe, co by zrobił, gdyby wiedział, dla kogo naprawdę pracujesz, co? Dla kogo szpiegujesz. Dla naszego wspólnego przyjaciela w Domu Pytań. Dla naszego kalekiego przyjaciela z Królewskiej Inkwizycji. Przyglądasz się styryjskim interesom na polecenie Unii. Pewnie masz trudności z zapamiętaniem, kogo masz zdradzić w danym tygodniu.

Eider patrzyła na nią ponuro, cały czas trzymając się za poobijane żebra.

- Trzeba jakoś żyć.

- Albo umrzeć, jeśli Ario dowie się prawdy. Wystarczyłby jeden liścik.

- Czego chcesz?

Monza wyszła z cienia.

- Chcę, żebyś pomogła nam się zbliżyć do Ario i Foscara. Chcę, żebyś wpuściła nas do Domu Uciech Cardottiego w noc przyjęcia. A kiedy będziesz je organizować, to my powiemy ci, kogo, kiedy i jak zatrudnić. Rozumiesz?

Eider pobladła.

- Chcesz ich zabić?

Nikt się nie odezwał, ale cisza była bardzo wymowna.

- Orso domyśli się, że go zdradziłam! Kaleka też się dowie! Nie ma gorszych wrogów w całym Kręgu Świata! Równie dobrze możecie mnie zabić od razu!

- W porządku. - Ostrze od Calveza delikatnie zabrzęczało, wysuwając się z pochwy.

Eider wybałuszyła oczy.

- Zaczekaj...

Monza oparła czubek lśniącego ostrza między obojczykami Eider i delikatnie pchnęła. Nałożnica Ario wygięła się do tyłu na krześle, bezradnie otwierając i zaciskając dłonie.

- Ach! Ach!

Monza pokręciła nadgarstkiem, a połyskująca smukła stal zaczęła powoli wpychać, wbijać i się wkręcać pod skórę Eider. Strużka ciemnej krwi wypłynęła z ranki i ściekła po mostku. Głos kobiety stał się jeszcze bardziej przenikliwy, nagłący i przerażony.

- Nie! Ach! Błagam! Nie!

- Nie? - Monza trzymała ją przygwożdżoną do oparcia. - Więc jednak nie jesteś gotowa na śmierć? Niewielu z nas jest na to przygotowanych, gdy przychodzi ta chwila.

Cofnęła ostrze, a Eider poleciała do przodu, dotykając drżącym palcem zakrwawionej szyi i wciągając do płuc urywane hausty powietrza.

- Nic nie rozumiesz. Nie chodzi tylko o Orso! Nie chodzi o Unię! Za nimi stoi bank. Valint i Balk. Należą do niego. Krwawe Lata to dla nich tylko przygrywka. Nieistotna potyczka. Nie masz pojęcia, w czym ogrodzie postanowiłaś się odlać...

- Błąd. - Monza pochyliła się nad Eider, która skuliła się na krześle. - Nie dbam o to. To różnica.

- Teraz? - spytała Dzionek.

- Teraz.

Dziewczyna machnęła ręką i ukłuła Eider w ucho lśniąca igłą.

- Ach!

Dzionek ziewnęła, wsuwając metalową drzazgę do wewnętrznej kieszeni.

- Nie martw się, działa powoli. Masz co najmniej tydzień.

- A potem?

- Potem się rozchorujesz. - Ugryzła śliwkę, a sok ściekł jej po brodzie. - Szlag - mruknęła, łapiąc krople palcem.

- Rozchoruję? - westchnęła Eider.

- Bardzo, bardzo rozchorujesz. A dzień później będziesz już bardziej martwa niż Juvens.

- Jeśli nam pomożesz, dostaniesz odtrutkę i szansę na ucieczkę. - Monza starła dwoma palcami kroplę krwi z czubka szpady Benny. - Ale jeśli powiesz komukolwiek, tutaj albo w Unii, o tym, co planujemy, jeśli ostrzeżesz Orso, Ario albo swojego przyjaciela Kalekę... - Schowała ostrze do pochwy i dopchnęła rękojeść z ostrym trzaskiem. - Cóż, wtedy Ario straci jedną z nałożnic.

Eider powiodła po nich wzrokiem, wciąż trzymając się jedną ręką za gardło.

- Wredne suki.

Dzionek po raz ostatni zassała pestkę śliwki, po czym ją odrzuciła.

- Trzeba jakoś żyć.

- Dosyć. - Vitari szarpnęła nałożnicę Ario za łokieć i poprowadziła ją w stronę drzwi.

Monza zastąpiła im drogę.

- Co powiesz swojemu pobitemu słudze, gdy się ocknie?

- Że... zostaliśmy obrabowani?

Monza wyciągnęła dłoń w rękawiczce. Eider jeszcze bardziej spochmurniała. Odpięła naszyjnik i upuściła go na dłoń Monzy, po czym dołączyła swoje pierścienie.

- To wystarczy?

- No, nie wiem. Wyglądasz na kobietę, która nie poddaje się bez walki. - Uderzyła ją pięścią w twarz.

Eider jęknęła, zatoczyła się i byłaby upadła, gdyby Vitari jej nie podtrzymała. Nałożnica podniosła wzrok, krwawiąc z nosa oraz rozciętej wargi, i na chwilę w jej spojrzeniu pojawiło się coś dziwnego. Owszem, była zraniona i wystraszona, ale przede wszystkim wściekła. Być może tak wyglądała Monza, gdy zrzucili ją z tarasu.

- Teraz wystarczy.

Vitari szarpnęła Eider za łokieć i wywlekła ją na korytarz ku drzwiom. Ich buty drapały o brudne klepki. Dzionek westchnęła, po czym odepchnęła się od ściany i otrzepała plecy

z gipsowego pyłu.

- Sprawnie i elegancko.

- Na pewno nie dzięki twojemu mistrzowi. Gdzie on jest?

- Wolę, gdy nazywa się go moim pracodawcą. Powiedział, że ma do załatwienia kilka spraw.

- Spraw?

- To jakiś problem?

- Zapłaciłam za pana, a nie za jego pieska.

Dzionek wyszczerzyła zęby.

- Hau, hau. Potrafię wszystko to, co Morveer.

- Czyżby?

- On się starzeje. Robi się arogancki. W Westporcie omal nie zginął przez tamtą przepaloną linię. Nie chciałabym, żeby jego nieostrożne zachowanie pokrzyżowało twoje plany. Za dobrze płacisz. Nie ma gorszego towarzystwa niż lekkomyślny truciciel.

- Temu nie zaprzeczę.

Dzionek wzruszyła ramionami.

- W naszym fachu wypadki ciągle się zdarzają. Zwłaszcza starym ludziom. To branża dla młodych. - Swobodnym krokiem wyszła na korytarz, mijając Vitari, która zmierzała w przeciwnym kierunku.

Z surowej twarzy Vitari zniknęły radość i pewność siebie. Uniosła czarny but i wściekle pchnęła krzesło w kąt pomieszczenia.

- No to mamy dojście - powiedziała.

- Na to wygląda.

- Tak jak wam obiecałam.

- Tak jak nam obiecałaś.

- Ario i Foscar razem oraz sposób na to, by się do nich zbliżyć.

- To był udany dzień.

Popatrzyły na siebie, a Vitari przesunęła językiem po wewnętrznej stronie ust, jakby poczuła w nich gorzki smak.

- No cóż. - Wzruszyła kościstymi ramionami. - Trzeba jakoś żyć.

Życie pijaka

- Pić, pić, pić. Gdzie tu się można napić?

Nicomo Cosca, sławny najemnik, szedł chwiejnym krokiem wzdłuż ściany, przeszukując sakiewkę drżącymi palcami. Nie znalazł w niej niczego poza szarym kłaczkiem. Wygrzebał go, zdmuchnął z opuszków palców i patrzył, jak delikatnie opada. Oto całe jego bogactwo.

- Przeklęta sakiewka!

W przypływie złości cisnął ją do rynsztoka. Po chwili zmienił zdanie i schylił się, by ją podnieść, stękając jak starzec. Był starcem. Straceńcem. Trupem, któremu pozostał ostatni chrapliwy oddech. Powoli uklęknął, spoglądając na swoje poprzerywane odbicie w czarnej wodzie, która zebrała się pomiędzy brukowcami.

Oddałby wszystko za łyce alkoholu. Co prawda, niczego nie posiadał, ale miał jeszcze ciało. Dłonie, które wzniosły niejednego księcia na wyżyny władzy i ponownie go stamtąd rzuciły. Oczy, które przyglądały się punktom zwrotnym w historii. Usta, które delikatnie całowały największe piękności tych czasów. Swędzącego kutasa, bolący brzuch, gnijącą szyję; wszystko to z przyjemnością sprzedałby za jedną porcję winogronówki. Ale trudno byłoby znaleźć kupca.

- Sam stałem się... pustą sakiewką. - Błagalnie uniósł ciężkie ręce i ryknął ku mrocznym niebiosom. - Kurwa, muszę się napić!

- Zamknij mordę, dupku! - odpowiedział mu ktoś szorstkim głosem, po czym rozległ się trzask zamykanych okiennic i uliczka pogrzyżyła się w jeszcze głębszej ciemności.

Ucztował przy stołach księżąt. Gościł w łóżach hrabin. Całe

miasta drżały na dźwięk jego imienia.

- Jak mogło do tego... dojść?

Wstał niezdarnie, powstrzymując wymioty. Odgarnął włosy z pulsujących skroni i podkręcił obwisłe końcówki wąsów. Ruszył w stronę głównej ulicy, niemal odzyskując dawny swobodny chód. Wędrując między widmowymi budynkami, wszedł w plamę światła latarni; wilgotny nocny wiatr łaskotał go po obolałej twarzy. Usłyszał zbliżające się kroki i gwałtownie się obrócił, mrugając.

- Szanowny panie! Chwilowo brakuje mi funduszy, więc zastanawiałem się, czy byłby pan skłonny udzielić mi niewielkiej pożyczki do czasu...

- Spadaj, żebraku. - Mężczyzna pchnął go na ścianę, nawet nie zwalniając kroku.

Tłusta skóra Coski poczerwieniała od gniewu.

- Zwracasz się do samego Nicomo Coski, słynnego najemnika!

- zawołał łamiącym się głosem, co nieco osłabiło efekt. - Generała Tysiąca Ostrzy! To znaczy, byłego generała.

Mężczyzna wykonał obsceniczny gest, po czym zniknął we mgle.

- Ucztowałem... w łóżach... książąt! - Cosca dostał ataku ostrego kaszlu i nisko się pochylił, opierając drżące ręce na drżących kolanach, a jego obolała klatka piersiowa poruszała się jak skrzypiący miech.

Tak wygląda życie pijaka. Trochę na dupie, trochę na twarzy, trochę na kolanach, a przez resztę czasu zgięty wpół. Odkaslnął wielki kawał flegmy i splunął nim z obolałego języka. Czy to będzie jego dziedzictwo? Plwociny w stu tysiącach rynsztoków? Czy jego imię będzie się kojarzyło tylko z małostkową zdradą, chciwością i marnotrawstwem? Wyprostował się z jękiem czystej rozpacz, spoglądając w nicość, gdyż wszechobecna mgła w Sipani odmówiła mu nawet widoku gwiazd.

- Ostatnia szansa. Tylko o to proszę. - Stracił rachubę ostatnich szans, które zaprzepaścił. - Daj mi jedną szansę, Boże!
- Ani przez chwilę nie wierzył w Boga. - Boginie Losu! - W nie

także nie wierzył. - Ktokolwiek! - Nigdy nie wierzył w nic poza kolejną porcją alkoholu. - Tylko... jedną... szansę.

- W porządku. Jedną.

Cosca zamrugał.

- Boże? Czy to... ty?

Ktoś zachichotał. To był kobiecy głos, ostry, kpiący, niemający nic wspólnego z boskością.

- Jeśli chcesz, możesz klęknąć, Cosco.

Skupił wzrok na przepływającej mgle, a jego otępiały mózg niemal się ożywił. Ktoś, kto zna jego nazwisko, zapewne nie ma dobrych zamiarów. Cosca miał znacznie więcej wrogów niż przyjaciół, a jeszcze więcej wierzycieli. Sięgnął pijaną dłonią po rękojescę pozłacanej szpady, po czym przypomniał sobie, że przed kilkoma miesiącami oddał ją do lombardu w Osprii i kupił tańszą. Sięgnął po nią pijaną dłonią, ale wtedy przypomniał sobie, że ją także oddał do lombardu zaraz po przybyciu do Sipani. Opuścił drżącą rękę. Niewielka strata. Wątpił, by jeszcze potrafił posłużyć się ostrzem, nawet gdyby jakieś posiadał.

- Kto tam jest, do diabła? Jeśli jestem ci winien pieniądze, to przygotuj się... - poczuł skurcz żołądka, po czym przeciągle i kwaśno beknął - ...na śmierć?

Nagle z ciemności obok niego wyłonił się mroczny kształt. Cosca okręcił się na pięcie, potknął o własne stopy i runął jak długi, uderzając głową o ścianę, aż przed oczami rozbłysło mu oślepiające światło.

- Więc nadal żyjesz. Bo żyjesz, prawda? - Wysoka, szczupła kobieta o ostrych rysach skrytych w cieniu i sterczących włosach zabarwionych na pomarańczowo.

Jego umysł powoli wydobył z pamięci jej obraz.

- Shylo Vitari, a niech mnie. - Może nie wróg, ale z pewnością nie przyjaciel. Podparł się na jednym łokciu i widząc wirującą ulicę, uznał, że to wystarczy. - Pewnie nie miałybyś ochoty... kupić mi czegoś do picia, prawda?

- Może koziego mleka?

- Słucham?

- Słyszałam, że jest dobre na trawienie.

- Zawsze powiadali, że masz serce z kamienia, ale nie podejrzewałam, że możesz być taka nieczuła, by proponować mi picie mleka, niech cię szlag! Tylko kieliszeczek winogronówki. - Pić, pić, pić. - Wystarczy jeden.

- Miałeś już dosyć. Od jak dawna jesteś pijany?

- Wydaje mi się, że kiedy zaczynałem, było lato. Co mamy teraz?

- Z pewnością nie ten sam rok. Ile pieniędzy przepiłeś?

- Wszystkie i jeszcze trochę. Zdziwiłbym się, gdyby na świecie była choć jedna moneta, która nie przeszła przez moje ręce. Ale teraz brakuje mi funduszy, więc gdybyś mogła użyczyć mi trochę drobnych...

- Powinieneś się zmienić, a nie rozmieniać na drobne.

Dźwignął się na kolana i dźgnął w pierś krzywym palcem.

- Myślisz, że ta skurczona, zaszczana i przerażona część mojej duszy, która rozpaczliwie domaga się, by ją uwolnić od tego cierpienia, tego nie wie? - Bezsilnie wzruszył ramionami, jego obolałe ciało zapadło się pod własnym ciężarem. - Jednak, aby się zmienić, człowiek potrzebuje pomocy przyjaciół, a najlepiej wrogów. Niestety, moi przyjaciele dawno nie żyją, a wrogowie... no cóż, muszę przyznać, że mają lepsze rzeczy do roboty.

- Nie wszyscy. - Kolejny kobiecy głos, który wywołał u Coski znajomy dreszcz na plecach.

Jakaś postać wyłoniła się z ciemności, mgła kłębiła się jak dym za powiewającymi połami jej płaszczka.

- Nie... - zaskrzeczał.

Przypomniał sobie dzień, gdy ujrzał ją po raz pierwszy: rozczochną dziewiętnastolatkę z ostrzem przy pasie oraz bystrymi oczami pełnymi gniewu i buntu z fascynującą nutką pogardy. Teraz miała puste oczy i usta wykrzywione bólem. Szpadę przypasała z drugiej strony, bezwładna prawa dłoń w rękawiczce spoczywała na głowicy. W jej oczach wciąż widział tamtą niewzruszoną ostrość, lecz było w nich więcej gniewu, buntu oraz znacznie więcej pogardy. Któż mógłby ją za to

winić? Cosca wiedział, że jest godzien wszelkiej pogardy.

Tysiącrotnie ślubował, że zabije ją przy kolejnym spotkaniu. Ją albo jej brata, albo Andiche'a, Vietusa, Sesarię, Wiernego Carpiego, lub któregokolwiek spośród drani tworzących Tysiąc Ostrzy, którzy go zdradzili. Ukradli jego miejsce. Zmusili do ucieczki z pola bitwy pod Afieri z zszarganą reputacją i ubraniem.

Tysiącrotnie poprzysięgał jej śmierć, jednak w swoim życiu złamał już wiele przyrzeczeń, a gdy teraz ją ujrzał, nie poczuł gniewu. Zamiast tego ogarnęła go mieszanka żalu, ckliwej radości, a przede wszystkim przeszywającego wstydu, w jej oczach bowiem zobaczył, jak nisko upadł. Poczuł ból w nosie i policzkach, łzy napłynęły mu do szczypiących oczu. Po raz pierwszy cieszył się, że są czerwone niczym rany. Nawet gdyby zapłakał, nikt by się nie zorientował.

- Monza. - Spróbował wyprostować brudny kołnierz, ale ręce za bardzo mu się trzęsły. - Słyszałem, że nie żyjesz. Oczywiście planowałem zemstę...

- Na mnie czy za mnie?

Wzruszył ramionami.

- Nie pamiętam... po drodze przystanąłem, żeby się napić.

- Po zapachu wnioskuje, że nie ograniczyłeś się do jednego kieliszka. - Na jej twarzy było widać cień rozczarowania, który przeszywał go boleśniej niż stal. - Słyszałam, że zginąłeś w Dagosce.

Udało mu się unieść rękę na tyle wysoko, by zbyć jej słowa machnięciem dłoni.

- Zawsze pojawiały się fałszywe doniesienia o mojej śmierci, pobożne życzenia moich wrogów. Gdzie twój brat?

- Nie żyje. - Jej twarz nawet nie drgnęła.

- Przykro mi. Zawsze chłopaka lubiłem. - Tę zakłamaną, tchórzliwą, knującą gnidę.

- A on zawsze lubił ciebie. - Nie znosili się, ale jakie to teraz miało znaczenie?

- Gdyby tylko jego siostra miała o mnie lepsze zdanie, wszystko mogłoby się potoczyć inaczej.

- Gdybanie do niczego nas nie doprowadzi. Wszyscy czegoś żałujemy.

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę, ona na stojąco, on na kolanach. Nie tak sobie wyobrażał ich ponowne spotkanie.

- Żałujemy czegoś. To cena, którą płacimy w tym fachu, tak mi zawsze powtarzał Sazine.

- Może powinniśmy zapomnieć o przeszłości.

- Ledwie pamiętam wczorajszy dzień - skłamał. Przeszłość ciążyła mu jak zbroja olbrzymia.

- Więc porozmawiajmy o przyszłości. Mam dla ciebie pracę, oczywiście, jeśli zechcesz ją przyjąć. Zakładam, że czujesz się na siłach?

- Na czym polega ta praca?

- Na walce.

Cosca się skrzywił.

- Walka zawsze za bardzo cię pociągała. Ile razy ci mówiłem, że najemnik nie musi angażować się w te bzdury?

- Ostrza dobywa się po to, by nim uderzać.

- Moja maleńka. Tęskniłem za tobą. - Powiedział to bez namysłu i musiał kaszlem zakryć zażenowanie; omal nie wypluł płuca.

- Przyjazny, pomóż mu wstać.

Obok nich bezgłośnie pojawił się potężny mężczyzna, niezbyt wysoki, ale silnie zbudowany, od którego biły spokój i siła. Chwycił Coscę pod łokieć i bez wysiłku dźwignął na nogi.

- Silna ręka i dobry uczynek - zbulgotał Cosca, zmagając się z przypływem mdłości. - Nazywasz się Przyjazny? Jesteś filantropem?

- Skazańcem.

- Nie widzę powodu, by człowiek nie mógł być jednym i drugim. W każdym razie, dziękuję. A teraz, gdybyś mógł mi wskazać najbliższą tawernę...

- Tawerny będą musiały na ciebie poczekać - odrzekła Vitari.

- Co niewątpliwie wywoła kryzys na rynku win. Zebranie rozpoczyna się za tydzień, a ty musisz być trzeźwy.

- Już nie bywam trzeźwy. To za bardzo boli. Ktoś wspomniał

o jakimś zebraniu?

Monza wciąż patrzyła na niego z rozczarowaniem.

- Potrzebny mi dobry człowiek. Odważny i doświadczony. Człowiek, który nie zawaha się sprzeciwić wielkiemu księciu Orso. - Uśmiechnęła się. - Nie znaleźliśmy kandydata, który byłby bliższy spełnienia tych warunków.

Cosca przywarł do ręki olbrzyma, gdy mglista ulica wokół niego zafalowała.

- Z tej listy pozostało mi tylko doświadczenie.

- Wystarczy nam jedno z czterech, oczywiście, jeśli potrzebujesz pieniędzy. A potrzebujesz, prawda, starcze?

- O tak. Ale jeszcze bardziej czegoś do picia.

- Spisz się dobrze, a zobaczymy.

- Zgadzam się. - Zdał sobie sprawę, że stoi z wysoko uniesioną brodą i dumnie spogląda na Monzę. - Powinniśmy przygotować dokument poborowy, jak za dawnych lat. Ustalić dokładne warunki współpracy, nakreślić je krętym pismem, jak to zwykł robić Sajaam. Podpisać się czerwonym atramentem... Gdzie o tej porze można znaleźć notariusza?

- Nie martw się. Wystarczy mi twoje słowo.

- Chyba jesteś jedyną osobą w Styrii, która tak uważa. Ale niech ci będzie. - Pewnym gestem wskazał ulicę. - A więc tędy, mój dobry człowieku, i postaraj się nadażyć. - Odważnie postąpił naprzód, ale po chwili wrzasnął, gdy ugięły się pod nim nogi i Przyjazny musiał go złapać.

- Nie tędy - odparł skazaniec powolnym, głębokim głosem. Chwycił Coscę pod rękę i na wół poprowadził, a na wół poniósł go w przeciwnym kierunku.

- Prawdziwy z pana dżentelmen - mruknął Cosca.

- Jestem mordercą.

- Nie widzę powodu, by człowiek nie mógł być jednym i drugim... - Cosca z trudem skupił wzrok na Vitari, która szła z przodu, a potem na grubo ciosanym obliczu Przyjaznego.

Dziwni towarzysze. Wyrzutkowie, których nikt nie potrzebuje. Popatrzył na Monzę, której pewny krok przez lata uległ lekkiemu wypaczeniu. Człowiek niewahający się

sprzeciwić wielkiemu księciu Orso - czyli szaleniec albo desperat. Którym z nich jest?

Odpowiedź znajdowała się w zasięgu ręki. Nie ma powodu, by człowiek nie mógł być jednym i drugim.

Wykluczeni

Nóż Przyjaznego błyskał i migotał, z cmokaniem ocierając się o osełkę. Dwadzieścia pociągnąć w jedną stronę i dwadzieścia w drugą. Niewiele jest rzeczy gorszych od tępego noża i niewiele lepszych od ostrego, dlatego Przyjazny uśmiechnął się, gdy dotknął ostrza i poczuł na opuszcze palca jego zimną twardą krawędź. Ostrze było gotowe.

- Dom Uciech Cardottiego to stary pałac kupiecki - mówiła Vitari niepokojąco spokojnym głosem. - Zbudowano go z drewna, jak większość domów w Sipani. Z trzech stron otacza dziedziniec, a od tyłu przylega do Ósmego Kanału.

Siedzieli w sześcioro przy długim stole w kuchni na zapleczu magazynu. Murcatto i Dreszcz, Dzionek i Morveer, Cosca i Vitari.

Na stole stała makieta dużego drewnianego budynku z dziedzińcem pośrodku. Przyjazny szacował, że model był trzydziestosześciokrotnie mniejszy od prawdziwego Domu Uciech Cardottiego. Niestety, trudno było dokładnie to ocenić, a on lubił precyzję.

Vitari powiodła opuszką palca wzdłuż okien w jednej ze ścian pałacu.

- Na parterze mieszczą się kuchnie i biura, palarnia plew oraz sala poświęcona grze w karty i kości.

Przyjazny przycisnął dłoń do kieszonki koszuli i uspokoił się, gdy wyczuł kostki łaskoczące go w zębra.

- Z tyłu, w narożnikach budynku znajdują się dwie klatki schodowe. Na pierwszym piętrze jest trzynaście pokoi, w których bawią się goście...

- Pieprzą się - wtrącił Cosca. - Wszyscy tutaj jesteśmy dorośli,

więc nazywajmy rzeczy po imieniu. - Zerknął przekrwionymi oczami na dwie butelki wina stojące na półce.

Przyjazny zauważył, że często to robił.

Palec Vitari powędrował do dachu makiety.

- Natomiast na ostatnim piętrze mieszczą się trzy duże apartamenty, w których... pieprzą się najznamienitsi goście. Podobno środkowy apartament królewski jest godny imperatora.

- Zatem Ario może go uznać za wystarczająco dobry dla siebie - warknęła Murcatto.

Grupa zwiększyła liczebność z pięciu do siedmiu osób, więc Przyjazny pokroił dwa bochenki na czternaście kromek. Ostrze z sykiem przecinało skórkę i wzbijało w powietrze obłoczki mącznego pyłu. Dwadzieścia osiem kromek, po cztery na głowę. Murcatto zje mniej, ale Dzionek to nadrobi. Przyjazny nie lubił, gdy na stole zostawał niezjedzony chleb.

- Według Eider, na zaproszenie Ario i Foscara przybędą trzy albo cztery tuziny gości, niektórzy uzbrojeni, ale niechętni do walki, a także sześciu ochroniarzy.

- Mówiła prawdę? - spytał Dreszcz.

- Przypadek może tutaj odegrać jakąś rolę, ale na pewno nas nie okłamała.

- Żeby poradzić sobie z taką liczbą... będziemy potrzebowali więcej wojowników.

- Zabójców - znowu wtrącił się Cosca. - Prosiłem, nazywajmy rzeczy po imieniu.

- Pewnie około dwudziestu - rozległ się surowy głos Murcatto.
- Oraz was trzech.

Dwadzieścia trzy Ciekawa liczba. Gorące powietrze ucałowało twarz Przyjaznego, gdy otworzył skrzypiące drzwiczki starego pieca. Dwudziestu trzech nie sposób podzielić przez żadną inną liczbę, poza liczbą jeden. Żadnych części ani ułamków. Żadnych półśrodków. Podobnie jak w przypadku Murcatto. Chwycił duży garnek dłońmi owiniętymi w szmaty. Liczby nie kłamią. Co innego ludzie.

- W jaki sposób niezauważenie wprowadzimy do środka

dwudziestu ludzi?

- To będzie hulanka - odparła Vitari. - Pojawią się artyści. A my ich dostarczymy.

- Artyści?

- Jesteśmy w Sipani. Tutaj prawie każdy jest artystą albo zabójcą. Nie powinno być problemu ze znalezieniem kilku osób, które są jednym i drugim.

Przyjazny został wykluczony z planowania, ale nie miał o to żalu. Sajaam kazał mu robić wszystko, czego od niego zażąda Murcatto, i to wystarczyło. Już dawno nauczył się, że życie staje się znacznie prostsze, gdy ignorujemy to, czego nie mamy akurat przed oczami. W tej chwili obchodził go jedynie gulasz.

Zanurzył w nim drewnianą łyżkę i spróbował, z zadowoleniem stwierdzając, że potrawa jest smaczna. Przyznał jej czterdzieści jeden punktów na pięćdziesiąt. Zapach gotowania, widok unoszącej się pary, odgłos trzaskających drew w piecu - to wszystko przypomniało mu spokojne chwile spędzone w kuchni w Bezpiecznym Miejscu. Gulasze, zupy i owsianki, które gotowali w wielkich kadziach. Dawno temu, gdy nad głową stale czuł bezpieczny ciężar kamienia, gdy liczby się zgadzały i wszystko miało sens.

- Ario będzie chciał się napić - mówiła Murcatto - a także zażyć hazardu i popisać się przed tymi idiotami. Potem trafi do apartamentu królewskiego.

Cosca wykrzywił popękane usta w uśmiechu.

- Gdzie, jak mniemam, będą na niego czekały kobiety?

- Czarnowłosa i ruda. - Murcatto wymieniła surowe spojrzenia z Vitari.

- Niespodzianka godna imperatora. - Cosca zachichotał.

- Gdy Ario zginie, co nastąpi szybko, odwiedzimy Foscara w sąsiednim apartamencie. - Murcatto przeniosła wzrok na Morveera. - Na górze, braci będą pilnowali strażnicy. Ty i Dzionek możecie się nimi zająć.

- Naprawdę możemy? - Truciciel na chwilę przestał obserwować swoje paznokcie z pogardliwym uśmiechem. - To z pewnością odpowiednie zadanie dla kogoś o naszych

kwalifikacjach.

- Tym razem postarajcie się nie wytruć połowy miasta. Powinno nam się udać zabić braci bez wywoływania niepotrzebnego zamieszania, ale jeśli coś pójdzie nie tak, do akcji wkroczą artyści.

Stary najemnik trącił makietę drżącym palcem.

- Najpierw zajmijcie dziedziniec, sale gry i palarnie, a potem zabezpieczcie schody. Rozbróćcie gości i zgromadźcie ich w jednym miejscu. Oczywiście delikatnie i z wyczuciem. Kontrolujcie sytuację.

- Kontrola. - Murcatto dźgnęła w blat wskazującym palcem osłoniętym rękawiczką. - Chcę, żeby każdy z was wbił sobie to słowo do głowy. Zabijamy Ario, zabijamy Foscara. Jeśli ktokolwiek inny będzie sprawiał kłopoty, zróbcie to co konieczne, ale bez zbędnego rozlewu krwi. I tak będziemy mieli mnóstwo problemów. Rozumiecie?

Cosca odchrząknął.

- Może, gdybym się napił, byłoby mi łatwiej to wszystko...

- Rozumiem - zagłuszył go Dreszcz. - Kontrola i jak najmniej krwi.

- Dwa morderstwa. - Przyjazny postawił garnek na środku stołu. - Jedno i jedno, nie więcej. Jedzenie. - Zaczął nakładać gulasz do misek.

Bardzo chciał zadbać o to, by wszyscy otrzymali tyle samo kawałków mięsa, marchewki i cebuli oraz tyle samo ziaren fasoli. Jednakże, zanimby je policzył, jedzenie by wystygło, poza tym wiedział, że większość ludzi taka precyzja zbija z tropu. Kiedyś stało się to przyczyną bójki w mesie Bezpiecznego Miejsca, a Przyjazny zabił wtedy dwóch mężczyzn i odciął dłoń trzeciemu. Teraz nie miał ochoty nikogo zabijać. Był głodny. Dlatego zadowolił się nałożeniem każdemu takiej samej liczby chochli gulaszu i stłumił głębokie uczucie niezadowolenia.

- Dobrze - zbulgotała Dzionek z pełnymi ustami. - Znakomite. Jest więcej?

- Gdzie nauczyłeś się gotować, przyjacielu? - spytał Cosca.

- Spędziłem trzy lata w kuchniach Bezpiecznego Miejsca.

Człowiek, który mnie uczył, kiedyś był nadwornym kucharzem księcia Borletty.

- Dlaczego znalazł się w więzieniu?

- Zabił żonę, posiekał ją, ugotował z niej gulasz i zjadł.

Wokół stołu zapadła cisza. W końcu Cosca głośno odchrząknął.

- Ufam, że w tym gulaszu nie ma niczyjej żony?

- Rzeźnik powiedział, że to jagnięcina, a ja nie mam powodu, by mu nie wierzyć. - Przyjazny wziął do ręki widelec. - Nikt tak tanio nie sprzedaje ludzkiego mięsa.

Zapadła pełna zakłopotania cisza, jaką zazwyczaj wywoływał Przyjazny, gdy wypowiadał więcej niż trzy słowa na raz. Wreszcie Cosca roześmiał się bulgotliwie.

- Zależy od okoliczności. To mi przypomina, jak znaleźliśmy tamte dzieciaki po oblężeniu Muris, pamiętasz, Monzo?

Spochmurniała jeszcze bardziej, ale nie była w stanie go powstrzymać.

- Znaleźliśmy dzieciaki - kontynuował - i chcieliśmy je sprzedać handlarzom niewolników, ale ty wpadłaś na pomysł, że moglibyśmy...

- Jasne! - Morveer niemal pisnął z zachwytem. - Ucieszne! Cóż może być zabawniejszego od sprzedania sierot w niewolę?

Zapadła kolejna niezręczna cisza, a truciciel i najemniczka wymienili mordercze spojrzenia. W Bezpiecznym Miejscu Przyjazny wiele razy widział, jak ludzie tak na siebie patrzą. Kiedy pojawiała się świeża krew i więźniów zmuszano do dzielenia celi. Czasami dwie osoby po prostu nie przypadły sobie do gustu i nienawidziły się od pierwszego spotkania. Zbyt różniły albo były do siebie za bardzo podobne. Oczywiście, na wolności wszystko było bardziej nieprzewidywalne, ale w Bezpiecznym Miejscu, gdy ludzie tak na siebie patrzyli, było wiadomo, że wcześniej czy później rzucają się sobie do gardeł.

Pić, pić, pić. Spojrzenie Coski prześlizgnęło się z tej wystrojonej gnidy Morveera na jego pełny kielich z winem, następnie na kielichy pozostałych, z niechęcią wróciło do jego własnego obrzydliwego kubka z wodą, by wreszcie spocząć na butelce wina stojącej na blacie, gdzie utknęło, jakby schwyte w rozpalone szczypce. Wystarczy jeden szybki ruch i będzie ją miał. Jak wiele zdoła przełknąć, zanim wyrwą mu ją z dłoni? Niewielu ludzi potrafi pić szybciej od niego, gdy wymagają tego okoliczności...

Nagle zauważył, że Przyjazny go obserwuje, i coś w smutnych, beznamiętnych oczach skazańca sprawiło, że się zawahał. Niech to szlag, w końcu jest Nicomo Coscą! A przynajmniej kiedyś nim był. Całe miasta drżały i tak dalej. Od tak wielu lat nie myślał o niczym poza kolejną porcją alkoholu. Najwyższy czas poszerzyć horyzonty. Co najmniej na dwie kolejne porcje. Ale niełatwo jest się zmienić.

Niemal czuł pot występujący mu na skórę. Jego głowa pulsowała i huczała bólem. Podrapał swędzącą szyję, ale to tylko nasiliło swędzenie. Wiedział, że szczyrzy się jak czaszka i o wiele za dużo mówi. Niestety, musiał się uśmiechać i mówić, w przeciwnym razie zacząłby wrzeszczeć bez opamiętania.

- ...Ocaliła mi życie podczas oblężenia Muris, prawda, Monzo? To było pod Muris, tak? - Nie bardzo wiedział, w jaki sposób jego łamiący się głos zbłądził na ten temat. - Drań wyskoczył na mnie znikąd. Szybkie pchnięcie! - Niemal przewrócił kubek z wodą, gdy machnął palcem na oślep. - A ona go przeszła! Prosto w serce, daję słowo. Uratowała mi życie. Pod Muris. Uratowała mi... życie...

Prawie żałował, że wtedy nie pozwoliła mu umrzeć. Wydawało mu się, że kuchnia wiruje, trzęsie się, przechyla jak kajuta na statku podczas groźnego sztormu. Czekał, aż wino wypłynie z kielichów, gulasz wyleje się z misek, a talerze zjadą z kołyszącego się stołu. Wiedział, że sztorm szaleje tylko w jego głowie, a jednak kurczowo przytrzymywał się mebli za każdym razem, gdy pokój zaczynał wyjątkowo gwałtownie się poruszać.

- ...nie byłoby tak źle, gdyby nie zrobiła tego ponownie następnego dnia. Dostałem strzałą w ramię i wpadłem do przekłetej fosy. Wszyscy to widzieli, po obu stronach. Co innego zostać upokorzonym na oczach przyjaciół, ale na oczach wrogów...

- Mylisz się.

Cosca popatrzył na Monzę spod przymkniętych powiek.

- Czyżby? - Chociaż musiał przyznać, że ledwie pamiętał ostatnie wypowiedziane zdanie, a co dopiero wydarzenia, które nastąpiły podczas oblężenia przed tuzinem pijackich lat.

- To ja leżałam w fosie, a ty wskoczyłeś, żeby mnie wyciągnąć. Narażałeś życie i dostałeś strzałą, gdy mnie ratowałeś.

- Mało prawdopodobne, żebym zrobił coś takiego. - Trudno było mu myśleć o czymkolwiek poza palącą potrzebą picia. - Jednak przyznaję, że nie pamiętam szczegółów. Może, gdyby ktoś z was podał mi wino, mógłbym...

- Wystarczy. - Miała taki sam wyraz twarzy jak zawsze, gdy wyciągała go z tawerny, tylko jeszcze bardziej wściekły i rozczarowany. - Muszę zabić pięciu mężczyzn, więc nie mam czasu nikogo ratować. Zwłaszcza przed własną głupotą. Niepotrzebny mi pijak.

Przy stole zapadła cisza. Wszyscy patrzyli, jak Cosca się poci.

- Nie jestem pijakiem - zaskrzeczał. - Po prostu lubię smak wina. Tak bardzo, że muszę je pić co kilka godzin, w przeciwnym razie choruję.

Kurczowo trzymał swój widelec, a pokój kołysał się wokół niego. Uśmiechał się boleśnie, podczas gdy pozostali chichotali. Niech się śmieją, dopóki mogą, ponieważ Nicomo Cosca zawsze śmieje się ostatni. Chyba że właśnie wymiotuje.

Morveer czuł się wykluczony. Uwielbiał rozmowy twarzą w twarz, nigdy jednak nie lubił dużych grup. Taki scenariusz

nieprzyjemnie przypominał mu stołówkę w sierocińcu, gdzie starsze dzieci dla rozrywki rzucały w niego jedzeniem, co stanowiło przerażające preludium szeptów, bicia, podtapiania i innych tortur, które odbywały się pod osłoną nocy w dormitoriach.

Dwoje nowych pomocników Murcatto, których przyjęcia nikt z nim nie konsultował, również go niepokoiło. Shylo Vitari zajmowała się torturami i sprzedażą informacji; była bardzo kompetentna, ale zarazem irytująca. Już kiedyś z nią współpracował i nie było to miłe doświadczenie. Morveer brzydził się ideą własnoręcznego sprawiania bólu. Jednakże kobieta знаła Sipani, więc uznał, że może ją ścierpieć. Na razie.

Nicomo Cosca był bez porównania gorszy. Notorycznie destrukcyjny, zdradziecki i kapryśny najemnik pozbawiony zasad i skrupułów, myślący tylko o zysku. Pijaczyna, hulaka i kobieciarz, nieopanowany jak wściekły pies. Pełen pychy łobuz mający zbyt duże mniemanie o swoich umiejętnościach. Całkowite przeciwieństwo Morveera. A teraz grupa nie tylko przyjęła w swoje szeregi ten niebezpiecznie nieprzewidywalny element i wtajemniczyła go w swoje plany, ale wręcz oddawała cześć tej rozdygotanej ludzkiej skorupie. Nawet Dzionek, osobista asystentka Morveera, śmiała się z żartów Coski, jeśli akurat nie miała pełnych ust, co, trzeba przyznać, zdarzało się dosyć rzadko.

- Grupa łajdaków pochylonych nad stołem w opuszczonym magazynie? - dziwił się Cosca, wodząc wzrokiem wokół stołu. - Rozmawiająca o maskach, przebraniach i broni? Nie mam pojęcia, jak człowiek mojego kalibru wplątał się w takie towarzystwo. Można by pomyśleć, że chodzi tutaj o jakieś nieczne sprawy!

- Otóż to! - wtrącił Morveer piskliwym głosem. - Nie mógłbym znieść takiej zmyzy na swoim sumieniu. Dlatego dodałem wam do misek trochę wyciągu z wdowiego kwiatu. Nacieszcie się ostatnimi bolesnymi chwilami swojego życia!

Sześć osób nagle spowaźniało i umilkło.

- Oczywiście żartuję - zaskrzeczał, zdając sobie sprawę, że

jego próba zablęśnięcia dowcipem w rozmowie skończyła się spektakularną klęską.

Dreszcz powoli wypuścił ustami powietrze. Murcatto z kwaśną miną przycisnęła język do jednego z kłów. Dzionek wpatrywała się ze zmarszczonymi brwiami w swoją miskę.

- Zdarzało mi się słyszeć zabawniejsze puenty na pogrzebach - odezwała się Vitari.

- Trucicielski humor. - Cosca posłał Morveerowi nieprzychylnie spojrzenie ponad stołem, ale efekt popsuło grzechotanie widelca o miskę spowodowane drżeniem jego dłoni. - Jedna z moich kochanek została otruta. Od tamtej pory żywię wobec waszego fachu jedynie pogardę. Rzecz jasna, to samo dotyczy wszystkich jego przedstawicieli.

- Chyba nie oczekujesz, że będę się czuł odpowiedzialny za czyny wszystkich ludzi działających w mojej branży? - Morveer wolał nie wspominać, że rzeczywiście ponosił osobistą odpowiedzialność za te wydarzenia, gdyż czternaście lat wcześniej wielka księżna Sefelina z Osprii zleciła mu zabicie Nicomo Coski. Teraz czuł się coraz bardziej rozdrażniony, że wtedy pokpił sprawę i zabił tylko kochankę.

- Zawsze rozgniatam osy, niezależnie od tego, czy mnie użądliły. W moich oczach wszyscy jesteście ludźmi... jeśli w ogóle mogę was tak nazywać... godnymi pogardy. Truciciele to najbrudniejsi tchórze.

- A gorsi od nas są tylko pijacy! - odparł Morveer, marszcząc górną wargę. - Ci śmiecie mogliby niemal wzbudzać współczucie, gdyby nie byli tak odrażający. Są bardziej przewidywalni od zwierząt. Jak plugawy gołąb pocztowy, pijak zawsze wraca do butelki, nie mogąc się zmienić. To jego jedyna droga ucieczki przed cierpieniem, które za sobą pozostawia. Dla pijaka trzeźwy świat jest pełen dawnych porażek i nowych lęków, więc się w nim dusi. Oto prawdziwy tchórz. - Uniósł kieliszek i z zadowoleniem pociągnął długi łyk wina. Nie był przyzwyczajony do szybkiego picia, więc zrobiło mu się niedobrze, ale zmusił się do niewyraźnego uśmiechu.

Cosca chwycił chudą dłonią za krawędź stołu, aż zbieleły mu

knykcie, i patrzył, jak Morveer przełyka.

- Jak mało mnie rozumiesz. Mógłbym przestać pić, kiedy tylko zechcę. Zresztą już postanowiłem to zrobić. Udowodnię ci.
- Najemnik uniósł wściekle dygoczącą dłoń. - Gdybym tylko mógł dostać pół kieliszka, żeby uspokoić te przekłete drgawki!

Pozostali się roześmiali, napięcie opadło, ale Morveer widział morderczy wyraz twarzy Coski. Stary pijus może wydawał się niegroźny jak wioskowy głupek, ale kiedyś zaliczał się do najniebezpieczniejszych mężczyzn w Styrii. Byłoby nierozsądnie lekceważyć takiego człowieka, a Morveer nie był głupi. Już nie był sierotą, dzieckiem płacząco nawołującym matkę, podczas gdy inni go kopali.

Przede wszystkim ostrożność, zawsze.

Monza siedziała nieruchomo, mówiła tylko tyle, ile musiała, a jadła jeszcze mniej, gdyż jej obolała prawa ręka nie radziła sobie z nożem. Sama wykluczyła się z grupy, zajmując miejsce u szczytu stołu. Trzymała dystans, jaki generał powinien utrzymywać względem swoich żołnierzy, pracodawca względem pracowników, a poszukiwana kobieta względem każdego, jeśli ma głowę na karku. Nie było to trudne. Robiła tak przez lata, pozwalając, by to Benna mówił, śmiał się i był lubiany za nich oboje. Przywódca nie może sobie pozwolić na to, by go lubiano. Zwłaszcza kobieta. Dreszcz zerkał w jej stronę ponad stołem, a ona uparcie unikała jego wzroku. Pozwoliła sobie na chwilę słabości w Westporcie. Nie mogła dopuścić, by to się powtórzyło.

- Wygląda na to, że dobrze się znacie - powiedział Dreszcz, wodząc wzrokiem pomiędzy Monzą a Cosą. - Jesteście starymi przyjaciółmi?

- Raczej rodziną! - Stary najemnik pomachał widelcem z takim zapalem, że mógłby komuś wybić oko. - Walczyliśmy ramię w ramię jako szlachetni członkowie Tysiąca Ostrzy,

najsłynniejszej brygady najemników w całym Kręgu Świata! - Monza popatrzyła na niego spode łba. Jego krwawe opowieści przywoływały wspomnienia o czynach i decyzjach, które wolałaby zapomnieć. - Walczyliśmy w całej Styrii, gdy Sazine był generałem. To był świetny czas dla najemników! Zanim wszystko się... skomplikowało.

Vitari parsknęła.

- Czyli spłynęło krwią.

- Na jedno wychodzi. Wtedy ludzie byli bogatsi i łatwiej ich było przestraszyć, a także budowali niższe mury. Potem Sazine dostał strzałą w rękę, stracił ją, a w końcu umarł, mnie zaś uczyniono nowym generałem. - Cosca przemieszał gulasz. - Gdy pochowałem tego starego wilka, zrozumiałem, że walka to zbyt niebezpieczna sprawa, i jak niemal każdy szlachetny człowiek uznałem, że chcę mieć z nią jak najmniej wspólnego. - Uśmiechnął się do Monzy drżącymi ustami. - Dlatego rozdzieliliśmy brygadę na dwie grupy.

- Ty ją rozdzielilesz.

- Zabrałem połowę ludzi, a Monzcarro i jej brat Benna zabrali drugą połowę, po czym rozpuściliśmy plotki, że się poróżniliśmy. Angażowaliśmy się po przeciwnych stronach wszystkich konfliktów, jakie udało nam się znaleźć - a było ich mnóstwo - i... udawaliśmy, że walczymy.

- Udawaliście? - mruknął Dreszcz.

Drżące sztuce w rękach Coski zderzyły się w powietrzu.

- Krążyliśmy po okolicy całymi tygodniami, zabierając wszystko, co znaleźliśmy, potem dla pozorów organizowaliśmy niegroźną potyczkę, i kończyliśmy sezon znacznie bogatsi, ale bez strat w ludziach. No, może nie licząc kilku mącicieli. To było równie opłacalne jak przykładanie się do pracy. Nawet stoczyliśmy kilka pozorowanych bitew, prawda?

- Owszem.

- Ale potem Monza zatrudniła się u wielkiego księcia Orso z Talinsu i uznała, że ma dosyć udawania. Postanowiła przeprowadzić prawdziwą szarżę z dobrze naostrzonymi szpadami. Postanowiła coś zmienić, czyż nie, Monzo? Szkoda, że

mnie nie uprzedziłaś. Mógłbym ostrzec swoich chłopców i ocalić kilka istnień.

- Twoich chłopców. - Parsknęła. - Nie udawaj, że kiedykolwiek zależało ci na czyimkolwiek życiu poza twoim własnym.

- Kilku z nich cenilem wyżej. Jednak ani oni, ani ja nic z tego nie mieliśmy. - Cosca nie odrywał przekrwionych oczu od Monzy. - Którzy z twoich ludzi zwrócili się przeciwko tobie? Wierny Carpi, prawda? Jednak nie okazał się taki wierny, co?

- Bardziej wierny niż którykolwiek z twoich. Dopóki nie zaatakował mnie nożem.

- A teraz zapewne zajął generalski fotel?

- Owszem, słyszałam, że posadził na nim grube dupsko.

- Tak jak ty posadziłaś na nim chude dupsko po mnie. Ale nie mógłby tego zrobić bez zgody innych kapitanów, prawda? Cóż za szlachetna kompania. Bękart Andiche. Pijawka Sesaria. Szyderczy robak Vietus. Czy te trzy chciwe świnie wciąż były przy tobie?

- Nadal trzymały ryje w korycie. Jestem pewna, że zdradzili mnie tak samo, jak ciebie. Nie mówisz mi niczego nowego.

- Więc nikt ci nie podziękował. Za zwycięstwa, które odniosłaś. Za pieniądze, które dla nich zarobiłaś. Znudzili się i gdy tylko wyczuli lepszą okazję...

Monza straciła cierpliwość. Przywódca nie może sobie pozwolić na okazywanie słabości. Zwłaszcza kobieta.

- Dziwne, że taki znawca ludzi został pijaczyną bez przyjaciół ani pieniędzy. Nie udawaj, że nie dostałeś ode mnie tysiąca szans. Zmarnowałaś je, tak jak wszystko inne w swoim życiu. Ciekawi mnie tylko jedno: czy zamierzasz zmarnować także tę okazję? Czy jesteś, kurwa, w stanie wykonywać moje polecenia? Czy może uparłeś się, żeby być moim wrogiem?

Cosca tylko smutno się uśmiechnęła.

- W naszym fachu wrogowie to powód do dumy. Jeśli doświadczenie czegoś nas nauczyło, to, że musimy uważać raczej na przyjaciół. Gratulacje dla kucharza. - Rzucił widelec do miski, wstał i wyszedł z kuchni, niemal się nie zataczając.

Monza popatrzyła ze zmarszczonymi brwiami na poważne oblicza, które pozostawił przy stole.

„Nigdy nie lękaj się wrogów, ale przyjaciół - zawsze”, pisał Verturio.

Kilkoro złych ludzi

Magazyn przypominał pełną przeciągów jaskinię. Zimne światło odnajdywało szpary w okiennicach i rysowało jasne kreski na zakurzonych klepkach oraz pustych skrzyniach spiętrzonych w kącie po drugiej stronie starego stołu zajmującego środek podłogi. Dreszcz opadł na koślawe krzesło, czując na łydce rękojeść noża, który dała mu Monza. Dotkliwe przypomnienie, w jakim celu go wynajęła. Jego życie stało się znacznie bardziej mroczne i niebezpieczne niż na Północy. Zamiast dążyć do zostania lepszym człowiekiem, zawrócił na tej drodze i stale przyśpieszał.

Więc dlaczego wciąż tutaj jest, do diabła? Ponieważ pragnie Monzy? Nie mógł temu zaprzeczyć, a fakt, że traktowała go chłodno od czasu wydarzeń w Westporcie, dodatkowo nasilał jego żądzę. Ponieważ pragnie jej pieniędzy? To także. Pieniądze bardzo się przydają do kupowania różnych rzeczy. Ponieważ potrzebuje pracy? Owszem. Ponieważ jest w tym dobry? Ano jest.

Ponieważ to lubi?

Zmarszczył brwi. Niektórzy ludzie nie są stworzeni do czynienia dobra, a on właśnie zaczynał podejrzewać, że jest jedną z takich osób. Z każdym dniem coraz bardziej wątpił, czy bycie lepszym jest warte zachodu.

Trzaśnięcie drzwiami wyrwało go z zamyślenia.

Cosca zszedł po skrzypiących drewnianych schodach prowadzących z sypialni, powoli drapiąc się po czerwonej wysypce z boku szyi.

- Dzień dobry.

Stary najemnik ziewnął.

- Na to wygląda. Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłem na nogach o tej porze. Ładna koszula.

Dreszcz szarpnął się za rękaw. Ciemny jedwab, guziki z polerowanej kości i zgrabne obszycia wokół mankietów. Sam nigdy nie wybrałby czegoś tak eleganckiego, ale strój podobał się Monzie.

- Nawet nie zwróciłem uwagi.

- Kiedyś także lubiłem dobre ubrania. - Cosca opadł na koślawe krzesło obok Dreszcza. - Zresztą, podobnie jak brat Monzy. O ile pamiętam, miał bardzo podobną koszulę.

Dreszcz nie był pewien, do czego zmierza ten stary drań, ale wcale mu się to nie podobało.

- No i?

- Dużo opowiada o swoim bracie, prawda? - Na twarzy Coski zagościł dziwny uśmiezek, jakby Nicomo wiedział o czymś, z czego Dreszcz nie zdawał sobie sprawy.

- Powiedziała mi, że umarł.

- Tak słyszałem.

- Powiedziała, że nie jest z tego zadowolona.

- Z pewnością.

- Powinienem wiedzieć o czymś jeszcze?

- Zapewne wszystkim nam przydałoby się więcej wiedzy. Ale pozostawię to w jej gestii.

- Gdzie ona jest? - odburknął Dreszcz, któremu kończyła się cierpliwość.

- Monza?

- A niby kto?

- Nie chce nikomu pokazywać twarzy, jeśli nie musi. Ale nie martw się. Werbowałem wojowników w całym Kręgu Świata. A także artystów, skoro już o tym mowa. Przeszkadza ci, że zajmę się przygotowaniami?

Dreszczowi bardzo to przeszkadzało. Nie miał wątpliwości, że już od dawna Cosca nie zajmował się niczym poza butelką. Kiedy Krwawy-dziewięć zabił Dreszczowi brata, odciął mu głowę i kazał ją przybić do drzewca sztandaru, ojciec Dreszcza zaczął pić. Wkrótce zaczęły go dręczyć ataki wściekłości i

drgawek. Przestał podejmować właściwe decyzje i stracił szacunek swoich ludzi oraz zaprzepaścił wszystko, co zbudował, tak, że gdy umarł, pozostawił synowi tylko gorzkie wspomnienia.

- Nie ufam nikomu, kto pije - warknął, nie owijając w bawełnę. - Kiedy człowiek sięga po butelkę, staje się słaby, po czym opuszcza go rozum.

Cosca pokręcił ze smutkiem głową.

- Wszystko ci się pomieszało. Człowiek najpierw traci rozum, potem staje się słaby, a wreszcie sięga po butelkę. Picie jest objawem, nie przyczyną. Ale, chociaż twoja troska porusza mnie do głębi, nie musisz się mną przejmować. Dzisiaj czuję się znacznie pewniej! - Wyciągnął ręce nad blatem. Rzeczywiście, nie trzęsły się tak jak wcześniej. Lekko drżały, ale nie wstrząsały nimi wściekłe konwulsje. - Zanim się zorientujesz, wrócę do pełni sił.

- Wprost nie mogę się doczekać. - Vitari wyszła z kuchni z założonymi rękami.

- Jak my wszyscy, Shylo! - Cosca klepnął Dreszcza w ramię. - Ale dosyć o mnie! Powiedz lepiej, jakie szumowiny, jakich kryminalistów, rozbójników i oprychów wygrzebałaś z oślizgłych uliczek starego Sipani? Jakich walecznych artystów znalazłaś? Muzyków morderców? Tańczących z trupami? Szansonistów ze szpadami? Żonglerów, którzy... którzy...

- Zabijają? - zaproponował Dreszcz.

Cosca jeszcze bardziej się wyszczerzył.

- Obcesowo i celnie, jak zwykle.

- Obcesowo?

- Prymitywnie. - Vitari usiadła na ostatnim krześle i rozłożyła arkusz papieru na podrapanym blacie. - Na początek mamy zespół, który grywa za pieniądze w pobliżu portu. Jednakże znacznie więcej zarabiają na okradaniu przechodniów niż na zachwyaniu ich muzyką.

- Awanturnicy, co? Właśnie takich nam trzeba. - Cosca wyciągnął chudą szyję jak kogut, który zamierza zapiać. - Wejdźcie!

Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem i weszło pięciu mężczyzn. Nawet tam, skąd pochodził Dreszcz, uznano by ich za zaniedbanych. Tłuste włosy. Twarze pokryte krostami. Szmaty zamiast ubrań. Wodzili wkoło wzrokiem, rzucając szybkie podejrzliwe spojrzenia spod przymkniętych powiek. W brudnych dłoniach ściskali zaplamione instrumenty. Ustawili się przed stołem, jeden drapał się po kroczu, inny dłubał w nosie pałeczką perkusyjną.

- Kim jesteście? - spytał Cosca.

- Zespołem - odparł najbliższy.

- A czy wasz zespół ma jakąś nazwę?

Wymienili spojrzenia.

- Nie. Niby po co?

- No to podajcie swoje imiona i powiedzcie, w czym się specjalizujecie, jako artyści i wojownicy.

- Ja jestem Solter. Gram na bębnie i buzdyganie. - Odchylił połą zatłuszczonego płaszcza, pokazując niewyraźny blask żelaza. - Tak po prawdzie, to lepiej mi idzie z buzdyganem.

- Ja jestem Morc - powiedział kolejny z mężczyzn. - Fujarka i szabla.

- Olopin. Trąba i młot.

- Ja też jestem Olopin. - Następny muzyk wskazał w bok kciukiem. - Brat tego tutaj. Skrzypce i noże. - Wysunął z rękawów dwa długie ostrza i zakręcił nimi wokół palców.

Ostatni z mężczyzn miał najbardziej połamany nos, jaki Dreszcz kiedykolwiek widział, a widział naprawdę ostre przypadki.

- Gurpi. Lutnia i lutnia.

- Walczysz za pomocą swojego instrumentu? - spytał Cosca.

- Tak nim walę. - Mężczyzna zademonstrował kilka bocznych ciosów, po czym błysnął zębami w kolorze gówna. - W środku jest schowany topór.

- Auć. No to zagrajcie nam, panowie, najlepiej coś skoczniejszego!

Dreszcz nie przepadał za muzyką, ale nawet on zauważył, że zespół nie gra dobrze. Bęben nie trzymał rytmu. Fujarka fałszowała. Lutni brakowało głębi brzmienia, zapewne za

sprawą żelastwa w środku. Ale Cosca kiwał głową z zamkniętymi oczami, jakby nigdy nie słyszał słodszej muzyki.

- A niech mnie, naprawdę jesteście ludźmi o wielu talentach!

- wykrzyknął już po kilku taktach, gwałtownie uciszając muzyków. - Przyjmuję was wszystkich, płacę każdemu po czterdzieści szalek za noc.

- Czterdzieści... szalek... każdemu? - zachłysnął się bębniarz.

- Płatne po wykonaniu zadania. Ale nie będzie ono łatwe. Z pewnością będziecie musieli walczyć, może nawet grać. Niewykluczone, że wasz występ okaże się śmiertelny w skutkach dla naszych wrogów. Jesteście gotowi na takie poświęcenie?

- Za czterdzieści szalek na głowę? - Wszyscy szeroko się uśmiechnęli. - Tak jest! Za tyle pieniędzy będziemy nieustraszeni.

- Doskonale. Wiemy, gdzie was znaleźć.

- Straszni brzydale - mruknęła Vitari, kiedy muzycy wyszli.

- Na szczęście, to bal maskowy - szepnął Cosca. - Ubierzemy ich w pstrokate stroje i nikt się niczego nie domyśli.

Dreszczowi nie podobał się pomysł powierzenia swojego życia w ręce tej bandy.

- Ludzie zauważą, że oni nie potrafią grać.

Cosca parsknął.

- Nikt nie przychodzi do Cardottiego, żeby słuchać muzyki.

- Nie sprawdzimy, jak walczą?

- Jeśli walczą tak, jak grają, to nie musimy się o nic martwić.

- Przecież grają do dupy.

- Grają jak szaleńcy. Przy odrobinie szczęścia, z takim samym szaleństwem władają bronią.

- To wcale nie...

- Nigdy nie miałem cię za marudnego człowieka. - Cosca uważnie popatrzył na Dreszcza. - Musisz się nauczyć spontaniczności, przyjacielu. Żeby odnosić cenne zwycięstwa, potrzebne są animusz i wigor!

- Kto?

- Lekkomysłność - wyjaśniła Vitari.

- Werwa - dodał Cosca. - Oraz zdolność wykorzystania okazji.

- A co ty o tym myślisz? - spytał Dreszcz Vitari. - O wigorze i całej reszcie.

- Jeśli wszystko przebiegnie zgodnie z planem, dopadniemy Ario i Foscara na osobności i... - Pstryknęła palcami. - Nie ma znaczenia, kto zabrzdąka na lutni. Kończy nam się czas. Za cztery dni najpotężniejsi i najszlachetniejsi Styryjczycy spotkają się w Sipani. W idealnym świecie znalazłabym lepszych ludzi. Ale to nie jest idealny świat.

Cosca chrapliwie westchnął.

- Z pewnością. Ale nie zniechęcajmy się. Ledwie zaczęliśmy, a już mamy pięciu wojowników! Gdybym tylko dostał kieliszek wina, bylibyśmy na najlepszej drodze do...

- Żadnego wina - warknęła Vitari.

- Ciężkie czasy nastały, skoro człowiek nawet nie może zwilżyć gardła. - Stary najemnik nachylił się tak blisko, że Dreszcz zobaczył popękane naczynka na jego policzkach. - Życie to morze smutków, przyjacielu. Proszę wejść!

Kolejny mężczyzna ledwie mieścił się w drzwiach magazynu. Był o kilka palców wyższy od Dreszcza, ale o wiele masywniejszy. Miał gęsty zarost na potężnej szczęce i kręconą siwą czuprynę, chociaż nie sprawiał wrażenia starego. Zbliżył się do stołu, rozcierając dłonie i lekko się garbiąc, jakby się wstydził swojego wzrostu. Klepki skrzypiały pod naciskiem jego ogromnych butów.

Cosca zagwizdał.

- No, no, ale olbrzym.

- Znalazłam go w tawernie nad Pierwszym Kanałem - powiedziała Vitari. - Był pijany jak bela, ale nikt nie odważył się go ruszyć. Prawie nie mówi po styryjsku.

Cosca nachylił się w stronę Dreszcza.

- Może ty z nim porozmawiasz? W imię braterstwa Północy?

Dreszcz nie przypominał sobie, by w jego zimnej krainie obowiązywało jakiegokolwiek braterstwo, ale uznał, że warto spróbować. Czuł się dziwnie, wypowiadając słowa, których dawno nie używał.

- Jak masz na imię, przyjacielu?

Olbrzym sprawiał wrażenie zaskoczonego, słysząc północną mowę.

- Siwowłosa. - Wskazał swoją głowę. - Zawsze miały ten kolor.

- Co cię tutaj sprowadza z tak daleka?

- Szukam pracy.

- Jakiej pracy?

- Każdej, jaką mi zaproponują.

- Nawet jeśli będzie krwawa?

- Spodziewam się tego. Pochodzisz z Północy?

- Tak.

- Wyglądasz jak Południowiec.

Dreszcz zmarszczył brwi, chowając eleganckie mankiety pod stołem.

- No cóż, ale nim nie jestem. Nazywam się Caul Dreszcz.

Siwowłosa zamrugał.

- Dreszcz?

- Tak. - Pochlebilo mu, że mężczyzna zna jego imię. Wciąż cenił swój honor. - Słyszałeś o mnie?

- Byłeś pod Uffrith z Wilczarzem?

- Zgadza się.

- I z Czarnym Dowem, co? Słyszałem, że to była niezła robota.

- Owszem. Wzięliśmy miasto, tracąc tylko dwóch ludzi.

- Tylko dwóch. - Olbrzym powoli pokiwał głową, nie spuszczać wzroku z twarzy Dreszcza. - Gładko poszło.

- Rzeczywiście. Wilczarz potrafił utrzymać swoich ludzi przy życiu. Najlepszy przywódca, pod jakim służyłem.

- No cóż, skoro Wilczarza tutaj nie ma, będę zaszczycony, mogąc stanąć ramię w ramię z tobą.

- I wzajemnie. Cieszę się, że do nas dołączysz. Przyjmujemy go - powiedział po styryjsku Dreszcz.

- Jesteś pewien? - spytał Cosca. - Ma w oczach jakąś... gorycz, która mnie niepokoi.

- Musisz się nauczyć spontaniczności - mruknął Dreszcz. -

Trochę, kurwa, wigoru.

Vitari parsknęła śmiechem, a Cosca chwycił się za pierś.

- Ach! Przebity własnym rapierem! No dobrze, możesz przyjąć swojego małego przyjaciela. Co możemy zrobić z dwoma Północnymi? - Uniósł wyprostowany palec. - Możemy odtworzyć słynny pojedynek... no wiesz, pomiędzy Fenrisem Groźnym, czy jak mu tam było, a... jak on się nazywał...

Dreszcz zdrętwiał, wypowiadając to imię.

- Krwawym-dziewięć.

- Słyszałeś o nim?

- Byłem tam. W samym środku wydarzeń. Trzymałem tarczę na skraju kręgu.

- Znakomicie! Zatem możesz zapewnić kapkę historycznej poprawności.

- Kapkę?

- Odrobinę - mruknęła Vitari.

- Nie możesz po prostu tak powiedzieć?

Ale Cosca był zbyt zajęty zachwycaniem się nad swoim pomysłem.

- Powiew przemocy! Goście Ario będą zachwyceni! No i trudno o lepszą wymówkę, by trzymać broń na wierzchu.

Dreszcz był mniej entuzjastycznie nastawiony. Miały się przebrać za człowieka, który zabił jego brata i którego sam prawie zgładził. Chociaż, z drugiej strony, nie musiałyby brzdąkać na lutni.

- Co on mówi? - zagrzmiał Siwowłosa w języku Północy.

- My dwaj będziemy udawali, że toczymy pojedynek.

- Udawali?

- Oni tutaj ciągle coś udają. Zrobimy przedstawienie. Odegramy role. No wiesz, jak artyści.

- Z kręgu się nie żartuje. - Olbrzym rzeczywiście nie wyglądał na rozbawionego.

- Tutaj tak. Najpierw będziemy udawać, a potem być może walczyć z kimś innym na poważnie. Płacimy czterdzieści szalek, jeśli się uda.

- A więc zgoda. Najpierw udajemy, potem walczymy na

poważnie. Zrozumiałem. - Siwowłosy posłał Dreszczowi długie spojrzenie, po czym nieśpiesznie wyszedł.

- Następny! - ryknął Cosca. Do pomieszczenia wesoło wkroczył chudy mężczyzna w pomarańczowych trykotach i jaskrawoczerwonej kamizelce, z dużą torbą w dłoni. - Jak się nazywasz?

Mężczyzna elegancko się uklonił.

- Niezwykły Ronco we własnej osobie!

Stary najemnik uniósł brwi, a Dreszcz w jednej chwili stracił zapał.

- W czym się specjalizujesz, jako artysta i wojownik?

- To jedno i to samo, drodzy panowie! - Ronco uklonił się Cosce i Dreszczowi. - Pani! - Skinął głową w stronę Vitari. Powoli się odwrócił, dyskretnie sięgając do torby, po czym okręcił się na pięcie, przyłożył jedną dłoń do twarzy, nadął policzki...

Rozległ się szum i z ust Ronco wystrzelił jaskrawy płomień, na tyle blisko, że Dreszcz poczuł ukłucie gorąca na policzku. Zeskoczyłby z krzesła, gdyby zdążył, ale był jak skamieniały - siedział, mrugając i dysząc, podczas gdy jego oczy ponownie przyzwyczajały się do ciemności spowijających magazyn. Dwa płomyki uczepliły się stołu, jeden tuż obok drżących palców Coski. Po chwili cicho zgasły, zostawiając po sobie zapach, od którego Dreszczowi chciało się rzygać.

Niezwykły Ronco odchrząknął.

- Ach. To był odrobinę bardziej... żywiołowy pokaz niż się spodziewałem.

- Ale imponujący jak diabli! - Cosca odpędził dym sprzed twarzy. - Niewątpliwie efektowny i śmiercionośny. Jest pan przyjęty, stawka to czterdzieści szalek za noc.

Mężczyzna się rozpromienił.

- Cieszę się, że mogę pomóc! - Uklonił się jeszcze niżej. - Panowie! Pani! Pozwolicie, że się pożegnam!

- Jesteś pewien? - spytał Dreszcz, gdy Ronco odszedł w stronę drzwi. - To może być groźne, nie uważasz? Ogień w drewnianym budynku?

Cosca bacznie mu się przyjrzał.

- Myślałem, że wy, Północni, lubicie chaos i brudną grę. Jeśli sprawy potoczą się nie po naszej myśli i wrogowie zyskają przewagę, pożar może ją zniwelować.

- Co zrobić?

- Wyrównać szanse - wyjaśniła Vitari.

Nie był to najszcześniejszy dobór słów. Na wzgórzach Północy powiadano, że wyrównywanie szans to domena śmierci.

- Pożar w zamkniętym pomieszczeniu może zabić nas wszystkich, a jeśli nie zauważyłeś, temu draniowi brakuje precyzji. Ogień jest niebezpieczny.

- Ogień jest ładny. Przyjmujemy go.

- Ale czy on...

- A! - Cosca uciszył go gestem dłoni.

- Powinniśmy...

- A!

- Nie mów mi...

- A! Czy w twoim kraju ludzie nie wiedzą, co to znaczy? Murcatto kazała mi zwerbować artystów, czyli do mnie należy ostatnie słowo. Nie będzie głosowania. Skup się na przygotowaniu przedstawienia, które zachwyci gości Ario, a ja zajmę się planowaniem. Co ty na to?

- To gotowy przepis na katastrofę - odparł Dreszcz.

- Katastrofa! - Cosca się wyszczerzył. - Już nie mogę się doczekać. Kogo teraz zobaczymy?

Vitari zerknęła na listę, unosząc pomarańczową brew.

- Barti i Kummel: akrobacje, sztuczki z nożami i chodzenie po linie.

Cosca trącił Dreszcza łokciem w żebra.

- No proszę, chodzenie po linie. Czy to może się źle skończyć?

Rozjemcy

To był nietypowo słoneczny dzień w Mieście Mgieł. Powietrze było rześkie i zimne, niebo idealnie błękitne, a zebranie na rzecz pokoju zwołane przez króla Unii lada chwila miało się rozpocząć. Poszarpane linie dachów, brudne okna i drzwi pokryte obłazącą farbą zaroily się od gapiów, którzy niecierpliwie czekali na przybycie największych sław Styrii. Wielobarwny chaotyczny tłum płynął rynsztokami wzdłuż szerokiej alei w dole, napierając na szare linie ponurych żołnierzy, którzy mieli za zadanie utrzymać go w ryzach. Powietrze przenikał gwar tysięcy szeptów, ponad które od czasu do czasu wznosiły się okrzyki domokrażców, wyrzaskiwane ostrzeżenia oraz piski podniecenia. Przypominało to odgłosy armii przed bitwą.

Nerwowe oczekiwanie na rozlew krwi.

Nikt nie zwrócił uwagi na pięć postaci przycupniętych na dachu sypiącego się magazynu. Dreszcz patrzył w dół, przewiesiwszy potężne dłonie przez balustradę. Cosca swobodnie położył obutą stopę na popękany kamieniu i drapał się po szyi pokrytej strupami. Vitari opierała się o ścianę z założonymi rękami. Przyjazny stał z boku, wyprostowany jak struna, jakby zagubiony we własnym świecie. Fakt, że Morveer i jego asystentka udali się gdzieś w swoich sprawach, trochę uspokoił Monzę. Już podczas pierwszego spotkania z truciocielem nie potrafiła mu zaufać, a od czasu wydarzeń w Westporcie ufała mu o wiele mniej. A przecież to było jej wojsko. Z goryczą wciągnęła powietrze, polizała zęby, po czym splunęła na tłum w dole.

„Kiedy Bóg chce pokarać człowieka, zsyła mu głupich

przyjaciół i mądrych wrogów”, głosiły kantyckie pisma.

- Cała masa ludzi - zauważył Dreszcz, mrużąc oczy pod wpływem zimnego wiatru i blasku słońca. Zdążył przyzwyczać Monzę do takich błyskotliwych obserwacji. - Cała masa.

- Tak. - Przyjazny przebiegł wzrokiem po tłumie, bezgłośnie poruszając ustami, tak że Monza zaniepokoiła się, że próbuje ich policzyć.

- To jeszcze nic. - Cosca zbył połowę Sipani beztróskim machnięciem ręki. - Trzeba było widzieć zatłoczoną Osprię po moim zwycięstwie w Bitwie o Wyspy! Z nieba sypały się kwiaty! Na ulice wyległo co najmniej dwa razy więcej ludzi. Gdybyście tylko tam byli!

- Ja byłam - odparła Vitari. - I pamiętam, że nie pojawiło się nawet w połowie tyle ludzi co tutaj.

- Czy szczeranie na moje marzenia sprawia ci jakąś chorą satysfakcję?

- Owszem, troszeczkę. - Vitari uśmiechnęła się do Monzy, ale jej nie było do śmiechu.

Wspominała triumfalne powitanie, które zgotowano jej w Talinsie po upadku Caprile. Albo masakrze w Caprile, zależy kogo spytać. Pamiętała uśmiechniętego Bennę, który stał w strzemionach i słał pocałunki w stronę balkonów, podczas gdy ona z niezadowoleniem marszczyła brwi. Ludzie skandowali jej imię, chociaż Orso i Ario jechali w milczeniu tuż za nią. Już wtedy powinna się była domyślić...

- Są! - Cosca osłonił oczy dłonią, niebezpiecznie wychylając się za balustradę. - Chwała naszym wielkim przywódcom!

Gwar tłumu przybrał na sile, gdy procesja pojawiła się w zasięgu wzroku. Na przodzie jechało siedmiu jeźdźców ze sztandarami.

Trzymali lance z flagami pod identycznym kątem - rozmowy pokojowe wymuszały iluzję równości. Muszla Sipani. Biała wieża Osprii. Trzy pszczoły Visserine. Czarny krzyż Talinsu. Obok leniwie powiewały symbole Puranti, Affoi oraz Nicante. Dalej jechał mężczyzna w złoczonej zbroi, z czarną lancą, z której zwisało złociste słońce Unii.

Sotorius, kanclerz Sipani, pojawił się jako pierwszy z wielkich i szlchetnych. Albo okrutnych i złych, zależy kogo spytać. Był bardzo stary, miał rzadkie siwe włosy oraz brodę i ugiął się pod ciężarem ciężkiego urzędowego łańcucha, który założył jeszcze zanim Monza przyszła na świat. Kuśtykał o lasce, podtrzymywany przez najstarszego ze swoich wielu synów, mającego zapewne ponad sześćdziesiąt lat. Za nimi szło kilka kolumn najznakomitszych obywateli Sipani. Słońce błyskało na klejnotach i wypolerowanej skórze, na jaskrawych jedwabiach i ubraniach utkanych ze złota.

- Kanclerz Sotorius - wyjaśnił Dreszczowi Cosca. - Zgodnie z tradycją, gospodarz idzie pieszo. A więc jeszcze żyje, stary drań.

- Ale wygląda, jakby przydał mu się odpoczynek - mruknęła Monza. - Niech ktoś mu przyniesie trumnę.

- Chyba jeszcze nie. Może jest na wpół ślepy, ale wciąż widzi więcej, niż inni. Od dawna jest mistrzem kompromisu. Od dwóch dekad udaje mu się zachowywać neutralność Sipani. Nawet podczas Krwawych Lat. Odkąd rozkwaśiłem mu nos w Bitwie o Wyspy!

Vitari parsknęła.

- A jednak trafiłeś do niego na garnuszek, gdy poróżniłeś się z Sefeliną z Osprii.

- Niby dlaczego nie miałbym tego zrobić? Żołdacy nie mogą być wybredni, gdy chodzi o pracodawców. W tym fachu trzeba dmuchać z wiatrem. Lojalność u najemnika jest jak zbroja u pływaka.

Monza posłała mu ostre spojrzenie, zastanawiając się, czy była to uwaga skierowana do niej, lecz Cosca paplał dalej, jakby jego słowa nie miały większego znaczenia.

- Ale ze starym Sotoriusem nigdy nie było mi po drodze. To było nieszczęśliwe małżeństwo z konieczności i zaraz po wywalczeniu zwycięstwa obie strony chętnie przystały na rozwód. Pokojowo nastawieni ludzie nie potrzebują najemników, a dla starego kanclerza Sipani pokój stał się receptą na wspaniałą karierę.

Vitari z pogardą popatrzyła na zamożnych obywateli przechodzących w dole.

- Wygląda na to, że teraz zamierza go eksportować.

Monza pokręciła głową.

- Orso nigdy na to nie przystanie.

Następnie pojawili się przywódcy Ligi Ośmiu. Zaciekli wrogowie Orso, czyli także Monzy, przynajmniej przed jej upadkiem ze szczytu góry. Towarzyszył im regiment pieczeniarzy odzianych w liberie w stu gryzących się ze sobą kolorach. Księżę Rogont jechał na przodzie na wielkim czarnym rumaku, mocno dzierżąc wodze jedną dłonią, od czasu do czasu kłaniając się tłumom, gdy wykrzykiwano jego imię. Był tutaj popularny i często go wołano, więc jego głowa poruszała się jak u indyka. Obok Rogonta jechał Salier, którego jakimś cudem posadzono w siodle na grzbiecie krępego deresza. Z połączanego kołnierza munduru wystawały różowe policzki, które poruszały się w rytm kroków utrudzonego wierzchowca.

- Co to za grubas? - spytał Dreszcz.

- Salier, wielki księżę Visserine.

Vitari zachichotała.

- Jeszcze przez miesiąc albo dwa. W lecie stracił wszystkich żołnierzy. - Monza i Wierny Carpi rozbili ich podczas szarży na Wysokim Brzegu. - Jesienią zapasy żywności. - Monza beztrąsko spaliła pola wokół miejskich murów i wypędziła rolników. - A teraz szybko traci sprzymierzeńców. - Monza pozostawiła gnijącą głowę księcia Cantaina na murach Borletty. - Nawet stąd widać jak się poci, stary drań.

- Szkoda - rzekł Cosca. - Zawsze go lubiłem. Żałujcie, że nie widzieliście galerii w jego pałacu. Najwspanialsza kolekcja dzieł sztuki na świecie, a przynajmniej on tak twierdzi. Prawdziwy koneser. Kiedyś serwował swoim gościom najlepsze dania w Styrii.

- To widać - odparła Monza.

- Ciekawe, jak go posadzili w siodle.

- Użyli wyciągu - odburknęła Vitari.

Monza parsknęła.

- Albo wykopali rów i wprowadzili pod niego konia.
- A ten drugi? - spytał Dreszcz.
- Rogont, wielki księżę Osprii.
- Tak też wygląda.

Rzeczywiście. Wysoki, barczysty, o przystojnej twarzy i gęstych kręconych lokach.

- Wygląda, ale nic poza tym - ponownie mruknęła Monza.

- Siostrzeniec mojej byłej pracodawczyni, dziś już na szczęście zmarłej, księżnej Sefeliny. - Cosca podrapał sobie szyję do krwi. - Nazywają go Księciem Roztropności, Hrabią Ostrożności, Królem Zwłoki. To znakomity generał, ale nie lubi ryzyka.

- Nie byłabym wobec niego tak przychylna - odparła Monza.

- Znam niewielu ludzi mniej przychylnych od ciebie.

- Nie lubi walczyć.

- Jak każdy dobry generał.

- Ale każdy dobry generał od czasu do czasu musi to robić.

Podczas Krwawych Lat Rogont był wrogiem Orso, ale nigdy nie doszło między nimi do niczego poza drobnymi potyczkami. To największy mistrz uników w całej Styrii.

- Odwrót to najtrudniejszy manewr. Może po prostu jeszcze nie przyszła dla niego właściwa chwila.

Dreszcz westchnął.

- Wszyscy czekamy na swoją chwilę.

- Zmarnował już wszystkie okazje - odrzekła Monza. - Kiedy Visserine upadnie, droga do Puranti stanie otworem, a potem już tylko Ospria i korona dla Orso. Dostyc zwłoki. Minął czas ostrożności.

Rogont i Salier przejechali pod nimi. Dwaj mężczyźni, którzy wspólnie z uczciwym, honorowym, nieżyjącym księciem Cantainem, stworzyli Ligę Ośmiu, by bronić Styrii przed niezaspokojoną ambicją księcia Orso. Bądź udaremniać jego uprawnione starania i walczyć między sobą o ochłapy, zależy kogo spytać. Cosca patrzył na nich z błakającym mu się na ustach uśmiechem.

- Jeśli pożyczysz wystarczająco długo, wszystko obróci się w

ruinę na twoich oczach. Z Caprile pozostała tylko resztką dawnej świetności.

Vitari wyszczerzyła się do Monzy.

- To twoje dzieło, prawda?

- Musselia haniebnie skapitulowała przed Orso pomimo nieprzeniknionych murów.

Vitari uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- To chyba też twoja sprawka?

- Borletta upadła - lamentował Cosca. - Śmiały książe Cantain zginął.

- Tak - warknęła Monza, nim Vitari zdążyła otworzyć usta.

- Niezwyciężona Liga Ośmiu skurczyła się do pięciu osób, a wkrótce pozostaną tylko cztery, z których trzy nie pałają entuzjazmem do całej idei.

Monza usłyszała szept Przyjaznego:

- Osiem... pięć... cztery... trzy...

Wspomniana trójka właśnie się pojawiła, a za nimi podążały lśniące tłumy obywateli, jak ślady na wodzie unoszące się za trzema kaczkami. Młodszy współnicy w Lidze. Lirozio, książe Puranti, Pyszniący się kunsztowną zbroją i jeszcze bardziej kunsztownymi wąsami. Młoda hrabina Cotarda z Affoi, chorobliwie blada dziewczyna ubrana w jasnożółte jedwabie, które niekorzystnie podkreślały jej karnację. Tuż za nią jechali jej wujek oraz pierwszy doradca, a zarazem pierwszy kochanek, jak powiadali niektórzy. Na końcu jechał Patine, Pierwszy Obywatel Nicante, z rozpuszczonymi włosami, ubrany we włosiennicę przewiazaną sznurem z supłami, by pokazać, że nie jest lepszy od najbiedniejszych chłopów, nad którymi sprawuje władzę. Plotkowano, że nosi jedwabną bieliznę i sypia na złotym łożu, w którym nigdy nie brakuje mu towarzystwa. Oto pokora władzy.

Cosca już wypatrywał kolejnych uczestników procesji sław.

- Na Boginie Losu. Kim są ci młodzi bogowie?

Bez wątpienia była to cudowna para. Jechali na identycznych siwkach, ze swobodną pewnością siebie, odziani w dopasowane biało-złote stroje. Śnieżnobiała suknia kobiety przywierała do

jej niemożliwie wysokiej i szczupłej sylwetki, a następnie rozszerzała się ku tyłowi, obszyta połyskującą nitką. Połączany napierśnik mężczyzny lśnił jak lustro, a jego głowę zdobiła prosta korona z pojedynczym klejnotem, tak dużym, że Monza niemal widziała jego ścianki migoczące w odległości stu kroków.

- Prawdziwie po królewsku, kurwa ich mać - zakpiła.

- Niemal bije od nich dostojęstwo - dodał Cosca. - Ukląkłbym, gdyby moje kolana to wytrzymały.

- Jego Wysokość, król Unii. - Głos Vitari ociekał ironią. - Oraz, oczywiście, jego królowa.

- Terez, Klejnot Talinsu. Jasno lśni, nieprawdaż?

- Córka księcia Orso - wykrztusiła przez zaciśnięte zęby Monza. - Siostra Ario i Foscara. Królowa Unii, a do tego prawdziwie królewska cipa.

Mimo że był cudzoziemcem na styryjskiej ziemi, a ambicje Unii traktowano tutaj z największą podejrzliwością, i mimo że jego żoną była córka Orso, tłum głośnieji wiwatował na cześć zagranicznego króla niż własnego starego kanclerza.

„Ludzie wolą przywódcę, który sprawia wrażenie wielkiego, od tego, który jest taki w istocie”, pisał Bialoveld.

- Trudno go uznać za neutralnego mediatora. - Cosca z namysłem nadął policzki. - Jest nierozzerwalnie związany z Orso i jego stadem. Jako mąż, brat i zięć Talinsu.

- Nie wątpię, że nie zawraca sobie głowy tak przyziemnymi sprawami. - Monza skrzywiła się, patrząc na zbliżającą się parę królewską.

Wyglądali, jakby wyjechali ze stronic barwnej opowieści i tylko przez przypadek zbłądzili do tego nudnego, oślizgłego miasta. Do pełni szczęścia brakowało tylko, by ich koniom wyrosły skrzydła. Dziwne, że ktoś ich nie przykleił. Terez miała na szyi imponujący naszyjnik z olbrzymich kamieni, który tak jasno lśnił w słońcu, że od patrzenia bolały oczy.

Vitari pokręciła głową.

- Ile klejnotów można zawiesić na jednej kobiecie?

- Niewiele więcej, jeśli nie chce się suki pogrzebać - warknęła

Monza. W porównaniu z biżuterią królowej rubin, który otrzymała od Benny, wyglądał jak dziecięce świecidełko.

- Zazdrość to straszliwa rzecz, moje panie. - Cosca trącił Przyjaznego łokciem w żebra. - Mnie się podoba, co, przyjacielu? - Skazaniec nic nie odpowiedział, więc Cosca spróbował szczęścia z Dreszczem. - Co?

Północny zerknął na Monzę.

- Nie wiem o co tyle hałasu.

- No, no, ładna z was para! Nigdy nie spotkałem takich nieczułych wojowników. Może najlepsze lata mam już za sobą, ale nie jestem takim ponurakiem jak wy. Widok zakochanych wciąż porusza moje serce.

Monza wątpiła, by królewską parę łączyła prawdziwa namiętność, mimo że obojgu uśmiech nie schodził z ust.

- Kilka lat temu, kiedy Terez była królową tylko w swoich marzeniach, Benna założył się ze mną, że uda mu się zaciągnąć ją do łóżka.

Cosca uniósł brew.

- Z tego, co pamiętam, twój brat zawsze lubił jadać chleb z wielu pieców. Jak mu poszło?

- Okazało się, że nie był w jej typie. - Okazało się, że Monza interesowała Terez znacznie bardziej niż Benna.

Za parą królewską podążał orszak wspanialszy niż za całą Ligą Ośmiu. Co najmniej dwadzieścia dam dworu, każda obwieszona klejnotami. Grupa władców z Midderlandu, Anglandu i Stariklandu, ubranych w ciężkie futra i ze złotymi łańcuchami na szyjach. Za nimi żołnierze w zbrojach przyprószonych kurzem wzbijanym przez końskie kopyta. Każdy krztusił się pyłem wzbijanym przez lepszych od siebie. Brudna zasada władzy.

- Król Unii, co? - rzekł rozbawiony Dreszcz, patrząc za przechodzącą parą królewską. - To ma być najpotężniejszy człowiek w całym Kręgu Świata?

Vitari parsknęła.

- Najpotężniejszy człowiek to ten, który stoi za jego plecami. Każdy przed kimś klęka. Nie znasz się na polityce, prawda?

- Na czym?

- Na kłamstwach. To Kaleka rządzi Unią. Ten chłopak obwieszony złotem to tylko jego maska.

Cosca westchnął.

- Gdybyście wyglądali jak Kaleka, też nosilibyście maskę...

Wiwaty podążyły za królem i królową, pozostawiając ponurą ciszę. Zrobiło się tak cicho, że Monza usłyszała grzechot kół pozłacanego powozu jadącego aleją. Po jego obu stronach biegły równe kolumny złożone z kilkudziesięciu posępnych strażników wyposażonych w broń mniej błyszczącą od tej unijnej, ale zahartowaną w boju. Za nimi podążał tłumek eleganckich i całkowicie bezużytecznych szlachciców.

Monza zacisnęła prawą pięść, tak mocno, że przesunęły się powykrzywiane kości. Ból przeszył knykcie i dłoń, po czym popęzł w górę ramienia, a na jej ustach pojawił się ponury uśmiech.

- Jada - powiedział Cosca.

Ario siedział po prawej, rozciągnięty na poduszkach, delikatnie kołysząc się w rytm ruchów powozu. Na twarzy miał wymalowany zwyczajowy grymas leniwej pogardy. Obok niego siedział blady i wyprostowany Foscar, który rozglądał się, usłyszawszy nawet najcichszy dźwięk. Zgrabne połączenie myjącego się kocura z przyjacielskim szczeniakiem.

Gobba był nikiem. Mauthis był tylko bankierem. Orso pewnie nawet nie zauważył, że zastąpił ich ktoś inny. Ale Ario i Foscar byli jego synami. Ciałem z jego ciała. Jego przyszłością. Gdyby udało jej się ich zabić, byłby to niemal równie bolesny cios jak wbicie ostrza w brzuch samego księcia. Uśmiechnęła się szerzej, wyobrażając sobie jego twarz, gdy przynoszą mu wieści.

„Wasza Ekscelencjo! Twój synowie... nie żyją...”.

Gwałtowny wrzask przerwał ciszę.

- Mordercy! Szumowiny! Bękarty Orso! - Ktoś wymachiwał rękami w tłumie, próbując przedostać się przez kordon żołnierzy. - Jesteście przekleństwem Styrii!

Nad tłumem przebiegła fala wściekłego szmeru. Sotorius uznawał się za neutralnego, ale obywatele Sipani nie przepadali

za Orso ani jego potomstwem. Wiedzieli, że kiedy rozbije Ligę Ośmiu, oni będą następni. Niektórzy ludzie nigdy nie mają dosyć.

Dwóch szlachciców na koniach dobyło ostrzy. Na skraju tłumu zaślniła stal. Foscari niemal stanął w powozie, wpatrując się w gęstniejącą ludzką ciżbę. Ario pociągnął go w dół i ponownie opadł na siedzenie, lekceważąco zerkając na swoje paznokcie.

Zamieszanie zostało opanowane. Powóz odjechał, szlachcice ponownie ustawili się w formacji, a żołnierze ubrani w liberie Talinsu pobiegli za nimi. Minęli dach magazynu, po czym oddalili się aleją.

- No i koniec przedstawienia. - Cosca westchnął, odpychając się od balustrady i ruszając w stronę drzwi prowadzących na schody.

- Jak dla mnie mogłoby trwać bez końca - zakpiła Vitari, odwracając się od ulicy.

- Tysiąc osiemset dwanaście - powiedział Przyjazny.

Monza zmierzyła go wzrokiem.

- Czego?

- Ludzi. Na paradzie.

- I co z tego?

- Sto pięć klejnotów w naszym królowej.

- Ktoś cię, kurwa, pytał?

- Nie. - Przyjazny zszedł po schodach w ślad za pozostałymi, Monza została sama, marszcząc brwi pod wpływem przenikliwego wiatru, patrząc wzdłuż alei, gdzie tłum zaczynał się rozpraszać, cały czas boleśnie zaciskając pięść i zęby.

- Monzo.

Więc jednak nie była sama. Kiedy się odwróciła, Dreszcz patrzył jej w oczy. Stał bliżej niżby chciała. Mówił z trudem, jakby nie mógł znaleźć właściwych słów.

- Wygląda na to, że my nie... Sam nie wiem. Od czasu Westportu... po prostu chciałem spytać...

- Lepiej nie. - Ominęła go i odeszła.

Przepis na kłopoty

Nicomo Cosca zamknął oczy, oblizał uśmiechnięte usta, niecierpliwie wciągnął powietrze nosem i uniósł butelkę. Pić, pić, pić. Znajoma obietnica, gdy butelka stuknęła o zęby, chłodna wilgoć rozlewająca się po języku, kojący ruch w przełyku... gdyby tylko to nie była woda.

Wypelzł z przepoconej pościeli i w lepiącej się koszuli nocnej zszedł do kuchni, by poszukać wina. Albo innych starych szczyn, którymi można się upić. Czegoś, co sprawi, że jego zakurzona sypialnia przestanie się kołysać jak powóz, który zjechał z drogi, uciekną mrówki, pełzające mu po skórze, oraz zniknie pulsujący ból głowy, niezależnie od ceny. Srać na nowe życie i na zemstę Murcatto.

Miał nadzieję, że wszyscy będą w łózkach, więc początkowo zadrzał z frustracji, gdy zobaczył Przyjaznego, który stał przy kuchni i gotował owsiankę na śniadanie. Jednakże po chwili poczuł dziwną ulgę, że trafił na skazańca. Aura spokoju, którą emanował Przyjazny, miała w sobie coś niemal magicznego. Mężczyzna był tak pewny siebie, że mógł milczeć i nie dbać o to, co myślą inni. To wystarczyło, by Cosca też nieco się uspokoił. Ale nie uciszył. Mówił niemal bez przerwy, odkąd pierwsze światło poranka zaczęło się przesączać przez szpary w okiennicach.

- ...Do diabła, po co ja to robię, Przyjazny? Walka w moim wieku? Walka. Nigdy nie lubiłem tej części swojego fachu. I to po tej samej stronie co ten napuszony szczur Morveer! Truciciel? Co za parszywy sposób na zabicie człowieka. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że łamię żołnierską pierwszą zasadę.

Przyjazny lekko uniósł brew, powoli mieszając owsiankę. Cosca podejrzewał, że skazaniec doskonale wie, po co Nicomo tutaj przyszedł, ale nawet jeśli tak było, miał na tyle dużo wyczucia, by o tym nie wspominać. Skazańcy zazwyczaj są niezwykle grzeczni. W więzieniu złe maniere mogą doprowadzić do śmierci.

- Pierwszą? - spytał.

- Nigdy nie walcz po słabszej ze stron. Całym sercem nienawidzę księcia Orso, ale istnieje olbrzymia i potencjalnie śmiertelna różnica między odczuwaniem nienawiści a wprowadzeniem jej w czyn. - Delikatnie stuknął pięścią o blat, wprawiając makietę Domu Uciech Cardottiego w lekkie drżenie. - Zwłaszcza w imieniu kobiety, która już raz mnie zdradziła...

Niczym gołąb pocztowy, którego nieodmiennie ciągnie do ukochanej, a zarazem znienawidzonej klatki, umysł Coski wciąż na nowo pokonywał dziewięć zmarnowanych lat i wracał do Afieri. Przypominał sobie konie pędzące z hukiem w dół długiego zbocza na tle rozbłysków słońca, jak robił już wiele razy w setce śmierdzących pokoi, tanich pensjonatów i zrujnowanych brudnych tawern w całym Kręgu Świata. Pięknie udają, pomyślał, widząc zbliżającą się kawalerię, uśmiechając się przez pijacką mgiełkę, zadowolony, że tak sprawnie im to wyszło. Przypominał sobie lodowatą rozpacz, gdy konni nie zwolnili. Gwałtowne przerażenie, gdy runęli na jego niedbale ustawione oddziały. Mieszankę wściekłości, beznadziei, odrazy i pijackich zawrotów głowy, gdy wdrapał się na wierzchowca, by uciec, porzucając resztki swojej rozbitej brygady oraz strzępy reputacji. Od tamtej pory ta mieszanka wściekłości, beznadziei, odrazy i pijackich zawrotów głowy towarzyszyła mu jak cień. Skrzywił się, patrząc na zniekształcone odbicie swojej zmarnowanej twarzy w pękatej butli z wodą.

- Nasza chwała blednie - wyszeptał - i zmienia się w nudne anegdoty, równie nieprzekonujące jak kłamstwa innych drani. Natomiast porażki, rozczarowania i wyrzuty sumienia cały czas pozostają świeże. Uśmiech ładnej dziewczyny, który zlekceważyliśmy. Wina, którą zrzuciliśmy na kogoś innego.

Anonimowe ramie, które potrafiło nas w tłumie i napęliło tłumioną złością na kilka dni albo miesięcy. Na zawsze. - Skrzywił się. - Właśnie z tego zbudowana jest nasza przeszłość. Takie paskudne chwile czynią nas tym, kim jesteśmy.

Przyjazny milczał, ale to dopingowało Coscę bardziej niż zachęty.

- A z największą goryczą wspominam zdradę Monzcarro Murcatto. Pewnie powinienem się na niej zemścić, zamiast pomagać jej w realizacji własnego odwetu. Powinienem zabić ją, Andiche'a, Sesarię i Vietusa, a także wszystkich pozostałych fałszywych przyjaciół z Tysiąca Ostrzy. Więc co tutaj robię, do diabła?

- Gadasz.

- Jak zwykle. Zawsze miałem kłopoty z właściwą oceną sytuacji, gdy w grę wchodziły kobiety. - Nagle parsknął śmiechem. - Prawdę mówiąc, miałem takie kłopoty w każdym przypadku. Dlatego moje życie jest tak emocjonujące. - Postawił butelkę na stole. - Dostyc tej filozofii dla ubogich! Tak naprawdę pragnę otrzymać szansę, chcę się zmienić i, co najważniejsze, rozpaczliwie potrzebuję pieniędzy. - Wstał. - Pierdolić przeszłość. Jestem Nicomo Cosca, do diabła! Kpię z niebezpieczeństwa! - Na chwilę umilkł. - A teraz wracam do łóżka. Serdecznie dziękuję, paniczu Przyjazny, jeszcze z nikim tak dobrze mi się nie rozmawiało.

Skazaniec na moment oderwał wzrok od owsianki.

- Prawie się nie odzywałem.

- No właśnie.

Poranny posiłek Morveera stał na niewielkim stoliku w jego niewielkiej sypialni, która kiedyś mogła pełnić funkcję składziku na piętrze opuszczonego magazynu w obskurnej dzielnicy Sipani, miasta, którego zawsze nienawidził. Śniadanie składało się z niekształtnej miski z zimną owsianką,

poobijanego kubka z parującą herbatą oraz wyszczerbionej szklanki kwaśnej letniej wody. Obok stało w równym rzędzie siedemnaście fiolek, buteleczek, słoików i puszek wypełnionych pastami, płynami i proszkami w rozmaitych kolorach, od przejrzystych i białych, przez żółtobrazowe, po soczyście błękitny olejek ze skorpiona.

Morveer niechętnie napełnił usta papką. Żując ją bez entuzjazmu, odkorkował pierwsze cztery pojemniki, wyjął z opakowania lśniąca igłę, zanurzył ją w pierwszym naczyniu, po czym ukłuł się w wierzch dłoni. Tak samo postąpił w przypadku drugiego pojemnika, a następnie trzeciego i czwartego, po czym z niesmakiem odrzucił igłę. Skrzywił się, obserwując malutki koralik krwi, który pojawił się w miejscu jednego z ukłuć. Nabrał kolejną łyżkę owsianki i usiadł ze zwieszoną głową, walcząc z falą zawrotów głowy.

- Przekłeta laryncja! - A jednak wolał znosić jej niewielką dawkę i odrobinę nieprzyjemności każdego ranka niż ryzykować, że pewnego dnia duża dawka otrzymana w nieszczęśliwych okolicznościach rozsadzi mu wszystkie naczynia krwionośne w mózgu.

Wmusił w siebie kolejną łyżkę słonej brei, otworzył następną puszkę, wziął szczyptę korzenia gorczycy, zatkał jedno nozdrze i wciągnął proszek drugim. Zadrżał pod wpływem palącej substancji, po czym polizał zęby, czując w ustach nieprzyjemne odrętwienie. Wypił łyk herbaty i niemal ją zwrócił, zaskoczony tym, jak jest gorąca.

- Przekłety korzeń gorczycy! - To, że kilkakrotnie użył go z godną podziwu skutecznością przeciwko swoim celom, wcale nie sprawiło, że spożywał to świństwo z większą przyjemnością. Wręcz przeciwnie. Przeplukał usta wodą, na próżno usiłując pozbyć się ostrego smaku, doskonale wiedząc, że będzie go czuł jeszcze przez wiele godzin.

Ustawił w rzędzie, a następnie otworzył kolejne sześć pojemników. Mógłby stopniowo połykać ich zawartość, ale spożywał takie śniadania już od lat i wiedział, że lepiej uporać się ze wszystkimi substancjami jednocześnie. Dlatego

wstrzyknął, wrzucił i wlał odpowiednie dawki do szklanki z wodą, dokładnie wymieszał łyżką, zebrał się w sobie, po czym wychylił całość trzema nieprzyjemnymi łykami.

Odstawił szklankę, otarł łzy z oczu i głośno beknął. Przez chwilę czuł mdłości, ale szybko ustąpiły. W końcu robił to każdego ranka od dwudziestu lat. Jeśli jeszcze się nie przyzwyczaił...

Skoczył do okna, pchnął okiennice i w ostatniej chwili wystawił głowę na zewnątrz, rozpryskując swoje skromne śniadanie na bruku w cuchnącej uliczce za magazynem. Jęknął z goryczą, ciężko usiadł, wytarł piekące gluty z nosa, po czym chwiejnie ruszył w stronę miski do mycia. Nabrał trochę wody i roztarł ją na twarzy, patrząc w lustro na krople skapujące mu z brwi. Najgorsze, że teraz będzie musiał wtłoczyć do zbuntowanego żołądka kolejną porcję owsianki. To jedna z wielu nieoczekiwanych ofiar, które musi ponosić, by doskonalić się w swoim fachu.

Dzieci w sierocińcu nigdy nie doceniały wyjątkowych talentów Morveera. Podobnie jak jego mistrz, niesławny Moumah-yin-Bek. Nie doceniała go żona. Nie doceniali liczni uczniowie. A teraz wygląda na to, że również jego obecny pracodawca nie docenia jego bezinteresownych, a wręcz - tak, to nie przesada - heroicznych starań. Większym szacunkiem cieszy się ten stary rozpustny opoj Nicomo Cosca.

- Jestem zgubiony - szepnął z rozgoryczeniem. - Skazany na wieczne dawanie i nieotrzymywanie niczego w zamian.

Rozległo się pukanie do drzwi i głos Dzwonek.

- Gotowy?

- Za chwilę.

- Wszyscy spotykamy się na dole. Musimy pójść do Cardottiego, żeby przygotować grunt. No wiesz, liczy się przezorność. - Wydawało się, że mówi z pełnymi ustami. Morveer zdziwiłby się, gdyby było inaczej.

- Dogonię was!

Usłyszał jej oddalające się kroki. A jednak jest ktoś, kto podziwia jego umiejętności, obdarza go należnym szacunkiem i

przerasta jego wysokie oczekiwania. Zdał sobie sprawę, że coraz bardziej na niej polega, nie tylko zawodowo, ale i emocjonalnie. Być może bardziej niż nakazuje ostrożność.

Jednakże nawet człowiek o tak niezwykłych talentach nie może się wszystkim zajmować samodzielnie. Westchnął przeciągle i odwrócił się od lustra.

Artyści - albo zabójcy, ponieważ byli jednym i drugim - stali w rozsypce na terenie całego magazynu. Było ich dwadzieścioro pięcioro, jeśli Przyjazny brał pod uwagę siebie. Trzy gurkijskie tancerki siedziały na podłodze ze skrzyżowanymi nogami. Dwie zsunęły ozdobne kocie maski na natłuszczone czarne włosy. Trzecia wciąż miała maskę na twarzy, a jej ciemne oczy lśniły za skośnymi otworami. Ostrożnie pocierała ostrze zakrzywionego sztyletu. Członkowie zespołu ubrali się w eleganckie czarne kamizele oraz trykoty w szaro-żółte paski, a na twarzach mieli posrebrzane maski w kształcie nut. Ćwiczyli skoczny utwór, który udało im się nie najgorzej opanować.

Dreszcz miał na sobie poplamioną skórzaną tunikę obszytą na ramionach wytartym futrem. Na jedną rękę założył dużą okrągłą drewnianą tarczę, a w drugiej trzymał ciężki miecz. Naprzeciwko stał Siwowłoso w żelaznej masce zakrywającej twarz. W rękach trzymał potężną pałkę nabijaną żelaznymi ćwiekami. Dreszcz mówił szybko w mowie Północy, pokazując, w jaki sposób zamierza wymachiwać mieczem i jak Siwowłoso ma reagować. Wojownicy przygotowywali wieczorny pokaz.

Akrobaci Barti i Kummel, ubrani w obcisłe kraciaste stroje błaznów, kłócili się w języku Unii, a jeden z nich energicznie wymachiwał krótkim ostrzem. Niezwykły Ronco obserwował otoczenie zza maski pomalowanej w czerwono-pomarańczowo-żółty wzór przypominający tańczące płomienie. Za nim troje zonglerów posyłało w powietrze kaskadę lśniących noży, które błyskały i migotały w półmroku. Pozostali artyści stali oparci o

skrzynie, siedzieli ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, kręcili się po magazynie, ostrzyli broń, poprawiali kostiumy.

Przyjazny ledwie rozpoznał Coscę, który miał na sobie aksamitny płaszcz zdobiony srebrnymi haftami oraz wysoki kapelusz i dzierzył w dłoni długą czarną laskę zakończoną ciężką złotą gałką. Wysypkę na szyi zamaskował pudrem, nawoskował i podkręcił siwiejące wąsy, wypolerował buty do połysku, ozdobił maskę lśniącymi okruchami lustra, ale jego oczy lśniły jeszcze jaśniej.

Swobodnie podszedł do Przyjaznego, przywołując na usta pogardliwy uśmiech kierownika cyrku.

- Przyjacielu, mam nadzieję, że wszystko w porządku. Jeszcze raz dziękuję, że rano zechciałeś mnie wysłuchać.

Przyjazny pokiwał głową, powstrzymując uśmiech. W dobrym nastroju Coski było coś niemal magicznego. Najemnik był tak pewny siebie, że mógł mówić bez końca, wiedząc, że zainteresuje słuchaczy, rozbawi ich i zostanie zrozumiany. To sprawiało, że Przyjazny niemal miał ochotę coś powiedzieć.

Cosca coś mu podał. Maskę w kształcie dwóch kości do gry z otworami na oczy w miejscu pojedynczych oczek.

- Mam nadzieję, że zgodzisz się dziś wieczorem zaopiekować stołem do kości.

Przyjazny wziął maskę drżącą dłonią.

- Bardzo chętnie.

Ich szalona drużyna szła krętymi ulicami wśród rozwiewających się porannych mgieł, szarymi alejami, po wąskich mostach, przez zamglone, gnijące ogrody i wilgotne tunele, a ich kroki odbijały się głuchym echem w mroku. Zdradziecka woda czaiła się za każdym rogiem, a Dreszcz marszczył nos pod wpływem słonego smrodu kanałów.

Połowa mieszkańców była zamaskowana i poprzebierana; wyglądało na to, że wszyscy mają coś do świętowania. Ludzie,

których nie zaproszono na wielki bal ku czci królewskich gości, zaplanowali własne przyjęcia, a wielu zaczęło zabawę wcześniej. Niektórzy nie szaleli z kostiumami - mieli na sobie świąteczne płaszcze i suknie oraz proste maski zasłaniające oczy. Inni poszli na całość - włożyli obszerne spodnie, buty na wysokich obcasach oraz złote i srebrne maski zatrzymane we wściekłych zwierzęcych grymasach lub szaleńczych uśmiechach. Przypominały Dreszczowi twarz Krwawego-dziwięć podczas walki w kręgu, diabelski uśmiech zbryzgany krwią. Z pewnością go nie uspokajały. Nie pomagało mu także to, że był ubrany w futro oraz skóry jak na Północy i miał ciężki miecz oraz tarczę, przypominające te, których kiedyś używał. Mijał go tłum ludzi pokrytych żółtymi piórami, w maskach z wielkimi dziobami, skrzeczących jak stado oszalałych mew. Oni także wyprowadzali go z równowagi.

Daleko we mgle kryły się jeszcze dziwniejsze kształty, ledwie widoczne po drugiej stronie skrzyżowań i mglistych placów, a ich pohukiwanie i świergotanie rozbrzmiewało w zadrzewionych uliczkach. Potwory i olbrzymy. Dreszcza zaswędziały dłonie, gdy przypomniał sobie, jak Fenris Groźny wyłonił się z mgły pod Dunbrecem, przynosząc śmierć. Oczywiście to byli tylko żartownisie na szczudłach, ale gdy człowiek zakłada maskę, dzieje się coś dziwnego. Razem z wyglądem zmienia się jego zachowanie. Czasami przestaje przypominać człowieka i staje się czymś innym.

Dreszczowi by się to nie podobało, nawet gdyby nie planowali morderstwa. Miał wrażenie, że miasto stoi na granicy piekła, a diabły wylewają się na ulice, mieszając się ze zwykłymi ludźmi, i nikogo to nie dziwi. Musiał sobie przypominać, że ze wszystkich dziwnych i pozornie niebezpiecznych ludzi, którzy przemierzają miasto, on i jego towarzysze są najdziwniejsi i najniebezpieczniejsi. Jeśli po ulicach rzeczywiście chodzą diabły, to on jest jednym z najgorszych. Nie była to pocieszająca myśl.

- Tędy, przyjaciele!

Cosca poprowadził ich przez plac, na którym rosły cztery

wilgotne, bezlistne drzewa, ku budynkowi wyłaniającemu się z ciemności - dużemu drewnianemu budynkowi z trzech stron otaczającemu dziedziniec. Temu samemu, którego makieta od kilku dni stała na kuchennym stole w magazynie. Przy bramie z żelaznych prętów stali czterej dobrze uzbrojeni, posępni strażnicy. Cosca zbliżył się do nich i strzelił obcasami.

- Dzień dobry, panowie!

- U Cardottiego dzisiaj zamknięte - odwarknął najbliższej stojący strażnik. - Wieczorem też.

- Nas to nie dotyczy. - Cosca wskazał laską barwną grupę. - Jesteśmy artystami wybranymi i wynajętymi przez współpracowniczkę księcia Ario, panią Carlot dan Eider, dla uświetnienia wieczornego przyjęcia. Szybko, otwierajcie bramę, czeka nas wiele przygotowań. Wchodzimy, moje dzieci, bez zbędnej zwłoki! Ludzie muszą mieć rozrywkę!

Dziedziniec był większy niż Dreszcz się spodziewał i bardzo rozczarowujący jak na najlepszy burdel na świecie. Połączone omszałego bruku, dwa rozchwiane stoły i krzesła pomalowane łuszczącą się złotą farbą. Z okien na górze wywieszono sznury, na których leniwie łopotały suszące się prześcieradła. W jednym rogu stała nierówna sterta beczek z winem. Zgarbiony staruszek zamiatał bruk zużytą miotłą, gruba kobieta energicznie prała bieliznę na tarze. Przy stole siedziały trzy znudzone chude kobiety. Jedna trzymała otwartą książkę. Druga piłowała ze skupieniem paznokcie. Ostatnia obserwowała wchodzących artystów, wydmuchując dym z małej glinianej fajeczki chagga.

Cosca westchnął.

- Nie ma niczego bardziej przyziemnego i mniej podniecającego niż burdel w czasie dnia, co?

- Na to wygląda. - Dreszcz patrzył, jak żonglerzy rozstawiają się w rogu dziedzińca i zaczynają rozpakowywać sprzęt, w skład którego wchodziły lśniące noże.

- Zawsze uważałem, że życie dziwki musi być udane. Ma się dużo dni wolnych, a gdy w końcu trzeba się zabrać do pracy, przeważnie robi się to na leżąco.

- Nie ma w tym za wiele honoru - odparł Dreszcz.

- Gównu sprawia, że rosną kwiaty. Z honoru nie ma nawet tyle pożytku.

- A co się dzieje, kiedy dziwka jest już stara i nikt jej nie chce? To mi wygląda na ucieczkę przed rozpaczą i wyrzutami sumienia.

Cosca uśmiechnął się smutno pod maską.

- Wszyscy to robimy, przyjacielu. Każdy fach jest taki sam, nasz nie jest wyjątkiem. Niezależnie od tego, czy nazwiesz nas żołnierzami, czy zabójcami. Nikt nas nie chce, gdy się starzejemy. - Ominął Dreszcza i wkroczył na dziedziniec, wymachując laską w tył i w przód. - W taki czy inny sposób, wszyscy jesteśmy dziewczkami! - Wyjął z kieszeni elegancką chustkę i pomachał nią trzem kobietom, grzecznie się kłaniając. - Moje panie. To prawdziwy zaszczyt.

- Stary błazen - mruknęła jedna z nich w mowie Północy, po czym wróciła do palenia fajeczki.

Zespół zaczął stroić instrumenty, hałasując niemal tak przejmująco jak wtedy, gdy grał.

Na dziedziniec wychodziły dwie pary wysokich drzwi - te po lewej prowadziły do sali gier, a te po prawej do palarni. Dalej znajdowały się schody. Dreszcz przebiegł wzrokiem w górę porośniętej bluszczem ściany, po pociemniałych deskach ułożonych w jodełkę do rzędu wąskich okien na pierwszym piętrze. Tam znajdowały się pokoje, w których goście oddawali się rozrywkom. Jeszcze wyżej, tuż pod linią dachu, zobaczył większe szyby z kolorowego szkła. Apartament królewski, gdzie przyjmowano grube ryby. Gdzie za kilka godzin powitają księcia Ario i jego brata.

- Hej. - Poczul dotyk na ramieniu, odwrócił się i zamarł.

Za nim stała wysoka kobieta, z ramionami okrytymi lśniącym czarnym futrem. Na długich rękach miała długie czarne rękawiczki, a jej zaczesane na bok czarne włosy opadały miękko i gładko na białą twarz. Miała maskę usianą okruchami kryształu, a jej oczy lśniły w wąskich szparach, uważnie mu się przypatrując.

- Eee... - Dreszcz musiał się zmusić, by podnieść wzrok, gdyż cień pomiędzy jej cyckami przyciągał jego wzrok jak ul przyciąga niedźwiedzia. - Czy mogę w czymś... to znaczy...

- Nie wiem, a możesz? - Uniosła kącik umalowanych ust, na wpół kpiąco, na wpół radośnie.

Dreszczowi wydawało się, że rozpoznaje jej głos. Przez rozcięcie w spódnicy zauważył koniec długiej różowej blizny na udzie.

- Monza? - szepnął.

- A jaka inna kobieta o takim wyglądzie zechciałaby się do ciebie odezwać? - Zmierzyła go wzrokiem. - To przywołuje wspomnienia. Wyglądasz niemal tak dziko jak wtedy, gdy spotkałam cię po raz pierwszy.

- Chyba właśnie o to chodzi. A ty wyglądasz, no... - Szukał odpowiedniego słowa.

- Jak dziwka?

- Jeśli tak, to bardzo droga.

- Dobrze, nie chciałabym wyglądać na tanią. Idę na górę, żeby poczekać na naszych gości. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, spotkamy się w magazynie.

- Tak. Jeśli wszystko pójdzie dobrze. - W życiu Dreszcza z reguły nic nie szło dobrze. Zmarszczył brwi i popatrzył na okna z witrażami. - Poradzisz sobie?

- Ario nie sprawi mi kłopotu. Od dawna na to czekam.

- Wiem, ale, po prostu... jeśli chciałabyś, żebym był bliżej...

- Skup się na opanowaniu sytuacji na dole. O mnie się nie martw.

- Mogę się martwić za nas oboje.

- Myślałam, że jesteś optymistą - rzuciła na odchodnym.

- Może mnie z tego wyleczyłaś - mruknął. Nie lubił, gdy tak do niego mówiła, ale wołał to od milczenia. Gdy się odwrócił, zobaczył wpatzonego w niego Siwowłosego i dźgnął potężnego drania palcem. - Nie stój tak! Nakreślmy ten przekłety fałszywy krąg, zanim się zestarzejemy!

Monza nie czuła się komfortowo, gdy chwiejnym krokiem przemierzała salę gier u boku Coski. Nie przywykła do butów na wysokim obcasie. Nie przywykła do powietrza owiewającego jej nogi. Gorsety zawsze są torturą, ale w tym, który miała na sobie, dwie kości zastąpiono długimi cienkimi nożami, których ostrza tkwiły pomiędzy jej łopatkami, a rękojeści były schowane na krzyżu. Jej kostki, kolana i biodra pulsowały bólem. Jak zwykle, miała ochotę zapalić, ale odpędziła to pragnienie. Przez ostatnie miesiące wytrzymała tak wiele bólu, że teraz była gotowa znieść odrobinę więcej, byle tylko dostać się w pobliże Ario. Na tyle blisko, by wbić ostrze w jego kpiącą twarz. Ta myśl sprawiła, że jej krok stał się nieco bardziej sprężysty.

Carlot dan Eider czekała na nich na końcu pomieszczenia. Stała z miną królewskiej wyższości pomiędzy dwoma stołami do gry w karty nakrytymi szarymi płachtami, ubrana w czerwoną sukienkę godną legendarnej cesarzowej.

- Tylko spójrz na nas - prychnęła Monza, gdy się zbliżyła. - Generał ubrana jak dziwka i dziwka ubrana jak królowa. Dzisiaj wieczorem każdy kogoś udaje.

- Na tym polega polityka. - Kochanka Ario zmarszczyła brwi, spoglądając na Coscę. - Kto to?

- Pani Eider, cóż za cudowny i nieoczekiwany zaszczyt. - Stary najemnik ukłonił się, zamaszyście zdejmując kapelusz, ukazując chropowatą, zroszoną potem, łysiejącą czaszkę. - Nawet nie śniłem, że znów się spotkamy.

- To ty! - Eider posłała mu lodowate spojrzenie. - Mogłam się domyślić, że jesteś w to zamieszany. Myślałam, że zginąłeś w Dagoſce!

- Ja również, ale okazało się, że byłem tylko bardzo, bardzo pijany.

- Nie aż tak, by nie udało ci się mnie zdradzić.
Stary najemnik westchnął.

- To zawsze przykre, gdy zdrada dosięga uczciwych ludzi.

Jednakże, kiedy dotyka zdrajców, nie można się pozbyć uczucia... kosmicznej sprawiedliwości. - Wyszczierzony Cosca przeniósł wzrok z Eider na Monzę i z powrotem. - Trzy osoby tak lojalne jak my po jednej stronie? Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, co z tego wyniknie.

Monza podejrzewała, że rozlew krwi.

- Kiedy Ario i Foscar tutaj dotrą?

- Gdy wielki bal u Sotoriusa zacznie się zbliżać do końca. O północy albo tuż przed.

- Będziemy czekać.

- Odtrutka - odburknęła Eider. - Wykonałam swoją część zadania.

- Dostaniesz ją, kiedy dostanę głowę Ario na tacy. Nie wcześniej.

- A jeśli coś pójdzie nie tak?

- Wtedy umrzesz razem z nami. Dlatego lepiej dla ciebie, żeby wszystko przebiegło zgodnie z planem.

- Co cię powstrzyma przed tym, żeby i tak pozwolić mi umrzeć?

- Moja oszałamiająca reputacja. Zawsze gram zgodnie z zasadami i zachowuję się właściwie.

Wyraz twarzy Eider się nie zmienił.

- Staralam się postąpić właściwie w Dagosce. - Dźgnęła Monzę palcem w klatkę piersiową. - Staralam się postąpić właściwie! Próbowałam ocalić ludzi! Zobacz, jaką cenę za to zapłaciłam!

- Być może to cię czegoś nauczy na temat właściwego postępowania. - Monza wzruszyła ramionami. - Ja nigdy nie miałam tego problemu.

- Możesz sobie żartować! Wiesz, jak to jest żyć w ciągłym strachu?

Eider skuliła się pod ścianą, gdy Monza postąpiła krok naprzód.

- Życ w strachu? - warknęła, przybliżając się tak, że niemal ocierały się o siebie maskami. - Witaj, kurwa, w moim życiu! A teraz przestań jęczeć i przygotuj uśmiech dla Ario i innych

drani! - Ściszyła głos do szeptu. - Potem przyprowadź go do nas. Razem z bratem. Rób, co ci każe, a może doczekasz szczęśliwego zakończenia.

Wiedziała, że obie w to nie wierzą. Wieczorne przyjęcie dla bardzo niewielu osób skończy się szczęśliwie.

Dzioniczek po raz ostatni zakręciła popiskującym wiertłem, po czym delikatnie wyjęła je z drewna. Promyk światła wpadł na ciemne poddasze i narysował jaskrawe kółko na jej policzku. Uśmiechnęła się do Morveera, który nagle wzruszył się pod wpływem słodko-gorzkiego wspomnienia uśmiechniętej twarzy matki w blasku świecy.

- Przebiliśmy się.

To nie był odpowiedni czas na nostalgię. Morveer powstrzymał przyływ emocji i podkradł się do otworu, uważając, by stawiać stopy tylko na krokwiach. Ubrana na czarno, dziko wierzgająca noga przebijająca się przez sufit z pewnością zaniepokoiłaby synów Orso i ich strażników. Zerknął przez dziurkę, niewidoczny pośród grubych belek, i zobaczył długi korytarz wyłożony panelami, drogi gurkijski dywan na podłodze oraz dwoje wysokich drzwi. Nad bliższymi wyrzeźbiono symbol korony.

- Idealne miejsce, moja droga. Apartament królewski. - Stąd mieli widok na strażników pilnujących obojga drzwi. Morveer sięgnął pod kurtkę i zmarszczył brwi. Zaczął obmacywać pozostałe kieszenie, czując ukłucie paniki.

- Psiakrew! Zapomniałem zapasowej dmuchawki! A co, jeśli...

- Wzięłam dwie dodatkowe, na wszelki wypadek.

Morveer przycisnął dłoń do piersi.

- Dzięki Boginiom Losu. Nie! Do diabła z Boginiami. Niech żyje twoja przezorność. Co bym bez ciebie zrobił?

Dzioniczek uśmiechnęła się niewinnie.

- To samo, tylko w mniej czarującym towarzystwie. Ostrożność przede wszystkim, zawsze.

- Prawda. - Ściszył głos do szeptu. - Oto i one. - Pojawiły się Murcatto i Vitari, obie zamaskowane, upudrowane i wystrojone, a raczej rozebrane, jak wiele innych kobiet pracujących w tym przybytku. Vitari otworzyła drzwi oznaczone koroną i weszła. Murcatto zerknęła na sufit, pokiwała głową, po czym podążyła jej śladem. - Są w środku. Jak dotąd wszystko zgodnie z planem. - Jednak wciąż nie brakowało okazji do katastrofy. - Dziedziniec?

Dziencek przeczołgała się na drugi koniec poddasza, gdzie dach stykał się z krokwiami, po czym wyjrzała na główny dziedziniec przez dziurki, które wywiercili.

- Wygląda na to, że są gotowi, by powitać gości. Co teraz?

Morveer podpełzł do małego, brudnego okna i odgarnął pajęczyny krawędzią dłoni. Słońce obniżało się za nierówne dachy, zalewając Miasto Szeptów brudnym blaskiem.

- Bal maskowy w pałacu Sotoriusa wkrótce powinien się rozpocząć. - Na drugim brzegu kanału za Domem Uciech Cardottiego zapalano pochodnie, a światło lamp sączyło się z okien czarnych rezydencji, rozświetlając niebieskie wieczorne powietrze. Morveer z odrazą strzepnął pajęczyny z palców. - Teraz posiedzimy na tym spleśniałym poddaszu i poczekamy na przybycie Jego Wysokości księcia Ario.

Seks i śmierć

Po zmroku Dom Uciech Cardottiego zmienił się nie do poznania. Przekształcił się w krainę fantazji, równie oddaloną od nudnej rzeczywistości jak księżyc. Salę gier rozświetlało trzysta siedemnaście migoczących świateł. Przyjazny wszystkie policzył, gdy umieszczano je na pobrzękujących żyrandolach, osadzano w lśniących ściennych świecznikach i wkręcano w połyskujące lichtarze.

Zdjęto płachty ze stołów do gry. Jeden z krupierów tasował karty, drugi siedział i wpatrywał się w przestrzeń, a trzeci starannie układał zetony. Przyjazny po cichu liczył razem z nim. Po drugiej stronie pomieszczenia starszy mężczyzna oliwił koło ruletki. Przyjazny oszacował prawdopodobieństwo wygranej i uznał, że grający nie mają szans. Właśnie to go dziwiło w grach losowych. Gracz może raz oszukać los, ale ostatecznie zawsze przegrywa.

Wszystko błyszczało jak ukryty skarb, zwłaszcza kobiety. Wystrojone i zamaskowane, przekształcone przez ciepłe światło świateł w niemal nieludzkie istoty. Długie, chude kończyny, naoliwione, upudrowane i obsypane brokatem, ciemne oczy lśniące w otworach złotych masek, usta i paznokcie pomalowane na czarno-czerwono, jakby pokryte krwią ze śmiertelnej rany.

Powietrze wypełniały dziwne, przerażające zapachy. W Bezpiecznym Miejscu nie było kobiet i teraz Przyjazny czuł się wytrącony z równowagi. Uspokajał się, raz za razem rzucając kośćmi i dodając wyniki. Doszedł już do czterech tysięcy dwustu...

Jedna z kobiet przeszła obok niego, ze świstem przeciągając

pogniecioną suknią po gurkijskim dywanie. Przy każdym kroku, z czarnego materiału wysuwała się długa obnażona noga. Dwustu... Przyjazny nie mógł oderwać wzroku od tej nogi, jego serce gwałtownie przyśpieszyło. Dwustu... dwudziestu sześciu. Odwrócił wzrok i ponownie zajął się kośćmi.

Trzy i dwa. To całkiem normalne, nie ma się czym przejmować. Wyprostował się i czekał. Na dziedzińcu za oknem zaczęli gromadzić się goście.

- Witajcie, przyjaciele, witajcie u Cardottiego! Mamy tutaj wszystko, czego potrzebują dorastający chłopcy! Tutaj czekają na was kości i karty, gry wymagające zdolności i szczęścia! Za tamtymi drzwiami znajdzie się coś dla każdego miłośnika słodkiego uścisku plew! Wino i mocniejsze trunki na zawołanie. Pijcie do dna, przyjaciele! Na dziedzińcu przez cały wieczór nie zabraknie atrakcji! Taniec, żonglerka, muzyka... może nawet odrobina przemocy dla tych, którzy lubują się we krwi! Co zaś się tyczy kobiecego towarzystwa... no cóż, znajdziecie je w całym budynku...

Tłum zamaskowanych i upudrowanych mężczyzn wlewał się na dziedziniec. Wszędzie było pełno elegancko wystrojonych ciał, a w powietrzu rozbrzmiewało hałaśliwe trajkotanie. W jednym rogu dziedzińca zespół grał skoczną melodię, w drugim żonglerzy podrzucali połyskujące kieliszki. Od czasu do czasu jedna z kobiet podchodziła do któregoś z gości, szeptała mu coś do ucha, po czym prowadziła go w stronę budynku. Zapewne na piętro. Cosca zaczął się zastanawiać... czy mógłby na chwilę zniknąć?

- Jest pani urocza - szepnął, uchylając kapelusza przed mijającą go smukłą blondynką.

- Pilnuj gości! - warknęła mu prosto w twarz.

- Staram się rozweselić atmosferę, moja droga. Po prostu chcę pomóc.

- Jeśli chcesz pomóc, możesz komuś obciągnąć! Ja już nie mogę się opędzić! - Uśmiechnęła się promiennie, gdy ktoś dotknął jej ramienia, po czym wzięła gościa pod rękę i gdzieś go poprowadziła.

- Kim są ci wszyscy dranie? - mruknął mu do ucha Dreszcz. - Podobno miały być trzy albo cztery tuziny gości, kilku uzbrojonych, ale niechętnych do bitki, a tymczasem już jest dwa razy tyle!

Cosca wyszczerzył się i poklepał Północnego po ramieniu.

- No właśnie! Czyż to nie emocjonujące, gdy wyprawiasz przyjęcie i przychodzi więcej gości niż oczekiwałeś? Ktoś tu jest popularny!

Dreszcz nie sprawiał wrażenia rozbawionego.

- Raczej nie my! Jak mamy nad tym wszystkim zapanować?

- A niby skąd mam wiedzieć? Doświadczenie nauczyło mnie, że życie rzadko wygląda tak, jak tego oczekujemy. Musimy dostosować się do okoliczności i po prostu dać z siebie wszystko.

- Najwyżej sześciu strażników, czy nie tak nam powiedziano? Więc kim oni są? - Dreszcz wskazał głową grupę ponurych mężczyzn stojących w rogu dziedzińca, ubranych w wypolerowane napierśniki włożone na czarne wutowane kurtki.

Mieli poważne stalowe maski, poważne miecze i długie noże oraz poważne miny znaczące oblicza o kanciastych szczękach. Baczenie rozglądali się po dziedzińcu, jakby wypatrywali zagrożeń.

- Hmm. - Cosca się zadumał. - Też się nad tym zastanawiałem.

- Zastanawiałeś? - Potężna dłoń Dreszcza nieprzyjemnie mocno zacisnęła się na rękę Coski. - A kiedy zaczniesz srać w gacie ze strachu?

- Też mnie to ciekawi. - Cosca zabrał rękę. - To dziwne, ale po prostu nie sposób mnie przestraszyć.

Oddalił się poprzez tłum, klepiąc gości po plecach, zamawiając drinki, wskazując atrakcje, rozsiewając dobry

nastrój, gdziekolwiek się znalazł. Był w swoim żywiole. Zepsucie i wysokie sfery, a także niebezpieczeństwo.

Lękał się starości, porażki, zdrady oraz wyjścia na głupca, ale nigdy nie bał się przed walką. Doświadczył najszcześniejszych chwil w swoim życiu, gdy czekał na rozpoczęcie bitew. Obserwując niezliczone gurkijskie oddziały maszerujące ku murom Dagoski. Patrząc, jak wojska Sipani przygotowują się do Bitwy o Wyspy. Gorączkowo dosiadając konia w blasku księżyca, gdy wróg urządził wypad zza murów Muris. Uwielbiał niebezpieczeństwo. Wtedy rozwiewały się troski o przyszłość. Znikały przeszłe porażki. Pozostawała tylko chwała.

Zamknął oczy i wziął głęboki wdech, poczuł przyjemne mrowienie w piersi, zasłuchał się w podekscytowane paplanie tłumu. Prawie nie miał ochoty się napić.

Nagle otworzył oczy i zobaczył dwóch mężczyzn, którzy pojawili się w bramie. Inni goście szybko usuwali się im z drogi. Jego Wysokość książę Ario miał na sobie szkarłatny płaszcz. Jedwabne mankiety zwisały z haftowanych rękawów w sposób, który wskazywał na to, że książę nie będzie musiał niczego brać samodzielnie. Pęk różnokolorowych piór sterczał ze szczytu złotej maski. Ario wymachiwał nimi jak paw ogonem, gdy rozglądał się dookoła bez entuzjazmu.

- Wasza Wysokość! - Cosca zdarł z głowy kapelusz i nisko się uklonił. - Wasza obecność to dla nas prawdziwy zaszczyt.

- Oczywiście, że tak - odparł Ario. - Moja i mojego brata.

Ospale machnął dłonią w stronę swojego towarzysza ubranego w nieskazitelnie biały strój i maskę w kształcie połówki złocistego słońca.

Mężczyzna sprawiał wrażenie niespokojnego i niechętnego. Niewątpliwie był to Foscar, chociaż zapuścił brodę, z którą było mu bardzo do twarzy.

- Nie wspominając o naszym wspólnym przyjacielu, mistrzu Sulfurze - dodał Ario.

- Niestety, nie mogę zostać. - W ślad za braćmi na dziedziniec wślizgnął się człowiek o nijakim wyglądzie. Miał kręcone włosy, prosty ubiór i niewyraźny uśmiech. - Tak wiele pracy. Ani

chwili spokoju, prawda? - Wyszczerył się do Coski. W otworach pozbawionej ozdób maski kryły się oczy w dwóch kolorach: jedno niebieskie i jedno zielone. - Muszę dziś wieczorem pojechać do Talinsu, żeby porozmawiać z waszym ojcem. Nie możemy dać Gurkom wolnej ręki.

- Oczywiście, że nie. Niech szlag trafi tych gurkijskich drani. Szczęśliwej podróży, Sulfurze. - Ario lekko skinął głową.

- Szczęśliwej podróży - warknął Foscar, gdy Sulfur odwrócił się w stronę bramy.

Cosca wbił kapelusz z powrotem na głowę.

- No cóż, ale czcigodnych panów serdecznie zapraszamy! Życzymy udanej zabawy! Wszystko jest do panów dyspozycji! - Przynął się bliżej z figlarnym uśmiechem. - Górne piętro zarezerwowaliśmy specjalnie dla Waszej Wysokości i brata. Szczególnie zaskakująca rozrywka czeka w apartamencie królewskim.

- No widzisz, bracie. Sprawdzimy, czy uda nam się rozwiązać twoje troski. - Ario zmarszczył brwi, zerkając w stronę zespołu. - Na niebiosa, czy ta kobieta nie mogła znaleźć lepszych muzyków?

Gęstniejący tłum rozstąpił się, żeby przepuścić braci. Za nimi szło kilku pogardliwie uśmiechniętych mężczyzn oraz czterech ponurych strażników z mieczami. Cosca przyglądał się ich lśniącom naplecznikom, gdy wchodzili w drzwi prowadzące do sali gier.

Nicomo Cosca nie znał strachu, jednak obecność tylu zbrojnych musiała niepokoić. W końcu Monza nakazała im kontrolować sytuację. Podbiegł do głównego wejścia i położył dłoń na ramieniu jednego ze strażników stojących na zewnątrz.

- Dzisiaj już wystarczy. Mamy komplet. - Zamknął bramę przed twarzą zaskoczonego mężczyzny, przekręcił klucz w zamku i wsunął go do kieszeni kamizelki. Przyjaciel księcia Ario, mistrz Sulfur, będzie ostatnim, który dostąpi zaszczytu wejścia przez główną bramę.

Machnął ręką w kierunku zespołu.

- Zagrajcie coś żywszego, chłopcy! W końcu mamy zabawić ludzi!

Morveer klęczał w ciemności poddasza, spoglądając z okapu dachu na dziedziniec daleko w dole. Grupy mężczyzn w efektownych strojach rosły, rozpadały się, mieszały oraz przepływały tam i z powrotem przez dwie pary drzwi prowadzących do budynku. Goście migotali i lśnili w plamach blasku bijącego od latarni. W nocne niebo wzbijały się rubaszne okrzyki i przyciszone rozmowy, kiepska muzyka oraz wybuchy serdecznego śmiechu, jednak Morveer nie był w nastroju do świętowania.

- Dlaczego jest ich tak wielu? - wyszeptał. - Ponad dwa razy więcej niż się spodziewaliśmy. Coś jest... nie tak.

Wśród lodowatej nocy w niebo buchnął płomień i rozległy się gwałtowne owacje. Ten imbecyl Ronco naraża życie swoje i innych ludzi na dziedzińcu. Morveer powoli pokręcił głową. Jeśli to był dobry pomysł, to on jest Imperatorem...

Dziencek na niego syknęła i Morveer przeczołgał się po poskrzypujących drewnianych krokwiach, po czym przyłożył oko do jednego z otworów.

- Ktoś nadchodzi.

Po schodach weszła grupa ośmiu zamaskowanych osób. Było wśród nich czterech strażników w błyszczących napierśnikach oraz dwie kobiety pracujące u Cardottiego. Truciciela najbardziej interesowała ostatnia dwójka.

- Ario i Foscari - szepnęła Dziencek.

- Na to wygląda.

Synowie Orso zamienili kilka słów, podczas gdy strażnicy ustawili się obok obojga drzwi. Potem Ario nisko się uklonił, a ciche echo jego chichotu dotarło aż na poddasze. Chwiejnie podszedł do drugich drzwi, prowadząc pod rękę dwie kobiety i pozostawiając brata przed apartamentem królewskim.

Morveer zmarszczył brwi.

- Coś zdecydowanie jest nie tak.

Tylko idiota mógł tak sobie wyobrażać królewską sypialnię. Wszystko było nadmiernie zdobione, upstrzone złotymi i srebrnymi nićmi. Gigantyczne łóżko z baldachimem dusiło się pod girlandami karmazynowego jedwabiu. Opasy barek pękał w szwach od butelek z kolorowymi trunkami. Sufit pokrywały ciemne rzeźbione wzory, a potężny pobrzękujący żyrandol zwieszał się zbyt nisko. Kominek z zielonego marmuru miał kształt dwóch nagich kobiet trzymających talerz z owocami.

Na ścianie wisiało olbrzymie płótno w lśniących ramach, na którym kobieta o nieprawdopodobnym biuście kąpała się w strumieniu, czerpiąc z tego nadspodziewanie dużo przyjemności. Monza nigdy nie rozumiała, dlaczego pokazanie cycka albo dwóch zwiększa jakość obrazu, ale malarze najwyraźniej tak uważali, więc cycków i tym razem nie zabrakło.

- Od tej przeklętej muzyki boli mnie głowa - mruknęła Vitari, wsuwając palec pod gorset i drapiąc bok.

Monza gwałtownie pokręciła głową.

- Mnie boli głowa od tego pierdolonego łóżka. Zwłaszcza w połączeniu z tapetą. - Wyjątkowo ostry lazurowy błękit w turkusowe paski i wzorek ze złotych gwiazd.

- To wystarczy, żeby kobieta zaczęła palić. - Vitari trąciła fajeczkę z kości słoniowej leżącą na marmurkowym stoliku obok łóżka. W słoiczku z rżniętego szkła leżała grudka plew.

Monzie nie trzeba było ich specjalnie pokazywać. Od godziny nie mogła oderwać od nich oczu.

- Skup się na naszym zadaniu - odburknęła, odwracając wzrok w stronę drzwi.

- Jestem skupiona. - Vitari uniosła sukienkę. - Chociaż to niełatwe w tych przeklętych ciuchach. Jak ktokolwiek może...

- Ciii.

Na korytarzu rozległy się kroki.

- Nasi goście. Jesteś gotowa?

Rękojeści noży wbiły się Monzie w okolice krzyża, gdy poruszyła biodrami.

- Trochę za późno na wątpliwości, nie uważasz?

- Chyba że wolisz się z nimi pieprzyć.

- Raczej pozostanę przy morderstwie. - Monza przesunęła prawą dłoń w górę okiennej ramy, przyjmując kuszącą pozę, a przynajmniej miała taką nadzieję. Serce waliło jej jak młot, krew boleśnie huczała w uszach.

Drzwi uchyliły się ze skrzypnięciem i do pokoju wszedł mężczyzna. Był wysoki i ubrany cały na biało, a na twarzy miał maskę w kształcie połówki wschodzącego słońca. Miał nienagannie przystrzyżoną brodę, która nieskutecznie maskowała nierówną bliznę na podbródku. Monza zamrugała. To nie był Ario. To nawet nie był Foscar.

- Zaraza - sapnęła Vitari.

Olśnienie spadło na Monzę, jakby ktoś plunął jej w twarz. To nie był syn Orso, ale jego zięć. Nikt inny jak wielki rozjemca, Jego Wysokość król Unii.

- Gotowy? - spytał Cosca.

Dreszcz ponownie odchrząknął. Odkąd wszedł do tego przekłętego miejsca, miał wrażenie, że coś utknęło mu w gardle.

- Trochę za późno na wątpliwości, nie uważasz?

Stary najemnik wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Chyba że wolisz się z nimi pieprzyć. Panowie! Panie! Proszę o uwagę!

Zespół przestał grać i w powietrzu zawisła pojedyncza, przenikliwa nuta skrzypiec. Nie poprawiła Dreszczowi nastroju.

Cosca machnął laską, usuwając gości z kręgu, który zaznaczyli na środku dziedzińca.

- Cofnijcie się, przyjaciele, ponieważ grozi wam śmiertelne niebezpieczeństwo! Przed waszymi pełnymi niedowierzania oczami odegramy jedną z wielkich historycznych chwil!

- Kiedy wreszcie sobie podupczę?! - zawołał ktoś, wywołując salwę śmiechu.

Cosca skoczył naprzód i prawie wybił mężczyźnie oko końcem laski.

- Kiedy ktoś umrze!

Rozległo się bębnienie, paf, paf, paf. Ludzie zgromadzili się wokół kręgu w blasku migoczących pochodni. Powstał pierścień masek - ptaków i zwierząt, żołnierzy i błaznów, wyszczerzonych czaszek i uśmiechniętych diabłów - pod którymi kryły się oblicza ludzi: pijanych, znudzonych, wściekłych, zaciekawionych. Z tyłu Barti i Kummel stawiali sobie na ramionach, a ten, który akurat był na górze, klaskał w rytm bębnienia.

- Z myślą o waszej edukacji, oświeceniu i dobrej zabawie...

Dreszcz nie miał pojęcia, co to oznacza.

- Dom Uciech Cardottiego przedstawia...

Chrapliwie wciągnął powietrze, chwycił miecz i tarczę, po czym przepchnął się do wnętrza kręgu.

- Niesławny pojedynek pomiędzy Fenrisem Groźnym... - Cosca machnął laską w stronę Siwowłosego, który wtoczył się do kręgu z przeciwnej strony - a Logenem Dziewięciopalcym!

- Przecież on ma dziesięć palców! - zawołał ktoś, wywołując falę pijackiego śmiechu.

Dreszczowi nie było do śmiechu. Co prawda, Siwowłosy był znacznie mniej przerażający niż prawdziwy Fenris Groźny, ale i tak sprawiał niepokojące wrażenie - wielki jak dom z twarzą ukrytą pod czarną żelazną maską i lewą stroną ogoloną głowę oraz lewą ręką pomalowanymi na niebiesko. Pałka, którą ścisnął w potężnych dłoniach, wyglądała na niezwykle ciężką i bardzo niebezpieczną. Dreszcz musiał sobie powtarzać, że są po tej samej stronie. Tylko udają, to wszystko. Tylko udają.

- Niech panowie lepiej zrobią im trochę miejsca! - zawołał Cosca, a trzy gurkijskie tancerki płasające na obrzeżach kręgu w czarnych maskach kotów na czarnych twarzach odsunęły gości pod ściany. - Może się połać krew!

- Mam nadzieję! - Kolejna fala śmiechu. - Nie przyszedłem tutaj po to, żeby patrzeć, jak dwóch idiotów ze sobą tańczy!

Widzowie pohukiwali, gwizdali i buczeli. Głównie buczeli. Dreszcz wątpił, aby jego plan - przez kilka minut poskakać wokół kręgu, tnąc powietrze, po czym wbić Siwowłosemu miecz między rękę a bok, podczas gdy olbrzym przebije pęcherz ze świńską krwią - wywołał owacje tych skurwieli. Przypomniawsobie prawdziwy pojedynek, który odbył się przed murami Carleonu i od którego zależał los całej Północy. Wtedy wojownicy stali wokół kręgu, potrząsając tarczami, pokrzykując i porykując. Zastanawiał się, co pomyśleliby o tej głupocie. Czasami życie wiedzie nas dziwnymi ścieżkami.

- Zaczynajcie! - zawołał Cosca, wskakując z powrotem w tłum.

Siwowłosy ryknął donośnie i zaszarżował, mocno wymachując pałką. Całkowicie zaskoczył Dreszcza, który co prawda zdążył umieścić tarczę, ale siła ciosu posłała go na ziemię. Przejechał kawałek na tyłku, czując odrętwienie w lewej ręce, po czym padł jak długi i skaleczył się mieczem w brew. Dobrze, że nie wyklął sobie oka. Przetoczył się, a pałka spadła w miejsce, w którym przed chwilą leżał, posyłając w górę odpryski kamienia. Zanim zdążył wstać, Siwowłosy znów na niego ruszył, sprawiając śmiertelnie poważne wrażenie, a Dreszcz musiał salwować się ucieczką z godnością kota, który znalazł się w zagrodzie wilków. Nie tak się umawiali, ale wyglądało na to, że olbrzym postanowił dać tym draniom niezapomniany pokaz.

- Zabij go! - Ktoś się roześmiał.

- Chcemy krwi, idioci!

Dreszcz mocniej zacisnął dłoń na rękojeści miecza. Ogarnęły go złe przecucia. Jeszcze gorsze niż dotychczas.

Toczące się kości zazwyczaj uspokajały Przyjaznego, ale nie dzisiaj. Miał złe przeczucia. Jeszcze gorsze niż dotychczas. Patrzył, jak kości koziołkują i wirują ze stukotem, od którego cierpła mu lepka skóra, po czym nieruchomieją.

- Dwa i cztery - powiedział.

- Widzimy! - burknął mężczyzna w masce przypominającej półksiężyc. - Przekłete kości mnie nienawidzą! - Cisnął je ze złością, aż odbiły się od wypolerowanego drewna.

Przyjazny zmarszczył brwi, zebrał kości i delikatnie potoczył je po stole.

- Pięć i trzy. Kasyno wygrywa.

- Wygląda na to, że weszło mu to w krew - warknął mężczyzna ubrany w maskę w kształcie statku, a kilku jego znajomych zaczęło gniewnie mrużyć pod nosem.

Wszyscy byli pijani. Pijani i głupi. Kasyno zawsze zakłada wygraną, w przeciwnym razie nie organizowałoby rozgrywki. Jednakże Przyjazny nie czuł się w obowiązku im tego tłumaczyć. W drugim końcu pomieszczenia ktoś krzyknął z radości, gdy na ruletce wypadła wskazana przez niego liczba. Kilku karciarzy zaklaskało z lekką pogardą.

- Przekłete kości. - Półksiężyc siorbnął trochę wina z kieliszka, a Przyjazny starannie zebrał żetony i dodał je do własnej rosnącej kupki.

Miał trudności z oddychaniem, w powietrzu unosiło się mnóstwo dziwnych zapachów - perfumy, pot, wino i dym. Zdał sobie sprawę, że ma otwarte usta, i szybko je zamknął.

Król Unii przeniósł wzrok z Monzy na Vitari i z powrotem - był przystojny, dostojny i bardzo niepożądany. Monza zdała sobie sprawę, że ma otwarte usta, i szybko je zamknęła.

- Nie chcę być niegrzeczny, ale jedna z was całkowicie mi

wystarczy, a zawsze... miałem słabość do ciemnych włosów. - Wskazał drzwi. - Mam nadzieję, że cię nie urażę, jeśli poproszę, abyś wyszła. Oczywiście otrzymasz zapłatę.

- To bardzo hojnie z pana strony. - Vitari zerknęła na Monzę, która lekko wzruszyła ramionami.

Jej umysł miotał się jak żaba w ukropie, szukając wyjścia z pułapki, w którą sama się wpakowała. Vitari odepchnęła się od ściany i ruszyła w stronę drzwi. Po drodze otarła się dłonią o przód królewskiego płaszcza.

- Niech szlag trafi moją rudą matkę. - Zachichotała.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

- To bardzo... - Król odchrząknął. - Przyjemny pokój.

- Łatwo pana zadowolić.

Parsknął śmiechem.

- Moja żona ma na ten temat inne zdanie.

- Niewiele żon wypowiada się pochlebnie o swoich mężach.

Właśnie dlatego do nas przychodzą.

- Źle mnie zrozumiałaś. Mam jej błogosławieństwo. Żona spodziewa się trzeciego dziecka, dlatego... cóż, nie będę cię zanudzał.

- Będę udawała zainteresowanie, cokolwiek pan powie. Za to mi płacą.

- No tak. - Król nerwowo zatarł dłonie. - Może się napijemy?

Wskazała głową barek.

- Tam są alkohole.

- Chcesz coś?

- Nie.

- Oczywiście, niby po co? - Zabułgotało nalewane wino. - To pewnie dla ciebie nic nowego.

- Nie - odparła, chociaż nie przypominała sobie, kiedy ostatnio przebrana za dziwkę przebywała w jednym pokoju z królem.

Miała dwa wyjścia. Przespać się z nim albo go zamordować. Żadna z tych możliwości nie napawała jej entuzjazmem. Już zabicie Ario byłoby kłopotliwe, ale zabicie króla - nawet zięcia Orso - to znacznie poważniejsza sprawa.

„Kiedy generał staje przed dwiema mrocznymi drogami, zawsze powinien wybrać tę jaśniejszą”, pisał Stolicus. Monza wątpiła, by miał na myśli właśnie takie okoliczności, lecz to niczego nie zmieniało. Objęła najbliższą podporę baldachimu i opuściła się niezdarnie na jaskrawą pościel. Nagle jej wzrok spoczął na fajeczce.

„Kiedy generał staje przed dwiema mrocznymi drogami, zawsze powinien znaleźć trzecią”, pisał Farans.

- Sprawia pan wrażenie zdenerwowanego - szepnęła.

Król zbliżył się do szczytu łóżka.

- Muszę przyznać, że minęło sporo czasu, odkąd ostatnio odwiedziłem... takie miejsce.

- To pana uspokoi. - Odwróciła się do niego tyłem i zanim zdążył odmówić, zaczęła nabijać fajeczkę. Nie zajęło jej to długo. W końcu robiła to każdej nocy.

- Plewy? Nie jestem pewien, czy...

- Na to też potrzebuje pan błogosławieństwa żony? - Podała mu fajeczkę.

- Oczywiście, że nie.

Wstała, unosząc lampę, po czym, patrząc mu w oczy, przystawiła płomień do miseczki. Pierwszą dawkę dymu wykaszła od razu. Drugą prawie równie szybko. Trzecią udało mu się przytrzymać w płucach, a następnie wydmuchnąć w postaci białej smugi.

- Twoja kolej - zaskrzeczał, wciskając jej fajeczkę w dłoń i opadając na łóżko. Dym nadal unosił się z miseczki i kręcił ją w nosie.

- Ja... - Tak bardzo tego chciała. Wręcz drżała z pragnienia. - Ja... - Miała fajeczkę w dłoni. Ale to nie był czas na uleganie słabościom. Musiała zachować kontrolę.

Jego usta wykrzywił tępy grymas.

- Czyjego błogosławieństwa potrzebujesz? - wychrypiął. - Obiecuję, że nie powiem... och.

Monza już podgrzewała szaro-brązowe płatki i głęboko wciągała dym, czując, jak pali jej płuca.

- Przekłete buty - mrucał król, starając się zdjąć

wypolerowane obuwie. - W ogóle nie pasują. Jak się płaci... sto marek... za jakieś trepy... to powinny... - Jeden but z trzaskiem uderzył o ścianę, pozostawiając za sobą w powietrzu jasny ślad.

Monza z trudem utrzymywała się na nogach.

- Jeszcze raz. - Podała mu fajkę.

- No... w zasadzie, czemu nie?

Monza patrzyła na buchający płomień lampy, który lśnił jak różnobarwne bezcenne klejnoty. Okruchy plew rozbłysły pomarańczowo, zmieniając barwę ze słodkiego brązu na ognistą czerwień, a w końcu szarość zużytego popiołu. Król wydmuchnął jej w twarz dużą chmurę słodkiego dymu, a Monza zamknęła oczy i wciągnęła go do płuc. Dym wypełniał jej głowę, która puchła, gotowa, by od niego pęknąć.

- Och.

- Co?

Król się rozejrzał.

- To... dosyć...

- Tak. Zgadza się.

Pokój świecił. Ból nóg zmienił się w przyjemne łaskotanie. Na nagiej skórze Monza czuła mrowienie. Usiadła, a materac pod nią zaskrzypiał. Siedziała z Królem Unii na paskudnym łóżku w burdelu. Czy można sobie wyobrazić bardziej komfortową sytuację?

Król leniwie oblizwał usta.

- Moja żona. Królowa. No wiesz. Wspominałem już o tym? Królowa. Ona nie zawsze...

- Twoja żona lubi kobiety - wyrwało się Monzie. Parsknęła śmiechem i musiała otrzeć smarki z górnej wargi. - Bardzo je lubi.

Oczy króla ukryte za otworami maski miały różowy kolor. Jego wzrok pełzał po twarzy Monzy.

- Kobiety? O czym ty mówisz? - Pochylił się. - Już... nie jestem... zdenerwowany. - Niezdarnie przesunął dłoń w górę jej nogi. - Chyba... - mruknął, obracając językiem w ustach. - Myślę... że... - Przewrócił oczami i padł na łóżko z szeroko rozłożonymi rękami. Jego głowa powoli się obróciła, maska

zsunęła się z twarzy i król znieruchomiał, a jego ciche chrapanie odbiło się echem w uszach Monzy.

Wyglądał tak spokojnie. Monza miała ochotę się położyć. Cały czas myślała, myślała, martwiła się, myślała. Musiała wreszcie odpocząć. Zasłużyła na to. Jednak coś ją niepokoiło, coś musiała zrobić. Co to było? Wstała chwiejnie z łóżka.

Ario.

- Aha, no tak.

Pozostawiła Jego Wysokość rozciągniętego na łóżku i ruszyła w stronę drzwi. Pokój kołysał się, usiłując ją wywrócić. A to cwany drań. Schyliła się i zdjęła jeden but, zataczając się w bok, tak że niemal upadła. Zrzuciła drugi, który delikatnie poszybował w powietrzu jak kotwica idąca na dno. Musiała wyteńczyć wzrok, gdy patrzyła na drzwi, ponieważ od świata oddzielała ją mozaika z niebieskiego szkła, a płomienie świec znaczyły jej pole widzenia długimi, oślepiającymi smugami.

Morveer skinął głową do Dzionek, a dziewczyna odwzajemniła gest. Była czarnym cieniem przykucniętym w ciemności poddasza, wąski pasek błękitnego światła przecinał jej uśmiech. Za nią czerniły się zarysy belek, listew i krokwi o krawędziach obrysowanych słabym blaskiem.

- Zajmę się dwójką przed apartamentem królewskim - wyszeptał. - Ty... weź na siebie pozostałych.

- Załatwione, ale kiedy?

„Kiedy?” było pytaniem niezwyklej wagi. Przyłożył oko do otworu, trzymając w jednej dłoni dmuchawkę, a opuszkami drugiej nerwowo pocierając o kciuk. Drzwi apartamentu królewskiego się otworzyły i wyszła przez nie Vitari. Rzuciła w górę posępne spojrzenie, po czym oddaliła się korytarzem. Ani śladu Murcatto i ani śladu Foscara. Morveer nie miał wątpliwości, że coś poszło niezgodnie z planem. Oczywiście i tak musiał zabić strażników; za to mu zapłacono, a on zawsze

wykonywał zleczone zadania. To go odróżniało od takich plugawców jak Cosca. Ale kiedy, kiedy, kiedy... Zmarszczył brwi. Był pewien, że słyszy niewyraźny odgłos żucia.

- Czy ty coś jesz?

- Bułeczkę.

- No to przestań! Jesteśmy w pracy, do licha, a ja próbuję myśleć! Czy nie mogę liczyć nawet na krzytną profesjonalizmu?

Czas dłużył się niemiłosiernie przy wtórze niewyraźnego akompaniamentu nieudolnych muzyków na dziedzińcu, jednak nie licząc lekkiego kołysania się strażników, na korytarzu nic się nie działo. Morveer pokręcił głową. Wyglądało na to, że każdy moment będzie równie dobry. Wziął głęboki wdech, uniósł dmuchawkę do ust, wycelował w dalszego ze strażników...

Drzwi komnaty Ario otworzyły się z hukiem i na korytarz wyszły dwie kobiety, jedna jeszcze poprawiała spódnicę. Jeden ze strażników powiedział coś ze śmiechem do kolegi. Rozległ się dyskretny syk, gdy Morveer wydmuchnął strzałkę, i śmiech gwałtownie się urwał.

- A! - Strażnik przycisnął dłoń do głowy.

- Co jest?

- Nie wiem... chyba coś mnie ugryzło.

- Ugryzło? Niby co mogło... - Teraz to drugi strażnik potarł się po czaszce. - Niech to szlag!

Pierwszy z mężczyzn znalazł igłę we włosach i uniósł ją do światła.

- Igła. - Niezdarnie usiłował dobyć miecza, ale zamiast tego oparł się o ścianę i ześlizgnął na podłogę. - Jakoś mi...

Drugi strażnik niepewnie ruszył korytarzem, machając rękami, jakby próbował chwycić powietrze, po czym przewrócił się na twarz, z rozłożonymi rękami. Morveer skinął głową z zadowoleniem, a następnie podczołgał się do Dzionek. Dziewczyna siedziała przykucnięta nad dwoma otworami z dmuchawką w dłoni.

- Udało się? - spytał.

- Oczywiście. - W drugiej dłoni trzymała bułeczkę, którą teraz ugryzła. Przez otwory Morveer zobaczył dwóch nieruchomych strażników leżących obok drzwi pokoju Ario.

- Dobra robota, moja droga. Niestety, na tym kończy się nasze zadanie. - Zaczął zbierać sprzęt.

- Może powinniśmy zostać i zobaczyć, jak im pójdzie?

- Nie widzę powodu. Jeśli wszystko przebiegnie zgodnie z planem, zginą ludzie, a to już widziałem. Wiele razy. Uwierz mi, że śmierć zawsze wygląda podobnie. Masz linę?

- Oczywiście.

- Warto już teraz zadbać o drogę ucieczki.

- Przede wszystkim ostrożność. Zawsze.

- Otóż to.

Dzionek wyjęła linę ze swojej torby i przywiązała jeden koniec do grubej belki. Następnie uniosła stopę i wybiła małe okienko z ramy. Morveer usłyszał, jak z chlupnięciem wpadło do kanału za budynkiem.

- Bardzo zręcznie. Cóż bym bez ciebie zrobił?

- Giń! - Siwowłosa ruszył w poprzek kręgu, unosząc nad głową wielki kawał drewna.

Dreszcz westchnął razem z tłumem i uskoczył w ostatniej chwili, czując na twarzy podmuch. Niezdarnie chwycił olbrzyma w pasie i obaj potoczyli się po ziemi wzdłuż krawędzi kręgu.

- O co ci, kurwa, chodzi? - syknął przeciwnikowi do ucha.

- O zemstę! - Siwowłosa uderzył go kolanem w bok i zrzucił z siebie.

Dreszcz zatoczył się, ale szybko odzyskał równowagę, cały czas głowiąc się, czym mógł zawinić temu człowiekowi.

- Zemstę? Za co, ty szalony draniu?

- Za Uffrith! - Siwowłosa tupnął potężną stopą, pozorując atak, a Dreszcz odskoczył, zerkając ponad krawędzią tarczy.

- Co? Przecież tam nikt nie zginął!

- Jesteś pewien?

- Dwóch ludzi na nabrzeżu, ale...

- Mój brat! Miał dopiero czternaście lat!

- Nie miałem z tym nic wspólnego, śmierdziu! To Czarny Dow zabijał!

- Czarnego Dowa tutaj nie ma, a ja przyrzekłem matce, że ktoś za to zapłaci. Odegrałeś w tym wystarczająco dużą rolę, żebym cię załatwił, skurwielu!

Dreszcz pisnął jak dziewczyna, uskakując przed kolejnym potężnym ciosem, słysząc wiwaty widzów, równie żądnych krwi jak publiczność podczas prawdziwego pojedynku.

A zatem zemsta. Obusieczny miecz. Nigdy nie wiadomo, kiedy cię uderzy. Dreszcz stał z zakrwawioną połową twarzy i rozmyślał, jakie to wszystko jest, kurwa, niesprawiedliwe. Starał się postępować właściwie, tak jak zawsze uczył go brat. Próbował stać się lepszym człowiekiem, czyż nie? Oto, dokąd cię doprowadzą dobre intencje. Prosto w gówno.

- Przecież ja tylko... Robiłem, co mogłem! - wrzasnął w mowie Pólnocy.

Siwowłosa splunął przez otwór w masce.

- Tak jak mój brat! - Zaatakował, zadając błyskawiczny cios pałką.

Dreszcz uchylił się, po czym uderzył w górę tarczą, trafiając mężczyznę od spodu w szczękę, tak że ten zatoczył się do tyłu, plując krwią.

Dreszcz wciąż miał honor. Nie miał zamiaru trafić do ziemi przez jakiegoś tępego drania, który nie potrafi odróżnić dobrego człowieka od złego. Czuł w gardle wzbierającą wściekłość, jak kiedyś na Pólnocy, gdy trafiał w sam środek bitwy.

- A więc zemsta?! - krzyknął. - Pokażę ci, kurwa, zemstę!

Cosca skrzywił się, gdy Dreszcz przyjął cios na tarczę i zatoczył się w bok. Warknął coś wściekle w mowie Północy, po czym przeciął powietrze mieczem, chybiając zaledwie o grubość palca, z rozpędu niemal uderzając widzów, którzy nerwowo się cofnęli.

- Wspaniały pokaz! - emocjonował się ktoś. - Wygląda, jakby naprawdę walczyli! Muszę ich wynająć na ślub córki...

Rzeczywiście, Północni znakomicie się prezentowali. Aż za dobrze. Ostrożnie krążyli wokół siebie, nie spuszczając się z oczu, od czasu do czasu uderzając nogą albo bronią. Cechowało ich wściekle skupienie typowe dla ludzi, którzy wiedzą, że najmniejszy błąd może oznaczać śmierć. Zakrwawione włosy przywarły Dreszczowi do policzka. Siwowłosy miał przecięte skórzane ubranie na piersi i skaleczony podbródek, w który uderzyła go krawędź tarczy.

Widzowie przestali miotać przekleństwa, a zaczęli mrużyć z zachwytem i wzdychać, chciwie wpatrując się w walczących, rozdarci między chęcią podejścia bliżej a wycofania się, gdy padały ciosy. Czuli, że coś wisi w powietrzu, jak przed potężną burzą. Autentyczna żądza mordy.

Zespół całkiem dobrze radził sobie z bitewnym akompaniamentem. Jęki skrzypiec podkreślały cięcia mieczem, a bęben odzywał się za każdym razem, gdy uderzała pałka, zwiększając i tak trudne do zniesienia napięcie.

Niewątpliwie chcieli się pozabijać, a Cosca nie miał pojęcia, jak ich powstrzymać. Skrzywił się, gdy pałka ponownie uderzyła w tarczę Dreszcza, niemal go przewracając. Posłał zmartwione spojrzenie w stronę witraży w oknach wysoko nad dziedzińcem.

Coś mu mówiło, że dzisiaj pozostawią za sobą więcej niż dwa trupy.

Trupy dwóch strażników spoczywały obok drzwi. Jeden

siedział i wpatrywał się w sufit. Drugi leżał twarzą do ziemi. Nie wyglądali na martwych, jedynie na śpiących. Monza uderzyła się w twarz, próbując wygnać z głowy opary plew. Drzwi zakołysały się w jej stronę i dłoń w czarnej rękawiczce złapała gałkę. Zaraza. Musi to zrobić. Chwiała się, czekając, aż ten ktoś puści klamkę.

- Aha. - To była jej dłoń.

Przekręciła ją i drzwi nagle się otworzyły. Wpadła do środka, niemal lądując na twarzy. Pokój rozmazywał się wokół niej, ściany falowały, roztopiały się i spływały jak wodospady. W kominku trzaskały i iskrzyły kryształowe płomieni. Przez otwarte okno wpadała muzyka i okrzyki mężczyzn. Widziała dźwięki, wesole smugi wijące się wokół szkła, sięgające poprzez zmieniającą się przestrzeń i łaskoczące ją w uszy.

Książę Ario leżał na zmiętej pościeli, nagi i blady, z rozrzuconymi nogami i rękami. Miał głowę zwróconą w jej stronę, a pęk piór na masce rzucał długie cienie na lśniąca ścianę w głębi.

- Jeszcze? - wymruczał, leniwie pociągając z butelki z winem.

- Mam nadzieję... że jeszcze cię nie... zmęczyliśmy. - Monzie wydawało się, że jej głos dobiega z wiadra stojącego gdzieś w oddali.

Ruszyła w stronę łóżka, jak okręt chwiejnie przemierzający wzburzone czerwone morze miękkiego dywanu.

- Sądzę, że zdołam stanąć na wysokości zadania - odrzekł Ario, grzebiąc przy swoim fiucie. - Ale wygląda na to, że masz nade mną przewagę. - Pogroził jej palcem. - Za dużo ubrań.

- Hmm. - Zrzuciła futro z ramion i opuściła je na podłogę.

- Zdejmij rękawiczki. - Machnął dłonią. - Nie podobają mi się.

- Mnie również. - Ściągnęła je, czując mrowienie na przedramionach.

Ario wbił wzrok w jej prawą dłoń. Uniosła ją do oczu i zamrugała. Na przedramieniu widniała długa różowa blizna, a zmiądziona dłoń przypominała plamisty pazur. Palce były powykręcane, oprócz małego, który uparcie sterczał.

- No tak. - Zupełnie zapomniała.

- Okaleczona dłoń. - Ario przybliżył się z entuzjazmem. Jego fiut oraz pióra sterczące z głowy kołysały się na boki w rytm ruchów bioder. - Straszliwie... egzotycznie.

- Prawda? - Nagłe wspomnienie buta Gobby zgniatającego jej dłoń przywróciło ją do rzeczywistości. Uśmiechnęła się. - To nam niepotrzebne. - Chwyciła za pióra, zdarła mu maskę z twarzy i cisnęła ją w kąt pokoju.

Ario się wyszczerzył. Maską pozostawiła różowe ślady wokół oczu. Monza czuła, jak blask wywołany przez plewy wycieka z jej umysłu. Patrzyła księciu prosto w oczy. Przypominała sobie, jak wbił ostrze w szyję jej brata, po czym zrzucił go z tarasu, narzekając, że się skaleczył. A teraz był tuż przed nią. Dziedzic Orso.

- Bardzo niegrzecznie. - Ario zgramolił się z łóżka. - Muszę dać ci lekcję.

- A może to ja czegoś cię nauczę.

Zbliżył się, tak bardzo, że czuła smród jego potu.

- Odważna jesteś, że się ze mną przekomarzasz. Bardzo odważna. - Przesunął palcem po jej rękę. - Niewiele kobiet na to stać. - Podszedł jeszcze bliżej i wsunął drugą dłoń w rozcięcie jej sukni, powiódł nią w górę uda i złapał ją za pośladek. - Mam wrażenie, że cię znam.

Monza chwyciła róg maski okaleczoną prawą dłonią, podczas gdy Ario przyciągnął ją jeszcze bliżej.

- Tak myślisz? - Sięgnęła drugą ręką za plecy i chwyciła rękojesc jednego z noży. - Ależ oczywiście, że mnie znasz.

Zdjęła maskę. Ario jeszcze przez chwilę się uśmiechał, przyglądając się jej twarzy. Potem szeroko otworzył oczy.

- Niech ktoś...!

- Stawiam sto szalek na następny rzut! - wrzasnął Półksiężyc, wysoko unosząc kości. W sali zapadła cisza, wszystkie oczy zwróciły się w stronę stołu.

- Sto szalek. - Dla Przyjaznego to nic nie znaczyło. To nie były jego pieniądze, a zresztą, pieniądze interesowały go tylko wtedy, gdy je liczył. Straty czy zyski, wszystko jedno.

Półksiężyc zagrzechotał kośćmi w dłoni.

- No dalej, ścierwa! - Rzucił je niedbale na stół.

- Pięć i sześć.

- Ha! - Przyjaciele Półksiężycy zaczęli pokrzykiwać, chichotać i klepać go po ramieniu, jakby osiągnął coś wielkiego, wyrzucając taką, a nie inną liczbę oczek.

Mężczyzna w masce przypominającej okręt wyrzucił ręce w powietrze.

- Dobrze ci tak!

Mężczyzna w masce lisa wykonał obsceniczny gest.

Wydawało się, że płomienie świec nieprzyjemnie rozbłysły. Było zbyt jasno, żeby liczyć. W sali zrobiło się bardzo gorąco i ciasno. Koszula Przyjaznego przykleiła mu się do ciała, gdy podniósł kości i lekko nimi rzucił. Wokół stołu rozległo się kilka westchnień.

- Pięć i sześć. Kasyno wygrywa.

Ludzie często zapominają, że każdy wynik jest równie prawdopodobny, nawet identyczny jak poprzedni. Dlatego Przyjaznego nie zaskoczyło, że Półksiężyc stracił nad sobą panowanie.

- Ty pieprzony oszuście!

Przyjazny zmarszczył brwi. W Bezpiecznym Miejscu pociąłby człowieka, który tak by się do niego odezwał. Musiałby to zrobić, aby inni wiedzieli, że nie warto próbować. Ciąłby bez opamiętania. Ale już nie był w Bezpiecznym Miejscu, tylko na wolności. Powiedziano mu, żeby się kontrolował. Dlatego odpędził myśli o ciepłej rękojęści tasaka uwierającej go w bok. Kontrola. Wzruszył ramionami.

- Pięć i sześć. Kości nie kłamią.

Gdy zaczął zgarniać żetony, Półksiężyc złapał go za nadgarstek. Nachylił się i dźgnął go w pierś pijanym palcem.

- Myślę, że twoje kości są oszukane.

Twarz Przyjaznego stężała, a krtań boleśnie się zacisnęła, tak

że niemal przestał oddychać. Czuł każdą kroplę potu na czole, plecach i skórze głowy. Spokojna, lodowata, niezdolna wściekłość przesywała całe jego ciało.

- Myślisz, że moje kości są jakie? - wyszeptał.

Trzy dźgnięcia palcem.

- Twoje kości kłamią.

- Moje kości... co robią?

Tasak Przyjaznego rozplątał maskę Półksiężycyca i znajdującą się pod spodem czaszkę. Jego nóż wbił się w otwarte usta mężczyzny z okrętem na twarzy i wyszedł z tyłu głowy. Przyjazny wbił go ponownie, i jeszcze raz, chlup, chlup, aż rękojeść stała się śliska. Jakaś kobieta zaczęła przenikliwie krzyczeć.

Przyjazny niejasno zdawał sobie sprawę, że wszyscy w sali na niego patrzą, cztery razy trzy razy cztery osoby, może mniej, może więcej. Wywrócił stół do kości, posyłając na ziemię kieliszki, żetony i monety. Mężczyzna w masce lisa patrzył na niego szeroko otwartymi oczami; blady policzek miał zachlapany ciemnym mózgiem.

Przyjazny nachylił się nad jego twarzą.

- Przepróś! - ryknął z całych sił. - Przepróś, kurwa, moje kości!

- Niech ktoś...!

Krzyk Ario zmienił się w świszczący wdech. Księżę i Monza popatrzyli w dół. Jej nóż wbił się w miejsce, w którym jego udo łączyło się z tułowiem, tuż obok zwiędłego fiuta, i tkwił tam po rękojeść, a krew zalewała nadgarstek. Ario wydał z siebie ohydny, piskliwy wrzask, ale wtedy drugi nóż Monzy wbił mu się pod uchem i wyszedł z drugiej strony szyi.

Księżę wybałuszył oczy, chwytając się jedną słabą dłonią za obnażone ramię. Druga dłoń drżała i próbowała złapać rękojeść noża. Z rany wpływała gęsta czarna krew, która przesączała

się pomiędzy jego palcami, ściekała po nogach i piersi ciemnymi lepкими strumieniami, barwiąc na czerwono bladą skórę. Szeroko otworzył usta, ale zamiast krzyku z jego krtani wydobył się tylko cichy chrapliwy dźwięk, gdy wilgotna stał w gardle odebrała mu oddech. Zatoczył się do tyłu, machając w powietrzu drugą ręką, a Monza patrzyła na niego zafascynowana. Jego biała twarz pozostawiała w jej polu widzenia jasny ślad.

- Trzech nie żyje - szepnęła. - Pozostało czterech.

Zakrwawione uda uderzyły w parapet; książkę przebił głową witraż i otwierając okno na oścież runął w ciemność.

Pałka spadła z siłą, która mogła rozbić czaszkę Dreszcza jak skorupkę jajka. Ale Siwowłosa był już zmęczony i niezdarny, odsłonił całą lewą stronę. Dreszcz uchylił się przed ciosem, zawirował i z warknięciem zamachnął się mieczem. Ciął w pomalowane na niebiesko przedramię olbrzymia i odrąbał je z głuchym mięsistym odgłosem, po czym pociągnął uderzenie dalej, wbijając ostrze głęboko w bok przeciwnika. Krew trysnęła z kikuta na twarze widzów. Pałka spadła na bruk razem z dłonią i nadgarstkiem. Ktoś piskliwie krzyknął. Ktoś inny się roześmiał.

- Jak oni to zrobili?

Nagle Siwowłosa zaczął wrzeszczeć jakby przyciął sobie nogę drzwiami.

- Kurwa! Boli! Aaa! Aaa! Co się... niech to...

Sięgnął jedyną ręką, która mu pozostała, i wymacał na boku ranę, z której ciekła ciemna maź. Upadł na jedno kolano, odchylił głowę do tyłu i zaczął krzyczeć. Jednak po chwili miecz Dreszcza z brzękiem uderzył w sam środek jego maski i go uciszył, zostawiając potężne wgłębienie pomiędzy otworami na oczy. Olbrzym runął na plecy, wyrzucając nogi w powietrze, po czym znieruchomiał.

Tak zakończył się wieczorny pokaz.

Zespół zagrał kilka ostatnich niepewnych nut, po czym muzyka ucichła. Nie licząc niewyraźnych krzyków dobiegających z sali gier, na dziedzińcu zapadła grobowa cisza. Dreszcz patrzył na zwłoki Siwowłosego, na krew wypływającą wartkim strumieniem spod wgniecionej maski. Wściekłość nagle go opuściła. Pozostał z bolącą ręką, głową swędzącą od zimnego potu i zdrowym uczuciem przerażenia.

- Dlaczego ciągle przydarzają mi się takie rzeczy?

- Ponieważ jesteś bardzo złym człowiekiem - powiedział Cosca, spoglądając mu przez ramię.

Nagle Dreszcz zauważył jakiś cień. Podniósł wzrok, a wtedy czyjeś nagie ciało spadło głową do przodu do środka kręgu, zachlapując zszokowany tłum krwią.

To się nazywa rozrywka

W jednej chwili zapanował chaos.

- Król! - wrzasnął ktoś bez sensu.

Zachłapane krwią wewnątrz kręgu nagle wypełniło się ludźmi, którzy potykali się i biegali na oślep. Mężczyźni i kobiety wrzeszczeli, zawodzili i krzyczeli tak głośno, że mogliby pobudzić zmarłych. Ktoś naparł na tarczę Dreszcza, a ten instynktownie odepchnął natręta, przewracając go na ciało Siwowłosego.

- To Ario!

- Morderstwo! - Któryś z gości próbował dobyć szpady, ale wtedy jeden z członków zespołu spokojnie podszedł i rozbił mu czaszkę buzdyganem.

Kolejne krzyki. Brzęk i szczęk stali. Dreszcz zobaczył, jak jedna z gurkijskich tancerek rozcina zakrzywionym nożem brzuch jakiemuś mężczyźnie, a ten wymiotuje krwią i próbuje sięgnąć po szpadę, raniąc przy tym w nogę człowieka za swoimi plecami. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła i jakaś wymachująca rękami postać wypadła przez okno z sali gier. Panika i szaleństwo rozprzestrzeniły się jak pożar na suchym polu.

Jeden z żonglerów rzucał nożami. Latający metal wbijał się w ciało i drewno, niosąc śmierć przyjaciom i wrogom. Ktoś chwycił Dreszcza za rękę, w której trzymał miecz, a Caul uderzył napastnika łokciem w twarz. Zamierzył się ostrzem, po czym zauważył, że to Morc, muzyk grający na fujarce. Z nosa ciekła mu krew. Rozległ się głośny grzmot i skłębiony tłum oblał się pomarańczowym blaskiem. Krzyki jeszcze przybrały na sile, odzywając się bezmyślnym chórem.

- Pożar!
- Wody!
- Z drogi!
- Żongler! Złapcie...
- Ratunku! Ratunku!
- Rycerze, do mnie! Do mnie!
- Gdzie księżę? Gdzie jest Ario?
- Niech mi ktoś pomoże!
- Wycofujemy się! - zawołał Cosca.

- Co? - spytał Dreszcz, niepewny, kto krzyczy do kogo. Migoczący nóż poleciał w ciemność między miotające się ciała.

- Wycofujemy się! - Cosca uchylił się przed pchnięciem szpada, po czym machnął laską, z której wyłoniło się długie, cienkie ostrze, i zręcznie wbił je przeciwnikowi w szyję. Następnie zamierzył się na kogoś innego, ale spudłował i niemal trafił Dreszcza.

Jeden ze szlachciców Ario, ubrany w maskę przypominającą szachownicę, prawie zahaczył Coscę ostrzem. Nagle wyrósł za nim Gurpi i zdzielił mężczyznę w głowę lutnią. Drewniany korpus instrumentu pękł, a ostrze topora rozplątało ramię ofiary aż do piersi, powalając ją na bruk.

Znów buchnęły płomienie, a po tłumie przebiegła fala paniki. Ludzie zaczęli się wycofywać i wściekle przepychać. Wtem rozstąpili się i w stronę Dreszcza runął Niezwykły Ronco, spowity białymi płomieniami niczym demon z piekła rodem. Dreszcz zatoczył się do tyłu i odepchnął Ronco tarczą. Mężczyzna wpadł na ścianę, odbił się od niej i zderzył z kolejną, rozchlapując na boki grudki płynnego ognia. Ludzie uciekali, dźgając szpadami na oślep. Trzaskające płomienie ogarnęły suchy bluszcz, a po chwili z rykiem przeniosły się na drewnianą ścianę, zalewając falujący dziedziniec migoczącym blaskiem. Pękła szyba. Zamknięte bramy zagrzechotały, gdy ludzie zaczęli je szarpać, żądając, by ich wypuszczono. Dreszcz zdusił płomienie na tarczy o ścianę. Ronco tarzał się po ziemi, wciąż płonąc, skrzecząc cienko jak czajnik z wrzącą wodą, a jęzory ognia rzucały szalone światło na podskakujące maski gości i

artystów. Dreszcz wszędzie widział powykręcane pyski potworów.

Nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Liczyło się tylko przetrwanie, a on nie miał zamiaru zginąć. Wycofał się wzdłuż ściany, odpychając chwytających go ludzi nadpaloną tarczą.

Dwóch strażników w napierśnikach przepychało się przez tłum. Jeden z nich powalił Bartiego albo Kummela ciosem miecza, z rozpędu odrąbując kawałek czaszki któremuś ze szlachciców Ario. Ranny zatoczył się, wrzeszcząc i przyciskając dłoń do głowy. Krew ciekła mu pomiędzy palcami, zalewając złotą maskę i twarz czarnymi strumieniami. Barti albo Kummel, którykolwiek pozostał przy życiu, wbił nóż w czubek głowy strażnika, aż po rękojeść, po czym zawył, gdy czyjeś ostrze wyłoniło się z jego piersi.

Kolejny strażnik ubrany w zbroję przepchnął się w stronę Dreszcza, wysoko unosząc miecz, wykrzykując coś w języku Unii. Niezależnie od tego, skąd pochodził, najwyraźniej miał mordercze zamiary, a Dreszcz nie zamierzał mu pozwolić zadać pierwszego ciosu. Z warknięciem wyprowadził potężne cięcie, ale strażnik uskoczył i miecz Dreszcza wbił się w coś innego przy wtórze głuchego mięsistego odgłosu. W pierś kobiety, która akurat tamtędy przechodziła. Przewróciła się na ścianę, a jej wrzask zmienił się w bulgot, gdy ześlizgnęła się w bluszczu z maską do połowy zdartą z twarzy, patrząc na Dreszcza jednym okiem, podczas gdy bulgocząca krew ciekła jej z nosa i ust, i zalewała białą szycę.

Dziedziniec pogrążył się w szaleństwie oświetlanym rozprzestrzeniającymi się płomieniami. Przypominał pole nocnej bitwy, jednak w tej walce nie było stron, celu ani zwycięzców. Tłum tratował ciała - żywe, martwe, pocięte i zakrwawione. Gurpi młócił rękami, zaplątany w resztki rozbitej lutni, a pozrywane struny i kawałki drewna uniemożliwiały mu zadawanie ciosów. Na oczach Dreszcza jeden ze strażników zabił muzyka mieczem, rozlewając czarną krew w blasku ognia.

- Palarnia! - syknął Cosca, usuwając ciosem miecza kogoś z

drogi.

Dreszcz miał wrażenie, że mógł to być jeden z żonglerów, ale nie mógł tego sprawdzić. Zanurkował w otwarte wejście w ślad za starym najemnikiem i razem zatrzasnęli za sobą drzwi. Czyjaś kurczowo zaciskająca się dłoń dostała się między krawędź drzwi a futrynę. Dreszcz zaczął w nią uderzać głowicą miecza, aż, drżąc, wycofała się przez szparę. Cosca zamknął drzwi na zasuwkę, po czym z brzękiem rzucił klucz na klepki.

- Co teraz?

Stary najemnik popatrzył na Dreszcza dzikim wzrokiem.

- A niby skąd mam, kurwa, wiedzieć?

Długa i niska sala była usiana poduszkami, porozdzielana wydymającymi się zasłonami i oświetlona przygaszonymi lampami. W powietrzu unosił się słodki zapach dymu z plew. Z dziedzińca dobiegały przytłumione odgłosy walki. Ktoś chrapał. Ktoś inny chichotał. Jakiś mężczyzna siedział pod przeciwległą ścianą w masce ozdobionej dziobem. Uśmiechał się szeroko, a z dłoni zwisała mu fajeczka.

- Co z pozostałymi? - syknął Dreszcz, wytężając wzrok w półmroku.

- Myślę, że dotarliśmy do punktu, w którym każdy dba o własną skórę, nie uważasz? - Cosca próbował przeciągnąć starą skrzynię pod drzwi, które już drżały od uderzeń z zewnątrz. - Gdzie Monza?

- Wejdą przez salę gier, prawda? Czy nie...

Coś uderzyło w okno, zasypując podłogę brzęczącymi kawałkami szkła. Dreszcz skrył się głębiej w cieniu, słysząc w głowie łomotanie serca.

- Cosca?

Tylko dym i ciemność, migoczące światła za oknem, migoczące lampy na stołach. Zaplątał się w zasłonę i zerwał ją z karnisza, rozdzierając materiał. Dym drapał go w gardło. W środku plewy, na zewnątrz pożar, coraz więcej dymu wypełniało powietrze.

Usłyszał głosy. Po lewej stronie rozlegały się trzaski i krzyki, jakby rozszalały byk miotał się po płonącym budynku.

- Moje kości! Moje kości! Dranie!
- Pomocy!
- Niech ktoś pośle po... kogoś!
- Na górze! Król! Na górze!

Ktoś walił w drzwi czymś ciężkim. Dreszcz słyszał, jak drewno drży pod wpływem uderzeń. Nagle wyrosła przed nim jakaś postać.

- Przepraszam, czy mógłbyś...

Dreszcz zdzielił nieznanego tarczą w twarz, przewracając go na ziemię, po czym chwiejnie ruszył na poszukiwanie schodów. Monza była na górze. Na ostatnim piętrze. Usłyszał, że drzwi za nim otwierają się z hukiem. Drgające światło, brązowy dym, wijące się postacie wlewające się do palarni, ostrza lśniące w mroku. Jeden z przybyszów wskazał Dreszcza.

- Tam! Tam jest!

Dreszcz chwycił lampę ręką, na której miał tarczę, i rzucił w mężczyznę na przodzie. Spudłował i trafił w ścianę. Lampa pękła, zalewając zasłonę płonąca oliwą. Ludzie rozpięchli się, jeden z nich wrzeszczał, wymachując płonąca ręką. Dreszcz pobiegł w przeciwnym kierunku, w głąb budynku, w ciemności potykając się o poduszki i stoliki. Poczul, że ktoś chwyta go za kostkę, i uderzył mieczem. Przebijając się przez duszące cienie, chwiejnie dotarł do drzwi, pod którymi jaśniała blada kreska, i otworzył je ramieniem, pewien, że za chwilę otrzyma pchnięcie między łopatki.

Ruszył w górę spiralnych schodów, przeskakując po dwa stopnie i dysząc z wysiłku. Mięśnie jego nóg płonęły, gdy wspinał się ku pokojom, w których bawili się goście. Albo się pieprzyli, zależy jak na to patrzeć. Od schodów odchodził wyłożony panelami korytarz, z którego wypadł jakiś mężczyzna, prawie zderzając się z Dreszczem. Popatrzyli na siebie, niemal stykając się maskami. To był jeden z drani w wypolerowanych napierśnikach. Chwycił Dreszcza za ramię wolną dłonią i szczerząc zęby, spróbował zamachnąć się mieczem do pchnięcia, ale zahaczył łokciem o ścianę.

Dreszcz instynktownie uderzył go czołem w twarz, miażdżąc

mu nos. Nie było miejsca na walkę mieczem. Trafił przeciwnika w biodro krawędzią tarczy, uderzył go kolaniem w jaja, aż tamten zawył, po czym zrzucił ze schodów, patrząc, jak mężczyzna znika za zakrętem przy wtórze łoskotu koziołkującego ostrza. Znów popędził na górę, nie tracąc czasu na zaczerpnięcie tchu, chociaż złapał go kaszel.

Za sobą słyszał kolejne krzyki, trzaski, wrzaski. „Król! Chronicie króla!”. Brnął naprzód, teraz już stopień po stopniu, miecz ciążył mu w dłoni, a tarcza zwisała z bezwładnej ręki. Zastanawiał się, kto przeżył. Myślał o kobiecie, którą zabił na dziedzińcu, o dłoni, którą zmiażdżył w drzwiach. Wypadł na korytarz na szczycie schodów, machając przed sobą tarczą, by rozwiać dym.

Na podłodze leżały ciała, czarne kształty rozciągnięte pod szerokimi oknami. A jeśli zginęła? Każdy mógł zginąć. Może nawet wszyscy. Usłyszał kasłanie. Dym kłębił się pod sufitem i wpadał do korytarza ponad górnymi krawędziami drzwi. Dreszcz wyteżył wzrok. Kobieta, zgięta w pół, obnażone ręce wyciągnięte przed siebie, zwisające czarne włosy.

Monza.

Pobiegł w jej stronę, starając się wstrzymać oddech i kucnąć pod warstwą dymu. Złapał ją w pasie, a ona chwyciła go za szyję, warcząc. Miała twarz obryzganą krwią i plamy sadzy wokół nosa oraz ust.

- Pożar - wychrypiała.

- Tutaj.

Odwrócił się w kierunku, z którego przyszedł, i zmarł.

Dwaj mężczyźni w napierśnikach pojawili się na szczycie schodów na końcu korytarza. Jeden z nich wskazał w jego stronę.

- Zaraza. - Przypomniawszy sobie makietę. Z tyłu Domu Uciech Cardottiego znajdował się Ósmy Kanał. Kopnięciem otworzył okno na oścież. Daleko w dole, za kłębam dymu, falowała woda, na której błyskały refleksy ognia.

- Mój najgorszy wróg, kurwa - wycedził przez zęby.

- Ario nie żyje - powiedziała mu do ucha Monza, przeciągając

słowa. - Co ty...?

Wyrzucił ją przez okno i usłyszał jej urywany wrzask, gdy zaczęła spadać. Zdarł tarczę z ręki i cisnął nią w dwóch mężczyzn nadbiegających korytarzem, po czym wspiął się na parapet i skoczył.

Wokół niego kłębił się dym. Pęd powietrza szarpał mu włosy, drażnił szczypiące oczy i otwarte usta. Przebił powierzchnię wody nogami i dał się wciągnąć w głąb. Bąbelki powietrza unosiły się w ciemności. Pod wpływem zimna prawie zachłysnął się wodą. Nie wiedział, gdzie jest góra, a gdzie dół. Rozpaczliwie wymachując kończynami, uderzył o coś głową.

Czyjaś dłoń chwyciła go pod brodą i wywlekła na powierzchnię. Łapczywie wciągnął do ust lodowate powietrze i wodę. Ktoś zaczął go holować w poprzek kanału. Dreszcz krztusił się dymem, wodą i smrodem, zgnilizny. Miotał się i wierzgał, rzeził i wzdychał.

- Nie ruszaj się, ty draniu!

Jakiś cień padł na jego twarz, a ramię otarło się o kamień. Pomacał wokoło dłonią i natrafił na żelazny pierścień, który pozwolił mu utrzymać głowę nad powierzchnią, gdy wykasływał połkniętą wodę. Monza przycisnęła się do niego, utrzymując się na wodzie, mocno obejmując jego plecy. Jej szybki, wystraszony, rozpaczliwy oddech mieszał się z jego własnym sapaniem oraz z chłupotem wody, odbijając się echem pod łukiem mostu.

Za jego czarną sylwetką Dreszcz widział tylną ścianę Domu Uciech Cardottiego. Ogień buchał wysoko ponad budynkami, płomienie trzaskały i ryczały, deszcz iskier skwierczał i strzelał, popiół i drzazgi unosiły się w powietrzu, dym wzbijał się w niebo czarno-brązową chmurą. Światło migotało i tańczyło na wodzie oraz na połowie bladej twarzy Monzy - czerwone, pomarańczowe, żółte, w kolorach ognia.

- Zaraza - syknął, drżąc z zimna i pobitewnych emocji, zwłaszcza po tym, czego dopuścił się pośród szaleństwa. Oczy piekły go od łez. Nie mógł powstrzymać płaczu. Zaczął dygotać, szlochać, ledwie trzymał się pierścienia. - Zaraza... zaraza...

zaraza...

- Ciii. - Monza zasłoniła mu usta dłonią. Na drodze ponad nimi rozległy się kroki oraz echa okrzyków. Skulili się obok siebie, przywierając do śliskich kamieni. - Ciii.

Jeszcze przed kilkoma godzinami dałby wiele, by móc znaleźć się tak blisko niej. Teraz już nie był w romantycznym nastroju.

- Co się stało? - wyszeptała Monza.

Dreszcz nawet nie mógł na nią popatrzeć.

- Żebym to ja, kurwa, wiedział.

Co się stało

Nicomo Cosca, niesławny najemnik, czał się w cieniu, obserwując magazyn. W okolicy panował spokój, za okiennicami osadzonymi w gnijących ramach nie paliło się światło. Nigdzie nie było żadnego zemsty tłumu ani hałaśliwych strażników. Intuicja podpowiadała Cosce, by rozplynał się w ciemności i nie zwracał sobie więcej głowy Monzcarro Murcatto oraz jej szalonym odwetem. Jednakże potrzebował pieniędzy, a jego intuicja zawsze była gównem warta. Ukrył się głębiej w bramie, gdy ulicą, przytrzymując spódnicę i chichocząc, przebiegła zamaskowana kobieta. Gonił ją mężczyzna.

- Wracaj! Pocałuj mnie, ty suko! - Ich kroki umilkły w oddali.

Cosca pewnie przemierzył ulicę, jakby była jego własnością, po czym wszedł w alejkę na tyłach magazynu i przykleił się do ściany. Z cichym brzękiem wysunął ostrze z laski; zalśniło lodowato w ciemności. Przekręcił gałkę, uchylił drzwi. Wślizgnął się w mrok...

- Ani kroku dalej. - Poczul na szyi pocałunek metalu. Otworzył dłoń, wypuszczając ostrze na drewnianą podłogę.

- Nie mam broni.

- Cosca, to ty? - Ostrze się cofnęło. Vitari kryła się w cieniu za drzwiami.

- Shylo, przebrałaś się? Wolałem strój, który miałaś na sobie u Cardottiego. Był bardziej... kobiecy.

- Hmm. - Przepchnęła się obok niego i zanurzyła w mroczny korytarz. - Tamta bielizna to była prawdziwa tortura.

- Będę musiał zadowolić się oglądaniem jej w marzeniach.

- Co się stało u Cardottiego?

- Co się stało? - Cosca pochylił się sztywno i podniósł swoje ostrze dwoma palcami. - Myślę, że słowa „krwawa łaźnia” opiszą to najlepiej. Potem budynek się zapalił. Muszę się przyznać, że wtedy... szybko się stamtąd oddaliłem. - Prawdę mówiąc, czułem do siebie obrzydzenie za to, że uciekłem, ratując swoją bezwartościową skórę. Uznał jednak, że stare nawyki trudno zmienić, zwłaszcza komuś, kto już zmarnował życie. - Może ty mi powiesz, co się stało?

- Stał się król Unii.

- Co takiego? - Cosca przypomniał sobie mężczyznę w białym stroju z maską w kształcie wschodzącego słońca. Mężczyznę, który wcale nie wyglądał jak Foscar. - Aaaa. To dlatego było tylu strażników.

- A co z twoimi artystami?

- Nie są mi już potrzebni. Żaden się tutaj nie pojawił?

Vitari pokręciła głową.

- Na razie nie.

- Więc podejrzewam, że większość, jeśli nie wszystkich, możemy spisać na straty. Tak to już jest z najemnikami. Łatwo ich wynająć, jeszcze łatwiej zwolnić i nikt za nimi nie tęskni, gdy znikną.

Przyjazny siedział pochylony nad stołem w ciemnej kuchni, delikatnie tocząc kości po stole w świetle pojedynczej lampy. Na blacie obok niego lśnił ciężki, bardzo groźnie wyglądający tasak.

Cosca podszedł bliżej i wskazał na kości.

- Trzy i cztery, co?

- Trzy i cztery.

- Siedem. Nie najlepszy wynik.

- Średni.

- Mogę?

Przyjazny gwałtownie uniósł wzrok.

- Tak.

Cosca zebrał kości i delikatnie potoczył je po stole.

- Sześć. Wygrałeś.

- Na tym polega mój problem.

- Naprawdę? Mój polega na przegrywaniu. Co się stało? Były jakieś kłopoty w sali gier?

- Trochę.

Na szyi skazańca widniała ciemna smuga na wpół zaschniętej krwi.

- Masz coś... tutaj - powiedział Cosca.

Przyjazny starł smugę, po czym obojętnie popatrzył na czerwono-brązowe palce.

- Krew.

- Tak. Dziś w nocy przelano wiele krwi. - Teraz Cosca wreszcie był bezpieczny, oszałamiające poczucie zagrożenia zaczynało słabnąć, a na jego miejsce powracał dawny żal. Znów drżały mu ręce. Pić, pić, pić. Wszedł do magazynu.

- No proszę. A oto kierownik morderczego cyrku! - Morveer stał oparty o poręcz schodów i uśmiechał się kpiąco.

Tuż za nim Dzionek powoli obierała pomarańczę.

- Nasi truciele! Przykro mi, że wyszliście z tego żywi. Co się stało?

Morveer wykrzywił usta.

- Nasze zadanie polegało na usunięciu strażników na ostatnim piętrze. Wykonaliśmy je szybko i dyskretnie. Nie wymagano od nas, żebyśmy pozostali w budynku. Wręcz przeciwnie, polecono nam go opuścić. Nasza pracodawczyni nie do końca nam ufa. Obawiała się, że może dojść do niekontrolowanej rzezi.

Cosca wzruszył ramionami.

- Rzeź z definicji jest niekontrolowana.

- Tak czy inaczej, już nie musisz się niczym przejmować. Nie sądzę, by ktokolwiek się sprzeciwił, jeśli teraz to dostaniesz.

Morveer machnął nadgarstkiem i coś zamigotało w ciemności. Cosca instynktownie to złapał. Metalowa piersiówka, w której chlupotał jakiś płyn. Taka sama jak ta, którą kiedyś nosił przy sobie, a potem sprzedał... Gdzie teraz była? Słodkie połączenie zimnego metalu i mocnego trunku przywołało wspomnienia i sprawiło, że ślina napłynęła mu do wysuszonych ust. Pić, pić, pić...

Już odkręcał korek, gdy nagle się powstrzymał.

- Życie uczy nas, że nie warto kosztować podarunków od trucicieli.

- W środku nie ma żadnej trucizny poza tą, którą raczysz się od lat i z której nigdy nie zrezygnujesz.

Cosca uniósł piersiówkę.

- Zatem na zdrowie. - Odwrócił butelkę i wylał całą zawartość na podłogę magazynu, po czym rzucił naczynie w kąt. Zapamiętał, gdzie upadło, na wypadek gdyby w środku coś zostało.

- Ani śladu naszej pracodawczyni?! - zawołał do Morveera. - Ani jej północnego pieska?!

- Nie. Musimy się liczyć z możliwością, że już się nie pojawią.

- On ma rację. - Czarna sylwetka Vitari pojawiła się w drzwiach kuchni, podświetlona blaskiem lampy. - Bardzo prawdopodobne, że zginęli. Co zrobimy w takim wypadku?

Dziencek popatrzyła na swoje paznokcie.

- Ja na przykład poryczę się jak bóbr.

Morveer miał inne plany.

- Musimy uzgodnić, w jaki sposób podzielimy się pieniędzmi Murcatto...

- Nie - odparł Cosca, którego ten pomysł z jakiegoś powodu niezwykle zirytował. - Powinniśmy poczekać.

- Tutaj nie jest bezpiecznie. Władze mogły schwycić któregoś z artystów. Być może w tej chwili zdradza im nasze miejsce pobytu.

- Czyż to nie podniecające? Powinniśmy poczekać.

- Więc czekaj, jeśli chcesz, ale ja...

Cosca szybkim ruchem wyjął nóż. Ostrze zawirowało, zaśniło w ciemności i z głuchym odgłosem wbiło się w drewno w odległości zaledwie stopy albo dwóch od twarzy Morveera, lekko wibrując.

- A to prezent ode mnie.

Truciciel uniósł brew.

- Nie lubię, kiedy pijacy rzucają we mnie nożami. A gdybyś spudłował?

Cosca się wyszczerzył.

- Właśnie spudłowałem. Czekamy.

- Jak na człowieka słynącego z niestałości jesteś zaskakująco przywiązany do kobiety, która kiedyś cię zdradziła.

- Rzeczywiście. Ale zawsze byłem nieprzewidywalnym draniem. Może się zmieniam? Może przyrzekłem sobie, że od tej chwili zawsze będę trzeźwy, lojalny i pracowity?

Vitari parsknęła.

- To byłoby coś.

- Jak długo mamy czekać? - spytał ostro Morveer.

- Dopóki ci nie powiem, że możesz odejść.

- A jeśli... postanowię... odejść wcześniej?

- Nie jesteś taki sprytny, jak ci się wydaje. - Cosca popatrzył trucieliowi w oczy. - Ale nie jesteś aż tak głupi.

- Uspokójcie się - warknęła Vitari tonem, który bynajmniej nie nastrojał pokojowo.

- Nie będziesz mi rozkazywał, zapijaczony śmieciu!

- Może powinienem cię nauczyć...

Drzwi magazynu otworzyły się z hukiem i do środka wpadły dwie postacie. Cosca wyszarpnął ostrze z laski, zagrzecotał łańcuch Vitari, Dzionek wydobyła skądś małą kuszę i wycelowała w wejście. Jednak przybyszami nie byli przedstawiciele władz, tylko Dreszcz i Monza, oboje przemoczeni, ubrudzeni błotem i sadzą, dyszący ciężko, jakby ktoś gonił ich przez pół Sipani. Może właśnie tak było.

Cosca się wyszczerzył.

- Wystarczy o niej wspomnieć, a od razu się pojawia! Mistrz Morveer właśnie mówił, że powinniśmy podzielić twoje pieniądze, gdyby się okazało, że spaliłaś się na popiół w ruinach Domu Uciech Cardottiego.

- Przykro mi, że was zawiodłam - wychrypiąła.

Morveer posłał Cosce mordercze spojrzenie.

- Zapewniam, że w żadnym wypadku nie czuję się zawiedziony. Twoje przetrwanie jest dla mnie warte wiele tysięcy szalek. Po prostu rozważałem... plan awaryjny.

- Warto być przygotowanym - dodała Dzionek, opuszczając

kuszę i wysysając sok z pomarańczy.

- Przede wszystkim ostrożność. Zawsze.

Monza ruszyła w poprzek magazynu, ciągnąc za sobą bosą stopę, mocno zaciskając zęby pod wpływem bólu. Jej ubranie, które od początku nie pozostawiało wyobraźni wiele pola do popisu, było w strzępach. Cosca zobaczył długą czerwoną bliznę na szczupłym udzie, kolejne na ramieniu oraz przedramieniu, bladym i pokrytym gęsią skórką. Prawa dłoń wyglądała jak plamisty, kościsty pazur. Monza przyciskała ją do biodra, jakby chciała, by nikt jej nie zauważył.

Gdy ujrzał te ślady przemocy, niespodziewanie ogarnęło go przerażenie. Zupełnie jakby zobaczył obraz, który zawsze podziwiał, a który ktoś rozmyślnie oszpecił. Może nawet był to obraz, który miał nadzieję kiedyś osiąść? Czy o to chodziło? Zdjął płaszcz i wyciągnął go w jej stronę, gdy przechodziła. Zignorowała go.

- Czyżbyś nie była do końca zadowolona z dzisiejszej eskapady? - spytał Morveer.

- Dostaliśmy Ario. Mogło być gorzej. Potrzebuję suchych ubrań. Czym prędzej wyjeżdżamy z Sipani.

Pokuśtykała po schodach, wlokąc za sobą podartą spódnicę, po czym przepchnęła się obok Morveera. Dreszcz zamknął drzwi magazynu i oparł się o nie, odchylając do tyłu głowę.

- Suka ma serce z kamienia - mruknęła Vitari, patrząc w ślad za Monzą.

Cosca wydał usta.

- Zawsze powtarzałem, że nosi w sobie diabła. Ale to jej brat był naprawdę bezwzględny.

- Hmm. - Vitari odwróciła się w stronę kuchni. - To był komplement.

Monzie udało się zamknąć drzwi pokoju i zrobić kilka kroków, zanim jej wnętrzości zacisnęły się, jakby ktoś zdzielił

ją pięścią w brzuch. Dostała tak silnych torsji, że nie mogła oddychać, a długie pasmo gorzkiej śliny spadło z jej ust na drewnianą podłogę.

Zadrzała z odrazy i zaczęła pozbywać się stroju dziwki. Jego dotyk przyprawiał ją o dreszcze, a zgnięty smród wykręcał żołądek. Odrętwiałe palce zmagaly się z haftkami, drapały guziki i sprzączki. Sapiąc i stękając, zdarła wilgotne szmaty i odrzuciła je.

Zobaczyła swoje odbicie w lustrze w świetle pojedynczej lampy. Zgarbiona jak nędzarka, dygocząca jak pijaczka, biała skóra pokryta czerwonymi bliznami, rozpuszczone rzadkie czarne włosy. Żywy topielec. Ledwie żywy.

„Jesteś snem. Wizją. Boginią Wojny we własnej osobie!”.

Kolejny atak torsji zgiął ją wpół. Chwiejnie dotarła do swojej skrzyni i drżącymi rękami zaczęła wyjmować czyste ubrania. Koszula kiedyś należała do Benny. Przez chwilę czuła się niemal tak, jakby ją przytulał. Już nigdy nie będą bliżej.

Usiadła na łóżku, objęła się rękami, złączyła bosc stopy i zaczęła się kołysać, czekając, aż ciepło rozejdzie się po całym ciele. Pod wpływem kolejnego ataku mdłości wstała i zaczęła płuć żółcią. Kiedy torsje minęły, zatknęła koszulę Benny za pas i schyliła się, żeby wciągnąć buty, krzywiąc się, gdy lodowate ukłucia bólu przeszły jej nogi.

Zanurzyła dłonie w umywalce i ochlapała twarz zimną wodą, po czym zaczęła zeskrobywać ślady farby i pudru, smugi krwi i sadzy, wierząc palcami w uszach i nosie, przeczesując włosy.

- Monzo! - rozległ się głos Coski za drzwiami. - Mamy ważnego gościa.

Włożyła czarną rękawiczkę na powykręcaną namiastkę dłoni, krzywiąc się, gdy próbowała trafić powyginanymi palcami w otwory. Westchnęła rozdzierająco, po czym wyjęła ostrze od Calveza spod materaca i przypięła je do pasa. Od razu poczuła się lepiej. Otworzyła drzwi.

Carlot dan Eider stała na środku magazynu, a na jej czerwonym płaszczu lśniły złote nici. Patrzyła, jak Monza schodzi po schodach, starając się nie kuleć, a Cosca podąża jej

śladem.

- Co się stało, do diabła? U Cardottiego nadal się pali! Całe miasto huczy!

- Co się stało? - warknęła Monza. - Może ty mi powiesz? Zamiast Foscara pojawiła się Jego jebana Wysokość!

Czarny strup na szyi Eider poruszył się, gdy nerwowo przełknęła ślinę.

- Foscari nie chciał pójść. Skarżył się na ból głowy. Więc Ario zabrał ze sobą szwagra.

- A razem z nim tuzin rycerzy z gwardii przybocznej - rzekł Cosca. - Osobistych ochroniarzy króla. A także znacznie większą liczbę gości niż przewidywaliśmy. Skutki były opłakane. Dla wszystkich.

- Co z Ario? - wymamrotała Eider, blednąc.

Monza popatrzyła jej w oczy.

- Zajebałam drania.

- A król? - prawie wyszeptała.

- Żył, kiedy odchodziłam. Ale potem budynek spłonął. Może go wydostali?

Eider popatrzyła na podłogę, pocierając skroń dłonią w rękawiczce.

- Miałam nadzieję, że ci się nie uda.

- No to masz pecha.

- To się nie rozejdzie po kościach. Taki czyn musi pociągnąć za sobą konsekwencje. Niektóre jesteś w stanie przewidzieć, innych nie. - Wyciągnęła dłoń. - Moja odtrutka.

- Nie ma odtrutki.

- Dotrzymałam umowy!

- Nie było żadnej trucizny. Ukłuliśmy cię czystą igłą. Jesteś wolna.

Eider parsknęła rozpaczliwym śmiechem.

- Wolna? Orso nie spocznie, dopóki nie rzuci mnie psom na pożarcie! Może uda mi się przed nim uciec, ale nigdy nie ucieknę przed Kaleką. Zawiodłam go i naraziłam na niebezpieczeństwo jego ukochanego króla. Nie daruje mi tego. Nigdy nie puszcza niczego płazem. Jesteś z siebie zadowolona?

- Mówisz tak, jakbym miała jakiś wybór. Ktoś musi umrzeć, albo Orso i pozostali, albo ja. Zadowolenie nie ma tu nic do rzeczy. - Monza wzruszyła ramionami, odwracając się plecami do Eider. - Lepiej już uciekaj.

- Wysłałam list.

Monzcarro zatrzymała się i obejrzała.

- Jaki list?

- Dzisiaj rano. Do wielkiego księcia Orso. Pisałam go w afekcie, więc nie pamiętam dokładnie, co w nim zawarłam. Ale na pewno wymieniłam nazwisko Shylo Vitari. A także Nicomo Coski.

Cosca lekceważąco machnął ręką.

- Zawsze miałem wielu potężnych wrogów. To dla mnie kwestia honoru, a także świetny temat do rozmowy przy kolacji.

Eider przeniosła pogardliwe spojrzenie ze starego najemnika z powrotem na Monzę.

- Oprócz tych dwóch nazwisk wspomniałam także o Murcatto.

Monza zmarszczyła brwi.

- Murcatto.

- Masz mnie za idiotkę? Wiem, kim jesteś, a teraz dowie się także Orso. Że żyjesz, że zabiłaś jego syna i że ktoś ci pomagał. Może to niezbyt wyszukana zemsta, ale tylko na tyle było mnie stać.

- Zemsta? - Monza powoli pokiwała głową. - Cóż, widzę, że wszyscy jej szukają. Nie trzeba było tego robić. - Ostrze delikatnie zabrzęczało, gdy oparła dłoń na rękojęści.

- Dlaczego? Zabijesz mnie za to? Ha! Ja już i tak jestem martwa!

- Więc szkoda zachodu. Nie jesteś na mojej liście. Możesz odejść.

Eider przez chwilę patrzyła na nią z lekko rozchyłonymi ustami, jakby chciała coś powiedzieć, ale zaraz zacisnęła szczęki i odwróciła się w stronę drzwi.

- Nie życzysz mi szczęścia? - zapytała Monza.

- Słucham?

- Musisz teraz liczyć na to, że uda mi się zabić Orso.

Była kochanka Ario zatrzymała się w drzwiach.

- Już to, kurwa, widzę!

Wyszła.

IV

Visserine

*„Wojna bez ognia jest równie bezużyteczna
jak kielbaski bez musztardy”.*

Henryk V

Odział Tysiąc Ostrzy walczył za Osprię przeciwko Muris. Walczył za Muris przeciwko Sipani. Walczył za Sipani przeciwko Muris, a potem znów za Osprię. Pomiedzy kontraktami dla kaprysu splądrował Oprile. Miesiąc później, uznając, że nie byli wystarczająco dokładni, najemnicy splądrowali miasto ponownie i zmienili je w dymiące zgliszcza. Walczyli dla każdego przeciwko nikomu i dla nikogo przeciwko wszystkim, niemal nie dobywając broni.

Chętnie parali się rabunkami i plądrowaniem, podpaleniami i grabieżami, gwałtami i wymuszeniami.

Nicomo Cosca lubił otaczać się ludźmi nietypowymi, gdyż dzięki nim budował wokół siebie aurę romantycznego dziwaka. Wydawało się, że dziewiętnastoletnia kobieta szermierz, która nie rozstaje się ze swoim bratem, nie pasuje do tego schematu, więc trzymał oboje blisko siebie. Początkowo tylko go ciekawili. Potem zrozumiał, że są użyteczni. W końcu nie potrafił się bez nich obejść.

Zimnymi porankami ćwiczył z Monzą szermierkę pośród migotania i szczyku stali oraz syczących, parujących oddechów. Był silniejszy, a ona szybsza, więc mieli równe szanse. Prowokowali się, wyśmiewali i pluli na siebie nawzajem. Pozostali gromadzili się, by ich obserwować, i śmiali się, widząc, że ich kapitan w połowie przypadków musi uznać wyższość dwukrotnie młodszej dziewczyny. Śmiali się wszyscy oprócz Benny. On nie był szermierzem.

Miał jednak talent do liczb, więc zajął się księgami kompanii, a następnie także zakupem zapasów, sprzedażą łupów i podziałem zysków. Dbał o ich zarobki i miał sympatyczne usposobienie, więc wkrótce wszyscy go pokochali.

Monza szybko się uczyła. Studiowała pisma Stolicusa,

Verturia, Bialovelda i Faransa. Przyswajała wiedzę przekazywaną przez Coscę. Uczyła się taktyki i strategii, manewrów i logistyki, czytania terenu i wroga. Uczyła się poprzez obserwację, a potem poprzez działanie. Poznawała wszelkie sztuki i nauki, które mogą się przydać żołnierzowi.

„Masz w sobie diabła”, mawiał Cosca, gdy był pijany, co nierzadko mu się zdarzało. Ocaliła mu życie pod Muris, potem się jej zrewanżował. Znow śmiali się z tego wszyscy poza Benną. On nikogo nie ratował.

Gdy stary Sazine zginął od strzały, kapitanowie kompanii wchodzących w skład Tysiąca Ostrzy wybrali Nicomo Coscę na swego przywódcę. Monza i Benna mu towarzyszyli. Początkowo dziewczyna tylko wykonywała rozkazy Coski. Potem zaczęła podpowiadać mu, jakie powinien podejmować decyzje. Wkrótce sama wydawała rozkazy w jego imieniu, gdy leżał pijany. W końcu przestała udawać, że przekazuje jego słowa, ale nikomu to nie przeszkadzało, gdyż radziła sobie z dowodzeniem lepiej od niego, nawet gdy był trzeźwy.

Mijały miesiące i lata, a Cosca coraz rzadziej trzeźwiał. Wydawał rozkazy tylko w tawernie. Fechtował tylko z butelką. Kiedy najemnicy z Tysiąca Ostrzy oczyszczali jakąś część kraju i nadchodził czas, by ruszyć w dalszą drogę, Monza musiała szukać go po knajpach, palarniach i burdelach.

Nienawidziła tego robić, a Benna nienawidził na to patrzeć, ale Cosca dał im dom, więc mieli wobec niego dług. Gdy brnęli do obozu w ciemnościach i Nicomo chwiał się pod wpływem trunków, a Monza pod wpływem jego ciężaru, zwykł szeptać jej do ucha.

„Monzo, Monzo. Cóż bym bez ciebie uczynił?”.

A zatem zemsta

Wypolerowane na wysoki połysk kawaleryjskie buty generała Ganmarka stukwały o wypolerowaną na wysoki połysk podłogę. Obok popiskiwały buty szambelana. Kroki obu mężczyzn odbijały się echem od lśniących ścian i rozbrzmiewały w olbrzymich wnętrzach, a pośpieszny marsz wzbijał w powietrze leniwe drobinki kurzu, które wirowały w snopach światła. Miękkie robocze obuwie Shenkta, zdarte i giętkie od długiego użytkowania, nie wydawało żadnego dźwięku.

- Po wejściu do komnaty Jego Ekscelencji, należy się do niego zbliżyć bez zbędnego pośpiechu - gorączkowo wyjaśniał szambelan. - Nie rozglądamy się na boki, lecz kierujemy wzrok ku ziemi, pod żadnym pozorem nie patrząc Jego Ekscelencji w oczy. Zatrzymujemy się na białej linii na dywanie. Nie przed linią i w żadnym wypadku nie za linią, ale dokładnie na niej. Potem klękamy...

- Ja nie klękam - odparł Shenkt.

Szambelan obrócił ku niemu głowę niczym urażona sowa.

- Tylko głowy państw są zwolnione z tego obowiązku! Wszyscy muszą...

- Ja nie klękam.

Szambelan sapnął z oburzeniem, ale Ganmark go zakrzyczał.

- Na litość boską! Zamordowano syna i następcę księcia Orso! Jego Ekscelencji nie obchodzi, czy ktoś przed nim klęknie, jeśli ten ktoś może mu pomóc dokonać zemsty. Klękaj albo nie, jak wolisz. - Dwaj strażnicy w białych liberjach unieśli skrzyżowane halabardy, a Ganmark pchnął na oścież podwójne drzwi.

Sala imponowała ogromem i bogactwem. Była godna sali tronowej najpotężniejszego człowieka w Styrii - jednakże Shenkt stawał już w większych komnatach przed obliczem dostojniejszych władców, więc nie czuł się onieśmielony. Cienki czerwony dywan ciągnął się po posadzce zdobionej mozaiką, a na jego końcu widniała biała linia. Za nią wznosił się wysoki podest, przed którym stało na straży dwunastu mężczyzn w zbrojach. Na podeście stał złoty tron, a na nim siedział Orso, wielki książę Talinsu. Był ubrany na czarno, lecz jeszcze mroczniejsze było jego zasepione oblicze.

Przed księciem klęczała dziwaczna i złowroga zbieranina ludzi różnych ras, kształtów i rozmiarów, tworzących szeroki łuk otaczający tron. Nie byli uzbrojeni, ale Shenkt zgadywał, że zazwyczaj noszą przy sobie wiele broni. Kilkoro z nich znał z widzenia. Mordercy. Płatni zabójcy. Łowcy ludzi. Przedstawiciele jego branży, jeśli człowieka wybielającego domy wapnem można uznać za kolegę po fachu mistrza malarskiego.

Zbliżył się do podestu, bez zbędnego pośpiechu, nie rozglądając się na boki. Przeszedł przez półokrąg morderców i zatrzymał dokładnie na linii. Popatrzył, jak generał Ganmark mija strażników i wspina się po schodkach do tronu, po czym szepcze coś księciu do ucha, a niezadowolony szambelan ustawia się po drugiej stronie władcy.

Wielki książę przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Shenktą, a Shenkt odwzajemniał jego spojrzenie. Salę spowiała przytłaczająca cisza, jaka może panować tylko w olbrzymich pomieszczeniach.

- Więc to on. Dlaczego nie klęka?

- Wygląda na to, że nie ma zwyczaju tego robić - odrzekł Ganmark.

- Wszyscy inni klękali. Co cię czyni tak wyjątkowym?

- Nic - odparł Shenkt.

- A jednak nie klękasz.

- Kiedyś klękałem. Dawno temu. Ale to już przeszłość.

Orso zmrużył oczy.

- A gdyby ktoś chciał cię zmusić?
- Byli tacy, co próbowali.
- I co?
- Nadal nie klękam.
- A więc stój. Mój syn nie żyje.
- Przykro mi.
- Nie wyglądasz na zasmuconego.
- To nie był mój syn.

Szambelan o mało nie udławił się własnym językiem, ale zapadnięte oczy Orso nawet nie drgnęły.

- Widzę, że lubisz mówić prawdę. Potężni ludzie cenią sobie bezceremonialność. Cieszysz się znakomitą reputacją.

Shenkt nie odpowiedział.

- Tamte wydarzenia w Keln. Rozumiem, że to twoja robota. Tylko twoja. Podobno to, co zostało, trudno nazwać zwłokami.

Shenkt nie odpowiedział.

- Więc nie potwierdzasz.

Shenkt wpatrywał się w milczeniu w twarz księcia Orso.

- Ale i nie zaprzeczasz.

Znów milczenie.

- Lubię ludzi, którzy trzymają gębę na kłódkę. Człowiek, który rzadko odzywa się do swoich przyjaciół, niczego nie powie wrogom.

Cisza.

- Zamordowano mi syna. Wyrzucono z okna burdelu jak śmiecia. Zabito także wielu jego przyjaciół i współpracowników, a moich poddanych. Mój zięć, Jego Wysokość król Unii we własnej osobie, ledwie uszedł z życiem z płonącego budynku. Sotorius, stojący nad grobem kanclerz Sipani, który był ich gospodarzem, rozkłada ręce i mówi, że nie może nic zrobić. Zostałem zdradzony. Jestem w żałobie. Jestem... zażenowany. Ja! - wybuchnął nagle, a jego krzyk odbił się echem w komnacie, aż wszyscy obecni zadrżeli.

Wszyscy oprócz Shenkta.

- A zatem zemsta.

- Zemsta! - Orso uderzył pięścią w poręcz tronu. - Szybka i

straszliwa.

- Szybka... tego nie mogę obiecać. Ale na pewno będzie straszliwa.

- Niech więc będzie powolna, miażdżąca i bezlitosna.

- Uprzedzam, że mogą ucierpieć twoi poddani, księżę, oraz ich dobytek.

- Nie dbam o koszty. Przynieś mi ich głowy. Każdego mężczyzny, kobiety albo dziecka, którzy byli w to zamieszani, choćby w najmniejszym stopniu. Rób, co będzie konieczne. Przynieś mi ich głowy.

- Tak zrobię.

- Jakiej żądasz zaliczki?

- Żadnej.

- Nawet...

- Jeśli wykonam zadanie, zapłacicie mi sto tysięcy szalek za głowę przywódcy oraz dwadzieścia tysięcy za każdego współnika, ale w sumie nie więcej niż ćwierć miliona. Oto moja cena.

- Bardzo wysoka! - pisnął szambelan. - Po co ci tyle pieniędzy?

- Będę je liczył i śmiał się, cały czas rozmyślając o tym, że bogaty człowiek nie musi odpowiadać na pytania idiotów. Jak dotąd, każdy pracodawca był zadowolony z moich usług. - Shenkt powoli przeniósł wzrok na półokrąg szumowin klęczących za jego plecami. - Ale, jeśli chcecie, możecie zapłacić mniej komuś gorszemu.

- Tak zrobię - odparł Orso. - Jeżeli któryś z nich pierwszy znajdzie zabójców.

- To najuczciwsze rozwiązanie, Wasza Ekscelencjo.

- Dobrze - warknął księżę. - Więc ruszaj. Wszyscy ruszajcie! Przynieście... mi... zemstę!

- Możecie odejść! - zaskrzeczał szambelan.

Przy wtórze szeleszczenia, grzechotania i pobrzękiwania zabójcy wstali i opuścili komnatę. Shenkt odwrócił się, po czym ruszył po dywanie w stronę potężnych drzwi, bez zbędnego pośpiechu, nie rozglądając się na boki.

Jeden z zabójców zagroził mu drogę. Ciemnoskóry mężczyzna średniego wzrostu, ale szeroki jak szafa. Bryły mięśni wyzierały spod rozchylonej jaskrawej koszuli. Zmarszczył górną wargę.

- Ty jesteś Shenkt? Spodziewałem się kogoś lepszego.

- Módl się do boga, w którego wierzysz, abyś nigdy więcej mnie nie spotkał.

- Ja się nie modłę.

Shenkt nachylił się i wyszeptał mu do ucha:

- Lepiej zacznij.

Chociaż gabinet generała Ganmarka był duży, sprawiał wrażenie zagraconego. Zbyt okazałe popiersie Juvensa zerkąło złowrogo znad kominka, a jego kamienna łysina odbijała się we wspaniałym lustrze z kolorowego visserińskiego szkła. Po obu stronach biurka stały monumentalne wazy sięgające generałowi niemal do ramion. Ściany obwieszono obrazami w pozłacanych ramach. Dwa z nich były wyjątkowo duże. To były zacne malowidła, więc nie wypadało wieszać ich zbyt blisko siebie.

- Imponująca kolekcja - powiedział Shenkt.

- Ten namalował Coliere. Spłonąłby razem z posiadłością, w której go znalazłem. Te dwa to dzieło Nasurina, a tamten Orhusa. - Ganmark wskazywał obrazy precyzyjnymi ruchami palca. - Z jego wczesnego okresu, ale też godne uwagi. Wazy wręczono w hołdzie pierwszemu Imperatorowi Gurkhulu, wiele setek lat temu, ale w jakiś sposób trafiły do domu pewnego bogacza mieszkającego na przedmieściach Caprile.

- A potem tutaj.

- Staram się ratować, co tylko się da - odparł Ganmark. - Może kiedy dobiegną końca Krwawe Lata, Styria wciąż będzie w posiadaniu kilku skarbów godnych zachowania.

- Styria albo pan.

- Lepsze to, niż gdyby miały spłonąć. Rozpoczyna się sezon kampanii i rankiem wyruszam do Visserine, by wziąć miasto w oblężenie. Szykują się potyczki, plądrowanie i palenie. Natarcia i kontruderzenia. Oczywiście, także głód i zaraza, okaleczanie i mordowanie. A to wszystko z ohydną przypadkowością boskiej kary. Kary dla wszystkich za nic. Wojna, Shenkt, wojna. A pomyśleć, że kiedyś marzyłem o byciu honorowym człowiekiem. O czynieniu dobra.

- Wszyscy o tym marzymy.

Generał uniósł brew.

- Nawet ty?

- Nawet ja. - Shenkt wyjął nóż. Gurkijskie rzeźnicze ostrze o sierpowatym kształcie; małe, ale przeraźliwie ostre.

- Życzę ci zatem dobrej zabawy. Ja jedynie mogę się starać ograniczyć straty do... ogromnych.

- Takie nastaly czasy. - Shenkt wyjął z kieszeni mały kawałek drewna, na którym z jednej strony znajdował się wyrzeźbiony zarys psiego łba.

- Ale czy nie zawsze tak było? Wina? Z prywatnej piwniczki Cantaina.

- Nie.

Shenkt rzeźbił ze skupieniem, podczas gdy generał napełniał swój kielich. Skrawki drewna padały na podłogę między jego butami, a tylna część psiego ciała powoli nabierała kształtu. Figurka nie mogła się równać z dziełami sztuki, które ich otaczały, ale wyglądała nieźle. Było coś uspokajającego w regularnych ruchach zakrzywionego ostrza i delikatnym opadaniu strużyn.

Ganmark oparł się o kominek, wziął pogrzebacz i kilka razy bez potrzeby dźgnął palenisko.

- Słyszałeś o Monzcarro Murcatto?

- Generał Tysiąca Ostrzy. Znakomity żołnierz. Słyszałem, że nie żyje.

- Potrafisz dotrzymać tajemnicy, Shenkt?

- Dotrzymuję setek tajemnic.

- Ależ oczywiście. Oczywiście. - Wziął głęboki wdech. - Książę

Orso rozkazał ją zabić. A także jej brata. Jej zwycięstwa uczyniły ją popularną w Talinsie. Zbyt popularną. Jego Ekszelencja obawiał się, że Murcatto może rościć sobie pretensje do tronu, jak to czasem czynią najemnicy. Nie dziwi cię to?

- Widziałem każdy rodzaj śmierci i motywu.

- Jasne. - Ganmark zmarszczył brwi, patrząc na ogień. - To nie była dobra śmierć.

- Żadna taka nie jest.

- Mimo wszystko, ta nie była dobra. Dwa miesiące temu zniknął ochroniarz księcia Orso. Nie zdziwiło nas to, w końcu był głupcem, który nie dbał o własne bezpieczeństwo, miał wiele słabości, lubił złe towarzystwo i narobił sobie wielu wrogów. Wtedy jeszcze to zlekceważyłem.

- I co?

- Miesiąc później w Westporcie otruto bankiera księcia razem z połową pracowników. To już było coś innego. Ten człowiek przywiązywał ogromną wagę do kwestii bezpieczeństwa. Otrucie go wymagało nie lada wysiłku, imponującego profesjonalizmu oraz wyjątkowego braku skrupułów. Jednak bankier często angażował się w życie polityczne Styrii, a to groźna zabawa, w której uczestniczą bezlitośni gracze.

- To prawda.

- Sami Valint i Balk podejrzewali swoich odwiecznych gurkijskich rywali.

- Valint i Balk.

- Znasz tę instytucję?

Shenkt przez chwilę milczał.

- Wydaje mi się, że kiedyś mnie wynajęli. Proszę mówić dalej.

- A teraz zamordowano księcia Ario. - Generał dotknął opuszką palca ciała pod uchem. - Wbito mu ostrze w to samo miejsce, w które dźgnął Bennę Murcatto, po czym wyrzucono przez okno.

- Myśli pan, że Monzcarro Murcatto nadal żyje?

- Tydzień po śmierci syna księżę Orso otrzymał list. Od

niejakiej Carlot dan Eider, kochanki księcia Ario. Od dawna podejrzewaliśmy ją o szpiegowanie na rzecz Unii, ale Orso tolerował ten romans.

- To zaskakujące.

Ganmark wzruszył ramionami.

- Z Unią łączy nas sojusz. Pomogliśmy im wygrać ostatnią rundę niekończącej się wojny z Gurkami. Ich również wspiera dom bankierski Valint i Balk. Nie wspominając o fakcie, że Król Unii jest zięciem księcia Orso. Oczywiście posyłamy do siebie szpiegów, zgodnie z dobrosąsiedzkiimi zwyczajami. A jeśli już trzeba znosić szpiega, to lepiej, żeby to był ktoś tak uroczy jak Eider. Była z księciem Ario w Sipani. Po jego śmierci zniknęła. Potem wysłała list.

- Co w nim napisała?

- Że za pomocą trucizny zmuszono ją do współudziału w zamordowaniu księcia Ario. Że wśród zamachowców byli najemnik Nicomo Cosca oraz oprawczyni Shylo Vitari, a na czele grupy stała Murcatto we własnej osobie. Cała i zdrowa.

- Wierzy jej pan?

- Eider nie miała powodu, by nas okłamywać. Doskonale wie, że żaden list nie ocali jej przed gniewem Jego Ekscelencji, jeśli zostanie złapana. Murcatto żyła, gdy spadła z balkonu, tego jestem pewien. Nie widziałem jej zwłok.

- Szuka zemsty.

Ganmark zachichotał ponuro.

- Żyjemy w Krwawych Latach. Każdy szuka zemsty. Ale Wąż Talinsu? Rzeźniczka z Caprile? Kobieta, która nie kochała na świecie niczego i nikogo poza swoim bratem? Jeśli żyje, płonie z żądzy odwetu. Trudno o bardziej zdeterminowanego wroga.

- Zatem muszę znaleźć tę Vitari, Coscę oraz węża Murcatto.

- Nikt nie może się dowiedzieć, że ona wciąż żyje. Gdyby w Talinsie dowiedziano się, że to Orso zaplanował jej śmierć... mogłoby dojść do zamieszek. Nawet rewolucji. Ludzie bardzo ją kochali. Była ich talizmanem. Maskotką. Jedną z nich, wyniesioną na wyżyny dzięki własnym zasługom. Wojny się przedłużają, a podatki rosną, więc Jego Ekscelencja jest... mniej

lubiany niż mógłby być. Czy mogę liczyć na twoją dyskrecję?

Shenkt nie odpowiedział.

- To dobrze. W Talinsie wciąż przebywają wspólnicy Murcatto. Być może jeden z nich wie, gdzie ona jest. - Generał podniósł wzrok. Po jednej stronie jego zmęczonej twarzy rozlał się pomarańczowy blask ognia. - Ale co ja mówię? Znajdowanie ludzi to twoja domena. Znajdowanie i... - Ponownie dźgnął rozżarzone węgle pogrzebaczem, posyłając w górę snop tańczących iskier. - Nie muszę ci mówić, na czym polega twoje zadanie, prawda?

Shenkt odłożył na wpół ukończoną figurkę i nóż, po czym odwrócił się w stronę drzwi.

- Nie.

W dół

Gdy dotarli do Visserine, słońce chowało się za drzewami, a krajobraz zabarwiał się na czarno. Nawet z odległości kilku mil było widać wieże. Całe tuziny. Sterczały wysokie i smukłe jak palce damy sięgające ku zachmurzonemu błękitno-szaremu niebu. Świetliste kropki wskazywały lampy w oknach.

- Dużo wież - mruknął Dreszcz.

- W Visserine zawsze lubili je budować. - Cosca się uśmiechnął. - Niektóre mają setki lat, pamiętają czasy Nowego Imperium. Najznakomitsze rodziny rywalizują o to, kto zbuduje najwyższą. To kwestia honoru. Pamiętam, że kiedy byłem chłopcem, jedna z wież przewróciła się, zanim ją ukończono, zaledwie trzy ulice od mojego domu. Zburzyła tuzin budynków, w których mieszkała biedota. Biedacy zawsze giną zmiżdżeni pod ambicjami bogaczy. A jednak rzadko się skarżą, ponieważ... no cóż...

- Marzą, że kiedyś sami wybudują wieże?

Cosca zachichotał.

- Tak, myślę, że to prawda. Nie widzą, że im wyżej wejdiesz, tym dalej spadniesz.

- Ludzie rzadko to dostrzegają, dopóki nie popędzą na spotkanie ziemi.

- Otóż to. Boję się, że niedługo wielu bogaczy w Visserine czeka upadek...

Przyjazny zapalił pochodnię, Vitari również, podobnie jak Dzionek, która zatknęła swoją na przodzie wozu, żeby oświetlać drogę. Wszędzie dookoła zapalano pochodnie, aż droga zmieniła się w strumyk światła, wijący się przez mroczną krainę ku morzu. W innych okolicznościach byłby to piękny

widok, ale nie teraz. Nadchodziła wojna i nikt nie był w nastroju na podziwianie widoków.

Im bardziej zbliżali się do miasta, tym bardziej zatłoczona stawała się droga i tym więcej śmieci leżało po obu jej stronach. Wydawało się, że połowa ludzi pragnie za wszelką cenę dostać się do Visserine i schować za jego murami, a druga połowa chce się wydostać i znaleźć na otwartej przestrzeni. Rolnicy stanęli przed ciężkim wyborem w obliczu nadchodzącej wojny. Trzymać się swojej ziemi i narazić na pewne podpalenie, grabież oraz prawdopodobne gwałt i morderstwo, czy ruszyć do miasta, licząc, że znajdzie się tam dla nich miejsce, i narazić się na okradzenie przez swoich obrońców oraz śmierć z ręki najeźdźców, jeśli miasto upadnie. Mogli też ukryć się na wzgórzach, ryzykując złapanie, śmierć głodową albo zamarznącie którejs lodowatej nocy.

Owszem, na wojnie ginie część żołnierzy, ale reszcie pozostają pieniądze, pieśni i ogniska, wokół których mogą przesiadywać. Ginie tam także mnóstwo rolników, ale tym, którzy przetrwają, zostają tylko popioły.

Jakby dla rozładowania atmosfery, w ciemności zaczął padać deszcz, sycząc na migoczących pochodniach, lśniąc białymi smugami w kręgach światła otaczających płomienie. Droga pokryła się lepkiem błotem. Dreszcz czuł mokre łaskotanie na czaszce, ale myślami był daleko. W miejscu, do którego często zaglądał w ciągu ostatnich kilku tygodni. Wrócił do Domu Uciech Cardottiego i ciemnej roboty, którą tam wykonał.

Brat zawsze mu powtarzał, że najpodlejszym czynem, jakiego może się dopuścić mężczyzna, jest zabicie kobiety. Szacunek dla kobiet i dzieci, trzymanie się dawnych zwyczajów i dotrzymanie słowa, oto, co różni ludzi od zwierząt oraz wojowników od zabójców. Nie chciał tego zrobić, ale kiedy się wymachuje ostrzem w tłumie, nie można unikać odpowiedzialności za skutki. Dobry człowiek, którym zamierzał się stać, powinien teraz z rozpaczyny gryźć paznokcie do krwi. Jednakże, gdy myślał o mieczu wyrabującym krwawą dziurę w jej żebrach, o głuchym dźwięku, który temu towarzyszył, i o jej

spojrzeniu, gdy ześlizgiwała się po ścianie, czuł jedynie ulgę, że mu się upiekło.

Dlaczego przypadkowe zabicie kobiety w burdelu to morderstwo, i to najgorsze z możliwych, ale rozmyślne zabicie mężczyzny podczas bitwy to szlachetny czyn? Powód do dumy i śpiewania pieśni. Kiedyś, gdy przesiadywali wokół ognisk na zimnej Północy, te sprawy wydawały mu się proste i oczywiste. Ale dzisiaj Dreszcz nie dostrzegał wyraźnej różnicy. I wcale nie chodziło o to, że się zagubił. Wprost przeciwnie, nagle przejrzał na oczy. Kto raz zacznie zabijać ludzi, temu trudno jest przestać.

- Wyglądasz tak, jakby dręczyły cię mroczne myśli, przyjacielu - rzekł Cosca.

- To nie czas na żarty.

Najemnik zachichotał.

- Mój stary mentor Sazine powiedział mi kiedyś, że należy wypełniać śmiechem każdą chwilę życia, ponieważ później będzie o to znacznie trudniej.

- Naprawdę? I co się z nim stało?

- Zabiła go zgnilizna ramienia.

- Kiepska puenta.

- Cóż, jeśli życie jest żartem, to z pewnością makabrycznym - odparł Cosca.

- Zatem lepiej się nie śmiać, bo jeszcze się okaże, że kpimy z samych siebie.

- Albo odpowiednio dostosować poczucie humoru.

- Trzeba lubić wyjątkowo chore dowcipy, by z tego żartować.

Cosca podrapał się po szyi i popatrzył w stronę czarnych murów Visserine, które wylańały się z gęstniejącego deszczu.

- Muszę przyznać, że jak na razie nie widzę w tym nic śmiesznego.

Po liczbie świateł było widać, że pod bramą panuje nieprzyjemny ścisk. Z bliska sytuacja wcale nie wyglądała lepiej. Od czasu do czasu ktoś wychodził z miasta - starcy, młodzieńcy i kobiety z dziećmi, z bagażami na plecach albo na grzbietach mułów, z wózkami skrzypiącymi w lepkiem błocie.

Wychodzili i nerwowo przepychali się między rozgniewanymi ludźmi, ale niewiele osób przepuszczano w przeciwną stronę. W powietrzu wisiał strach, tym silniejszy, im bardziej gęstniał tłum.

Dreszcz zeskoczył z konia, rozprostował nogi i poluzował ostrze w pochwie.

- W porządku. - Czarne włosy Monzy schowane pod kapturem przyłgnęły do wykrzywionego policzka. - Wprowadzę nas do środka.

- Jesteś pewna, że powinniśmy tam wejść? - spytał Morveer.

Posłała mu przeciągłe spojrzenie.

- Armia Orso jest najwyżej dwa dni drogi za nami. Nadciąga Ganmark, a może również Wierny Carpi z Tysiącem Ostrzy. Musimy się znaleźć tam, gdzie oni.

- Ty tutaj rządzisz, oczywiście. Ale czuję się w obowiązku zauważyć, że nadmiar determinacji nie prowadzi do niczego dobrego. Z pewnością możemy wymyślić mniej niebezpieczny plan, zamiast dać się zamknąć w mieście, które wkrótce zaatakują wrogie siły.

- Czekanie tutaj nic nam nie da.

- Nic nam też nie da to, że zginiemy. Plan, który jest zbyt kruchy, by go nagiąć do zmieniających się okoliczności...

Odwróciła się, zanim zdążył dokończyć, po czym odeszła w stronę łukowatej bramy, przepychając się między ludźmi.

- Kobiety - syknął Morveer przez zaciśnięte zęby.

- Co z nimi? - warknęła Vitari.

- Nie licząc obecnych tutaj pań, mają skłonność do myślenia sercem, a nie głową.

- Dopóki tak dobrze płaci, może myśleć nawet dupą.

- Śmierć bogacza to też tylko śmierć.

- Ale lepsza niż śmierć biedaka - rzekł Dreszcz.

Wkrótce potem pół tuzina strażników zaczęło przepychać się przez tłum, rozpędzając ludzi włóczniami, oczyszczając błotnistą drogę do bramy. Towarzyszył im zasepiony oficer, a tuż za jego plecami trzymała się Monza. Najwyraźniej zasiała kilka monet, a teraz przyszedł czas żniw.

- Wy, tam na wozie. - Oficer wskazał Dreszcza i pozostałych. - Wchodźcie. Was sześcioro i nikt inny.

Wśród ludzi zgromadzonych pod bramą rozległy się gniewne szmery. Ktoś kopnął wóz, gdy ten ruszył.

- Srać na to! To nie w porządku! Całe życie płaciłem Salierowi podatki, a teraz mam zostać pominięty? - Ktoś złapał Dreszcza za ramię, gdy ten usiłował poprowadzić swojego konia w ślad za wozem. Z tego, co dało się zobaczyć w świetle pochodni i ulewnym deszczu, był to rolnik, najwyraźniej bardziej zdesperowany od pozostałych. - Dlaczego ci dranie mają wejść? Mam rodzinę na...

Dreszcz zdzielił go pięścią w twarz, po czym złapał za poły płaszcza, ustawił do pionu i ponownie uderzył, wrzucając do rowu przy drodze. Mężczyzna usiłował się podnieść; po jego twarzy spływała krew, czarna w zapadającym mroku. Kiedy już wywołasz zamieszanie, najlepiej szybko je zakończ. Odrobina przemocy może ci zaoszczędzić przyszłych komplikacji. Tak by postąpił Czarny Dow. Dlatego Dreszcz podszedł do rolnika, oparł but na jego piersi i wepchnął go z powrotem w błoto.

- Lepiej zostań tam, gdzie jesteś. - Z tyłu stało jeszcze kilka osób; Dreszcz widział mroczne sylwetki mężczyzn oraz kobiety z dwójką dzieci obejmujących ją za nogi. Jeden z młodzieńców patrzył prosto na niego, pochylony, jakby zamierzał ruszyć z miejsca. Może był to syn rolnika. - To moja praca, chłopcze. Koniecznie chcesz się położyć?

Chłopak pokręcił głową. Dreszcz ponownie chwycił wodze konia, cmoknął i ruszył w stronę bramy. Nie za szybko. Był czujny, na wypadek gdyby ktoś okazał się na tyle głupi, by go zaczepić. Jednakże ludzie ograniczali się do wykrzykiwania, dlatego są wyjątkowi i należy ich wpuścić, a resztę zostawić dla wilków. Nikogo nie wzruszało to, że ktoś stracił przednie zęby. Nawet ludzie, którzy nie przywykli do scen przemocy, podejrzewali, że wkrótce nadrobią te braki, i dbali tylko o to, by sami nie stali się ofiarami. Dreszcz dołączył do pozostałych, dmuchając na otarte knykcie, zagłębiając się w długim ciemnym tunelu pod bramą.

Próbował sobie przypomnieć, co mu powiedział Wilczarz w Adui. Miał wrażenie, że było to sto lat temu. Coś o krwi, która rodzi więcej krwi, i o tym, że nigdy nie jest za późno, by stać się lepszym. Stać się dobrym człowiekiem. Rudd Trójdrzewiec taki był. Przez całe życie pozostawał wierny dawnym zasadom i nigdy nie wybierał łatwej drogi, jeśli podejrzewał, że wiedzie na manowce. Dreszcz był dumny z tego, że walczył u jego boku i nazywał go swoim przywódcą, cóż jednak zyskał Trójdrzewiec dzięki swej honorowej postawie? Kilka łzawych opowieści przy ognisku oraz ciężkie życie zakończone w ziemi. Z kolei Czarny Dow był najbardziej nieczułym draniem, jakiego znał Dreszcz. Nigdy nie stawał z wrogiem oko w oko, jeśli mógł go zaatakować od tyłu, bez skrupułów palił wioski i łamał składane przysięgi. Był bezlitosny jak zaraza i miał sumienie wielkości fiuta wszy. Teraz zasiadał na tronie Skarlinga; połowa Północy leżała u jego stóp, a druga połowa bała się wypowiedzieć jego imię.

Wyszli z tunelu i wkroczyli do miasta. Woda bryzgała z połamanych rynien na zniszczony bruk. Procesja mokrych mężczyzn, kobiet, mułów i wozów czekała, by wydostać się poza mury. Dreszcz odchylił głowę, mrużąc oczy pod wpływem deszczu zalewającego mu twarz, i popatrzył na wielką wieżę wznoszącą się w czarne nocne niebo. Była trzy razy wyższa od największego budynku w Carleonie, a przecież w Visserine nie brakowało potężniejszych budowli.

Zerknął na Monzę; nauczył się robić to ukradkiem. Jak zwykle była zaszępiiona i wpatrywała się w jakiś punkt przed sobą, a blask mijanych pochodni tańczył na jej wyrazistej twarzy. Gdy na czymś się skupiała, bez wytchnienia dążyła do celu. Srać na sumienie i konsekwencje. Najpierw zemsta, potem pytania.

Obrócił językiem w ustach i splunął. Im więcej widział, tym bardziej był przekonany, że Monza ma rację. Miłosierdzie to tchórzostwo. Nikt nie nagradza szlachetnego zachowania, ani tutaj, ani na Północy, ani nigdzie. Jeśli czegoś się chce, trzeba samemu to zdobyć, a najpotężniejszy jest ten, kto nagrabi

najwięcej. Może byłoby miło, gdyby życie wyglądało inaczej.
Ale wygląda właśnie tak.

Monza była zeszywniała i obolała, jak zawsze. Była wściekła i zmęczona, jak zawsze. Czuła, że musi zapalić, bardziej niż kiedykolwiek. Na domiar złego, było jej coraz bardziej mokro i zimno, a także coraz boleśniej uwierało ją siodło.

Zapamiętała Visserine jako piękne miejsce, pełne migoczącego szkła i eleganckich budynków, dobrego jedzenia, śmiechu i wolności. Zdawała sobie jednak sprawę, że podczas ostatniej wizyty była w wyjątkowo dobrym nastroju. Było ciepłe lato, a nie chłodna wiosna, nie musiała dowodzić nikim poza Benną i nie miała czterech ludzi do zabicia.

Teraz miasto zupełnie nie przypominało jasnego ogrodu, jaki zapamiętała.

Światło lamp sączyło się wokół krawędzi pozamykanych okiennic, migocząc na małych szklanych figurkach, które stały w zagłębieniach nad drzwiami. Duchy ogniska domowego, dawna tradycja sięgająca czasów sprzed Nowego Imperium. Miały na celu przynieść powodzenie i odpędzić zło. Monza zastanawiała się, jaki będzie pożytek z tych kawałków szkła, gdy armia Orso wdrze się do miasta. Żaden. Na ulicach panowała atmosfera strachu, tak gęsta, że oblepiała wilgotną skórę Monzy i jeżyła jej włoski na karku.

Mimo to, ulice były pełne ludzi. Niektórzy biegli w stronę nabrzeża lub bram. Mężczyźni i kobiety z torbami, do których spakowali wszystko, co udało im się zabrać, wlokący za sobą dzieci i starców. Grzechoczące wozy wyładowane workami i skrzynkami, materacami i komodami, rozmaitymi bezużytecznymi śmieciami, które niewątpliwie skończą porzucone wzdłuż którejś z dróg prowadzących z Visserine. W takiej chwili próba ocalenia czegokolwiek poza własnym życiem to strata czasu i wysiłku.

Jeśli zdecydowałeś się uciec, pędź ile sił w nogach.

Wielu ludzi postanowiło poszukać schronienia w mieście i z rozpaczą odkryło, że to ślepy zaułek. Teraz stali na ulicach lub garbili się w bramach, kryjąc się przed deszczem pod kocami. Tłoczyli się pod mrocznymi arkadami na pustym targu, kuląc się, gdy mijały ich kolumny żołnierzy w zbrojach lśniących od wilgoci w blasku pochodni. Dźwięki odbijały się echem w ciemności. Brzęk tłuczonego szkła i pękającego drewna. Wściekłe albo zalęknione okrzyki. Czasami wrzaski.

Monza podejrzewała, że niektórzy mieszkańcy już zabierają się za plądrowanie miasta. Wyrównują dawne porachunki albo zagarniają od dawna pożądane dobra, korzystając z faktu, że władcy skupiają się na własnym przetrwaniu. To jedna z tych rzadkich chwil, gdy człowiek może coś zdobyć za darmo, a kiedy wojska Orso zgromadzą się przed murami, do takich incydentów będzie dochodziło coraz częściej. Fasada cywilizacji już zaczyna się kruszyć.

Monza czuła, że ludzie śledzą każdy krok jej wesołej kompanii. Łypią ze strachem i podejrzliwością lub wręcz przeciwnie - śmiało oceniają, czy przybysze są wystarczająco słabi i bogaci, by próbować ich okraść. Trzymała wodze prawą dłonią, chociaż ich pociąganie sprawiało jej ból, ale chciała, by lewa spoczywała na udzie, blisko rękojeści szpady. Jedynym prawem, które obecnie obowiązywało w Visserine, było prawo miecza. A wróg nawet jeszcze nie stanął u bram.

„Widziałem piekło i jest to wielkie oblężone miasto”, pisał Stolicus.

Droga wiodła pod marmurowym łukiem, gdzie długa strużka wody rozchłapywała się, spadając z wysokiego zwornika. Ścianę powyżej zdobiło malowidło przedstawiające wielkiego księcia Saliera zasiadającego na tronie. Książę wyglądał na przyjemnie pulchnego, a nie monstrualnie otyłego. Unosił jedną dłoń w geście błogosławieństwa, a jego ojcowski uśmiech promieniował niebiańskim światłem. Poniżej grupa obywateli Visserine, od najbiedniejszych po najbogatszych, pokornie cieszyła się dobrodziejstwami jego rządów. Chlebem, winem,

bogactwem. Pod nimi, wzdłuż szczytu łuku, złotymi literami o rozmiarach dorosłego człowieka zapisano słowa „miłosierdzie, sprawiedliwość, odwaga”. Jednakże ktoś głodny prawdy wspiał się na łuk i częściowo zasłonił napis, bazgrząc na nim czerwoną farbą: „chciwość, tortury, tchórzostwo”.

- Cóż za arogancki tłusty skurwiel z tego Saliera. - Vitari uśmiechnęła się do Monzy. Pod wpływem deszczu jej pomarańczowe włosy zmieniły kolor na czarno-brązowy. - Ale to już chyba jego ostatnie podrygi, nie uważasz?

Monza tylko mruknęła coś pod nosem. Patrząc na wyrazistą twarz Vitari, zastanawiała się, czy może jej zaufać. Co prawda, są w samym środku wojny, ale największe niebezpieczeństwo grozi jej ze strony własnej kompanii wyrzutków. Vitari? Robi to dla pieniędzy, a to groźna motywacja, zawsze bowiem znajdzie się jakiś drań o głębszych kieszeniach. Cosca? Jak można zaufać notorycznie niewiernemu pijakowi, którego kiedyś się zdradziło? Przyjazny? Kto, u diabła, wie, jak działa umysł tego człowieka?

Jednakże byli dla niej jak rodzina w porównaniu z Morveerem. Zerknęła przez ramię i zobaczyła, że spogląda na nią surowo ze swojego wozu. Ten człowiek to trucizna i zgniecie ją jak kleszcza, jeśli tylko uzna, że może coś na tym zyskać. Pomysł wjechania do Visserine wzbudził jego podejrzenia, ale Monza nie miała zamiaru wyjaśniać, dlaczego to zrobili. Nie chciała zdradzać, że Orso dostał list od Eider i zapewne zaoferował królewską zapłatę z pieniędzy domu bankierskiego Valint i Balk za jej śmierć, a także wynajął połowę zabójców w Kręgu Świata, by przeczesywali Styrię, licząc, że przyniosą mu jej głowę w worku. Oczywiście, razem z głowami tych, którzy jej pomagają.

Wszystko wskazywało na to, że będą bezpieczniejsi w samym środku bitwy.

Tylko Dreszcza mogła obdarzyć choćby połowicznym zaufaniem. Jechał obok niej, zgarbiony i potężny. Jego paplanina irytowała ją w Westporcie, ale gdy umilkł, o dziwo, poczuła pustkę. Ocalił jej życie w mglistym Sipani. Życie Monzy

już nie było tak wartościowe jak dawniej, ale człowiek, który je uratował, musiał zyskać w jej oczach.

- Coś nagle ucichłeś.

Ledwie widziała jego twarz w ciemności. Dostrzegła tylko zaciętą minę, cienie w oczodołach i pod policzkami.

- Widocznie nie mam nic do powiedzenia.

- Wcześniej cię to nie powstrzymywało.

- Może zaczynam inaczej patrzeć na różne sprawy.

- Czyżby?

- Może ci się wydaje, że przychodzi mi to z łatwością, ale zachowanie nadziei nie jest łatwe. To wysiłek, który nie przynosi zysków.

- Myślałam, że bycie lepszym człowiekiem jest nagrodą samą w sobie.

- Chyba jednak niewystarczającą. Jeśli nie zauważyłaś, jesteśmy w samym środku wojny.

- Możesz mi wierzyć, że wiem, jak wygląda wojna. Towarzyszy mi przez większość życia.

- Cóż za zbieg okoliczności, mnie także. Z tego, co widziałem, a widziałem niejedno, wojna nie jest dobrym miejscem, by stać się lepszym. Myślę, że od tej pory spróbuję żyć tak jak ty.

- Wybierz sobie boga i go czcij! Witamy w prawdziwym świecie! - Mimo że się uśmiechała, czuła się lekko rozczarowana. Sama już dawno zrezygnowała z bycia porządną osobą, ale podobało się jej, że zna kogoś takiego. Ściągnęła wodze i wóz zatrzymał się z grzechotem. - Jesteśmy na miejscu.

Stary dom, który razem z Benną kupili w Visserine, wybudowano, gdy miasta jeszcze nie otaczały silne mury, a bogacze sami strzegli swojego dobytku. Była to kamienna pięciopiętrowa wieża z holem i stajniami po jednej stronie, z wąskimi oknami na parterze i blankami na dachu. Sięgała ku mrocznemu niebu, potężna i czarna, wyraźnie wyróżniając się na tle niskich ceglanych i drewnianych domów, które tłoczyły się wokół. Monza zbliżyła klucz do nabijanych ćwiekami drzwi, po czym zmarszczyła brwi. Drzwi były uchylone, światło zbierało się na szorstkim kamieniu przy progu. Przyłożyła palec

do ust i wskazała wejście.

Dreszcz kopnął drzwi, które otworzyły się na oścież, z trzaskiem odpychając coś z drogi. Monza wpadła do środka, trzymając lewą dłoń na rękojeści szpady. Z kuchni zniknęły meble, za to było tam pełno ludzi. Brudnych i zmęczonych, wpatrujących się w nią z lękiem w blasku pojedynczej migoczącej świecy. Krępy mężczyzna z ręką na temblaku, który znajdował się najbliżej, wstał chwiejnie z pustej beczki i chwycił kawałek drewna.

- Cofnij się! - wrzasnął.

Drugi mężczyzna, ubrany w brudną roboczą koszulę rolnika, zbliżył się o krok, wymachując siekierą.

Dreszcz ominął Monzę, schylając się w drzwiach, po czym wyprostował się, rzucając ogromny cień na ścianę. W dłoni dzierżył ciężki lśniący miecz.

- Sami się cofnijcie.

Rolnik usłuchał, wpatrując się wystraszonymi oczami w błyszczącą stal.

- Kim jesteście, do diabła?

- My? - warknęła Monza. - To mój dom, draniu.

- Jedenaścioro - powiedział Przyjazny, wślizgując się do pomieszczenia.

Oprócz tej dwójki w pomieszczeniu były dwie staruszki oraz zgarbiony mężczyzna, jeszcze starszy od nich, o powykrzywianych, bezwładnie zwisających dłoniach. Młoda kobieta trzymała na rękach niemowlę, a dwie małe dziewczynki, zapewne bliźniaczki, siedziały obok niej i patrzyły na przybyszy wytrzeszczonymi oczami. Mniej więcej szesnastoletnia dziewczyna stała przy pustym palenisku. Trzymała nóż o nierównym ostrzu, którym patroszyła rybę, a drugą ręką chowała za plecami chłopca, może dziesięcioletniego.

Dziewczyna opiekująca się swoim młodszym bratem.

- Odłóż miecz - poleciła Monza.

- Co?

- Nikt dzisiaj nie zginie.

Dreszcz uniósł brew.

- No i kto tutaj jest optymistą?

- Macie szczęście, że kupiłam duży dom. - Mężczyzna z ręką na temblaku wyglądał na głowę rodziny, więc to na nim skupiła wzrok. - Pomieścimy się wszyscy.

Upuścił kij.

- Jesteśmy rolnikami z doliny, szukamy bezpiecznego schronienia. Zastaliśmy dom w takim stanie, niczego nie ukradliśmy. Nie sprawimy wam kłopotów...

- Tak będzie dla was lepiej. To już wszyscy?

- Mam na imię Furii. To moja żona...

- Niepotrzebne mi wasze imiona. Zostaniecie na dole i nie będziecie nam wchodzić w drogę. My będziemy na górze, w wieży. Nie wolno wam tam wchodzić, zrozumiałeś? Wtedy nikomu nic się nie stanie.

Pokiwał głową. Strach na jego twarzy zaczynał ustępować miejsca uldze.

- Zrozumiałem.

- Przyjazny, zaprowadź konie do stajni i zabierz wóz z ulicy.

Monzie robiło się niedobrze, gdy patrzyła na głodne oblicza rolników, bezsilnych i słabych. Kopniakiem odsunęła z drogi połamane krzesło, po czym zaczęła się wspinać po krętych schodach prowadzących w ciemność. Nogi miała zeszytywniałe po całym dniu spędzonym w siodle. Morveer dogonił ją na czwartym podejściu. Tuż za nim szli Cosca i Vitari, Dzionek trzymała się z tyłu, dźwigając kufer. Morveer niósł lampę, która oświetlała od dołu jego niezadowolone oblicze.

- Ci wieśniacy nam zagrażają - mruknął. - Ale to się da łatwo załatwić. Nie trzeba będzie nawet używać Króla Trucizn. Wystarczy podarować im bochenek chleba posypany sproszkowanym kosaćcem, a przestaną...

- Nie.

Morveer zamrugał.

- Jeśli zamierzasz zostawić im wolną rękę, to muszę stanowczo zaprotestować...

- Więc protestuj. Gównu mnie to obchodzi. Ty i Dzionek

możecie zamieszkać w tym pokoju. - Gdy truciiciel odwrócił się, by popatrzeć w ciemność, Monza wyrwała mu lampę z dłoni. - Cosca, ty zamieszkasz na drugim piętrze razem z Przyjaznym. Vitari będzie spała sama w pokoju obok.

- Samotne spanie. - Vitari kopnięciem odłupała odrobinę gipsu od desek. - Taki już mój los.

- Idę do wozu. Muszę przenieść swój sprzęt do przytułku dla bezdomnych wieśniaków pod wezwaniem Rzeźniczki z Caprile.

- Zniesmaczony Morveer pokręcił głową, po czym odwrócił się w stronę schodów.

- Dobry pomysł - odburknęła Monza.

Przez chwilę czekała, aż jego kroki umilkną kilka pięter niżej. Gdy w końcu zapadła cisza, nie licząc nieustannego trajkotania Coski do Przyjaznego, weszła za Dzionek do jej pokoju i zamknęła drzwi.

- Musimy porozmawiać.

Dziewczyna otworzyła kufer i wyjęła kawałek chleba.

- O czym?

- O tym samym, co w Westporcie. O twoim pracodawcy.

- Działa ci na nerwy, prawda?

- Nie mów, że tobie nie.

- Codziennie od trzech lat.

- Pewnie niełatwo z kimś takim pracować. - Monza zbliżyła się o krok, patrząc dziewczynie w oczy. - Wcześniej czy później uczeń musi wyjść z cienia mistrza, jeśli sam chce nim zostać.

- To dlatego zdradziłaś Coscę?

- Mniej więcej - odparła po chwili Monza. - Czasami trzeba podjąć ryzyko. Ale ty masz znacznie lepsze powody - dodała swobodnie, jakby to było oczywiste.

Teraz to Dzionek zamilkła.

- Jakie powody?

Monza udała zaskoczenie.

- Cóż... prędzej czy później Morveer mnie zdradzi i przejdzie na stronę Orso. - Oczywiście nie była tego pewna, ale nadszedł czas zabezpieczyć się przed tą możliwością.

- Naprawdę? - Dzionek przestała się uśmiechać.

- Nie podoba mu się mój sposób działania.
- Kto powiedział, że mnie się podoba?
- Nie rozumiesz?

Dzioniczek tylko zmrużyła oczy, wyjątkowo zapominając o jedzeniu trzymanym w dłoni.

- Jeśli przyłączy się do Orso, będzie musiał zrzucić na kogoś winę za Ario. Będzie potrzebował kozła ofiarnego.

Teraz dziewczyna zrozumiała.

- Niemożliwe - odburknęła. - Jestem mu potrzebna.

- Od jak dawna z nim jesteś? Od trzech lat? Wcześniej jakoś dawał sobie radę, prawda? Jak myślisz, ilu miał asystentów? Widzisz ich gdzieś?

Dzioniczek otworzyła usta, zamrugła, po czym ponownie je zamknęła z namysłem.

- Może zostanie, będziemy jak szczęśliwa rodzina i rozstaniemy się w przyjaźni. Większość trucieli to dobrzy ludzie, gdy lepiej się ich pozna. - Monza pochyliła się i wyszeptła: - Ale kiedy powie ci, że przechodzi na stronę Orso, nie mów, że cię nie ostrzegałam.

Zostawiła dziewczynę wpatrzoną w kawałek chleba, po cichu wyslizgnęła się z pokoju i delikatnie zamknęła drzwi opuszkami palców. Popatrzyła w dół schodów, ale nie zobaczyła Morveera, tylko krętą poręcz znikającą w cieniu. Pokiwała głową. Zasadziła ziarno, teraz będzie musiała zobaczyć, co z niego wyrośnie. Wlekła zmęczone nogi po wąskich stopniach prowadzących na szczyt wieży, gdzie otworzyła skrzypiące drzwi i weszła do komnaty na poddaszu, słysząc nad głową bębnienie deszczu.

Pokój, w którym razem z Benną spędzili szczęśliwy miesiąc pośród mrocznych lat. Z dala od wojen. Śmiejąc się, rozmawiając, obserwując świat przez szerokie okna. Udając, że nigdy nie zajęli się wojennym rzemiosłem, tylko wzbogacili w jakiś inny sposób. Monza zdała sobie sprawę, że się uśmiecha. Mała szklana figurka wciąż lśniła w niszy nad drzwiami. Duch domowego ogniska. Przypomniła sobie, jak Benna rzucił jej przez ramię szeroki uśmiech, gdy ustawiał figurkę na miejscu.

„Żeby mogła nad tobą czuwać, gdy śpisz, tak jak ty zawsze czuwałaś nade mną”.

Uśmiech zniknął z jej twarzy, gdy podeszła do okna i otworzyła jedno skrzydło okiennic pokryte łuszczącą się farbą. Deszcz okrywał mroczne miasto szarym całunem i uderzał o parapet. Odległa błyskawica na chwilę wydobyła z ciemności kłębowisko mokrych dachów oraz inne wieże wyłaniające się z mroku. Po kilku chwilach nad miastem przetoczył się posepny, stłumiony grzmot.

- Gdzie będę spał? - W drzwiach stanął Dreszcz, opierając się o futrynę; przez ramię przewiesił kilka koców.

- Ty? - Zerknęła na szklaną figurkę nad jego głową, potem ponownie na jego twarz.

Może kiedyś była bardzo wybredna, ale wtedy miała Bennę, obie dłonie i wsparcie całej armii. Dziś miała tylko sześcioro dobrze opłacanych wyrzutków, znakomitą szablę oraz mnóstwo pieniędzy. Być może generał powinien utrzymywać dystans wobec swojego wojska, a poszukiwana kobieta wobec wszystkich, ale Monza już nie była generałem. Benna zginął, a ona czegoś potrzebowała. Można płakać nad swoim losem albo wziąć się w garść i dać z siebie wszystko, nawet jeśli życie rozdało nam gówniane karty. Zatrzasnęła okiennice łokciem, usiadła na łóżku, lekko się krzywiąc, po czym zestawiła lampę na podłogę.

- Tutaj, ze mną.

Uniósł brwi.

- Naprawdę?

- Zgadza się, optymisto. To twoja szczęśliwa noc. - Stare łóżko zaskrzypiało, gdy wsparła się na łokciach, po czym wycelowała w niego stopą. - A teraz zamknij drzwi i pomóż mi zdjąć te pieprzone buty.

Szczury w worku

Wychodząc na dach wieży, Cosca zmrużył oczy. Miał wrażenie że nawet światło słońca pragnie sprawić mu ból, ale podejrzewał, że na to zasłużył. Przed nim rozciągało się Visserine: skupiska domów z cegieł i drewna, wille z kremowego kamienia, zielone korony liściastych drzew w parkach i wzdłuż szerokich alei. Wszędzie lśniły okna, posągi z kolorowego szkła stojące na dachach najwspanialszych budynków odbijały światło słońca, błyszcząc jak klejnoty. Wokół wznosiły się inne wieże, niektóre znacznie wyższe od tej, na której stał, a każda rzucała własny długi cień.

Na południowym zachodzie widział szarobłękitne morze, dym nieustannie unoszący się nad słynną dzielnicą szklarską znajdującą się na wyspie niedaleko brzegu oraz kropki morskich ptaków krążących nad fabrykami. Między budynkami na wschodzie majaczyła ciemna rzeka Visser wijąca się jak wąż. Cztery mosty łączyły połówki miasta. Pałac wielkiego księcia Saliera rozsiadł się zazdrośnie na wyspie na środku rzeki. Cosca spędził w nim wiele przyjemnych wieczorów jako honorowy gość wielkiego konesera. Kiedy ludzie jeszcze go kochali, podziwiali i bali się go. Tak dawno, że wydawało się, że chodzi o kogoś innego.

Monza stała nieruchomo przy balustradzie na tle błękitnego nieba. Ostrze szpady, którą trzymała w żylastej lewej dłoni, tworzyło idealnie prostą linię z ramieniem. Stał jasno błyszcząca, rubin na środkowym palcu krwawo migotał, skóra lśniła od potu. Kamizelka przylepiła się jej do ciała. Opuściła szpadę, gdy się zbliżył, uniósł do ust dzbanek od wina i pociągnął długi, orzeźwiający łyk.

- Zastanawiałam się, ile czasu wytrzymasz.

- Niestety, to tylko woda. Czyżbyś nie słyszała mojej uroczystej przysięgi, że nigdy więcej nie tknę wina?

Monza parsknęła.

- Już kiedyś to słyszałam i wiem, jak się skończyło.

- Jestem w trakcie powolnego i bolesnego procesu naprawy swojego życia.

- To także już słyszałam, a skutki były jeszcze bardziej opłakane.

Cosca westchnął.

- Co musi zrobić człowiek, by brano go na poważnie?

- Chociaż raz w życiu dotrzymać słowa?

- Ach, moje delikatne serce, tak często łamane w przeszłości! Czy zniesie taki cios? - Oparł obutą stopę na balustradzie obok Monzy. - Urodziłem się w Visserine, zaledwie kilka ulic stąd. Miałem szczęśliwe dzieciństwo, a potem dziką młodość pełną nieprzyjemnych wypadków. Jeden z nich zmusił mnie do ucieczki z miasta i poszukiwania szczęścia jako żołdak.

- Całe twoje życie było pełne nieprzyjemnych wypadków.

- To prawda. - Chociaż zachował także kilka miłych wspomnień. Nagle zdał sobie sprawę, zerkając na Monzę kątem oka, że większość z nich była z nią związana. Większość najmiłszych, ale także te najgorsze ze wszystkich. Gwałtownie wciągnął powietrze i osłonił oczy dłonią, spoglądając na zachód, poza szarą linię miejskich murów ku mozaice pól. - Nasi przyjaciele z Talinsu jeszcze się nie pojawili?

- Już wkrótce. Generał Ganmark nie zwykł spóźniać się na umówione spotkanie. - Na chwilę umilkła, jak zwykle marszcząc brwi. - Kiedy powiesz „a nie mówiłem”?

- O czym?

- O Orso?

- Dobrze wiesz, co ci powiedziałem.

- Żeby nigdy nie ufać swojemu pracodawcy. - Nauczył się tego w bólach od księżnej Sefeliny z Osprii. - A teraz to ja cię oplacam.

Cosca spróbował się uśmiechnąć, chociaż bolały go usta.

- Myślę, że jesteśmy wobec siebie wystarczająco podejrzliwi.

- Oczywiście. Nie powierzyłabym ci nawet swojego gówna, żebyś je wyniósł do rzeki.

- Szkoda. Jestem pewien, że twoje gówno pachnie słodko jak róże. - Oparł się o balustradę i zamrugał, spoglądając na słońce.

- Pamiętasz, jak kiedyś fechtowaliśmy każdego ranka? Zanim stałaś się dla mnie za dobra.

- Zanim się rozpiłeś.

- Cóż, potem już nie mogłem fechtować, prawda? Jest granica śmieszności, której mężczyzna nie powinien przekraczać, przynajmniej przed śniadaniem. To broń od Calveza?

Uniosła szpadę, słońce zaśniło na krawędzi ostrza.

- Zamówiłam ją dla Benny.

- Dla Benny? A co u diabła miałby rozbić z takim ostrzem? Piec na nim jabłka nad ogniskiem?

- Tak się złożyło, że nawet tego nie zrobił.

- Ja też kiedyś takie miałem. Znakomita szpada, ale przegrałem ją w karty. Chcesz się napić? - Podsunął jej dzbanek.

Wyciągnęła dłoń.

- Chętnie...

- Ha! - Chlusnął jej wodą w twarz.

Monza wrzasnęła, zataczając się do tyłu i rozsiewając wokół siebie krople. Cosca wyszarpnął ostrze z pochwy i zamachnął się, jeszcze zanim dzbanek roztrzaskał się o dach. Monza sparowała pierwsze uderzenie, rozpaczliwie zanurkowała pod drugim, poślizgnęła się, runęła na ziemię, po czym odtoczyła się w bok, gdy ostrze Coski z jękiem trafiło w powierzchnię dachu w miejscu, w którym przed chwilą leżała. Podniosła się, trzymając szpadę w gotowości.

- Robisz się miękka, Murcatto. - Zachichotał, przechodząc na środek dachu. - Dziesięć lat temu nie nabrałabyś się na starą sztuczkę z wodą.

- Przecież mnie nie zaskoczyłeś, idioto. - Powoli otarła brew dłonią w rękawicze. Woda kapiała z koniuszków jej przemoczonych włosów. Cały czas patrzyła mu w oczy. - Masz

coś jeszcze w zanadrzu czy twój kunszt szermierczy obecnie ogranicza się do chlapania wodą?

Prawie, przyznał szczerze sam przed sobą.

- Może się przekonamy?

Skoczyła do przodu i ich ostrza zderzyły się z brzękiem i metalicznym zgrzytem. Na obnażonym prawym ramieniu miała długą bliznę; kolejna otaczała jej przedramię i chowała się pod czarną rękawiczką.

Wskazał ją szpadą.

- Walczysz lewą ręką, co? Mam nadzieję, że nie litujesz się nad staruszkiem.

- Litość? Czyżbyś mnie nie znał?

Sparował pchnięcie, ale kolejne nastąpiło tak szybko, że zdążył tylko uskoczyć w bok, a ostrze przedziurawiło mu koszulę.

Uniósł brwi.

- Dobrze, że trochę schudłem podczas ostatniego pijackiego ciągu.

- Moim zdaniem mógłbyś schudnąć jeszcze trochę. - Okrężała go, trzymając czubek języka między zębami.

- Starasz się ustawić ze słońcem?

- Nie powinieneś był mnie uczyć tych wszystkich brudnych sztuczek. Może też powalczysz lewą ręką, żeby wyrównać szanse?

- Mam zrezygnować z przewagi? Czyżbyś mnie nie znała?

Zamarkował ruch w prawo, po czym odskoczył w drugą stronę, tak że zaatakowała pustkę. Była szybka, ale o wiele wolniejsza niż kiedy walczyła prawą ręką. Gdy go mijała, nadepnął jej na nogę. Potknęła się, a czubek jego szpady zostawił ślad w poprzek blizny na jej ramieniu, zmieniając ją w krzyżyk.

Zerknęła na ranę, w której rogu zebrał się koralik krwi.

- Ty stary draniu.

- Mała pamiątka. - Zakręcił szpadą w powietrzu i ostentacyjnie przeciął powietrze.

Monza ponownie na niego skoczyła i ich ostrza zabrzęczały,

uderzając o siebie. Cięcie, cięcie, pchnięcie i odparowanie. Wszystko to niezdarne, jak szycie w rękawiczkach. Dawniej dawali pokazy szermierki, ale czas niekorzystnie się z nimi obszedł.

- Jedno pytanie... - mruknął Cosca, cały czas patrząc jej w oczy. - Dlaczego mnie zdradziłaś?

- Znudziły mnie, kurwa, twoje dowcipy.

- Oczywiście zasłużyłem na zdradę. Każdy najemnik kończy z ostrzem w brzuchu albo plecach. Ale że zrobiłaś to właśnie ty? - Zadał pchnięcie, a następnie cięcie, po którym musiała się cofnąć z grymasem na twarzy. - Po tym wszystkim, czego cię nauczyłem? Co ci dałem? Bezpieczeństwo, pieniądze i własne miejsce na ziemi? Traktowałem cię jak córkę!

- Chyba raczej jak matkę. Zapomniałeś wspomnieć o tym, jak piłeś na umór i srałeś w spodnie. Miałam wobec ciebie dług, ale są pewne granice. - Okrążyła go, szukając luki; czubki ich ostrzy dzieliła zaledwie grubość palca. - Mogłam pójść za tobą do piekła, ale nie zamierzałam zabrać tam swojego brata.

- Dlaczego nie? Czuliście się tam jak w domu.

- Pierdol się!

Oszukała go pozorowanym atakiem, zmieniła kąt natarcia i zmusiła do odskoczenia z gracją zdychającej żaby. Zapomniał, jak wiele wysiłku wymaga szermierka. Czuł ogień w płucach, bolały go ramię, przedramię, nadgarstek i dłoń.

- Gdyby nie ja, zrobiłby to któryś z pozostałych kapitanów. Sesaria! Vietus! Andiche! - Każde ze znienawidzonych nazwisk podkreśliła ostrym cięciem, niemal wytrącając mu szpadę z ręki. - Wszyscy chcieli się ciebie jak najszybciej pozbyć po Afieri!

- Czy możemy nie wspominać tego przeklętego miejsca?

Sprytnie sparował jej kolejny cios i przeszedł do błyskawicznego ataku, niemal jak za dawnych lat, odpychając Monzę w stronę narożnika dachu. Musi to zakończyć, zanim umrze z wycieńczenia. Ponownie skoczył i ciął w jej ostrze. Wytrącił ją z równowagi przy balustradzie, po czym przechylił do tyłu nad blankami, napierając osłoną rękojeści, aż ich twarze

zbliżyły się na kilka cali, a za głową Monzy ukazała się uliczka biegnąca daleko w dół. Czuł jej przyspieszony oddech na policzku. Przez chwilę miał ochotę ją pocałować albo zepchnąć z dachu. Być może dlatego, że nie mógł się zdecydować, co wybrać, ostatecznie nie zrobił ani jednego, ani drugiego.

- Lepiej walczyłaś prawą ręką - syknął.

- Lepiej walczyłeś dziesięć lat temu. - Wyślizgnęła się spod jego ostrza i niespodziewanie dźgnęła go w oko małym palcem.

- Iiii! - zapiszczał, przyciskając wolną dłoń do twarzy, a wtedy Monza niemal bezgłośnie zdzieliła go kolaniem w klejnoty. Ból przeszył go od brzucha aż po szyję. - Ufff... - Zachwiał się, wypuszczając ostrze z dłoni, po czym zgiął się wpół, nie mogąc złapać oddechu.

- Mała pamiątka. - Lśniący czubek szpady Monzy pozostawił palące zadrapanie na jego policzku.

- Ga! - Powoli osunął się na kolana. Nie ma to jak w domu...

Poprzez wściekły ból usłyszał klaskanie dobiegające od strony schodów.

- Vitari - zachrypiał, mrużąc oczy, gdy wyszła na słońce. - Jak to jest... że zawsze zastajesz mnie... w upokarzającej sytuacji?

- Ponieważ wtedy najbardziej lubię na ciebie patrzeć.

- Suki, nie wiecie, ile macie szczęścia... że nigdy nie poczujecie bólu... po uderzeniu w jaja.

- Spróbuj urodzić dziecko.

- Uroczą propozycja... gdybym tylko był mniej obolały w niektórych rejonach...

Jego dowcip jak zwykle się zmarnował. Vitari już wpatrywała się w coś, co znajdowało się daleko poza blankami i Monzą. Cosca z trudem stanął na wygiętych nogach. Długa kolumna jeźdźców wspięła się na wzniesienie położone na zachód od miasta, widoczne między dwiema pobliskimi wieżami. Kopyta wzbijały w powietrze pył, który przecinał miasto brązową smugą.

- Przyjechali - odezwała się Vitari. Gdzieś z tyłu zabił dzwon, po chwili dołączyły do niego kolejne.

- Tam też - zauważyła Monza, wskazując drugą kolumnę oraz

słup dymu unoszący się za wzgórzem na północy.

Słońce powoli wznosiło się na błękitnym niebie, mocno przypiekając rozszerzającą się łysinę Coski, który patrzył, jak armia księcia Orso stopniowo rozstawia się na polu za murami miasta, Kolejne regimenty sprawnie zajmowały pozycje, daleko poza zasięgiem strzału z łuku. Duży oddział przebył w bród rzekę na północy i zamknął krąg. Konni sprawdzili ustawienie piechoty, po czym wycofali się na jej tyły. Najeźdźcy przygotowywali się do splądrowania wszystkiego, co przegapili podczas ubiegłorocznego oblężenia.

Pojawiały się kolejne namioty i wozy z zapasami rozsiane po błotnistym terenie na tyłach armii. Nieliczni obrońcy na murach bezradnie obserwowali, jak armia Talinsu okopuje się wokół nich z systematycznością mechanizmu gigantycznego zegara. Cosca nigdy nie działał w taki sposób, nawet gdy był trzeźwy. Było w tym więcej inżynierii niż artyzmu, chociaż nie dało się nie podziwiać dyscypliny żołnierzy.

Szeroko rozłożył ręce.

- Witajcie na oblężeniu Visserine!

Pozostali zgromadzili się na dachu, by popatrzeć, jak Ganmark zaciska pętlę wokół miasta. Monza opierała lewą dłoń na biodrze, a prawą luźno położyła na rękoności szpady. Czarne włosy falowały wokół jej zachmurzonego oblicza. Dreszcz stał po drugiej stronie Coski, zerkając złowrogo spod zmarszczonych brwi. Przyjazny siedział przy drzwiach prowadzących na schody i rzucał kośćmi między skrzyżowanymi nogami. Dzionek i Vitari szeptały coś do siebie, stojąc przy balustradzie. Morveer sprawiał wrażenie jeszcze bardziej skwaszonego niż zwykle, jeśli to możliwe.

- Czyżby taki drobiazg jak oblężenie popsuł wszystkim humor? Rozchmurzcie się, towarzysze! - Cosca serdecznie poklepał Dreszcza po szerokich plecach. - Rzadko widuje się, by ktoś z podobną wprawą dowodził tak wielką armią! Powinniśmy pogratulować przyjacielowi Monzy, generałowi Ganmarkowi, wyjątkowej cierpliwości i dyscypliny. Może napiszemy do niego list?

- Drogi generale Ganmark. - Monza splunęła ponad blankami. - Twoja na zawsze, Monzcarro Murcatto.

- Prosta treść - zauważył Morveer - ale na pewno to doceni.

- Mnóstwo żołnierzy - mruknął Dreszcz.

Dotarł do niego spokojny głos Przyjaznego.

- Trzynaście tysięcy czterystu, albo coś koło tego.

- Głównie oddziały armii Talinsu. - Cosca pomachał w ich stronę lunetą. - Oprócz tego kilka regimentów przysłanych przez starszych sprzymierzeńców Orso. Na prawym skrzydle nad brzegiem rzeki widać sztandary wojsk Etrisani, a w środku żołnierzy Cesale. Wyłącznie regularna armia. Ani śladu naszych dawnych kamratów z Tysiąca Ostrzy. Szkoda. Byłoby miło odnowić dawne przyjaźnie, prawda, Monzo? Z Sesarią, Vietusem, Andicze'em. No i oczywiście z Wiernym Carpim. - Odnowić dawne przyjaźnie... i zemścić się na starych przyjaciółach.

- Najemnicy są na wschodzie. - Monza wskazała głową drugi brzeg rzeki. - Odpierają ataki księcia Rogonta i jego Ospriańczyków.

- Nie wątpię, że obie strony doskonale się przy tym bawią, ale my jesteśmy tutaj. - Cosca machnął ręką w stronę żołnierzy za murami. - Generał Ganmark, jak mniemam, również tutaj jest. Jak zamierzasz doprowadzić do naszego radosnego spotkania? Bo zakładam, że masz jakiś plan?

- Ganmark to człowiek światły. Ceni sztukę.

- I co z tego? - spytał Morveer.

- Nikt nie posiada takiej kolekcji jak wielki książę Salier.

- Jego zbiory rzeczywiście są imponujące. - Cosca wielokrotnie je podziwiał, a przynajmniej udawał, że podziwia, skupiając się na smakowaniu wina.

- Powiadają, że najwspanialsze w całej Styrii. - Monza podeszła do balustrady po drugiej stronie dachu, spoglądając na pałac Saliera stojący na wysepce na rzece. - Kiedy miasto upadnie, Ganmark ruszy prosto do pałacu, pragnąc uratować te bezcenne dzieła przed wojenną zawieruchą.

- Czyli ukraść je dla siebie - rzuciła Vitari.

Monza zacisnęła zęby jeszcze mocniej niż zwykle.

- Orso będzie chciał możliwie szybko zakończyć oblężenie, by mieć jak najwięcej czasu na rozprawienie się z Rogontem. Pragnie położyć kres Lidze Ośmiu i zdobyć koronę jeszcze przed nadejściem zimy. A to oznacza wyłomy i szturmy, ciała piętrzące się na ulicach.

- Wspaniale! - Cosca klasnął w dłonie. - Nie wystarczą dostojne drzewa i piękne budynki, na ulicach nie może zabraknąć dekoracji z trupów, czyż nie?

- Zabierzemy umarłym zbroje, mundury i broń. Kiedy miasto upadnie, co stanie się wkrótce, przebierzemy się za żołnierzy Talinsu. Potem przedostaniemy się do pałacu, a gdy Ganmark będzie zajęty ratowaniem zbiorów Saliera i straci czujność...

- Zabijemy drania? - spytał Dreszcz.

Przez chwilę panowała cisza.

- Obawiam się, że dostrzegam w tym planie drobną niedoskonałość. - Marudny ton Morveera był jak gwóźdź wbijający się w tył głowy Coski. - Pałac wielkiego księcia Saliera będzie jednym z najlepiej strzeżonych miejsc w Styrii, a my nie jesteśmy w środku i raczej nie dostaniemy zaproszenia.

- Wprost przeciwnie, ja mam zaproszenie. - Cosca z satysfakcją patrzył, jak wbijają w niego zaskoczony wzrok. - Przed laty byłem blisko związany z Salierem, gdyż korzystał z mojej pomocy przy rozwiązywaniu sporów granicznych z Puranti. Raz w tygodniu jadaliliśmy wspólnie kolację i książę zapewniał mnie, że zawsze jestem mile widziany w pałacu.

Twarz truciciela stanowiła karykaturę pogardy.

- Czy to było, zanim stałeś się pijaczną?

Cosca machnął z lekceważeniem ręką, ale zapamiętał tę zniewagę, dołączając ją do pozostałych.

- Raczej w trakcie tej długiej i niezwykle przyjemnej przemiany. Byłem jak gąsienica przekształcająca się w pięknego motyla. Tak czy inaczej, zaproszenie jest aktualne.

Vitari zmrużyła oczy.

- A jak, do diabła, masz zamiar z niego skorzystać?

- Myślę, że podejść do strażników przy pałacowej bramie i

powiem coś w rodzaju „Jestem Nicomo Cosca, słynny najemnik, przyszedłem na kolację”.

Zapadła niezręczna cisza, zupełnie jakby Cosca, zamiast przedstawić błyskotliwy pomysł, głośno pierdnął.

- Wybacz - mruknęła Monza - ale obawiam się, że twoje nazwisko już nie otwiera wszystkich drzwi tak jak kiedyś.

- Może jedynie drzwi latryny. - Morveer pogardliwie pokręcił głową.

Dziencek posłała z wiatrem cichy chichot. Nawet Dreszcz skrzywił usta z powątpiewaniem.

- Zajmą się tym Vitari i Morveer - burknęła Monza. - Obserwujcie pałac. Znajdźcie sposób, żeby dostać się do środka.

- Oboje spojrzeli na siebie bez entuzjazmu. - Cosca, wiesz co nieco na temat mundurów.

Nicomo westchnął.

- Mało kto wie więcej ode mnie. Każdy pracodawca chce ubrać swoich ludzi we własne barwy. Kiedyś Rada Miejska w Westporcie uszyła mi mundur ze złota. Było mi w nim wygodnie jak z ołowianą rurką w...

- Wolelibyśmy coś mniej rzucającego się w oczy.

Cosca stanął na baczność i energicznie zasalutował.

- Pani generał Murcatto, zrobię, co w mojej mocy, by wykonać pani rozkazy!

- Nie musisz aż tak się wysilać. W twoim wieku mógłbyś sobie coś nadwerężyć. Weź ze sobą Przyjaznego, gdy rozpocznie się szturm.

Skazaniec wzruszył ramionami, po czym ponownie skupił się na kościach.

- Postąpimy szlachetnie i zostawimy umarłych z gołymi dupami! - Cosca odwrócił się w stronę schodów, ale znieruchomiał, gdy zerknął ku zatoce. - Ach! Flota księcia Orso przyłączyła się do zabawy. - Dostrzegł okręty na horyzoncie, białe żagle naznaczone czarnym krzyżem Talinsu.

- Kolejni goście księcia Saliera - odrzekła Vitari.

- Zawsze był hojnym gospodarzem, ale wątpię, by nawet on był przygotowany na tak liczne odwiedziny. Miasto jest

całkowicie odcięte. - Cosca wyszczerzył zęby.

- Jak więzienie - odezwał się Przyjazny, prawie się uśmiechając.

- Jesteśmy bezsilni jak szczury w worku! - prychnął Morveer.

- A wy zachowujecie się tak, jakby to było coś dobrego.

- Pięciokrotnie znajdowałem się w oblężonych miastach i miło wspominam te doświadczenia. To w cudowny sposób ogranicza możliwości. Wyzwala umysł. - Cosca głęboko wciągnął powietrze nosem, po czym wypuścił je z radością. - Kiedy życie jest celą, nie ma nic bardziej wyzwalającego niż niewola.

Rozpaczliwa nadzieja

Pożar.

Nocą Visserine pograżyło się w ogniu i cieniach, zmieniło w bezkresny labirynt porozbijanych murów, zapadniętych dachów i sterczących krokwi. Koszmar pełen bezcielesnych krzyków i upiornych kształtów przemykających w ciemności. Budynki wznosiły się pod niebo, plując pociskami, ślepe okna rozwierały się z wrzaskiem, bryzgając jęzorami ognia łaskoczącymi mrok. Zwęglone belki przebijały płomienie, które oddawały ciosy. Deszcze białych iskier wzbijały się w czarne niebo, z którego sypał się czarny popiół, bezgłośnie jak śnieg. W mieście pojawiły się nowe wieże, powykrzywiane wieże dymu lśniące blaskiem pożarów, które dały im początek, i wymazujące gwiazdy z nieba.

- Ile zdobyliśmy poprzednim razem? - W oczach Coski odbijały się żółte płomienie migoczące po przeciwnej stronie placu. - Trzy, prawda?

- Trzy - zaskrzeczał Przyjazny.

Leżały bezpieczne w skrzyni w jego pokoju: zbroje dwóch żołnierzy Talinsu, jedna z kwadratową dziurą po grocie bełtu z kuszy, oraz mundur młodego drobnego porucznika, którego zmiażdżył zawałony komin. Żołnierz miał pecha, ale Przyjazny podejrzewał, że to jego ludzie wzniecali pożary.

Za murami stały katapulty, pięć na zachodnim i trzy na wschodnim brzegu rzeki. Kolejne znajdowały się na dwudziestu dwóch okrętach, których żagle bielily się w zatoce. Pierwszej nocy Przyjazny wpatrywał się w nie aż do rana. Przerzuciły ponad murami sto osiemnaście płonących pocisków. Pożary przenosiły się, wypalały, rozdzielały i łączyły, więc nie dało się

ich policzyć. Liczby opuściły Przyjaznego, pozostawiając go samotnym i wystraszym. Wystarczyło sześć krótkich dni, trzy razy po dwie noce, by spokojne Visserine zmieniło się w coś takiego.

Jedyną nienaruszoną częścią miasta była wyspa, na której stał pałac księcia Saliera. Murcatto powiedziała, że są tam obrazy i inne ładne przedmioty, które chce ocalić Ganmark, przywódca armii wielkiego księcia Orso, człowiek, którego przybyli zabić. Generał zamierzał spalić niezliczone domy i znajdujących się w nich ludzi, każąc swoim ludziom mordować niestrudzenie w dzień i w nocy, jednak martwe malowidła musiały ocaleć. Przyjazny uznał, że taki człowiek powinien trafić do Bezpiecznego Miejsca, by świat mógł się stać bezpieczniejszy. Tymczasem ludzie słuchali go i podziwiali, a świat płonął. Wszystko stanęło na głowie. Ale może Przyjazny się myli, w końcu sędziowie powiedzieli mu, że nie potrafi odróżnić dobra od zła.

- Gotowy?

- Tak - skłamał Przyjazny.

Cosca wyszczerzył się jak szaleniec.

- A więc jeszcze raz w stronę wyłomu, drogi przyjacielu! - Potruchtał ulicą, trzymając jedną dłoń na rękojeści szabli, a drugą przyciskając kapelusz do głowy.

Przyjazny przełknął ślinę i ruszył w ślad za nim, bezgłośnie poruszając ustami, jakby liczył stawiane kroki. Musiał liczyć coś jeszcze poza czyhającymi na niego niebezpieczeństwami.

Sytuacja wyglądała coraz gorzej, im bardziej zbliżali się do zachodniego skraju miasta. Pożary szalały ze straszliwą siłą, trzeszcząc i rycząc niczym potężne demony wgryzające się w noc. Paliły Przyjaznego w oczy, wypełniając je łzami. A może płakał, widząc otaczające go zniszczenia? Jeśli chcesz coś zdobyć, dlaczego to niszczysz? A jeśli tego nie chcesz, po co próbujesz to komuś odebrać? W Bezpiecznym Miejscu także umierali ludzie. Bez przerwy. Tyle że tam nie dopuszczano się takiego marnotrawstwa. Nie mieli wystarczająco wielu dóbr, by ryzykować ich utratę. Wszystko było cenne.

- Przeklęty gurkijski ogień! - zaklął Cosca, gdy musieli szerokim łukiem ominąć kolejny huczący pożar. - Dziesięć lat temu nikomu nie przyszłoby do głowy używać go jako broni. Ale potem za jego pomocą zmienili Dagoskę w kupę popiołu i wybili dziury w murach Agriontu. Dziś przed rozpoczęciem oblężenia atakujący zawsze próbują wysadzić wszystko w powietrze. Kiedyś też lubiliśmy podpalić budynek albo dwa, żeby przyspieszyć szturm, ale nie robiliśmy takich rzeczy. Wojny prowadziło się dla pieniędzy. Odrobina cierpienia była niepożądanym skutkiem ubocznym. Teraz chodzi głównie o to, by jak najwięcej zniszczyć. Nauka, przyjacielu, nauka. Myślałem, że ma nam ułatwiać życie.

Obok nich ciągnęły kolumny ubrudzonych sadzą żołnierzy, których broje lśniły pomarańczowo od płomieni. Równie umorusani mieszkańcy podawali sobie wiadra z wodą; ich zdesperowane oblicza częściowo oświeślał blask nieugaszonych pożarów. Wściekłe upiory, czarne kształty pośród dusznej nocy. Na strzaskanej ścianie za nimi widniało potężne malowidło. Księżę Salier w pełnej zbroi, nieugięte wskazujący drogę do zwycięstwa. Przyjazny podejrzewał, że kiedyś księżę trzymał sztandar, ale górna część budynku się zawaliła, zabierając ze sobą jego uniesioną rękę. W blasku tańczących płomieni wydawało się, że namalowana twarz drga, namalowane usta poruszają się, a namalowani żołnierze szarżują.

Kiedy Przyjazny był młody, w celi numer dwanaście na jego korytarzu siedział staruszek, który opowiadał historie o dawnych czasach, gdy ten świat stanowił jedno ze światem poniżej, a diabły chodziły po ziemi. Więźniowie śmiali się ze staruszka, a Przyjazny im wtórował, ponieważ w Bezpiecznym Miejscu najmądrzej było robić to, co inni, i nigdy się nie wychylać. Jednakże, gdy nikogo innego nie było w pobliżu, dopytywał, ile dokładnie lat minęło, odkąd zapieczętowano bramy i Euz odgrodził diabły od tego świata. Starzec nie wiedział. Teraz wydawało się, że podziemny świat ponownie sforsował drzwi i wlał się do Visserine, przynosząc chaos.

Pośpiesznie minęli gorejącą wieżę; płomienie migotały w jej

oknach i strzelały z dziurawego dachu jak pochodnia giganta. Przyjazny pocił się i kaszłał. Zaschło mu w ustach, drapało go w gardle, a opuszki palców miał umazane sadzą. Zobaczył nierówny zarys miejskich murów na końcu ulicy zasłanej gruzem.

- Zbliżamy się! Trzymaj się blisko mnie!

- Ja... ja... - Głos Przyjaznego zgasł pod wpływem zadymionego powietrza.

Skazaniec usłyszał jakiś hałas, gdy przemykali wąską alejką, na której końcu migotało czerwone światło. Łoskot i trzask, wzbierającą falę rozwścieczonych głosów. Odgłos przypominał gwar, jaki panował podczas wielkiego buntu w Bezpiecznym Miejscu, do czasu, gdy sześciu najgroźniejszych osadzonych, a wśród nich Przyjazny, postanowiło położyć kres szaleństwu. Ale kto powstrzyma to szaleństwo? Rozległ się huk, od którego zadrżała ziemia, a czerwony blask rozświetlił nocne niebo.

Cosca podkraść się do osmalonego drzewa i kucnął obok pnia. Straszliwy hałas przybrał na sile, lecz Przyjazny prawie go nie słyszał, gdyż w uszach rozbrzmiewało mu łomotanie serca.

Wyłom znajdował się w odległości nie większej niż sto kroków - poszarpana czarna plama nocy wyrwana w miejskim murze i zatkana falującymi oddziałami armii Talinsu. Pełzali jak mrówki po koszmarze powalonych kamieni i połamanego drewna, które tworzyły nierówną rampę prowadzącą na wypalony plac na skraju miasta. Kiedy rozpoczął się szturm, być może toczyła się tutaj zorganizowana bitwa, jednak teraz zmieniła się w bezkształtne, wściekle zamieszanie. Obrońcy roili się za barykadami wzniesionymi przed wypatroszonymi budynkami, atakujący brnęli naprzód przez wyłom, bezmyślnie zwiększając skalę potyczki i liczbę ofiar rzezi.

Ostrza toporów i szpad błyskały i lśniły, dzidy i włócznie kołysały się i plątały, kilka podartych sztandarów zwisało bezwładnie ponad tłumem. Strzały i bełty fruwały w górę i w dół, od strony Talińczyków tłoczących się za murami, od strony obrońców na barykadach, z wieży obok wyłomu. Na oczach Przyjaznego potężna bryła kamienia poleciała, wirując, ze

szczytu murów na kotłujący się tłum i zrobiła w nim ziejącą wyrwę. Setki ludzi walczyły i umierały w piekielnym blasku pochodni, pocisków zapalających i płonących budynków. Przyjazny ledwie mógł uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Wyglądało to na fałsz, oszustwo, pozowanie do upiornego obrazu.

- Wyłom w Visserine - szepnął, patrząc na całą scenę przez ramkę ułożoną z palców i wyobrażając sobie malowidło wiszące na ścianie jakiegoś bogacza.

Kiedy dwie osoby chcą się pozabijać, działają według pewnego schematu. To samo dotyczy kilku, a nawet kilkunastu walczących. W takiej sytuacji Przyjazny zawsze czuł się w pełni komfortowo. Dostosowujesz się do ustalonej formy, a dzięki większej szybkości, sile czy zadziorności możesz ująć z życiem. Tutaj sytuacja wyglądała inaczej. Bezmyślna ludzka masa. Kto wie, kiedy wepchnie cię na ostrze włóczni? Okropna przypadkowość. Jak można przewidzieć lot strzały, bełtu albo spadającego kamienia? Jak można ujrzeć nadciągającą śmierć i jej uniknąć? To jedna wielka gra przypadku, w której stawką jest życie. I podobnie jak w grach hazardowych w Domu Uciech Cardottiego, na dłuższą metę gracze są skazani na porażkę.

- Robi się gorąco! - krzyknął mu do ucha Cosca.

- Gorąco?

- Ale bywało gorzej! W Muris po naszym przejściu wyłom przypominał rzeźnię!

Przyjazny ledwie mógł mówić, tak bardzo kręciło mu się w głowie.

- Byłeś już... w środku czegoś takiego?

Cosca lekceważąco machnął ręką.

- Kilka razy. Ale to się szybko nudzi, jeśli nie jesteś szaleńcem. Może na pierwszy rzut oka wygląda zachęcająco, ale to nie jest miejsce dla dżentelmena.

- Skąd oni wiedzą, kto jest po czyjej stronie? - syknął Przyjazny.

Wyszczerzone zęby Coski błysnęły na umazanej sadzą twarzy.

- Przeważnie zgadują. Ustawiasz się we właściwym kierunku i liczysz, że... ach.

Grupka żołnierzy odłączyła się od kłębowiska walczących i ruszyła naprzód, najeżona bronią. Przyjazny nie wiedział, czy to napastnicy, czy broniący, gdyż niemal nie przypominali ludzi. Odwrócił się i zobaczył ścianę włóczni sunącą ulicą z przeciwnej strony. Światło odbijało się od matowego metalu i padało na nieruchome twarze. To nie byli pojedynczy ludzie, ale maszyna do zabijania.

- Tędy!

Przyjazny poczuł, że ktoś chwyta go za rękę i wciąga przez rozbite drzwi w chwiejącej się ścianie. Potykał się, ślizgał i zataczał. Na wpół wbiegł, a na wpół ześlizgnął się na olbrzymią stertę gruzu, przebijając chmurę duszącego popiołu, po czym legł na brzuchu obok Coski, podnosząc wzrok w stronę ulicy. Ludzie ścierali się, zabijali i ginęli, tworząc bezkształtną gniewną masę. Ponad ich wrzaskami i krzykami wściekłości oraz brzękiem i piskiem metalu Przyjazny usłyszał coś jeszcze. Popatrzył w bok. Cosca klęczał pochylony i trząsał się od z trudem hamowanej wesołości.

- Ty się śmiejesz?

Stary najemnik otarł oczy brudnym palcem.

- A co mi pozostaje?

Znajdowali się w czymś w rodzaju ciemnej doliny zawalonej gruzem. Ulica? Osuszony kanał? Ściek? Obdarcy ludzie grzebali w gruzach. Niedaleko leżał twarzą do ziemi trup. Kobieta przykucnęła nad nim z nożem w dłoni i obcinała mu palce, by zabrać sygnety.

- Odsuń się od ciała! - Cosca zerwał się, dobywając szpady.

- To nasze! - krzyknął wychudzony mężczyzna o splątanych włosach, uzbrojony w kij.

- Nie. - Cosca potrząsnął ostrzem. - To nasze.

Zbliżył się o krok, a wtedy mężczyzna się cofnął, wpadając na spalony krzak. Kobieta wreszcie przecięła kość, zdjęła sygnet i wepchnęła go do kieszeni, po czym rzuciła w Coscę palcem, dołączając wiązanek przekleństw, a następnie zniknęła w

ciemności.

Stary najemnik popatrzył w ślad za uciekinierami, wążąc szpadę w dłoni.

- To Talińczyk. Bierzemy jego ubranie!

Oszołomiony Przyjazny zbliżył się do trupa i zaczął odpinać jego zbroję. Zdjął naplecznik i wsunął go do torby.

- Szybko, przyjacielu, zanim wrócą szczury.

Przyjazny nie miał zamiaru zwlekać, ale trzęsły mu się ręce. Nie był pewien dlaczego. Zazwyczaj tak się nie działo. Ściągnął martwemu mężczyźnie nagolenniki i napierśnik, po czym umieścił je w torbie razem z resztą łupów. Mieli już cztery komplety. Trzy plus jeden. Jeszcze trzy, a wystarczy dla każdego. Może wtedy zabiją Ganmarka i wszystko się skończy, a on będzie mógł wrócić do Talinsu i zasiąść w lokalu Sajaama, licząc monety podczas karcianej rozgrywki. Cóż to były za szczęśliwe czasy. Złamał strzałę tkwiącą w szyi trupa.

- Pomóż mi. - To był niemal szept.

Przyjazny nie był pewien, czy się nie przesłyszał. Ale wtedy zobaczył szeroko otwarte oczy żołnierza. Jego usta znów się poruszyły.

- Pomóż mi.

- Niby jak? - szepnął Przyjazny.

Odpiął haftki na wutowanej kamizeli mężczyzny i zdjął ją najdelikatniej jak potrafił, ostrożnie przeciągając rękaw nad krwawiącymi kikutami odciętych palców. Wepchnął ubranie do torby, po czym łagodnie przewrócił mężczyznę na brzuch, układając go w takiej pozycji, w jakiej go znalazł.

- Dobrze! - Cosca wskazał wypaloną wieżę pochylającą się nad zapadniętym dachem. - Może tamtędy?

- Dlaczego tamtędy?

- A dlaczego nie?

Przyjazny nie mógł się ruszyć. Drżały mu kolana.

- Nie chcę.

- To zrozumiałe, ale powinniśmy trzymać się razem. - Stary najemnik odwrócił się, a wtedy Przyjazny złapał go za ramię. Słowa popłynęły bezładnie z jego ust.

- Tracę rachubę! Nie mogę... nie mogę myśleć. Do ilu doszliśmy? Co... co... czy ja oszalałem?

- Ty? Ależ skąd, przyjacielu. - Cosca z uśmiechem klepnął Przyjaznego w ramię. - Jesteś całkowicie normalny. Ale to wszystko... - Zdjął czapkę i zamasyżuje nią pomachał. - To jest szaleństwo!

Miłosierdzie i tchórzostwo

Dreszcz stał przy uchylonym oknie. Rama okienna otaczała go niczym rama obrazu, gdy patrzył na płonące Visserine. Jego czarną sylwetkę oświetlał pomarańczowy blask pożarów ciągnących się ku miejskim murom - światło padało na połowę jego nieogolonej twarzy, jedno potężne ramię, długą rękę, splot mięśni na biodrze i wgłębienie z boku jego gołego pośladka.

Gdyby był tutaj Benna, z pewnością ostrzegłby Monzę, że ostatnio bardzo ryzykuje. Oczywiście najpierw spytałby, kim jest ten wielki nagi Północny. Wpakowała się w sam środek oblężenia, tak że czuła na karku oddech śmierci. Odsłoniła się przed człowiekiem, któremu płaciła, postąpiła pobłażliwie wobec rolników na parterze.

Czuła mieszkankę strachu i podekscytowania, bez której nie potrafi się obyć hazardzista. Bennie by się to nie spodobało. Ale gdy żył, także nie słuchała jego ostrzeżeń. Jeśli wszystko sprzysięgło się przeciwko tobie, musisz zaryzykować, a Monza zawsze miała talent do wybierania właściwych rozwiązań.

Przynajmniej dopóki nie zabili Benny, a jej nie zrzucili ze szczytu góry.

W ciemności rozległ się głos Dreszcza.

- Skąd masz ten dom?

- Mój brat go kupił. Dawno temu.

Przypomniała sobie, jak stał w oknie, mrużył oczy pod wpływem słońca i oglądał się na nią z uśmiechem. Przez chwilę na jej ustach także tańczył uśmiech.

Dreszcz się nie obejrzał ani nie uśmiechnął.

- Byliście ze sobą blisko, prawda? Ty i twój brat.

- Byliśmy blisko.

- Mój brat i ja też. Każdy, kto go znał, czuł z nim bliską więź. Miał taki dar. Zabił go człowiek zwany Krwawym-dziewięć i przybił jego głowę do drzewca sztandaru, choć wcześniej bratu obiecano miłosierdzie.

Monzy nie obchodziła ta historia. Nudziła ją, a jednocześnie przywoływała obraz martwej twarzy Benny przerzucanego przez balustradę.

- Kto by pomyślał, że tak wiele nas łączy? Pomściłeś go?

- Marzyłem o tym przez lata. Miałem szansę, nawet kilka. Mogłem się zemścić na Krwawym-dziewięć. Wielu ludzi oddałoby życie za taką okazję.

- I co?

Dreszcz napiął mięśnie twarzy.

- Za pierwszym razem ocaliłem mu życie. Za drugim puściłem go wolno i postanowiłem zostać lepszym człowiekiem.

- I od tamtej pory krążysz po świecie jak handlarz ze swoim wózkiem, ofiarowując każdemu miłosierdzie? Dziękuję, ale nie skorzystam.

- To już przeszłość. Przez cały ten czas kroczyłem szlachetną ścieżką, mając nadzieję, że uda mi się przekonać samego siebie, że dobrze zrobiłem, odchodząc, wyrrywając się z zakłętego kręgu. Ale to nieprawda. Miłosierdzie jest równoznaczne z tchórzostwem, tak jak mi mówiłaś, a ten krąg nie przestanie się obracać, niezależnie od naszych wysiłków. Zemsta... nie musi odpowiedzieć na nasze pytania. Z pewnością nie uczyni świata lepszym ani nie sprawi, że słońce będzie bardziej grzało. Ale lepiej jej dokonać niż się wycofać. O wiele lepiej.

- Myślałam, że zależy ci na zostaniu ostatnim sprawiedliwym w Styrii.

- Staralem się postępować dobrze, gdy było to możliwe, ale na Północy nie da się zyskać sławy, nie wykonując ciemnej roboty. Walczyłem u boku Czarnej Dowa, Crummocka-i-Phaila, a nawet samego Krwawego-dziewięć. - Parsknął. - Myślisz, że tutaj ludzie mają zimne serca? Powinnaś zakosztować tamtejszych zim. - W jego wyrazie twarzy było coś,

czego wcześniej nie widziała i nie oczekiwała. - Chciałbym być dobrym człowiekiem, to prawda. Ale jeśli potrzebujesz kogoś innego, to służę pomocą.

Przez chwilę patrzyli na siebie nawzajem w milczeniu. Dreszcz opierał się o ramę okna, a Monza leżała na łóżku z ręką pod głową.

- Skoro naprawdę jesteś takim zimnym draniem, to dlaczego po mnie wróciłeś u Cardottiego?

- Wciąż jesteś mi winna pieniądze.

Nie była pewna, czy żartuje.

- Od razu mi cieplej na sercu.

- Poza tym jesteś najlepszym przyjacielem, jakiego mam w tym pojebanym kraju.

- Przecież nawet cię nie lubię.

- Wciąż mam nadzieję, że to się zmieni.

- Wiesz co? Chyba jesteś na dobrej drodze.

Zobaczyła jego uśmiech w świetle bijącym zza okna.

- Wpuściłaś mnie do swojego łóżka. Pozwoliłaś Furliemu i reszcie zostać w swoim domu. Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że jednak sprzedałem ci trochę miłosierdzia.

Przeciągnęła się.

- Może pod tą szorstką, ale piękną skorupą bije miękkie serce córki rolnika, która pragnie dobra. Przyszło ci to do głowy?

- Przyznaję, że nie.

- A zresztą, jaki miałam wybór? Jeśli wyrzucę ich na ulicę, mogą rozpuścić języki. Bezpieczniej dla nas, jeśli tu pozostaną jako nasi dłużnicy.

- Byłoby najbezpieczniej, gdyby trafili do ziemi.

- Więc może do nich zejdiesz, zabójco, i zadbasz o nasz spokój? To nie powinno stanowić problemu dla bohatera, który kiedyś dźwigał tobołki Czarnemu Dołowi.

- Dowowi.

- Nieważne. Ale najpierw włóż spodnie, dobrze?

- Nie twierdzę, że powinniśmy ich pozabijać, po prostu stwierdzam fakt. Słyszałem, że miłosierdzie i tchórzostwo są tym samym.

- Zrobię, co będzie trzeba, nie martw się. Zawsze tak było. Ale nie jestem Morveerem. Nie zamorduję jedenaściorga rolników dla własnej wygody.

- Miło to słyszeć. Wydawało mi się, że nie przejęłaś się ludźmi, którzy zginęli w banku, skoro razem z nimi umarł Mauthis.

Zmarszczyła brwi.

- Nie taki był plan.

- Albo ludźmi u Cardottiego.

- Tam również nie wszystko poszło tak, jak zamierzałam, jeśli nie zauważyłeś.

- Ależ zauważyłem. Nazywają cię Rzeźniczką z Caprile, prawda? Co tam się wydarzyło?

- To, co było konieczne. - Pamiętała jazdę o zmierzchu i ukłucie strachu, gdy ujrzała dym nad miastem. - Co nie znaczy, że sprawiło mi to przyjemność.

- Ale skutek pozostał ten sam.

- A co ty możesz o tym wiedzieć, do diabła? Nie pamiętam, żebyś tam był.

Odpędziła to wspomnienie i ześlizgnęła się z łóżka. Ciepła beztroska, którą napełniła ją ostatnia wypalona fajeczka, zaczynała się rozwiewać i Monza poczuła się dziwnie niezręcznie w swojej naznaczonej bliznami skórze, gdy pod baczny spojrzeniem Dreszcza szła przez pokój, ubrana tylko w rękawiczkę na prawej dłoni. Na zewnątrz rozciągało się miasto pełne wież i pożarów, rozmazane za pęcherzykowatymi szybkami zamkniętej połowy okna.

- Nie przyprowadziłam cię tutaj, żebyś przypominał mi o moich błędach. Wystarczająco wiele ich popełniłam.

- Jak każdy. Więc po co mnie tu przyprowadziłaś?

- Może dlatego, że mam wielką słabość do potężnych mężczyzn z małutkimi mózgami, jak myślisz?

- Och, staram się nie myśleć za wiele, to zbyt obciąża mój małutki mózg. Ale zaczynam dochodzić do wniosku, że wcale nie jesteś taka twarda, za jaką uchodzisz.

- Jak każdy. - Dotknęła blizny na jego piersi, wodząc opuszką

palca wśród włosów po szorstkiej, pomarszczonej skórze.

- Wszyscy nosimy jakieś rany. - Przesunął dłonią wzdłuż długiej blizny na jej biodrze i po jej napiętym brzuchu. Wciąż wyczuwał w niej tę samą mieszankę strachu i podekscytowania, ale także nutę obrzydzenia.

- Niektórzy gorsze niż inni. - Te słowa zabrzmiały nieprzyjemnie w jej ustach.

- To tylko ślady. - Jego kciuk ześlizgnął się wzdłuż kolejnych blizn na jej żebrach. - Wcale mi nie przeszkadzają.

Zdjęła rękawiczkę z wykrzywionej prawej dłoni i podsunęła mu ją pod nos.

- Nie?

- Nie. - Delikatnie objął rękami jej okaleczoną dłoń, ściskając ją i rozgrzewając.

Początkowo zeszywniała i prawie zabrała rękę, wstrzymując oddech pod wpływem nieprzyjemnego szoku, jakby przyłapała go na pieszczeniu trupa. Jednakże po chwili Dreszcz zaczął kciukami masować jej powykręcaną dłoń, obolałą nasadę kciuka, powykrzywiane palce, aż do opuszek. Był zaskakująco czuły. Sprawiał jej zaskakująco dużo przyjemności. Zamknęła oczy, otworzyła usta, rozprostowała palce i odetchnęła głęboko.

Zbliżył się, poczuła jego ciepło i oddech na twarzy. Ostatnio nie miał okazji się kąpać, więc śmierdział potem, skórą i zepsutym mięsem. Był to ostry zapach, ale nie do końca nieprzyjemny. Wiedziała, że ona też cuchnie. Otarł się szorstkim policzkiem o jej twarz, trącił twardym podbródkiem jej nos, przytulił się do jej szyi. Na ustach Monzy pojawił się półuśmiech, poczuła mrowienie na skórze pod wpływem przeciągu od okna oraz znajomy łaskoczący zapach płonących budynków.

Jedną ręką wciąż ściskał jej dłoń, trzymając ją z boku, a drugą przesunął po sterczącej kości biodrowej, aż do piersi. Zaczął pocierać kciukiem jej sutek, przyjemnie, ale trochę niezdarnie. Monza wolną ręką wodziła po jego fiucie, twardym i gotowym, w górę i w dół, a wilgotna skóra kleiła się jej do dłoni. Uniosła jedną stopę, zdrapując obcasem tynk ze ściany,

po czym oparła ją o parapet, szeroko rozkładając nogi. Jego palce poruszały się między jej udami z cichym mlaskaniem.

Prawą dłonią objęła szczękę Dreszcza, ciągnąc go za ucho powykrzywianymi palcami, kręcąc jego głowę na boki, rozwierając kciukiem usta, by móc w nie wepchnąć język. Smakował tanim winem, które pili, ale ona pewnie też, zresztą, kogo to, do diabła, obchodziło?

Przyciągnęła go do siebie, przywierając skórą do skóry. Nie myślała o swoim martwym bracie, nie myślała o okaleczonej dłoni, nie myślała o wojnie na zewnątrz, o chęci zapalenia fajeczki ani ludziach, których musi zabić. Były tylko ich palce, jego fiut i jej cipa. Może to niedużo, ale zawsze coś, a ona tego potrzebowała.

- No dalej, zerznij mnie - syknęła mu do ucha.

- Pewnie - wychrypiał, po czym chwycił ją pod kolano, przeniósł na łóżko, i rzucił, aż zatrzeszczała rama.

Odsunęła się, robiąc mu miejsce, a on klęknął między jej rozchyłonymi kolanami, przesuwając się do przodu z uśmiechem i spoglądając w dół. Ona również się uśmiechała, nie mogąc się go doczekać. Poczowała końcówkę jego fiuta ocierającą się o jej uda, najpierw o jedno, potem o drugie.

- Kurwa, gdzie...

- Cholerni Północni, nie potrafią nawet trafić dupą w krzesło.

- Teraz nie szukam swojej dupy, tylko innej dziury.

- Tutaj. - Nabrała na palce trochę śliny z języka, oparła się na jednym łokciu, po czym sięgnęła w dół, chwyciła go i poprowadziła we właściwe miejsce.

- Ach.

- Ach - stęknęła w odpowiedzi. - Właśnie tutaj.

- Tak jest. - Poruszył biodrami, z każdym ruchem wchodząc coraz głębiej. - Właśnie... tutaj... - Przesunął dłońmi po jej udach do krótkich włosów i zaczął ją masować kciukiem.

- Delikatnie! - Odtrąciła jego rękę i zastąpiła ją swoją, powoli pieszcząc się środkowym palcem. - Łupiesz orzechy, głupku?

- Twoje orzechy, twoja sprawa. - Jego fiut się wyslizgnął, gdy Dreszcz przesunął się wyżej, ale szybko wsunął go z powrotem.

Zaczęli odnajdywać wspólny rytm, najpierw powolny, potem coraz szybszy.

Cały czas patrzyła na jego twarz, widząc błysk w jego ciemnych oczach. Oboje ciężko dyszeli z obnażonymi zębami. Otworzył usta, żeby ją pocałować, po czym cofnął głowę, a ona wyciągnęła szyję, by dosięgnąć jego ust, ale pozostawał poza zasięgiem, aż w końcu musiała ciężko opaść na plecy z westchnieniem, które przeszło jej ciało ciepłym dreszczem.

Przesunęła prawą dłoń na jego plecy, po czym ścisnęła go za pośladek, który na zmianę napinał się i rozluźniał, coraz szybciej, przy wtórze klaskania wilgotnej skóry. Wsunęła powykręcaną dłoń w szparę między jego pośladkami. Ponownie uniosła głowę i ugryzła go w usta, a on się odwzajemnił, stękając gardłowo. Ukląkł na jednym kolanie, przesunął dłonią po jej żebrach i mocno ścisnął ją za jedną, a potem drugą pierś, niemal sprawiając jej ból.

Skrzyp, skrzyp, skrzyp, jej stopy uniosły się nad łóżko, jego dłoń zaplątała się we włosy Monzy, palce masowały monety pod skórą, odciągały jej głowę do tyłu, jej twarz przywierała do jego twarzy, gdy ssała, gryzła i lizła jego język. To były głębokie pocałunki, ociekające śliną i rozbrzmiewające warczeniem. Niemal nie przypominały pocałunków. Wcisnęła mu palec w tyłek, aż po pierwszy knykieć.

- Co jest, kurwa? - Odsunął się od niej, jakby uderzyła go w twarz, po czym znieruchomiał, nagle spięty.

Cofnęła prawą rękę, lewą wciąż masując się między nogami.

- No dobrze - syknęła. - To nie ujmuje ci nic z męskości, ale twoja dupa, twoja sprawa. Będę się od niej trzymała z daleka...

- Nie o to chodzi. Słyszałaś coś?

Monza nie słyszała niczego poza własnym przyśpieszonym oddechem i cichym odgłosem wilgotnych palców ślizgających się w górę i w dół. Ponownie przywarła do niego biodrami.

- Chodź. Nic się nie dzieje...

Drzwi otworzyły się z hukiem, kawałki drewna odpadły od wyrwanego zamka. Dreszcz zerwał się z łóżka, owijając się kocem. Monzę oszołomiło światło lampy, dostrzegła jaskrawy

błysk metalowej zbroi, usłyszała krzyk i świst ostrza.

Rozległo się metaliczne uderzenie, Dreszcz wrzasnął i runął na podłogę. Monza poczuła na policzku rozbryzg krwi. Zacisnęła dłoń na rękojeści szpady. Niestety, przyzwyczajenie sprawiło, że była to prawa dłoń.

- Nic z tego. - Przez rozbite drzwi weszła kobieta trzymająca naciągniętą kuszę.

Miała zaczesane do tyłu włosy i miękką okrągłą twarz. Mężczyzna, który stał nad Dreszczem ze szpadą w dłoni, odwrócił się w stronę Monzy. Widziała tylko zarys jego zbroi i hełmu. Kolejny żołnierz wpadł do pokoju, trzymając w jednej dłoni latarnię, a w drugiej topór o zakrzywionym lśniącem ostrzu. Monza rozwarła powykrzywiane palce i na wpół wyciągnięta szpada upadła z trzaskiem obok łóżka.

- Tak lepiej - powiedziała kobieta.

Dreszcz jęknął i spróbował wstać, mrużąc oczy pod wpływem światła. Po twarzy ściekała mu krew wypływająca z rozcięcia na głowie. Zapewne dostał w głowę płazem szpady. Mężczyzna z toporem zbliżył się i kopnął go w żebra, łup, łup, a Dreszcz stęknął i zwinął się nagi pod ścianą. Po chwili wszedł czwarty żołnierz, z ręką zakrytą ciemnym materiałem.

- Pani kapitan Langrier.

- Co znaleźliście? - spytała kobieta, podając mu kuszę.

- To i kilka innych.

- Wygląda na mundur armii Talinsu. - Uniosła górną część stroju. - Macie nam coś do powiedzenia?

Lodowaty szok powoli mijał, ustępując miejsca jeszcze bardziej lodowatemu przerażeniu. To byli żołnierze Saliera. Tak bardzo skupiła się na zabiciu Ganmarka, na armii Orso, że zapomniała o drugiej stronie konfliktu. Ale teraz zwrócili na siebie jej uwagę. Nagle zachciało jej się zapalić, tak bardzo, że poczuła mdłości.

- To nie tak, jak myślicie - wychrypiała, zdając sobie sprawę, że jest naga i pachnie seksem.

- Skąd wiesz, co myślę?

W drzwiach pojawił się kolejny żołnierz, z dużymi obwisłymi

wąsami.

- W jednym z pokoi jest cała masa butelek. Nie dotykałem ich. Wyglądają na truciznę.

- Trucizna, sierżancie Pello? - Langrier przekrzywiła głowę i potarła szyję. - Podejrzana sprawa.

- Mogę to wyjaśnić. - Monzie zaschło w ustach. Wiedziała, że nie potrafi podać wiarygodnego wytłumaczenia.

- Dostaniesz szansę, ale dopiero w pałacu. Związać ich. Dreszcz skrzywił się, gdy mężczyzna z toporem przeciągnął mu rękę za plecy i zatrzasnął na nich kajdany, po czym podźwignął go na nogi. Jeden z pozostałych żołnierzy brutalnie wykręcił Monzie rękę i ją zakuł.

- A! Uważaj na moją dłoń!

Zwlekł ją z łóżka i pchnął w stronę drzwi. Poślizgnęła się i z trudem odzyskała równowagę. Wyglądała mało godnie, ale tutaj nie było miejsca na godność. Szklana figurka Benny patrzyła na nią ze swojej niszy. To tyle, jeśli chodzi o opiekę duchów domowego ogniska.

- Czy przynajmniej możemy się ubrać? - zapytała Monza.

- Nie widzę takiej potrzeby.

Zwlekli ją na półpiętro oświetlone blaskiem kolejnej latarni.

- Zaczekaj tutaj. - Langrier kucnęła i ze zmarszczonym czołem przyjrzała się zygzakowatym bliznom na biodrze Monzy i wzdłuż jej uda, eleganckim różowym kropkom po zdjętych szwach. Dźgnęła je kciukiem, jakby sprawdzała świeżość mięsa u rzeźnika. - Widziałeś kiedyś takie ślady, Pello?

- Nie.

Podniosła wzrok na Monzę.

- Skąd je masz?

- Zadrzała mi ręka, kiedy goliłam cipę.

Kobieta parsknęła śmiechem.

- Zabawne, podoba mi się.

Pello też się śmiał.

- Rzeczywiście zabawne.

- To dobrze, że masz poczucie humoru. - Langrier wstała, otrzepując kurz z kolan. - Później bardzo ci się przyda. -

Uderzyła Monzę otwartą dłonią w bok głowy, posyłając ją w dół schodów.

Monza upadła z impetem na ramię i przetoczyła się, objając sobie plecy i ocierając kolana o stopnie. Wrzasnęła i ciężko stęknęła, tracąc oddech pod wpływem uderzenia o drewno, po czym trafiła nosem w ścianę, odbiła się i oparła jedną nogą o tynk. Uniosła głowę, oszołomiona jak pijak; a schody wirowały jej przed oczami. W ustach czuła krew. Wypluła ją, ale po chwili znów się wypełniły.

- Ku... - mruknęła.

- Przeszła ci ochota na żarty? Jeśli nie, zostało nam jeszcze kilka pięter.

Miała dosyć. Pozwoliła się podnieść, stękając pod wpływem bólu przesywającego stłuczone ramię.

- Co to jest?

Monza poczuła, że Langrier brutalnie ściąga jej pierścionek ze środkowego palca. Kapitan z uśmiechem uniosła dłoń do światła, przyglądając się lśniącemu rubinowi.

- Pasuje ci - powiedział Pello.

Monza milczała. Jeśli w tym całym zamieszaniu straci tylko pierścionek od Benny, będzie miała mnóstwo szczęścia.

Kolejni żołnierze przeszukiwali niższe piętra wieży, wyciągając ich rzeczy ze skrzynek i pudeł. Rozległ się chrzęst i brzęk szkła, gdy wysypali na podłogę zawartość jednej ze skrzyń Morveera. Dzionek siedziała na łóżku, a żółte włosy opadały jej na twarz. Ręce miała związane za plecami. Monza na chwilę skrzyżowała z nią spojrzenia, ale w jej oczach nie było współczucia. Dziewczyna przynajmniej miała na sobie ubranie, kiedy przyszli.

Wepchnęli Monzę do kuchni. Oparła się o ścianę, szybko dysząc. Już nie dbała o to, że jest naga. W pomieszczeniu byli także Furi i jego brat. Langrier podeszła do nich i wyciągnęła sakiewkę z tylnej kieszeni.

- Wygląda na to, że mieliście rację. To szpiedzy. - Odliczyła monety na wyciągniętą dłoń rolnika. - Pięć szalek za każdego. Książę Salier dziękuje ci za czujność. Mówiłeś, że jest ich

więcej?

- Jeszcze czworo.

- Będziemy obserwować wieżę i złapiemy ich później. Lepiej znajdź jakieś inne schronienie dla swojej rodziny.

Monza patrzyła, jak Furii zabiera pieniądze. Zlizując krew spływającą jej z nosa, rozmyślała o tym, do czego prowadzi dobroczynność. Sprzedali ją za pięć szalek. Benna zapewne zdenerwowałaby się tą ceną, ale ona miała większe zmartwienia. Rolnik popatrzył na nią po raz ostatni, gdy wywlekali ją przez drzwi. W jego oczach nie było poczucia winy. Może czuł, że zrobił to, co było najlepsze dla jego rodziny pośród wojennej zawieruchy. Może był dumny, że się na to odważył. Może miał rację.

Wygląda na to, że nic się nie zmieniło od czasów, gdy Verturio napisał: „Miłosierdzie i tchórzostwo są tym samym”.

Niedopasowana para

Morveer był przekonany, że ostatnio spędza zbyt wiele czasu na poddaszach. Co gorsza, tym razem znalazł się w miejscu wystawionym na działanie żywiołów. W zrujnowanym budynku brakowało dużej części dachu i zimny wiatr wiał prosto w twarz. Przypomniało mu to pewną rześką wiosenną noc dawno temu, gdy dwie najładniejsze i najpopularniejsze dziewczyny zwabiły go na dach sierocińca, po czym uwięziły go tam w samej koszuli nocnej. Znaleźli go dopiero rano, posiniałego i drżącego, bliskiego śmierci z wyziębienia. Ale się wszyscy śmiali.

Obecne towarzystwo wcale nie dodawało mu otuchy. Shylo Vitari przykucnęła w ciemności, na tle nocnego nieba widać było zarys jej głowy ze sterczącymi włosami. Zamknęła jedno oko, a do drugiego przyłożyła lunetę. W mieście za nimi szalały pożary. Być może wojna służy trucicielom, ale Morveer zawsze wolał trzymać się od niej jak najdalej. Oblężone miasto nie jest odpowiednim miejscem dla cywilizowanego człowieka. Tęsknił za swoim sadem. Tęsknił za swoim wygodnym materacem wypchanym gęsim pierzem. Spróbował naciągnąć kołnierz płaszcza wyżej na uszy i ponownie skupić się na pałacu wielkiego księcia Saliera wznoszącym się na długiej wyspie na środku bystrej rzeki Visser.

- Nie pojmuję, dlaczego człowiek o moim talencie musi zajmować się zwiadem. Nie jestem generałem.

- Ależ skąd. Mordujesz na znacznie mniejszą skalę.

Morveer spojrział na Vitari z ukosa.

- Podobnie jak ty.

- Zgadza się, ale ja nie narzekam.

- Nie podoba mi się to, że trafiłem w sam środek wojny.

- Jesteśmy w Styrii. Jest wiosna. Oczywiście, że toczy się wojna. Po prostu opracujemy jakiś plan i wracamy.

- Z powrotem do przytułku dla wysiedlonych robotników rolnych pod wezwaniem Murcatto? Smród hipokryzji, który unosi się nad tamtym miejscem, podnosi mi ciśnienie.

Vitari chuchnęła w złożone dłonie.

- Wolę być tam niż tutaj.

- Czyżby? Na dole wyją bachory. Na górze bezustannie skrzypi podłoga, gdy nasza pracodawczyni oddaje się wyjątkowo mało subtelnym erotycznym igraszkom z naszym barbarzyńskim towarzyszem. Czy jest coś bardziej irytującego niż słuchanie, jak inni ludzie się pieprzą?

Vitari się wyszczerzyła.

- Masz rację. Zanim skończą, zarwie się pod nimi podłoga.

- Wcześniej pęknie mi czaszka. Czy za wiele wymagam, prosząc o choćby krztynę profesjonalizmu?

- Kogo to obchodzi, dopóki nam płaci?

- Mnie obchodzi, ponieważ przez swoją lekkomyślność może doprowadzić do mojej przedwczesnej śmierci, ale pewnie pozostaje nam zacisnąć zęby.

- Mniej jęczenia, więcej pracy. Musimy znaleźć drogę wejścia.

- Ponieważ szlachetni włodarze styryjskich miast to ludzie ufni, którzy zawsze chętnie przyjmują w swoich rezydencjach nieproszonych gości...

Morveer uważnie przyjrzał się przez lunetę frontowi potężnego budynku, którego strome ściany wznosiły się pośród spienionych wód rzeki. Jak na dom słynnego estety, pałac charakteryzował się wyjątkowo mizernymi walorami architektonicznymi. Stanowił chaotyczną mieszankę niedopasowanych stylów, plątaninę dachów, baszt, kopuł i okien mansardowych z pojedynczą wieżą wznoszącą się pod niebo. Stróżówka była silnie umocniona, wyposażona w ambrazury, wysunięte wieżyczki, machikuły oraz połączane kraty odgradzające most prowadzący do miasta. Stał przed nim

piętnastoosobowy oddział żołnierzy w pełnych zbrojach.

- Brama jest zbyt dobrze strzeżona, a frontowa ściana zbyt odsłonięta, by niepostrzeżenie wspiąć się na dach albo do okna.

- Racja. Możemy przedostać się do środka niezauważeni tylko od północy.

Morveer przeniósł lunetę na wąską północną ścianę budynku, stromą połączoną omszałego kamienia usianą ciemnymi witrażami i zwieńczoną parapetem z gargulcami. Gdyby pałac był okrętem żeglującym w górę rzeki, północna część stanowiłaby jego dziób. Bystry nurt pieniał się z wyjątkową mocą wokół pochyłej podstawy budynku.

- Może nikt nas nie zauważy, ale trudno będzie się tam dostać.

- Boisz się? - Morveer opuścił lunetę i z irytacją zauważył, że Vitari się uśmiecha.

- Powiedzmy raczej, że wątpię w nasze szanse powodzenia. Przyznaję, że perspektywa twojego upadku do spienionej rzeki wydaje się kusząca, ale znacznie mniej pociąga mnie wizja pójścia w twoje ślady.

- Dlaczego po prostu nie powiesz, że się boisz?

Morveer nie miał zamiaru reagować na tak prymitywne drwiny. Nie dawał się prowokować w sierocińcu i z pewnością nie chciał dać się sprowokować teraz.

- Oczywiście potrzebowałibyśmy łodzi.

- Nie powinno być trudno coś znaleźć w górze rzeki.

Wydał usta, rozważając plusy takiego rozwiązania.

- Plan ma tę dodatkową zaletę, że zapewnia nam drogę ewakuacji, a Murcatto najwyraźniej ma w zwyczaju lekceważyć ten element przedsięwzięcia. Kiedy rozprawimy się z Ganmarkiem, spróbujemy przedostać się na dach, wciąż w przebraniu, a następnie zejdziemy po linie do łodzi. Potem po prostu popłyniemy do morza i...

- Popatrz.

Vitari wskazała grupę ludzi szybko idących ulicą w dole, a Morveer skierował na nich lunetę. Około tuzina żołnierzy w zbrojach maszerowało po obu stronach dwóch potykających się

postaci, kobiety i potężnego mężczyzny, całkowicie nagich i skutych za plecami.

- Wygląda na to, że złapali szpiegów - zauważyła Vitari. - Pechowcy.

Jeden z żołnierzy dźgnął mężczyznę końcem drzewca włóczni i więzień przewrócił się na drogę, wypinając tyłek.

- Rzeczywiście, lochy pod pałacem Saliera podobno są wyjątkowo paskudne, nawet jak na Styrię. - Morveer zmarszczył brwi, spoglądając w lunetę. - Ale zaraz. Ta kobieta wygląda jak...

- Murcatto. Kurwa mać, to oni!

- Czy nic nie może przebiegać po naszej myśli? - Morveer poczuł wzbierające przerażenie, którego się nie spodziewał. Z tyłu grupy zobaczył Dzionek. Skuta dziewczyna była ubrana tylko w nocną koszulę. - Niech to szlag! Złapali moją asystentkę!

- Szczać na twoją asystentkę. Złapali naszą pracodawczynię! To znaczy, że mają moją zapłatę!

Morveer mógł tylko zacisnąć zęby, gdy więźniów wprowadzono po moście do pałacu i szczelnie zatrzaśnięto za nimi ciężką bramę.

- Psiakrew! W wieży już nie jest bezpiecznie! Nie możemy tam wrócić!

- Jeszcze godzinę temu nie mogłeś znieść myśli o powrocie do tej jaskini hipokryzji i erotycznych wybryków.

- Ale tam został mój sprzęt!

- Wątpię. - Vitari wskazała pałac najeżoną głową. - Raczej jest w skrzyaniach, które tam zanieśli.

Wściekły Morveer uderzył dłonią w krokiew nad głową, po czym skrzywił się i zaczął ssać palec wskazujący, w który wbiła się drzazga.

- Psiakrew w dupę jebana!

- Spokojnie, Morveer, spokojnie.

- Jestem spokojny!

Z pewnością teraz najrozsądniejszym wyjściem było znalezienie łodzi, podpłynięcie po cichu do pałacu księcia

Saliera, ominięcie go i wypłynięcie na otwarte morze, a potem pogodzenie się ze stratą, powrót do sadu i wykształcenie kolejnej asystentki. Niech Murcatto i jej debil z Północy zbierają żniwo swojej głupoty. Przede wszystkim ostrożność, zawsze, ale...

- Nie mogę zostawić swojej asystentki - warknął. - Po prostu nie mogę!

- Dlaczego?

- Ponieważ... - Nie był pewien. - Nie mam zamiaru męczyć się z kształceniem kolejnej!

Irytujący uśmiech Vitari stał się jeszcze szerszy.

- W porządku. Ty potrzebujesz swojej dziewczyny, a ja swoich pieniędzy. Będziesz się mazał czy poszukasz sposobu na dostanie się do środka? Nadal uważam, że powinniśmy popłynąć łodzią do północnej ściany, a potem wspiąć się na dach po linie z kotwiczką.

Morveer zmrużył oczy i popatrzył z powątpiewaniem w stronę stromej ściany.

- Naprawdę potrafisz tam zamocować kotwiczkę?

- Potrafiłabym ją zamocować w dupie muchy. Martwię się tylko, czy uda ci się odpowiednio ustawić łódź.

Truciciel nie dał się zbić z tropu.

- Spróbuj znaleźć lepszego wioślarza! Potrafię utrzymać łódź nieruchomo w dwa razy silniejszym nurcie, ale to nie będzie konieczne. Mogę wbić hak w ścianę i zakotwiczyć łódź przy skałach na całą noc.

- Brawo.

- Doskonale.

Pod wpływem kłótni jego serce znacznie przyśpieszyło. Chociaż nie lubił tej kobiety, nie kwestionował jej kompetencji. W tych okolicznościach nie mógł sobie wymarzyć odpowiedniejszej towarzyszki. Poza tym, Vitari była kobietą na swój sposób bardzo atrakcyjną i niewątpliwie równie surową jak najostrzejsza opiekunka w sierocińcu...

Zmrużyła oczy.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz mi zaproponować tego

samego, co ostatnim razem?

Morveer aż się wzdrygnął.

- Mogę cię zapewnić, że to się nie powtórzy!

- To dobrze, bo nadal wolałabym zerznąć jeża.

- Dałaś mi to wtedy jasno do zrozumienia! - odpowiedział piskliwym głosem, po czym rozpaczliwie spróbował zmienić temat. - Nie ma sensu zwlekać. Poszukajmy łodzi odpowiedniej dla naszych celów. - Po raz ostatni zerknął w dół i wślizgnął się z powrotem na poddasze. Nagle znieruchomiał. - A to kto? - Samotna postać zmierzała pewnym krokiem ku bramie pałacu. Morveer jeszcze bardziej się załamał. Nie dało się nie rozpoznać tego ekstrawaganckiego chodu. - Cosca. Co ten stary pijus zamierza?

- Kto może wiedzieć, co mu chodzi po tej parchatej głowie?

Najemnik podszedł do strażników z taką swobodą, jakby to był jego pałac, machając do nich ręką. Morveer słyszał jego głos pomiędzy podmuchami wiatru, ale nie rozumiał słów.

- Co oni mówią?

- Potrafisz czytać z ruchu warg? - mruknęła Vitari.

- Nie.

- Miło wiedzieć, że nie we wszystkim jesteś wybitnym specjalistą. Strażnicy pytają go, kim jest.

- Oczywiście! - Tyle dało się odczytać z ruchu halabard, które opuściły się ku piersi Coski.

Stary najemnik zerwał z głowy czapkę i nisko się uklonił.

- Odpowiada... nazywam się Nicomo Cosca... słynny najemnik... i przyszedłem... - Vitari opuściła lunetę i zmarszczyła brwi.

- Tak?

Przeniosła na niego wzrok.

- I przyszedłem na kolację.

Ciemność

Całkowity mrok. Monza szeroko otworzyła oczy, wyteżając wzrok, ale nie zobaczyła niczego poza musującą, drżącą ciemnością. Nie mogłaby zobaczyć nawet swojej wyciągniętej dłoni, oczywiście, gdyby mogła nią poruszyć.

Przykuli ją za nadgarstki do sufitu i za kostki do podłogi. Gdy zwisała swobodnie, ocierała się stopami o lepkie kamienie. Gdy stawała na palcach, mogła odrobinę złagodzić ból pulsujący w rękach, żebrach i bokach. Niestety, wkrótce pieczenie w łydkach stawało się nie do zniesienia, a wtedy, zaciskając zęby, musiała znów zawisnąć na poobcieranych nadgarstkach. Ból był poniżający i przerażający, ale najgorsza była świadomość, że może ją czekać już tylko coś gorszego.

Nie wiedziała, gdzie jest Dzionek. Pewnie zamrugła wielkimi oczami, uroniła pojedynczą łzę i powiedziała, że o niczym nie wie, a oni jej uwierzyli. Jej twarz wzbudzała zaufanie. Monza nigdy nie mogła tego o sobie powiedzieć. Ale pewnie na to nie zasłużyła. Dreszcz szamotał się gdzieś w czarnej jak atrament ciemności, dzwoniąc łańcuchami i klnąc w mowie Północy, a potem po styryjsku.

- Pierdolona Styria. Pierdolony Vossula. Zaraza. Zaraza.
- Przestań! - syknęła. - Lepiej... bo ja wiem... zachowuj siły.
- Myślisz, że siła nam pomoże?
- Na pewno nie zaszkodzi.
- Ale nie pomoże. Nic nie pomoże.
- Na spokój zmarłych, ależ mi się chce szczać.
- To szczaj - odburknęła. - Co za różnica?

Stęknienie. Odgłos płynu rozchlapującego się na kamieniach. Mogłaby pójść w jego ślady, gdyby strach nie ścisnął jej

pęcherza. Znow wspięła się na palce, zmagając się z bólem nóg, nadgarstków, rąk i boków palących przy każdym oddechu.

- Masz jakiś plan? - zapytał Dreszcz.

- A niby jaki mogę mieć, kurwa, plan? Oni sądzą, że szpiegujemy dla ich wrogów. Są tego pewni! Postarają się zmusić nas do mówienia, a jak się okaże, że nie mamy im niczego do powiedzenia, to nas, kurwa, zabiją! - Zwierzęce warczenie, po czym znow grzechotanie łańcuchów. - Myślisz, że nie przewidzieli, że się będziesz szarpał?

- To co mam robić? - Spytał zdławionym, piskliwym głosem, jakby za chwilę miał się rozplakać. - Wisieć tutaj i spokojnie czekać, aż nas złączą kroić?

- Może... - Poczula w gardle łzy, chyba po raz pierwszy w życiu. Nie miała pojęcia, jak się z tego wyplatać. Była bezsilna. Przykuta nago, głęboko pod ziemią, w całkowitej ciemności. Czy można być bardziej bezsilnym? - Nie wiem - szepnęła. - Nie wiem.

Rozległ się szcęk zamka i Monza gwałtownie uniosła głowę, czując mrowienie na skórze. Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem i światło ukłuło ją w oczy. Jakaś postać zeszła po kamiennych stopniach, szurając butami. W rękę trzymała migoczącą pochodnię. Za nią kroczyła kolejna.

- No i jak sobie radzimy? - Kobięcy głos.

To była Langrier, ta, która ich pojmała. Ta, która zrzuciła Monzę ze schodów i zabrała jej pierścień. Towarzyszył jej Pello, wąsaty żołnierz. Oboje byli ubrani jak rzeźnicy, w poplamione skórzane fartuchy i grube rękawice. Pello okrążył pomieszczenie, zapalając kolejne pochodnie. Zamiast nich mogli zamontować lampy, ale pochodnie wyglądają bardziej złowieszczo. Zupełnie jakby Monzę trzeba było dodatkowo straszyć. Światło pełzało po szorstkich kamiennych ścianach śliskich od wilgoci i upstrzonych zielonym mchem. W pomieszczeniu stały dwa stoły zawalone narzędziami z kutego żelaza, które nie wyglądały zbyt subtelnie.

Monza pożałowała, że już nie jest ciemno.

Langrier rozpalala ogień w koksowniku, cierpliwie

dmuchając na węgle. Z każdym oddechem jej łagodną twarz rozświetlał pomarańczowy blask.

Pello zmarszczył nos.

- Które z was się zeszczowało?

- On - powiedziała Langrier. - Ale co to za różnica?

Monza zobaczyła, jak kobieta wsuwa kawałek żelaza do ognia, i poczuła, że zaciska jej się gardło. Zerknęła na Dreszcza, a on w milczeniu odwzajemnił jej spojrzenie. Nie trzeba było słów.

- Wkrótce i tak oboje się zeszczają - dodała Langrier.

- Masz szczęście, że to nie ty będziesz musiała to sprzątać.

- Sprzątałam gorsze rzeczy. - Popatrzyła na Monzę znudzonymi oczami. Nie było w nich nienawiści. Były puste. - Daj im trochę wody, Pello.

Mężczyzna podsunął im dzbanek. Monza miała ochotę plunąć mu w twarz i go zwyzywać, ale chciało jej się pić, więc uznała, że to nie czas na dumę. Otworzyła usta, a on wsunął w nie dzióbek dzbanka. Napiała się, zakaszła, znów się napiała. Woda ściekała jej po szyi na zimne kamienie pomiędzy bosymi stopami.

Langrier patrzyła, jak Monza odzyskuje oddech.

- Widzisz, jesteśmy tylko ludźmi, ale muszę was uczciwie uprzedzić, że to zapewne ostatnia uprzejmość, jaką wam wyświadczamy, jeśli nie będziecie z nami współpracować.

- To jest wojna, chłopcze. - Pello podsunął dzbanek Dreszczowi. - Wojna, a wy jesteście po przeciwnej stronie. Nie mamy czasu na życzliwość.

- Dajcie nam coś - rzekła Langrier. - Coś, co będę mogła przekazać swojemu pułkownikowi. Wtedy na jakiś czas zostawimy was w spokoju i wszyscy będą zadowoleni.

Monza popatrzyła jej prosto w oczy, ze wszystkich sił starając się zabrzmieć przekonująco.

- Nie jesteśmy ludźmi Orso. Przeciwnie. Przyjechaliśmy...

- Mieliście jego mundury, prawda?

- Tylko po to, żeby móc wmieszać się w ich szeregi, jeśli przedostaną się do miasta. Przyjechaliśmy tutaj, żeby zabić

Ganmarka.

- Unijnego generała w armii Orso? - Pello uniósł brwi, a Langrier wzruszyła ramionami.

- Albo są szpiegami i pracują dla Talińczyków. Może zamierzali zabić księcia. Która z tych wersji wydaje się bardziej prawdopodobna?

Pello westchnął.

- Robimy w tej branży już od dawna i w dziewięciu przypadkach na dziesięć najbardziej oczywista odpowiedź okazuje się prawdziwa.

- W dziewięciu przypadkach na dziesięć. - Langrier przeprasząco rozłożyła dłonie. - Chyba będziecie musieli bardziej się postarać.

- Nie mogę się bardziej postarać, do kurwy nędzy - wysyczała przez zaciśnięte zęby Monza. - To wszystko, co...

Nagle Langrier uderzyła ją pięścią w żebra.

- Prawda! - Cios w żołądek. - Prawda! Prawda! Prawda! - Bryzgała śliną na twarz Monzy, gdy wykrzykiwała to słowo, okładając swoją ofiarę przy wtórze ostrych łupnięć i rzeźących stęknięć, które odbijały się głuchym echem od wilgotnych ścian.

Monza nie mogła zrobić żadnej z rzeczy, których rozpaczliwie domagało się jej ciało - opuścić ręk, zgiąć się wpół, przewrócić się ani nawet oddychać. Była bezsilna jak kawał mięsa na haku. Kiedy Langrier zmęczyła się biciem, Monza przez chwilę dygotała w milczeniu, z wytrzeszczonymi oczami, zmagając się ze skurczami wszystkich mięśni, wisząc na trzeszczących nadgarstkach. W końcu opluła sobie pachę wodnistymi wymiocinami, z rozpaczliwym jękiem wciągnęła powietrze, po czym znów się zaśliniła. Obwisła bezwładnie jak mokre prześcieradło na sznurze, a splątane włosy opadły jej na twarz. Słyszała, że z każdym płytkim oddechem jęczy jak zbity pies, ale nie mogła przestać, zresztą, wcale jej na tym nie zależało.

Usłyszała szuranie butów, gdy Langrier podeszła do Dreszcza.

- A więc już wiemy, że ona jest pieprzoną idiotką. Teraz damy szansę tobie, wielkoludzie. Zacznę od czegoś prostego. Jak się nazywasz?

- Caul Dreszcz - odpowiedział piskliwym i napiętym głosem.

- Dreszcz. - Pello zachichotał.

- Północni. Kto im wymyśla te imiona? A ona?

- Powiedziała, że Murcatto. Monzcarro Murcatto.

Monza pokręciła głową. Nie dlatego, że miała do niego pretensje o wyjawienie jej nazwiska. Po prostu wiedziała, że prawda jej nie pomoże.

- No proszę. Sama Rzeźniczka z Caprile w mojej małej celi! Murcatto nie żyje, idioto. Zginęła wiele miesięcy temu, a ja zaczynam mieć tego dosyć. Marnujesz nasz czas, jakbyśmy byli nieśmiertelni.

- Myślisz, że są bardzo głupi czy bardzo odważni? - spytał Pello.

- Co za różnica?

- Przytrzymasz go?

- Może mnie wyręczysz? - Langrier skrzywiła się, poruszając łokciem. - Boli mnie to przekłete ramię. Zawsze tak jest, kiedy pada.

- Ty i twoje ramię.

Zagrzechotał metal, gdy Pello poluzował łańcuch na wyciągu i ręce Dreszcza opadły mu za głowę. Jednakże ulga okazała się krótkotrwała. Pello okrążył więźnia i kopnął go od tyłu w nogi, posyłając na kolana, po czym przytrzymał go w takiej pozycji, opierając but na jego łydkach, tak że ręce Dreszcza znów się wyprostowały.

- Posłuchaj mnie! - Było zimno, ale twarz Dreszcza pokrywały krople potu. - Nie jesteśmy ludźmi Orso! Nie wiem nic o jego armii. Po prostu... po prostu nie wiem!

- To prawda - wychrypiała Monza, ale tak cicho, że nikt jej nie usłyszał. Zresztą od razu dostała ataku kaszlu, który przeszył bólem jej poobijane żebra.

Pello objął głowę Dreszcza jedną ręką, opierając łokieć pod jego szczęką, a drugą ręką odchylił mu twarz do tyłu.

- Nie! - wrzasnął Dreszcz, kierując na Monzę wytrzeszczone oko. - To ona! Murcatto! Ona mnie wynajęła! Żebym zabił siedmiu ludzi! To zemsta za jej brata! I... i...

- Trzymasz go? - spytała Langrier.

- Trzymam.

Głos Dreszcza stał się bardziej piskliwy.

- To ona! Chce zabić księcia Orso! - Dreszcz dygotał i szczykał zębami. - Zabiliśmy Gobbę i bankiera! Bankiera... nazywał się Mauthis! Otruliśmy go, a potem... potem... księcia Ario w Sipani! U Cardottiego! A teraz...

Langrier wsunęła mu między zęby zniszczony drewniany kołek, uciszając jego bezcelowe wyznanie.

- Nie chcę, żebyś sobie odgryzł język. Może jeszcze powiesz mi coś godnego uwagi.

- Mam pieniądze! - zaskrzeczała Monza, która zaczęła odzyskiwać głos.

- Co takiego?

- Mam pieniądze! Złoto! Całe skrzynie! Nie przy sobie, ale... Złoto Hermona! Tylko...

Langrier zachichotała.

- Zdziwiłabyś się, jak wielu ludzi w takiej chwili przypomina sobie o zakopanych skarbach. Rzadko coś z tego wychodzi.

Pello się wyszczerzył.

- Gdybym dostał choćby dziesięć procent tego, co mi obiecywano w tej sali, byłbym bogaczem. Ale nim nie jestem.

- Zresztą, nawet gdybyś miała skrzynie pełne złota, to co miałabym teraz za nie kupić? Jest o kilka tygodni za późno na łapówkę. Armia Talinsu otoczyła miasto. Pieniądze na nic się tutaj nie przydadzą. - Langrier rozmasowała ramię, skrzywiła się, pokręciła ręką, po czym wyjęła żelazo z ognia. Wysunęło się z metalicznym zgrzytem, posyłając w górę snop pomarańczowych iskier, a Monza poczuła w żołądku obrzydliwy skurcz strachu.

- Mówię prawdę - wyszeptała. - Mówię prawdę. - Ale opuściły ją wszystkie siły.

- Jasne. - Langrier podeszła do Dreszcza i przycisnęła

rozpalony do żółtości metal do jego twarzy.

Rozległ się dźwięk przypominający skwierczenie bekonu na patelni, ale głośniejszy i przytłumiony przez dziki, nieartykułowany wrzask. Dreszcz wygiął plecy i szarpnął się jak ryba na haczyku, ale ponury Pello mocno go trzymał.

W górę strzeliła tłusta para oraz niewielki język ognia, który Langrier wprawnie zdmuchnęła, zaciskając usta i wierząc żelazem w oku więźnia. Miała przy tym taką minę, jakby wycierała stół. To był uciążliwy i nieprzyjemny obowiązek, który przypadł jej w udziale i, niestety, musiał zostać wypełniony.

Skwierczenie ucichło. Wrzask Dreszcza zmienił się w syczący jęk, gdy resztką powietrza opuściła jego płuca, a ślina trysnęła pomiędzy rozciągniętych ust, pieniać się na kołku między obnażonymi zębami. Langrier się cofnęła. Żelazo ostygło do pomarańczowego koloru; po jednej stronie było ubrudzone dymiącym czarnym popiołem. Z niesmakiem odrzuciła je z powrotem w ogień.

Pello zwolnił chwyt i Dreszcz poleciał do przodu. Oddech bulgotał mu w krtani. Monza nie wiedziała, czy jest przytomny i świadomy. Miała nadzieję, że nie. W pomieszczeniu unosił się smród przypalonego mięsa. Nie potrafiła spojrzeć na jego twarz. Nie mogła. Musiała. Zobaczyła wielki czarny pas przecinający jego policzek i oko, wokół którego czerwienilo się pokryte bąblami mięso lśniąca od stopionego tłuszczu. Czym prędzej zwróciła szeroko otwarte oczy ku podłodze. W gardle czuła łaskotanie powietrza, a jej skóra była wilgotna i lodowata jak u topielca.

- Gotowe. Teraz wszyscy czujemy się lepiej, prawda? Warto było ukrywać prawdę przez te kilka dodatkowych minut? I tak wszystko, czego nam nie powiecie, później wydobędziemy z tej żółtowołej suki. - Pomachała dłonią przed twarzą Monzy. - Psiakrew, to na nic. Opuść ją, Pello.

Zagrzechotały łańcuchy. Monza nawet nie mogła stać. Była zbyt przestraszona i obolała. Uderzyła kolanami o kamień. Słyszała trzeszczący oddech Dreszcza. Langrier pomasowała się

po ramieniu. Pello cicho mlasnął językiem, naciągając łańcuchy. Monza poczuła, jak podeszwa jego buta wciska się w jej łydki.

- Błagam - szepnęła, drżąc na całym ciele i szczękając zębami. Monzcarro Murcatto, przerażająca Rzeźniczka z Caprile, straszliwy Wąż Talinsu, potwór, który rozkoszował się Krwawymi Latami, to wszystko stało się tylko odległym wspomnieniem. - Błagam.

- Myślisz, że sprawia nam to przyjemność? Myślisz, że nie wolelibyśmy dogadywać się z ludźmi? Przeważnie jestem dosyć lubiana, prawda, Pello?

- Przeważnie.

- Na litość boską, dajcie mi coś, co będę mogła wykorzystać. Po prostu powiedzcie...

- Dobrze, dobrze! - Monzę szczypały oczy. - Powiem! - Czuła łyzy spływające po twarzy. - Powiem wszystko! - Sama nie była pewna, co mówi. - Ganmark! Orso! Talins! - Bełkot. Nic. Cokolwiek. - Ja... pracuję dla Ganmarka! - Cokolwiek, co na kilka chwil powstrzyma żelazo leżące w koksowniku. - Wydaje mi rozkazy!

- Bezpośrednio? - Langrier zmarszczyła brwi i popatrzyła na Pello, który przerwał skubanie suchej skóry na dłoni, by odpowiedzieć takim samym spojrzeniem. - Oczywiście, że tak, w końcu Jego Ekscelencja wielki książę Salier ciągle tutaj wpada, żeby sprawdzić, jak nam idzie. Masz mnie, kurwa, za idiotkę? - Uderzyła Monzę w twarz, po czym poprawiła na odlew, rozkrwawiając jej usta, rozogniając skórę i sprawiając, że pomieszczenie zaczęło się trząść i kołysać. - Wymyślasz to wszystko na poczekaniu!

Monza usiłowała się otrząsnąć.

- Co ma... ci... poedzieć...? - Opuchnięte usta zniekształcały słowa.

- Coś, co mi się, kurwa, przyda!

Zakrwawiona warga Monzy poruszyła się w górę i w dół, ale z jej ust nie wydostało się nic poza strumyczkiem czerwonej śliny. Kłamstwa nic nie dadzą. Prawda nic nie da. Ręka Pello wślizgnęła się na jej szyję od tyłu, mocna jak stryczek, i

odchyliła jej twarz w stronę sufitu.

- Nie! - jęknęła Monza. - Nie! N... - Do ust wepchnęli jej kawałek drewna mokry od śliny Dreszcza.

Langrier pojawiła się w jej polu widzenia, potrząsając ręką.

- Przekłęte ramie! Boli jak diabli, ale czy ktoś się nade mną lituje? - Wyciągnęła z ognia kolejny kawałek żółto-białego żelaza, po czym go uniosła, rzucając słaby blask na twarz Monzy, sprawiając, że kropelki potu na jej czole zaśniły. - Czy jest coś nudniejszego niż ból innych ludzi?

Podniosła żelazo, a Monza wytrzeszczyła załzawione oko, wpatrując się w zbliżający się biały koniuszek, który cichutko syczał. Powietrze boleśnie świstało w jej gardle. Niemal czuła gorąco na policzku, już prawie czuła ból. Langrier się pochyliła.

- Przestańcie.

Kątem oka dostrzegła rozmazaną postać w drzwiach. Szybko zamruwała. Na szczycie schodów stał potężny tłusty mężczyzna ubrany w biały szlafrok.

- Wasza Ekscelencjo! - Langrier pośpiesznie wepchnęła żelazo z powrotem do koksownika, jakby ją parzyło.

Pello puścił Monzę i zabrał nogę z jej łydek.

Oczy wielkiego księcia Saliera powoli poruszyły się na jego obszernym bladym obliczu. Przenosił wzrok z Monzy na Dreszcza, a następnie ponownie na Monzę.

- To oni?

- Zgadza się. - Nicomo Cosca wyjrzał zza ramienia księcia.

Monza nie pamiętała, by kiedykolwiek w życiu tak bardzo ucieszyła się na czyjś widok. Stary najemnik się skrzywił.

- Za późno, żeby uratować oko Północnego.

- Ale wystarczająco wcześniej, by uratować mu życie. Tylko, co pani zrobiła z jej skórą, kapitan Langrier?

- Już miała te blizny, Wasza Ekscelencjo.

- Naprawdę? Nielicha kolekcja. - Salier pokręcił głową. - Cóż za godna pożałowania pomyłka. Od tej chwili ci ludzie są moimi honorowymi gośćmi. Przynieście im coś do ubrania i w miarę możliwości opatrzcie jego ranę.

- Oczywiście. - Kapitan wyszarpnęła kołek z ust Monzy i

skłoniła głowę. - Szczerze żałuję swojego błędu, Wasza Ekszelencjo.

- To zrozumiałe. Toczy się wojna. Ludzie mogą się poparzyć. - Książę westchnął. - Pani generał Murcatto, mam nadzieję, że przyjmie pani propozycję noclegu w moim pałacu i dołączy do nas przy śniadaniu?

Łańcuchy opadły z grzechotem i bezwładne ręce Monzy spoczęły na jej kolanach. Wydawało jej się, że zdołała wydusić z siebie słowo „tak”, zanim gwałtowny szloch odebrał jej głos, a łzy popłynęły po twarzy.

Groza, ból i niewyobrażalna ulga.

Koneser

Każdy uznałby to za typowy poranek spokoju i obfitości w rozległej jadalni księcia Saliera, pomieszczeniu, w którym Jego Ekscelencja niewątpliwie spędzał wiele czasu. Czterej muzycy grali słodkie melodie w odległym kącie, uśmiechając się promiennie, jakby całe życie marzyli o odgrywaniu serenad straceńcom w pałacu otoczonym przez wrogów. Długi stół był zastawiony smakołykami: ryby i skorupiaki, pieczywa i ciasta, owoce i sery, mięsa i słodycze, wszystkie równo poukładane na złożonych talerzach jak medale na piersi generała. Zbyt wiele jedzenia dla dwudziestu osób, a do stołu zasiadło troje, z czego dwoje nie było głodnych.

Monza nie wyglądała dobrze. Miała rozbite usta, twarz bladą na środku, a po bokach opuchniętą i różową, białko jednego oka pokryte krwawymi plamami, dygoczące palce. Cosca nie mógł na nią spokojnie patrzeć, ale uznał, że mogło być gorzej. Niewielka pociecha dla ich przyjaciela z Północy. Mógłby przysiąc, że przez całą noc słyszał jego jęki dobiegające zza ściany.

Sięgnął widelcem po kielbasę, dobrze przysmażoną i poprzecinaną czarnymi paskami od rusztu. Nagle przez głowę przeleciał mu obraz dobrze przysmażonej, poprzecinanej czarnymi paskami twarzy Dreszcza. Odchrząknął i zamiast tego sięgnął po jajko na twardo. Dopiero gdy niósł je na talerz, zauważył podobieństwo do gałki ocznej. Pośpiesznie zrzucił jajko z widelca, czując przyływ mdłości, i zadowolili się herbatą, wyobrażając sobie, że obficie doprawił ją brandy.

Księżę Salier był zajęty wspomnianiem dawnych dokonań, jak często czynią ludzie, których dokonania są już tylko pieśnią

przeszłości. Była to także jedna z ulubionych rozrywek Coski, jednak teraz obiecał sobie z niej zrezygnować, na wypadek gdyby się okazało, że w jego wykonaniu jest choćby po części tak nudna.

- Ach, a te bankiety, które organizowałem w tej sali! Sławni ludzie, którzy korzystali z mojej gościny przy tym stole! Rogont, Cantain, Sotorius, nawet sam Orso. Ale nigdy nie ufałem temu cwaniakowi.

- Dworski taniec styryjskich wyższych sfer - rzekł Cosca. - Partnerzy nigdy nie łączą się na dłużej.

- Taka jest polityka. - Fałda tłuszczu wokół szczęki Saliera poruszyła się miękko, gdy wzruszył ramionami. - Przypływy i odpływy. Wczorajsi bohaterowie jutro będą złoczyńcami. Wczorajsze zwycięstwa... - Popatrzył zaszępiiony na swój pusty talerz. - Obawiam się, że wy dwoje będziecie moimi ostatnimi gośćmi, a niestety, najlepsze lata macie już za sobą. Mimo wszystko, należy cieszyć się każdym gościem i wykorzystywać każdą okazję do zabawy!

Cosca zmusił się do niewyraźnego uśmiechu. Monza nie zamierzała nawet tak się wysilać.

- Nie jesteście w nastroju? Jak się na was patrzy, można by pomyśleć, że miasto się pali! Zresztą przy stole już niczego dobrego nie zdziałamy. Zjadłem dwa razy więcej niż wy do spółki.

Cosca pomyślał, że księżę z pewnością także waży więcej niż Monza i on razem wzięci. Salier sięgnął po szklanekę z jakimś białym płynem i uniósł ją do ust.

- Co pijesz, księżę?

- Kozie mleko. Trochę kwaśne, ale działa cuda na trawienie. Chodźcie, przyjaciele... a także wrogowie, gdyż nie ma nic cenniejszego dla potężnego człowieka niż dobry wróg... przejdźcie się ze mną. - Dźwignął się z krzesła przy wtórze głośnego postękiwania, odrzucił szklanekę, po czym szybko poprowadził ich po wyłożonej płytkami podłodze, wymachując pulchną dłonią w rytm muzyki. - Jak się miewa wasz towarzysz z Północy?

- Wciąż bardzo cierpi - mruknęła Monza, która także wyglądała, jakby zmagala się z bólem.

- Tak... no cóż... straszna sprawa. Taka jest wojna, taka jest wojna. Pani kapitan Langrier powiedziała, że jest was siedmioro. Blondynka o twarzy dziecka jest z nami, podobnie jak milczek, który przyniósł talińskie mundury, a dziś od świtu najwyraźniej liczy wszystkie przedmioty w mojej spiżarni. Nie trzeba jednak znać się na liczbach, żeby zauważyć, że dwoje członków waszej grupy wciąż jest... na wolności.

- Nasz truciciel oraz nasza oprawczyni - odrzekł Cosca. - Szkoda, tak trudno znaleźć dobrych ludzi w ich fachu.

- Zaczyna kompania, nie ma co.

- Trudne zadania wymagają współpracy z trudnymi ludźmi. Podejrzewam, że opuścili Visserine. - Jeśli mieli odrobinę rozsądku, pewnie byli już jedną nogą poza Styrią, a Cosca wcale nie miał im tego za złe.

- Porzucili was? - Salier stęknął. - Znam to uczucie. Opuścili mnie sojusznicy, żołnierze, obywatele. Jestem zrozpaczony. Jedyne pociechę znajduję w moich obrazach. - Wskazał tłustym palcem łukowate przejście z otwartymi ciężkimi drzwiami, zza których sączyło się jaskrawe światło słońca.

Wyszkolone oko Coski dostrzegło głębokie wyżłobienie w kamieniach i metalowe szpikulce lśniące w szerokiej szparze w suficie. Zapewne była to krata.

- Twoje zbiory są dobrze chronione.

- Oczywiście. To najcenniejsza kolekcja w Styrii, gromadzona przez wiele lat. Zaczął mój pradziad.

Salier wprowadził ich do długiego korytarza. Na środku podłogi leżał wąski dywan haftowany złotą nicią, a wielokolorowy marmur błyszczał w świetle wpadającym przez olbrzymie okna. Na przeciwległej ścianie wisiała długa procesja dużych tajemniczych obrazów olejnych w lśniących złożonych ramach.

- Ten korytarz poświęcono mistrzom midderlandzkim - zauważył Salier.

Znajdował się tam drapieżny portret łysego Zollera oraz

poczet królów Unii - Haroda, Arnaulta, Casimira i innych. Wszyscy wyglądali tak dostojnie, jakby srali płynnym złotem. Salier zatrzymał się na chwilę przed monumentalnym płótnem przedstawiającym śmierć Juvensa. Mała krwawiąca postać zagubiona w ogromnym lesie pod niebem przeciętym błyskawicą.

- Cóż za technika. Cóż za kolory, prawda, Cosco?

- Oszalamiające - odrzekł Cosca, chociaż nie widział większej różnicy między tymi wszystkimi bohomazami.

- Spędziłem wiele szczęśliwych dni na kontemplowaniu tych dzieł. Szukałem ukrytych znaczeń w umysłach mistrzów.

Cosca zerknął znacząco na Monzę. Gdyby księżę poświęcał więcej czasu na kontemplowanie map kampanii, a mniej na martwych malarzy, być może Styria nie byłaby dzisiaj w takim położeniu.

- Rzeźby ze Starego Imperium - szepnął księżę, gdy przeszli przez szerokie drzwi do drugiej rozległej galerii, gdzie wzdłuż ścian stały wiekowe posągi. - Nie uwierzylibyście, ile kosztowało przywiezienie ich okrętem z Calcis.

Bohaterowie, imperatorzy, bogowie. Brakujące nosy i ręce, okaleczone i pobrużdżone ciała sprawiały, że wyglądali na urażonych i zdziwionych. Zapomniani zwycięzcy sprzed dziesięciu wieków zmienieni w oszołomione kaleki. Gdzie ja jestem? I gdzie, na Boga, są moje ręce?

- Zastanawiam się, co zrobić - nagle rzekł Salier - i chciałbym poznać pani opinię, generał Murcatto. W całej Styrii i poza jej granicami słynie pani z okrucieństwa, determinacji i poświęcenia. Nigdy nie byłem człowiekiem zdecydowanym. Zbyt chętnie roztrząsam straty, jakie może przynieść dane działanie. Spoglądam z tęsknotą na drzwi, które zostaną zamknięte, zamiast skupiać się na możliwościach, jakie kryją się za drzwiami, które muszę otworzyć.

- To słabość u żołnierza - odrzekła Monza.

- Wiem. Być może jestem słabym człowiekiem i kiepskim żołnierzem. Polegałem na dobrych intencjach, uczciwych słowach i szlachetnych pobudkach, a teraz wygląda na to, że

moi ludzie za to zapłacą. - A może także za jego chciwość, zdrady i bezustanne podżeganie do wojny. Salier uważnie przyjrzał się rzeźbie muskularnego mężczyzny na łodzi. Czyżby to była Śmierć przewożąca dusze do piekła? - Mógłbym uciec z miasta pod osłoną ciemności niewielką łódką. Popłynąć w dół rzeki, po czym zdać się na łaskę mojego sojusznika wielkiego księcia Rogonta.

- To byłoby tylko chwilowe odroczenie wyroku - mruknęła Monza. - Rogont będzie następny.

- Racja. Zresztą, czy człowiek o moich znacznych gabarytach może salwować się ucieczką? Nie wyglądałoby to godnie. Może mógłbym się poddać waszemu przyjacielowi generałowi Ganmarkowi?

- Wiesz, jak to by się skończyło, książę.

Miękka twarz Saliera nagle stężała.

- Być może Ganmark nie jest aż tak wyzuty z litości jak niektóre inne psy księcia Orso? - Po chwili fałda tłuszczu ponownie otoczyła jego podbródek. - Ale ma pani rację. - Zerknął w bok na posąg, który utracił głowę. - Mógłbym liczyć jedynie na to, że nabiją moją tłustą głowę na żerdź. Tak jak w przypadku zacnego księcia Cantaina i jego synów, czyż nie, pani generał Murcatto?

Popatrzyła mu w oczy.

- Tak jak w przypadku Cantaina i jego synów.

Głowy na żerdziach wciąż nie tracą na popularności, pomyślał Cosca.

Skręcili za róg i znaleźli się w kolejnym, jeszcze dłuższym korytarzu. Na ścianach wisały obrazy. Salier klasnął w dłonie.

- Tutaj wiszą Styryjczycy! Najsłynniejsi z naszych obywateli! Ich dziedzictwo przetrwa długo po naszej śmierci. - Zatrzymał się przed malowidłem przedstawiającym tętnący życiem targ. - Może mógłbym targować się z Orso? Wkupić się w jego łaski, oddając mu jego śmiertelnego wroga? Kobietę, która zamordowała jego najstarszego syna i dziedzica?

Monza nawet nie drgnęła. Takie słowa nigdy nie robiły na niej wrażenia.

- Powodzenia.

- Też coś. Powodzenie opuściło Visserine. Orso nie zgodzi się na negocjacje, nawet gdybym mógł mu zwrócić syna, a pani postarała się, by to było niemożliwe. Pozostało nam samobójstwo. - Wskazał olbrzymi obraz w ciemnej ramie, na którym półnagi żołnierz wręczał swój miecz pokonanemu generałowi. Zapewne po to, by mogli złożyć ostatnią ofiarę, której wymagał honor. Oto, do czego honor prowadzi człowieka. - Wbić sobie potężne ostrze w nagą pierś, jak upadli bohaterowie minionych czasów!

Kolejny obraz przedstawiał kpiąco uśmiechniętego handlarza winem, który opierał się o beczkę i unosił kielich do światła. Pić. Pić. Pić.

- A może trucizna? Śmiercionośny proszek w winie? Skorpion w pościeli? Kobra w spodniach? - Salier wyszczerzył zęby. - Nie? Albo się powieszę. Słyszałem, że wisielcy często się spuszczają. - Pomachał dłońmi obok krocza, jakby mogli mieć jakieś wątpliwości, co ma na myśli. - Wydaje się, że to przyjemniejsze od trucizny. - Księżę westchnął i popatrzył ponuro na malowidło przedstawiające kobietę zaskoczoną podczas kąpieli. - Ale nie udawajmy, że wystarczy mi odwagi. Żeby popełnić samobójstwo, a nie się spuścić. To nadal mi się udaje raz dziennie pomimo mojego rozmiaru. A jak to wygląda u ciebie, Cosco?

- Jak pierdolona fontanna - odparł Nicomo, nie chcąc ustępować pola w wulgarności.

- Ale co robić? - Salier się zadumał. - Co...

Monza zastąpiła mu drogę.

- Niech mi pan pomoże zabić Ganmarka.

Cosca uniósł brwi. Nawet pobita, posiniaczona i obłąkana przez wrogów Monza nie mogła się doczekać, kiedy znów sięgnie po ostrze. Rzeczywiście miała w sobie okrucieństwo, determinację i poświęcenie.

- A czemuż miałbym to zrobić?

- Ponieważ on przyjdzie po pana zbiory. - Zawsze potrafiła znaleźć na każdego jakiegoś haka. Cosca wielokrotnie widział,

jak to robiła, między innymi wobec niego. - Przyjdzie spakować do skrzyń wszystkie pańskie obrazy, rzeźby i słoje, żeby odesłać je do Fontezarmo, gdzie ozdobią latryny Orso. - Niezły patent z tymi latrynami. - Ganmark to koneser, tak samo jak ty, książę.

- Ten unijny skurwiel w ogóle mnie nie przypomina! - Kark Saliera nagle poczerwieniał od gniewu. - To zwykły złodziej i bufon, zdegenerowana ciota, która rozlewa krew na słodką styryjską ziemię, jakby nasze błoto nie było wystarczająco dobre dla jego butów! Może mi odebrać życie, ale nie dostanie moich obrazów! Już ja się o to postaram!

- Ja mogę się o to postarać - syknęła Monza, zbliżając się do księcia. - Przyjdzie tutaj, kiedy miasto upadnie. Popędzi ile sił w nogach, żeby zabezpieczyć pańską kolekcję. Możemy tutaj czekać przebrani za jego żołnierzy. Kiedy wejdzie - pstryknęła palcami - opuścimy kratę i złapiemy go w potrzask! Pan go złapie! Pomóż mi, książę.

Niestety, właściwa chwila minęła. Saliera znów ogarnęła beztroska.

- Oto moje dwa ulubione płótna - rzekł, nonszalancko wskazując dwa dopasowane obrazy. - Studium kobiety pędzla Parteo Gavry. W założeniu mają stanowić parę. To jego matka oraz jego ulubiona dziwka.

- Matki i dziwki - zakpiła Monza. - Niech szlag trafi jebanych artystów. Rozmawialiśmy o Ganmarku. Proszę o pomoc!

Salier ciężko westchnął.

- Ach, Monzcarro, Monzcarro. Gdyby tylko poprosiła mnie pani o pomoc pięć lat temu, przed Słodkimi Sosnami. Przed Caprile. Nawet zeszłej wiosny, nim zatknęła pani głowę Cantaina nad jego bramą. Wtedy jeszcze moglibyśmy razem zrobić wiele dobrego, zawalczyć o wolność...

- Proszę mi wybaczyć szczerłość, Wasza Ekscelencjo, ale przez całą noc okładano mnie jak worek mięsa. - Głos Monzy lekko się załamał przy ostatnim słowie. - Spytał mnie pan o opinię. Nie przegrał pan dlatego, że jest za dobry, tylko dlatego, że jest pan zbyt słaby, miękki i powolny. Chętnie walczył pan u boku księcia Orso, gdy łączyły was te same cele, i popierał pan jego

metody, jeśli tylko zapewniały panu zwiększenie terytorium. Pańscy ludzie palili, gwałcili i mordowali. Wtedy nie kochał pan wolności. Wyciągał pan rękę do rolników z Puranti tylko po to, by ich zmiążdżyć. Możesz udawać męczennika, księżę, ale ja się na to nie nabiorę. Chce mi się rzygać.

Cosca się skrzywił. Czasami można powiedzieć zbyt wiele prawdy, zwłaszcza gdy mówi się do potężnych ludzi.

Księżę zmrużył oczy.

- Dziękuję za szczerość, ale jeśli tak się pani odnosiła do Orso, to nic dziwnego, że zrzucił panią ze szczytu góry. Niemal żałuję, że sam nie mam pod ręką żadnego zbocza. Proszę mi powiedzieć, skoro już zebrało się nam na wyznania, czym pani tak rozgniewała Orso? Wydawało mi się, że kochał panią jak własną córkę. A nawet bardziej niż własne dzieci, gdyż tę trójkę - cwaniaka, złośnicę i tchórza - trudno było darzyć uczuciem.

Jej posiniaczony policzek drgnął.

- Stałam się zbyt popularna wśród jego podwładnych.

- I co?

- Bał się, że mogę go pozbawić tronu.

- Naprawdę? Zapewne nigdy pani tego nie chciała?

- Zawsze starałam się go na nim utrzymać.

- Czyżby? - Salier uśmiechnął się do Coski. - Nie byłby to pierwszy przypadek, gdy pani lojalne dłonie wyszarpnęły komuś władzę, prawda?

- Niczego nie zrobiłam! - warknęła. - Tylko wygrywałam dla niego bitwy i uczyniłam go najpotężniejszym człowiekiem w Styrii. Nic poza tym!

Księżę Visserine westchnął.

- To mój brzuch jest wiecznie pusty, Monzcarro, a nie głowa, ale niech pani będzie. Jest pani niewinna. Pod Caprile zapewne też tylko rozdawała pani ciastka, a nie dokonała rzezi. Niech pani zachowa swoje tajemnice, jeśli pani na tym zależy. Teraz i tak nie na wiele się przydadzą.

Cosca zmrużył oczy pod wpływem nagłego rozbłysku światła, gdy wyszli przez otwarte drzwi pod arkadą do dziewiczego ogrodu pośrodku galerii Saliera. W narożnikach znajdowały się

zbiorniki z tryskającą wodą. Przyjemny wiaterek kołysał młodymi kwiatami, poruszał liśćmi w koronach drzew, zrywał płatki z kwitnących suljuckich wiśni, które zapewne wyrwano z ich rdzennej gleby i przywieziono z za morza dla uciechy księcia Visserine.

Na środku brukowanego placu wznosiła się imponująca rzeźba. Przedstawiała postać w co najmniej dwukrotnie powiększonej skali, wyrzeźbioną z idealnie białego, niemal przejrzystego marmuru. Nagi mężczyzna, smukły jak tancerz, a zarazem muskularny jak zapaśnik, z wyciągniętą do przodu ręką dzierżącą miecz z brązu, który pociemniał i pokrył się zielonymi smugami. Niczym dowódca potężnej armii szturmującej jadalnię. Hełm miał zsunięty na tył głowy, a jego idealną twarz wykrzywiał władczy grymas.

- Wojownik - szepnął Cosca, gdy na jego oczy padł cień wielkiego ostrza o lśniących w słońcu krawędziach.

- Zgadza się, dłuta Bonatine'a, najwybitniejszego ze styryjskich rzeźbiarzy. To zapewne jego największe dzieło, wyrzeźbione, gdy Nowe Imperium było w pełni rozkwitu. Pierwotnie Wojownik stał na schodach Senatu w Borletcie. Mój ojciec otrzymał go w ramach rekompensaty po Wojnie Letniej.

- Walczył na wojnie? - Monza skrzywiła rozbite wargi. - W zamian za to?

- To był drobny konflikt. Ale było warto. Piękny, czyż nie?

- Piękny - skłamał Cosca. Dla głodującego człowieka piękny jest chleb. Dla bezdomnego dach nad głową. Dla pijaka wino. Tylko ludzie, którym niczego nie brakuje, znajdują piękno w bryle kamienia.

- Z tego, co mi wiadomo, inspirację stanowił Stolicus dowodzący słynną szarżą podczas bitwy pod Darmium.

Monza uniosła brew.

- Dowodzący szarżą? Myślałam, że w tym celu trzeba włożyć spodnie.

- To się nazywa licencja artystyczna - odburknął Salier. - Twórca może robić, co mu się żywnie podoba.

Cosca zmarszczył czoło.

- Naprawdę? Zawsze uważałem, że człowiek jest w stanie więcej powiedzieć, gdy zbliża się do prawdy...

Przerwał mu odgłos pośpiesznych kroków. Przez ogród szedł zdenerwowany oficer o zroszonej potem twarzy, ubrany w mundur umazany z lewej strony czarnym błotem. Przyklęknął na jedno kolano na bruku, pochylając głowę.

- Wasza Ekscelencjo.

Salier nawet na niego nie spojrzał.

- Mów, jeśli musisz.

- Doszło do kolejnego ataku.

- Zaraz po śniadaniu? - Książę skrzywił się, kładąc dłoń na brzuchu. - Ten Ganmark to typowy Unionista, ma równie lekceważący stosunek do pór posiłków jak pani, Murcatto. Jak im poszło?

- Talińczycy stworzyli drugi wyłom od strony zatoki. Odparliśmy ich, ale ponieśliśmy duże straty. Mają znaczną przewagę liczebną...

- Ależ oczywiście. Przekaż swoim ludziom, by utrzymali pozycje najdłużej jak to możliwe.

Pułkownik obliznął usta.

- A potem...?

- To już wszystko. - Salier ani na chwilę nie oderwał wzroku od olbrzymiego posągu.

- Tak jest, Wasza Ekscelencjo. - Mężczyzna wycofał się w stronę drzwi. Bez wątpienia ku bohaterskiej, bezsensownej śmierci przy którymś z wyłomów.

Cosca zawsze uważał, że naprawdę heroiczna śmierć musi być bezsensowna.

- Visserine wkrótce upadnie. - Salier mlasnął językiem, spoglądając w górę na olbrzymi wizerunek Stolicusa. - To takie... przygnębiające. Gdybym tylko bardziej go przypominał.

- Był szczuplejszy w pasie?

- Mam na myśli kunszt wojenny, ale skoro już marzymy, to dlaczego nie? Dziękuję za... niemal boleśnie szczerą poradę, pani generał Murcatto. Być może pozostało mi jeszcze kilka dni na podjęcie decyzji. - Aby odwlekać nieuniknione kosztem setek

istnień. - Tymczasem mam nadzieję, że pozostaniecie z nami.
Wy oraz troje waszych przyjaciół.

- Jako goście czy więźniowie? - spytała Monza.

- Widziała pani, jak traktuję swoich więźniów. Co by pani
wolała?

Cosca wziął głęboki wdech i powoli podrapał się po szyi.
Wybór był oczywisty.

Marna galareta

Twarz Dreszcza prawie się wygoiła. Pozostał bladoróżowy pasek przecinający czoło, brew i policzek. Zapewne zniknie w ciągu kolejnych kilku dni. Oko wciąż trochę bolało, ale wyglądał dobrze. Monza leżała w łóżku okręcona kołdrą w pasie, zwrócona do niego chudymi plecami. Przez chwilę stał szeroko uśmiechnięty, patrząc, jak jej żebra lekko się poruszają w rytm oddechu, a plamy cienia pomiędzy nimi na zmianę kurczą się i rosą. Przeszedł od lustra do otwartego okna i wyjrzał na zewnątrz. Miasto płonęło, pożary rozświetlały noc. Dziwne, ale nie wiedział, jakie to miasto ani co w nim robi. Jego umysł pracował powoli. Skrzywił się, pocierając policzek.

- Boli - stęknął. - Na spokój zmarłych, boli.

- Och, to cię boli?

Okręcił się na pięcie, zataczając się plecami na ścianę. Fenris Groźny stał nad nim, dotykając łysą głową sufitu. Połowę ciała miał wytatuowaną małutkimi literami, a resztę okrytą czarnym metalem. Jego twarz kipiała jak gotująca się owsianka.

- Przecież... ty nie żyjesz, do kurwy nędzy!

Olbrzym się roześmiał.

- Rzeczywiście nie żyję, do kurwy nędzy.

Jego ciało przeszywał miecz. Rękojeść sterczała nad biodrem, a końcówka ostrza wystawała pod drugą ręką.

Energicznie przesunął potężnym kciukiem po zakrwawionej głowicy, rozchlapując krew po dywanie.

- To dopiero boli. Obciąłeś włosy? Wcześniej bardziej mi się podobałeś.

Bethod wskazał swoją rozbitą głowę, miazgę z krwi, mózgu, włosów i kości.

- Zamknijcie się wy waj. - Nie mógł normalnie mówić, ponieważ miał zmiążdżone usta. - To dopiero jest ból! - Popchnął Groźnego. - Dlaczego nie mogłeś wygrać, głupi diable?

- Ja śnię - powiedział do siebie Dreszcz, starając się to wszystko pojąć, ale jego twarz pulsowała bólem. - Na pewno śnię.

Ktoś śpiewał.

- Jestem... stworzony... ze śmierci! - Młot uderzał w gwóźdź. - Jestem Wielkim Rozjemcą! - Bam, bam, bam, raz za razem przeszywając twarz Dreszcza bólem. - Jestem huraganem na Wysokich Szczytach! - Krwawy-dziewięć nucił pod nosem, tnąc zwłoki brata Dreszcza na małe kawałki, rozebrany do pasa, pokryty bliznami i poskręcany mięśniami, unurzany we krwi. - Więc teraz jesteś dobrym człowiekiem, tak? - Pomachał nożem, uśmiechając się do Dreszcza. - Musisz, kurwa, stać się twardszy, chłopcze. Powinieneś być mnie zabić. Teraz pomóż mi odciąć jego ręce, optymisto.

- Zmarli wiedzą, że nie lubię tego drania, ale ma rację. - Głowa brata Dreszcza popatrzyła w dół z drzewca sztandaru Bethoda. - Musisz stać się twardszy. Miłosierdzie i tchórzostwo są tym samym. Myślisz, że mógłbyś wyrwać ten gwóźdź?

- Przynosisz mi wstyd, kurwa! - Jego ojciec, chuda twarz ze śladami łez, dzbanek w dłoni. - Dlaczego to nie ty umarłeś zamiast swojego brata? Ty bezużyteczny chujku! Ty bezużyteczny, tchórzliwy, nieudacny gówniarzu!

- Bzdura - warknął Dreszcz przez zaciśnięte zęby, siadając ze skrzyżowanymi nogami przy ognisku. Cała jego głowa pulsowała. - To po prostu... bzdura!

- Co jest bzdurą? - zbulgotał Tul Duru, brocząc krwią z poderżniętego gardła.

- To wszystko. Oblicza z przeszłości, które mówią ważne rzeczy. Trochę to, kurwa, zbyt oczywiste, nie uważasz? Nie stać cię na nic lepszego od tego gówna?

- Eee - odezwał się Ponurak.

Czarny Dow wyglądał na lekko zbitego z tropu.

- Nie miej do nas pretensji, chłopcze. To twój sen, prawda? Obciąłeś włosy?

Wilczarz wzruszył ramionami.

- Gdybyś był mądrzejszy, może miałbyś mądrzejsze sny. Poczul, że ktoś chwyta go od tyłu i obraca jego twarz. Obok niego był Krwawy-dziewięć. Miał włosy pozlepiane od krwi i bliznowatą twarz pomalowaną na czarno.

- Gdybyś był mądrzejszy, nie dałbyś sobie wypalić oka. - Wbił kciuk w oczodół Dreszcza, naciskając coraz mocniej.

Dreszcz rzucał się, skręcał i wrzeszczał, ale nie mógł się uwolnić. To już się dokonało.

Oczywiście obudził się z krzykiem. Zawsze tak było. Chociaż trudno to było nazwać krzykiem, Dreszcz bowiem brzmiał tak, jakby miał żwir w obolałym i zdartym gardle.

Było ciemno. Ból szarpał jego twarz, jak wilk padlinę. Wyplątał się z koców, zataczając się bez celu. Miał wrażenie, że rozpalone żelazo cały czas jest przyciśnięte do jego ciała. Uderzył w ścianę, upadł na kolana. Zgiął się wpool, ściskając czaszkę, jakby chciał ją powstrzymać przed pęknięciem. Kołysał się, napinając każdy mięsień do granic wytrzymałości. Jęczał i wył, skomlał i warczał, pluł i ryczał, ślinił się i bełkotał, oszalały, bezmyślny. Dotknij, naciśnij. Uniósł drżące palce do bandaży.

- Ciii.

Poczul dotyk czyjejś dłoni. Monza głaskała go po twarzy, odgarniała włosy.

W miejscu, w którym kiedyś było oko, ból przenikał jego głowę jak siekiera rozłupująca kawałek drewna, rozłupując także jego umysł, otwierając go, tak że wszystkie myśli wylewały się szalonym potokiem.

- Na spokój zmarłych... zrób coś, żeby przestało boleć... zaraza, zaraza. - Chwycił ją za dłoń, aż skrzywiła się i

westchnęła. Nie dbał o to. - Zabij mnie! Zabij mnie. Niech to się skończy. - Nie był nawet pewien, w jakim mówi języku. - Zabij mnie. Na spokoj... - Łkał, a łzy szczypały go w jedyne oko.

Monza zabrała dłoń, a on znów zaczął się kołysać; ból wrzynał się w jego twarz jak piła w pień drzewa. Próbował być dobrym człowiekiem, czyż nie?

- Próbowałem, kurwa, próbowałem. Zrób coś... błagam, błagam, błagam, błagam...

- Masz.

Chwycił fajeczkę i zaciągnął się chciwie jak pijak, który przyssał się do butelki. Nie zwracał uwagi na drażniący dym, po prostu wypełnił nim płuca, a Monza mocno go obejmowała i kołysała w tył i przód. Ciemność wypełniła się kolorami. Pokryła lśniąco smugami. Ból oddalił się o krok, już nie palił jego ciała. Oddech uspokoił się i zmienił w ciche pojękiwanie, a obolałe ciało opadło z sił.

Pomogła mu wstać, fajeczka wypadła z jego bezwładnej dłoni. Otwarte okno zakołysało się; obraz przedstawiający inny świat. Może piekło, z czerwonymi i żółtymi plamkami ognia znaczącymi ciemność jak długie pociągnięcia pędzla. Łóżko uniosło się, połknęło go i wessało. Twarz wciąż pulsowała tęnym bólem. Przypomniał sobie dlaczego.

- Na spokoj zmarłych... - szepnął, a po jego drugim policzku pociekły łzy. - Moje oko. Wypalili mi oko.

- Ciii - szepnęła, delikatnie głaszcząc go po zdrowej stronie twarzy. - Cicho, Caul. Cicho.

Ciemność sięgała po niego, otulała go. Zanim go pochłonęła, niezdarnie zaplątał palce w jej włosy i przyciągnął jej twarz tak blisko, że mogłaby pocałować bandaż.

- To powinno spotkać ciebie - wyszeptał. - Ciebie.

Rachunki innych ludzi

- To tutaj - powiedział chłopiec z wrzodem na policzku. - Dom Sajaama.

Brudne drzwi w brudnej ścianie, obklejone powiewającymi na wietrze starymi obwieszzeniami, które potępiały Ligę Ośmiu, nazywając ją bandą złoczyńców, uzurpatorów i pospolitych przestępców. Z każdego plakatu spoglądały dwie karykatury, rozdęty ksiązę Salier oraz pogardliwie uśmiechnięty ksiązę Rogont. Przy drzwiach stało dwóch prawdziwych pospolitych przestępców, którzy również wyglądali karykaturalnie. Jeden miał ciemną skórę, a drugi duży tatuaż na ramieniu. Obaj omiatali ulicę identycznymi złymi spojrzeniami.

- Dziękuję, dzieci. Kupcie sobie coś do jedzenia.

Shenkt wepchnął po szalce do każdej brudnej dłoni, a dwanaścioro umorusanych malców wytrzeszczyło oczy, nie mogąc uwierzyć w takie bogactwo. Wiedział, że nie będą mieli z niego żadnego długotrwałego pożytku. Byli żebrakami, złodziejami, dziwkami, skazanymi na przedwczesną śmierć. Jednakże Shenkt wyrządził w swoim życiu zbyt wiele krzywd, więc przy każdej okazji starał się być uczynny. Wiedział, że w ten sposób niczego nie rozwiąże, ale nawet jedna moneta może przechylić szalę życia. Warto ocalić choćby jedną osobę.

Nucąc pod nosem, przeszedł przez ulicę, odprowadzany bacznym spojrzeniem dwóch zasepionych mężczyzn przy drzwiach.

- Przyszedłem porozmawiać z Sajaamem.

- Jesteś uzbrojony?

- Zawsze. - Przez chwilę mierzyli się wzrokiem z

ciemnoskórym strażnikiem. - Ostrze mojego żartu może uderzyć w każdej chwili.

Strażnicy się nie uśmiechnęli, ale Shenkt wcale tego nie oczekiwał.

- Co chcesz powiedzieć Sajaamowi?

- „Czy mam przyjemność z panem Sajaamem?”. Chyba tak zacznę.

- Kpisz z nas, człowieczku? - Strażnik położył dłoń na buzdyganie wiszącym mu przy pasie, zapewne uważając, że wygląda groźnie.

- Gdzieżbym śmiał. Przyszedłem się zabawić i mam pieniądze do wydania, to wszystko.

- Może jednak zjawiłeś się we właściwym miejscu. Chodź ze mną.

Poprowadził Shenkta przez gorący, ciemny pokój pełen ciężkiego tłustego dymu i cieni, oświetlony na niebiesko, zielono, pomarańczowo i czerwono przez lampy z kolorowego szkła. Wokół leżeli palacze plew o bladych twarzach wykrzywionych przez uśmiechy albo martwych i pustych. Shenkt zdał sobie sprawę, że znów podśpiewuje pod nosem, i szybko przestał.

Strażnik odsunął zatłuszczoną kotarę i weszli do dużego pomieszczenia na tyłach, w którym śmierdziało niemytymi ciałami, dymem, wymiocinami, zgniłym jedzeniem i zgniłym życiem. Mężczyzna pokryty tatuażami siedział ze skrzyżowanymi nogami na przepoconej poduszce, obok niego stał topór oparty o ścianę. Kolejny zbrojny siedział po przeciwnej stronie pokoju i dźgał nożem brzydki kawałek mięsa, a przy jego talerzu spoczywała naciągnięta kusza. Nad jego głową wisiał stary zegar, pod którym dyndały ciężarki i wahadło, jak flaki pod wypatroszonym trupem. Tik, tak, tik, tak.

Na długim stole na środku pomieszczenia grano w karty. Leżały tam monety i żetony, fajki i świece, stały butelki i szklanki. Wokół siedziało sześciu mężczyzn. Grubas po prawej stronie, po lewej jękał się chudzielec, który właśnie kończył

opowiadać sąsiadowi kawał.

- ...i ją ze.. ze.. zerznął!

Szorstki śmiech, szorstkie oblicza, tanie życie wypełnione tanim dymem, tanim alkoholem, tanią przemocą. Przewodnik Shenkta podszedł do szczytu stołu i pochylił się, by powiedzieć coś mężczyźnie o szerokich barkach, czarnej skórze, białych włosach i zadowolonym uśmiechu na pomarszczonej twarzy. Mężczyzna bawił się lśniąca złotą monetą, przesuwając ją po knykciach.

- Ty jesteś Sajaam? - spytał Shenkt.

Czarnoskóry pokiwał głową, całkowicie rozluźniony.

- Znam cię?

- Nie.

- Nieznajomy? Nie gościmy tutaj zbyt wielu obcych, prawda, przyjaciele? - Kilku jego ludzi uśmiechnęło się bez przekonania.

- Dobrze znamy większość naszych klientów. Co może dla ciebie zrobić Sajaam, nieznajomy?

- Gdzie jest Monzcarro Murcatto?

Nagle całe pomieszczenie pogrążyło się w okropnej ciszy, jak człowiek, który wpada pod cienki lód. Była to nabrzmiała cisza, jaka zapada, zanim pękną niebiosa. Ciężki bezruch zwiastujący to co nieuniknione.

- Wąż Talinsu nie żyje - mruknął Sajaam, mrużąc oczy.

Shenkt poczuł powolny ruch otaczających go ludzi. Uśmiechy zniknęły z twarzy, stopy opierały się mocniej o ziemię, by złapać śmiercionośną równowagę, dłonie przesuwały się w stronę broni.

- Żyje, a ty wiesz, gdzie jest. Chcę tylko z nią porozmawiać.

- Za ko... ko... kogo ten drań się uważa, do ku... ku... kurwy nędzy? - spytał chudy gracz, a kilku jego towarzyszy się roześmiało. To był napięty, udawany śmiech mający ukryć zdenerwowanie.

- Tylko powiedz mi, gdzie ona jest. Proszę. Wtedy nikt nie będzie musiał dodatkowo obciążać sumienia. - Shenkt nie wstydził się prosić. Już dawno pozbył się pychy. Zawsze patrzył ludziom w oczy i prosił o to, czego potrzebował. Każdemu starał

się dać szansę. Żałował, że tak niewielu ją wykorzystywało.

Uśmiechnęli się do niego i do siebie nawzajem, a najszerszy uśmiech pojawił się na twarzy Sajaama.

- Moje sumienie nie spędza mi snu z powiek.

Dawny mistrz Shenkta mógłby o sobie powiedzieć to samo.

- Niektórzy z nas mają taki dar.

- Wiesz co, rzućmy monetę. - Sajaam uniósł monetę do światła. Błysnęło złoto. - Jeśli wypadnie awers, zabijemy cię. Jeśli rewers, powiem ci, gdzie jest Murcatto... - Jego białe zęby zaśniły na tle ciemnej twarzy. - I dopiero potem cię zabijemy. - Rozległ się cichy brzęk metalu, gdy Sajaam pstryknięciem wyrzucił monetę w górę.

Shenkt wciągnął powietrze nosem, powoli, powoli.

Złoto uniosło się w powietrze, wirując, wirując.

Bicie zegara zabrzmiało głęboko jak uderzenia wiosel potężnego okrętu.

Bam... bam... bam...

Pięść Shenkta wbiła się niemal po łokieć w olbrzymi brzuch grubasa siedzącego po prawej. Tłuscioch nie był w stanie krzyknąć, tylko westchnął, wytrzeszczając oczy. Po chwili krawędź otwartej dłoni Shenkta spadła na oszołomioną twarz, prawie odrywając głowę przy wtórze trzasku kości zgniatanych jak papier. Krew trysnęła na stół, pokrywając go nieruchomymi czarnymi plamkami, a na twarzach siedzących wokoło mężczyzn wściekłość ustąpiła miejsca szokowi.

Shenkt podniósł najbliższego z nich z krzesła i rzucił nim o sufit. Mężczyzna ledwie zdążył wrzasnąć, po czym uderzył w krokwie, miażdżąc drewno i posyłając we wszystkie strony wirujące drzazgi. Jego zmasakrowane ciało spadło wśród powolnego deszczu pyłu i tynku. Zanim uderzyło o ziemię, Shenkt chwycił kolejnego gracza za głowę i przebił jego twarzą blat stołu oraz podłogę. W powietrze wzbił się obłok złożony z kart, potłuczonych szklanek, fragmentów desek, kawałków drewna i mięsa. Shenkt wyrwał padającemu mężczyźnie wyciągnięty do połowy topór, po czym rzucił nim przez całe pomieszczenie w pierś wytatuowanego żołnierza, który właśnie

wstawał ze swojej poduszki z pierwszym dźwiękiem okrzyku bojowego na ustach. Topór trafił go trzonkiem, ale tak mocno, że nie miało to większego znaczenia. Mężczyzna obrócił się w powietrzu jak dziecięcy bączek, a krew trysnęła na wszystkie strony z jego rozdartego ciała.

Rozległo się zniekształcone brzęknięcie kuszy i cięciwa wyrzuciła w stronę Shenkta bełt, który powoli popłynął przez wypełnione pyłem powietrze jak przez syrop, lekko się wyginając. Shenkt chwycił go w powietrzu i wbił w czaszkę przeciwnika, tak że jego twarz się zapadła, a mięso wystrzeliło spod rozciętej skóry. Shenkt uderzył trupa od dołu w szczękę i szybkim ruchem nadgarstka posłał go na drugą stronę pomieszczenia prosto w kusznika. Dwa ciała zderzyły się i wpadły bezwładnie na ścianę, przebijając się na uliczkę po drugiej stronie, pozostawiając nierówny otwór w strzaskanych deskach.

Strażnik, który stał przed drzwiami, uniósł buzdygan i otworzył usta, nabierając powietrza, by wydać z siebie wściekły ryk. Shenkt przeskoczył resztki stołu i uderzył mężczyznę na odlew w pierś, miażdżąc mu żebra i posyłając w powietrze wykręconego jak korkociąg. Buzdygan wypadł z martwej dłoni. Shenkt zrobił krok do przodu i złapał opadającą monetę Sajaama, która z plaśnięciem wylądowała mu na dłoni.

Wypuścił powietrze z płuc, a wtedy czas ponownie ruszył.

Ostatnie dwa trupy potoczyły się po podłodze. Tynk opadł na ziemię. Lewy but wytatuowanego mężczyzny grzechotał o klepki, gdy jego nogą wstrząsały przedśmiertne skurcze. Ktoś jęczał, ale nie trwało to długo. Ostatnie kropelki krwi miękko opadły na ziemię wokół nich, osiadając na strzaskanym szkłe, strzaskanym drewnie i strzaskanych ciałach. Jedna z poduszek rozpruła się i w powietrzu kłębiła się chmura białych piór.

Pięść Shenkta zadrżała przed zmartwiałym obliczem Sajaama. Wydostała się z niej sycząca para, a potem roztopione złoto, które wyciekło spomiędzy palców i spłynęło po przedramieniu lśnącymi strumieniami. Shenkt otworzył dłoń i pokazał jej wnętrze umazane czarną krwią i błyszczącym

metalem.

- Ani awers, ani rewers.

- Ku... ku... ku... - Jąkała wciąż siedział na swoim miejscu, przy którym kiedyś stał stół, w sztywnej dłoni ścisnął karty i cały był zalany, zachlapany i zbryzgany krwią.

- Ty - odezwał się Shenkt. - Jąkało. Pozwalam ci żyć.

- Ku... ku...

- Tylko tobie daruję. Wynocha, zanim zmienię zdanie.

Bełkoczący żebrak upuścił karty, po czym, jęcząc, skoczył do drzwi i wypadł na zewnątrz. Shenkt odprowadził go wzrokiem. Warto ocalić choćby jedną osobę.

Gdy się odwrócił, Sajaam właśnie zamierzał się na niego krzesłem. Mebel rozbił się o ramię Shenkta, kawałki drewna odbiły się od podłogi i potoczyły ze stukotem. Daremny gest, gdyż Shenkt prawie nic nie poczuł. Kantem dłoni uderzył olbrzyma w ramię, łamiąc mu rękę jak suchą gałązkę i rzucając go na ziemię.

Podszedł do powalonego przeciwnika, bezszelestnie stawiając zdarte robocze buty pomiędzy śmieciami. Sajaam zakaszła, potrząsnęła głową i zaczął odsuwać się na plecach, bulgocząc przez zaciśnięte zęby, wlokąc za sobą nienaturalnie wykrzywioną rękę. Obcasy jego haftowanych gurkijskich kapci szorowały po klepkach, pozostawiając chaotyczne ślady wśród krwi, pyłu, piór i drzazg, które przykryły całe pomieszczenie jak jesienne liście opadłe na leśne poszycie.

- Człowiek przesypia większą część życia, nawet na jawie. Mamy tak mało czasu, a jednak go marnujemy. Na gniew, frustrację, nic nieznaczące bzdury. Dlaczego szuflada biurka się nie domyka? Jakie karty ma mój przeciwnik i ile pieniędzy mogę od niego wygrać? Szkoda, że nie jestem wyższy. Co zjem na kolację, skoro nie lubię pasternaku? - Czubkiem buta Shenkt odepchnął z drogi zmasakrowane zwłoki. - Dopiero w takiej chwili odrywamy wzrok od błota i wznosimy go ku niebu, skupiamy się na terażniejszości. Teraz rozumiesz, jak cenna jest każda chwila. To mój dar dla ciebie.

Sajaam dotarł do ściany i oparł się o nią plecami, po czym

powoli dźwignął się na nogi. Złamana ręka zwisała bezwładnie wzdłuż ciała.

- Nienawidzę przemocy. To ostateczność, do której uciekają się słabi na umyśle. - Shenkt zatrzymał się o krok od Sajaama. - Dlatego skończmy z tymi głupotami. Gdzie jest Monzcarro Murcatto?

Sajaamowi nie można było odmówić odwagi, gdyż sięgnął po nóż, który miał przy pasku.

Wyprostowany palec Shenkta zatopił się we wgłębieniu, w którym klatka piersiowa łączy się z ramieniem, tuż poniżej obojczyka. Przebił koszulę, skórę, ciało, a gdy pozostała część pięści mocno uderzyła w pierś Sajaama, przyciskając go do ściany, drapał już wewnętrzną powierzchnię łopatki, zanurzony w ciele po knykcie. Sajaam wrzasnął, a nóż wypadł mu z obwisłej dłoni.

- Powiedziałem: skończmy z głupotami. Gdzie jest Murcatto?

- Ostatnio widziano ją w Visserine! - Głos czarnoskórego był zachrypnięty od bólu. - W Visserine!

- Podczas oblężenia?

Sajaam pokiwał głową, mocno zaciskając zakrwawione zęby. Jeśli Visserine jeszcze nie upadło, to z pewnością tak się stanie, zanim Shenkt tam dotrze. Nie miał jednak w zwyczaju porzucać rozpoczętego zadania. Musi zakładać, że cel wciąż żyje, i kontynuować pogoń.

- Kto z nią jest?

- Jakiś żebrak z Północy, nazywa się Dreszcz! A także mój człowiek, Przyjazny! Skazaniec! Skazaniec z Bezpiecznego Miejsca!

- Tak? - Shenkt obrócił palcem w ciele mężczyzny. Krew pociekła po jego rękę, wokół smug złota zaschniętych na przedramieniu, skapując z łokcia, kap, kap, kap.

- Aaa! Aaa! Skontaktowałem ją z trucicielem Morveerem! W Westporcie, a w Sipani z niejaką Vitari!

Shenkt zmarszczył brwi.

- To kobieta, która potrafi wiele załatwić! - dodał Sajaam.

- Murcatto, Dreszcz, Przyjazny, Morveer... Vitari.

Rozpaczliwe skinienie głową, ślina wylatująca spomiędzy zaciśniętych zębów Sajaama z każdym ciężkim, bolesnym oddechem.

- A dokąd się następnie wybiera ta dzielna kompania?

- Nie jestem pewien! Ach! Wspominała o siedmiu ludziach! Siedmiu ludziach, którzy zabili jej brata! Ach! Może do Puranti! Będą się trzymać o krok przed armią Orso! Jeśli dopadnie Ganmarka, być może potem poszuka Wiernego, Wiernego Carpiego!

- Może i tak. - Shenkt wyrwał palec z rany z cichym młaśnięciem, a Sajaam osunął się na ziemię. Jego drżącą, spoconą twarz wykrzywił ból.

- Błagam - stęknął. - Mogę pomóc. Mogę pomóc ci ją odnaleźć.

Shenkt przykucnął przed nim, opierając umazane krwią dłonie o zakrwawione kolana.

- Ależ już mi pomogłeś. Resztę możesz zostawić mnie.

- Mam pieniądze. Mam pieniądze.

Shenkt nie odpowiedział.

- Miałem zamiar oddać ją Orso, wcześniej czy później, gdy cena stałaby się wystarczająco wysoka.

Znów cisza.

- To niczego nie zmienia, prawda?

Cisza.

- Powiedziałem tej suce, że przez nią zginę.

- Miałaś rację. Mam nadzieję, że cię to pociesza.

- Niezbyt. Powinienem był ją wtedy zabić.

- Ale dostrzegłeś możliwość zarobku. Masz jeszcze coś do powiedzenia?

Sajaam wbił w niego wzrok.

- Niby co?

- Niektórzy ludzie chcą coś powiedzieć przed śmiercią. A ty?

- Czym jesteś? - szepnął Sajaam.

- Byłem wieloma postaciami. Uczniem. Posłańcem. Złodziejem. Żołnierzem w dawnych wojnach. Sługą wielkich potęg. Aktorem podczas słynnych przedstawień. A teraz? -

Shenkt westchnął z niezadowoleniem, spoglądając na zmasakrowane trupy, pozwijane i porozciągane w całym pomieszczeniu. - Wygląda na to, że teraz jestem człowiekiem, który wyrównuje rachunki innych ludzi.

Mistrz szermierczy

Dłonie Monzy znów drżały, ale wcale jej to nie dziwiło. Zagrożenie, strach, niepewność, czy przeżyje kolejną chwilę. Jej brata zamordowano, ją samą złamano, zniszczono wszystko, na co pracowała. Ból, wyniszczające pragnienie zapalenia plew, nieufność wobec wszystkich, dzień po dniu, tydzień po tygodniu. A także ogrom śmierci, którą spowodowała w Westporcie i Sipani, ciężący na jej ramionach jak ołów.

Ostatnie kilka miesięcy wystarczyło, by każdemu zaczęły się trząść ręce. Ale może to wszystko dlatego, że widziała, jak wypalają Dreszczowi oko, i myślała, że będzie następna.

Nerwowo zerknęła w stronę drzwi łączących ich pokoje. Wkrótce Dreszcz się obudzi. Znów będzie krzyczał, czego nie mogła znieść, albo milczał, co było jeszcze gorsze. Uklęknie i będzie wpatrywał się w nią jedynym okiem. To oskarżycielskie spojrzenie. Wiedziała, że powinna być wdzięczna i troszczyć się o niego jak kiedyś o swojego brata, ale coraz częściej miała ochotę go skopać. Może po śmierci Benny wszystko, co było w niej ciepłe, szlachetne i ludzkie, pozostało na górskim zboczu i zgniło tam razem z jego trupem?

Zdjęła rękawiczkę i popatrzyła na to, co kryło się w środku. Na cienkie różowe blizny w miejscach, w których poskładano jej strzaskane kości. Na ciemnoczerwoną kreskę w miejscu, w które wbiła się struna Gobby. Złożyła palce w pięść, a przynajmniej coś, co ją przypominało, nie licząc małego palca, który wciąż sterczał niczym drogowskaz donikąd. Ból nie był tak dotkliwy jak kiedyś, ale i tak wywołał na jej twarzy grymas, odpędził strach i zmiażdżył wątpliwości.

- Zemsta - szepnęła.

Zabić Ganmarka, tylko to się teraz liczy. Jego miękka, smutna twarz, słabe, wodniste oczy. Beznamiętnie wbił Bennie ostrze w brzuch. Stoczył jego ciało z tarasu. Otóż to. Mocniej zacisnęła pięść i obnażyła zęby.

- Zemsta.

Za Bennę i siebie. Jest Rzeźniczką z Caprile, bezlitosną i nieustraszoną. Jest Wężem Talinsu, śmiercionośnym jak żmija i pozbawionym wyrzutów sumienia. Zabić Ganmarka, a potem...

- Kolejną osobę z listy.

Dłoń przestała drżeć.

Na korytarzu rozległ się oddalający się tupot stóp. Usłyszała czyjś krzyk w oddali, nie zrozumiała słów, ale wyraźnie wyczuła strach, którym były podszyte. Podeszła do okna i je otworzyła. Jej pokój, albo cela, znajdował się wysoko na północnej ścianie pałacu. W górze rzeki Visser brzegi łączył kamienny most, na którym pośpiesznie poruszały się malutkie kropki. Nawet z tej odległości dało się zauważyć, że ludzie uciekają, próbując ocalić życie.

Dobry generał potrafi rozpoznać zapach paniki, a teraz jej smród stał się przytłaczający. Zapewne ludzie Orso wreszcie sforsowali mury. Rozpoczęło się plądrowanie Visserine. Ganmark już jest w drodze do pałacu, by zagarnąć słynne zbiory księcia Saliera.

Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem i Monza obróciła się na pięcie. Kapitan Langrier stała w drzwiach ubrana w mundur armii Talinsu. W ręku trzymała pękatą torbę, przy jednym biodrze miała szpadę, a przy drugim długi sztylet. Monza nie była uzbrojona i nagle dotkliwie to sobie uświadomiła. Stała z rękami wzdłuż ciała, starając się wyglądać tak, jakby jej każdy mięsień był gotowy do walki. Oraz śmierci, co było więcej niż prawdopodobne.

Langrier powoli weszła do pokoju.

- Więc rzeczywiście jesteście Murcatto?

- Jestem Murcatto.

- Słodkie Sosny? Musselia? Wysoki Brzeg? Wygrałeś te wszystkie bitwy?

- Zgadza się.

- Rozkazałaś zabić tych wszystkich ludzi w Caprile?

- Czego, kurwa, chcesz?

- Książę Salier postanowił przystać na twój plan. - Langrier rzuciła torbę na podłogę. W środku błysnął metal. Talińska zbroja, którą Przyjazny ukradł w pobliżu wyłomu. - Lepiej to włóż. Nie wiadomo, ile mamy czasu, zanim przybędzie twój przyjaciel Ganmark.

A więc będzie żyła. Na razie. Monza wyjęła z torby bluzę od munduru porucznika, wciągnęła ją na koszulę i zaczęła zapinać. Langrier obserwowała ją przez chwilę, po czym się odezwała.

- Chciałam tylko powiedzieć... dopóki mam szansę. Cóż, zawsze cię podziwiałam.

Monza zmierzyła ją wzrokiem.

- Co takiego?

- Jako kobietę. Jako żołnierza. To, do czego doszłaś. To, czego dokonałaś. Co prawda, stałaś po przeciwnej stronie, ale zawsze byłaś dla mnie kimś w rodzaju bohatera...

- Gównu mnie to obchodzi. - Monza nie wiedziała, co wywołuje w niej większe obrzydzenie: to, że została nazwana bohaterem, czy to, kto to zrobił.

- Wybacz, ale nie wierzę. Myślałam, że kobieta o twojej reputacji, będzie twardsza...

- Widziałaś kiedyś, jak wypalają komuś oko, i myślałaś, że będziesz następna?

Langrier poruszyła ustami.

- Raczej nie zastanawiam się nad tą stroną zagadnienia.

- Powinnaś spróbować i sprawdzić, jaka wtedy będziesz twarda. - Monza włożyła skradzione buty, które całkiem dobrze na nią pasowały.

- Proszę. - Langrier podała jej pierścionek od Benny; duży klejnot załśnił krwawo. - I tak do mnie nie pasuje.

Monza chwyciła pierścionek i wsunęła go na palec.

- I co? Oddajesz mi to, co ukradłaś, i myślisz, że jesteśmy kwita?

- Posłuchaj, przykro mi z powodu oka twojego człowieka, i całej reszty, ale tutaj nie chodzi o ciebie, rozumiesz? Ktoś zagraża mojemu miastu, a ja muszę się dowiedzieć, w jaki sposób. Nie podoba mi się to, ale tak trzeba. Nie udawaj, że nie dopuszczając się gorszych czynów. Nie oczekuję, że kiedykolwiek się polubimy, ale w tej chwili mamy zadanie do wykonania, więc musimy zapomnieć o nieporozumieniach.

Monza ubierała się w milczeniu. Langrier miała rację. Robiła gorsze rzeczy. A przynajmniej patrzyła, jak się dokonują. Pozwalała na nie, co wcale nie było lepsze. Zapięła napierśnik, który musiał pochodzić od jakiegoś szczupłego młodego oficera, ponieważ dobrze na nią pasował.

- Potrzebuję czegoś, czym zabiję Ganmarka - rzuciła.

- Kiedy dotrzemy do ogrodu, dostaniesz swoją szpadę, nie...

Monza zobaczyła, jak czyjaś dłoń zaciska się na rękojęści sztyletu Langrier. Kapitan zaczęła się obracać, zaskoczona.

- Co... - powiedziała.

Czubek ostrza przesunął się pod jej brodę. Obok pojawiła się twarz Dreszcza, biała i wyniszczona, z jednej strony ciasno obandażowana, z bladą plamą w miejscu, w którym kiedyś było oko. Lewą ręką objął Langrier i przycisnął ją do siebie, mocno jak kochanek.

- Tutaj nie chodzi o ciebie, rozumiesz? - rzekł, niemal całując ją w ucho, a krew spłynęła po jej szyi grubą czarną kreską od czubka sztyletu. - Ty mi odebrałaś oko, ja muszę ci odebrać życie.

Otworzyła usta i wysunęła język, z którego zaczęła kapać krew plamiąca jej brodę.

- Nie sprawia mi to przyjemności.

Jej twarz zrobiła się fioletowa, źrenice uciekły do góry.

- Ale tak trzeba.

Wierzgnęła nogami, stukając obcasami o klepki, gdy uniósł ją w powietrze.

- Przepraszam za twoją szyję.

Ostrze szeroko rozcięło jej gardło, a czarna krew bryzgnęła na pościel i zachlapała ścianę łukiem czerwonych kropek.

Dreszcz puścił Langrier, która zwiotczała i upadła na twarz, jakby jej kości zmieniły się w błoto. Kolejna fontanna krwi trysnęła w bok. Jej buty się poruszyły, palce zaszurały po podłodze, a paznokcie jednej ręki zaczęły drapać klepki. Dreszcz wciągnął powietrze nosem, po czym je wydmuchnął, podniósł wzrok na Monzę i się uśmiechnął. To był przyjacielski uśmiech, jakby opowiedzieli sobie jakiś osobisty żart, którego Langrier nie zrozumiała.

- Na spokój zmarłych, od razu lepiej się czuję. Mówiła, że Ganmark jest w mieście?

- Eee. - Monza nie była w stanie nic powiedzieć. Piekła ją zaczerwieniona twarz.

- W takim razie czeka nas dużo pracy. - Wydawało się, że Dreszcz nie zauważa gwałtownie powiększającej się kałuży krwi, która otaczała jego bose stopy. Podniósł torbę i zajrzał do środka. - Zbroja? Chyba lepiej się ubiorę, co, szefowo? Nie lubię pojawiać się na przyjęciu w niewłaściwym stroju.

W ogrodzie na środku galerii Saliera nie wyczuwało się nieuchronnie nadchodzącej zagłady. Płynęła woda, szeleściły liście, kilka pszczoł leniwie krążyło pomiędzy kwiatami. Od czasu do czasu białe płatki opadały z kwiatów wiśni na dokładnie przystrzyżone trawniki.

Cosca siedział ze skrzyżowanymi nogami i przesuwiał osełką po krawędzi swojej szpady przy wtórze cichego pobrzękiwania metalu. Do uda miał przyciśniętą piersiówkę od Morveera, ale jej nie potrzebował. Śmierć stała u bram, więc był spokojny. To było ukojenie przed burzą. Odchylił głowę i zamknął oczy, rozkoszując się ciepłem słońca i zastanawiając, dlaczego czuje się w taki sposób tylko wtedy, gdy świat wokół niego płonie.

Łagodny wiaterek obmywał zacienione kolumnady i wpadał przez drzwi do korytarzy obwieszonych obrazami. Przez jedno z otwartych okien Cosca widział Przyjaznego ubranego w

zbroję talińskiego strażnika, liczącego żołnierzy na olbrzymim obrazie Nasurina przedstawiającym drugą bitwę pod Oprile. Najemnik wyszczerzył zęby. Zawsze starał się być wyrozumiały dla słabostek innych ludzi. W końcu sam miał ich niemało.

W pałacu pozostało jakichś sześciu strażników Saliera przebranych za żołnierzy księcia Orso. Lojalnych ludzi gotowych umrzeć u boku swego mistrza. Nicomo parsknął, po raz ostatni przeciągając osełką po krawędzi szpady. Lojalność od zawsze znajdowała się na jego liście niezrozumiałychnót, obok honoru, dyscypliny i opanowania.

- Co cię tak cieszy? - Dzionek usiadła obok niego na trawie, kładąc na kolanach kuszę i zagryzając wargi. Mundur, który miała na sobie, zapewne pochodził od jakiegoś martwego małego dobosza, gdyż dobrze na nią pasował. Wręcz doskonale.

Cosca zastanawiał się, czy jest z nim coś nie tak, skoro pociąga go ładna dziewczyna w męskim ubraniu. Rozmyślał także o tym, czy mógłby ją przekonać, by pomogła towarzyszowi broni... naostrzyć szpadę przed walką. Odchrząknął. Oczywiście, że nie. Ale pomarzyć zawsze można.

- Może coś mi się stało w głowę. - Starł plamę z ostrza kciukiem - Poranne wstawanie. - Zabrzęczał metal. - Uczciwa praca. - Zaszurała osełka. - Spokój. Normalność. Trzeźwość. - Uniósł szpadę do światła i popatrzył na lśniący metal. - Oto, co mnie przeraża. Z kolei niebezpieczeństwo od dawna stanowi dla mnie jedyne wytchnienie. Zjedz coś. Będziesz potrzebowała dużo siły.

- Nie mam apetytu - odparła ponuro. - Jeszcze nigdy nie stałam w obliczu pewnej śmierci.

- Och, dajże spokój, nie mów tak. - Wstał i strzepnął płatek kwiatu z kapitańskich insygniów na rękawie kradzionego munduru. - Jeśli jest coś, czego się nauczyłem podczas licznych walk, to że śmierć nigdy nie jest pewna, a najwyżej... bardzo prawdopodobna.

- To bardzo inspirujące słowa.

- Staram się. Naprawdę. - Cosca schował szpadę do pochwy,

zabrał broń Monzy i oddalił się w kierunku posągu Wojownika.

Jego Ekscelencja książę Salier stał w muskularnym cieniu figury, przygotowany na szlachetną śmierć w nieskazitelnym białym mundurze ozdobionym złotymi sznurami.

- Jak do tego doszło? - dziwił się.

Cosca wielokrotnie zadawał sobie to pytanie, gdy wysysał ostatnią kroplę z butelczyny taniego trunku. Gdy zmieszany wchodził w niewłaściwe drzwi. Gdy dopuszczał się kolejnego nienawistnego, słabo opłacanego aktu przemocy.

- Jak... do tego doszło?

- Nie doceniłeś jadowitej ambicji Orso i bezlitosnej kompetencji Murcatto. Ale nie miej sobie tego za złe, to dotyczy nas wszystkich.

Salier zerknął w bok.

- To miało być pytanie retoryczne. Ale oczywiście masz rację. Wygląda na to, że zawiniłem arogancją, a kara będzie surowa. Zapłacę wszystkim, co mam. Ale któż mógł się spodziewać, że ta młoda kobieta odniesie nad nami tyle zwycięstw? Pamiętam, jak się śmiałem, kiedy uczyniłeś ją swoją zastępczynią. Wszyscy się śmialiśmy, gdy Orso powierzył jej dowództwo. Już planowaliśmy swój triumf, rozdzielając między siebie jego ziemie. A teraz nasz chichot zmienił się w łkanie.

- Zauważyłem, że tak się często dzieje z chichotem.

- To zapewne oznacza, że ona jest świetnym żołnierzem, a ja kiepskim. Ale z drugiej strony, nigdy nie aspirowałem do bycia żołnierzem i w pełni wystarczyłaby mi rola wielkiego księcia.

- A teraz jesteś nikim, podobnie jak ja. Takie jest życie.

- Ale nadszedł czas na ostatnie przedstawienie.

- Dla nas obu.

Książę odpowiedział uśmiechem.

- Para umierających łabędzi, co, Cosco?

- Chyba raczej starych indorów. Dlaczego nie uciekasz, Wasza Ekscelencjo?

- Muszę przyznać, że sam się nad tym zastanawiam. To pewnie duma. Przeżyłem całe życie jako wielki książę Visserine i tak zamierzam umrzeć. Nie chcę się stać zwykłym tłustym

panem Salierem, człowiekiem niegdyś znacznym.

- Zatem duma? Ja nigdy nie cierpiałem na jej nadmiar.

- Więc dlaczego nie uciekasz, Cosco?

- Chyba... - Dlaczego nie ucieka? Stary mistrz Cosca, człowiek niegdyś znaczny, który zawsze myślał przede wszystkim o własnej skórze? Głupia miłość? Szalona odwaga? Dawne długi do spłacenia? A może po prostu miłosierna śmierć oszczędzi mu dalszego wstydu? - Popatrz tylko! - Wskazał bramę. - Wystarczy o niej pomyśleć, a od razu się pojawia.

Miała na sobie mundur armii Talinsu, włosy schowała pod hełmem i przybrała surowy wyraz twarzy. Wyglądała jak poważny młody oficer, który ogolił się rano i teraz nie może się doczekać udziału w męskim wojennym rzemiośle. Gdyby Cosca nie wiedział, nigdy by nie zgadł. Może jakiś szczegół w jej chodzie? W ułożeniu bioder albo w długości szyi? Kolejna kobieta w męskim stroju. Czy one muszą tak go dręczyć?

- Monzo! - zawołał. - Martwiłem się, że nie zdążysz!

- Miałabym pozwolić, żebyś sam chwalebnie zginął?

Dreszcz pojawił się za nią, ubrany w napierśnik, nagolenniki i hełm ukradziony trupowi w pobliżu wyłomu. Bandaże wyzierały oskarżycielsko z pustego oczodołu.

- Z tego, co słyszałam, są już przed bramą pałacu.

- Tak szybko? - Salier szybko oblizwał pulchne usta. - Gdzie jest pani kapitan Langrier?

- Uciekła. Wygląda na to, że chwala jej nie skusiła.

- Czy w Styrii już nie ma lojalnych ludzi?

- Nikogo takiego nie zauważyłem. - Cosca rzucił Monzie pochwę z ostrzem od Calveza, a ona zwinnie ją złapała. - Chyba że mówimy o lojalności wobec samego siebie. Czy mamy jakiś plan poza czekaniem na przyjście Ganmarka?

- Dzionek! - Monza wskazała wąskie okna na następnym piętrze. - Chcę, żebyś tam weszła. Opuść kratę, gdy już dopadniemy Ganmarka. Albo kiedy on nas dopadnie.

Dziewczyna odetchnęła z ulgą, gdyż na razie uniknęła zagrożenia, ale Cosca obawiał się, że to tylko chwilowe odroczenie wyroku.

- Gdy tylko wpadnie w pułapkę. W porządku. - Pośpieszyła w kierunku drzwi.

- My zaczekamy tutaj. Kiedy pojawi się Ganmark, powiemy mu, że schwytaliśmy wielkiego księcia Saliera. Przyprawimy do niego Waszą Ekscelencję, a wtedy... zdaje pan sobie sprawę, że wszyscy możemy dzisiaj umrzeć?

Na drżącej twarzy księcia pojawił się słaby uśmiech.

- Nie jestem wojownikiem, pani generał Murcatto, ale nie jestem także tchórzem. Skoro mam umrzeć, to zamierzam napluć na moich wrogów z grobu.

- Nie ujęłabym tego lepiej - odparła Monza.

- Ja również - dodał Cosca. - Chociaż grób to grób. Jesteś pewna, że on przyjdzie?

- Przyjdzie.

- A co wtedy?

- Zabijemy go - mruknął Dreszcz. Ktoś dał mu tarczę i ciężki, nabijany ćwiekami topór o ostro zakończonym trzonku. Machnął nim groźnie na próbę.

Monza przełknęła ślinę.

- Poczekamy, zobaczymy.

- Ach, poczekamy, zobaczymy. - Cosca się rozpromienił. - Takie plany lubię.

Gdzieś w pałacu rozległ się huk, potem odległe wołanie, może nawet cichy brzęk i szcęk stali. Monza nerwowo zaciskała lewą dłoń na rękojeści ostrza Calveza, które zwisało obnażone wzdłuż jej nogi.

- Słyszeliście? - Miękka twarz Saliera była blada jak masło.

Strażnicy, którzy stali w różnych częściach ogrodu i dotykali pożyczanej broni, również nie wyglądali na pełnych entuzjazmu. „Tak się dzieje w obliczu śmierci”, często mawiał Benna. Im jest bliżej, tym gorsza się wydaje. Dreszcz nie sprawiał wrażenia niepewnego. Może gorące żelazo wypaliło z

niego wszelkie wątpliwości. Podobnie było z Coscą, który z każdą chwilą coraz bardziej się uśmiechał. Przyjazny siedział ze skrzyżowanymi nogami i toczył kości po bruku.

Podniósł wzrok na Monzę; z jego twarzy jak zwykle nie dało się niczego wyczytać.

- Pięć i cztery.

- To dobrze?

Wzruszył ramionami.

- To dziewięć.

Monza uniosła brwi. Z pewnością zebrała osobliwą grupę, ale do realizacji szalonego planu potrzeba ludzi, którzy są choć częściowo szaleni.

Normalni mogliby zacząć się rozglądać za lepszymi pomysłami.

Kolejny huk, a potem krzyk, tym razem bliżej. Żołnierze Ganmarka przemierzali pałac, zbliżając się do ogrodu w jego środku. Przyjazny jeszcze raz rzucił kośćmi, po czym schował je i wstał ze szpadą w dłoni. Monza próbowała stać nieruchomo, wpatrując się w otwarte drzwi, za którymi znajdował się korytarz obwieszony obrazami oraz łukowate przejście prowadzące do pozostałej części pałacu. Jedyne wejście.

Zza łuku wychyliła się głowa w hełmie. Następnie ukazało się ciało ubrane w zbroję. Taliński sierżant z uniesionymi mieczem i tarczą. Monza patrzyła, jak przekrada się pod kratą po marmurowych płytkach. Ostrożnie wyszedł na światło słońca, spoglądając na nich ze zmarszczonymi brwiami.

- Sierżancie - rzekł Cosca pogodnie.

- Kapitanie. - Mężczyzna się wyprostował, opuszczając czubek szpady.

Za nim pojawili się kolejni żołnierze. Dobrze uzbrojona armia Talinsu, czujni brodaci weterani, którzy wkroczyli do galerii z bronią w pogotowiu. Początkowo sprawiali wrażenie zaskoczonych, widząc swoich ludzi w ogrodzie, ale byli zadowoleni.

- To on? - spytał sierżant, wskazując Saliera.

- Tak, to on - odparł Cosca, szeroko się uśmiechając.

- No, no. Tłusty z niego skurwiel, co nie?

- Zgadza się.

Kolejni żołnierze wchodzili do ogrodu. Za nimi pojawiła się grupka oficerów w eleganckich mundurach, z pięknymi szpadami, ale bez zbroi. Na ich czele w aurze niepodważalnego autorytetu kroczył mężczyzna o miękkiej twarzy i smutnych, wodnistych oczach.

Ganmark.

Monza powinna czuć ponurą satysfakcję, że tak łatwo przewidziała jego zachowanie, ale nienawiść, którą obudziła w niej jego obecność, wszystko przyćmiła. Przy lewym biodrze miał długą szpadę, a przy prawym krótsze ostrze, jak nakazywała unijna moda.

- Zabezpieczcie galerię! - zawołał, w typowy dla siebie sposób skracając samogłoski. - Przede wszystkim zadbajcie, żeby nikt nie uszkodził obrazów!

- Tak jest! - Żołnierze pomknęli wykonać rozkazy. Mnóstwo ludzi.

Monza patrzyła na nich z boleśnie zaciśniętymi szczękami. Może zbyt wielu, ale teraz nie ma sensu narzekać. Liczy się tylko zabicie Ganmarka.

- Generale! - Cosca energicznie zasalutował. - Mamy księcia Saliera.

- Właśnie widzę. Dobra robota, kapitanie. Zadziałał pan szybko i nie ominie pana nagroda. Nawet bardzo szybko. - Ukłonił się kpiąco. - Wasza Ekscelencjo, to dla mnie zaszczyt. Wielki książę Orso przesyła braterskie pozdrowienie.

- Sram na jego pozdrowienie - warknął Salier.

- A także żałuje, że nie może tu być osobiście, by doświadczyć pana całkowitej porażki.

- Gdyby tutaj był, na niego też bym nasrał.

- Nie wątpię. Był sam?

Cosca pokiwał głową.

- Czekał tutaj i patrzył na to. - Wskazał głową potężny posąg na środku ogrodu.

- Wojownik, dłuta Bonatine'a. - Ganmark powoli podszedł do

rzeźby, z uśmiechem spoglądając na marmurowy wizerunek Stolicusa. - Na żywo jest jeszcze piękniejszy niż go opisują. Będzie się doskonale prezentował w ogrodach Fontezarmo. - Stał w odległości najwyżej pięciu kroków. Monza starała się uspokoić oddech, ale serce waliło jej jak młot. - Muszę panu pogratulować cudownej kolekcji, Wasza Ekscelencjo.

- Sram na twoje gratulacje. - Salier się skrzywił.

- Widzę, że sra pan na wiele rzeczy. Ale w końcu osoba o pańskich gabarytach z pewnością wytwarza ogromne ilości gówna. Przyprawdźcie grubasa bliżej.

Nadeszła właściwa chwila. Monza zacisnęła mocno dłoń na rękojeści szpady, po czym postąpiła naprzód, kładąc prawą dłoń w rękawicze na ramieniu Saliera, podczas gdy Cosca zaszedł księcia z drugiej strony. Oficerowie i strażnicy Ganmarka rozproszyli się, obserwując posąg, ogród i Saliera, zaglądając przez okna do korytarzy. Dwóch wciąż stało blisko generała, jeden trzymał wyciągniętą broń, ale nie wyglądali na zaniepokojonych ani czujnych. Byli wśród swoich.

Przyjazny stał ze szpadą w dłoni, nieruchomy jak posąg. Tarcza Dreszcza luźno zwieszała się u jego boku, ale Monza widziała, że zacisnął dłoń na trzonku topora z taką siłą, że pobielaly mu knykcie; widziała, że zerka swoim jedynym okiem na kolejnych wrogów, szacując poziom zagrożenia. Ganmark uśmiechnął się szerzej, gdy doprowadzili do niego Saliera.

- No, no, Wasza Ekscelencjo. Wciąż pamiętam treść tamtej inspirującej przemowy, którą pan wygłosił, zakładając Ligę Ośmiu. Co pan wtedy powiedział? Że woli pan umrzeć niż klęknąć przed takim psem jak Orso? Teraz bardzo chciałbym zobaczyć, jak pan klęka. - Wyszczrzył się do Monzy, która zbliżyła się do niego na zaledwie dwa kroki. - Pani porucznik, czy mogłaby... - Zmrużył blade oczy i nagle ją rozpoznał.

Skoczyła na niego, odtrącając z drogi najbliższego strażnika, wymierzając pchnięcie prosto w serce. Poczwała znajomy szcęk stali o stal. Ganmark jakimś cudem zdołał do połowy wyciągnąć szpadę, odpychając ostrze Monzy, tak że chybiła o włos. Szarpnął głową w bok, i czubek szpady pozostawił na jego

policzku długie skaleczenie, zanim go odepchnął, dobywając broni.

Potem w ogrodzie rozpętał się chaos.

Ostrze Monzy zostawiło długie zadrapanie na twarzy Ganmarka. Najbliższy z oficerów popatrzył pytająco na Przyjaznego.

- Ależ...

Przyjazny rozplątał mu głowę. Ostrze utkwilo w czaszce i olbrzym wypuścił je z dłoni. To była niewygodna broń, wołał działać z bliska. Wydobył tasak oraz nóż zza paska, czując ich uspokajający dotyk oraz przytłaczającą ulgę, że wszystko znów stało się proste. Zabić ilu się da, dopóki są zaskoczeni. Wyrównać szanse, bo jedenaścioro przeciwko trzydziestu sześciu to niekorzystna sytuacja.

Dźgnął rudego oficera w brzuch, zanim ten zdążył dobyć szabli, pchnął go w tył na trzeciego żołnierza, po czym wziął szeroki zamach i postąpił naprzód, wbijając mu tasak w ramię, tak że ciężkie ostrze przecięło materiał i ciało. Uchylił się przed pchnięciem włócznią, a gdy trzymający ją żołnierz mijał go chwiejnym krokiem, Przyjazny wbił mu nóż pod pachę, szorując ostrzem o krawędź napierśnika.

Rozległ się zgrzyt i grzechot, gdy opadła krata. W łukowato sklepionym przejściu stali dwaj żołnierze. Brama opuściła się za jednym z nich, zamykając go w galerii. Drugi odchylił się do tyłu, próbując usunąć się z drogi. Kolce trafiły go w brzuch i przybiły do posadzki, dziurawiąc napierśnik. Jedna jego noga podwinęła się, a druga zaczęła wściekle wierzgać. Krzyknął, ale nie miało to większego znaczenia, ponieważ krzyczeli już wszyscy.

Walka rozgorzała w całym ogrodzie i otaczających go czterech pięknych korytarzach. Cosca powalił jednego ze strażników cięciem od tyłu w uda. Dreszcz niemal rozplątał

innego na samym początku potyczki, a teraz bronił się przed trzema kolejnymi, wycofując się w stronę korytarza pełnego rzeźb, szaleńczo wywijając bronią, wydając z siebie dziwny odgłos przypominający zarazem śmiech i ryk.

Rudy oficer, którego dźgnął Przyjazny, pokuśtykał z jękiem do pierwszej sali, pozostawiając ślad z krwawych kropek na wypolerowanej posadzce. Przyjazny pobiegł za nim, przetoczył się pod jego rozpaczliwym cięciem, zerwał się na nogi, po czym odrąbał mu tasakiem tył głowy. Żołnierz przygwożdżony kratą bełkotał, bulgotał i bezcelowo szarpał za pręty. Jego towarzysz, który dopiero zaczął rozumieć, co się dzieje, wyceLOWał w Przyjaznego halabardę. Zagubiony oficer ze znamieniem na policzku przerwał kontemplowanie jednego z siedemdziesięciu ośmiu obrazów w sali i dobył szpady.

Było ich dwóch. Jeden i jeden. Przyjazny niemal się uśmiechnął. Takie sytuacje rozumiał.

Monza ponownie zamierzyła się na Ganmarka, ale jeden z jego żołnierzy stanął jej na drodze i staranował ją tarczą. Poślizgnęła się, przetoczyła w bok, po czym z trudem wstała. Wokół niej toczyła się chaotyczna bitwa.

Zobaczyła, jak Salier wyjmuje z okrzykiem zza pleców wąską szpadę i powala jednego z oficerów cięciem w twarz. Następnie spróbował pchnąć Ganmarka. Był zaskakująco sprawny jak na swoją posturę, ale to nie wystarczyło. Generał usunął mu się z drogi i spokojnie przebił olbrzymi brzuch księcia Visserine. Zakrwawiony koniec ostrza wyłonił się z tyłu białego munduru. Tak samo jak kiedyś wyłonił się z tyłu białej koszuli Benny.

- Uff - sapnął Salier.

Ganmark pchnął go nogą na marmurowy piedestał, na którym stał Wojownik. Książę ześlizgnął się po nim, trzymając się pulchnymi dłońmi za ranę, a krew przesączała się przez miękki biały materiał.

- Zabić wszystkich! - ryknął Ganmark. - Ale uwaga na obrazy!

Dwaj żołnierze ruszyli na Monzę. Odskokczyła w bok, tak że weszli sobie w drogę, uchyliła się przed niedbałym górnym cięciem zadany przez jednego z nich, po czym pchnęła go szpadą w pachwinę, tuż pod napierśnikiem. Mężczyzna rozdierając wrzasnął i upadł na kolana, ale zanim Monza zdążyła odzyskać równowagę, drugi przeciwnik zadał cios. Z trudem go sparowała, a siła uderzenia niemal wytrąciła jej ostrze z dłoni. Żołnierz uderzył ją tarczą w pierś, a krawędź napierśnika wbiła się jej w brzuch i pozbawiła oddechu. Mężczyzna uniósł broń, ale nagle krzyknął i zadrżał. Ugięło się pod nim jedno kolano i runął na twarz. Z jego karku sterczało pierzysko bełtu. Z okna na górze wychylała się Dzionek z kuszą w dłoniach.

Ganmark wskazał dziewczynę.

- Zabić tę blondynkę! - Dzionek zniknęła w środku, a reszta żołnierzy posłusznie za nią pobiegła.

Salier wpatrywał się lekko rozbieranym wzrokiem w krew przeciekającą mu pomiędzy pulchnymi palcami.

- Kto by pomyślał... że zginę w walce? - Jego głowa opadła na piedestał posągu.

- Czy świat nigdy nie przestanie nas zadziwiać? - Ganmark rozpiął górny guzik munduru, wyjął chustkę i przyłożył ją do krwawiącego skaleczenia na twarzy, po czym starannie wytarł krew Saliera z ostrza swojej szpady. - A więc to prawda. Wciąż żyjesz.

Monza już odzyskała oddech. Uniosła ostrze brata.

- To prawda, kutasie.

- Zawsze podziwiałem subtelność twojej retoryki.

Żołnierz, którego Monza dźgnęła w pachwinę, jęczał, usiłując doczołgać się do wejścia. Ganmark ostrożnie nad nim przeszedł, chowając zakrwawioną chustkę do kieszeni i zapinając guzik wolną dłonią. Z sal za kolumnadami docierały bitewne hałasy i okrzyki, ale chwilowo byli w ogrodzie sami. Jeśli nie liczyć trupów leżących wokół wejścia.

- Zostaliśmy tylko my dwoje. Już dawno nie fechtowałem na poważnie, ale postaram się cię nie zawieść.

- Nie obawiaj się. Twoja śmierć sprawi mi dużo satysfakcji.

Uśmiechnął się słabo, po czym opuścił wzrok na jej szpadę.

- Walczysz lewą ręką?

- Pomyślałam, że dam ci fory.

- Zatem wypada, bym odwdzieczył się podobną uprzejmością. - Zgrabnie przerzucił broń do drugiej dłoni, odwrócił gardę i wycelował ostrze w Monzę. - Zaczynamy...?

Monza nie miała zwyczaju czekać na zaproszenie. Skoczyła na niego, ale był przygotowany, odsunął się w bok, odpowiedział dwoma ostrymi cięciami, wysokim i niskim. Ich ostrza zderzały się z brzękiem, ślizgały po sobie i zgrzytały, napierały i cofały się, lśniąc w paskach słonecznego blasku między drzewami. Nieskazitelnie wypolerowane kawaleryjskie buty Ganmarka sunęły po bruku zwinnie jak u tancerza. Wyprowadzał pchnięcia z prędkością błyskawicy. Sparowała raz, drugi, ledwie uniknęła trzeciego ciosu. Zatoczyła się do tyłu o kilka kroków; musiała zaczerpnąć tchu, wrócić do równowagi.

„Ucieczka przed wrogiem to haniebna rzecz, ale często lepsza od alternatywy”, napisał Farans.

Patrzyła, jak Ganmark się zbliża, powoli kręcąc niewielkie kółka błyszczącym czubkiem szpady.

- Obawiam się, że za nisko trzymasz gardę. Jesteś pełna pasji, ale pasja bez dyscypliny jest tyle samo warta, co atak wściekłości u dziecka.

- Lepiej się, kurwa, zamknij i walcz.

- Ależ mogę jednocześnie rozmawiać i ciąć cię na kawałki. - Natarł z impetem, przepychając ją z jednej strony ogrodu na drugą.

Rozpaczliwie parowała jego ciosy, odpowiadając słabymi pchnięciami, ale zbyt rzadko i nieskutecznie.

Słyszała, że Ganmark jest jednym z najlepszych szermierzy na świecie, i teraz już w to nie wątpiła, mimo że walczył lewą ręką.

Fechtował sprawniej niż ona nawet za najlepszych czasów, a te już dawno minęły, zmiażdżone pod butem Gobby i zrzucone z górskiego zbocza pod Fontezarmo. Był szybszy, silniejszy, bardziej czujny. A to oznaczało, że Monza musiała być sprytniejsza, bardziej przebiegła i nieuczciwa. Bardziej wściekła.

Ruszyła na niego z wrzaskiem, zamarkowała cios w lewo, pchnęła w prawo. Odskoczył do tyłu, a wtedy zdjęła hełm i rzuciła mu go w twarz. Zdążył się pochylić, ale dostał w czubek głowy i stęknął. Zaatakowała, on jednak usunął się w bok, więc ostrze zahaczyło tylko złoty sznur na ramieniu jego munduru. Pchnęła, a on sparował jej cios, znów czujny i gotowy.

- Sprytnie.
- Pierdol się w dupę - warknęła.
- Może będę w nastroju, kiedy już cię zabiję.

Wyprowadził cięcie, ale, zamiast się cofnąć, Monza doskoczyła do niego, doprowadzając do zwarenia przy wtórze zgrzytu rękojeści. Spróbowała go podciąć, on jednak ominął jej but i utrzymał równowagę. Wtedy kopnęła go w kolano. Gdy ugięła się pod nim noga, Monza wściekle cięła szpadą, jednak Ganmark zdążył się wyslizgnąć i ostrze trafiło w elegancko przystrzyżony krzew, wyrzucając w górę zielone listki.

- Są łatwiejsze sposoby pielęgnacji żywopłotów, jeśli na tym ci zależy.

Zanim Monza zdążyła ochłonąć, wyprowadził serię cięć, spychając ją do tyłu. Przeskoczyła nad zakrwawionym trupem jednego ze strażników, schyliła się pod potężnymi nogami posągu, starając się obmyślić jakąś strategię ataku. Rozpięła paski napierśnika i z trzaskiem zrzuciła go na ziemię. Nie mógł jej ochronić przed tak wytrawnym szermierzem, tylko ją spowalniał.

- Koniec sztuczek, Murcatto?
- Coś wymyślę, draniu!

- Lepiej się pośpiesz. - Ganmark pchnął szpadą pomiędzy nogami posągu. Spudłował tylko o włos, gdy Monza zrobiła gwałtowny unik. - To, że zostałam skrzywdzona i wierzysz, że

zasłużyłaś na zemstę, nie zapewni ci zwycięstwa. Wygrywa najlepszy, a nie najwściekleszy szermierz.

Wydawało się, że prześlizgnie się wokół prawej nogi Wojownika, ale zamiast tego ruszył w przeciwną stronę, przeskakując nad zwłokami Saliera skulonymi przy piedestale. Przejrzała ten podstęp i odbiła jego szpadę w bok, po czym spróbowała rozplatać mu głowę mało eleganckim, ale potwornie silnym ciosem. Uchylił się w porę. Ostrze od Calveza z brzękiem uderzyło w umięśnioną łydkę Stolicusa, wyrzucając w powietrze odpryski marmuru. Monza z trudem utrzymała drżącą broń, zmagając się z bólem lewej ręki.

Ganmark zmarszczył brwi i wolną ręką delikatnie dotknął pęknięcia na nodze posągu.

- Czysty wandalizm.

Skoczył na nią i zmusił do odwrotu, raz za razem uderzając w jej szpadę. Ślizgała się na bruku, aż w końcu zeszła na trawę, cały czas próbując podstępem albo siłą przedrzeć się przez jego gardę. Ale Ganmark przewidywał wszystkie jej ruchy i odpowiadał na nie z prostą skutecznością wynikającą z mistrzowskich umiejętności. Nawet nie dostał zadyszki. Im dłużej walczyli, tym lepiej ją poznawał i tym bardziej malały jej szanse.

- Powinnaś uważać podczas zamachu - powiedział. - Prowadzisz ostrze zbyt wysoko. Ograniczasz sobie możliwości i niepotrzebnie się odsłaniasz.

Wyprowadziła dwa cięcia, ale bez trudu je odbił.

- Poza tym przekrzywiasz broń w prawo.

Pchnęła, a on przyjął uderzenie na gardę i prześlizgnął się ostrzem po jej szpadzie. Swobodnym ruchem nadgarstka wyrwał jej broń z ręki i z brzękiem posłał na bruk.

- Widzisz?

Oszołomiona cofnęła się o krok i zobaczyła błysk światła na zbliżającym się ostrzu Ganmarka. Czubek szpady przebił jej lewą dłoń, prześlizgując się między kośćmi, i trafił ją w ramię, wyginając i przytrzymując rękę, jak mięso i cebulę na gurkijskim szaszłyku. Po chwili pojawił się ból i Monza jęknęła,

gdy Ganmark obrócił ostrze i posłał ją na kolana, bezsilną i wygiętą do tyłu.

- Jeśli uważasz, że na to nie zasłużyłaś, uznaj, że to prezent od mieszkańców Caprile.

Przekręcił szpadę w drugą stronę, a Monza poczuła, jak czubek ostrza wbija się głębiej w jej ramię, stal szoruje o kości dłoni, a krew spływa po przedramieniu do rękawa munduru.

- Pierdol się! - warknęła, w przeciwnym razie musiałaby zacząć krzyczeć.

Jego usta wykrzywił smutny uśmiech.

- Uprzejma propozycja, ale twój brat był bardziej w moim typie.

Wyszarpnął szpadę z jej ciała, a Monza upadła na dłonie i kolana, ciężko dysząc. Zamknęła oczy, czekając, aż ostrze wbije się między jej łopatki i przesyje serce, tak jak się stało z Benną.

Zastanawiała się, jak bardzo ją to zaboli i jak długo potrwa. Pewnie bardzo, ale niedługo.

Usłyszała oddalające się kroki i powoli uniosła głowę. Ganmark wsunął stopę pod jej szpadę, podrzucił ją i złapał.

- Chyba punkt dla mnie. - Rzucił broń jak strzałę, tak że wbiła się w trawę obok Monzy, lekko się kołysząc. - To co? Zawalczymy do trzech trafień?

Długi korytarz, w którym znajdowały się styryjskie arcydzieła księcia Saliera, teraz dodatkowo zdobiło pięć trupów. To wspaniała dekoracja, która sprawdza się w każdym pałacu, jednak dyktator o wyrobionym guście powinien regularnie ją wymieniać, aby uniknąć nieprzyjemnego zapachu. Zwłaszcza w ciepłą pogodę. Dwaj przebrani żołnierze Saliera oraz jeden z oficerów Ganmarka leżeli zakrwawieni w mało godnych pozach, chociaż jeden ze strażników generała zdołał umrzeć w niemal komfortowych okolicznościach, zwinięty wokół okolicznościowego stolika z ozdobną wazą.

Kolejny strażnik pełznął w stronę drzwi, zostawiając tłusty czerwony ślad na wypolerowanej posadzce. Cosca zranił go w brzuch, tuż pod napierśnikiem, a nie było łatwo jednocześnie czołgać się i przytrzymywać wnętrzości.

Pozostali jeszcze dwaj młodzi oficerowie sztabowi z lśnącymi szpadami i błyszczącymi oczami pełnymi słusznego gniewu. Zapewne w bardziej przyjaznych okolicznościach obaj okazaliby się sympatycznymi ludźmi. Zapewne kochały ich matki, a oni odwzajemniali ich miłość. Nie zasłużyli na śmierć w tej pozbawionej gustu świątyni chciwości, tylko dlatego, że opowiedzieli się po takiej, a nie innej stronie. Jednakże Cosca nie miał innego wyjścia jak tylko zrobić co w jego mocy, by ich zabić. Każdy robak i chwast stara się przeżyć. Dlaczego najbardziej niesławny najemnik w Styrii miałby kierować się innymi pobudkami?

Dwaj oficerowie rozdzielili się. Jeden ruszył w stronę wysokich okien, a drugi ku obrazom, spychając Coscę na drugi koniec pomieszczenia, gdzie czekała na niego śmierć. Nicomo pocił się pod talińskim mundurem, a oddech palił mu płuca. Walka na śmierć i życie to z pewnością zajęcie dla młodych.

- No, chłopcy - mruknął, wążąc szpadę w dłoni. - Może zmierzycie się ze mną pojedynczo? Nie macie honoru?

- Nie mamy honoru? - zakpił jeden z nich. - My?

- Przebraliście się, żeby w tchórzliwy sposób zaskoczyć naszego generała! - syknął drugi, a jego twarz poróżowiała z wściekłości.

- Rzeczywiście. Rzeczywiście. - Cosca opuścił czubek szpady. - Nie mogę znieść takiego wstydu. Poddaję się.

Żołnierz po lewej stronie nie dał się wyprowadzić z równowagi, ale jego towarzysz po prawej sprawiał wrażenie zaskoczonego i na chwilę opuścił broń. To w niego Cosca rzucił nożem.

Noż świsnął w powietrzu i wbił się młodzieńcowi w bok. Chłopak skręcił się z bólu, a Cosca poszedł za ciosem, celując szpadą w pierś przeciwnika. Być może chłopak się pochylił, a może to Cosca spudłował, w każdym razie ostrze trafiło oficera

w szyję i odcięło mu głowę, w spektakularny sposób usprawiedliwiając trud poświęcony na ostrzenie. Głowa zawirowała w powietrzu, bryzgając krwią, po czym odbiła się od jednego z obrazów z głuchym łupnięciem oraz łopotaniem płótna. Ciało przewróciło się do przodu, a z przeciętej szyi trysnęły długie strumienie krwi, która popłynęła po posadzce.

Cosca wydał z siebie zaskoczony okrzyk triumfu, ale drugi oficer natychmiast go zaatakował, wymachując szpadą tak, jakby trzepał dywan. Cosca uchylał się, kluczył, parował, w końcu bezradnie odskoczył w tył przed wściekłym cięciem i potknął się o bezgłowego trupa, padając jak długi na ziemię śliską od krwi.

Oficer wrzasnął i skoczył naprzód, by dokończyć dzieła. Cosca chwycił na oślep najbliższy przedmiot, zacisnął na nim dłoń i rzucił nim w przeciwnika. To była odcięta głowa. Młodzieniec zatoczył się trafiony w twarz. Cosca dopadł do swojej broni i błyskawicznie się obrócił. Dłoń, szpadę, twarz i ubranie miał całe we krwi. Było to dziwnie odpowiednie u człowieka, który żył tak jak on.

Oficer ponownie zaatakował serią wściekłych cięć. Cosca pośpiesznie się wycofał, starając się nie przewrócić, opuszczając ostrze i udając całkowite wyczerpanie, co wcale nie było trudne. Zderzył się ze stołem, prawie upadł, po czym wolną dłonią wymacał za plecami krawędź ozdobnego słoja. Oficer postąpił krok naprzód, unosząc ostrze z okrzykiem triumfu. Nagle okrzyk zmienił się w bulgot, gdy w jego stronę poleciał rzucony słoje. Żołnierz rozbił go ręką, tak że kawałki ceramiki zasypały jedną stronę jego ciała, ale jednocześnie na chwilę się odsłonił. Cosca wykonał ostatnie rozpaczliwe pchnięcie i poczuł lekki opór, gdy ostrze przebiło policzek przeciwnika, po czym w podręcznikowy sposób wyszło tyłem głowy.

- Och. - Oficer lekko zadygotał, gdy Cosca wyciągnął szpadę i gwałtownie się wycofał. - Czy to... - Powiódł wokół zaskoczonym, nieprzytomnym spojrzeniem, jak człowiek, który obudził się pijany i odkrył, że ktoś go okradł, rozebrał do naga i

przywiązał do słupa.

Cosca już nie pamiętał, czy coś takiego przydarzyło mu się w Etrisani, czy raczej w Westporcie, gdyż w jego umyśle tamte lata zlewały się w jedno.

- Coszętało?

Oficer ciął szpadą z przesadną powolnością, a Cosca usunął się z drogi, pozwalając przeciwnikowi obrócić się wokół własnej osi i runąć na bok. Młodzieniec z trudem przetoczył się, po czym wstał, lekko krwawiąc z niewielkiej szpary obok nosa. Oko powyżej rany mrugało, a twarz po tej stronie obwisła jak stara skóra.

- Gubiszkuwiel - wysapał, tocząc ślinę z ust.

- Słucham? - spytał Cosca.

- Szkuww! - Żołnierz uniósł drżące ostrze i zaszarżował, po czym uderzył bokiem w ścianę. Zderzył się z obrazem przedstawiającym dziewczynę zaskoczoną podczas kąpieli, wydarł w nim wielką dziurę ręką trzymającą szpadę i zrzucił płótno na siebie, tak że wystawał spod niego tylko jego but. Więcej się nie poruszył.

- Szczęściarz - szepnął Cosca. Umrzeć pod nagą kobietą. Sam zawsze chciał odejść w taki sposób.

Monzę piekło zranione ramię, ale rana na lewej dłoni bolała znacznie bardziej. Dłoń i palce były lepkie od krwi. Ledwie mogła zacisnąć pięść, a co dopiero chwycić ostrze. Zatem nie miała wyboru. Zębami ściągnęła rękawiczkę z prawej dłoni, po czym chwyciła nią rękojeść szpady, czując, jak powykrzywiane kości przemieszczają się pod skórą, gdy zgięła wszystkie palce poza małym, który wciąż boleśnie sterczał.

- A więc znów jesteśmy praworęczni? - Ganmark podrzucił obracającą się szpadę i złapał ją prawą ręką zwinnie jak żongler w cyrku. - Zawsze podziwiałem twoją determinację, nawet jeśli nie podobały mi się cele, do których cię wiodła. Zemsta, tak?

- Zemsta - warknęła.

- Zemsta. Gdyby nawet udało ci się jej dokonać, co by ci to dało? Cały ten wysiłek, ból, wydatki, krew... po co? Kto na tym zyska? - Patrzył smutnymi oczami, jak Monza wstaje. - Na pewno nie pomszczeni zmarli. Oni dalej będą gnili w ziemi. Oczywiście, także nie ci, których dosięgnie zemsta, gdyż wszyscy będą trupami. A co z tymi, którzy dokonają zemsty? Czy będą spokojniej spali, gdy już wszystkich wymordują? Gdy zasieją krwawe ziarna setki kolejnych odwetów?

Monza okrążyła Ganmarka, starając się wymyślić jakąś sztuczkę, która pozwoli jej go zabić.

- Zapewne ci wszyscy zabici w banku w Westporcie to twoje szlachetne dzieło? - kontynuował jej przeciwnik. - A rzeź u Cardottiego to była sprawiedliwa i odpowiednia odpłata?

- Zrobiłam to, co było konieczne!

- Ach, to, co było konieczne. Ulubiona wymówka zła odbija się echem poprzez wieki i wyślizguje z twoich wykrzywionych ust.

Doskoczył do niej i ich szpady dwukrotnie zabręczały, uderzając o siebie. Spróbował ją dźgnąć, ale Monza sparowała i odpowiedziała w taki sam sposób. Każde uderzenie przeszywało jej rękę bólem. Zazgrzytała zębami, zmuszając się do wściekłego grymasu, ale nie była w stanie ukryć potwornego bólu i tego, jak niewygodnie się z nim czuła. Miała niewielkie szanse, gdy walczyła lewą ręką, ale żadnych, gdy trzymała szpadę w prawej dłoni, i dobrze o tym wiedziała.

- Nigdy nie zgadnę, dlaczego Boginie Losu postanowiły cię ocalić, ale powinnaś była im grzecznie podziękować i zniknąć. Nie udawajmy, że ty i twój brat nie zasłużyliście na to, co was spotkało.

- Pierdol się! Nie zasłużyłam na to! - Już wypowiadając te słowa, zaczęła mieć wątpliwości. - Mój brat też!

Ganmark parsknął.

- Nikt równie chętnie jak ja nie przebacza przystojnym mężczyznom, ale twój brat był mściwym tchórzem. Uroczym, chciwym, bezwzględnym pasożytem pozbawionym zasad.

Najpodlejszym spośród ludzi. Jedyńm, co sprawiało, że nie był całkowicie bezwartościowy, byłaś ty.

Skoczył na nią ze śmiertcionołą szybkością, a Monza wycofała się, uderzając ze stęknieniem o drzewo wiśni i padając na ziemię w deszczu białych kwiatów. Ganmark mógł ją przebić, ale stał nieruchomo jak posąg, trzymając szpadę w pogotowiu, uśmiechając się słabo i patrząc, jak rozpaczliwie odsuwa się w bezpieczne miejsce.

- Spójrzmy prawdzie w oczy, pani generał Murcatto. Mimo niewątpliwego talentu nigdy nie byłaś wzorem cnót. Znalazłoby się ze sto tysięcy ludzi, którzy mieliby powód, by zrzucić twoją padlinę z tarasu!

- Ale nie Orso. On nie! - Uderzyła nisko, celując w jego biodro, po czym skrzywiła się, gdy odbił jej cios, wprawiając powykręcaną dłoń w drzenie.

- Jeśli to żart, to mało śmieszny. Sprzeczasz się z sędzią, gdy wyrok jest oczywisty i sprawiedliwy? - Stawiał stopy uważnie, jak artysta nakładający farbę na płótno, sprowadzając ją z powrotem na bruk. - Do ilu śmierci się przyczyniłaś? Jak wiele zniszczyłaś? Jesteś bandytką! Słynną spekulantką! Robakiem, który utuczył się na gnijącym trupie Styrii! - Kolejne trzy ciosy, szybkie jak uderzenia młotkiem w dłuto rzeźbiarza, miotwały na boki szpadę, którą trzymała w obolałej dłoni. - Twierdzisz, że na to nie zasłużyłaś? Nie zasłużyłaś? Ta namiastka prawej dłoni jest wystarczająco żenująca. Proszę, nie ośmieszaj się jeszcze bardziej.

Wykonała zmęczone, bolesne i niezgrabne pchnięcie. Odbił je z lekceważeniem i usunął się jej z drogi. Spodziewała się, że wbije jej szpadę w plecy, ale zamiast tego poczuła jego but na swoim pośladku i runęła na bruk, ponownie wypuszczając z odrętwiałych palców broń Benny. Przez chwilę leżała na ziemi, z trudem łapiąc oddech, po czym powoli się przetoczyła i uklękła. Nie widziała sensu we wstawaniu. Wiedziała, że zaraz znów wyląduje na ziemi, gdy Ganmark przeszyje ją ostrzem. Jej prawa dłoń drżała i pulsowała bólem. Skradziony mundur był umazany na ramieniu ciemną krwią, która kapiała także z

palców jej lewej ręki.

Ganmark poruszył nadgarstkiem, ścinając kwiat, który spadł mu na otwartą dłoń. Uniósł go do twarzy i wciągnął zapach w nozdrza.

- To piękny dzień i dobre miejsce na śmierć. Powinniśmy byli wykończyć cię w Fontezarmo, razem z bratem. Ale może być i teraz.

Nie przychodziły jej do głowy żadne ostre ostatnie słowa, więc tylko odchyliła głowę i na niego splunęła. Trafiła go w szyję, kołnierzyk i przód eleganckiego munduru. Może nie była to prawdziwa zemsta, ale dobre i to. Ganmark popatrzył w dół.

- Wielka dama do samego końca.

Nagle zerknął w bok, po czym gwałtownie się uchylił, gdy coś przemknęło obok niego ze świstem i wpadło w rabatkę. Ktoś rzucił nożem. Cosca runął na Ganmarka, warcząc jak wściekły pies, i zmusił generała do wycofania się.

- Cosca! - Monza niezdarnie podniosła szpadę. - Spóźniony jak zawsze.

- Byłem nieco zajęty po sąsiedzku - odburknął stary najemnik, zatrzymując się, by złapać oddech.

- Nicomo Cosca? - Ganmark zmarszczył brwi. - Myślałem, że nie żyjesz.

- Od zawsze pojawiały się fałszywe doniesienia o mojej śmierci. Ale to tylko pobożne życzenia...

- Autorstwa jego licznych wrogów. - Monza wstała, otrząsając się ze słabości. - Skoro chcesz mnie zabić, to powinieneś wreszcie zabrać się do roboty zamiast gadać.

Ganmark powoli się cofnął, lewą ręką wyjmując z pochwy krótkie ostrze. Wyciągnął je w stronę Monzy, a szpadę wycelował w Coscę, wodząc między nimi wzrokiem.

- Wciąż mamy na to dużo czasu.

Dreszcz nie był sobą. Albo może nareszcie był. Ból

doprowadził go do szaleństwa. A może oko, które mu zostawili, nie działało poprawnie. Albo wciąż był rozbity po kilkudniowym paleniu plew. Niezależnie od przyczyn, znalazł się w piekle.

I całkiem mu się tam podobało.

Długi korytarz pulsował, świecił, falował jak zbiornik z wodą. Słońce przypiekało zza okien, kłując go i oślepiając przez setki migoczących szklanych kwadratów. Posągi lśniły, uśmiechały się, pociły i dodawały mu otuchy. Może miał o jedno oko mniej, ale widział dużo wyraźniej. Ból usunął wszystkie wątpliwości, lęki, pytania i wybory. Całe to gównno, które mu ciążyło. Całe to gównno, które było słabością, kłamstwem i próżnym wysiłkiem. Wmawiał sobie, że życie jest skomplikowane, podczas gdy naprawdę było cudownie i straszliwie proste. Jego topór znał wszystkie odpowiedzi.

Ostrze błysnęło w słońcu i pozostawiło za sobą migoczącą białą smugę, po czym wbiło się w rękę jednego z mężczyzn, wyrzucając w powietrze czarne strumienie. Łopoczący materiał. Rozdarte ciało. Rozłupana kość. Wygięty i wykręcony metal. Włócznia zazgrzytała na tarczy Dreszcza i poczuł w ustach słodki smak ryku, gdy ponownie uderzył toporem. Trafił w napierśnik i zostawił na nim głębokie wgięcie, rzucając przeciwnika na podziurawioną urnę, która rozpadła się na kawałki. Mężczyzna zaczął więc się na posadzce wśród kawałków ceramiki.

Świat był wywrócony na lewą stronę, jak lśniące wnętrzości oficera, którego wypatroszył kilka chwil wcześniej. Kiedyś walka go męczyła. Teraz stał się silniejszy. Wściekłość wrzała w nim, wyciekała z niego, podpałała jego skórę. Z każdym zadany ciosem było coraz gorzej, lepiej, mięśnie piekły, aż musiał krzyczeć, śmiać się, płakać, śpiewać, miotać się, tańczyć, wrzeszczeć.

Odbił czyjeś ostrze tarczą, wyrwał przeciwnikowi szpadę z ręki, po czym dopadł do niego, objął go, pocałował i polizał po twarzy. Biegając z rykiem i tupiąc, wepchnął żołnierza na jeden z posągów, a potem na drugi. Wywróciły się i rozbiły na

kawałki w chmurze pyłu.

Strażnik runął ze stęknieniem na ziemię i spróbował się przetoczyć. Topór Dreszcza wgiął czubek jego hełmu z głuchym brzękiem i wcisnął mu na twarz metalową krawędź, która zmiażdżyła nos, zalewając twarz krwią.

- Giń, kurwa! - Dreszcz zdzielił go w hełm, odrzucając głowę przeciwnika w bok. - Giń! - Uderzył z drugiej strony, aż szyja żołnierza zachręściła jak skarpeta wypełniona żwirem. - Giń! Giń!

Brzęk, brzęk, jak garnki i patelnie hałasujące w rzece po posiłku. Posąg patrzył na to z niezadowoloną miną.

- Patrzysz na mnie? - Dreszcz odłupał mu głowę toporem.

Potem wskoczył na kogoś, nawet nie wiedząc, jak to się stało, i zaczął uderzać przeciwnika krawędzią tarczy w twarz, aż zmienił ją w bezkształtną krwawą miazgę. Usłyszał w uchu czyjś szept. Szalony, syczący, skrzeczący głos.

- Jestem stworzony ze śmierci. Jestem Wielkim Rozjemcą. Jestem huraganem na Wysokich Szczytach. - Głos Krwawego-dziewięć, ale wydobywający się z jego własnej krtani. W sali leżeli powaleni ludzie i posągi, jedni i drudzy w kawałkach. - Ty. - Dreszcz wskazał zakrwawionym toporem ostatniego przeciwnika, który kulił się na końcu zapyłonego korytarza. - Widzę cię, skurwielu. Nikt nie ucieknie. - Zdał sobie sprawę, że mówi w języku Północy. Mężczyzna nie mógł zrozumieć ani słowa, ale to nie miało większego znaczenia.

Zapewne domyślał się, o co chodzi.

Monza przesuwiała się z trudem wzdłuż arkady, wydobywając resztki sił z obolałych nóg, powarkując, gdy wykonywała niezdarne pchnięcia, dźgnięcia i cięcia, i ani na chwilę nie zwalniając tempa. Ganmark wycofywał się poprzez plamy światła i cienia, marszcząc czoło z wściekłym skupieniem. Gorączkowo zerkał na boki, parując uderzenia jej i

Coski, który dźgał go pomiędzy kolumn po jego lewej stronie. Ich ciężkie oddechy, szuranie nóg i zgrzyt stali odbijały się echem od sklepionego sufitu.

Cięła go z jednej, a potem z drugiej strony, ignorując palący ból w pięści, i wytrąciła mu z ręki krótkie ostrze, które potoczyło się w cień. Ganmark odskoczył i z trudem odbił jedno z pchnięć Coski, odsłaniając jeden bok. Monza wyszczerzyła się i już brała zamach do pchnięcia, gdy coś uderzyło w okno po lewej stronie, zasypując jej twarz kawałkami szkła. Monzie wydawało się, że słyszy głos Dreszcza, ryczącego coś w mowie Północy. Ganmark poślizgnął się między dwiema kolumnami, gdy Cosca zadał kolejny cios, po czym wycofał się w poprzek trawnika na środek ogrodu.

- Mogłabyś wreszcie zabić tego drania? - wychrypiał Nicomo.

- Staram się. Idź w lewo.

- Niech będzie w lewo.

Rozdzielili się, spychając Ganmarka ku posągowi. Generał wydawał się wycieńczony, ciężko dyszał, a jego miękkie policzki pokryły się różowymi plamami i lśniły od potu. Monza zamarkowała z uśmiechem uderzenie, wyczuwając zwycięstwo, ale nagle mina jej zrzędła, gdy skoczył jej na spotkanie. Uchyliła się przed pierwszym ciosem i cięła go w szyję, ale zablokował jej uderzenie i ją odepchnął. Był znacznie mniej zmęczony niż przypuszczała, w przeciwieństwie do niej. Źle stanęła i zatoczyła się w bok. Ganmark przemknął obok niej, a jego ostrze pozostawiło palące rozcięcie na jej udzie. Próbowwała się obrócić, ale ugięła się pod nią noga. Z wrzaskiem upadła i potoczyła się po ziemi, a broń wypadła jej z bezwładnych palców.

Cosca minął ją z chrapliwym okrzykiem, wściekle wymachując szpadą. Ganmark zanurkował pod jego cięciem, po czym nagle się wyprostował i wbił mu ostrze w brzuch. Broń Coski głośno brzęknęła o piszczel Wojownika i wypadła mu z dłoni, posyłając w powietrze kawałki kamienia. Generał wycofał ostrze, a Cosca padł na kolana, po czym przewrócił się na bok z przeciągłym jękiem.

- No i załatwione. - Ganmark odwrócił się w stronę Monzy, stając na tle największego dzieła Bonatine'a. Kilka płatków marmuru odpadło od kostki posągu, na której widniało pęknięcie po uderzeniu Monzy. - Muszę przyznać, że zmusiliście mnie do nie lada wysiłku. Jesteś... a raczej byłaś... kobietą niezwykle zdeterminowaną.

Cosca pełzł po bruku, zostawiając za sobą smugę krwi.

- Niestety, bezustannie spoglądając w przyszłość, straciłaś z oczu to, co cię otacza. Istotę wielkiej wojny, w której uczestniczysz. Naturę ludzi, którzy są ci najbliżsi. - Ganmark ponownie wyjął chustkę, otarł pot z czoła, po czym starannie wyczyścił broń z krwi. - Książę Orso i jego Talins są jedynie ostrzem w ręku Valinta i Balka, ty zaś nigdy nie byłaś niczym więcej, jak tylko bezlitosnym czubkiem tego ostrza. - Przeciągnął palcem wskazującym po błyszczącej końcówce swojej szpady. - Wciąż kłułaś, wciąż zabijałaś, ale nigdy nie zastanawiałaś się dlaczego. - Rozległo się ciche trzeszczenie i potężna szpada Wojownika lekko się zakołysała. - Ale teraz to już bez znaczenia. Dla ciebie walka się skończyła. - Ganmark wciąż miał na ustach smutny uśmiech, gdy zatrzymał się o krok od Monzy. - Chciałabyś jeszcze coś powiedzieć? Byle szybko.

- Za tobą - warknęła Monza przez zaciśnięte zęby, gdy Wojownik powoli zaczął się przechylać.

- Chyba masz mnie za...

Rozległ się głośny huk. Noga posągu pękła w połowie i potężna kamienna figura przewróciła się do przodu.

Ganmark właśnie miał się obejrzeć, gdy czubek olbrzymiego miecza Stolicusa wbił mu się między łopatki, powalił go na kolana, przebił brzuch i uderzył o bruk, ochlapując piekącą twarz Monzy krwią i zasypując ją kamiennymi okruchami. Nogi posągu rozpadły się od upadku na ziemię, szlachetne stopy pozostały na piedestale, a reszta podzieliła się na muskularne fragmenty, które potoczyły się w obłoku białego marmurowego pyłu. Od bioder w górę dumny wizerunek największego żołnierza w historii pozostał w jednym imponującym kawałku, wpatrując się surowo w generała księcia Orso nabitego na

potężne ostrze.

Ganmark wydał z siebie dźwięk przypominający odgłos wody wyciekającej z pękniętej wanny, po czym zakaszał krwią na przód munduru. Głowa opadła mu na pierś, a broń wypadła z brzękiem z bezwładnej dłoni.

Przez chwilę wszystko trwało w bezruchu.

- Oto, co nazywam szczęśliwym zrządzeniem losu - zaskrzeczał Cosca.

Czterech zabitych, pozostało trzech. Monza zobaczyła, że ktoś wyczołguje się zza jednej z kolumnad, i z grymasem bólu po raz trzeci podniosła szpadę, nie wiedząc, w której poharatanej dłoni ma ją trzymać. To była Dzionek z naciągniętą kuszą. Przyjazny szedł za nią z nożem i tasakiem w opuszczonych dłoniach.

- Dorwałaś go? - spytała dziewczyna.

Monza popatrzyła na klęczącego trupa Ganmarka nadzianego na ostrze z brązu.

- Stolicus mnie wyręczył.

Cosca doczołgał się do jednego z drzew wiśni i usiadł, opierając plecy o pień. Wyglądał jak człowiek zażywający relaksu w letni dzień, gdyby nie zakrwawiona dłoń przyciśnięta do brzucha. Monza pokuśtykała do niego, wbiła szpadę w trawę i przyklękła.

- Pozwól mi rzucić okiem. - Zaczęła mocować się z guzikami munduru Coski, ale zanim rozpięła drugi, najemnik delikatnie chwycił ją za obie dłonie.

- Od lat czekam, żebyś zdarła ze mnie ubranie, ale obawiam się, że teraz muszę grzecznie odmówić. Ze mną już koniec.

- Z tobą? Nigdy.

Mocniej ścisnęła jej dłonie.

- Przebił mi flaki, Monzo. To koniec. - Popatrzył ku bramie i usłyszał ciche pobrzękiwanie. Żołnierze po drugiej stronie usiłowali podważyć kratę. - Zresztą, niedługo będziesz miała inne problemy. Ale załatwiłaś już czterech z siedmiu, dziewczyno. - Wyszczerył się. - Nie przypuszczałem, że ci się uda.

- Czterech z siedmiu - mruknął Przyjazny za jej plecami.
- Żałuję, że nie ma wśród nich Orso.
- Cóż, to szlachetne powołanie, ale chyba nie da się zabić wszystkich - odrzekł Cosca, unosząc brwi.

Z jednego z wejść powoli wyłonił się Dreszcz. Ledwie zerknął na przebite zwłoki Ganmarka.

- To wszyscy?

- Tutaj tak - odparł Przyjazny i skinął głową w kierunku bramy. - Ale tam ich trochę zostało.

- No tak. - Północny zatrzymał się w pobliżu. Jego opuszczony topór, wgięta tarcza, blada twarz i bandaże zakrywające połowę głowy były zbryzgane ciemną krwią.

- Jak się czujesz? - spytała Monza.

- Sam nie wiem.

- Pytam, czy nie jesteś ranny.

Dotknął bandaży.

- Nie bardziej niż kiedy zaczynaliśmy... chyba dzisiaj jestem ukochanym księżycu, jak mawiają ludzie na wzgórzach. - Popatrzył na jej zakrwawione ramię i dłoń. - Krwawisz.

- Lekcja szermierki potoczyła się nie po mojej myśli.

- Potrzebujesz bandaża?

Wskazała głową bramę, zza której dobiegał coraz głośniejszy gwar talińskich żołnierzy.

- Będziemy mieli szczęście, jeśli zdążymy wykrwawić się na śmierć.

- Co więc robimy?

Otworzyła usta, ale nic nie odpowiedziała. Nie było sensu walczyć, nawet gdyby miała siły. Za chwilę w pałacu zaroi się od żołnierzy Orso. Nie było sensu się poddać, nawet gdyby to było w jej naturze. W najlepszym przypadku odstawiono by ich do Fontezarmo, by tam ich zabić. Benna zawsze ją ostrzegał, że nie wybiega myślami w przyszłość, i najwyraźniej miał rację...

- Mam pomysł. - Na twarzy Dzionek niespodziewanie pojawił się uśmiech.

Monza podążyła wzrokiem za jej palcem wyciągniętym w stronę linii dachów nad ogrodem, mrużąc oczy pod wpływem

słońca. Jakaś czarna postać siedziała przykucnięta na tle jasnego nieba.

- Miłego popołudnia! - Nigdy nie przypuszczała, że ucieszy ją szorstkie zawrodo Castora Morveera. - Chciałem obejrzeć słynne zbiory księcia Visserine, ale wygląda na to, że zgubiłem się z kretelem! Czy ktoś z was, mili ludzie, mógłby mi wskazać drogę? Słyszałem, że książę jest w posiadaniu największego dzieła Bonatine'a.

Monza wskazała zakrwawionym kciukiem rozbitą posąg.

- Nas nie zwaliło z nóg!

Vitari pojawiła się u boku truciciela i zaczęła spuszczać linę.

- Jesteśmy uratowani - mruknął Przyjazny takim samym tonem, jakby oznajmiał „Jesteśmy martwi”.

Monza nie miała sił, by się cieszyć. Nawet nie potrafiła stwierdzić, czy jest zadowolona.

- Dzionek, Dreszcz, wchodźcie na górę.

- Jasne. - Dzionek odrzuciła kuszę i podbiegła do liny.

Północny przez chwilę przypatrywał się Monzie ze zmarszczonym czołem, po czym poszedł w ślady dziewczyny.

Przyjazny popatrzył na Coscę.

- A co z nim? - Wydawało się, że stary najemnik przysnął, jego powieki drgały.

- Będziemy musieli go wciągnąć. Podnieś go.

Skazaniec wsunął jedną rękę pod plecy Nicomo i zaczął go podnosić. Cosca gwałtownie się ocknął, a jego twarz wykrzywił grymas bólu.

- Nie, nie, nie, nie, nie.

Przyjazny ostrożnie go posadził, a Cosca potrząsnął pokrytą strupami głową, nierówno oddychając.

- Nie będę wrzeszczał przez całą drogę na górę tylko po to, by następnie umrzeć na dachu. To jest równie dobre miejsce i równie dobry czas. Od lat obiecywałem, że to zrobię, więc mogę choć raz dotrzymać słowa.

Monza przykucnęła obok niego.

- Wolalabym, żebyś znów okazał się kłamcą i dalej miał na mnie oko.

- Zostałem tutaj tylko dlatego... że lubię patrzeć na twój tyłek.
- Wyszczerył zęby, skrzywił się i przeciągle zacharczał. -
Brzęczenie przy bramie stawało się głośniejsze.

Przyjazny podał mu szpadę.

- Wkrótce się pojawią. Chcesz broń?

- Po co? To właśnie przez broń wpakowałem się w tarapaty. -
Spróbował zmienić pozycję, ale tylko skrzywił się i z powrotem
opadł na ziemię. Jego skóra przybrała woskowy połysk, jak u
trupa.

Vitari i Morveer wciągnęli Dreszcza ponad rynną na dach.
Monza popatrzyła na Przyjaznego.

- Twoja kolej.

Jeszcze przez chwilę siedział nieruchomo, po czym popatrzył
Cosce w oczy.

- Chcesz, żebym został?

Stary najemnik chwycił go za dużą dłoń i uściśnął ją z
uśmiechem.

- Jestem niewymownie wzruszony, ale muszę odmówić,
przyjacielu. Lepiej zajmę się tym sam. Rzuć za mnie kośćmi.

- Tak zrobię. - Przyjazny wstał i, nie oglądając się, odszedł w
stronę liny.

Monza odprowadziła go wzrokiem. Jej dłonie, ramię i noga
płonęły, bolało ją poobijane ciało. Przebiegła wzrokiem po
trupach rozrzuconych w ogrodzie. Słodkie zwycięstwo. Słodka
zemsta. Ludzie zmienieni w mięso.

- Wyświadczyć mi jedną przysługę. - Cosca uśmiechał się
smutno, zupełnie jakby zgadywał jej myśli.

- Wróciłeś po mnie. Jestem ci coś winna.

- Przebaczyć mi.

Wydała z siebie dziwny dźwięk - jakby parsknęła, a zarazem
dostała torsji.

- Myślałam, że to ja cię zdradziłam.

- Jakże to ma teraz znaczenie? Zdrada to nasz chleb
powszedni. Przebaczenie to rzadkość. Wolałbym odejść bez
długów. Nie licząc pieniędzy, które jestem winien w Osprii. I w
Adui. I w Dagosce. - Z trudem machnął zakrwawioną dłonią. - W

każdym razie bez długów wobec ciebie.

- Na to mogę przystać. Jesteśmy kwita.

- To dobrze. Źle żyłem, więc cieszę się, że chociaż dobrze umrę. Idźcie.

Jakaś częśćka niej chciała z nim zostać, być przy nim, gdy ludzie Orso wyłamią bramę, zadbać o to, by naprawdę rozstali się bez długów. Ale to nie była duża częśćka. Monza nigdy nie była sentymentalna. Orso musiał umrzeć, a gdyby tutaj zginęła, to kto by go zabił? Wyrwała szpadę z ziemi, schowała ją do pochwy i odwróciła się bez słowa. W takich chwilach słowa się nie sprawdzają. Dokuśtykała do liny, przewięzała się nią pod biodrami najlepiej, jak potrafiła, i okręciła nią nadgarstki.

- Chodźmy!

Z dachu mogła spoglądać na całe miasto. Widziała szeroki łuk rzeki Visser i jej eleganckie mosty. Liczne wieże sterczące ku niebu, przytłoczone przez słupy dymu wciąż unoszące się nad pożarami. Dzionek już dostała od kogoś gruszkę i właśnie zatapiała w niej zęby. Jej żółte loki powiewały na wietrze, a sok lśnił na podbródku.

Morveer uniósł brew, patrząc na rzeź, która dokonała się w ogrodzie.

- Cieszę się, że pod moją nieobecność udało ci się zapanować nad rozlewem krwi.

- Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają - odburknęła.

- A Cosca? - spytała Vitari.

- Nie przyjdzie.

Morveer się skrzywił.

- Tym razem nie udało mu się ocalić własnej skóry? Zatem pijak jednak może się zmienić.

Chociaż ją uratował, Monza przebiłaby go bez chwili wahania, gdyby tylko miała sprawną rękę. Po grymasie, z jakim Vitari popatrzyła na truciciela, można było wywnioskować, że ma podobne odczucia. Wskazała najeżoną głową w stronę rzeki.

- Powinniśmy poczekać ze łzawymi powitaniem, aż znajdziemy się w łodzi. Miasto jest pełne żołnierzy Orso.

Najwyższa pora, żebyśmy wypłynęli na morze.

Monza obejrzała się po raz ostatni. W ogrodzie nadal panował spokój. Salier ześlizgnął się z piedestału i leżał na plecach z rozłożonymi rękami, jakby witał starego przyjaciela. Ganmark klęczał w szerokiej kałuży krwi, nadziany na wielkie ostrze Wojownika, a jego głowa bezwładnie zwisała. Cosca miał zamknięte oczy, dłonie położył na kolanach, na jego odchylonej twarzy widniał delikatny uśmiech. Kwiaty wiśni opadały z drzewa, osiadając na jego skradzionym mundurze.

- Cosco, Cosco - szepnęła Monza. - Cóż bez ciebie pocznę?

V

Puranti

*„Jeżeli ktoś na wojsku najemnym opiera swe państwo,
nigdy nie będzie stał pewnie i bezpiecznie,
albowiem jest ono niezgodne, ambitne, niekarne, niewierne,
odważne wobec przyjaciół, tchórzliwe wobec nieprzyjaciół,
nie boi się Boga ani nie dotrzymuje wiary ludziom,
tak że o tyle tylko odwleka się upadek księcia,
o ile odwleka się napaść
ono ograbia cię w czasie pokoju,
a nieprzyjaciel w czasie wojny”.*

Niccolo Machiavelli

Przez dwa lata połowa Tysiąca Ostrzy udawała, że walczy z drugą połową. Cosca - gdy był na tyle trzeźwy, że mógł mówić - chwalił się, że nigdy wcześniej nikt nie zarobił tak wiele, robiąc tak niewiele. Wyczyścili fundusze Nicante i Affoi, po czym zwrócili się na północ, gdy ich plany pokrzyżowała nagła plaga pokoju, szukając nowych wojen, na których mogli zyskać, lub ambitnych pracodawców, którzy mogli je rozpętać.

Żaden pracodawca nie był ambitniejszy od Orso, nowego wielkiego księcia Talinsu, katapultowanego na szczyty władzy po tym, jak jego starszego brata kopnął ulubiony koń. Orso chętnie zwerbował słynną najemniczkę Monzcarro Murcatto, zwłaszcza że jego wrogowie w Ertei niedawno wynajęli niesławnego Nicomo Coscę, by poprowadził ich oddziały.

Okazało się, że niełatwo jest doprowadzić do bitwy pomiędzy tą dwójką. Jak dwoje tchórzy okrążających się przed bójką, spędzili cały rok na wyniszczająco kosztownych manewrach, uprzykrzając życie miejscowym rolnikom, ale nie sobie nawzajem. Gdy wreszcie stanęli naprzeciwko siebie na polu dojrzałej pszenicy w pobliżu wioski Afieri, wydawało się, że nie da się uniknąć bitwy. A przynajmniej czegoś, co będzie ją przypominało.

Jednakże tamtego wieczoru w namiocie Monzy pojawił się nieoczekiwany gość. Książę Orso we własnej osobie.

- Wasza Ekscelencjo, nie spodziewałam się...

- Darujmy sobie uprzejmości. Wiem, co Nicomo Cosca zaplanował na jutro.

Monza zmarszczyła brwi.

- Podejrzewam, że ma zamiar walczyć, tak samo jak ja.

- Nie ma takiego zamiaru i ty również. Przez ostatnie dwa lata obydwójce oszukiwaliście swoich pracodawców. A ja nie

lubię, gdy robi się ze mnie głupca. Mogę oglądać inscenizacje bitew w teatrze za znacznie mniejsze pieniądze. Dlatego zapłacę ci podwójną stawkę, jeśli zmierzysz się z nim na poważnie.

Monza się tego nie spodziewała.

- Ale...

- Wiem, że jesteś mu winna lojalność. Szanuję to. Każdy musi się czegoś trzymać w życiu. Ale Cosca to przeszłość, a ja postanowiłem, że do ciebie będzie należała przyszłość. Twój brat się ze mną zgadza.

To jeszcze bardziej ją zaskoczyło. Popatrzyła na Bennę, który się do niej wyszczerzył.

- Tak będzie lepiej. Zaslugujesz na to, by dowodzić.

- Nie mogę... inni kapitanowie nigdy by...

- Już z nimi rozmawiałem - odrzekł Benna. - Ze wszystkimi oprócz Wiernego, ale ten stary pies podąży za nami, gdy zobaczy, w którą stronę wieje wiatr. Mają dosyć Coski, jego pijaństwa i głupoty. Chcą dłuższego kontraktu i przywódcy, z którego będą mogli być dumni. Chcą ciebie.

Książę Talinsu uważnie się im przyglądał. Monza nie mogła sobie pozwolić na brak entuzjazmu.

- W takim razie oczywiście się zgadzam. Przekonała mnie podwójna stawka - skłamała.

Orso się uśmiechnął.

- Mam przecucie, że będzie nam się doskonale współpracowało, pani generał Murcatto. Nie mogę się doczekać wieści o jutrzejszym zwycięstwie. - Po czym wyszedł.

Kiedy kłapa namiotu opadła, Monza uderzyła brata w twarz, powalając go na ziemię.

- Coś ty narobił, Benna? Coś ty narobił?

Popatrzył na nią urażonym wzrokiem, przyciskając dłoń do zakrwawionych ust.

- Myślałem, że się ucieszysz.

- Nie pierdol! Zrobiłeś to dla siebie. Mam nadzieję, że jesteś zadowolony.

Jednakże mogła mu tylko przebaczyć i jak najlepiej

wykorzystać sytuację. Był jej bratem. Tylko on ją znał. Poza tym, Sesaria, Vietus, Andiche i większość pozostałych kapitanów - wszyscy się zgodzili. Byli zmęczeni Nicomo Coscą. Zatem nie było odwrotu. Następnego dnia, gdy słońce wstało na wschodzie, a oni przygotowywali się do nadchodzącej bitwy, Monza rozkazała swoim ludziom, by przeprowadzili prawdziwą szarżę. Cóż innego mogła zrobić?

Wieczorem zasiadła na krześle Coski obok uśmiechniętego Benny, a jej kapitanowie, którzy nagle się wzbogacili, wznieśli toast za jej pierwsze zwycięstwo. Wszyscy się śmiali oprócz niej. Ona myślała o Cosce, o wszystkim, co jej dał, co była mu winna i o tym, jak mu się odpłaciła. Nie była w nastroju do świętowania.

Poza tym była generałem Tysiąca Ostrzy. Nie mogła sobie pozwolić na wesołość.

Szóstki

Na kościach wypadły dwie szóstki.

W Unii nazywa się taki wynik słońcami, przypomina bowiem słońce na ich fladze. W Baolu nazywają go podwójną wygraną, ponieważ kasyno płaci za niego podwójnie. W Gurkhulu nazywają go Prorokiem albo Imperatorem, zależnie od światopoglądu. W Hlondzie jest to złoty tuzin, a na Wyspach Tysięcznych dwanaście wiatrów. W Bezpiecznym Miejscu dwie szóstki nazywa się dozorcą, ponieważ więzienny dozorca zawsze wygrywa. W całym Kręgu Świata ludzie cieszą się, gdy osiągną ten wynik, jednak Przyjazny nie uważał że jest lepszy od innych. Niczego dzięki niemu nie wygrał. Ponownie skupił się na olbrzymim moście Puranti i przechodzących po nim ludziach.

Chociaż twarze posągów na wysokich kolumnach zmieniły się w podziurawione bezkształtne plamy, droga popękała ze starości, a balustrada się rozsypała, sześć łuków wciąż wznosiło się dumnie i elegancko, drwiąc z oszałamiającej przepaści w dole. Potężne skalne filary, z których wyrastały, wysokie na sześć razy sześć kroków, wciąż odpierały napór wód. Imperialny most miał ponad sześćset lat, ale o tej porze roku tylko on umożliwiał przekroczenie głębokiego wąwozu rzeki Pury. Wiódł przez niego jedyny lądowy szlak do Osprii.

Armia wielkiego księcia Rogonta przemaszerowała po moście szóstkami. Regularne tupanie ich butów przypominało donośne bicie serca, któremu towarzyszyły brzęczenie i grzechotanie broni i uprzęży, okrzyki oficerów, szmer gapiów oraz pulsujący szum rzeki daleko w dole. Maszerowali mostem przez cały ranek, kolejne kompanie, bataliony, regimenty.

Ruchomy las włócznie, lśniącego metalu i nabijanych ćwiekami skór. Zakurzone, brudne, zdeterminowane twarze. Dumne sztandary obwisłe w nieruchomym powietrzu. Niedawno przeszedł sześćsetny szereg. Po drugiej stronie znalazło się już około czterech tysięcy żołnierzy, a pozostało co najmniej drugie tyle. Wciąż nadchodzili szóstkami.

- Całkiem sprawnie jak na odwrót. - W Visserine głos Dreszcza zmienił się w gardłowy szept.

Vitari parsknęła.

- Rogont znakomicie się zna na ucieczkach. Ma sporą praktykę.

- Trudno nie docenić ironii sytuacji - zauważył Morveer, obserwując z lekką pogardą przechodzące wojsko. - Dzisiejsze dumne legiony maszerują po gruzach wczorajszych upadłych imperiów. Tak to zwykle bywa z wojskowym splendorem. Oto wcielenie pychy.

- Cóż za głęboka myśl. - Murcatto skrzywiła wargi. - Podróż u boku wielkiego Morveera to nie tylko przyjemność, ale też okazja do nauki.

- Jestem jednocześnie filozofem i trucicielem. Ale nie przejmuj się, moje honorarium obejmuje oba te wcielenia. Wynagradzasz mnie za moje przenikliwe obserwacje, a truciznę dodaję gratis.

- Czy szczęście nigdy nas nie opuści? - odparła, zgrzytając zębami.

- Czy w ogóle zaszczyciło nas swoją obecnością? - mruknęła Vitari.

Pozostało ich sześcioro i byli bardziej poirytowani niż kiedykolwiek dotąd. Murcatto założyła kaptur, spod którego zwieszały się czarne włosy i wystawały spiczasty nos, podbródek oraz zaciśnięte usta. Dreszcz wciąż miał obandażowaną połowę głowy, druga połowa była blada jak mleko, a oko otaczała ciemna obwódka. Vitari siedziała na balustradzie z wyprostowanymi nogami, oparta plecami o popękana kolumnę, wystawiając piegowatą twarz na promienie słońca. Morveer wpatrywał się surowym wzrokiem w spienioną

wodę, obok stała jego asystentka. No i oczywiście był Przyjazny. Sześcioro. Cosca zginął. Pomimo swojego imienia, Przyjazny nie potrafił zbyt długo utrzymać przyjaciół.

- A skoro już mówimy o wynagrodzeniu - ciągnął Morveer - to powinniśmy odwiedzić najbliższy bank i wystawić czek. Nie lubię, gdy pracodawca ma wobec mnie długi. To potrafi zepsuć smak skądinąd słodkiej współpracy.

- Słodka - mruknęła z pełnymi ustami Dzionek, ale trudno było powiedzieć, czy mówi o swojej babeczce, czy o współpracy z Monzą.

- Jesteś mi winna zapłatę za udział w zabiciu generała Ganmarka. Może był niewielki, ale istotny, gdyż pozwolił ci uniknąć śmierci. Muszę także kupić nowy sprzęt, po tym jak przez twoją lekkomyślność straciliśmy wszystko w Visserine. Czy mam ci ponownie przypomnieć, że gdybyś pozwoliła mi się pozbyć tamtych problematycznych rolników, to nie doszłoby do...

- Dosyc - syknęła Murcatto. - Nie płacę ci za to, żebyś mi wypominał błędy.

- Sądzę, że ta usługa również jest bezpłatna. - Vitari ześlizgnęła się z balustrady.

Dzionek przełknęła resztę ciastka i oblizała palce. Wszyscy byli gotowi do odejścia poza Przyjaznym, który wciąż wpatrywał się w wodę.

- Czas na nas - powiedziała Murcatto.

- Tak. Wracam do Talinsu.

- Co takiego?

- Sajaam miał się tutaj ze mną skontaktować, ale nie otrzymałem żadnego listu.

- Jesteśmy daleko od Talinsu. Toczy się wojna...

- To Styria. Tutaj zawsze toczy się wojna.

Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu, jej oczy były niemal niewidoczne pod kapturem. Pozostali nie wydawali się przejęci jego odejściem. Rzadko bywało inaczej, zresztą on czuł podobnie.

- Jesteś pewien? - spytała.

- Tak.

Zwiedził połowę Styrii: Westport, Sipani, Visserine oraz tereny leżące pomiędzy miastami i nic mu się tutaj nie podobało. Czuł się niemrawy i wystraszony, gdy siedział w palarni Sajaama, marząc o Bezpiecznym Miejscu. Teraz tamte długie dni wypełnione wonią plew, niekończącymi się karcianymi rozgrywkami i przyjmowaniem groźnych póż, rutynowe obchody slumsów w celu zbierania pieniędzy oraz okazjonalne chwile przewidywalnej i dobrze zaplanowanej przemocy jawiły mu się jako szczęśliwy sen. Tutaj nie znalazł niczego dla siebie, każdy dzień spędzał pod innym niebem. Murcatto przyniosła mu chaos i nie chciał mieć z nią więcej do czynienia.

- Masz. - Wyjęła sakiewkę spod płaszcza.

- Nie jestem tutaj dla twoich pieniędzy.

- Weź je mimo wszystko. Zasłużyłeś na znacznie więcej. Mogą ci ułatwić podróż. - Włożyła mu sakiewkę w dłoń.

- Niech szczęście ci towarzyszy - rzekł Dreszcz.

Przyjazny pokiwał głową.

- Dzisiaj świat składa się z szóstek.

- Więc niech ci towarzyszy szóstka.

- Tak będzie, czy tego chcę, czy nie.

Przyjazny zebrał kości krawędzią dłoni, starannie zawinął je w szmatkę i schował pod kurtkę. Nie oglądając się, zniknął w tłumie zgromadzonym wzdłuż mostu, wychodząc naprzeciw bezkresnemu nurtowi żołnierzy, ponad bezkresnym nurtem rzeki. Zostawił ich w tyle, udając się do mniejszej i mniej przyjemnej części miasta na zachodnim brzegu. Zamierzał zabijać czas liczeniem kroków w drodze do Talinsu. Od chwili pożegnania zrobił ich już trzysta sześćdziesiąt sześć...

- Paniczu Przyjazny!

Obejrzał się ze zmarszczonym czołem, mając ochotę sięgnąć po nóż albo tasak. Jakaś postać stała w bramie przy ulicy, ze skrzyżowanymi rękami i nogami, z twarzą ukrytą w cieniu.

- Cóż za przypadek, że cię tutaj spotykam. - Głos brzmiał dziwnie znajomo. - Cóż, z pewnością wiesz więcej ode mnie na

temat takich przypadków, ale chyba możemy być zgodni, że to szczęśliwy zbieg okoliczności.

- Owszem - odrzekł Przyjazny i uśmiechnął się, gdy zrozumiał, z kim rozmawia.

- No, no, czuję się niemal tak, jakbym wyrzucił dwie szóstki...

Okularysta

Gdy Dreszcz otworzył drzwi i wszedł do sklepu, zadzwonił dzwonek. Monza szła tuż za nim. W środku było ciemno, przez okno wpadał zakurzony snop światła, który kładł się na marmurowej ladzie i mrocznych półkach wiszących na jednej ze ścian. W głębi pomieszczenia pod wiszącą lampą stało duże krzesło ze skórzanym zagłówkiem. Mogłoby wyglądać zachęcająco, gdyby nie pasy, które miały przytrzymywać siedzącą osobę. Na stoliku obok, w równym rzędzie leżały narzędzia. Ostrza, igły, kleszcze, szczypce. Przybory chirurgiczne.

Kiedyś to pomieszczenie mogłoby przyprawić go o drżenie pasujące do jego nazwiska, ale to była przeszłość. Od tamtej pory przeżył wypalenie oka. Świat już nie krył w zanadru niczego przerażającego. Uśmiechnął się, gdy przypomniał sobie, jaki kiedyś był strachliwy. Bał się wszystkiego i niczego. Uśmiech podrażnił rozległą ranę pod bandażem, więc Dreszcz spoważniał.

Dźwięk dzwonka przywołał mężczyznę, który wślizgnął się do sklepu bocznymi drzwiami, nerwowo zacierając dłonie. Był niski, ciemnoskóry i miał zmartwioną twarz. Zapewne obawiał się, że przyszli go obrabować, w końcu armia Orso była niedaleko. Wszyscy w Purani wyglądali na zaniepokojonych, wystraszonych, że tracą swój dobytek. Nie licząc Dreszcza. On nie miał wiele do stracenia.

- Proszę pana, proszę pani, czym mogę służyć?

- Jesteś Scopal? - spytała Monza. - Okularysta?

- Jestem Scopal - odrzekł mężczyzna, nerwowo się kłaniając. -

Naukowiec, chirurg, lekarz, specjalista od wszystkiego, co ma

związek ze wzrokiem.

Dreszcz odwiązał supeł z tyłu głowy.

- Może być. - Zaczął odwijać bandaż. - Tak się stało, że straciłem oko.

To zainteresowało chirurga.

- Och, nie mów „straciłem”, przyjacielu! - Zbliżył się, stając w świetle bijącym od okna. - Nie mów „straciłem”, dopóki nie przyjrzę się uszkodzeniom. Byłbyś zaskoczony tym, co potrafimy osiągnąć. Nauka każdego dnia czyni ogromny skok naprzód!

- Skoczna z niej bestia.

Scopal zachichotał niepewnie.

- Ach... bardzo elastyczna. Przywracałem wzrok ludziom, którzy uważali, że oślepli na zawsze. Nazywali mnie czarodziejem! Wyobraź sobie! Nazywali... mnie...

Dreszcz zdjął ostatnie bandaż, czując mrowienie na skórze pod wpływem zimnego powietrza, po czym podszedł bliżej, odwracając się do Scopala lewą stroną twarzy.

- No i co? Co o tym myślisz? Czy nauka potrafi wykonać aż tak duży skok?

Mężczyzna grzecznie pokiwał głową.

- Proszę wybaczyć. Ale bez obaw, poczyniłem wielkie odkrycia także w dziedzinie części zamiennych!

Dreszcz zbliżył się o kolejne pół kroku, górując nad okularystą.

- Czy wyglądam, jakbym się obawiał?

- Ani trochę, chodziło mi jedynie... no cóż... - Scopal odchrząknął i podszedł do półek. - Moja najnowsza proteza oczna jest...

- Że co, kurwa?

- Sztuczne oko - wyjaśniła Monza.

- Och, to coś znacznie, znacznie lepszego. - Scopal wyjął drewniany stojak. Leżało na nim sześć srebrzyście lśniących metalowych kulek. - Idealna kula z najlepszej midderlandzkiej stali jest umieszczana w oczodole, gdzie przy odrobinie szczęścia powinna pozostać na zawsze.

Zdjął z półki okrągłą tacę i pchnął ją w ich stronę, efektownie nią obracając. Pokrywały ją oczy. Niebieskie, zielone, brązowe. Każde miało naturalny kolor, błysk, a niektóre z białek przecinały pojedyncze czerwone żyłki. Mimo to, przypominały prawdziwe oczy nie bardziej, niż przypominałyby je jajka na twardo.

Scopal wskazał swoje towary z zadowoloną miną.

- Następnie, pomiędzy metalową kulką a powieką umieszcza się zakrzywiony emaliowany element, starannie pomalowany tak, by idealnie pasował do drugiego oka. One się zużywają, dlatego trzeba je regularnie wymieniać, ale rezultaty mogą być niezwykle.

Sztuczne oczy nieruchomo wpatrywały się w Dreszcza.

- Wyglądają jak oczy trupów.

Niezręczna cisza.

- Być może, gdy są naklejone na tablicę, ale po umieszczeniu na żywej twarzy...

- To chyba dobrze. Trupy nie kłamią, prawda? A my mamy dosyć kłamstw. - Dreszcz przeszedł w głąb sklepu, opadł na krzesło, po czym wyciągnął i skrzyżował nogi. - No to zabieraj się do dzieła.

- Od razu?

- Dlaczego nie?

- Dopasowanie stali zajmie godzinę albo dwie. Przygotowanie zestawu emaliowanych wkładek wymaga co najmniej dwóch tygodni...

Monza rzuciła na ladę sakiewkę srebrnych monet, które z brzękiem rozsypały się po kamiennym blacie. Scopal pokornie skłonił głowę.

- Postaram się jak najlepiej dopasować kulkę, a resztę przygotuję do jutrzejszego wieczora. - Podniósł lampę, tak że Dreszcz musiał osłonić dłonią zdrowe oko. - Będę musiał zastosować metodę inwazyjną.

- Co takiego?

- Wykona kilka cięć - wyjaśniła Monza.

- Jasne. W życiu nie warto robić niczego, do czego nie jest

potrzebne ostrze.

Scopuł poprawił narzędzia na stoliku.

- Potem założę szwy, usunę niepotrzebne ciało...

- Wydrążysz martwe drzewo? Jestem za. Zaczniemy od nowa.

- Proponuję fajkę.

- Otóż to, kurwa - szepnęła Monza.

- Ależ proszę bardzo - odrzekł Dreszcz. - Przez ostatnie kilka tygodni ból zdążył mi się znudzić.

Okularysta uklonił się, po czym poszedł przygotować fajkę.

- Pamiętam, jak poszliśmy do fryzjera - powiedziała Monza. - Byłeś zdenerwowany jak owca podczas pierwszego strzyżenia.

- He, he. To prawda.

- A teraz popatrz na siebie. Sam przyszedłeś dopasować sobie oko.

- Pewien mądry człowiek powiedział mi kiedyś, żebym był realistą. Dziwne, jak szybko się zmieniamy, gdy to konieczne, prawda?

Zmarszczyła brwi.

- Nie zmieniaj się za bardzo. Muszę iść.

- Masz za słaby żołądek, żeby na to patrzeć?

- Muszę odnowić pewną znajomość.

- Stary przyjaciel?

- Stary wróg.

Dreszcz się uśmiechnął.

- To jeszcze lepiej. Nie daj się zabić, dobrze? - Rozsiadł się na krześle i mocno zacisnął pasek wokół czoła. - Wciąż czeka nas dużo pracy. - Zamknął zdrowe oko, widząc różowy blask lampy przeświecającej przez powiekę.

Księżę roztropności

Wielki księżę Rogont urządził swój sztab w Imperialnej Łażni. Budynek wciąż należał do największych w Puranti, w jego cieniu kryło się pół kwartału na wschodnim końcu starego mostu. Jednak podobnie jak reszta miasta lata świetności miał za sobą. Połowa okazałego frontonu oraz dwa z sześciu potężnych filarów, które kiedyś go podtrzymywały, zawaliły się kilkaset lat temu, a materiał wykorzystano do budowy koślawych ścian nowszych, prymitywniejszych budynków. Spomiędzy poplamionych kamieni wyrastały źdźbła trawy, uschnięte pnącza, a nawet dwa uparte drzewka. Być może łaźnia pełniła ważniejszą funkcję, gdy ją wybudowano, zanim wszyscy w Styrii zaczęli się zabijać. W szczęśliwych czasach, gdy największym zmartwieniem każdego było utrzymanie odpowiednio wysokiej temperatury wody. Może sypiący się budynek szeptał o chwale utraconych wieków, ale jednocześnie stanowił smutne świadectwo długotrwałego upadku Styrii.

Monzę to wszystko gównu obchodziło.

Miała inne sprawy na głowie. Poczekwała na lukę pomiędzy kolejnymi kompaniami wycofujących się wojsk Rogonta, po czym wyprostowała się i przeszła przez plac. Wspięła się po popękanych stopniach do Łażni, starając się iść pewnie, jak za dawnych czasów, chociaż powykrzywiana kość biodrowa przeskakiwała z trzaskiem w panewce, przesywając ukłuciami bólu jej pośladek. Zdjęła kaptur, wpatrując się w pierwszego ze strażników, szerokiego jak drzwi posiwiąłego weterana z blizną na bezbarwnym policzku.

- Muszę porozmawiać z księciem Rogontem - powiedziała.
- Oczywiście.

- Nazywam się Mon... słucham? - Spodziewała się, że będzie musiała wyjaśnić powody wizyty i zostanie wyśmiana, a może nawet powieszona na jednym z filarów. Z pewnością nie oczekiwała, że zaproszą ją do środka.

- Pani Generał Murcatto. - Siwe usta mężczyzny wykrzywił grymas przypominający uśmiech. - Jest pani oczekiwana. Ale muszę panią poprosić o oddanie szpady.

Zmarszczyła brwi, gdy oddawała broń. Nie podobało jej się to tak samo, jakby została wykopana na ulicę.

W marmurowej sali znajdował się ogromny basen otoczony wysokimi kolumnami. Mętna woda cuchnęła zgnilizną.

Jej dawny wróg wielki książę Rogont wpatrywał się w mapę leżącą na rozkładanym stoliku. Był ubrany w stonowany szary mundur i zaciskał usta.

Wokół niego zgromadził się tuzin oficerów, którzy mieli na sobie wystarczająco dużo złotych sznurów, by wyposażyć karakę.

Dwóch uniosło wzrok, gdy ruszyła w ich stronę wokół śmierdzącego zbiornika.

- To ona - powiedział jeden, marszcząc wargi.

- Mur... cat... to... - rzekł drugi, jakby jej nazwisko było trucizną.

Dla nich niewątpliwie było. Przez ostatnie kilka lat robiła z tych ludzi głupców, a im większym ktoś jest głupcem, tym bardziej mu zależy, by za takiego nie uchodzić. A jednak, jak napisał Stolicus, „generał dysponujący najmniejszymi siłami zawsze powinien atakować”. Dlatego podeszła do nich nieśpiesznie, beztrąsco zatknąwszy kciuk zabandażowanej lewej dłoni za pasek, jakby to była jej łaźnia i jej wojsko.

- Czyż to nie sam Książę Rozwagi Rogont? Imponujące, Wasza Ostrożność. Otaczasz się prawdziwie dumnymi towarzyszami, jak na człowieka, którzy spędził siedem lat w odwrocie. Dobrze, że przynajmniej dzisiaj jest inaczej. - Zaczekała, aż jej słowa do wszystkich dotrą. - Ale zaraz, przecież nadal uciekasz.

To sprawiło, że kilka podbródków uniosło się z dumą, a kilka nozdrzy wściekle się rozszerzyło. Jednakże Rogont bez

pośpiechu podniósł wzrok znad mapy. Może był nieco zmęczony, ale wciąż irytująco przystojny i spokojny.

- Pani generał Murcatto, cóż za przyjemność! Żałuję, że nie możemy się spotkać po wielkiej bitwie, najlepiej z tobą w roli pognębnionego jeńca, ale moje zwycięstwa ostatnio nie były liczne.

- Rzadkie jak śnieg w lecie.

- Tymczasem ciebie spowiła wojenna sława. Czuję się nagi pod tym zwycięskim spojrzeniem. - Zerknął w głąb sali. - Ale gdzie niepokonany oddział Tysiąc Ostrzy?

Monza cmoknęła.

- Wierny Carpi go ode mnie pożyczył.

- Bez pytania? Bardzo... niegrzecznie. Obawiam się, że za wiele w tobie żołnierza, a za mało polityka. Obawiam się także, że w moim przypadku jest odwrotnie. Być może słowa są silniejsze od ostrzy, jak mawiał Juvens, ale boleśnie się przekonałem, że czasami nic nie zastąpi ostrego kawałka metalu.

- W końcu żyjemy w Krwawych Latach.

- Zaiste. Wszyscy jesteśmy niewolnikami okoliczności, a okoliczności ponownie nie zostawiły mi innej możliwości niż gorzki odwrót. Szlachetny Lirozio, ksiązę Puranti i właściciel tej cudownej łaźni, był nieugięty i bojowy jak na sojusznika przystało, gdy armia księcia Orso znajdowała się wiele mil stąd, po drugiej stronie potężnych murów Musselii. Szkoda, że nie słyszałaś, jak wtedy zgrzytał zębami i z jakim trudem panował nad szpadą, która chciała wyskoczyć z pochwy i przelewać gorącą krew.

- Mężczyźni uwielbiają opowiadać o walce. - Monza przeniosła wzrok na ponure oblicza doradców Rogonta. - Niektórzy lubią się też odpowiednio ubierać. Ale niewielu naprawdę chce mieć krew na mundurze.

Kilka dumnych pawi wściekle zarzuciło głowami, ale Rogont tylko się uśmiechnął.

- Również doszedłem do tego smutnego wniosku. Teraz potężne mury Musselii zostały pokonane, dzięki tobie, Borletta

upadła, również dzięki tobie, a Visserine spłonęło. Armia Talinsu, wspierana przez twoich byłych towarzyszy z Tysiąca Ostrzy, pustoszy kraj u bram Lirozia. Dzielny książę stracił zapał do dźwięku bębena i sygnałowej trąbki. Potężni ludzie są niestali jak płynąca woda. Powinienem być poszukać słabszych sojuszników.

- Trochę na to za późno.

Książę wydał policzki.

- Za późno, za późno, tak będzie brzmiało moje epitafium. Pod Słodkimi Sosnami pojawiłem się spóźniony o zaledwie dwa dni, a niecierpliwy Salier stanął do walki i przegrał beze mnie. Dlatego Caprile tak łatwo uległo twojej wściekłości.

To była nieprawdziwa wersja wydarzeń, ale Monza na razie powstrzymała się od komentarzy.

- Pod Musselią przybyłem z całym wojskiem, gotów utrzymać mury i zablokować Szczelinę Etris, ale okazało się, że zajęłaś miasto dzień wcześniej i zdążyłaś je splądrować, a mury powstrzymały mój atak.

Kolejne wypaczenie prawdy, ale Monza nadal zachowywała spokój.

- Potem, na Wysokim Brzegu zatrzymał mnie nieżyjący już generał Ganmark, a książę Salier, również już nieżyjący, który za wszelką cenę nie chciał pozwolić, abyś okpiła go po raz drugi, jednak dał się okpić po raz drugi, a jego armia rozproszyła się jak plewy na wietrze. Tak samo było w Borletcie... - Wysunął język, wskazał kciukiem posadzkę i prychnął przeciągle. - Tak samo było z dzielnym księciem Cantainem... - Przeciągnął jednym palcem po gardle i dmuchnął na drugi. - Za późno, za późno. Jak to się dzieje, pani generał Murcatto, że zawsze mnie uprzedzasz?

- Wcześniej wstaję, sram przed świtem, sprawdzam, czy stoję zwrócona w dobrym kierunku, i nie pozwalam, by cokolwiek mnie zatrzymało. No i rzeczywiście staram się dotrzeć do celu.

- Co pani chce przez to powiedzieć? - spytał ostro młody człowiek stojący obok Rogonta, jeszcze bardziej skwaszony od pozostałych.

- Co chcę przez to powiedzieć? - powtórzyła kpiąco, wytrzeszczając oczy jak idiotka, po czym zwróciła się bezpośrednio do księcia: - Chcę powiedzieć, że mogłeś dotrzeć do Słodkich Sosen na czas, ale postanowiłeś zwlekać, wiedząc, że dumny, tłusty Salier nie grzeszy cierpliwością i zapewne zużyje całą swoją potęgę, niezależnie od wyniku bitwy. Przegrał i wyszedł na głupca, a ty zgodnie z planem okazałeś się mądrzejszym sojusznikiem. Dwa lata później mogłeś dotrzeć na czas do Szczeliny i powstrzymać w niej cały świat, ale wolałeś pozwolić, żebym dała dumnym mieszkańcom Musselii lekcję, na którą zasłużyli, by od tamtej pory z pokorą traktowali Waszą rozważną Ekscelencję.

Cała komnata pogrążyła się w ciszy.

- Kiedy zrozumiałeś, że masz coraz mniej czasu? Że za długo zwlekałeś i twoi sojusznicy stali się zbyt słabi, a Orso nadmiernie urósł w siłę? Nie wątpię, że chciałeś zjawić się na czas na Wysokim Brzegu, ale Ganmark stanął ci na drodze. Wreszcie zamierzałeś zachować się jak dobry sojusznik, ale było już... - nachyliła się i wyszeptała: - ...za późno. Dzięki swojej polityce planowałeś zostać najsilniejszym członkiem Ligi Ośmiu, by stanąć na jej czele po zwycięstwie. Imponujący plan, który starannie wcielałeś w życie. Tylko że Orso wygrał, a Liga Ośmiu... - Wysunęła język i prychnęła przeciągle w stronę zebranego w pomieszczeniu kwiatu męstwa. - Za późno, skurwiele.

Najmłodszy z grupy podszedł do niej z zaciśniętymi pięściami.

- Nie będę tego dłużej wysłuchiwał, ty... ty diablico! Mój ojciec zginął pod Słodkimi Sosnami!

Najwyraźniej każdy chciał się mścić za jakieś krzywdy, ale Monza miała zbyt wiele własnych ran, by przejmować się cierpieniem innych.

- Dziękuję - odpowiedziała.

- Słucham?

- Skoro, jak zakładam, twój ojciec walczył po przeciwnej stronie, a celem bitwy jest zabijanie wrogów, to przyjmuję jego

śmierć jako komplement. Chyba nie muszę tego tłumaczyć żołnierzowi.

Jego twarz pokryła się różowymi plamami.

- Gdybyś była mężczyzną, zabiłbym cię na miejscu.

- Raczej gdybyś ty nim był. Ale skoro odebrałam ci ojca, to wypada, żebym dała ci coś w zamian. - Zwinęła język, po czym splunęła mu w twarz.

Rzucił się na nią niezdarnie z gołymi rękami, tak jak się spodziewała. Człowiek, którego trzeba do tego tak bardzo sprowokować, raczej nie będzie groźny, gdy już zaatakuje. Była przygotowana, więc szybko zeszła mu z drogi, chwyciła go za górną i dolną krawędź pozłacanego napierśnika, wykorzystała jego własny ciężar, by nadać mu rozpęd, i nadepnęła mu na palec u stopy. Złapała rękojęść jego szpady, gdy bezradnie się zatoczył zgięty w pół, jednocześnie biegnąc i upadając, po czym wyszarpnęła ją z pochwy. Z wrzaskiem wpadł do basenu, wyrzucając w górę fontannę lśniącej wody, a Monza obróciła się na pięcie, trzymając ostrze w pogotowiu.

Rogont przewrócił oczami.

- Och, na litość...

Jego ludzie pomknęli w jej stronę, klnąc i niemal wywracając stół, gdy niezdarnie dobywali broni.

- Mniej stali, jeśli łaska, panowie, mniej stali!

Młody oficer wypłynął na powierzchnię, a przynajmniej próbował, chlapiąc i młóćąc rękami, przytrzymywany pod wodą przez ciężką zdobioną zbroję. Dwaj inni członkowie świty Rogonta pośpieszyli mu z pomocą, podczas gdy reszta ruszyła w stronę Monzy, przepychając się nawzajem, gdyż każdy chciał ją przebić jako pierwszy.

- Czy to nie wy powinniście być w odwrocie? - syknęła, wycofując się wzdłuż rzędu filarów.

Najbliższy z żołnierzy próbował ją dźgnąć.

- Giń, przekłeta...

- Dosyć! - ryknął Rogont. - Dosyć! Dosyć!

Jego ludzie skrzywili się jak niegrzeczne dzieci przywołane do porządku.

- Nie będziecie walczyć w łaźni, na litość boską! Czy nie dość mamy upokorzeń? - Westchnął przeciągle, po czym machnął ręką. - Wyjdźcie, wszyscy!

Wąsy najbliższego z żołnierzy nastroszyły się z przerażenia.

- Ależ, Wasza Ekscelencjo, mamy pana zostawić z tą... podłą kreaturą?

- Nie bój się, przeżyję. - Uniósł brew. - Potrafię pływać. A teraz idźcie, zanim ktoś zrobi sobie krzywdę. Sio! Wynocha!

Niechętnie schowali szpady i, pomrukując, wyszli z sali. Przemoczony mężczyzna zostawiał za sobą mokry ślad. Monza cisnęła z uśmiechem jego złożone ostrze do basenu, gdzie zniknęło z plaśnięciem. Niewielkie zwycięstwo, ale teraz musiała cieszyć się każdym sukcesem.

Rogont zaczął w milczeniu, aż jego towarzysze wyjdą, po czym ciężko westchnął.

- Uprzedzałaś mnie, że ona przyjdzie, Ishri.

- Dobrze, że wciąż lubię mieć rację - zaczęła Monza.

Na wysokim parapecie, krok albo dwa ponad głową Rogonta, leżała na plecach czarnoskóra kobieta. Skrzyżowane nogi opierała o ścianę, a jedną rękę i głowę zwiesiła z wąskiej półki, tak że jej twarz była niemal odwrócona.

- Bo często mi się to zdarza - dodała Monza.

Kobieta ześlizgnęła się tyłem z parapetu, w ostatniej chwili zrobiła salto i bezgłośnie wylądowała na czworakach, zwinnie jak jaszczurka.

Monza nie była pewna, jak mogła jej nie zauważyć, ale wcale jej się to nie podobało.

- Kim jesteś? Akrobatką?

- Och, nie jestem niczym aż tak romantycznym. Jestem Wschodnim Wiatrem. Możesz mnie uważać za jeden z wielu palców prawicy Boga.

- Pleciesz bzdury jak kapłan.

- Och, nie jestem niczym aż tak suchym i zakurzonym. - Skierowała wzrok na sufit. - Na swój sposób jestem gorliwą wyznawczynią, ale dzięki Bogu tylko mężczyźni mogą przywdziewać kapłańskie szaty.

Monza zmarszczyła brwi.

- A więc agentką Imperatora Gurkhulu.

- Agentka to brzmi bardzo... podstępnie. Imperator, Prorok, Kościół, Państwo. Nazwałabym się pokorną przedstawicielką Południowych Potęg.

- Czym jest dla nich Styria?

- Polem bitwy. - Uśmiechnęła się szeroko. - Co prawda, między Gurkhulem a Unią panuje pokój, ale...

- Walki trwają.

- Bezustannie. Sprzymierzeńcy Orso są naszymi wrogami, więc jego wrogowie są naszymi sojusznikami. Walczymy o to samo.

- Niech to będzie upadek wielkiego księcia Orso z Talinsu - mruknął Rogont. - Proszę, Boże.

Monza skrzywiła usta.

- Ha. Teraz modlisz się do Boga, Rogont?

- Do każdego, kto zechce mnie wysłuchać, i to z największą pasją.

Gurkijka wstała, unosząc się na palcach.

- A ty, Murcatto? Czy stanowisz odpowiedź na rozpaczliwe modlitwy tego biedaka?

- Być może.

- A on na twoje?

- Potężni ludzie często mnie zawodzili, ale nie tracę nadziei.

- Nie byłabyś pierwszym przyjacielem, którego zawiodłem. - Rogont wskazał głową mapę. - Nazywają mnie Hrabią Ostrożności. Królem Zwłoki. Księciem Roztropności. Mimo to, chciałabyś ze mną pracować?

- Popatrz na mnie, Rogont, jestem niemal równie zdesperowana jak ty. „Podczas wielkich burz rodzą się niespodziewane sojusze”, powiedział Farans.

- Mądry człowiek. Zatem, jak mogę pomóc mojej niespodziewanej sojuszniczce? A co ważniejsze, jak ona może mi pomóc?

- Muszę zabić Wiernego Carpiego.

- Dlaczego miałyby nas obchodzić śmierć tego zdrajcy? - Ishri

zbliżyła się nieśpiesznym krokiem, przekrzywiając głowę, zbyt głęboko, by można było na to spokojnie patrzeć, a co dopiero samemu to zrobić. - Czy wśród Tysiąca Ostrzy nie ma innych kapitanów? Sesarii, Vietusa, Andiche'a? - Jej oczy były czarne jak smoła, puste i martwe jak protezy okularysty. - Czy żaden z tych niesławnych sępów nie zasiądzie na twoim miejscu, by pożywić się trupem Styrii?

Rogont wyduł usta.

- A więc mój nudny taniec trwa nadal, tylko z nową partnerką. Wygram jedynie chwilowe odroczenie.

- Ci trzej nie mają wobec Orso żadnych zobowiązań, służą mu tylko dla pieniędzy. Bez trudu udało się ich przekonać, by zdradzili Coscę dla mnie, a następnie mnie dla Wiernego, wystarczyło dobrze zapłacić. Jeśli zaproponuję im odpowiednio dużą sumę, po śmierci Carpiego wrócą do mnie i przejdą od księcia Orso pod twoje skrzydła.

Zapadła cisza. Ishri uniosła wąskie czarne brwi. Rogont z namysłem odchylił głowę do tyłu. Oboje wymienili spojrzenia.

- To by znacznie wyrównało szanse.

- Jesteś pewna, że możesz ich przekupić? - spytała Gurkijka.

- Tak - gładko skłamała Monza. - Nigdy niepotrzebnie nie ryzykuję.

To było jeszcze większe kłamstwo, więc wypowiedziała je z jeszcze większą pewnością. Nic nie jest pewne, gdy chodzi o Tysiąc Ostrzy, a tym bardziej o zdradzieckich drani, którzy nimi dowodzą. Jednak, jeśli zabije Wiernego, może pojawić się szansa. Na razie warto zapewnić sobie pomoc Rogonta, a później się zobaczy.

- Ile trzeba będzie im zapłacić?

- Za zwrócenie się przeciwko wygrywającej stronie? Mnie na pewno na to nie stać. - Nawet gdyby miała dostęp do reszty złota Hermona, którego większość wciąż była zakopana trzydzieści kroków od zrujnowanej stodoły jej ojca. - Ale ciebie, księcia Osprii...

Rogont żałośnie zachichotał.

- Ach, bezdenny skarbiec Osprii. Jestem zadłużony po uszy.

Sprzedalbym własną dupę, gdybym mógł za nią dostać więcej niż kilka miedziaków. Nie, obawiam się, że ode mnie nic nie dostaniesz.

- A co z Południowymi Potęgami? - spytała Monza. - Słyszałam, że w Gurkhulu nawet góry są zbudowane ze złota.

Ishri oparła się o jeden z filarów.

- Raczej z błota, jak wszędzie indziej. Ale kryje się w nich bogactwo, jeśli ktoś wie, gdzie kopać. Jak zamierzasz wykończyć Wiernego?

- Lirozio podda się armii księcia Orso, gdy tylko ta się pojawi.

- Niewątpliwie - odparł Rogont. - Kapitulacja wychodzi mu równie dobrze jak mnie ucieczka.

- Tysiąc Ostrzy ruszy dalej na południe ku Osprii, pustosząc kraj, a Talińczycy pomaszczą ich śladem.

- Nie trzeba militarne go geniuszu, by to przewidzieć.

- Znajdę odpowiednie miejsce gdzieś po drodze i zwabię Carpiego. Żeby go zabić, wystarczy mi czterdziestu ludzi. Dla was to niewielkie ryzyko.

Rogont odchrząknął.

- Jeśli uda ci się wykurzyć tego starego lojalnego kundla z jego budy, z pewnością wyślę swoich ludzi, by go wykończyli.

Ishri patrzyła na Monzę tak, jak Monza mogłaby patrzeć na mrówkę.

- A jeśli po tym wszystkim uda ci się przekupić Tysiąc Ostrzy, ja zdobędę pieniądze.

Jeśli, jeśli, jeśli. Ale Monza uzyskała więcej niż oczekiwała. Równie dobrze mogła upuścić to spotkanie nogami do przodu.

- A więc umowa stoi. Niech żyją nietypowe sojusze.

- Zaiste. Bóg prawdziwie ci błogosławi. - Ishri efektownie ziewnęła. - Przyszłaś szukać jednego przyjaciela, a znalazłaś dwoje.

- Szczęściara ze mnie - odrzekła Monza, chociaż wcale nie była pewna, czy zyskała jakichkolwiek przyjaciół. Odwróciła się w stronę bramy, szorując obcasami po wytartym marmurze, mając nadzieję, że nogi nie zaczną się jej trząść, zanim dotrze do wyjścia.

- Jeszcze jedno, Murcatto!

Obejrzała się na Rogonta, który stał już samotnie przy swoich mapach. Ishri zniknęła równie nagle, jak się pojawiła.

- Nie masz żadnych atutów, więc musisz udawać siłę. Dobrze to rozumiem. Jesteś jaka jesteś, śmiała aż do przesady. Nie chciałbym, żebyś się zmieniała. Ale ja również mam swoje zasady. Odrobina szacunku z pewnością uczyni nasze małżeństwo z rozpaczy bardziej udanym.

Monza dygnęła z przesadnym zaangażowaniem.

- Wasza Jasność, jestem nie tylko słaba, ale także przepełniona żalem.

Rogont pokręcił głową.

- Tamten oficer rzeczywiście powinien był cię przeszyć szpadą.

- Czy ty właśnie tak byś zrobił?

- Och nie, skądże. - Przeniósł wzrok na swoje wykresy. - Poprosiłbym o więcej śliny.

Ani bogaci, ani biedni

Shenkt nucił pod nosem, idąc obskurnym korytarzem i bezgłośnie stawiając stopy. Pełna wersja melodii zawsze mu umykała. Powtarzał tylko nękający go fragment piosenki, którą śpiewała jego siostra, gdy był dzieckiem. Wciąż widział światło słońca w jej włosach, okno za jej plecami, twarz skrytą w cieniu. Dawno temu. To wszystko wyblakło jak tanie farby na słońcu. Nigdy nie potrafił ładnie śpiewać. Ale przynajmniej mógł nucić, wyobrażając sobie, że siostra mu towarzyszy, co przynosiło mu pociechę.

Schował nożyk i rzeźbę ptaka, prawie gotową, chociaż dziób sprawiał mu nieco kłopotów, a nie chciał go złamać przez niepotrzebny pośpiech. Cierpliwość. Równie ważna dla rzeźbiarza, jak dla zabójcy. Zatrzymał się przed drzwiami. Miękką blada sosna, pełna sęków, źle łączona, ze szparą, przez którą przesączało się światło. Czasami żałował, że jego praca nie pozwala mu odwiedzać lepszych miejsc. Uniósł nogę i wyłamał zamek jednym kopnięciem.

Osiem par rąk sięgnęło po broń, gdy drzwi wypadły z zawiasów. Osiem surowych twarzy gwałtownie zwróciło się w jego stronę, siedmiu mężczyzn i jedna kobieta. Shenkt rozpoznawał większość z nich. Klęczeli w półokręgu w sali tronowej Orso. Zabójcy wysłani tropem morderców księcia Ario. Poniekąd jego towarzysze łowów, jeśli muchy na padlinie można nazwać towarzyszami lwa, który upolował zwierzynę. Oczywiście nie powinni go wyprzedzić, ale Shenkt od dawna wiedział, że los bywa nieprzewidywalny jak wąż wijący się w agonii.

- Czyżbym przyszedł nie w porę?

- To on.

- Ten, który nie chciał uklęknąć.

- Shenkt - rzekł mężczyzna, który stanął mu na drodze w sali tronowej księcia. Ten sam, któremu radził się modlić.

Shenkt miał nadzieję, że mężczyzna go posłuchał, chociaż raczej w to wątpił. Dwaj zabójcy uspokoili się, widząc znajomą twarz, i schowali wydobyte do połowy szpady, uznając go za jednego ze swoich.

- No, no. - Mężczyzna o dziobatej twarzy i długich czarnych włosach, który najwyraźniej dowodził grupą, jednym palcem delikatnie popchnął w dół kuszę kobiety. - Mam na imię Malt. Przybyłeś w samą porę, żeby pomóc nam ich złapać.

- Kogo?

- Ludzi, za których odszukanie płaci nam Jego Ekscelencja książę Orso, a niby kogo? Są w palarni naprzeciwko.

- Wszyscy?

- W każdym razie ich przywódca.

- Skąd wiecie, że to na pewno on?

- Ona. Pello wie, prawda, Pello?

Pello miał nierówne wąsy i emanował spoconą desperacją.

- To Murcatto. Ta sama, która dowodziła armią Orso pod Słodkimi Sosnami. Niecały miesiąc temu była w Visserine. Tam ją pojmałem. Sam ją przesłuchiwałem. To wtedy Północny stracił oko. - Północny zwany Dreszczem, o którym wspominał Sajaam. - W pałacu Saliera. Kilka dni później zabiła tam Ganmarka, generała księcia Orso.

- Wąż Talinsu we własnej osobie - rzekł z dumą Malt. - Wciąż żywa. Co na to powiesz?

- Jestem pod wrażeniem. - Shenkt powoli podszedł do okna i popatrzył na drugą stronę ulicy. Wyjątkowo nędzne miejsce jak na słynną panią generał, ale takie jest życie. - Są z nią jej ludzie?

- Tylko ten Północny. Poradzimy sobie. Szczęściara Nim czeka z dwoma swoimi chłopcami w uliczce na tyłach. Kiedy odezwie się wielki zegar, wejdziemy od przodu. Nie uciekną.

Shenkt powoli powiódł wzrokiem po podejrzliwych

twarzach.

- Naprawdę chcecie to zrobić? Wszyscy?

- Jasne, kurwa. Tutaj nie znajdziesz tchórzy, przyjacielu. - Malt popatrzył na niego spod przymrużonych powiek. - Chcesz się przyłączyć?

- Do was? - Shenkt wziął głęboki wdech, po czym westchnął. - Podczas wielkich burz rodzą się niespodziewane sojusze.

- Potraktuję to jako zgodę.

- Nie potrzebujemy tego skurwiela. - Mężczyzna, któremu Shenkt kazał się modlić, ostentacyjnie uniósł zakrzywiony nóż. Najwyraźniej nie grzeszył cierpliwością. - Proponuję poderżnąć mu gardło, nie będziemy musieli się dzielić zapłatą.

Malt delikatnie opuścił jego rękę.

- Spokojnie, nie bądźmy chciwi. Zdarzało mi się już pracować z ludźmi, którzy skupiali się tylko na pieniądzach, a nie na robocie, i cały czas musieli mieć oczy z tyłu głowy. To szkodzi zdrowiu i przeszkadza w pracy. Zrobimy to w cywilizowany sposób albo w ogóle. Co ty na to?

- Popieram - odparł Shenkt. - Na litość boską, zabijajmy uczciwie.

- Otóż to. Orso płaci tyle, że wystarczy dla wszystkich. Podzielimy się po równo i wszyscy będziemy bogaci.

- Bogaci? - Shenkt uśmiechnął się smutno, kręcąc głową. - Martwi nie są ani bogaci, ani biedni.

Malt zdążył zrobić zdziwioną minę, zanim wyprostowany palec Shenkta rozorał mu twarz.

Dreszcz siedział na zatłuszczonym łóżku, opierając się plecami o brudną ścianę, a Monza leżała na nim. Opierała głowę na jego kolanach, a w jej krtani syczał płytki oddech. W lewej zabandażowanej dłoni wciąż trzymała fajeczkę, brązowa smużka dymu unosiła się z popiołów. Dreszcz patrzył ze zmarszczonym czołem, jak wije się w snopach światła, faluje,

rozszerza, wypełnia pokój słodką mgiełką.

Plewy były dobre na ból. Dreszcz uważał nawet, że zbyt dobre, nie sposób bowiem było sobie ich odmówić. Wkrótce nawet stłuczony palec u nogi wydawał się wystarczającym pretekstem. Palenie otępiało umysł i czyniło człowieka miękkim. Może Monza była dostatecznie bystra, ale Dreszcz i tak nie ufał plewom. Dym łaskotał go w nos, wywołując nudności, a zarazem kusząc. Swędziało go oko pod bandażami. To byłoby takie łatwe. Co mu szkodzi...?

Poczuł nagły przypływ paniki i wyslizgnął się spod Monzy, jak człowiek pogrzebany żywcem. Zaprotestowała z irytacją, po czym opadła na posłanie. Jej powieki trzepotały, włosy przykleiły się do wilgotnej twarzy. Dreszcz otworzył zasuwkę na oknie i pchnął na oścież rozklekotane okiennice, uzyskując piękny widok na gnijącą uliczkę na tyłach budynku i czując podmuch zimnego powietrza cuchnącego szczynami. Przynajmniej ta woń była szczerą.

Przy tylnych drzwiach stało dwóch mężczyzn i kobieta trzymająca uniesioną dłoń. Rozległ się dźwięk dzwonu z wysokiej wieży zegara na sąsiedniej ulicy. Kobieta pokiwała głową, a mężczyźni dobyli broni - jeden błyszczącej szpady, a drugi ciężkiego buzdyganu. Otworzyła drzwi i pośpiesznie weszli do budynku.

- Psiakrew - syknął Dreszcz, nie wierząc własnym oczom.

Troje, a ich zachowanie wskazuje, że kolejni nadchodzą od frontu. Za późno na ucieczkę. Zresztą, miał już dosyć uciekania. Nadal był człowiekiem honoru, czyż nie? To ucieczka z Północy do pieprzonej Styrii wpakowała go w ten jednooki bajzel.

Wyciągnął dłoń w kierunku Monzy, ale się powstrzymał. W takim stanie Murcatto niczego nie zdołała, więc zostawił ją w spokoju i wyjął ciężki nóż, który wręczyła mu podczas ich pierwszego spotkania. Mocno zacisnął dłoń na rękojeści. Może napastnicy są lepiej uzbrojeni, ale długa broń nie sprawdza się w małych pomieszczeniach. Poza tym miał przewagę zaskoczenia, a to najlepsza broń, jaką można sobie wyobrazić. Schował się w cieniu za drzwiami, czując, że serce wrywa mu

się z piersi, a oddech pali gardło. Żadnego strachu, żadnych wątpliwości, tylko wściekła gotowość.

Usłyszał ich ciche kroki na schodach i musiał powstrzymać się od śmiechu. Mimo to, zachichotał, chociaż nie wiedział dlaczego, ponieważ nie wydarzyło się nic zabawnego. Skrzyknięcie i wyszeptane przekleństwo. To nie byli najbystrzejsi zabójcy w Kręgu Świata. Zagryzł wargę, starając się powstrzymać drżenie klatki piersiowej. Monza się poruszyła i przeciągnęła z uśmiechem na zatłuszczonym kocu.

- Benna... - szepnęła. Drzwi otworzyły się z impetem i do pokoju wpadł szermierz. Monza otworzyła zamglone oczy. - Co, do...

Drugi mężczyzna wparował do środka jak głupiec, wytrącając swojego kompana z równowagi, unosząc buzdygan nad głowę i zahaczając jego czubkiem o niski sufit, z którego posypał się tynk. Zupełnie jakby chciał oddać broń. Niegrzecznie byłoby odmówić, więc Dreszcz wyrwał mu ją z rąk, jednocześnie wbijając pierwszemu przeciwnikowi nóż w plecy.

Ostrze wślizgiwało się i wyślizgiwało z ciała, szybko i po cichu, wnikając aż po rękojeść. Dreszcz powarkiwał przez zęby, wyrzucając z siebie ostatnie strzępy śmiechu, miarowo pracując ręką. Ofiara krótko pokrzykiwała, nie rozumiejąc, co się dzieje. W końcu obróciła się, wyszarpując nóż z dłoni Dreszcza.

Drugi napastnik odwrócił się z szeroko otwartymi oczami. Stał zbyt blisko, by się na niego zamierzyć.

- Co...

Dreszcz dzielił go w nos rękojeścią buzdyganu, czując, jak pęka chrząstka, i pchnął w stronę pustego kominka. Zasztyletowany mężczyzna stracił grunt pod nogami, wbił czubek szpady w ścianę ponad Monzą i przewrócił się na nią. Już nie stanowił zagrożenia. Dreszcz zbliżył się o krok, opadł na kolana, by nie zahaczyć buzdyganem o sufit, i z rykiem zamachnął się potężną bryłą metalu. Trafił jej poprzedniego właściciela w czoło z mięsistym chrzęstem, wgniatając czaszkę i zachlapując sufit krwią.

Usłyszał krzyk za sobą i okręcił się na pięcie. Kobieta wskoczyła do pokoju, trzymając w obu dłoniach krótkie ostrza, ale potknęła się o wierzgającą nogę Monzy, która próbowała wydostać się spod konającego szermierza. Furia napastniczki zmieniła się w szok, gdy kobieta wylądowała w objęciach Dreszcza, gubiąc jeden z noży. Dreszcz chwycił ją za drugi nadgarstek, padając pod jej ciężarem na trupa mężczyzny od buzdyganu. Uderzył głową o bok kominka i na chwilę go zamroczyło.

Nie puścił jej nadgarstka, choć czuł paznokcie drapiące bandaż. Warczeli na siebie idiotycznie, kobieta łaskotała go zwieszającymi się włosami i przygryzała język z wysiłku, usiłując wbić mu ostrze w szyję. Jej oddech pachniał cytrynami. Dreszcz okręcił się i uderzył ją od dołu w szczękę, odrzucając jej głowę do tyłu, aż z całej siły ugryzła się w język.

W tej samej chwili czyjaś szpada niezdarnie wbiła się w jej ramię, czubkiem niemal zahaczając Dreszcza, aż odskoczył do tyłu. Za plecami kobiety pojawiła się blada twarz Monzy o rozbieganych oczach. Nieznajoma zawyła, próbując się uwolnić, ale w tej chwili otrzymała cios w czubek głowy płazem szpady i upadła na bok. Monza zatoczyła się na ścianę, potknęła o łóżko, niemal nabijając się na szpadę, która wypadła jej z dłoni. Dreszcz wyrwał ostrze z bezwładnej dłoni kobiety i dźgnął ją od dołu w żuchwę, wbijając nóż aż po rękojeść, zachlapując krwią koszulę Monzy oraz ścianę.

Kopnięciem uwolnił się z płataniny kończyn, podniósł buzdygan, wyrwał nóż z pleców martwego szermierza i wepchnął go sobie za pasek, chwiejnie kierując się w stronę drzwi. Korytarz był pusty. Chwycił Monzę za nadgarstek i ją podniósł. Patrzyła na swoje ubranie przesiąknięte krwią kobiety.

- Co... co...

Zarzucił sobie jej bezwładną rękę na ramię i wywlekł ją za drzwi, a następnie zniósł po schodach. Jej buty obijały się o stopnie. Przez otwarte tylne drzwi wyszli na słońce. Monza zachwiała się na schodku, po czym ochlapała ścianę rzadkimi

wymiocinami. Stęknęła i ponownie ciężko westchnęła. Dreszcz wpełchnął drzewce buzdyganu w rękaw, ściskając w dłoni zakrwawioną głowicę, gotowy upuścić broń, jeśli to będzie konieczne. Gdy to robił, zdał sobie sprawę, że znów chichocze. Nie rozumiał dlaczego. Wciąż nie wydarzyło się nic zabawnego. Wręcz przeciwnie. A jednak się śmiał.

Monza postawiła jeden albo dwa chwiejne kroki, nisko się pochylając.

- Muszę przestać palić - wymamrotała, plując żółcią.

- Jasne. Kiedy tylko odrośnie mi oko.

Chwycił ją za łokieć i pociągnął za sobą w stronę końca alejki, gdzie było widać ludzi spacerujących po skąpanej w słońcu ulicy. Zatrzymał się na rogu, szybko się rozejrzał, po czym ponownie zarzucił sobie jej rękę na ramię i ruszył w dalszą drogę.

Nie licząc trzech trupów, pokój był pusty. Shenkt podszedł do okna, ostrożnie omijając śliską kałużę krwi na podłodze, po czym wyjrzał na zewnątrz. Nigdzie nie było śladu Murcatto ani jednookiego Północnego. Lepiej, żeby uciekli, niż ktoś inny znalazł ich przed nim. Na to nie mógł pozwolić. Kiedy Shenkt przyjmował jakieś zlecenie, zawsze je wykonywał.

Usiadł na podłodze, opierając przedramiona na kolanach i luźno zwieszając dłonie. Murcatto i jej przyjaciel z Północy rozprawili się z tą trójką nie gorzej niż on z Maltem i jego siódemką towarzyszy. Ściany, podłoga, sufit i łóżko były zachlapano i usmarowane na czerwono. Jeden z mężczyzn spoczywał obok kominka, z czaszką zamienioną w papkę. Drugi leżał twarzą do ziemi, a tył jego koszuli był porwany od ran kłutych i nasączony krwią. W szyi kobiety ziała dziura.

To zapewne Szcześciara Nim. Wyglądało na to, że szczęście ją opuściło.

- A więc po prostu Nim.

Coś załśniło w rogu pokoju. Pochylił się i podniósł to do światła. Złoty pierścień z dużym krwistoczerwonym rubinem. Zdecydowanie za drogi, by należał do tych szumowin. Czyżby pierścionek Murcatto? Wciąż ciepły od jej dłoni? Wsunął go na palec, po czym złapał Nim za kostkę i wciągnął jej zwłoki na łóżko, nucąc pod nosem, gdy rozbierał je do naga.

Na prawym udzie miała łuskowatą wysypkę, więc zdecydował się na lewą nogę. Odciął ją razem z pośladkiem trzema wprawnymi ruchami rzeźnickiego noża. Szybkim skrętem odłączył kość od stawu biodrowego, oddzielił stopę dwoma szarpnięciami zakrzywionego ostrza, owinął paskiem kobiety elegancko oprawioną kończynę, by pozostała zgięta, po czym schował ją do torby.

Zatem rumsztyk, gruby i usmażony na patelni. Shenkt zawsze miał przy sobie specjalną mieszankę czterech suljuckich przypraw, zmielonych w jego ulubionych proporcjach, a oliwa z okolic Puranti charakteryzowała się cudownym orzechowym aromatem. Potem sól i mielony pieprz. Przyprawy to podstawa w przypadku dobrego mięsa. Różowego w środku, ale niezbyt krwistego. Shenkt nigdy nie rozumiał ludzi, którzy lubią krwiste mięso, jego ono odrzucało. Obok usmaży cebulkę. Może potem posieka goleń i ugotuje gulasz z korzeniami i grzybami, wywar z kości, z odrobiną starego octu z Muris, który nada potrawie...

„Dzyń”.

Pokiwał głową, starannie wytarł sierpowaty nóż, zarzucił torbę na ramię, odwrócił się w stronę drzwi i... znieruchomiał.

Wcześniej mijał piekarnię i rozmyślał o smakowitym, chrupiącym, świeżym pieczywie leżącym na wystawie. Czuł zapach gorącego chleba. Ten wspaniały aromat uczciwości i prostej dobroci. Bardzo chciałby być piekarzem, gdyby nie był... tym, kim jest. Gdyby nigdy nie trafił przed oblicze swojego dawnego mistrza. Gdyby nigdy nie podążył ścieżką, którą mu przygotowano, i nigdy się przeciwko niej nie zbuntował. Myślał o tym, jak pyszny byłby ten chleb, pokrojony w kromki i grubo posmarowany pasztetem. Może z odrobiną galaretki z pigwy lub czegoś podobnego i kieliszkiem dobrego wina. Ponownie

wyciągnął nóż i rozciął plecy Szczęściary Lim, by dostać się do jej wątroby.

W końcu do niczego się już jej nie mogła przydać.

Heroiczne wysiłki, nowe początki

Przestało padać i nad wiejskim krajobrazem pojawiło się słońce. Błada tęcza opuściła się z szarych niebios. Monza zastanawiała się, czy w miejscu, w którym dotknęła ziemi, znajdowała się polanka elfów, o której opowiadał jej ojciec. Czy może tylko gównno, jak wszędzie indziej. Wychyliła się z siodła i splunęła w pszenicę.

Może elfie gównno.

Zdjęła mokry kaptur i skrzywiła się, spoglądając na zachód, gdzie ulewa przesuwiała się ku Puranti. Jeśli istnieje jakakolwiek sprawiedliwość, potop pochłonie Wiernego Carpiego i Tysiąc Ostrzy, których zwiadowcy zapewne znajdowali się w odległości najwyżej dnia jazdy. Jednakże Monza wiedziała, że na świecie nie ma sprawiedliwości. Chmury szczają gdzie popadnie.

Wilgotna zimowa pszenica była usiana skupiskami czerwonych kwiatów, które przypominały smugi krwi na złotawobrazowym polu. Wkrótce nastanie pora, by można rozpocząć żniwa, tylko że nie będzie komu tego uczynić. Rogont robi to, w czym jest najlepszy - wycofuje się, a rolnicy zabierają cały dobytek i uciekają razem z nim w stronę Osprii. Wiedzą, że zbliża się Tysiąc Ostrzy, i wołają na nich nie czekać. Nikt na świecie nie słynie ze skłonności do plądrowania bardziej niż ludzie, którymi niegdyś dowodziła Monza.

„Plądrowanie zdobytych terenów nie jest zwykłą zbrodnią, lecz wkracza w domenę polityki”, pisał Farans.

Zgubiła pierścionek od Benny. Co chwila pocierała kciukiem środkowy palec, nieodmiennie rozczarowana tym brakiem. Ładny kawałek kamienia nie zmieniał faktu, że Benna zginął.

Mimo to czuła, jakby straciła ostatnią cząstkę jego istoty, którą udało się jej zachować. A zarazem jedną z ostatnich cząstek siebie wartą zatrzymania.

Miała jednak szczęście, że w Purani straciła tylko biżuterię. Była lekkomyślna i prawie przypłaciła to życiem. Musi przestać palić. Zacząć od nowa. Tymczasem paliła więcej niż kiedykolwiek. Za każdym razem, gdy budziła się ze słodkiego zapomnienia, powtarzała sobie, że to ostatni raz, lecz kilka godzin później pociła się targana rozpaczliwym pragnieniem. Zalewały ją fale chorej potrzeby, każda wyższa od poprzedniej. Odparcie ich wymagało heroicznego wysiłku, a Monza nie była bohaterką, chociaż obywatele Talinsu kiedyś wiwatowali na jej cześć. Wyrzucała fajeczkę, po czym w przyływie lepkiej paniki kupowała kolejną. Nie była pewna, jak wiele razy ukrywała malejącą grudkę plew na dnie torby, wiedziała jednak, że trudno jest schować coś przed sobą.

Zawsze wiadomo, gdzie szukać.

- Nie podoba mi się ta okolica. - Morveer wstał z kołyszącego się wozu i rozejrzał się po płaskim terenie. - Łatwo tutaj zastawić pułapkę.

- Właśnie dlatego tutaj jesteśmy - odburknęła Monza.

Żywopłaty, nieliczne kępy drzew, brązowe domy i stodoły stojące samotnie lub w skupiskach pośród pól - mnóstwo kryjówek. Wokół panował niemal całkowity bezruch. Nie było słyhać niczego poza skrzeczeniem wron, łopotaniem plandeki na wozie, grzechotem kół oraz chlupotem, gdy wjeżdżali w kałużę.

- Jesteś pewna, że to rozropne, ufać Rogontowi?

- Roztropnością nie wygrywa się bitew.

- Racja, ona popycha raczej do planowania morderstw. Rogont jest człowiekiem wyjątkowo niegodnym zaufania, nawet jak na wielkiego księcia, a także twoim starym wrogiem.

- Mogę mu zaufać w kwestiach, które dotyczą jego własnych interesów. - Zadawała sobie to drażniące pytanie odkąd opuścili Puranti. - Zabicie Wiernego Carpiego wiąże się z niewielkim ryzykiem, ale może przynieść niewyobrażalne zyski, jeśli uda

mi się odzyskać przychylność Tysiąca Ostrzy.

- Tylko że pomyliłaś się już nie raz. A co, jeśli utkniemy tutaj odcięci od świata na trasie przemarszu wojsk? Płacisz mi za zabijanie pojedynczych ludzi, a nie za samodzielne toczenie wojny...

- Zapłaciłam ci za zabicie pojedynczego człowieka w Westporcie, a ty wymordowałeś pół setki. Nie potrzebuję twoich porad dotyczących ostrożności.

- Było ich czterdzieścioro, a wszystko na skutek nadmiernej dbałości o wykonanie zadania, a nie nieostrożności! Czy ty masz na sumieniu mniej ofiar w Domu Uciech Cardottiego? Albo w pałacu księcia Saliera? Albo w Caprile, skoro już o tym mowa? Wybacz, jeśli nie dowierzam twoim zdolnościom panowania nad rozlewem krwi!

- Dosyć! - warknęła. - Jesteś jak kozioł, który nie przestaje meczeć! Wystarczy, że zrobisz to, za co ci płacę!

Morveer gwałtownie zatrzymał wóz, ściągając wodze, a Dzionek pisnęła, prawie upuszczając jabłko.

- To tak mi dziękujesz za ratunek w Visserine? Po tym, jak świadomie zignorowałaś moje mądre rady?

Vitari, która leżała wśród zapasów z tyłu wozu, uniosła długą rękę.

- Ja miałam równie duży udział w akcji ratunkowej. Nikt mi nie podziękował.

Morveer ją zignorował.

- Być może powinienem poszukać bardziej wdzięcznego pracodawcy!

- A może, kurwa, to ja powinnam poszukać bardziej posłusznego truciciela!

- Niewykluczone...! Ale zaraz. - Morveer unióś palec, zaciskając powieki. - Zaraz. - Zacisnął usta, wziął głęboki wdech, na chwilę przytrzymał powietrze w płucach, po czym powoli je wypuścił. Potem jeszcze raz.

Dreszcz podjechał bliżej i unióś brew, spoglądając na Monzę. Morveer jeszcze raz odetchnął, a następnie otworzył oczy i fałszywie zachichotał.

- Być może... powinienem przeprosić z całego serca.

- Co takiego?

- Zdaję sobie sprawę, że... nie zawsze jestem najłatwiejszym towarzyszem.

Vitari parsknęła śmiechem i Morveer się skrzywił, ale kontynuował.

- Jeśli się sprzeciwiam, to dlatego, że życzę ci jak najlepiej i pragnę, by twoja misja zakończyła się powodzeniem. Odkąd pamiętam, moje nieprzejednane dążenie do doskonałości prowadzi mnie do zguby. Tymczasem twój pokorny sługa winien się charakteryzować większą elastycznością. Czy mogę prosić, abys w moim przypadku zdobyła się na... heroiczny wysiłek i zapomniała o tych wszystkich nieprzyjemnościach? - Strzelił lejcami i wóz ruszył. Morveer wciąż uśmiechał się niewyraźnie. - Czuję to! To będzie nowy początek!

Monza popatrzyła w oczy Dzionek delikatnie kołyszącej się na siedzeniu. Blondynka uniosła brwi, ogryzła jabłko do ogonka i rzuciła go na pole. Z tyłu wozu Vitari zdjęła płaszcz i rozciągnęła się na plandece w blasku słońca.

- Wychodzi słońce. Nowy początek. - Powiodła wkoło jedną ręką, drugą przyciskając do piersi. - Ooo, jest nawet tęcza! Powiadają, że w miejscu, w którym styka się z ziemią, znajduje się polana elfów!

Twarz Monzy wykrzywił grymas. Wydawało się bardziej prawdopodobne, że natrafią na polanę elfów niż że Morveer będzie zdolny do nowego początku. Ten nagły pokaz posłuszeństwa zrobił na niej jeszcze bardziej nieszczerze wrażenie niż jego nieustanne utyskiwania.

- Może po prostu brakuje mu miłości - szepnął Dreszcz, gdy ponownie ruszyli.

- Gdyby mężczyźni potrafili się tak zmieniać. - Monza pstryknęła mu palcami przed twarzą.

- To jedyna zmiana, do jakiej jesteśmy zdolni, gdy wszystko zmienia się wokół nas, czyż nie? - Wpatrywał się w nią jedynym okiem. - Mężczyźni są krusi jak szkło, nie dopasowują się do nowych kształtów, ale pękają i dają się miażdżyć.

Albo palić.

- Jak twoja twarz? - mruknęła.

- Swędzi.

- Bolało cię u okularysty?

- Na skali pomiędzy uderzeniem w palec a wypalaniem oka umieściłbym to bliżej początku.

- Jak niemal wszystko.

- Także upadek ze szczytu góry?

- Nie jest taki straszny, jeśli się leży nieruchomo. Dopiero kiedy próbujesz wstać, zaczyna trochę piec.

To wywołało uśmiech na jego twarzy, chociaż ostatnio uśmiechał się znacznie rzadziej. Nic dziwnego, po tym, co przeszedł. Po tym, w co go wpakowała.

- Chyba... powinnam ci podziękować za ponowne ocalenie życia. To ci zaczyna wchodzić w nawyk.

- Za to mi płacisz, czyż nie, szefowo? Dobrze wykonana praca sama w sobie stanowi nagrodę, jak zawsze mawiał mój ojciec. Tak się składa, że jestem w tym dobry. Jako wojownik budzę respekt. W innych sprawach jestem tylko wielkim niemrawym skurwielem, który zmarnował tuzin lat na wojnach, po których nie pozostało mu nic poza krwawymi snami i niepełnym kompletem oczu. Ale wciąż jestem człowiekiem honoru. Uważam, że człowiek powinien być tym, kim jest. W przeciwnym razie, kim będzie? Oszustem, prawda? Kto chciałby bezustannie udawać kogoś innego?

Dobre pytanie. Na szczęście, wspięli się na szczyt wzniesienia, więc Monza nie musiała szukać odpowiedzi. Brązowe pozostałości imperialnej drogi ciągnęły się prosto jak strzała przez pola. Droga miała osiemset lat, ale wciąż była najlepszym traktem w Styrii, co stanowiło ponury komentarz do późniejszych rządów. Tuż obok znajdowało się gospodarstwo. Dwupiętrowy kamienny dom z zamkniętymi okiennicami i czerwonymi dachówkami zbrązowiałymi ze starości, a obok mała stajnia. Sięgający do pasa, pokryty porostami kamienny mur zbudowany bez zaprawy murarskiej, otaczający błotniste podwórko, na którym dwa wychudzone

ptaki dziobały ziemię. Naprzeciwko domu drewniana stodoła z zapadniętym na środku dachem. Chorągiewka w kształcie skrzydlatego węża powiewała bezwładnie na pochyłej wieżyczce.

- To tutaj! - zawołała Monza, a Vitari uniosła rękę, by pokazać, że usłyszała.

Obok budynku wił się strumień, który zmierzał w kierunku młyna oddalonego o milę albo dwie. Zerwał się wiatr i potrząsnął liśćmi na żywopłocie, wywołał miękkie fale na łanie pszenicy oraz popędził po niebie poszarpane obłoki, których cienie płynęły po ziemi.

Monza przypomniała sobie farmę, na której się urodziła. Pomyślała o małym Bennie biegającym po polu, tak że tylko czubek jego głowy wystawał z dojrzewającego zboża, usłyszała jego piskliwy śmiech. Dawno temu, zanim umarł ich ojciec. Otrząsnęła się i skrzywiła. Łzawe, samolubne, nostalgiczne gówno. Nienawidziła tamtego gospodarstwa. Kopania, orania, brudu pod paznokciami. I po co to wszystko? Niewiele jest rzeczy, które wymagają tak ciężkiej pracy, a przynoszą tak niewielkie zyski.

Jedynym innym przykładem, który przyszedł jej do głowy, była zemsta.

Odkąd sięgał pamięcią, Morveer miał niezwykły talent do mówienia nie tego, co trzeba. Gdy zamierzał pomóc, okazywało się, że narzeka. Gdy chciał kogoś pocieszyć, okazywało się, że go obraża. Gdy szczerze udzielał wsparcia, uznawano, że odbiera nadzieję. Chciał jedynie, by go ceniono, szanowano, zauważano, a jednak każda próba nawiązywania przyjaźni tylko pogarszała sytuację.

Niemal zaczynał wierzyć, po trzydziestu latach nieudanych relacji - z matką, która go porzuciła, z żoną, która odeszła, z asystentami, którzy go zostawili, okradli lub próbowali zabić,

zazwyczaj za pomocą trucizny, choć w jednym pamiętnym przypadku przy użyciu topora - że po prostu nie potrafi dogadywać się z ludźmi. Przynajmniej powinien być wdzięczny losowi, że ten ohydny pijaczyna Nicomo Cosca nie żyje, i rzeczywiście początkowo poczuł ulgę. Niestety, wkrótce ciemne chmury powróciły, by zasnuć jego umysł wiecznym przygnębieniem. Ponownie musiał spierać się ze swoim kłopotliwym pracodawcą o każdy szczegół.

Zapewne byłoby lepiej, gdyby po prostu zaszył się gdzieś w górach i żył jak pustelnik, nie raniąc niczyich uczuć. Jednakże rozrzedzone powietrze nigdy nie odpowiadało jego delikatnej naturze. Dlatego postanowił podjąć heroiczny wysiłek i ponownie spróbować swoich sił w kontaktach towarzyskich. Być bardziej uległym, taktownym i wyrozumiałym wobec niedoskonałości innych. Wykonał pierwszy krok, gdy reszta grupy udała się na zwiady w poszukiwaniu śladów obecności Tysiąca Ostrzy. Udał, że boli go głowa, i pod ich nieobecność przygotował miłą niespodziankę w postaci zupy grzybowej według przepisu matki. Była to jedyna namacalna rzecz, jaką zostawiła swojemu synowi.

Skaleczył się w palec podczas krojenia i oparzył w łokieć o gorącą kuchnię, co wywołało u niego napad bezproduktywnej wściekłości i niemal skłoniło do rezygnacji z nowego początku. Mimo to, gdy usłyszał konie powracające do gospodarstwa o zachodzie słońca, miał już zastawiony stół, a na nim dwa ogryzki świec rzucające miły blask, dwa pokrojone bochenki chleba oraz garnek z zupą o smakowitym zapachu.

- Doskonale. - Na pewno się zrehabilituje.

Jego optymistyczny nastrój nie przetrwał przybycia gości. Weszli, nie zdjawszy butów, brudząc błotem lśniąca podłogę, po czym popatrzyli na idealnie wyszorowaną kuchnię, starannie zastawiony stół i pracowicie przygotowaną potrawę z entuzjazmem skazańców, którym pokazano katowski pień.

- Co to jest? - Murcatto wydeła usta i ściągnęła brwi, spoglądając na niego jeszcze bardziej podejrzliwie niż zwykle.

Morveer starał się nie zwracać uwagi na ich reakcję.

- Przeprosiny. Skoro nasz kucharz z obsesją na punkcie liczb wrócił do Talinsu, pomyślałem, że mogę zająć jego miejsce i ugotować obiad. Według przepisu mojej matki. Siadajcie, proszę! - Pośpiesznie krążył wokół stołu i rozstawiał krzesła, aż jego towarzysze zajęli miejsca, cały czas niespokojnie zerkając na boki.

- Zupy? - Morveer zbliżył się do Dreszcza z garnkiem i chochlą.

- Nie, dziękuję. Ostatnim razem mnie... jak to się mówi...

- Sparaliżowałaś - pomogła Murcatto.

- Właśnie. Ostatnim razem mnie sparaliżowałaś.

- Nie ufasz mi? - odburknął Morveer.

- Z założenia - odparła Vitari, zerkając na niego spod rudych brwi. - Jesteś trucicielem.

- Po tym wszystkim, co razem przeszliśmy? Nie ufasz mi z powodu drobnego paraliżu? - Podejmował heroiczne starania, by uratować tonący okręt ich zawodowych stosunków, ale nikt tego nie doceniał. - Gdybym chciał cię otruć, po prostu rozsypałbym ci na poduszce czarną lawendę, a wtedy zasnąłbyś niekończącym się snem. Albo wrzuciłbym ci do butów ciernie ameryndu, posmarował rękojeść topora wyciągiem z laryncji, dodał wyciągu z korzenia gorczycy do manierki z wodą. - Pochylił się nad Dreszczem, zaciskając dłoń na chochli, aż pobiełały mu knykie. - Istnieje tysiąc tysięcy sposobów, by was wszystkich zabić bez wzbudzania nawet cienia podejrzeń. Nie męczyłbym się gotowaniem dla was kolacji!

Dreszcz długo wpatrywał się w niego jednym okiem. Potem wyciągnął rękę i przez krótką chwilę Morveer zastanawiał się, czy zaraz po raz pierwszy od wielu lat otrzyma cios w twarz, ale Północny tylko zacisnął potężną dłoń na dłoni truciciela i przechylił garnek, nalewając sobie zupy do miski. Chwycił łyżkę, zanurzył ją w zupie, delikatnie na nią podmuchał, po czym wysiorbał zawartość.

- Dobra. Grzybowa, prawda?

- Eee... tak, zgadza się.

- Świetna. - Dreszcz jeszcze przez chwilę patrzył Morveerowi

w oczy, zanim puścił jego rękę.

- Dziękuję. - Morveer uniósł chochlę. - Czy ktoś ma ochotę na zupę?

- Ja!

Szczekliwy głos zaskoczył Morveera, który poczuł się tak, jakby ktoś strzyknął mu do ucha wrzątkiem. Odskoczył, upuszczając garnek, tak że zupa zalała stół i kolana Vitari. Kobieta podskoczyła z wrzaskiem, wyrzucając w powietrze mokre sztuce. Murcatto zerwała się z miejsca, przewracając krzesło i sięgając po szpadę. Dzionek upuściła na wpół zjedzoną kromkę chleba i zaszokowana cofnęła się o krok. Morveer okręcił się na pięcie, bezsensownie ściskając w dłoni ociekającą chochlę...

Obok niego stała z założonymi rękami uśmiechnięta Gurkijka o skórze gładkiej jak u dziecka i nieskazitelnej jak ciemne szkło oraz oczach czarnych jak północ.

- Zaczekaj! - warknęła Murcatto, unosząc jedną dłoń. - Zaczekaj. To przyjaciółka.

- Na pewno nie moja! - Morveer rozpaczliwie starał się zrozumieć, w jaki sposób kobieta mogła zjawić się niezauważenie. Obok niej nie było żadnych drzwi, okiennice były szczelnie zamknięte i zablokowane, podłoga i sufit wydawały się nienaruszone.

- Ty nie masz przyjaciół, trucicielu - zamruczała do niego. Rozchyliła długi brązowy płaszcz. Wydawało się, że jej ciało pod spodem jest całkowicie pokryte białymi bandażami.

- Kim jesteś? - ostro spytała Dzionek. - I skąd się tutaj wzięłaś, do diabła?

- Kiedyś nazywano mnie Wschodnim Wiatrem. - Kobieta obnażyła dwa rzędy idealnych zębów, jednocześnie wdzięcznie kręcąc palcem. - Ale dziś mówią na mnie Ishri. Pochodzę ze spalonego słońcem Południa.

- Jej chodziło... - zaczął Morveer.

- Magia - szepnął Dreszcz, jedyny członek grupy, który nie wstał z miejsca. Spokojnie uniósł łyżkę i ponownie siorbnął. - Podaj chleb.

- Do diabła z twoim chlebem - warknął Morveer. - I z twoją magią też! Jak się tutaj dostałaś?

- To jedna z nich. - Vitari trzymała w dłoni kuchenny nóż, a jej oczy zwęziły się do śmiercionośnych szparek. Resztki zupy ściekały ze stołu i równomiernie kapały na podłogę. - Żerca.

Gurkijka przeciągnęła palcem po rozlanej zupie, po czym go oblizwała.

- Wszyscy musimy coś jeść, czyż nie?

- Wolałabym nie znaleźć się w jadłospisie.

- Nie musisz się martwić. Jestem bardzo wybredna.

- Spotkałam takich jak ty w Dagosce. - Morveer nie do końca rozumiał, czego dotyczy rozmowa, co bardzo mu się nie podobało, ale wydawało się, że Vitari jest zaniepokojona, a to go poważnie zmartwiło, gdyż nie zwykła ulegać emocjom. - Jaki układ zawarłaś, Murcatto?

- Taki, jaki musiałam. Ona pracuje dla Rogonta.

Ishri przechyliła głowę, kładąc ją niemal w poziomie.

- Albo to on pracuje dla mnie.

- Nie dbam o to, kto jest jeźdźcem, a kto osiołkiem - odburknęła Murcatto - jeśli tylko jedno z was przyśle ludzi.

- On ich przyśle. Czterdziestu najlepszych żołnierzy.

- Zdąży na czas?

- Chyba że Tysiąc Ostrzy przybędzie wcześniej, ale tak się nie stanie. Ich główne siły obozują sześć mil stąd. Zatrzymali się na dłużej, by splądrować wioskę. Potem musieli ją spalić. Wyjątkowo niszczycielska banda. - Przeniosła wzrok na Morveera. Jej czarne oczy go drażniły. Nie podobało mu się, że cała jest zabandażowana. Ciekawiło go dlaczego...

- Dzięki nim jest mi chłodniej.

Morveer zamrugał, zastanawiając się, czy wypowiedział swoje pytanie na głos.

- Nie wypowiedziałeś.

Przeszył go lodowaty dreszcz, tak jak wtedy, gdy opiekunki odkryły jego tajne materiały w sierocińcu i odgadły ich przeznaczenie. Nie mógł uciec przed irracjonalnym wnioskiem, że ta gurkijska diablica czyta mu w myślach i zna tajemnice, o

których nikt nie powinien się dowiedzieć...

- Będę w stodole! - zawołał, znacznie bardziej piskliwie niż zamierzał. Z trudem zapanował nad głosem. - Muszę się przygotować, skoro jutro będziemy mieli gości. Chodź, Dzionek!

- Tylko dokończę. - Szybko przywykła do gościa i teraz jednocześnie smarowała masłem trzy kromki.

- Ach... tak... rozumiem. - Przez chwilę Morveer stał, dygocząc, ale nie mógł osiągnąć niczego poza dalszym upokorzeniem, więc ruszył w stronę drzwi.

- Chcesz swój płaszcz? - spytała Dzionek.

- Będzie mi ciepło!

Dopiero gdy wyszedł z domu i zanurzył się w ciemności, słysząc szum wiatru w pszenicy i czując jego podmuchy pod koszulą, zrozumiał, że wcale nie będzie mu ciepło. Ale było już za późno, by wrócić i nie wyjść na głupca, a tego zdecydowanie chciał uniknąć.

- Nic z tego. - Zaklął, ruszając przez pogrążone w mroku podwórze i obejmując się rękami. Pozwolił, by jakaś gurkijska szarlatanka wyprowadziła go z równowagi za pomocą prymitywnych sztuczek. - Obandażowana suka. - Jeszcze jej pokaże. - O tak. - Tak jak pokazał opiekunkom w sierocińcu, odpłacając im za każde lanie. - Jeszcze zobaczymy, kto komu wygarbuje skórę. - Zerknął przez ramię, upewniając się, że nikt go nie widzi. - Magia! - prychnął kpiąco. - Pokażę ci kilka sztu... aaa! - Jego but z chlupotem poślizgnął się na błocie i Morveer runął na plecy. - Ach! Psiamać w dupę goniona! - To tyle, jeśli chodzi o heroiczne starania i nowe początki.

Zdrajca

Dreszcz szacował, że do świtu została godzina albo dwie. Deszcz ustał, ale woda wciąż skapywała z młodych liści na piach. Powietrze było ciężkie od wilgoci. Wezbrany strumień bulgotał obok szlaku, tłumiąc błotnisty odgłos końskich kopyt. Dreszcz wiedział, że jest już blisko, widział bladoczerwony blask obozowego ogniska wzdłuż krawędzi śliskich pni.

Ciemność najlepiej się nadaje do ciemnej roboty, mawiał Czarny Dow, a on się na tym znał najlepiej.

Dreszcz popędził konia, mając nadzieję, że jakiś pijany wartownik nie wpakuje mu odruchowo strzały w brzuch. Być może byłoby to mniej bolesne niż wypalanie oka, ale i tak wołał tego uniknąć. Na szczęście, zauważył pierwszego strażnika, zanim ten go dostrzegł. Mężczyzna stał pod drzewem, z włócznią opartą o ramię. Głowę owinął nieprzemakalną tkaniną, więc nie mógłby niczego zobaczyć, nawet gdyby nie spał.

- Hej!

Mężczyzna gwałtownie się obrócił, upuszczając włócznię w błoto. Dreszcz uśmiechnął się szeroko, patrząc, jak wartownik szuka jej po omacku. Sam swobodnie skrzyżował ręce na łęku siodła.

- Chcesz mnie sprawdzić czy mam jechać dalej i zostawić cię w spokoju?

- Kto idzie? - warknął wartownik, podnosząc włócznię razem z kępą mokrej trawy.

- Nazywam się Caul Dreszcz, a Wierny Carpi będzie chciał ze mną porozmawiać.

Obóz Tysiąca Ostrzy wyglądał jak wszystkie obozowiska.

Ludzie, płótno, metal i błoto. Zwłaszcza błoto. Chaotycznie rozstawione namioty. Konie poprzywiązywane do drzew, wydmuchujące obłoki pary w ciemność. Włócznie oparte jedna o drugą. Ogniska, niektóre płonące, inne wygaszone do syczących popiołów, z których wydobywał się ostry dym. Kilku obudzonych ludzi, przeważnie owiniętych kocami, stojących na straży bądź pijących, ponuro wpatrujących się w przechodzącego Dreszcza.

Przypomniiał sobie zimne, wilgotne noce, które spędzał w obozowiskach na Północy. Wtedy skulony przy ognisku prosił zmarłych, by deszcz nie przybrał na sile. Piekł mięso nadziane na włócznie zabitych. Zwinięty w kłębek drżał w śniegu, przykryty wszystkimi kocami, jakie mógł znaleźć. Ostrzył broń przed ciemną robotą czekającą go następnego dnia. Ujrzał twarze ludzi, którzy wrócili do ziemi, a z którymi śmiał się i pił. Brata. Ojca. Tul Duru, którego zwali Grzmotem. Rudda Trójdrzewca, Skałę Uffrithu. Hardinga Ponuraka, cichszego od nocy. Te wspomnienia napełniły go niespodziewaną dumą, ale zaraz potem poczuł niespodziewany wstyd, gdy zdał sobie sprawę, co teraz robi. To były najsilniejsze uczucia, jakich doświadczył, odkąd stracił oko. Nie spodziewał się, że jest do nich zdolny.

Pociągnął nosem i twarz zapiekła go pod bandażami, a chwila łagodności rozwiała się, pozostawiając tylko chłód. Zatrzymali się przed namiotem wielkim jak dom. Światło lampy wyciekało na zewnątrz wzdłuż krawędzi wejścia.

- W środku masz się dobrze zachowywać, ty Północny draniu. - Strażnik dźgnął Dreszcza jego własnym toporem. - W przeciwnym razie...

- Pierdol się, idioto. - Dreszcz odepchnął go z drogi jedną ręką i wszedł do namiotu.

W środku cuchnęło zjełczalym winem, zapleśniałymi tkaninami i niemytymi ciałami. Migoczące lampy wiszące wzdłuż obrzeży namiotu obok pociętych i podartych flag - trofeów z dawnych pól bitew - nie zapewniały wystarczającego oświetlenia.

Na dwóch skrzyniach w głębi namiotu stało krzesło z ciemnego drewna wysadzone kością słoniową, poplamione, porysowane i wyslizgane od długotrwałego użytkowania. Zapewne zasiadał na nim generał. Kiedyś Cosca, potem Monza, a teraz Wierny Carpi. Przypominało poobijane krzesło przy stole jakiegoś bogacza. Trudno uwierzyć, że ludzie zabijali się, by na nim usiąść, lecz do tego nigdy nie trzeba ważnych powodów.

Na środku stał długi stół, wokół którego siedzieli oficerowie. Kapitanowie Tysiąca Ostrzy. Szorstcy mężczyźni, naznaczeni bliznami, ubrudzeni i poobijani jak generalskie krzesło, uzbrojeni po zęby.

Dreszcz niejednokrotnie zachowywał pogodny nastrój w znacznie gorszym towarzystwie, więc teraz też się uśmiechnął. Co dziwne, wśród tych ludzi czuł się znacznie swobodniej niż w ciągu ostatnich miesięcy. Znał tutejsze zasady lepiej niż reguły Monzy. Sądząc po mapach rozłożonych na drewnie, kapitanowie zaczęli opracowywać jakiś plan, jednak w środku nocy strategia ustąpiła miejsca grze w kości. Teraz mapy były obciążone rozrzuconymi monetami, na wpół opróżnionymi butelkami, starymi kubkami i wyszczerbionymi kielichami. Jeden z wykresów tonął w czerwonym winie.

U szczytu stołu stał olbrzymi łysawy mężczyzna o twarzy pokrytej bliznami i krótkich siwych włosach. Miał nastroszone wąsy, a jego masywną szczękę pokrywała biała szczecina. Wierny Carpi we własnej osobie, sądząc po opisie Monzy. Potrząsał kośćmi w potężnej dłoni.

- No dalej, ścierwa, niech wypadnie dziewiątka! - Wypadła jedyńka i trójka, co wywołało kilka westchnień i jeden wybuch śmiechu. - Psiakrew! - Rzucił kilka monet na stół w stronę wysokiego, dziobatego drania z zakrzywionym nosem, brzydkimi czarnymi włosami i dużym łysym plackiem na głowie. - Pewnego dnia rozpracuję twoją sztuczkę, Andiche.

- To żadna sztuczka. Urodziłem się pod szczęśliwą gwiazdą. - Andiche skrzywił się, posyłając Dreszczowi spojrzenie, jakim lis obrzuca kurczaki. - Kim, do diabła, jest ten zabandażowany

dupek?

Strażnik przepchnął się obok Dreszcza, zerkając na niego nieprzychylnie kątem oka.

- Panie generale Carpi, ten Północny twierdzi, że musi z panem porozmawiać.

- Czyżby? - Wierny rzucił okiem na Dreszcza, po czym wrócił do układania monet. - A niby dlaczego miałbym rozmawiać z kimś takim? Podaj mi kości, Vietusie, jeszcze nie skończyłem.

- Na tym polega problem z generałami. - Vietus był łyse jak kolano i chudy jak głód, a liczne pierścienie na palcach i łańcuchy wokół szyi nie czyniły go przystojniejszym. - Nigdy nie wiedzą, kiedy skończyć. - Rzucił kości na stół przy wtórze chichotu swoich dwóch towarzyszy.

Strażnik przełknął ślinę.

- On twierdzi, że wie, kto zabił księcia Ario!

- Och, naprawdę? A więc któż to był?

- Monzcarro Murcatto.

Wszystkie surowe twarze w namiocie gwałtownie zwróciły się w stronę Dreszcza. Wierny ostrożnie odłożył kości, mrużąc oczy.

- Wydaje się, że to nazwisko jest wam znane - dodał Dreszcz.

- Powinniśmy go zatrudnić jako błazna czy powiesić jako kłamcę? - warknął Vietus.

- Murcatto nie żyje - dodał kolejny z oficerów.

- Czyżby? W takim razie ciekawe, z kim się pieprzyłem przez ostatni miesiąc?

- Jeśli pieprzyłeś się z Murcatto, to radzę ci do niej wracać. - Andiche wyszczerzył zęby. - Z tego, co mi mówił jej brat, nikt tutaj nie potrafi tak dobrze obciągać jak ona.

To wywołało śmiech wokół stołu. Dreszcz nie był pewien, o co chodziło z bratem Monzy, ale to nie miało znaczenia. Rozwiązał bandażę i ściągnął je jednym ruchem, po czym zwrócił twarz w stronę lampy. Śmiechy ustały. Widok jego twarzy kładł kres wszelkiej wesołości.

- Oto, ile mnie kosztowała. W zamian za garść srebra? Srać na to, nie jestem głupcem, za którego mnie ma, jeszcze nie

wyzbyłem się godności. Skończyłem z tą suką.

Wierny Carpi patrzył na niego ze zmarszczonym czołem.

- Opisz ją.

- Wysoka, szczupła, czarne włosy, niebieskie oczy, często marszczy brwi. Ma ostry język.

Vietus machnął dłonią ozdobioną klejnotami.

- To wszyscy wiedzą.

- Ma złamaną prawą dłoń i cała jest w bliznach. Twierdzi, że spadła z górskiego zbocza. - Dreszcz przycisnął palec do brzucha, nie spuszczając wzroku z Wiernego. - Ma bliznę tutaj i drugą podobną z tyłu. Mówi, że naznaczył ją tak jej przyjaciel. Przebił jej własnym sztyletem.

Carpi miał minę ponurą jak grabarz.

- Wiesz, gdzie ona jest?

- Zaraz, chwileczkę. - Vietus sprawiał wrażenie jeszcze mniej zadowolonego niż jego przywódca. - Twierdzisz, że Murcatto żyje?

- Słyszałem plotki - odparł Wierny.

Potężny czarnoskóry mężczyzna z długimi pękami siwych włosów gwałtownie wstał z za stołu.

- Ja też słyszałem wiele plotek - odezwał się głosem powolnym i głębokim jak morze. - Ale plotki i fakty to dwie różne rzeczy. Kiedy zamierzałeś nam powiedzieć, do kurwy nędzy?

- Kiedy to będzie, kurwa, konieczne, Sesario. Gdzie ona jest?

- W gospodarstwie, mniej więcej godzinę jazdy stąd - odpowiedział Dreszcz.

- Ilu jest z nią ludzi?

- Tylko czworo. Truciciel mięczak i jego asystentka, młoda dziewczyna. Poza tym rudowłosa kobieta nazwiskiem Vitari i jakaś brązowoskóra suka.

- Gdzie dokładnie?

Dreszcz wyszczerzył zęby.

- Właśnie po to tutaj jestem, nieprawdaż? Żeby sprzedać wam dokładne informacje.

- Coś mi tu śmierdzi - odburknął Vietus. - Jeśli chcesz znać

moje zdanie...

- Nie chcę - warknął Wierny, nie oglądając się. - Jaką proponujesz cenę?

- Dziesiątą część tego, co ksiązę Orso płaci za głowę zabójcy księcia Ario.

- Tylko tyle?

- Sądzę, że to więcej, niż dostanę od niej, a zarazem nie tak dużo, żebyście mnie zabili. Nie chcę zabierać więcej, niż będę w stanie unieść.

- Bardzo mądrze - odparł Wierny. - Niczego nie nienawidzimy tak bardzo jak chciwości, prawda, chłopcy? - Kilku kapitanów zachichotało, ale większość wciąż wydawała się niezadowolona z powrotu z krainy umarłych ich dawnej pani generał. - W porządku, dziesiąta część to uczciwy układ. Umowa stoi. - Wierny podszedł do Dreszcza i uścisnął jego dłoń, patrząc mu prosto w oczy. - Jeśli dopadniemy Murcatto.

- Potrzebujecie jej żywej czy martwej?

- Obawiam się, że wolałbym ją zabić.

- To dobrze, ja też. Ostatnie, czego chcę, to narazić się tej szalonej suce. Ona nigdy nie zapomina.

Wierny pokiwał głową.

- Na to wygląda. Widzę, że się dogadamy. Swolle?

- Panie generale? - Podszedł do nich mężczyzna z bujną brodą.

- Przygotuj sześćdziesięciu jeźdźców, tych z najszybszymi...

- Może lepiej wysłać mniejsze siły? - wtrącił Dreszcz.

- Czyżby? Niby dlaczego?

- Mówiła, że wciąż ma tutaj przyjaciół. - Dreszcz powiódł wzrokiem po surowych twarzach. - Mówiła, że w tym obozie wciąż jest wielu ludzi, którzy nie mieliby nic przeciwko temu, żeby ponownie objęła dowodzenie. Mówiła, że razem z nią odnieśli zwycięstwa, z których mogą być dumni, a z tobą tylko czają się i badają teren, podczas gdy ludzie Orso zgarniają wszystkie łupy.

Wierny na chwilę uciekł spojrzeniem w bok. To wystarczyło, by Dreszcz zrozumiał, że poruszył drażliwy temat. Żaden

przywódca nie świecie nie jest na tyle pewny siebie, by nigdy się nie niepokoić, a z pewnością nie przywódca takich ludzi.

- Lepiej ograniczyć się do kilku żołnierzy, których jesteś pewien - kontynuował Dreszcz. - Nie mam problemu z wbiciem Murcatto ostrza w plecy, zasłużyła sobie na to. Ale co innego dostać taki cios od jednego z twoich ludzi.

- Tylko pięcioro, w tym cztery kobiety? - Swolle się wyszczerzył. - Wystarczy tuzin żołnierzy.

Wierny nie spuszczał wzroku z Dreszcza.

- Mimo wszystko, wyślemy sześćdziesięciu, tak jak mówiłem, na wypadek gdyby czekały na nas większe siły, niż się spodziewamy. Byłby wstyd, gdybyśmy pojawili się w niedostatecznej liczbie.

- Tak jest - odrzekł Swolle, po czym wyszedł z namiotu.

Dreszcz wzruszył ramionami.

- Będzie jak zechcesz.

- Tego możesz być pewien. - Wierny odwrócił się w stronę swoich zasepionych kapitanów. - Ktoś z was, stare dranie, chce się przyłączyć do polowania?

Sesaria pokręcił potężną głową, kołysząc włosami.

- To twój bałagan, Wierny, sam musisz go pozamiatać.

- Wystarczająco dużo dzisiaj splądrowałem.

Andiche już przeciskał się przez wyjście z namiotu, a kilku kolejnych kapitanów podążało za nim, mamrocząc coś pod nosem. Niektórzy mieli podejrzliwe, inni lekceważące miny, jeszcze inni byli pijani.

- Ja również muszę odejść, generale Carpi - rzekł mężczyzna, który wyraźnie wyróżniał się na tle swoich surowych, naznaczonych bliznami, brudnych towarzyszy.

Miał kręcone włosy i żadnej broni, blizny, pogardliwego spojrzenia ani nawet groźnej miny wojownika. Mimo to, Wierny odnosił się do niego z szacunkiem.

- Mistrzu Sulfurze! - Ujął jego dłoń w potężne łapy i ścisnął. - Dziękuję, że nas odwiedziłeś. Zawsze jesteś mile widziany.

- Och, ludzie kochają mnie, gdziekolwiek się pojawię. Łatwo jest być w dobrych stosunkach z człowiekiem, który dostarcza

pieniądze.

- Powiedz księciu Orso i swoim ludziom w banku, że nie muszą się niczym przejmować. Wszystkim się zajmujemy, tak jak ustaliliśmy, gdy tylko uporamy się z tym małym problemem.

- Życie uwielbia piętrzyć przed nami problemy, czyż nie? - Sulfur posłał Dreszczowi odprysk uśmiechu. Miał różnokolorowe oczy, jedno niebieskie, a drugie zielone. - Zatem udanych łowów. - Po czym wyszedł na światło świtu.

Wierny od razu dopadł do Dreszcza.

- Mówiłeś, że to godzina jazdy?

- Jeśli jesteś szybki jak na swój wiek.

- Hmm. Skąd wiesz, że ona nie zauważy, że się wymknąłeś?

- Śpi. Odurzyła się plewami. Codziennie pali coraz więcej tego gówna. Przez połowę czasu ślini się pod ich wpływem, a przez drugą połowę ślini się bez nich. Długo się nie obudzi.

- Jednak lepiej nie tracić czasu. Ta kobieta jest zdolna do niemiłych niespodzianek.

- To fakt. Poza tym czeka na posiłki. Czterdziestu ludzi od Rogonta ma do niej dołączyć jutro po południu. Mają zamiar was śledzić i zastawić pułapkę, kiedy skręcicie na południe.

- Nie ma to jak odwrócić niespodziankę, prawda? - Wierny się wyszczerzył. - Ty pojedziesz na przodzie.

- Za dziesiątą część nagrody mogę pojechać nawet w damskim siodle.

- Wystarczy na przodzie, obok mnie. Będziesz nas prowadził. My, uczciwi ludzie, musimy się trzymać razem.

- To prawda - odparł Dreszcz. - Niewątpliwie.

- W porządku. - Wierny klasnął i zatarł potężne dłonie. - Tylko się odleję i zakładam zbroję.

Król trucizn

- Szefie? - rozległ się wysoki głos Dzwonek. - Nie śpisz?

Morveer westchnął.

- Zaiste, miłosierny sen uwolnił mnie już ze swego miękkiego łona.... i wypuścił w lodowate objęcia nieczulego świata.

- Że co?

Machnął ręką z rozgoryczeniem.

- Nieważne. Moje słowa są jak ziarna padające... na skalisty grunt.

- Kazałeś się obudzić o świcie.

- Świt? Och, surowa to kochanka!

Odrzucił cienki koc i z trudem wstał z kłującej słomy, która stanowiła prawdziwie skromne posłanie dla człowieka o jego niezrównanych talentach, po czym rozprostował obolałe plecy i sztywno zgramolił się po drabinie na podłogę stodoły. Musiał przyznać, że jest za stary, a już na pewno ma zbyt wyrafinowany gust, by sypiać na sianie.

Dzionaek złożyła aparaturę pod osłoną ciemności i teraz, gdy pierwszy anemiczny blask świtu zaczynał drażnić wąskie okna, palniki już płonęły. Odczynniki wesoło kipiały, para beztrako się skraplała, destylaty radośnie kapały do menzurek. Morveer okrążył prowizoryczny stół, stukając knykciami w drewno, co wywoływało brzęczenie i dzwonięcie szkła. Wydawało się, że wszystko jest w najlepszym porządku. W końcu Dzionaek uczyła się fachu u prawdziwego mistrza, być może najwybitniejszego truciciela w całym Kręgu Świata, któż mógłby temu zaprzeczyć? Niestety, nawet widok dobrze wykonanego zadania nie mógł rozwiać ponurego nastroju Morveera.

Wydał policzki i westchnął ze znużeniem.

- Nikt mnie nie rozumie. Jestem skazany na niezrozumienie.

- Jesteś złożoną osobą - odparła Dzionek.

- Otóż to! Otóż to! Ty to dostrzegasz! - Być może tylko ona doceniała, że pod tą surową i idealną fasadą kryją się pokłady uczuć głębokie niczym górskie jeziora.

- Zaparzyłam herbatę. - Podała mu poobijany metalowy kubek, z którego wydobywały się kłęby pary.

Morveerowi nieprzyjemnie zaburczało w brzuchu.

- Nie. Oczywiście jestem ci wdzięczny za troskę, ale muszę odmówić. Mam dzisiaj rano problemy z trawieniem, potworne problemy.

- Czyżby nasz gurkijski gość cię zdenerwował?

- Absolutnie nie - skłamał, powstrzymując dreszcz na samo wspomnienie jej oczu jak noc. - Moja niestrawność to skutek trwałej różnicy poglądów z naszą pracodawczynią, niesławną Rzeźniczką z Caprile, zawsze przekorną Murcatto! Po prostu nie wiem, jak traktować tę kobietę! Jakkolwiek serdecznie bym się zachowywał, jakkolwiek czyste byłyby moje intencje, ona zawsze źle je odbiera!

- To prawda, jest nieco drażliwa.

- Moim zdaniem, to wykracza poza drażliwość, ona jest po prostu... ostra - zakończył nieudolnie.

- No cóż, zdrada, zrzucenie z góry, śmierć brata i tak dalej...

- To wymówki, a nie wyjaśnienia! Wszyscy doświadczyliśmy bolesnych niepowodzeń! Kusi mnie, żeby ją porzucić i poszukać nowego pracodawcy. - Nagle parsknął śmiechem. - Może księcia Orso!

Dzionek gwałtownie uniosła wzrok.

- Żartujesz.

Rzeczywiście, to miał być żart, ponieważ Castor Morveer nie należał do ludzi, którzy porzucają pracodawcę po zawarciu umowy. Należy przestrzegać pewnych zasad postępowania, zwłaszcza w jego branży. Bawiło go jednak dalsze rozważanie tego pomysłu, gdy wyliczał zalety na wyprostowanych palcach.

- To człowiek, którego z pewnością stać na moje usługi. Który niewątpliwie ich potrzebuje. Który udowodnił, że nie

powstrzymują go kłopotliwe skrupuły.

- Człowiek, któremu zdarzało się zrzucać pracowników ze szczytu góry.

Morveer zlekceważył tę uwagę.

- Nigdy nie należy być na tyle naiwnym, by ufać komuś, kto zatrudnia truciciela. Tak czy inaczej, to całkiem dobry pracodawca. Aż dziw bierze, że wcześniej o tym nie pomyślałem!

- Ale... zabiliśmy jego syna.

- E tam! Takie problemy łatwo wyjaśnić, gdy okazuje się, że dwoje ludzi potrzebuje nawzajem swojej pomocy. - Z nieobecną miną machnął ręką. - Wystarczy odrobina inwencji. Zawsze można znaleźć jakiegoś żalosnego kozła ofiarnego.

Dzioniczek powoli pokiwała głową, zaciskając usta.

- Kozła ofiarnego. No tak.

- Żalosnego. - Świat poradzi sobie bez okaleczonego Północnego. Albo bez szalonego skazańca czy irytującej oprawczynie. Ten pomysł zaczynał mu się coraz bardziej podobać. - Jednak na razie jesteśmy związani z Murcatto i jej próżną zemstą. Zemsta. Czyż istnieje jakiś bardziej bezcelowy, niszczycielski i niezadowolający motyw?

- Myślałam, że nie zwracamy uwagi na motywy - zauważyła Dzioniczek - tylko na pracę i honorarium.

- Zgadza się, moja droga, każdy motyw, który wymaga skorzystania z naszych usług, jest czysty. Jak zwykle trafiłaś w samo sedno problemu. Cóż bym bez ciebie począł? - Z uśmiechem okrążył aparaturę. - Jak przebiegają przygotowania?

- Wiem, co robić.

- To dobrze. To bardzo dobrze. Oczywiście, że wiesz. Uczyłaś się od mistrza.

Skłoniła głowę.

- I dokładnie zapamiętałam twoje lekcje.

- Niezwykle dokładnie. - Pochylił się i pstryknął palcem w skraplacz, patrząc, jak wyciąg z laryncji powoli skapuje do menzurki. - To niezwykle istotne, żeby być przygotowanym na

każdą ewentualność. Przede wszystkim ostrożność, zawsze...
ach! - Ze zmarszczonym czołem popatrzył na swoje przedramię,
na którym pojawiła się czerwona kropka, a następnie kropla
krwi. - Co...

Dzioniczek powoli się cofnęła. Na jej twarzy widniał wyraz
niezwykłego skupienia. W dłoni trzymała igłę.

- Ktoś, na kogo spadnie wina? - warknęła. - Mam być kozłem
ofiarnym? Pierdol się, draniu!

- No dalej, dalej, dalej. - Wierny znów sikał, stojąc tyłem do
Dreszcza przy swoim koniu i potrząsając kolanami. - Dalej,
dalej. Przekłęta starość mnie dopadła, ot co.

- Albo nasze ciemne sprawy - odparł Swolle.

- Bez wątpienia wykonałem wystarczająco dużo ciemnej
roboty, żeby na to zasłużyć. Czujesz, że chce ci się lać jak jeszcze
nigdy w życiu, ale kiedy wreszcie wyciągniesz fiuta, tkwisz tutaj
na zimnie przez... ach... ach... no, kurwa, nareszcie! - Odchylił
się do tyłu, pokazując łysy placek na głowie. Krótki szum
rozchlapywanej cieczy, potem kolejny. Po trzecim Carpi
potrząsnął ramionami, strzepując ostatnie krople, po czym
zaczął zapinać ubranie.

- To wszystko? - spytał Swolle.

- Co się tak interesujesz? - odburknął generał. - Chcesz
butelkować moje szczyny? Starość nie radość i tyle. - Pochylony
wspiął się na zbocze, przytrzymując jedną ręką ciężką
czerwoną pelerynę, by się nie ubłociła, po czym przykucnął
obok Dreszcza. - No dobrze. No dobrze. To tutaj?

- Właśnie tutaj.

Gospodarstwo stało na przeciwległym krańcu otwartej
przeźreni, pośrodku morza szarej pszenicy, pod szarym
niebem zasnutym obłokami, które rozmazał wodnisty świt.
Słabe światło migotało w wąskich oknach stodoły, ale poza tym
nie było widać oznak życia. Dreszcz powoli potarł palcami

dłonie. Jeszcze nigdy nikogo nie zdradził, przynajmniej nie w tak jednoznaczny sposób, więc czuł podenerwowanie.

- Wygląda spokojnie. - Wierny powoli przeciągnął dłonią po białym zarostcie. - Swolle, zejdź tam z tuzinem ludzi i dyskretnie zajdź ich z boku. Ukryjcie się za tamtą kępą drzew. Jeśli nas zauważą i rzucą się do ucieczki, będziecie mogli ich wykończyć.

- Tak jest, panie generale. Prosto i elegancko.

- Nie ma niczego gorszego niż zbyt wyszukany plan. Im więcej trzeba zapamiętać, tym więcej można spieprzyć. Chyba nie muszę ci mówić, że nie możesz tego spieprzyć, prawda, Swolle?

- Jasne, że nie, panie generale. Schować się między drzewami i zaatakować, jeśli zobaczą, że uciekają. Tak jak na Wysokim Brzegu.

- Tylko że tym razem Murcatto jest po przeciwnej stronie, zgadza się?

- Zgadza się. Pierdolona suka.

- No, no, trochę szacunku - zganił go Wierny. - Kiedy prowadziła was od zwycięstwa do zwycięstwa, chętnie jej przyklaskiwałeś, więc teraz też jej nie obrażaj. Szkoda, że to musi się tak skończyć, co nie znaczy, że nie możemy okazywać jej szacunku.

- Jasne. Przepraszam. - Swolle na chwilę zamilkł. - Ale czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy spróbowali zakraść się tam pieszo? Przecież nie wjedziemy konno do gospodarstwa, prawda?

Wierny posłał mu powłóczyście spojrzenie.

- Czyżby podczas mojej nieobecności wybrano nowego generała?

- Nie, oczywiście, że nie, ja tylko...

- Skradanie się nie jest w moim stylu, Swolle. Zresztą, biorąc pod uwagę to, jak często się myjesz, Murcatto pewnie wyczułaby cię z odległości stu kroków i zdążyła się przygotować. Nie, kurwa, pojedziemy tam konno i oszczędzimy moim kolanom wysiłku. Zawsze możemy zsiąść, kiedy już obejrzymy sobie okolicę. A jeśli ona szykuje dla nas jakieś

niespodzianki, to wolę być w siodle. - Zerknął surowo na Dreszcza. - Masz coś przeciwko, chłopcze?

- Skądże. - Z tego, co Dreszcz zdążył zauważyć, Wierny należał do ludzi, którzy dobrze się sprawdzają w roli zastępców, ale nie nadają się na przywódców. Twardziel pozbawiony wyobraźni. Wyglądało na to, że od lat kurczowo trzyma się jednej strategii, niezależnie od tego, jakie czeka go zadanie. Jednakże Dreszcz nie miał zamiaru mu tego mówić. Być może silni przywódcy lubią, gdy ktoś podsuwa im lepsze pomysły, ale słabi tego nienawidzą. - Czy mógłbym dostać z powrotem swój topór?

Wierny się wyszczerzył.

- Oczywiście. Kiedy tylko zobaczę trupa Murcatto. Chodźmy. - Gdy odwracał się w stronę wierzchowców, niemal przewrócił się o swoją pelerynę. Podciągnął ją ze złością i zarzucił sobie na ramię. - Ścierwo. Wiedziałem, że powinienem sprawić sobie krótszą.

Dreszcz po raz ostatni zerknął na gospodarstwo, po czym podążył za generałem, kręcąc głową. To prawda, że nie ma niczego gorszego niż zbyt wyszukany plan, ale niewiele lepszy jest brak planu.

Morveer zamrugał.

- Ależ... - Zbliżył się o krok do Dzionek. Kostka nie wytrzymała i osunął się na stół, przewracając naczynie, z którego wylała się spieniona ciecz. Jedną ręką chwycił się za gardło, czując, jak jego skóra płonie. Już wiedział, co zrobiła, i ta świadomość zmroziła mu krew w żyłach. Wiedział, jakie będą skutki. - Król... Trucizn...? - wycharczał.

- A cóżby innego? Przede wszystkim ostrożność, zawsze.

Skrzywił się pod wpływem lekkiego bólu wywołanego przez małe ukłucie na rękę oraz znacznie głębszej rany, którą zadała mu gorzka zdrada. Zakaszłał i upadł na kolana,

wyciągając w górę drżącą dłoń.

- Ależ...

Dziona odtrącała jego rękę czubkiem buta.

- Skazany na niezrozumienie? - Jej twarz wykrzywiła pogarda, a nawet nienawiść. Maską posłuszeństwa, podziwu, niewinności wreszcie opadła. - A co w tobie jest do rozumienia, ty nadęty pasożycie? Jesteś przejrzyisty jak serwetka!

To był najboleśniejszy cios: niewdzięczność, po tym wszystkim, co jej ofiarował! Dał jej wiedzę, pieniądze... nawet ojcowskie uczucia!

- Osobowość dziecka w ciele mordercy! Łobuz i tchórz w jednym. Castor Morveer, największy truciciel świata? Chyba największy nudziarz...

Skoczył do przodu z niezwykłą zwinnością, po drodze tnąc ją w kostkę skalpelem, przetoczył się pod stołem i wyłonił z drugiej strony, szczerząc się do niej zza skomplikowanej aparatury, migoczących płomieni palników, zniekształcających obraz ścianek powyginanych rurek, lśniących powierzchni szkła i metalu.

- Ha, ha! - Wykrzyknął, nagle pełen energii, a nie umierający.

- Ty chciałaś mnie otruć? Wielki Castor Morveer miałby zostać pokonany przez swoją asystentkę? Nic z tego!

Popatrzyła na swoją krwawiącą kostkę, po czym ponownie podniosła na niego wzrok, wytrzeszczając oczy.

- Nie ma żadnego Króla Trucizn, głupia! - zachichotał. - Nauczyłem cię procesu, w wyniku którego uzyskałaś płyn o zapachu, smaku i wyglądzie wody. I to była woda! Zupełnie nieszkodliwa! W odróżnieniu od substancji umieszczonej na ostrzu, którym cię skaleczyłem. Ona wystarczyłaby do zabicia tuzina koni.

Wślizgnął dłoń pod koszulę, zręcznymi palcami bezbłędnie wybrał właściwą fiolkę i uniósł ją do światła. Wewnątrz zaśnił przezroczysty płyn.

- Odtrutka. - Dziona skrzywiła się na jej widok. Udała, że rzuca się ku Morveerowi z jednej strony stołu, po czym ruszyła w drugą stronę, ale z trudem trzymała się na nogach, więc bez

trudu przed nią uciekł.

- Nie ma w tym godności, moja droga! Ganiamy się wkoło naszej aparatury w jakiejś styryjskiej stodole! Ani krztyny godności!

- Błagam! - syknęła. - Błagam. Ja.... ja...

- Nie ośmieszaj nas obojga! Już pokazałaś swoją prawdziwą naturę, ty... ty niewdzięczna harpio! Zrzuciłaś maskę, zdradliwa kukułko!

- Po prostu nie chciałam, żeby wina spadła na mnie! Murcatto powiedziała, że wcześniej czy później przejdiesz na stronę Orso! Że będziesz chciał mnie użyć jako kozła ofiarnego! Powiedziała...

- Murcatto? Słuchasz Murcatto zamiast mnie? Tej degeneratki, odurzonej plewami rzeźniczki? Rzeczywiście, godny pochwały wzór do naśladowania! Jestem imbecylem, że zaufałem wam obu! Wygląda na to, że jednak miałaś rację. Jestem jak dziecko. Pełen nieskazitelnej niewinności! Pełen niezasłużonej łaski! - Rzucił fiolkę Dzionek. - Niech nikt więcej nie mówi...

Dziewczyna zaczęła rozpaczliwie szukać fiolki w sianie.

- ...że nie jestem...

Znalazła ją i wyrwała korek.

- ...najbardziej hojnym, miłosiernym i pełnym przebaczenia...

Wyssała zawartość.

- ...trucicielem w całym Kręgu Świata.

Dzionek otarła usta i głęboko odetchnęła.

- Musimy... porozmawiać.

- Z pewnością. Ale nie potrwa to długo.

Zamrugła, a po jej twarzy przebiegł dziwny skurcz. Morveer wiedział, że tak się stanie. Zmarszczył nos, rzucając skalpel na stół.

- Na ostrzu nie było trucizny, ale właśnie wypięłaś całą fiolkę nierozcieńczonego kosaćca.

Źrenice Dzionek uciekły do góry, a jej skóra poróżowiała; dziewczyna przewróciła się i zaczęła rzucać na słomie, tocząc

pianę z ust.

Morveer pochylił się nad nią, szczerząc zęby, i dotknął zakrzywionym palcem własnej piersi.

- Chciałaś mnie zabić? Otruć? Castora Morveera?

Jej obcasy wystukiwały gwałtowny rytm na ubitej ziemi, wyrzucając w powietrze obłoczki siennego pyłu.

- To ja jestem jedynym Królem Trucizn, ty... ty... ty dziecinna idiotko!

Przestała się miotać i zaczęła drżeć z nienaturalnie wygiętymi plecami.

- Cóż za zuchwałość! Arogancja! Bezczelność! Cóż za....

Bezskutecznie szukał właściwego słowa, gdy nagle zdał sobie sprawę, że umarła. Zapadła cisza, zwłoki stopniowo nieruchomiały.

- Psiakrew! - warknął. - Psiakrew jej w dupę!

Satysfakcja z odniesionego zwycięstwa szybko topniała, jak niespodziewany śnieg w ciepły dzień, ustępując miejsca przytłaczającemu rozczarowaniu, bolesnemu poczuciu zdrady oraz niezadowoleniu z utraty asystentki oraz pracodawcy. Ostatnie słowa Dzionek nie pozostawiały wątpliwości, że winę ponosi Murcatto, która zaplanowała jego śmierć, mimo że bezinteresownie dla niej harował. Dlaczego nie przewidział takiego rozwoju wypadków? Jak mógł się tego nie spodziewać, po wszystkich niepowodzeniach, których doświadczył? Jest zbyt miękki, by żyć w tak surowym świecie i bezlitosnej epoce. Zbyt ufny i przyjacielski. Zawsze chce widzieć świat w różowych, życzliwych barwach i spodziewa się po ludziach tylko tego co najlepsze.

- Przejrzysty jak serwetka, tak? Psiakrew! Ty... gówniaro! - Z obrażoną miną zaczął kopać zwłoki Dzionek, wprawiając je w drżenie. - Nadęty?! - prawie wrzasnął. - Ja? Jestem... wcieleniem... kurwa... pokory!

Nagle zdał sobie sprawę, że człowiekowi o jego niezmiernej wrażliwości nie przystoi kopanie zwłok, zwłaszcza należących do kogoś, kogo traktował niemal jak rodziną córkę. Poczul przypływ łzawych wyrzutów sumienia.

- Przepraszam! Tak bardzo mi przykro. - Uklęknął obok niej, delikatnie odgarnął włosy i dotknął jej twarzy drżącymi palcami. Ta wizja niewinności nigdy więcej się nie uśmiechnie, nigdy więcej się nie odezwie. - Tak mi przykro, ale... ale dlaczego? Zawsze będę cię pamiętał, ale... och... fuj!

Poczuł ostrą woń moczu. Trup opróżnił pęcherz. Był to nieunikniony skutek zażycia potężnej dawki kosaćca, a człowiek o jego doświadczeniu powinien był to przewidzieć. Kałuża rozlała się po słomie i zmoczyła kolana jego spodni. Wstał, krzywiąc się z obrzydzeniem.

- Psiakrew! Psiakrew! - Chwycił jedną z menzurek i wściekle cisnął nią o ścianę, rozrzucając na wszystkie strony kawałki szkła. - Łobuz i tchórz w jednym?

Ponownie kopnął ciało Dzionek, uderzył się w palce i zaczął skakać po całej stodole.

- Murcatto! - Ta wiedźma podjudziła jego asystentkę do zdrady. Najlepszą i najbardziej lubianą asystentkę, jaką miał, odkąd był zmuszony przedwcześnie otruć Aloveo Cray w Ostenhormie. Wiedział, że powinien był zabić Murcatto w swoim sadzie, ale skala, waga i pozorna niewykonalność zadania, które mu zleciła, polectała jego próżność. - Niech szlag trafi moją próżność! Moją jedyną wadę!

Niestety, nie może się zemścić. Tak prymitywne i niecywilizowane zachowania nie są w stylu Morveera. Nie jest dzikusiem ani zwierzęciem jak Wąż Talinsu i jej podobni, ale wysublimowanym i kulturalnym dżentelmenem o najwyższych standardach etycznych. Teraz zapewne znajdzie się bez pracy, więc będzie musiał zawrzeć nowy korzystny kontrakt. Znaleźć solidnego pracodawcę i porządny zestaw dobrze umotywowanych morderstw, za które otrzyma uczciwą zapłatę.

A kto może mu zapłacić za zabicie Rzeźniczki z Caprile i jej barbarzyńskich kompanów? Nietrudno odpowiedzieć na to pytanie.

Staął przed oknem i zaczął ćwiczyć służalczy ukłon zakończony kręceniem młynka palcami.

- Wielki księżę Orso, to nie... niezrównany zaszczyt. -
Wyprostował się, marszcząc czoło. Na szczycie długiego
wzniesienia na tle szarego świtu ujrzał sylwetki tuzina
jeźdźców.

- Za honor, chwałę i, przede wszystkim, zysk!

Kapitanowie roześmiali się, gdy Wierny dobył szpady i uniósł
ją nad głowę.

- Ruszamy!

Luźna formacja jeźdźców przedarła się przez pszenicę, po
czym wyjechała na otwartą przestrzeń, zwiększając tempo do
kłusa.

Dreszcz im towarzyszył. Nie miał innego wyboru, skoro
Wierny jechał u jego boku. Pozostanie w tyle zostałoby uznane
za przejaw złych manier. Żałował, że nie trzyma w dłoni
swojego topora, ale nastawianie się na coś często przynosi
odwrotny skutek. Zresztą, gdy przyśpieszyli do galopu, uznał, że
woli obiema rękami trzymać wodze.

Pokonali już około stu kroków i nadal panował spokój.
Dreszcz spoglądał ze zmarszczonym czołem na gospodarstwo,
niską ścianę i stodołę, zbierając siły. Zaczynał odnosić wrażenie,
że to był zły pomysł. Już wcześniej dręczyły go wątpliwości, ale
gdy wcielił swój plan w życie, okazało się, że były uzasadnione.
Ziemia przemykała pod kopytami konia, siodło obijało obolałe
pośladki Dreszcza, pęd powietrza drażnił zmrużone oko i
łaskotał świeże rany po drugiej stronie twarzy, która dotkliwie
marzła bez bandaży. Wierny jechał po jego prawej stronie,
dumnie wyprostowany, z powiewającą peleryną i uniesionym
ostrzem, wołając: „Gotowi! Gotowi!”. Po jego lewej stronie linia
jeźdźców zmieniła kształt, pełne entuzjazmu twarze mężczyzn i
pyski koni ustawiły się w zakrzywionym rzędzie, włącznie
podskakiwały i opuszczały się pod różnymi kątami. Dreszcz
uwolnił stopy ze strzemion.

Nagle okiennice domu otworzyły się z hukiem i Dreszcz zobaczył w oknach Ospriańczyków. Pierwszy blask świtu odbił się od długiego rzędu stalowych hełmów, które wychyliły się zza ściany. Żołnierze celowali z kusz. Przychodzi taka chwila, gdy po prostu trzeba coś zrobić, srając na konsekwencje. Wciągnął do płuc potężny haust powietrza, wstrzymał oddech, po czym rzucił się w bok, spadając z siodła. Ponad tętent kopyt, szcęk metalu i szum wiatru wzbił się ostry okrzyk Monzy.

Dreszcz zderzył się z ziemią, aż zazgrzytały mu zęby. Przetoczył się kilka razy, stękając i nabierając w usta piachu. Świat zawirował: ciemne niebo, pryskająca ziemia, pędzące konie, padający ludzie. Wokół niego huczały kopyta, a błoto chlapało mu w oczy. Usłyszał krzyki, podźwignął się na kolana, ale wtedy runęły na niego czyjeś zwłoki i ponownie przewróciły go na plecy.

Morveer dotarł do podwójnych drzwi stodoły, uchylił jedno skrzydło i wystawił głowę. Zdążył zobaczyć, jak ospriańscy żołnierze wstają zza ściany na podwórzu i zasypują napastników śmiercionośnym gradem bełtów.

Na trawiastym otwartym terenie ludzie spadali z siodeł, a konie przewracały się, zrzucając jeźdźców. Ciało wbijały się w miękką ziemię z bezwładnie rozrzuconymi kończynami. Zwierzęta oraz ludzie ryczeli i wyli pod wpływem szoku i wściekłości, bólu i strachu. Na miejscu padło około tuzina jeźdźców, ale reszta bez śladu wahania zaszarżowała, unosząc lśniącą broń i wydając okrzyki bojowe, które dorównywały przedśmiertnym wrzaskom ich poległych towarzyszy.

Morveer jęknął, zatrzasnął drzwi i oparł się o nie plecami. Regularna bitwa. Wściekłość i chaos. Metalowe ostrza poruszające się z ogromną prędkością. Rozlana krew, roztrzaskane mózgi, porozrywane miękkie ciała z obrzydliwie obnażonymi wnętrznościami. Wyjątkowo mało cywilizowane

zachowania, zdecydowanie spoza jego dziedziny. Jego żołądek, który na szczęście wciąż znajdował się wewnątrz brzucha, zadrżał pod wpływem zwierzęcego przerażenia i obrzydzenia, a potem zacisnął się, gdy zalała go fala bardziej świadomego strachu. Jeśli Murcatto wygra, może zrealizować mordercze zamiary, które wobec niego żywi. W końcu nie zawahała się przed zaaranżowaniem śmierci jego niewinnej asystentki. Z kolei, jeśli wygra Tysiąc Ostrzy, Morveer zapewne zostanie uznany za współnika w zabójstwie księcia Ario. Tak czy inaczej, jego życie niewątpliwie dobiegnie bolesnego końca.

- Psiakrew!

Podwórze za drzwiami szybko upodobniło się do rzeźni, ale okna były zbyt wąskie, by się przez nie prześlizgnąć. Schować się na poddaszu? Nie, przecież nie ma pięciu lat. Położyć się obok biednej Dzionek i udawać trupa? Co takiego? Położyć się w kałuży moczu? Nigdy! Czym prędzej pobiegł na tył stodoły, gdzie zaczął rozpaczliwie obmacywać ścianę, szukając przejścia. Znalazł poluzowaną deskę i wymierzył jej kilka kopniaków.

- Pękaj, ty drewniana łajzo! Pękaj! Pękaj! Pękaj!

Odgłosy śmiertelnej walki na podwórzu stawały się coraz donośniejsze. Morveer podskoczył, gdy coś uderzyło w ścianę stodoły, strącając pył z krokwi. Ponownie odwrócił się w stronę desek, pojękując ze strachu i frustracji. Twarz szczypała go od potu. Kopnął jeszcze raz i drewno ustąpiło. Słabe światło dnia wślizgnęło się przez wąską szparę pomiędzy deskami o nierównych krawędziach. Morveer uklęknął bokiem i wcisnął głowę w szczelinę, kalecząc się o drzazgi. Zobaczył płaski teren, łąny pszenicy i kępę drzew w odległości około dwustu kroków. Bezpieczne schronienie. Przcisnął jedną rękę na zewnątrz, na próżno usiłując przytrzymać się zniszczonej ściany stodoły. Potem wysunął ramię, połowę klatki piersiowej i utknął na dobre.

Wykazał się nie lada optymizmem, myśląc, że da radę bez wysiłku przedostać się przez tę szparę. Dziesięć lat temu, gdy był smukły jak wierzbowy witek, mógłby prześlizgnąć się przez

dwukrotnie węższy otwór z elegancją tancerza. Jednakże od tamtej pory zjadł zbyt wiele ciastek, więc teraz było to niemożliwe i podejrzewał, że będzie go to kosztowało życie. Wił się i wiercił, czując, jak ostre kawałki drewna wbijają mu się w brzuch. Czy tak go znajdą? Czy o tym będą ze śmiechem opowiadać po latach? Czy tak będzie wyglądało jego dziedzictwo? Wielki Castor Morveer, śmierć bez twarzy, najstraszniejszy ze wszystkich trucicieli, wreszcie pochwycony, zakleszczony w szparze na tyłach stodoły podczas ucieczki?

- Przeklęte ciastka! - wrzasnął i ostatkiem sił wyrwał się z potrzasku, zgrzytając zębami, gdy podstępny gwóźdź rozdarł mu koszulę i zostawił długie bolesne skaleczenie na żebrach. - Psiakrew! Niech to szlag!

Przeciągnął za sobą obolałe nogi. Uwolniony z kurczowych objęć kiepskiej stolarki i najeżony drzazgami puścił się biegiem w stronę bezpiecznego schronienia, jakie zapewniały drzewa, potykając się o sięgające mu do pasa zboże, które chłostało go po nogach i przytrzymywało.

Postawił pięć chwiejnych kroków, po czym z wrzaskiem runął jak długi na wilgotne kłosa. Podniósł się, przeklinając pod nosem. Zaborcza pszenica zerwała mu z nogi jeden but.

- Przeklęta pszenica!

Właśnie miał zamiar rozejrzeć się za utraconą częścią garderoby, gdy usłyszał donośny łomot. Z niedowierzaniem i przerażeniem zobaczył, jak tuzin jeźdźców wypada spomiędzy drzew, w których stronę uciekał, i pędzi ku niemu w pełnym galopie z opuszczonymi włóczniami.

Pisnął z zapartym tchem, odwrócił się, poślizgnął na bosej stopie i zaczął kuśtykać z powrotem ku szczelinie, która tak go sponiewierała. Przełożył przez nią jedną nogę, po czym jęknął żałościwie pod wpływem przeszywającego bólu, gdy przypadkowo uderzył klejnotami o deskę. Czuł mrowienie na plecach, a tętent kopyt stawał się coraz głośniejszy. Jeźdźcy znajdowali się nie więcej niż pięćdziesiąt kroków za nim. Wytrzeszczone oczy ludzi i zwierząt, obnażone zęby, poranne słońce odbijające się od wojennej stali, pył wzbijający się spod

kopyt. Nie zdąży precyzyjnie przycisnąć swojego krwawiącego ciała przez tę wąską szparę. Czyżby miał zostać stratowany? Biedny, pokorny Castor Morveer, który pragnął jedynie...

Róg stodoły eksplodował w błysku jaskrawych płomieni. Nie towarzyszył temu żaden dźwięk poza trzaskiem i brzękiem pękającego drewna. W powietrzu nagle pojawiło się mnóstwo wirujących szczątków: kawałek płonącej belki, powyrywane deski, powyginane gwoździe, chmura ostrych drzazg i iskier. Podmuch przygiął do ziemi łąn zboża, wyrzucając w górę falę pyłu, łodyg, ziaren i rozpalonych popiołów. Na środku powalonej pszenicy nagle pojawiły się dwie beczki ustawione dokładnie na drodze szarżujących jeźdźców. Buchnął z nich ogień, a czarna spalenizna rozprzestrzeniła się po ich bokach.

Beczka po prawej stronie wybuchła z osłepiającym błyskiem, druga zrobiła to samo zaraz po niej. W niebo wyleciały dwie potężne fontanny ziemi. Wierzchowiec jadący na czele, który został między nimi uwięziony, zatrzymał się, znieruchomiał, obrócił, po czym rozpadł razem z jeźdźcem. Większość pozostałych koni została pochłonięta przez rozszerzającą się chmurę pyłu i zapewne posiekana na drobne kawałki.

Podmuch przycisnął Morveera do ściany stodoły, szarpiąc go za podartą koszulę i włosy, drażniąc mu oczy. Po chwili do jego uszu dotarł huk podwójnej detonacji, sprawiając, że zagrzechotały mu zęby. Dwa konie biegnące na krańcach szeregu pozostały w jednym kawałku, bezwładnie wyrzucone w powietrze jak zabawki wściekłego dziecka. Jeden z wierzchowców został wywrócony na lewą stronę i runął na pole w pobliżu drzew, zza których się wyłonił, pozostawiając krwawe ślady w zbożu.

Grudy ziemi zagrzechotały o ścianę z desek. Kurz zaczął opadać. Wilgotna pszenica płonęła słabym ogniem na obrzeżach strefy wybuchu, śląc w górę smugi gryzącego dymu. Zwęglone drzazgi, poczerniałe plewy oraz tłące się kawałki ludzi i zwierząt spadały z nieba. Niesiony wiatrem popiół miękko osiadał na ziemi.

Morveer wciąż stał zaklinowany w ścianie stodoły,

przepełniony lodowatym zdumieniem. To pewnie był gurkijski ogień albo coś mroczniejszego, bardziej... magicznego? Kiedy wreszcie się uwolnił i zanurkował w zbożu, zza rogu dymiącej stodoły wyłoniła się jakaś postać.

Gurkijka Ishri. Jej jedną rękę oraz rąbek brązowego płaszcza trawił ogień. Nagle zauważyła, że płomienie sięgają do jej twarzy, i nieśpiesznie zrzuciła płonący strój. Pozostała w samych bandażach, które zakrywały ją od szyi aż do palców nóg, nienaruszona przez ogień i nieskazitelna jak dawna pustynna królowa, którą zabalsamowano i przygotowano do pochówku. Popatrzyła w stronę drzew, uśmiechnęła się i powoli pokręciła głową.

Odezwała się radośnie po kantycku. Morveer nie znał dobrze tego języka, ale zrozumiał, że powiedziała coś w rodzaju: „Wciąż nieźle sobie radzisz, Ishri”. Omiotła czarnymi oczami fragment pola, na którym ukrywał się Morveer, a truciciel szybko przypadł do ziemi. Następnie odwróciła się i zniknęła za strzaskanym rogiem stodoły. Zachichotała pod nosem.

- Wciąż nieźle sobie radzisz.

Morveer czuł tylko wszechogarniające - ale jego zdaniem całkowicie uzasadnione - pragnienie ucieczki. Zaczął się czołgać przez zalane krwią zboże w stronę drzew, cał po bolesnym calu. Przez całą drogę powietrze boleśnie świstało mu w płonących płucach, a przerażenie dobierało się do tyłka.

Nie gorszy

Monza gwałtownie cofnęła szpadę, a mężczyzna wydał z siebie świszczące stęknienie i skrzywił się zszokowany, chwytając się za niewielką ranę na piersi. Zrobił chwiejny krok do przodu, z trudem unosząc krótkie ostrze, jakby ważyło tyle co kowadło. Monza odsunęła się w lewo, po czym wbiła szpadę w bok mężczyzny, tuż pod żebrami, a stopa zużytej stali wyłoniła się spod jego nabijanego ćwiekami skórzanego kaftana. Odwrócił w jej stronę różową, drżącą twarz, wyciągając szyję pokrytą napęczniałymi żyłami. Kiedy wyrwała szpadę, upadł, jakby tylko ona go podtrzymywała. Jego oczy zwróciły się w kierunku Monzy.

- Powiedz mojej... - szepnął.

- Co?

- Powiedz... jej... - Próbował jeszcze wstać z drewnianej podłogi, unosząc głowę z jednej strony pokrytą pyłem, ale po chwili zakrztusił się czarnymi wymiocinami i znieruchomiał.

Nagle Monza go sobie przypomniała. Miał na imię Baro albo Paro, w każdym razie z „o” na końcu. Krewny starego Swolle. Towarzyszył im pod Musselią, po oblężeniu i splądrowaniu miasta. Śmiał się z jakiegoś żartu Benny. Pamiętała, ponieważ to nie była właściwa pora na żarty, gdyż właśnie zamordowali Hermona i zagarnęli jego złoto. W każdym razie jej wtedy nie było do śmiechu.

- Varo? - mruknęła, próbując sobie przypomnieć, co to był za żart.

Usłyszała skrzypnięcie deski, w ostatniej chwili dostrzegła ruch i przypadła do ziemi. Jej głowa odskoczyła, gdy uderzyła twarzą o podłogę. Wstała, ale wtedy pokój się zakołysał, a ona

wpadła na ścianę, przebijając szybę łokciem i omal nie wypadając przez okno. Z zewnątrz dobiegał ryk, brzęk i trzask zbrojnej potyczki.

Zamroczone, zobaczyła, że coś się do niej zbliża, więc zatoczyła się w bok. Jakiś obiekt uderzył w ścianę i zasypał jej twarz drzazgami. Wrzasnęła, tracąc równowagę, po czym spróbowała uderzyć szpadą czarny kształt, ale okazało się, że ma pustą dłoń. Upuściła broń. Przy oknie zamajaczyła czyjaś twarz.

- Benna? - Z ust pociekła jej krew.

Nie było czasu na żarty. Coś uderzyło ją w plecy, odbierając jej oddech. Zobaczyła matowy metaliczny błysk buzdycanu i wykrzywioną twarz mężczyzny. Nagle wokół jego szyi okręcił się łańcuch, który poderwał go do góry. Pokój powoli przestawał się kołysać, krew szumiała w uszach. Monza spróbowała stanąć, ale przewróciła się na plecy.

Vitari trzymała mężczyznę za szyję i razem miotali się po ciemnym pomieszczeniu. Uderzał ją łokciem, a drugą ręką mocował się z łańcuchem, ale mocno go zaciskała. Jej wściekłe oczy zmieniły się w dwie szparki. Monza z trudem wstała i zatoczyła się w ich stronę. Mężczyzna sięgnął do paska po nóż, ale Monza go uprzedziła. Przygwoździła jego wolną dłoń lewą ręką, prawą wyciągnęła jego ostrze i zaczęła go dźgać.

- Ach, ach, ach.

Chlup, szur, łup, pokrzykiwanie i plucie w twarz, jej rozdzierający jęk, jego piskliwe stękanie oraz niskie warczenie Vitari spletały się, tworząc donośny zwierzęcy hałas. Podobne dźwięki wydawaliby z siebie, gdyby się pieprzyli, a nie próbowali pozabijać. Szur, łup, chlup.

- Ach, och, ach.

- Wystarczy! - syknęła Vitari. - Już po nim!

- Ach.

Upuściła nóż na podłogę. Jej ręka pod płaszczem była lepka i wilgotna aż po łokieć, a dłoń w rękawiczce zacisnęła się w piekący pazur. Odwróciła się w stronę wyjścia, mrużąc szczypiące oczy pod wpływem jasnego światła, przeszła

niezdarnie nad trupem ospriańskiego żołnierza, a następnie przez połamane drewniane drzwi.

Jakiś mężczyzna o policzku zalanym krwią spróbował ją chwycić, upadając i rozmazując krew na jej płaszczu. Powalony najemnik usiłował wstać, ale dostał cios w plecy i zwałił się na twarz. Ospriański żołnierz, który przebił go włócznią, został trafiony w głowę końskim kopytem i padł na bok jak ścięte drzewo, gubiąc hełm. Wszędzie wokół kłębili się ludzie i wierzchowce - śmiercionośna burza łomoczących butów, kopyt, brzęczącego metalu, świszczącej broni i latającego piachu.

Niecałe dziesięć kroków od niej, po drugiej stronie masy wijących się ciał, Wierny Carpi siedział na potężnym bojowym rumaku, rycząc jak szaleniec. Niewiele się zmienił. Łysina, gęste białe wąsy i otaczający je biały zarost. Miał na sobie błyszczący napierśnik i długą czerwoną pelerynę, która bardziej pasowała do księcia niż najemnika. Z ramienia sterczał mu bełt, prawa ręka zwisała bezwładnie, a drugą wznosił ostrze nakierowane na dom.

Dziwne, ale gdy Monza po raz pierwszy go ujrzała, poczuła przypływ ciepłych uczuć. Radosny impuls, który nam towarzyszy, gdy w tłumie dostrzeżemy twarz przyjaciela. Wierny Carpi, który w jej imieniu dowodził pięcioma szarżami. Który walczył dla niej niezależnie od okoliczności i nigdy jej nie zawiódł. Wierny Carpi, któremu była gotowa powierzyć życie. Tylko po to, by sprzedał je za stare krzesło Coski. Jej życie i życie jej brata.

Ciepłe uczucia nie utrzymały się długo. Razem z nimi zniknęły zawroty głowy, pozostawiając solidną porcję gniewu palącego jej wnętrza oraz kłujący ból z boku głowy, gdzie monety utrzymywały jej czaszkę w całości, Najemnicy potrafią być zajadłymi wojownikami, gdy nie mają wyboru, ale wolą plądrować niż walczyć, więc pierwsza salwa zadała im duże straty, a nieoczekiwane pojawienie się żołnierzy nimi wstrząsnęło. Z przodu czekały włócznie, wrogowie czaili się w budynkach, łucznicy stali w oknach i na płaskim dachu stajni, swobodnie strzelając w dół. Jeden z jeźdźców wrzasnął, gdy

został ściągnięty z siodła; włócznia wypadła mu z ręki i z trzaskiem spadła u stóp Monzy.

Dwóch jego kamratów zawróciło, rzucając się do ucieczki. Jeden zdołał wyjechać na otwarty teren. Drugi spadł z wyciem z konia, przebity szpadą, zaczepił się stopą o strzemię i zaczął tańczyć do góry nogami, gdy jego wierzchowiec miotał się wokoło. Wierny Carpi nie był tchórzem, ale nie da się przetrwać trzydziestu lat w fachu najemnika, jeśli się nie wie, kiedy należy uciec. Obrócił konia, ciął jednego z ospriańskich żołnierzy w głowę, powalając go w błoto z rozłupaną czaszką, po czym zniknął za domem.

Monza chwyciła leżącą włócznię dłonią w rękawiczce, drugą ręką złapała uzdę wolnego konia i podciągnęła się na siodło. Nagła gorzka potrzeba zabicia Carpiego przywróciła odrobinę dawnej sprężystości jej ołowianym nogom. Zawróciła w stronę muru, spięła wierzchowca ostrogami i zmusiła go do skoku, a stojący jej na drodze ospriański żołnierz opuścił kuszę i uskoczył z krzykiem. Wylądowała po drugiej stronie, podskakując w siodle i niemal dźgając się ostrzem w twarz, po czym wpadła w pszenicę. Kłosa chłostały skradzionego wierzchowca po nogach, gdy z trudem wspinał się po długim zboczu. Monza przełożyła włócznię do lewej dłoni, prawą chwyciła wodze, pochyliła się i zaczęła wybijać obcasami poszarpany rytm. Zobaczyła, że Carpi zatrzymał się na szczycie wzniesienia, czarna sylwetka na tle jasnego wschodniego nieba, po czym zawrócił konia i szybko odjechał.

Wypadła z pszenicy na pole usiane kolczastymi krzewami, pędząc pełnym galopem w dół pochyłości, rozrzucając na boki grudy błota. Niedaleko przed nią koń Carpiego przeskoczył żywopłot, zahaczając kopytami o liście. Wylądował niepewnie, tak że Wierny zachwiał się w siodle. Monza lepiej wybrała miejsce skoku i łatwo pokonała przeszkodę, stale zmniejszając dystans. Cały czas patrzyła przed siebie. Nie myślała o szybkości, niebezpieczeństwie ani bólu dłoni. Skupiała się tylko na Wiernym Carpim i jego wierzchowcu, a także przytłaczającej chęci przeszycia któregoś z nich włócznią.

Pędzili przez jałowe pole, miażdżąc kopytami gęste błoto, kierując się ku zagłębieniu w ziemi, które przypominało koryto strumienia. Obok stał bielony wapnem budynek lśniący w porannym słońcu. Monza miała wrażenie, że to młyn, chociaż otaczający ją świat podskakiwał, trząsał się i rozmazywał. Pochyliła się nad szyją konia, mocno ściskając drzewce włóczni, którą trzymała pod pachą, a pęd powietrza drażnił jej zmrużone oczy. Koniecznie chciała zbliżyć się do Wiernego Carpiego. Koniecznie chciała zbliżyć się do zemsty. Wyglądało na to, że jego koń doznał jakiegoś urazu podczas nieudanego skoku, ponieważ szybko go doganiała.

Dzieliły ich zaledwie trzy długości, po chwili tylko dwie. Drobiniki błota spod kopyt rumaka Carpiego uderzały Monzę w twarz. Wyprostowała się w siodle, odchyliła rękę z włócznią, słońce zaśniło na grocie. Dostrzegła znajomą twarz Wiernego, gdy obejrzał się przez ramię. Jedną siwą brew zalepiła krew, która ściekała strumieniami po zarośniętym policzku z rozcięcia na czole. Usłyszała jak warknął, mocno spinając konia ostrogami, ale ciężkie zwierzę bardziej się nadawało do szarży niż do ucieczki. Podskakujący łeb wierzchowca Monzy coraz bardziej zbliżał się do powiewającego ogona konia Carpiego. Brązowa ziemia rozmazywała się w wielkim pędzie.

Monza wbiła z wrzaskiem ostrze włóczni w zad konia. Zwierzę wzdrygnęło się i wykręciło, wymachując łbem, wściekle łypiąc jednym okiem, szczerząc zęby i tocząc pianę z pyska. Wierny podskoczył w siodle, a jego stopa wypadła ze strzemienia. Rumak jeszcze przez chwilę biegł zamroczony, ale po chwili ugięła się pod nim zraniona noga i upadł, machając kopytami i chlapiąc błotem. Monza usłyszała piskliwy krzyk Carpiego, a następnie łomot, gdy koń potoczył się po błotnistym polu.

Szarpnęła wodze prawą ręką i wyhamowała wierzchowca, który zaczął parskać i machać łbem, roztrzęsiony po ostrym biegu. Zobaczyła, jak Carpi chwiejnie wstaje z ziemi, zaplątany w długą czerwoną pelerynę, cały zbryzgany i usmarowany błotem. Była zaskoczona tym, że przeżył, ale zadowolona.

Gobba, Mauthis, Ario, Ganmark, wszyscy odegrali jakąś rolę w tym, co Orso zrobił jej i jej bratu, i słono za to zapłacili. Jednak żaden z nich nie był jej przyjacielem. Tymczasem Wierny walczył u jej boku. Jadł z nią przy jednym stole. Pił z jej manierki. Uśmiechał się do niej, a potem, gdy było mu to na rękę, wbił Monzie nóż w plecy i zajął jej miejsce.

Chciała, by to trwało dłużej.

Carpi zrobił chwiejny krok. Miał szeroko rozdziawione usta, wytrzeszczone oczy i zakrwawioną twarz. Zobaczył Monzę, a ona się wyszczerzyła, uniosła włócznię nad głowę, po czym wydała triumfalny okrzyk, niczym myśliwy, który dostrzega lisa na otwartej przestrzeni. Zaczął kuśtykać wzdłuż krawędzi pola, przyciskając zranioną rękę do piersi. Złamane drzewce bektu sterczało mu z ramienia.

Z szerokim uśmiechem podjechała bliżej, słysząc jego świszczący oddech, gdy bezsensownie wlekł się w stronę strumienia. Widok tego zdradzieckiego drania pełzającego, by ocalić życie, napełnił ją radością, jakiej nie czuła od dawna. Carpi lewą ręką dobył szpady, używając jej jak kuli, gdy rozpaczliwie parł naprzód.

- Nie jest łatwo przestawić się na używanie drugiej ręki! - zawołała. - Wiem coś o tym! Ale ty nie masz, kurwa, tyle czasu, Carpi!

Był już blisko strumienia, ale wiedział, że Monza dopadnie go, nim dotrze do celu.

Odwrócił się, niezdarnie unosząc ostrze. Monza szarpnęła wodze i skierowała wierzchowca w bok, tak że Carpi ciął jedynie powietrze. Stała w strzemionach i uderzyła w dół włócznią. Trafiała go w ramię, zdzierając z niego zbroję, rozdzierając pelerynę i powalając go na kolana. Szpada Wiernego utknęła w ziemi. Próbował wstać, jęcząc, a krew ściekała mu po napierśniku. Monza wyjęła jedną stopę ze strzemienia, podjechała bliżej i kopnęła go w twarz. Głowa Carpiego odskoczyła z trzaskiem i stoczył się do strumienia.

Wbiła włócznię w ziemię, przerzuciła nogę nad siodłem i ześlizgnęła się z konia. Przez chwilę stała, patrząc, jak Carpi się

miota, potrząsając zeszywniałymi nogami. Potem chwyciła włócznię, powoli odetchnęła i zaczęła schodzić ze zbocza nad brzeg wody.

W dole strumienia stał młyn, którego koło klekotało, powoli się obracając. Wzdłuż drugiego brzegu wznosił się szorstki kamienny mur porośnięty mchem. Carpi rozpaczliwie wodził po nim rękami, przeklinając, usiłując wciągnąć się na brzeg. Jednak obciążony zbroją i nasiąkniętą peleryną, z bełtem w jednym ramieniu i raną od włóczni na drugim nie miał żadnych szans. Brnął wzdłuż muru po pas w wodzie, a wyszczerzona Monza podążała za nim drugim brzegiem z opuszczoną włócznią.

- Nie poddajesz się, Carpi, muszę ci to przyznać. Nikt nie może cię nazwać tchórzem. Jedyne idiotą. Głupi Carpi. - Zmusiła się do śmiechu. - Nie wierzę, że się na to nabrałeś. Przez tyle lat wykonywałeś moje rozkazy, powinienesz znać mnie lepiej. Myślałeś, że będę siedziała beczynnie, płacząc nad swoim losem?

Cofnął się, wpatrując się w czubek jej włóczni i ciężko dysząc.

- Ten pierdolony Północny mnie okłamał.

- Wygląda na to, że nikomu nie można dziś zaufać, co? Trzeba było wbić mi nóż w serce, a nie w brzuch.

- Serce? - parsknął. - Ty go nie masz!

Rzucił się w jej stronę ze sztyletem w dłoni, wyrzucając w powietrze fontannę lśniących kropel. Uderzyła włócznią i poczuła, jak drzewce drży w jej prawej dłoni, gdy trafiła go w biodro. Obrócił się i runął do tyłu. Ponownie wstał, warcząc przez zaciśnięte zęby.

- Przynajmniej jestem lepszy od ciebie, podła morderczyni!

- Skoro jesteś lepszy, to dlaczego siedzisz w strumieniu, a ja trzymam włócznię, skurwielu? - Powoli zakręciła lśniącym wilgotnym grotem. - Nie poddajesz się, Carpi, muszę ci to przyznać. Nikt nie może cię nazwać tchórzem. Tylko pieprzonym kłamcą. Zdrajca Carpi.

- Ja zdrajcą? - Brnął wzdłuż muru w stronę powoli

klekoczącego młyńskiego koła. - Ja? Po tych wszystkich latach, gdy trwałem u twojego boku? Chciałem być lojalny wobec Coski! I byłem lojalny. W końcu nazywam się Wierny! - Uderzył zakrwawioną dłonią w mokry napierśnik. - Właśnie taki jestem. Taki byłem. A ty mnie z tego okradłaś! Ty i twój pierdolony brat!

- Nie zrzuciłam Coski ze szczytu góry, draniu!

- Myślisz, że chciałem to zrobić? Myślisz, że pragnąłem tego, co się stało? - Łzy zalśniły w oczach starego najemnika, gdy z trudem się od niej odsuwał. - Nie jestem urodzonym przywódcą! Przyszedł do mnie Ario i powiedział, że Orso przestał ci ufać! Że musisz odejść! Że jesteś przeszłością, a ja przyszłością, i reszta kapitanów już się zgodziła. Więc wybrałem najłatwiejsze wyjście. Jaki miałem wybór?

Monza straciła dobry humor. Przypomniała sobie wizytę uśmiechniętego Orso w jej namiocie. „Cosca to przeszłość, a ja postanowiłem, że do ciebie będzie należała przyszłość”. I uśmiechniętego Benne. „Tak będzie lepiej. Zasługujesz na to, by dowodzić”. Pamiętała, jak wybrała najłatwiejsze wyjście. Jaki miała wybór?

- Mogłeś mnie ostrzec, dać mi szansę...

- Tak jak ty ostrzegłaś Coscę? Jak ostrzegłaś mnie? Pierdol się, Murcatto! Wskazałaś drogę, a ja nią podążyłem, to wszystko! Zasiałaś krwawe nasiona, więc zebrałaś krwawe żniwo, a siałaś w całej Styrii! Sama sobie na to zasłużyłaś! Sama zrobiłaś to swojemu... Ach! - Wygiął się do tyłu, chwytając się za gardło.

Jego elegancka peleryna zaplątała się w tryby młyńskiego koła. Czerwony materiał coraz bardziej się napinał, przyciągając Carpiego do powoli obracającego się drewna.

- Kurwa... - Zranioną ręką zaczął szarpać omszałe łopatki i zardzewiałe sworznie potężnego koła, ale nie mógł go zatrzymać.

Monza patrzyła na to z rozchylonymi ustami, nic nie mówiąc, trzymając opuszczoną włócznię w bezwładnej dłoni. Koło wciągało Carpiego w głąb czarnej wody, która kipiała i bulgotała wokół jego piersi, ramion, szyi.

Popatrzył na nią wytrzeszczonymi oczami.

- Nie jestem gorszy od ciebie, Murcatto! Zrobiłem to, co musiałem! - Walczył, żeby utrzymać usta nad spienioną wodą. - Nie jestem... gorszy... niż...

Jego twarz zniknęła.

Wierny Carpi, który w jej imieniu dowodził pięcioma szarżami. Który walczył dla niej niezależnie od okoliczności i nigdy jej nie zawiódł. Wierny Carpi, któremu była gotowa powierzyć życie.

Monza wskoczyła do strumienia, lodowata woda obmyła jej nogi. Chwyciła zaciskającą się kurczowo dłoń Wiernego, poczuła, że złapał ją za palce. Zaczęła ciągnąć z zaciśniętymi zębami, warcząc z wysiłku. Uniosła włócznię i z całej siły wbiła ją między tryby koła. Poczuła, że drzewce się zaklinowało. Dłonią w rękawiczce chwyciła go pod pachą, zanurzając się po szyję w rwącej wodzie, walcząc o to, by go wyciągnąć, napinając każdy obolały mięsień. Poczuła, że Carpi powoli się wynurza, z piany wyłoniło się najpierw jego przedramię, potem łokieć i ramię. Próbowiła złapać za sprzączkę jego peleryny, ale miała zbyt zmarznięte, zdrętwiałe i poobijane palce. Drzewce włóczni pękło z trzaskiem. Koło znów zaczęło się obracać, powoli, powoli, przy wtórze metalicznego pisku i chrzęstu kół zębatych, wciągając Wiernego z powrotem pod powierzchnię.

Strumień płynął dalej. Dłoń Carpiego sflaczała i było po wszystkim.

Pięciu zabitych, zostało dwóch.

Puściła go, ciężko dysząc. Patrzyła, jak jego blade palce ześlizgują się pod wodę, po czym wygramoliła się na brzeg, do cna przemoczona. Całkowicie opadła z sił, ból przeszywał jej nogi, prawa ręka pulsowała aż do ramienia, rana na boku głowy kłuła, krew huczała w głowie. Zdołała jedynie wsunąć jedną stopę w strzemień i podciągnąć się na siodło.

Obejrzała się, poczuła ucisk w żołądku, pochyliła się i plunęła piekącymi wymiocinami w błoto. Koło wciągnęło Wiernego pod wodę, a po chwili wywlekło go na powierzchnię z drugiej strony, z dyndającymi kończynami, kołyszącą się głową,

szeroko otwartymi oczami, wywieszonym językiem i szyją oplątaną wodorostami. Powoli, powoli uniosło go jak straconego zdrajcę, którego pokazuje się jako przykład dla tłumu.

Otarła usta grzbietem dłoni, przesunęła językiem po zębach i spróbowała pozbyć się gorzkiego smaku razem ze śliną, zmagając się z zawrotami obolałej głowy. Zapewne powinna go odciąć, zapewnić mu odrobinę godności. W końcu był jej przyjacielem, czyż nie? Może nie był bohaterem, ale któż nim był? Człowiek, który chciał pozostać lojalny w zdradzieckim fachu, w zdradzieckim świecie. Człowiek, który chciał pozostać lojalny i odkrył, że to wyszło z mody. Powinna przynajmniej wyciągnąć go na brzeg, gdzie mógłby leżeć nieruchomo. Ale zamiast tego zawróciła konia w stronę gospodarstwa.

Godność na niewiele się zdaje żyjącym, a co dopiero zmarłym. Przyjechała tutaj, żeby zabić Wiernego i Wierny zginął.

Nie było sensu nad tym rozpaczać.

Żniwa

Dreszcz siedział na schodach domu, przycinając odstającą skórę na mocno poobcieranym przedramieniu i patrzył, jak jakiś mężczyzna płacze nad zwłokami. Przyjaciel. Może nawet brat. Nie starał się tego ukryć - klęczał przygarbiony, a łzy skapywały mu z podbródka. Z pewnością był to wzruszający widok, jeśli ktoś był wrażliwy na takie rzeczy.

A Dreszcz zawsze był. W dzieciństwie brat nazywał go słoniną, ponieważ był tak miękki. Płakał na grobach brata i ojca. Płakał, kiedy jego przyjaciel Dobban został przeбитy włócznią i dwa dni zbierał się do ziemi. Płakał w nocy po walce pod Dunbrece, gdy pochował połowę swojej drużyny razem z Trójdrzewcem. Po bitwie na Wysokich Szczytach udał się w ustronne miejsce i wypłakał okazałą słoną kałużę. Chociaż wtedy chyba po prostu czuł ulgę, że walka się skończyła, a nie smutek z powodu śmierci swoich ludzi.

Pamiętał, że wtedy płakał, i wiedział dlaczego, ale za nic w świecie nie potrafił sobie przypomnieć, jakie to było uczucie. Zastanawiał się, czy na świecie pozostał ktokolwiek, po kim mógłby uronić łzę, a odpowiedź niezbyt mu się podobała.

Pociągnął łyk kwaśnej wody z manierki, patrząc, jak dwóch ospriańskich żołnierzy ogląda zwłoki. Jeden przewrócił trupa, któremu wnętrzości wyslizgnęły się z rozciętego boku, zdjął mu but, po czym wyrzucił go, gdy zobaczył dziurę w podeszwie. Dreszcz przyjrzał się kolejnej parze. Mieli podwinięte rękawy, a jeden trzymał na ramieniu łopatę. Spierali się, w którym miejscu powinni zacząć kopać. Patrzył na muchy unoszące się w gęstym powietrzu, zbierające się wokół otwartych ust, oczu i ran. Patrzył na poszarpane mięso i połamane kości, odcięte

kończyny i rozlane wnętrzności, krew w postaci lepkich strumieni, wysychających plam i rozbryzgów oraz czarnoczerwonych kałuż na kamiennym podwórzu. Nie czuł ani zadowolenia z dobrze wykonanego zadania, ani obrzydzenia, wyrzutów sumienia czy smutku. Tylko pieczenie obtartej skóry, nieprzyjemną lepkość gorącego powietrza, zmęczenie w posiniaczonych członkach i lekki głód, bo nie zjadł śniadania.

Z domu, w którym opatrywali rannych, dobiegał krzyk jakiegoś mężczyzny. Szorstki i bulgoczący. Na szczęście, na okapie stajni wesoło świergotał ptaszek i Dreszcz stwierdził, że potrafi skupić się na tym jednym dźwięku i zignorować pozostałe. Uśmiechnął się, wyprostował nogi i kiwał głową w rytm śpiewu ptaka, oparty o futrynę. Wyglądało na to, że z czasem człowiek może się do wszystkiego przyzwyczaić. Nie miał zamiaru pozwolić, by czyjeś wrzaski przegoniły go z idealnego miejsca na progu.

Obejrzał się, słysząc odgłos kopyt. Monza powoli zjeżdżała ze zbocza, czarna sylwetka na tle jaskrawobłękitnego nieba. Patrzył, jak zatrzymuje ubrudzonego pianą wierzchowca na podwórzu i z powagą przygląda się ciałom. Miała przemoczone ubranie, jakby wpadła do strumienia, włosy z jednej strony pozlepiane od krwi i jeden blady policzek pokryty czerwonymi zaschniętymi smugami.

- Witaj, szefowo. Miło cię widzieć. - To powinna być prawda, ale i tak jego słowa zabrzmiały jak kłamstwo. On sam niczego nie czuł. - Wierny nie żyje?

- Nie żyje. - Sztywno ześlizgnęła się na ziemię. - Miałeś jakieś trudności z doprowadzeniem go tutaj?

- Prawie żadnych. Chciał zabrać więcej przyjaciół niż planowaliśmy, ale nie mogłem się zdobyć na to, żeby im odmówić. Wiesz, jak to jest, kiedy ludzie dowiadują się o przyjęciu. Aż się rwali, żeby jechać, biedni dranie. Zabiłaś go bez problemu?

Pokręciła głową.

- Utonął.

- Naprawdę? Myślałem, że raczej go przebijesz. - Podał jej

szpadę od Calveza.

- Trochę go skaleczyłam. - Przez chwilę patrzyła na ostrze, po czym schowała je do pochwy. - Potem pozwoliłam mu się utopić.

Dreszcz wzruszył ramionami.

- Twoja sprawa. Utopienie też jest skuteczne.

- Było skuteczne.

- No to pięciu z siedmiu.

- Pięciu z siedmiu. - Jednak nie miała ochoty świętować. Wcale nie była weselsza od mężczyzny płaczącego nad swoim martwym przyjacielem. Dla nikogo nie była to radosna okoliczność, nawet dla zwycięzców. Taka już jest zemsta.

- Kto tak wrzeszczy?

- Ktoś. Nikt. - Dreszcz wzruszył ramionami. - Zamiast tego posłuchaj ptaka.

- Co?

- Murcatto! - Vitari stanęła z założonymi rękami w otwartych drzwiach stodoły. - Powinnaś coś zobaczyć.

W środku było chłodno i ciemno, światło słońca wpadało przez nierówną dziurę w kącie i wąskie okna, rysując jasne paski na pociemniałej słomie. Jeden z nich padał na zwłoki Dzionek. Splątane żółte włosy zakrywały twarz, ciało było dziwnie wygięte. Żadnej krwi. Żadnych śladów przemocy.

- Trucizna - mruknęła Monza.

Vitari pokiwała głową.

- Cóż za ironia.

Na stole obok ciała piętrzył się piekielny chaos miedzianych prętów, szklanych rurek i butelek o dziwnych kształtach. Pod spodem migotały żółte płomienie dwóch lamp, a w naczyniach bulgotały, ściekały i kapały nieznanne płyny. Sprzęt trucicielki spодobał się Dreszczowi jeszcze mniej niż widok jej trupa. Na zwłokach przynajmniej się znał, nauka pozostawała dla niego niewiadomą.

- Pierdolona nauka - mruknął. - Jeszcze gorsza od magii.

- Gdzie Morveer? - spytała Monza.

- Zniknął bez śladu. - Cała trójka przez chwilę uważnie się

sobie przypatrywała.

- Nie ma go pośród zabitych?

Dreszcz pokręcił głową.

- Żałuję, ale go tam nie widziałem.

Monza cofnęła się ze zmartwioną miną.

- Lepiej niczego nie dotykać.

- Tak myślisz? - warknęła Vitari. - Co się stało?

- Wygląda na różnicę zdań między mistrzem a uczennicą.

- Poważną różnicę zdań - bąknął Dreszcz.

Vitari pokręciła najeżoną głową.

- Mam dosyć. Dla mnie to już koniec.

- Co takiego? - zdziwiła się Monza.

- Wycofuj się. W tym fachu trzeba wiedzieć, kiedy dać sobie spokój. To już jest wojna, a ja nie chcę się w nią angażować. Zbyt trudno przewidzieć wynik. - Wskazała głową podwórze, gdzie w blasku słońca układano sterty trupów. - Już w Visserine posunęliśmy się o krok za daleko, a tutaj było jeszcze gorzej. Poza tym nie mam zamiaru narażać się Morveerowi. Nie chcę do końca życia oglądać się przez ramię.

- I tak będziesz się oglądać z powodu Orso - odparła Monza.

- Wiedziałam o tym, kiedy przyjąłem tę robotę. Potrzebowałam pieniędzy. - Vitari wyciągnęła otwartą dłoń. - Skoro już o tym mowa...

Monza spojrzała ze zmarszczonym czołem na jej dłoń, a następnie popatrzyła jej w oczy.

- Towarzyszyłeś nam tylko do połowy drogi, więc dostaniesz połowę tego, co ustaliłyśmy.

- Tak będzie uczciwie. Wolę dostać połowę i żyć niż zabrać całą sumę do grobu.

- Wolałabym cię zatrzymać przy sobie. Jesteś mi potrzebna. Poza tym nie będziesz bezpieczna, dopóki Orso żyje...

- Więc lepiej się postarajcie i zabijcie drania. Ale beze mnie.

- Twój wybór. - Monza wyjęła spod płaszcza płaską skórzaną sakiewkę lekko poplamioną wodą. Rozwinęła ją i wysunęła ze środka kawałek papieru, zamoczony na jednym rogu, pokryty eleganckim pismem. - Ponad połowa tego, na co się

umówiliśmy. Dokładnie pięć tysięcy dwieście dwanaście szalek.

Dreszcz zmarszczył brwi. Wciąż nie rozumiał, jak można zmienić taką górę srebra w skrawek papieru.

- Pierdolona bankowość - mruknął. - Jeszcze gorsza od nauki.

Vitari zabrała kwit z dłoni Monzy i pobieżnie mu się przyjrzała.

- Valint i Balk? - Zmrużyła oczy jeszcze bardziej niż zwykle, co stanowiło nie lada osiągnięcie. - Lepiej, żeby miał pokrycie. W przeciwnym razie nie będzie takiego miejsca w Kręgu Świata, gdzie będziesz mogła się ukryć przed...

- Ma pokrycie. Jedyne, czego nie potrzebuję, to nowi wrogowie.

- Więc rozstańmy się jak przyjaciele. - Vitari złożyła papier i schowała go pod koszulę. - Może kiedyś znów będziemy razem pracować.

Monza popatrzyła jej prosto w oczy, jak miała w zwyczaju.

- Będę odliczała minuty.

Vitari cofnęła się o kilka kroków, po czym odwróciła w stronę rozświetlonego słońcem kwadratu drzwi.

- Wpadłem do rzeki! - zawołał za nią Dreszcz.

- Co?

- Kiedy byłem młody. Podczas mojego pierwszego najazdu. Upiłem się, poszedłem się odlać i wpadłem do rzeki. Prąd ściągnął mi spodnie i wyrzucił mnie na brzeg pół mili dalej. Kiedy wróciłem do obozu, byłem siny z zimna i tak bardzo drżałem, że prawie odpadły mi palce.

- No i co?

- Dlatego nazwali mnie Dreszczem. Pytałaś o to w Sipani. - Wyszczerył się wesoło. Wyglądało na to, że obecnie potrafi się z tego śmiać.

Vitari przez chwilę stała nieruchomo, smukła czarna sylwetka na tle drzwi, po czym wyslizgnęła się na zewnątrz.

- No, szefowo, chyba zostaliśmy tylko ty i ja...

- Jeszcze ja!

Dreszcz obrócił się gwałtownie, sięgając po topór. Monza

przykucnęła, do połowy wyciągając szpadę. Oboje wbili wzrok w ciemność. Ponad krawędzią stryżku na siano pojawiła się uśmiechnięta twarz Ishri.

- Życzę miłego popołudnia moim bohaterom.

Zsunęła się po drabinie głową do przodu, tak gładko, jakby jej obandażowane ciało było pozbawione kości. Stała na nogach - bez płaszcza wyglądała niewiarygodnie chudo - po czym nieśpiesznie podeszła do trupa Dzionek.

- Jeden z waszych zabójców zabił drugiego. Tacy już są zabójcy.

Popatrzyła na Dreszcza oczami czarnymi jak węgiel, a on mocniej zacisnął rękę na trzonku topora.

- Pierdolona magia - mruknął. - Jeszcze gorsza niż bankowość.

Podkradła się do niego ze swoimi białymi zębami i nienasyconym uśmiechem, dotknęła jednym palcem topora i popchnęła go w dół.

- Czy mam rozumieć, że zamordowałaś swojego starego przyjaciela Carpiego dla własnej satysfakcji?

Monza wsunęła szpadę z powrotem do pochwy.

- Wierny nie żyje, jeśli o to ci, kurwa, chodzi.

- Dziwnie okazujesz radość. - Uniosła długie ręce pod sufit. - Dokonałaś zemsty! Chwała niech będzie Bogu!

- Orso wciąż żyje.

- A, tak. - Ishri otworzyła oczy tak szeroko, że Dreszcz zastanawiał się, czy nie wypadną. - Uśmiechniesz się dopiero, gdy on umrze.

- Co cię obchodzi, czy się uśmiechnę?

- Ależ wcale mnie to nie obchodzi. Jednak wy, Styryjczycy, macie w zwyczaju poprzestawać na przechwałkach, dlatego cieszę się, że znalazłam choć jedną osobę, która potrafi dopełnić dzieła. - Przesunęła palcami po blacie, po czym swobodnym ruchem zgasiła płomienie palników dłonią. - A skoro o tym mowa, to powiedziałaś naszemu wspólnemu przyjacielowi księciu Rogontowi, że możesz przeciągnąć Tysiąc Ostrzy na jego stronę, czyż nie?

- Jeśli dostanę złoto od Imperatora...

- Sprawdź w swojej kieszeni.

Monza zmarszczyła brwi, po czym wyjęła coś z kieszeni koszuli i uniosła do światła. Duża moneta z czerwonego złota, mająca w sobie ciepło, które sprawia, że ma się ochotę dotykać złota.

- Bardzo ładna, ale potrzeba będzie więcej niż jednej.

- Pojawi się więcej. Słyszałam, że w Gurkhulu nawet góry są zbudowane ze złota. - Popatrzyła na zwęglone obrzeża dziury w kącie stodoły, po czym mlasnęła językiem. - Wciąż nieźle sobie radzę.

Prześlizgnęła się przez szczelinę jak lis przeciskający się przez ogrodzenie i zniknęła.

Dreszcz chwilę odczekał, po czym nachylił się do Monzy.

- Nie potrafię tego nazwać, ale jest w niej coś dziwnego.

- Nie ma co, znasz się na ludziach. - Odwróciła się bez uśmiechu i wyszła ze stodoły w ślad za Vitari.

Dreszcz stał jeszcze przez chwilę, patrząc ze zmarszczonym czołem na ciało Dzionek, poruszając twarzą, czując, jak blizny po lewej stronie napinają się, przesuwają, swędzą. Cosca nie żyje, Dzionek nie żyje, Vitari odeszła, Przyjazny odszedł, Morveer uciekł i najwyraźniej zwrócił się przeciwko nim. To już koniec wesołej kompanii. Powinien z nostalgią wspominać dawnych przyjaciół, z którymi łączyły go braterskie więzi i wspólna idea, nawet jeśli była nią tylko walka o przeżycie. Wilczarz, Harding Ponurak i Tul Duru, nawet Czarny Dow, to wszystko byli ludzie z zasadami. Ale teraz rozplynęli się w przeszłości, pozostawiając go samego. Tutaj, w Styrii, gdzie nikt nie miał zasad.

Mimo wszystko jego prawe oko było równie dalekie od płaczu jak lewe.

Podrapał bliznę na policzku. Delikatnie, samymi opuszkami palców. Skrzywił się i podrapał mocniej. Potem jeszcze mocniej. W końcu przestał, sycząc przez zęby. Teraz swędziało bardziej niż kiedykolwiek, a dodatkowo bolało. Musi znaleźć jakiś sposób na pozbycie się tego swędzenia bez pogarszania

sytuacji.

Taka już jest zemsta.

Stary nowy generał

Monza widziała niezliczone rany najbardziej zadziwiających rodzajów. Zadawanie ich stanowiło jej pracę. Miała do czynienia z ciałami uszkodzonymi w każdy możliwy sposób. Z ludźmi zmiażdżonymi, pociętymi, przebitymi, spalonymi, powieszonymi, obdartymi ze skóry, wypatroszonymi, nadzianymi na rogi. Ale Caul Dreszcz nosił chyba najgorszą bliznę, jaką widziała na twarzy żyjącego człowieka.

Zaczynała się jako różowy ślad w kącie ust, następnie zmieniała w nierówną bruzdę grubości palca biegnącą pod kością policzkową, potem rozszerzała i przekształcała w strumień plamistego, roztopionego mięsa płynący w stronę oka. Wściekle czerwone linie i plamy rozchodziły się po policzku, sięgając nosa. Czoło przecinał gruby ukośny ślad przesłaniający połowę brwi. No i wreszcie samo oko. Było większe od drugiego. Zniknęły rzęsy, powieki uschły, a dolna bezwładnie obwisła. Kiedy mrugał prawym okiem, lewe tylko drżało i pozostawało otwarte. Jakiś czas temu kichnął, i wtedy skurczyło się jak przełykająca gardziel, a martwa szklista źrenica nadal wpatrywała się w Monzę przez różowy otwór. Musiała się postarać, żeby nie zwymiotować, a jednocześnie uległa chorej fascynacji i od tamtej pory cały czas czekała, aż zdarzy się to ponownie. Czuła się z tym podle, chociaż wiedziała, że Dreszcz nie widzi, że go obserwuje.

Powinna czuć się winna. W końcu to ona do tego doprowadziła. Powinna mu współczuć. Przecież sama też nosiła paskudne blizny. Jednakże potrafiła czuć tylko obrzydzenie. Żałowała, że na początku podróży nie ustawiła się po jego drugiej stronie, lecz teraz było już za późno. Żałowała, że zdjął

bandaże, ale już nie mogła mu kazać ponownie ich założyć. Przekonywała siebie, że rana może się wygoić.

Niestety, wiedziała, że nie będzie wyglądała dużo lepiej.

Dreszcz nagle się obejrzał i Monza zrozumiała, dlaczego wpatrywał się w swoje siodło. Jego prawe oko było skierowane w jej stronę. Lewe, skryte między bliznami, wciąż patrzyło w dół. Proteza musiała się przesunąć, a niedopasowane oczy sprawiały, że Dreszcz wyglądał na zagubionego.

- Co jest?

- Twoje, eee... - Wskazała na swoją twarz. - Trochę się... przesunęło.

- Znowu? Co za gównu. - Wsadził sobie kciuk w oczodół i poprawił oko. - Lepiej? - Teraz proteza patrzyła do przodu, a prawdziwe oko wciąż spoglądało na Monzę. Wyglądało to jeszcze gorzej niż poprzednio.

- O wiele - odpowiedziała, ze wszystkich sił starając się uśmiechnąć.

Dreszcz parsknął coś w mowie Północy.

- Niezwykły efekt, tak mówił? Jeśli jeszcze kiedyś znajdę się w Puranti, odwiedzę tego drania od sztucznych oczu...

Zza zakrętu wyłoniła się pierwsza straż najemników - chaotyczna zbieranina podejrzanych typów w niedopasowanych zbrojach. Monza знаła z widzenia ich przywódcę. Swego czasu zadbała o to, by poznać każdego weterana Tysiąca Ostrzy oraz jego specjalność. Ten stary wilk miał na imię Secco i przez sześć albo więcej lat służył jako kapral.

Skierował w jej stronę grot włóczni, a jego ludzie poprawili w rękach kusze, szpady i topory.

- Kto idzie?

Zwolniła do spacerowego tempa i zdjęła kaptur.

- A jak myślisz, Secco?

Słowa zamarły mu na ustach i opuścił włócznie, a Monza go ominęła, wjeżdżając do obozu, w którym mężczyźni oddawali się porannym rytuałom, jedli śniadanie i przygotowywali się do wymarszu. Kilku zerknęło na przybyszy jadących szlakiem, a

raczej szerokim pasem błota między namiotami. Kilku nie spuszczało z nich wzroku. Kilku kolejnych ruszyło za nimi w pewnej odległości.

- To ona.

- Murcatto.

- Żyje?

Jechała między nimi jak za dawnych lat, z wyprostowanymi ramionami, uniesioną brodą, kpiącym wyrazem twarzy, nawet na nich nie spoglądając. Jakby nic dla niej nie znaczyli. Jakby była kimś lepszym. Jednak cały czas modliła się w duchu, by nie domyślili się tego, na co jak dotąd nie wpadli, a czego zawsze śmiertelnie się obawiała.

Że tak naprawdę nie ma zielonego pojęcia, co robi, a cios nożem może ją uśmiercić tak samo jak każdego.

Na szczęście, żaden z nich się do niej nie odzywał, a tym bardziej nie próbował jej zatrzymać. Najemnicy to przeważnie wyjątkowi tchórze. Ludzie, którzy zabijają, ponieważ jest to dla nich najłatwiejszy sposób zarabiania na życie. Z definicji nie są wobec nikogo lojalni. Ani wobec swoich przywódców, ani, tym bardziej, wobec pracodawców.

Właśnie na to liczyła.

Namiot generała stał na wzniesieniu na dużej polanie. Z najwyższego masztu wznoszącego się ponad chaosem niedokładnie ufarbowanych płócien bezwładnie zwisał czerwony proporzec. Monza spięła konia ostrogami, rozpędzając na boki kilku mężczyzn, starając się nie okazywać nerwowości, która ją trawiła. I tak podejmowała olbrzymie ryzyko. Gdyby okazała chociaż odrobinę strachu, byłoby po niej.

Zeskoczyła z konia i swobodnie zarzuciła wodze na cienki pień. Ominęła kozę, którą ktoś do niego przywiązał, po czym podeszła do kłapy namiotu. Nocau, gurkijski wyrzutek, który sprawował dzienną straż przed generalskim namiotem jeszcze za czasów Sazine'a, wbił w nią wzrok, ale nie dobył bułatu.

- Możesz się zamknąć, Nocau. - Nachyliła się i zatrzasnęła mu rozdziawione usta palcem okrytym rękawiczką. - Chyba nie

chciałbyś, żeby jakiś ptak zbudował ci tam gniazdo, co? - Po czym wślizgnęła się do namiotu.

Ten sam stół, chociaż leżące na nim mapy przedstawiały inne tereny. Te same sztandary wiszące wokół namiotu, niektóre dodane przez nią, zdobyte pod Słodkimi Sosnami i na Wysokim Brzegu, w Musselii i Caprile. No i oczywiście to samo krzesło, które Sazine podobno ukradł z jadalni księcia Cesale w dniu, w którym utworzył Tysiąc Ostrzy. Stało puste na dwóch skrzyniach, czekając na tyłek nowego generała. Na jej tyłek, jeśli los się do niej uśmiechnie.

A musiała przyznać, że rzadko się to zdarzało.

Trzej najwyżsi rangą kapitanowie stali obok prowizorycznego podestu i coś do siebie szeptali. Sesaria, Vietus, Andiche. Ta sama trójka, którą Benna przekonał, by pomogła jej zająć miejsce Coski. Ta sama trójka, która przekonała Wiernego Carpiego, by ją zdradził. Trójka, którą teraz musi przekonać, by przywróciła ją na stanowisko. Mężczyźni unieśli wzrok, zobaczyli ją i się wyprostowali.

- No, no - mruknął Sesaria.

- No, no, no - szepnął Andiche. - Toż to Wąż Talinsu.

- Rzeźniczka z Caprile we własnej osobie - jęknął Vietus. - Gdzie Wierny?

Popatrzyła mu w oczy.

- Nie przyjdzie. Potrzebujecie nowego generała.

Wymienili spojrzenia, a Andiche głośno zassał poźółkłe zęby.

Monza zawsze uznawała ten nawyk za odrażający. Podobnie jak wiele innych rzeczy w tym rzadkowłosym szcurze.

- Tak się składa, że doszliśmy do tego samego wniosku.

- Wierny był dobrym człowiekiem - zagrział Sesaria.

- Za dobrym do tej roboty - dodał Vietus.

- Porządny generał powinien być wrednym gnojem.

Monza pokazała zęby.

- Myślę, że każdy z was spełnia te kryteria. Trudno o większych gnoi w całej Styrii. - Wcale nie żartowała. Wolałaby zamordować ich trzech zamiast Wiernego. - A tacy gnoje nie

potrafią pracować dla siebie nawzajem.

- To prawda - kwaśno zauważył Vietus.

Sesaria odchylił głowę i popatrzył na Monzę wzdłuż płaskiego nosa.

- Potrzebujemy kogoś nowego.

- Albo kogoś starego - odparła Monza.

Andiche wyszczerzył się do swoich dwóch towarzyszy.

- Tak się składa, że doszliśmy do tego samego wniosku - powtórzył.

- To dobrze. - Szło jej lepiej niż się spodziewała. Przez osiem lat dowodziła Tysiącem Ostrzy i wiedziała, jak dotrzeć do takich ludzi. Poprzez chciwość. - Nie mam w zwyczaju pozwalać, by drobne nieporozumienia przeszkadzały mi w zdobywaniu dużych pieniędzy, i wiem, że wy myślicie podobnie. - Uniosła do światła złoto otrzymane od Ishri, gurkijską monetę o dwóch awersach z Imperatorem po jednej i Prorokiem po drugiej stronie. Rzuciła ją Andiche'owi. - Pojawi się ich znacznie więcej, jeśli przyłączycie się do Rogonta.

Sesaria popatrzył na nią spod gęstych siwych brwi.

- Mielibyśmy walczyć dla Rogonta przeciwko Orso?

- Przebić się przez całą Styrię? - Łańcuchy wokół szyi Vietusa zagrzechotały, gdy potrząsnął głową. - Wrócić tą samą drogą, którą z takim trudem pokonaliśmy w ciągu ostatnich ośmiu lat?

Andiche oderwał wzrok od monety i nadał dziobate policzki.

- Zapowiada się sporo walki.

- Wychodziliście z gorszych tarapatów, gdy wami dowodziłam.

- To prawda. - Sesaria wskazał podarte sztandary. - Pod twoim dowództwem zdobyliśmy prawdziwą chwałę.

- Tylko że trudno nią płacić w burdelu. - Ten cwaniak Vietus się uśmiechał, czego nie miał w zwyczaju. W ich wesołości było coś dziwnego i kpiącego.

- Posłuchaj. - Andiche oparł jedną dłoń na poręczu generalskiego krzesła, a drugą wytarł siedzenie. - Nie wątpimy, że jeśli chodzi o walkę, jesteś najlepszym generałem, jakiego można sobie wymarzyć.

- Więc w czym problem?

Twarz Vietusa wykrzywił wściekły grymas.

- My nie chcemy walczyć! Chcemy... być... kurwa... bogaci!

- A kto wam dał więcej pieniędzy ode mnie?

- Ehm - odezwał się ktoś prosto do jej ucha.

Monza gwałtownie się obróciła i zamarła z ręką zawieszoną w połowie drogi do rękoności szpady. Tuż za nią stał Nicomo Cosca i uśmiechał się z zakłopotaniem.

Zgolił wąsy i włosy, pozostawiając tylko czarno-szarą szczecinę na nierównej czaszce oraz kanciastej szczęce. Wysypka na jego szyi zbladła do bladoróżowej plamy. Oczy były mniej zapadnięte, a twarz już nie drżała i nie pokrywały jej kropelki potu. Jednak jego uśmiech się nie zmienił. Delikatny uśmiech i figlarny błysk w ciemnych oczach. Taki sam, jak podczas ich pierwszego spotkania.

- Miło widzieć was oboje w dobrym zdrowiu.

- Eee - stęknął Dreszcz.

Monza tylko odchrząknęła.

- Ja czuję się wprost wybornie, jestem wzruszony waszą troską.

Cosca przeszedł obok nich, klepiąc zaskoczonego Dreszcza po plecach, a kolejni kapitanowie Tysiąca Ostrzy zaczęli wpychać się do namiotu i ustawiać wzdłuż ścian. Ludzie, których nazwiska, twarze oraz umiejętności lub ich brak Monza doskonale знаła. Jako ostatni wszedł przysadzisty zgarbiony mężczyzna ubrany w znoszony płaszcz i niemal pozbawiony szyi. Gdy ich mijają, uniósł gęste brwi.

- Przyjazny? - syknęła Monza. - Myślałam, że wróciłeś do Talinsu!

Wzruszył ramionami, jakby chodziło o drobiazg.

- Nie dotarłem do celu.

- Właśnie, kurwa, widzę!

Cosca stanął na skrzyniach i odwrócił się z zadowoloną miną w stronę zgromadzonych. Skądś zdobył efektowny czarny napierśnik ze złotymi spiralnymi ornamentami, szpadę o złoczonej rękoności i eleganckie czarne buty ze lśniącoymi

sprzączkami. Usiadł na generalskim krześle z namaszczeniem, z jakim Imperator zasiada na tronie, a Przyjazny stanął obok skrzyń ze skrzyżowanymi rękami. Gdy Cosca dotknął pośladkami drewna, w namiocie rozległy się grzeczne owacje, a każdy z kapitanów zaczął uderzać palcami o dłoń, delikatnie jak damy w teatrze. Tak samo powitali Monzę, gdy ukradła to stanowisko. Gdyby nie czuła się tak podle, mogłaby się roześmiać.

Cosca machnął dłonią, uciszając oklaski, ale zarazem do nich zachęcając.

- Naprawdę... nie zasłużyłem. Ale dobrze jest wrócić.

- Jak, do diabła...

- Przeżyłem? Okazało się, że rana nie była tak śmiertelna, jak wszyscy przypuszczaliśmy. Dzięki mundurowi Talińczycy wzięli mnie za jednego ze swoich i zanieśli prosto do znakomitego chirurga, któremu udało się zatamować krwotok. Spędziłem dwa tygodnie w łóżku, po czym uciekłem przez okno. Skontaktowałem się ze swoim starym przyjacielem Andiche'em w Puranti, podejrzewając, że może mieć ochotę na zmianę przywódcy. Tak właśnie było i dotyczyło to wszystkich jego szlachetnych towarzyszy. - Wskazał kapitanów rozproszonych po namiocie, a potem siebie. - I oto jestem.

Monza gwałtownie zamknęła usta. Nie mogła tego przewidzieć. Nicomo Cosca, wcielenie nieprzewidywalności. Jednakże plan, który jest zbyt kruchy, by go nagiąć do zmieniających się okoliczności, jest gorszy niż brak planu.

- Zatem gratuluję, generale Cosca - wykrztusiła. - Ale moja propozycja nadal pozostaje aktualna. Gurkijskie złoto w zamian za służbę księciu Rogontowi...

- Ach. - Cosca się skrzywił, wciągając powietrze przez zęby. - Niestety, tutaj pojawia się mały problem. Już podpisałem nowe porozumienie z wielkim księciem Orso. A raczej z jego dziedzicem, księciem Foscarem. Obiecujący młodzieniec. Rozpoczniemy kampanię przeciwko Osprii, tak jak zaplanował Wierny Carpi przed swoim przedwczesnym zgonem. - Cosca dźgnął powietrze palcem. - Skończyć z Ligą Ośmiu! Zaatakować

Króla Zwłoki! W Osprii jest mnóstwo do splądrowania. To był dobry plan. - Rozległy się pomruki poparcia ze strony kapitanów. - Po co wymyślać inny?

- Przecież ty nienawidzisz Orso!

- Och, nie znoszę go z całego serca, to dobrze znany fakt, ale nie mam nic przeciwko jego pieniądzom. Powinnaś wiedzieć, o czym mówię. Nie najgorzej ci płacił.

- Ty stara cipo - rzuciła Monza.

- Naprawdę nie powinnaś tak do mnie mówić. - Cosca wyduł usta. - Jestem dojrzałym czterdziestoosmiolatkiem. Poza tym oddałem za ciebie życie!

- Przecież, kurwa, nie umarłeś! - warknęła.

- Cóż. Pogłoski o mojej śmierci często bywają przesadzone. To tylko pobożne życzenia moich licznych wrogów.

- Zaczynam rozumieć, jak się czują.

- Ależ daj spokój, co ty sobie myślałaś? Szlachetna śmierć? Ja? To wyjątkowo nie w moim stylu. Mam zamiar umrzeć bez butów, z butelką w ręku i kobietą na fiucie. - Uniósł brwi. - Nie po to tutaj przyszłaś, prawda?

Monza zazgrzytała zębami.

- Jeśli chodzi o pieniądze...

- Orso ma pełne wsparcie domu bankierskiego Valint i Balk, a nigdzie nie znajdziesz ludzi o głębszych kieszeniach. Płaci dobrze, nawet lepiej niż dobrze. Ale wcale nie chodzi o pieniądze. Podpisałem umowę. Dałem słowo.

Zmierzyła go wzrokiem.

- Twoje słowo zawsze gównu cię obchodziło.

- Zmieniłem się. - Cosca wyjął piersiówkę z tylnej kieszeni, odkręcił ją i pociągnął długi łyk, ani na chwilę nie odrywając rozbawionego spojrzenia od jej twarzy. - I muszę przyznać, że zawdzięczam to wszystko tobie. Zapomniałem o przeszłości. Odnalazłem swoje zasady. - Wyszczrzył się do swoich kapitanów, a oni odpowiedzieli w taki sam sposób. - Były trochę przykurzone, ale da się je wypolerować. Zbudowałaś dobre relacje z Orso, oparte na lojalności, uczciwości, stabilności. Nie chciałbym wyrzucać owoców twojego trudu do latryny. Poza

tym, trzeba pamiętać o pierwszej żołnierskiej zasadzie, prawda, chłopcy?

- Nigdy nie walcz po przegranej stronie! - zawołali Vietus i Andiche jednym głosem, jak mieli w zwyczaju, zanim Monza zasiadła na generalskim krześle.

Cosca wyszczerzył się jeszcze szerzej.

- Orso prowadzi grę. Jeśli zdobędziesz dobre karty, chętnie cię wysłucham. Ale na razie pozostaniemy z księciem.

- Jak pan rozkaże, generale - rzekł Andiche.

- Jak pan rozkaże - powtórzył Vietus. - Dobrze, że pan wrócił.

Sesaria nachylił się i wyszeptał coś do ucha Coski. Nowy generał wzdrygnął się, jakby coś go użądliło.

- Oddać ich w ręce księcia Orso? Wykluczone! Dziś jest szczęśliwy dzień! Radosna okazja dla wszystkich! To nie miejsce i czas na zabijanie. - Machnął ręką w stronę Monzy, jakby wypędzał kota z kuchni. - Możecie odejść. Ale jutro lepiej nie wracajcie. Wtedy możemy nie być tak weseli.

Monza zbliżyła się do Coski, mając na końcu języka przekleństwo. Rozległ się szcęk metalu, gdy kapitanowie zaczęli dobywać broni. Przyjazny stanął jej na drodze, opuszczając ręce i zwracając ku niej twarz pozbawioną wyrazu. Stała bez ruchu.

- Muszę zabić Orso!

- A jeśli ci się uda, twój brat ożyje, czy tak? - Cosca przekrzywił głowę. - Odzyskasz dłoń, prawda?

Czuła na całym ciele lodowate dreszcze.

- On na to zasłużył!

- Tak jak my wszyscy. I wszystkich nas kiedyś to czeka. A tymczasem, kogo jeszcze chcesz wciągnąć w swój wir rzezi?

- To dla Benny...

- Nie. To dla ciebie. Nie zapominaj, że cię znam. Byłem na twoim miejscu: pokonany, zdradzony, upokorzony, i przez to przeszedłem. Dopóki masz kogoś do zabicia, jesteś wielką i przerażającą Monzcarro Murcatto! Ale kim będziesz bez tego? - Cosca się skrzywił. - Samotną kaleką o krwawej przeszłości.

Słowa uwięzły jej w gardle.

- Błagam cię, Cosca, musisz...

- Niczego nie muszę. Jesteśmy kwita, pamiętasz? Nawet więcej niż kwita. Zejdź mi z oczu, zmij, zanim odeślę cię w słoiku z powrotem do księcia Orso. Szukasz pracy, Północny?

Dreszcz zerknął zdrowym okiem na Monzę i przez chwilę była pewna, że się zgodzi. Ale powoli pokręcił głową.

- Zostanę ze swoją szefową.

- Lojalność, co? - parsknął Cosca. - Ostrożnie z tymi bzdurami, możesz przez nie zginąć!

W namiocie rozległy się śmiechy.

- W Tysiącu Ostrzy nie ma miejsca na lojalność, prawda, chłopcy? Tutaj poradzimy sobie bez tej dziecinady!

Znów śmiech i co najmniej dwadzieścia uśmiechów wymierzonych w Monzę.

Zakręciło się jej w głowie. W namiocie było zarazem za jasno i za ciemno. Poczowała nieprzyjemny zapach - spoconych ciał, mocnych napitków, złego jedzenia albo zbyt blisko położonej latryny - i żołądek podszedł jej do gardła, a do ust napłynęła ślina. Zapalić, błagam, muszę zapalić. Niepewnie odwróciła się na pięcie, po czym przecisnęła się między dwójką chichoczących mężczyzn i wyszła z namiotu na jasny blask poranka.

Na dworze było znacznie gorzej. Raziło ją światło słońca. Tuziny twarzy zlewały się w jedną masę wpatrujących się w nią oczu. Sąd złożony z szumowin. Próbowwała patrzeć przed siebie, ale nie mogła powstrzymać mrugania. Próbowwała iść jak za dawnych lat, z odchyłoną głową, ale kolana tak mocno jej drżały, że była pewna, że wszyscy słyszą, jak obijają się o wnętrze nogawek. Zupełnie jakby do tej pory odkładała gdzieś strach, słabość oraz ból, które teraz zalały ją potężną falą, wciągając pod powierzchnię, zupełnie bezbronną. Na skórze czuła lodowaty pot. Ręka bolała ją aż do samej szyi. Zobaczyli, kim jest naprawdę. Zobaczyli, że przegrała. Samotna kaleka o krwawej przeszłości, tak jak powiedział Cosca. Złapał ją skurcz żołądka i zakrztusiła się, czując kwaśne łaskotanie w gardle. Cały świat się zakołysał.

Nienawiść nie utrzyma cię zbyt długo na nogach.

- Nie mogę - szepnęła. - Nie mogę. - Nie dbała o to, co się stanie, byle tylko się zatrzymać. Ugięły się pod nią kolana i prawie upadła, ale Dreszcz chwycił ją za rękę i postawił na nogi.

- Idź - syknął jej do ucha.

- Nie mogę...

Wbił jej pięść pod pachę i ból na chwilę powstrzymał wirowanie świata.

- Idź, kurwa, albo będzie po nas.

Dzięki pomocy Dreszcza zdołała dotrzeć do koni. Zdołała włożyć stopę w strzemień. Zdołała z rozdzierającym stęknieniem usiąść w siodle, zawrócić konia i ustawić się twarzą w odpowiednim kierunku. Gdy wyjeżdżali z obozu, prawie nic nie widziała. Słynna pani generał, niedoszła zguba księcia Orso, siedziała w siodle bezwładnie jak kawał mięsa.

Jeśli będziesz zbyt twardy, staniesz się także kruchy. Wtedy wystarczy jedno pęknięcie, byś rozpadł się na kawałki.

VI

Ospria

„Podoba mi się w agonii to, że jest zawsze prawdziwa”.

Emily Dickinson

Okazało się, że odrobina złota może zapobiec rozlewowi krwi.

Wszyscy wiedzieli, że Musselii nie da się zdobyć bez długotrwałego oblężenia. Kiedyś miasto było fortecą Nowego Imperium, a mieszkańcy chlubili się potęgą wiekowych murów. Być może za bardzo jej ufali, a zbyt mało płacili obrońcom, gdyż ci w zamian za żenująco niską łapówkę obiecali Bennie, że nie zamkną bocznej bramy.

Jednakże zanim Wierny i jego ludzie przejęli kontrolę nad stanowiskami obrony, a żołnierze Tysiąca Ostrzy wpadli do miasta, by je splądrować, Benna poprowadził Monzę mrocznymi ulicami.

O dziwo, tym razem to on szedł na czele.

- Dlaczego chciałeś pójść pierwszy?

- Zobaczysz.

- Dokąd idziemy?

- Odzyskać nasze pieniądze. Z odsetkami.

Monza pośpiesznie za nim podążała, marszcząc brwi. W niespodziankach jej brata zawsze było coś niebezpiecznego. Przez wąskie łukowato sklepione przejście przedostali się na wąską ulicę, a następnie na brukowany dziedziniec oświetlony dwiema migoczącymi pochodniami. Jakiś Kantyjczyk w prostym stroju podróżnym stał obok wozu zaprzęzonego w konia i przykrytego plandeką. Monza go nie знаła, ale on najwyraźniej znał Benne, gdyż podszedł do niego z wyciągniętymi rękami i uśmiechem lśniącym w ciemności.

- Benno, Benno. Miło cię widzieć! - Objęli się jak starzy przyjaciele.

- Ciebie także, mój drogi. To moja siostra, Monzcarro.

Mężczyzna się uklonił.

- Słynna i wzbudzająca lęk. To dla mnie zaszczyt.

- Somenu Hermon - rzekł Benna, szeroko się uśmiechając. - Największy kupiec w Musselii.

- Ot, skromny handlarz. Pozostało mi kilka ostatnich... przedmiotów... do przeniesienia. Moja żona i dzieci już wyjechali.

- Dobrze. To bardzo ułatwi sprawę.

Monza zmarszczyła czoło, spoglądając na brata.

- Co się dzieje...?

Benna wyszarpnął jej sztylet z za pasa i wbił Hermonowi od góry w twarz. Zrobił to tak szybko, że kupiec wciąż się uśmiechał, gdy padał na ziemię. Monza instynktownie dobiegła szpady, wpatrując się w cienie wokół dziedzińca i na ulicy, ale wszędzie panował spokój.

- Coś ty zrobił, do diabła? - warknęła.

Benna już stał na wozie i zrywał plandekę z wściekłym podekscytowaniem. Otworzył wieko skrzyni i zanurzył w niej dłonie. Zabrzęczały przesypujące się monety.

Złoto.

Wskoczyła na wóz. Jeszcze nigdy nie widziała tyle złota w jednym miejscu. Wytrzeszczając oczy uzmysłowiła sobie, że skrzyń jest więcej. Odsunęła plandekę drżącymi dłońmi. Znacznie więcej.

- Jesteśmy bogaci! - pisnął Benna. - Jesteśmy bogaci!

- Już wcześniej byliśmy. - Patrzyła na swój nóż tkwiący w oku Hermona i krew lśniąca czarno w świetle lampy. - Musiałeś go zabić?

Popatrzył na nią, jakby oszalała.

- Miałem go obrabować i zostawić przy życiu? Powiedziałyby ludziom, że mamy pieniądze. Teraz jesteśmy bezpieczni.

- Bezpieczni? Wprost przeciwnie, z taką górą złota!

Zmarszczył brwi, jakby poczuł się dotknięty.

- Myślałem, że będziesz zadowolona. W końcu tyle czasu harowałaś za darmo w brudzie. - Jakby go zawiodła. - Zrobiłem to dla nas. Dla nas, rozumiesz? - Jakby był zniesmaczony. - Miłosierdzie i tchórzostwo są tym samym, Monzo! Myślałem, że o tym wiesz.

Co mogła zrobić? Przywrócić Hermona do życia?

Okazało się, że odrobina złota może kosztować mnóstwo krwi.

Jego plan ataku

Najbardziej wysunięte na południe pasmo gór Urvalskich, kręgosłup Styrii złożony z cienistych mokradeł i efektownych szczytów skąpanych w złotym wieczornym świetle, dumnie maszerowało na południe i kończyło się potężną skałą, w której wyrzeźbiono Osprię. Pomiędzy miastem a wzgórzem, na którym umiejscowiono główną siedzibę Tysiaca Ostrzy, rozciągała się głęboka zielona dolina, usiana dzikimi kwiatami o setce barw. Rzeka Sulva wiła się dnem doliny w stronę odległego morza, a zachodzące słońce nadawało jej pomarańczowy kolor roztopionego żelaza.

Ptaki świergotały na drzewach oliwnych w pradawnym gaju, koniki polne cykały w długiej kołyszącej się trawie, a wiatr całował twarz Coski i sprawiał, że piórko na kapeluszu, który delikatnie trzymał w dłoni, heroicznie falowało. Na zboczach na północ od miasta znajdowały się winnice. Rzędy zielonych winorośli na pokrytych pyłem wzgórzach przyciągały wzrok Coski i sprawiały, że ślinił się z bolesnej tęsknoty. Na tej ziemi powstawały najszlachetniejsze gatunki win w całym Kręgu Świata...

- Litości, pić - wymamrotał.

- Piękne - westchnął książę Foscar.

- Jeszcze nigdy nie widział pan szlachetnej Osprii, Wasza Wysokość?

- Słyszałem opowieści, ale...

- Zapiera dech w piersi, prawda?

Miasto zbudowano na czterech olbrzymich półkach wyciętych w kremowej skale stromego zbocza. Za gładkimi murami tłoczyły się wysokie budynki zwieńczone płataniną

dachów, kopuł i wieżyczek. Wiekowy imperialny akwedukt opuszczał się eleganckim łukiem z gór na spotkanie zewnętrznych fortyfikacji złożonych z co najmniej pięćdziesięciu łuków, z których największy dwudziestokrotnie przewyższał człowieka. Cytadela w nieprawdopodobny sposób przywarła do najwyższej grani, a cztery potężne wieże odznaczały się na tle ciemniejszego lazurowego nieba. Gdy zachodziło słońce, zarys miasta pokrywał się świetlistymi punkcikami lamp.

- Nie ma drugiego takiego miejsca.

Przez chwilę panowała cisza.

- Prawie szkoda psuć to wszystko ogniem i mieczem - zauważył Foscari.

- Prawie, Wasza Wysokość. Ale to jest wojna, a my mamy do dyspozycji właśnie takie narzędzia.

Cosca słyszał, że hrabia, a obecnie książę Foscari - od czasu nieszczęśliwego wypadku jego brata w słynnym burdelu w Sipani - jest dziecinny i niedoświadczony młodzieńcem o słabych nerwach, więc to, co zobaczył, przyjemnie go zaskoczyło. Co prawda, chłopak był jeszcze gołowąsem, ale każdy mężczyzna kiedyś był młody, a on sprawiał wrażenie raczej rozsądnego niż słabego, trzeźwego niż bezkrwistego i grzecznego niż bezwolnego. Bardzo przypominał młodego Cosę, choć oczywiście pod każdym względem stanowił jego przeciwieństwo.

- Te umocnienia wyglądają bardzo solidnie... - mruknął książę, przyglądając się miejskim murom przez lunetę.

- Zgadza się. Ospria była najdalej wysuniętą placówką Nowego Imperium, bastionem, który miał powstrzymać nieustępliwe baolijskie hordy. Niektóre fragmenty tych murów opierają się dzikusom już od ponad pięciuset lat.

- Zatem, czy książę Rogont po prostu się za nimi nie schowa? Wydaje się, że unika walki, gdy to tylko możliwe...

- Stanie do walki, Wasza Wysokość - rzekł Andiche.

- Musi - zagrzmiął Sesaria. - W przeciwnym razie rozbijemy obóz w jego ślicznej dolinie i weźmiemy go głodem.

- Przewyższamy go liczebnie co najmniej trzykrotnie - jęknął Vietus.

Cosca musiał się z tym zgodzić.

- Mury są przydatne tylko wtedy, gdy ktoś spodziewa się wsparcia, a Lidze Ośmiu nikt nie przyjdzie z pomocą. Będzie musiał walczyć, jest zdesperowany. - Jeśli Cosca na czymś się znał, to właśnie na desperacji.

- Muszę przyznać, że mam pewne... wątpliwości. - Foscar nerwowo odchrząknął. - Wiem, że zawsze nienawidził pan mojego ojca.

Cosca lekceważąco machnął ręką.

- W młodości pozwalałem, by namiętności wodziły mnie za nos, ale od tamtej pory wielokrotnie w bolesny sposób przekonałem się o zaletach zdrowego rozsądku. Owszem, w niektórych sprawach się nie zgadzamy, ale przede wszystkim jestem najemnikiem. Gdyby osobiste uczucia miały uszczuplać zawartość mojej sakiewki, byłby to z mojej strony niewybaczalny brak profesjonalizmu.

- Otóż to. - Vietus uśmiechnął się jeszcze bardziej pożądliwie niż zazwyczaj.

- Oto moi trzej najbardziej zaufani kapitanowie - Cosca wskazał ich teatralnym gestem kapelusza - którzy zdradzili mnie i posadzili na moim miejscu Murcatto. Wypieprzyli mnie razem z jajami, jak mawiają w Sipani. Razem z jajami, Wasza Wysokość. Gdybym był mściwy, na pewno nie darowałbym tym gnojom. - Cosca i jego kapitanowie zachichotali, dzięki czemu atmosfera stała się odrobinę mniej niezręczna. - Ale możemy być dla siebie przydatni, więc wszystko im wybaczyłem, podobnie jak pańskiemu ojcu. Zemsta nikomu nie przyniesie lepszego jutra, a na szali życia nie przeważy nawet jednej... szalki. Nie musi się pan przejmować, książę, jestem człowiekiem praktycznym. Zapłacił mi pan, więc do pana należę.

- Jest pan wcieleniem wielkoduszności, generale.

- Raczej chciwości. To coś nieco innego, ale też się sprawdza. A teraz może zjemy kolację? Macie ochotę się napić, panowie?

Wczoraj w rezydencji w górze rzeki znaleźliśmy skrzynkę znakomitego wina i...

- Nim zajmiemy się zabawą, lepiej omówmy strategię. - Przenikliwy głos pułkownika Rigrata był jak pilnik szorujący po wrażliwych zębach Coski. Rigrat miał ostre rysy i ostry głos. Był zadowolonym z siebie mężczyzną zbliżającym się do czterdziestki, ubranym w starannie wyprasowany mundur, niegdyś zastępca generała Ganmarka, a teraz Foscara. Zapewne to on opracował plan operacji w Talinsie. - Dopóki wszyscy myślimy trzeźwo.

- Uwierz mi, młody człowieku - rzekł Cosca, choć pułkownik wcale nie był młody - że nie mam kłopotów z trzeźwym myśleniem. Przygotowałeś jakiś plan?

- Owszem! - Rigrat zamaszystym ruchem wydobył buławę.

Zza najbliższego drzewa oliwnego wyłonił się Przyjazny, sięgając po broń. Cosca lekko się uśmiechnął i pokręcił głową, odsyłając go z powrotem do cienia. Nikt inny tego nie zauważył.

Cosca przez całe życie był żołnierzem, a przynajmniej kimś w tym rodzaju, nigdy jednak nie rozumiał, do czego służy buława. Nie da się nią zabić wroga, a nawet nie sprawia takiego wrażenia. Nie da się nią wbić kołka od namiotu, usmażyć na niej kawałka mięsa ani nawet sprzedać jej za dobrą cenę. Być może wymyślono ją po to, by móc podrapać się w trudno dostępne miejsce na plecach? Albo żeby stymulować odbyty? A może po prostu po to, by trzymający ją człowiek wyglądał jak głupiec? Jeśli tak, to spełnia tę rolę znakomicie, uznał Cosca, gdy Rigrat z namaszczeniem wskazał buławą rzekę.

- Na Sulvie są dwa brody! Górny... i dolny! Dolny jest znacznie szerszy i bezpieczniejszy. - Pułkownik wskazał miejsce, w którym brudny pasek imperialnego traktu spotykał się z rzeką, a woda połyskiwała na dnie doliny. - Jednak górny, położony mniej więcej milę w górę rzeki, również powinien być przejezdny o tej porze roku.

- Dwa brody, powiadasz?

Wszyscy doskonale je znali. Cosca przekroczył jeden z nich w

chwale, gdy wjeżdżał do Osprii, by zostać powitany z honorami przez wielką księżną Sefelinę i jej poddanych, a następnie uciekał drugim, po tym, jak ta suka próbowała go otruć. Wyjął poobijaną piersiówkę z kieszeni. Tę samą, którą Morveer rzucił mu w Sipani. Odkręcił korek.

Rigrat posłał mu ostre spojrzenie.

- Uzgodniliśmy, że będziemy pić dopiero, gdy omówimy strategię.

- Ty to uzgodniłeś. Ja tylko słuchałem. - Cosca zamknął oczy, wziął głęboki oddech, przechylił piersiówkę, po czym pociągnął długi łyk, a następnie kolejny, czując, jak chłodny płyn wypełnia mu usta i obmywa suche gardło. Pić, pić, pić. Westchnął z zadowoleniem. - Nie ma to jak napić się wieczorem.

- Mogę kontynuować? - syknął Rigrat niecierpliwie.

- Oczywiście, chłopcze, nie przeszkadzaj sobie.

- Pojutrze o świcie poprowadzisz Tysiąc Ostrzy przez niższy bród...

- Poprowadzę? Czyli mam jechać na czele?

- A gdzie jest miejsce dowódcy?

Cosca i Andiche wymienili zaskoczone spojrzenia.

- Wszędzie, byle nie na przodzie. Byłeś kiedyś na pierwszej linii podczas bitwy? Bardzo łatwo tam zginąć.

- Niezwykle łatwo - rzekł Vietus.

Rigrat zazgrzytał zębami.

- A więc poprowadzisz ich z dowolnego miejsca, w każdym razie odział ma przekroczyć dolny bród wspierany przez naszych sojuszników z Etrisani i Cesale. Książę Rogont nie będzie miał innego wyjścia jak tylko rzucić przeciwko wam wszystkie swoje siły, licząc na to, że uda mu się was zmiążyć podczas przepływania się przez rzekę. Kiedy ruszy w waszą stronę, regularna armia Talinsu wyjdzie z ukrycia i przekroczy górny bród. Zajdziemy wroga od flanki i... - Uderzył buławą w otwartą dłoń.

- Weźmiecie ich na kije?

Rigrat nie wyglądał na rozbawionego. Cosca zastanawiał się,

czy kiedykolwiek mu się to przytrafiało.

- Potraktujemy ich stałą, generale, stałą! Rozgromimy i zmusimy do ucieczki, w ten sposób kładąc kres kłopotliwej Lidze Ośmiu!

Zapadła długa cisza. Cosca zmarszczył brwi i popatrzył na Andiche'a, który odwzajemnił jego spojrzenie. Sesaria i Vietus pokręcili głowami. Rigrat niecierpliwie stukał się buławą w nogę. Książę Foscar ponownie odchrząknął i nerwowo wysunął do przodu podbródek.

- Co pan o tym myśli, generale Cosca?

- Hmm. - Cosca ponuro pokręcił głową, marszcząc czoło i zerkając na połyskującą rzekę. - Hmm. Hmm. Hmmm.

- Hmmm. - Vietus postukał się palcem po zaciśniętych ustach.

- Hempf. - Andiche wydał policzki.

- Hrrrrm. - Nieprzekonany Sesaria zagrzmiał bardziej gardłowo.

Cosca zdjął kapelusz, podrapał się po głowie, po czym założył go ponownie, trącając palcem piórko.

- Hmmm...mmmmmmmmmm...

- Czy mamy przez to rozumieć, że nie jest pan zachwycony? - spytał Foscar.

- Czyżbym zdradził się ze swoimi złymi przeczuciami? W takim razie nie mogę ich dłużej ukrywać. Nie jestem przekonany, czy Tysiąc Ostrzy nadaje się do wykonania tego zadania.

- Też nie jestem przekonany - dodał Andiche.

- Nie nadaje się - dodał Vietus.

Sesaria przypominał milczącą górę niechęci.

- Czyżbyście otrzymali niewystarczającą zapłatę za swoje usługi? - spytał ostro Rigrat.

Cosca zachichotał.

- Ależ skądże. Tysiąc Ostrzy będzie walczyć, może pan na nas polegać!

- Będą walczyć wszyscy bez wyjątku! - zapewnił Andiche.

- Jak diabły! - dodał Vietus.

- Ale jako generała interesuje mnie, w jaki sposób zostaną wykorzystani. W niedługim czasie stracili dwoje przywódców. - Ze smutkiem zwiesił głowę, jakby wcale na tym nie zyskał.

- Murcatto, a potem Wiernego. - Sesaria westchnął, zupełnie jakby nie był jednym z głównych sprawców zmian na tym stanowisku.

- Zostali oddelegowani do pomniejszych zadań.

- Zwiadu - lamentował Andiche.

- Oczyszczania skrzydeł - warknął Vietus.

- Ich morale straszliwie osłabło. Otrzymali zapłatę, ale pieniądze nie są najlepszą motywacją dla ludzi, którzy narażają życie. - Zwłaszcza dla najemników. - Jeśli rzuci się ich do zaciętej walki przeciwko upartemu i zdesperowanemu wrogowi... Nie mówię, że się załamają, ale... cóż... - Cosca się skrzywił, powoli drapiąc się w szyję. - Mogą się załamać.

- Mam nadzieję, że to nie jest przykład twojej niesławnej niechęci do walki - zakpił Rigrat.

- Niechęci... do walki? Każdy przyzna, że mam odwagę tygrysa!

Vietus parsknął i zasmarkał sobie brodę, ale Cosca go zignorował.

- Tutaj chodzi o dobranie właściwego narzędzia. Do ścięcia upartego drzewa nie używa się rapiera, tylko topora. Chyba że ktoś jest idiotą.

Młody pułkownik otworzył usta, żeby zaoponować, ale Cosca nie dał mu dojść do głosu.

- Zarys planu jest dobry. Szczerze gratuluję, jak żołnierz żołnierzowi.

Rigrat zamilkł, wytrącony z równowagi, niepewny, czy Cosca z niego kpi, chociaż wszystko wskazywało, że tak jest.

- Byłoby jednak mądrzej, gdyby to regularne oddziały armii Talinsu, niedawno sprawdzone w boju w Visserine, a następnie w Puranti, oddane sprawie, przywykłe do zwycięstw i dysponujące najwyższym morale, przekroczyły dolny bród i zaatakowały Ospriańczyków, wspierane przez sojuszników z Etrisani i Cesale. - Wskazał rzekę piersiówką. Była o wiele

użyteczniejsza niż buława. W końcu za pomocą tej drugiej nie można się upić. - Najemnicy znacznie lepiej się sprawdzą, jeśli ukryjemy ich w górzystym terenie. Zaczekają na właściwą chwilę do ataku, po czym z zapalem przekroczą górny bród i dopadną wroga od tyłu!

- Z tej strony najlepiej go podejść - mruknął Andiche, a Vietus zachichotał.

Cosca zakończył przemowę, wywijając piersiówką.

- W ten sposób wasza odwaga i nasza ognista pasja zostaną wykorzystane najpełniej. Ludzie ułożą o nas pieśni, zdobędziemy chwałę, stworzymy historię, Orso zostanie królem... - Cosca pokłonił się przed Foscarem. - Ty również, Wasza Wysokość, we właściwym czasie.

Zasepiony Foscar popatrzył w stronę brodów.

- Tak. Tak, rozumiem. Tylko że...

- A więc zgoda! - Cosca objął go ramieniem i poprowadził z powrotem w stronę namiotu. - Czy to Stolicus powiedział, że wielcy ludzie często maszerują w tym samym kierunku? Chyba tak! A więc maszerujmy na kolację, przyjaciele! - Wskazał palcem ciemniejące góry, gdzie Ospria lśniła w blasku zachodzącego słońca. - Słowo daję, jestem tak głodny, że mógłbym zjeść całe miasto! - Serdeczny śmiech towarzyszył mu w drodze do namiotu.

Polityka

Dreszcz siedział zasępiony i pił.

Sala jadalna księcia Rogonta była zdecydowanie najbardziej okazałym pomieszczeniem, w jakim zdarzyło mu się pić. Kiedy Vossula opowiadał, że w Styrii jest pełno cudów, Dreszcz wyobrażał sobie właśnie takie miejsca, a nie gnijące nabrzeża Talinsu. Jadalnia była co najmniej czterokrotnie większa i trzykrotnie wyższa od wielkiej sali Bethoda w Carleonie. Ściany zbudowano z bladego marmuru poprzecinanego niebiesko-czarnymi paskami, naznaczonego błyszczącymi żyłkami, rzeźbionego w liście oraz winorośle i zarośniętego bluszczem, tak że prawdziwe i wyrzeźbione rośliny spletały się w tańczących cieniach. Ciepłe podmuchy wieczornego wiatru wpadały przez otwarte okna szerokie jak zamkowe bramy, wprawiając w drżenie pomarańczowe płomienie tysiąca wiszących lamp, które zalewały wszystko wspaniałym blaskiem.

Dostojne i magiczne miejsce wybudowane przez bogów dla olbrzymów.

Szkoda, że zgromadzeni w nim ludzie nie dorównywali ani jednemu, ani drugiemu. Kobiety w krzykliwych strojach, noszące wymyślne fryzury, przystrojone klejnotami i wymalowane, by wyglądać na młodsze, szczuplejsze lub bogatsze, niż były w rzeczywistości. Mężczyźni w jaskrawych mundurach, z koronkami przy kołnierzu i pozłacanymi sztylecikami przy pasie. Początkowo patrzyli na niego z pogardą na upudrowanych twarzach, jakby składał się z gnijącego mięsa. Potem - gdy zwracał ku nim lewą stronę twarzy - z przerażeniem i obrzydzeniem, które wzbudzało w nim przede

wszystkim ponurą satysfakcją, ale też odrobinę grozy.

Na każdej uczcie musi się pojawić jakiś głupi, brzydki i wredny drań, który ma pretensje do wszystkich, zdecydowanie za dużo pije i psuje zabawę. Wyglądało na to, że dziś to jemu przypadła ta rola, więc podjął się jej z zapalem. Zacharczał i splunął flegmą na lśniącą posadzkę.

Mężczyzna siedzący przy sąsiednim stole, ubrany w żółty płaszcz z długimi połami, obejrzał się z kpiącym uśmiechem na wydętych ustach. Dreszcz nachylił się w jego stronę, wbijając czubek noża w wypolerowany blat.

- Masz coś do powiedzenia, zaszczańcu?

Mężczyzna pobladł i bez słowa odwrócił się w stronę swoich towarzyszy.

- Banda tchórzy - warknął Dreszcz znad szybko opróżnianego kielicha z winem, na tyle głośno, że usłyszano go w odległości trzech stolików. - W całym tym jebanym tłumie nie ma nikogo z jajami!

Zastanawiał się, co Wilczarz mógłby pomyśleć o tej zbieraniu rozchichotanych elegancików. Albo Rudd Trójdrzewiec. Albo Czarny Dow. Parsknął ponuro, ale śmiech uwiązał mu w gardle. Sam padł ofiarą swojego żartu. Oto siedzi w samym środku tego towarzystwa, zdany na ich łaskę i pozbawiony przyjaciół. A przynajmniej tak to wygląda.

Skrzywił się, patrząc w stronę wysokiego stołu stojącego na podeście w przedniej części pomieszczenia. Rogont siedział pośród swoich ulubionych gości, rozsyłając uśmiechy jak gwiazda lśniąca na nocnym niebie. Obok niego siedziała Monza. Z miejsca, w którym znalazł się Dreszcz, trudno było to dokładnie stwierdzić, zwłaszcza że gniew i zbyt duża ilość wina mąciły mu wzrok, ale wydawało się, że Murcatto się śmieje. Z pewnością dobrze się bawiła, uwolniwszy się od swojego jednookiego chłopca na posyłki.

Książę Roztropności był przystojnym draniem. A przynajmniej miał oboje oczu. Dreszcz miał ochotę rozbić mu tę gładką, zadowoloną gębę. Za pomocą młota, tak jak Monza potraktowała głowę Gobby. Albo chociaż za pomocą pięści.

Zmiażdżyć ją w dłoniach. Roztrzaskać na czerwone drzazgi. Mocno chwycił nóż, snując w głowie szaloną opowieść o tym, jak tego dokona. Roztrząsał wszystkie krwawe szczegóły, zmieniając je w taki sposób, że w swoich marzeniach stawał się potężny, a Rogont błagał go o litość, sikając w spodnie. Szaleńczo zniekształcał przebieg wydarzeń, tak że na końcu Monza pragnęła go bardziej niż kiedykolwiek. Cały czas obserwował ich oboje jednym drgającym, zmrużonym okiem.

Zadręczał się myślą, że się z niego śmieją, chociaż wiedział, że to nieprawda. Nie był na tyle ważny, co wywoływało jeszcze większą jego wściekłość. Wciąż kurczowo trzymał się swojej godności, jak tonący człowiek, który chwyta gałązkę zbyt cienką, by mogła go utrzymać. Był dla niej żenującym kaleką, mimo że wielokrotnie uratował jej życie. Mimo że tak bardzo się dla niej narażał. Skoro wspiął się po niezliczonych krwawych stopniach na szczyt tej góry, to miał prawo oczekiwać czegoś więcej niż pogarda.

Wyrwał nóż z pękniętego drewna. Ten sam, który Monza podarowała mu pierwszego dnia znajomości. Kiedy jeszcze miał oboje oczu i znacznie mniej krwi na rękach. Kiedy jeszcze zamierzał zrezygnować z zabijania i stać się dobrym człowiekiem. Już niemal zapomniał, jakie to było uczucie.

Monza siedziała zasepiona i piła.

Ostatnio nie miała ani apetytu, ani chęci na świętowanie, a już na pewno na całowanie tyłków, więc bankiet straceńców Rogonta przypominał koszmar. Z ich dwójga to Benna lubił uczyty, formalności i pochlebstwa. Z pewnością by mu się tutaj spodobało - pokazywanie palcami, wybuchy śmiechy, klepanie po plecach, a wszystko to w towarzystwie najgorszych ludzi pod słońcem. Gdyby choć na chwilę zdołał oderwać się od chłonięcia pochlebstw ludzi, którzy go nienawidzili, nachyliłby się i uspokajająco dotknął jej ręki, po czym szepnął jej do ucha,

by spróbowała się uśmiechnąć. A tak udało jej się jedynie wyszczerzyć zęby w koślawym grymasie.

Jej głowa pulsowała potwornym bólem w miejscu, w którym tkwiły monety, a delikatne brzęczenie sztuców drażniło ją jak gwoździe wbijające się w twarz. Odkąd zostawiła utopionego Wiernego na młyńskim kole, zmagала się ze skurczami żołądka. Musiała się powstrzymywać, by nie odwrócić się w stronę Rogonta i nie zacząć wymiotować na jego biały płaszcz wyszywany złotem.

Księżę pochylił się w jej stronę z grzeczną troską.

- Skąd ta ponura mina, pani generał Murcatto?

- Ponura? - Przełknęła kwas podchodzący jej do gardła. - Nadciąga armia księcia Orso.

Rogont powoli obrócił kieliszek z winem, trzymając go za nóżkę.

- Tak słyszałem. Wspierana przez pani dawnego mentora Nicomo Coscę. Zwiadowcy Tysiąca Ostrzy już dotarli do Wzgórza Menzesa ponad brodami.

- A więc nie zwlekają.

- Na to wygląda. Moje śmiałe plany wkrótce obrócą się w pył. Tak to już bywa.

- Jest pan pewien, że noc poprzedzająca zagładę to najlepszy czas na świętowanie?

- Następnej nocy może być za późno.

- Hmm. Może wydarzy się cud.

- Nigdy nie wierzyłem w boską interwencję.

- Nie? W takim razie, co oni tutaj robią? - Monza wskazała głową grupkę Gurkijczyków siedzących tuż poniżej głównego stołu, ubranych w białe kapłańskie szaty z czapeczkami.

Księżę popatrzył na nich z góry.

- Och, ich pomoc wykracza poza sferę ducha. To emisariusze Proroka Khalula. Księżę Orso ma sojuszników w Unii i może liczyć na wsparcie tamtejszych banków. Ja również muszę szukać przyjaciół. A nawet Imperator Gurkhulu klęka przed Prorokiem.

- Każdy przed kimś klęka, prawda? Zapewne Imperator i

Prorok będą mogli pocieszyć się nawzajem, gdy ich kapłani przyniosą wieści o tym, że pańską głowę zatknęto na włócznię.

- Szybko się z tym pogodzą. Styria to dla nich sprawa poboczna. Podejrzewam, że już się przygotowują do następnej bitwy.

- Wojna nigdy się nie kończy.

Osuszyła kielich i z brzękiem rzuciła go na stół. Być może w Osprii wytłaczano najlepsze wino na świecie, ale jej smakowało jak wymiociny. Zresztą, podobnie jak wszystko. Obecnie jej życie składało się z wymiotów oraz częstych bolesnych biegunek. Podrażnione dziąsła, szorstki język, ostre zęby, obolały tyłek. Służący o końskiej twarzy pojawił się za jej plecami i wpuścił długi strumień wina do pustego kielicha, jakby uniesienie butelki wysoko nad jej głowę mogło polepszyć smak, po czym wycofał się z gracją. W końcu wycofywanie się to specjalność mieszkańców Osprii. Monza ponownie sięgnęła po kielich. Niedawno paliła, więc przynajmniej nie trzęsły jej się ręce, ale nie widziała innych pozytywów.

Dlatego modliła się o bezmyślne, żalosne, ogłupiające pijaństwo, które mogło osłonić ją przed smutkiem.

Wodziła wzrokiem po najbogatszych i najbardziej bezużytecznych obywatelach Osprii. Bankiet był podszyty atmosferą wrzaskliwej hysterii. Za dużo picia. Za szybkie rozmowy. Za głośny śmiech. Nie ma to jak wizja zbliżającej się zagłady, by pozbyć się zahamowań. Jediną zaletą zbliżającego się pogromu Rogonta był fakt, że duża część tych głupców również wszystko straci.

- Jest pan pewien, że powinnam tutaj być? - mruknęła.

- Ktoś musi. - Rogont zerknął bez entuzjazmu w bok na dziewczęcą hrabinę Cotardę z Affoi. - Wygląda na to, że szlachetna Liga Ośmiu zmieniła się w Ligę Dwóch. - Nachylił się bliżej. - Tak między nami mówiąc, zastanawiam się, czy nie jest za późno, żeby samemu się wycofać. Niestety, zaczyna mi brakować ważnych gości.

- Więc jestem eksponatem, który ma wzmocnić pana więdnący prestiż?

- Właśnie. Ale bardzo uroczym. No i zapewniam panią, że wszelkie opowieści o więdnieniu to tylko grubiańskie plotki.

Monza nie miała siły, żeby się zdenerwować, a co dopiero roześmiać, więc ograniczyła się do znużonego parsknięcia.

- Powinna pani coś zjeść. - Wskazał widelcem jej nietknięty talerz. - Strasznie pani schudła.

- Źle się czuję. - Poza tym, prawa dłoń bolała ją tak bardzo, że ledwie mogła utrzymać nóż. - Ciągle źle się czuję.

- Naprawdę? Czyżby zaszкодziło pani coś, co pani zjadła? - Rogont z rozkoszą włożył kawałek mięsa do ust jak człowiek, który ma szansę dożyć do końca tygodnia. - A może raczej coś, co pani zrobiła?

- Może to po prostu kwestia towarzystwa.

- Nie byłbym zaskoczony. Moja ciotka Sefeline zawsze czuła wobec mnie obrzydzenie. Często miewała nudności. W pewnym sensie przypomina mi ją pani. Ostry umysł, wielki talent, nieugięta wola, ale niespodziewanie słaby żołądek.

- Przykro mi, że pana rozczarowałam. - Na umarłych, z pewnością rozczarowała siebie.

- Mnie? Och, zapewniam panią, że wręcz przeciwnie. Nie jesteśmy z kamienia, prawda?

A szkoda. Krztusząc się, Monza przełknęła jeszcze trochę wina i skrzywiła się, gdy popatrzyła na kielich. Jeszcze rok wcześniej nie czuła wobec Rogonta niczego poza pogardą. Pamiętała, jak śmiali się z Benną i Wiernym z tego, jakim księżę jest tchórzem i zdradzieckim sojusznikiem. Teraz Benna nie żył, a ona zamordowała Wiernego i przybiegła do Rogonta w poszukiwaniu schronienia, jak krnąbrne dziecko do bogatego wujka. Wujka, który nawet nie potrafił ochronić sam siebie, stanowił jednak o wiele lepsze towarzystwo niż jej drugi towarzysz. Jej wzrok niechętnie przesunął się na koniec długiego stołu, gdzie samotnie siedział Dreszcz.

Bolesna prawda była taka, że czuła do niego obrzydzenie. Trudno jej było nawet stać obok niego, a co dopiero go dotykać. Nie chodziło jedynie o brzydotę jego zmasakrowanej twarzy. Widziała i robiła w życiu wiele paskudnych rzeczy, więc

potrafiła udawać, że jej to nie przeszkadza. Problemem było to, że milczał, choć wcześniej nie sposób było go uciszyć. Mieli mnóstwo długów, których nie potrafiła spłacić. Patrzyła na zniekształconą, martwą pozostałość oka i przypominała sobie, jak wyszeptał „To powinno spotkać ciebie”. Wiedziała, że to prawda. Kiedy w końcu się odzywał, już nie wspominał o czynieniu dobra ani stawaniu się lepszym człowiekiem. Może powinna się cieszyć, że miała rację w ich sporze. Bardzo się starała, nie mogła jednak opędzić się od myśli, że pchnęła szlachetnego człowieka w stronę zła. Nie tylko sama była zepsuta, ale niszczyła wszystko, czego dotknęła.

Dreszcz przygotował ją o obrzydzenie, ale jeszcze gorsza była świadomość, że powinna być mu wdzięczna.

- Tylko marnuję czas - syknęła, bardziej do kielicha niż do kogoś konkretnego.

Rogont westchnął.

- Jak my wszyscy. Przeżywamy paskudne chwile, by w końcu znaleźć jak najmniej potworną i haniebną śmierć.

- Powinnam odejść. - Spróbowała zacisnąć dłoń w rękawicze w pięść, ale ból odebrał jej siły. - Znaleźć sposób... znaleźć sposób na zabicie Orso. - Była tak zmęczona, że z trudem wypowiedziała te słowa.

- Zemsta? Naprawdę?

- Zemsta.

- Byłbym zdruzgotany, gdyby pani odeszła.

Już nie dbała o to, co mówi.

- A do czego mnie pan potrzebuje, do diabła?

- Do czego? - Uśmiech na chwilę zniknął z twarzy Rogonta. - Nie mogę dłużej zwlekać, Monzcarro. Wkrótce, być może jutro, rozpęta się potężna bitwa, która zdecyduje o losie Styrii. Cóż może być cenniejszego od rady jednego z najwybitniejszych styryjskich żołnierzy?

- Sprawdźę, czy uda mi się jakiegoś znaleźć - mruknęła.

- Poza tym ma pani wielu przyjaciół.

- Ja? - Nikt nie przychodził jej do głowy.

- Obywatele Talinsu nadal panią uwielbiają. - Książę uniósł

brwi, spoglądając na zgromadzonych ludzi, z których niektórzy patrzyli na Monzę bez zbytnej sympatii. - Oczywiście, tutaj jest pani mniej popularna, ale to tylko potwierdza moje słowa. W końcu złoczyńca jednych jest bohaterem drugich.

- W Talinsie myślą, że nie żyję, i mają to gdzieś. - Ją też coraz mniej to obchodziło.

- Wręcz przeciwnie, moi agenci już informują obywateli o pani triumfalnym ocaleniu. Plakaty rozwieszane na wszystkich skrzyżowaniach podważają wersję Orso, oskarżają go o próbę morderstwa i zapowiadają pani rychły powrót. Proszę mi wierzyć, że ludzie bardzo to przeżywają, jak to bywa z prostaczkami i ważnymi osobistościami, których nigdy nie spotkali ani nie spotkają. Przynajmniej jeszcze bardziej odwrócą się od Orso i zaczną mu sprawiać kłopoty w jego ojczyźnie.

- Polityka, co? - Monza opróżniła kielich. - Drobne gesty, gdy wojna puka do bram.

- Wszyscy robimy co w naszej mocy. Jednakże zarówno na wojnie, jak i w polityce, wciąż stanowi pani niebagatelny atut. - Znów się uśmiechnął, jeszcze szerzej niż poprzednio. - Poza tym, jakiego dodatkowego powodu potrzebuje mężczyzna, by zatrzymać przy sobie sprytną i piękną kobietę?

Wykrzywiła usta.

- Pierdol się.

- Kiedy to konieczne. - Popatrzył jej prosto w oczy. - Ale wolałbym, żeby ktoś mi pomógł.

- Wyglądasz na niemal tak zgorzkniałego jak ja.

- Co? - Dreszcz oderwał złowrogi wzrok od szczęśliwej pary. - Ach. - Odezwała się do niego jakaś kobieta. - Och.

Wyglądała znakomicie, niemal promieniowała blaskiem. Po chwili zauważył, że wszystko wokół lśni. Był pijany w trzy dupy.

Ta kobieta wydawała mu się inna od reszty. Miała naszyjnik z czerwonych kamieni na długiej szyi i luźną białą sukienkę, podobną do tych, które widział u czarnoskórych kobiet w Westporcie, choć była bardzo blada. Stała bardzo swobodnie, bez cienia sztywności. Uśmiechała się serdecznie. Przez chwilę miał ochotę również się uśmiechnąć. Pierwszy raz od dawna.

- Czy to miejsce jest wolne? - Mówiła po styryjsku z unijnym akcentem. Przybysz z zewnątrz, tak jak on.

- Chcesz usiąść... obok mnie?

- Dlaczego nie? Czyżbyś czymś zarażał?

- Nie byłbym zaskoczony, biorąc pod uwagę moje szczęście. - Odwrócił się do niej lewą stroną. - Ale to wystarczy, żeby trzymać z daleka większość ludzi.

Popatrzyła na jego rany, a jej uśmiech nawet nie drgnął.

- Wszyscy nosimy jakieś blizny. Niektórzy z nas na zewnątrz, inni...

- Ale te wewnątrz aż tak nie rujną wyglądu, prawda?

- Przekonałam się, że wygląd jest przeceniany.

Dreszcz z przyjemnością przyjrzał się jej od góry do dołu.

- Łatwo powiedzieć, ty nie musisz się o niego martwić.

- Dobre maniery. - Wydęła policzki, rozglądając się po sali. - Bałam się, że nie znajdę ich w tym tłumie. Chyba jesteś tutaj jedynym szczerym człowiekiem.

- Nie licz na to - odrzekł, ale jednocześnie się uśmiechnął. Zawsze jest właściwa pora na komplement dla ładnej kobiety. Jeszcze nie pozbył się godności.

Kobieta wyciągnęła w jego stronę dłoń, a on popatrzył na nią, mrugając.

- Mam ją pocałować? - zapytał Dreszcz.

- Jeśli chcesz. Nie rozpuści się.

Była miękka i gładka. Zupełnie inna niż dłoń Monzy - pokryta bliznami, opalona i zrogowaciała jak u Ludzi Imiennych, a jeszcze bardziej odmienna od jej drugiej dłoni, powykrzywianej jak korzeń pokrzywy i ukrytej pod rękawiczką. Dreszcz przycisnął usta do knykcii kobiety i poczuł zapach, który zawrócił mu w głowie. Przypominał aromat kwiatów i czegoś

innego, co sprawiło, że zaczął szybciej oddychać.

- Nazywam się, eee... Caul Dreszcz.

- Wiem.

- Naprawdę?

- Już się spotkaliśmy, chociaż tylko przez chwilę. Nazywam się Carlot dan Eider.

- Eider? - Potrzebował chwili, żeby sobie przypomnieć. Twarz przelotnie widziana we mgle. Kobieta w czerwonym płaszczu w Sipani. Kochanka księcia Ario. - To ciebie Monza...

- Pobiła, szantażowała, zniszczyła i zostawiła na śmierć? Tak, to właśnie ja. - Zmarszczyła brwi, spoglądając w stronę stołu na podwyższeniu. - Monza, tak? Nie tylko jesteście ze sobą po imieniu, ale używasz pieśczośliwego zdrobnienia. Pewnie jesteście ze sobą bardzo blisko.

- Wystarczająco blisko. - Ale nie tak blisko jak kiedyś w Visserine. Zanim odebrano mu oko.

- A jednak siedzi tam, z wielkim księciem Rogontem, a ty tłoczysz się na dole z żebrakami i tymi gorszymi gośćmi.

Zupełnie jakby czytała mu w myślach. Znowu poczuł wzbierającą furię i spróbował zmienić temat.

- Co cię tutaj sprowadza?

- Po rzezi w Sipani nie miałam wyboru. Książę Orso niewątpliwie wyznaczył sowitą nagrodę za moją głowę. Od trzech miesięcy mam wrażenie, że każdy chce mnie zasztyletować, otruć, udusić albo zrobić coś jeszcze gorszego.

- Znam to uczucie.

- Więc ci współczuję.

- Na spokój zmarłych, rzeczywiście przydałoby mi się trochę współczucia.

- Z mojej strony możesz na nie liczyć. Tak samo jak ja, jesteś tylko pionkiem w tej brudnej grze. No i straciłeś więcej ode mnie. Oko. Twarz.

Nie poruszała się, ale wydawało się, że się zbliża. Dreszcz się przygarbił.

- Pewnie tak.

- Książę Rogont to mój stary znajomy. Niezbyt solidny

człowiek, ale niewątpliwie przystojny.

- Pewnie tak - wykrztusił.

- Zostałam zmuszona, by zdać się na jego łaskę. To ciężki los, ale na jakiś czas zapewniłam sobie bezpieczeństwo. Chociaż widzę, że znalazł sobie nowy obiekt zainteresowania.

- Monżę? - Fakt, że myślał o tym przez cały wieczór, wcale mu nie pomagał. - Ona taka nie jest.

Carlot dan Eider parsknęła z niedowierzaniem.

- Czyżby? Nie jest zdradziecką, zakłamaną morderczynią, która wykorzysta wszystko i każdego, by osiągnąć swój cel? W końcu zdradziła Nicomo Coscę i ukradła mu generalskie krzesło. Jak myślisz, dlaczego księżę Orso próbował ją zabić? Ponieważ miała chrapkę także na jego stanowisko. - Alkohol ogłupił Dreszcza, który nie wiedział, co odpowiedzieć. - Dlaczego nie miałyby wykorzystać Rogonta? A może jest zakochana w kimś innym?

- Nie - warknął. - To znaczy... skąd miałbym wiedzieć... Nie, kurwa! Wszystko ci się pomieszało!

Dotknęła bladą dłonią piersi.

- Mnie się pomieszało? Nie bez powodu nazywają ją Wężem Talinsu! Wąż nie kocha niczego poza sobą!

- Nic dziwnego, że ją oczerniasz. Wykorzystała cię w Sipani. Nienawidzisz jej!

- To prawda, że bym po niej nie płakała. Człowiek, który nadziałby ją na ostrze, mógłby liczyć na moją wdzięczność i nie tylko. Ale to nie znaczy, że kłamię. - Już prawie szeptała mu do ucha. - Monzcarro Murcatto, Rzeźniczka z Caprile? Mordowali tam dzieci. - Niemal czuł jej oddech. Jej bliskość napełniała go wściekłością i pożądaniem. - Mordowali! Na ulicach! Z tego, co słyszałam, nie była wierna nawet swojemu bratu...

- Co? - Dreszcz żałował, że tak dużo wypił. Sala zaczęła wirować mu przed oczami.

- Nie wiedziałeś?

- O czym? - Poczł dziwaczną mieszankę ciekawości, strachu i obrzydzenia.

Eider położyła mu dłoń na ramieniu. Była tak blisko, że znów

poczuł jej zapach - słodki, oszłamiający, ohydny.

- Ona i jej brat byli kochankami. - Wymruczała to ostatnie słowo, wyraźnie je przeciągając.

- Co takiego? - Pokryty bliznami policzek piekł, jakby ktoś uderzył Dreszcza w twarz.

- Kochankami. Sypiali razem jak mąż i żona. Pieprzyli się ze sobą. To żadna tajemnica. Spytaj kogokolwiek. Choćby ją samą.

Dreszcz z trudem oddychał. Powinien był się domyślić. Kilka wątpliwości ułożyło się w logiczną całość. Być może o tym wiedział, ale i tak czuł się oszukany. Zdradzony. Wyśmiany. Jak ryba wyrzucona na brzeg strumienia. Po tym wszystkim, co dla niej zrobił, po wszystkim, co stracił. Gniew kotłował się w nim z taką siłą, że ledwie nad sobą panował.

- Zamknij mordę! - Odepchnął dłoń Eider. - Myślisz, że nie widzę, jak mnie prowokujesz? - Sam nie wiedział, kiedy wstał z ławy. Sala kołysała się wokół niego, rozmazane światła i twarze tańczyły. - Masz mnie za głupca, kobieto? Masz mnie za nic?

Zamiast się cofnąć, zbliżyła się, niemal do niego przywierając, spoglądając w górę oczami wielkimi jak talerze.

- Ja? Dla mnie niczego nie poświęciłeś! Czy to ja cię odepchnęłam? Czy to ja mam cię za nic?

Twarcz Dreszcza płonęła. Krew huczała mu w głowie, tak mocno, że miał wrażenie, że wypchnie mu oko. Tylko że ono już zostało wypalone. Z jego zaciśniętego gardła wydobył się wściekły zduszony skowyt. Dreszcz zatoczył się do tyłu, nie chcąc rzucić się Eider do gardła, po czym wpadł na służącego, wytrącając mu z rąk srebrną tacę z kieliszkami oraz butelką, która rozbiła się na posadzce, rozbryzgując wokół wino.

- Pokornie pana...

Dreszcz zdzielił mężczyznę lewą pięścią w żebra. Ten wygiął się w bok, ale zanim zdążył upaść, Caul uderzył go prawą ręką w twarz. Służący odbił się od ściany i runął na roztrzaskane szkło. Na pięści Dreszcza była krew. Krew i biały odprysk między palcami. Kawalek zęba. Z całego serca pragnął uklęknąć nad tym draniem, chwycić go za głowę i rozbić ją o piękne rzeźbienia na ścianie, zachlapując je mózgiem.

Zamiast tego z najwyższym trudem odwrócił się i chwiejnie odszedł.

Czas się dłużył.

Monza leżała na boku na samym skraju łóżka, tyłem do Dreszcza. Gdyby odsunęła się od niego dalej, stoczyłaby się na podłogę. Pierwsze oznaki świtu przekradały się między zasłonami, wypełniając pokój brudnoszarą poświatą. Wino przestawało działać, pozostawiając ją bardziej skołowaną, zmęczoną i bezradną niż kiedykolwiek. Jak fala obmywająca brudną plażę, która, zamiast ją oczyścić, tylko pozostawia za sobą stertę martwych ryb.

Zastanawiała się, co by powiedział Benna. Co by zrobił, żeby poczuła się lepiej. Ale już nie pamiętała brzmienia jego głosu. Wspomnienia umykały, a razem z nimi to, co było w niej najlepsze. Wyobrazila go sobie jako chłopca, małego, chorowitego i bezbronnego. Zdanego na jej opiekę. Potem jako mężczyznę, roześmianego, wjeżdżającego górskim zboczem do Fontezarmo. Wtedy też potrzebował jej troski. Wiedziała, jakiego koloru miał oczy. Wiedziała, że od częstego uśmiechania się w ich kącikach pojawiły się zmarszczki. Ale nie potrafiła sobie przypomnieć jego uśmiechu.

Zamiast tego powróciły do niej szczegółowe krwawe wizje twarzy pięciu ludzi, których zabiła. Gobby, który mocował się z duszącym go Przyjaznym opuchniętymi, strzaskanymi dłońmi. Mauthisa, który miotał się na podłodze jak marionetka, tocząc z ust różową pianę. Ario, który trzymał się za gardło, próbując powstrzymać strumień czarnej krwi. Ganmarka, który szczyrzył się do niej, przebity potężnym ostrzem Stolicusa. Wiernego, który zwisał z młyńskiego koła, utopiony i ociekający wodą, choć wcale nie był od niej gorszy.

Twarze pięciu ludzi, których zabiła, a także dwóch, którzy wciąż żyli. Młodego i energicznego Foscara, który dopiero od

niedawna był mężczyzną. No i oczywiście Orso. Wielkiego księcia Orso, który kochał ją jak córkę.

„Monzo, Monzo, cóż bym bez ciebie uczynił...”.

Zdarła z siebie koc i spuściła spocone nogi na podłogę, dygocząc pomimo gorąca, czując pulsujący ból głowy wywołany winem.

- Co robisz? - zaskrzeczał Dreszcz.

- Muszę zapalić. - Palce tak mocno jej drżały, że z trudem zapaliła lampę.

- Nie wydaje ci się, że powinnaś to ograniczyć?

- Zastanawiałam się nad tym. - Obracała w poharatanych palcach grudkę plew, boleśnie się krzywiąc. - Ale uznałam, że to zły pomysł.

- Jest środek nocy.

- Więc śpij.

- Pierdolony nałóg. - Usiadł na skraju łóżka, odwrócony do niej szerokimi plecami, zerkając surowo kątem zdrowego oka.

- Masz rację. Może powinnam się przerzucić na wybijanie zębów służącym. - Wzięła do ręki nóż i zaczęła siekać plewy. Wrzucała je do cybucha fajki, wznecając obłoczki pyłu. - Rogont nie był zachwycony.

- Jeszcze niedawno ty nie byłaś zachwycona Rogontem. Ale wygląda na to, że szybko zmieniasz zdanie o ludziach, prawda?

Głowa jej pękała. Nie miała ochoty na rozmowę, a już na pewno na kłótnię. Niestety, właśnie w takich chwilach ludzie kásają się najdotkliwiej.

- Co cię ugryzło? - odburknęła, dobrze znając odpowiedź, a zarazem nie chcąc jej usłyszeć.

- A jak myślisz?

- Wiesz co, mam wystarczająco dużo własnych problemów.

- Zostawiłaś mnie!

Nie zamierzała zmarnować takiej okazji.

- Zostawiłam?

- Dziś wieczorem! Zostałem po uszy w gównie, podczas gdy ty siedziałaś jak wielka pani obok Króla Zwłoki!

- Kurwa, myślisz, że to ja ustalałam, gdzie będziemy siedzieć?

- odparła kpiąco. - Posadził mnie tam, żeby lepiej wyglądać.
Przez chwilę milczeli. Dreszcz odwrócił głowę i się zgarbił.
- Cóż, ja rzeczywiście obecnie nie wyglądam za dobrze.
Wzdrygnęła się. Czuła się niezręcznie i była rozdrażniona.
- Rogont może mi pomóc. To wszystko. Foscari gdzieś tam jest,
razem z armią Orso. Foscari tam jest... - I musi umrzeć,
niezależnie od kosztów.

- Zemsta, co?

- Zabili mojego brata. Chyba nie muszę ci tego wyjaśniać.
Wiesz, jak się czuję.

- Nie, nie wiem.

Zmarszczyła brwi.

- A co z twoim bratem? Przecież mówiłeś, że zabił go
Krwawy-dziewięć. Myślałam...

- Nienawidziłem tego skurwiela. Ludzie nazywali go
odrodzonym Skarlingiem, ale był z niego kawał drania. Uczył
mnie wspinaczki na drzewa i łowienia ryb, łaskotał pod brodą i
śmiał się do mnie, kiedy ojciec był blisko. Ale gdy zostawialiśmy
sami, kopał mnie, aż traciłem oddech. Mówił, że zabiłem naszą
matkę. A ja tylko przyszedłem na świat. - W jego głuchym głosie
już nie było gniewu. - Kiedy się dowiedziałem, że umarł,
miałem ochotę się śmiać, ale płakałem, ponieważ tak robili
wszyscy. Poprzysiągłem zemstę jego zabójcy, bo tego wymaga
zwyczaj, a ja nie chciałem postąpić niegodnie. Ale kiedy
usłyszałem, że Krwawy-dziewięć przybił głowę mojego brata do
drzewca sztandaru, nie wiedziałem, czy mam go nienawidzić za
to, że to zrobił, czy może za to, że pozbawił mnie szansy
zrobienia tego samego. Albo ucałować z wdzięczności jak...
brata.

Przez chwilę miała ochotę wstać, podejść do niego i objąć go
ramieniem. Ale wtedy popatrzył na nią lodowato spod
przymrużonej powieki.

- No, ale ty chyba wiesz wszystko o całowaniu brata.

Nagle krew uderzyła jej do głowy, mocniej niż kiedykolwiek.

- To, co mnie łączyło z bratem, to tylko moja sprawa, do
kurwy nędzy! - Zdała sobie sprawę, że wymachuje w jego

kierunku nożem, i odrzuciła ostrze na stół. - Nie mam zwyczaju się tłumaczyć. A już na pewno nie swoim najemnikom!

- Tylko tym dla ciebie jestem, czy tak?

- A czym innym miałbyś być?

- Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem? Po tym, co straciłem?

Wzdrygnęła się, walcząc z drżeniem dłoni, silniejszym niż kiedykolwiek.

- Chyba dobrze ci płacę, prawda?

- Płacisz? - Nachylił się w jej stronę, wskazując swoją twarz. - A ile jest warte moje oko, ty wredna pizdo.

Warknęła, zerwała się z krzesła, chwyciła lampę, po czym ruszyła w stronę drzwi balkonowych.

- Dokąd idziesz? - Jego głos nagle stał się przymilny, jakby zrozumiał, że posunął się za daleko.

- Byle dalej od twojego uzalania się nad sobą, draniu, zanim się porzygam! - Gwałtownie otworzyła drzwi i wyszła na zimne powietrze.

- Monzo... - Siedział skulony na łóżku z przejmująco smutnym wyrazem twarzy. Przynajmniej na tej połowie, która wciąż była sprawna. Załamany. Bezradny. Zrozpaczony. Z przekrzywionym sztucznym okiem. Wyglądał, jakby zaraz miał się rozplakać, paść na kolana i błagać o wybaczenie.

Zatrzasnęła za sobą drzwi. Cieszyła się, że zyskała pretekst. Wolą krótkotrwałe poczucie winy wywołane odwróceniem się od niego niż niekończące się wyrzuty sumienia, które czuła, stojąc z nim twarzą w twarz. Zdecydowanie wolą.

Widok z balkonu zapewne należał do najbardziej oszałamiających na świecie. W dole rozciągała się Ospria, szaleńczy labirynt pokrytych zaciekami miedzianych dachów. Każdy z czterech poziomów miasta otaczał odrębny mur z blankami i wieżami. Za nimi tłoczyły się wysokie budynki z wiekowego bladego kamienia, z wąskimi oknami i paskami z czarnego marmuru, ciasno poustawiane wzdłuż stromych ulic oraz powykrzywianych alejek o tysiącu stopni, głębokich i mrocznych jak kaniony górskich strumieni. Kilka światel

płonęło w oknach rozproszonych po całym mieście, migoczące kropki pochodni wartowników wędrowały po ścianach. Za nimi dolina Sulvy tonęła w cieniu gór, widać było tylko słaby połysk rzeki na jej dnie. Na szczycie najwyższego wzgórza na drugim brzegu, na tle ciemnego aksamitu nieba widniały świetliste punkciki ognisk w obozowisku Tysiāca Ostrzy.

To nie było miejsce dla kogoś, kto cierpi na lęk wysokości.

Jednakże Monza miała inne sprawy na głowie. Chciała jak najszybciej sprawić, by wszystko przestało się liczyć. Wcisnęła się w najdalszy kąt, łapczywie pochylając się nad lampą i swoją fajeczką jak zmarznięty człowiek nad ostatnim językiem ognia. Chwyciła ustnik zębami, drżącymi rękami zdjęła grzechoczącą osłonkę, pochyliła się...

Nagły podmuch wiatru przesłonił jej oczy tłustymi włosami. Płomień zamigotał, po czym zgasł. Monza pozostała w kącie, nieruchomo wpatrując się w lampę z bolesnym niezrozumieniem, a następnie spoconym niedowierzaniem. Jej twarz zmartwiała z przerażenia, gdy do pulsującej bólem głowy dotarła świadomość tego, co się stało.

Nie ma ognia. Nie ma palenia. Nie ma powrotu.

Zerwała się na nogi, zbliżyła do balustrady i z całej siły cisnęła lampę w stronę miasta. Odchyliła głowę do tyłu, wzięła głęboki wdech, złapała się balustrady, pochyliła się i zaczęła rozdzierająco krzyczeć. Wykrzykiwała swoją nienawiść wobec spadającej lampy, wobec wiatru, który zdmuchnął płomień, wobec miasta rozciągającego się w dole, wobec leżącej za nim doliny, wobec świata i wszystkich jego mieszkańców.

Za dalekimi górami wściekle słońce zaczęło piąć się po niebie, otaczając mroczne zbocza plamami w kolorze krwi.

Koniec zwłoki

Cosca stał przed lustrem, dokonując ostatnich poprawek przy eleganckim koronkowym kołnierzu, obracając pięć pierścieni tak, by klejnoty były skierowane na zewnątrz, i starannie formując każdą kępkę brody. Przyjazny szacował, że przygotowania generała trwały od półtorej godziny. Dwanaście pociągnięć brzytwą po pasku do ostrzenia. Trzydzieści jeden ruchów, by przystrzyc zarost. Jedno małe zadraśnięcie pod brodą. Trzydzieści szarpnięć szczypczykami, żeby usunąć włosy z nosa. Czterdzieści pięć zapiętych guzików. Cztery haftki. Osiemnaście pasków do zaciągnięcia i sprzączek do zapięcia.

- No i gotowe. Paniczu Przyjazny, chciałbym żebyś objął stanowisko pierwszego sierżanta brygady.

- Nie znam się na wojnie. - Wiedział tylko, że jest szaleństwem, które wymyka się zdrowemu rozsądkowi.

- Nie musisz się znać. Twoja rola będzie polegała na trzymaniu się w pobliżu, trwaniu w złowrogim milczeniu, wspieraniu mnie i wykonywaniu moich rozkazów, gdy to będzie konieczne, a przede wszystkim na dbaniu o moje i własne bezpieczeństwo. Świat to zdradzieckie miejsce, przyjacielu! Czasami wymaga od nas rozlewu krwi, liczenia wypłacanych i otrzymywanych sum, szacowania liczby żołnierzy i sztuk broni oraz ilości zapasów pozostających do naszej dyspozycji...

To samo Przyjazny robił dla Sajaama, w Bezpiecznym Miejscu, a potem na wolności.

- Akurat z tym potrafię sobie poradzić.

- I to lepiej niż ktokolwiek inny! Czy mógłbyś zacząć od zapięcia tej sprzączki? Przekłęci płatnerze. Słowo daję, że

umieścili ją tutaj, żeby zrobić mi na złość. - Zatknął kciuk za boczny pasek złoczonego napierśnika, wyprostował się i wstrzymał oddech, wciągając brzuch, gdy Przyjazny zapinał sprzączkę. - Dziękuję, przyjacielu. Jesteś jak solidna skała! Jak kotwica! Jak oś spokoju, wokół której szaleńczo wiruję. Cóż bym bez ciebie zrobił?

Przyjazny nie zrozumiał pytania.

- To samo.

- Nie, nie. Nie to samo. Chociaż znamy się od niedawna, czuję, że łączy nas... coś w rodzaju więzi. Jesteśmy do siebie bardzo podobni.

Przyjazny czasami obawiał się każdego słowa, które musiał wypowiedzieć, każdego nowego człowieka i miejsca. Tylko dzięki liczeniu wszystkiego, co go otaczało, mógł jakoś przedrzeć się od poranka do wieczora. Z kolei Cosca płynął przez życie swobodnie jak płatek kwiatu niesiony wiatrem. Łatwość, z jaką rozmawiał z ludźmi, uśmiechał się i śmiał oraz skłaniał innych, by robili to samo, zakrawał na magię, nie mniej potężną od zdolności Gurkijki Ishri, która potrafiła pojawić się znikąd.

- Wcale nie jesteśmy podobni.

- Otóż to! Stanowimy swoje dokładne przeciwieństwa, jak ziemia i niebo, a jednak obaj nie mamy... czegoś, co dla innych jest oczywiste. Jakiejś części mechanizmu, który sprawia, że człowiek dostosowuje się do społeczeństwa. Tylko że obu nam brakuje innego kółka zębatego. Być może razem możemy uchodzić za jednego porządnego człowieka.

- Jedna całość z dwóch połówek.

- I to niezwykła całość! Na mnie nigdy nie można było polegać... nawet nie próbuj zaprzeczać.

Przyjazny nie miał takiego zamiaru.

- Ale ty, przyjacielu, jesteś człowiekiem lojalnym, wnikliwym, zdeterminowanym. Jesteś na tyle... uczciwy... że dzięki tobie i ja mogę się stać uczciwszy.

- Spędziłem większość życia w więzieniu.

- Gdzie niewątpliwie bardziej się przyczyniłeś do szerzenia

uczciwości wśród najniebezpieczniejszych styryjskich skazańców niż jakakolwiek władza! - Cosca poklepał Przyjaznego po ramieniu. - Uczciwi ludzie to taka rzadkość, że często bierze się ich za przestępców, buntowników albo szaleńców. Bo niby na czym polegała twoja zbrodnia, poza tym, że byłeś inny?

- Za pierwszym razem przesiedziałem siedem lat za włamanie. Kiedy złapali mnie ponownie, postawili mi osiemdziesiąt cztery zarzuty, między innymi oskarżyli o czternaście morderstw.

Cosca uniósł brew.

- Ale czy rzeczywiście byłeś winny?

- Tak.

Generał na chwilę się zasepił, po czym lekceważąco machnął ręką.

- Nikt nie jest doskonały. Zapomnijmy o przeszłości. - Po raz ostatni trącił pióro na kapeluszu i wcisnął go na głowę pod zawadiackim kątem. - Jak wyglądam?

Czarne buty do kolan ze spiczastymi czubkami i olbrzymimi złotymi ostrogami w kształcie byczych łbów. Napierśnik z czarnej stali ze złotymi ornamentami. Czarne atłasowe rękawy przecięte ukośnymi paskami żółtego jedwabiu, mankiety z sipańskiej koronki wiszące przy nadgarstkach. Szpada z ekstrawagancką połączoną osłoną rękojeści oraz dopasowany do niej sztylet, jedno i drugie zawieszane absurdalnie nisko. Ogromny kapelusz z żółtym piórem, które niemal ocierało się o sufit.

- Jak alfons, który stracił głowę u wojskowego krawca.

Cosca uśmiechnął się promiennie.

- Właśnie o coś takiego mi chodziło! A więc przejdźmy do rzeczy, sierżancie Przyjazny! - Otworzył szeroko kłapę namiotu, po czym wyszedł na jaskrawe światło słońca.

Przyjazny trzymał się blisko. Teraz na tym polegała jego praca.

Gdy tylko stanął na dużej beczce, rozległy się wiwaty. Rozkazał wszystkim oficerom z Tysiąca Ostrzy, by przyszedli wysłuchać jego przemowy, i rzeczywiście się zjawili; klaskali, pokrzykiwali, wiwatowali i gwizdali ze wszystkich sił. Z przodu kapitanowie, za ich plecami stłoczeni porucznicy, a z tyłu tłum podporuczników. W niemal każdej armii byliby to najlepsi i najbardziej błyskotliwi, najmłodszy i najlepiej urodzeni, najodważniejsi i najbardziej idealistycznie nastawieni żołnierze. Jednakże w brygadzie najemników jest dokładnie na odwrót. Ci, którzy służą najdłużej, mają największe skłonności do występku, są najbardziej przebiegłymi wiarołomcami, hienami cmentarnymi i największymi tchórzami, ludźmi pozbawionymi złudzeń, którzy dopuścili się największej liczby zdrad. Innymi słowy, kimś w rodzaju Coski.

Sesaria, Vietus i Andiche ustawili się obok beczki i delikatnie klaskali. Największe łotry ze wszystkich. Oczywiście, jeśli nie brać pod uwagę samego generała. Przyjazny stał tuż za nimi, z rękami skrzyżowanymi na piersi, i wodził wzrokiem po tłumie. Cosca zastanawiał się, czy olbrzym liczy zgromadzonych. Uznał, że to niemal pewne.

- Ależ nie! Ależ nie! Czyniecie mi zbyt wielki zaszczyt, chłopcy! Wasza sympatia mnie zawstydza! - Gestem uciszył odgłosy uwielbienia, aż zapadła pełna wyczekiwania cisza.

Pokryte bliznami, dziobate, spalone słońcem i trawione chorobą twarze zwróciły się w jego stronę. Głodne jak oblicza bandytów. Którymi zresztą byli.

- Odważni bohaterowie z Tysiąca Ostrzy! - Jego głos zabrzmiał donośnie pośród łagodnego poranka. - No, a przynajmniej odważni ludzie z Tysiąca Ostrzy. Choć może po prostu: ludzie!

Rozległy się śmiechy i okrzyki zadowolenia.

- Moi chłopcy, wszyscy dobrze mnie znacie. Niektórzy z was walczyli u mego boku... a przynajmniej przede mną.

Kolejne śmiechy.

- Pozostali słyszeli o mojej... nieskazitelnej reputacji.

I znów.

- Wiecie, że przede wszystkim jestem jednym z was. Owszem, jestem żołnierzem! Jak również wojownikiem, bez wątpienia! Ale chętniej wsuwam swój oręż do pochwy... - cicho chrząknął, łapiąc się za krocze - ... niż dobywam szpady! - Po czym poklepał rękojeść broni, wzbudzając ogólną wesołość. - Nikt nie powie, że nie jesteśmy mistrzami chlubnego wojennego rzemiosła! Z pewnością większymi niż pieski płaszczące się u stóp bogatych panów! Ludźmi o silnych ramionach! - Poklepał Sesarię po potężnej ręce. - Ludźmi o bystrych umysłach! - Wskazał porośniętą tłustymi włosami głowę Andiche'a. - Ludźmi żądnymi chwały! - Wskazał kciukiem Vietusa. - Nikt nie powie, że nie jesteśmy gotowi ryzykować, by osiągać nasze cele! Życzymy sobie jednak, by ryzyko było jak najmniejsze, a nagrody jak najbardziej obfite!

Kolejne głosy poparcia.

- Wasz pracodawca, młody książę Foscar, chciał, żebyście przeprawili się przez niższy bród i spotkali z wrogiem w otwartej bitwie...

Nerwowa cisza.

- Ale ja się sprzeciwiłem! Chociaż płaci wam, byście walczyli, powiedziałem, że wolicie zapłatę od walki!

Głośne wiwaty.

- Dlatego zamoczmy buty wyżej, napotykJając znacznie mniejszy opór! A cokolwiek się dzisiaj stanie, jakikolwiek spotka nas los, możecie być pewni, że dbam przede wszystkim... o wasze interesy! - Potarł palcem wskazującym o kciuk, wzbudzając jeszcze głośniejsze okrzyki radości. - Nie będę was obrażał, nawołując do odwagi, nieustępliwości, lojalności i honoru! Wiem, że macie ich aż w nadmiarze!

Ogólna wesołość.

- Zatem wracajcie do swoich jednostek, oficerowie Tysiąca Ostrzy, i czekajcie na mój rozkaz! Niech Pani Szcęścia zawsze będzie u naszego boku! W końcu najbardziej przyciągają ją ci,

którzy najmniej zasługują na jej pomoc! Niechaj ciemność zastanie nas zwycięzcami! Całymi i zdrowymi! A przede wszystkim bogatymi!

Rozległy się ożywione owacje. Najemnicy potrząsali tarczami i bronią, rękami odzianymi w kolczugi i zbroje, uniesionymi pięściami w rękawicach.

- Cosca!

- Nicomo Cosca!

- Nasz generał!

Gdy oficerowie zaczęli się rozchodzić, z uśmiechem zeskoczył z beczki. Sesaria i Vietus udali się do swoich regimentów - a raczej band oportunistów, przestępców i zbirów - żeby przygotować je do wymarszu. Cosca oddalił się w stronę szczytu wzgórza. Przed nim rozciągała się przepiękna dolina, strzępki mglistych obłoków kleiły się do zagłębień w jej zboczach. Ospria dumnie spoglądała ze szczytu góry, w świetle dnia piękniejsza niż kiedykolwiek, zbudowana z kremowego kamienia otoczonego niebiesko-czarnymi obmurowaniami, z miedzianymi dachami, z których większość pod wpływem lat zmieniała kolor na bladozielony, choć kilka niedawno naprawiono, tak że błyszcząły olśniewająco w porannym słońcu.

- Niezła przemowa - rzekł Andiche. - Jeśli ktoś lubi przemowy.

- Dziękuję. Ja lubię.

- Wciąż masz do tego smykałkę.

- Mój przyjacielu, służyłeś pod wieloma generałami, więc doskonale wiesz, że po objęciu dowodzenia następuje radosny okres, gdy żołnierze nie dostrzegają żadnych wad swojego przywódcy. Tak jak młoda żona wpatrzona w męża tuż po ślubie. Niestety, to nie trwa wiecznie. Sazine, ja, Murcatto, nieszczęsny Wierny Carpi, wszyscy doświadczyliśmy zmienności losu i każdy z nas został zdradzony bądź już nie żyje. Tak samo będzie ze mną. W przyszłości będę musiał ciężko pracować na oklaski.

Andiche wyszczerzył się w uśmiechu.

- Zawsze możesz powiedzieć, że robimy to dla idei.

- Ha! - Cosca usiadł na generalskim krześle ustawionym w pstrokatym cieniu rozłożystego drzewa oliwnego, skąd miał doskonały widok na połyskujące brody na rzece. - Niech szlag trafi wszystkie pieprzone idee! To tylko wymówki. Nikt nie postępuje tak bezmyślnie, brutalnie i z takim bezinteresownym okrucieństwem jak ludzie inspirowani sprawiedliwymi ideami. - Zmrużył oczy, spoglądając na wschodzące słońce, które lśniło jaskrawo na błękitnym niebie. - O czym się niewątpliwie przekonamy w nadchodzących godzinach...

Rogont dobył szpady z cichym brzękiem stali.

- Wolni obywatele Osprii! Wolni członkowie Ligi Ośmiu! Ludzie o wielkich sercach!

Monza odwróciła głowę i splunęła. Przemowy. Lepiej od razu ruszyć do ataku niż o tym opowiadać. Gdyby ona przed bitwą znalazła czas na przemowę, to uznałaby, że przegapiła właściwy moment, i wycofałaby się, żeby poczekać na kolejną okazję. Tylko człowiek pełen pychy uważa, że jego słowa mogą coś zmienić.

Dlatego nie dziwiła się, że Rogont tak dobrze się przygotował.

- Od dawna za mną podążacie! Od dawna czekacie na okazję, by udowodnić, ile jesteście warci! Dziękuję wam za cierpliwość! Dziękuję za odwagę! Dziękuję za wiarę! - Stał w strzemionach i uniósł szpadę wysoko nad głowę. - Dzisiaj będziemy walczyć!

Nie dało się zaprzeczyć, że wyglądał efektownie. Wysoki, silny i przystojny, z ciemnymi kręconymi lokami poruszonymi wiatrem. Zbroję miał wysadzaną lśniącymi klejnotami i tak wypolerowaną, że patrzenie na nią niemal sprawiało ból. Jego ludzie też się postarali. Na środku silnie opancerzona ciężka piechota, pod lasem halabard lub z pałaszami w dłoniach osłoniętych rękawicami. Na ich tarczach i niebieskich kasakach

widniał wizerunek białej wieży Osprii. Na skrzydłach lekka piechota, stojąca na baczność w skórzanych ubraniach wysadzanych ćwiekami, z pionowo sterczącymi pikami. Obok kusznicy w stalowych hełmach oraz łucznicy, w tym zakapturzeni wojownicy z długimi łukami. Tylko żołnierze z Affoi zgromadzeni po prawej stronie nieco psuli ten nieskazitelny obraz, mieli bowiem inną broń i stali nierówno. Mimo to, i tak wyglądali znacznie porządniej od ludzi, którymi Monza miała okazję kiedykolwiek dowodzić.

A to wszystko, zanim odwróciła się w stronę lśniącego szeregu kawalerii stojącej za jej plecami w cieniu zewnętrznego muru Osprii. Sami szlachetni i szlachetnie urodzeni, konie w błyszczących czaprakach, hełmy z rzeźbionymi herbami, pasiaste lance, wypolerowane i gotowe do zdobycia chwały. Wszystko jakby wyjęte ze źle napisanej opowieści.

Monza zacharczała i ponownie splunęła flegmą. Wiedziała z doświadczenia, którego jej nie brakowało, że czysti ludzie najchętniej ruszają do bitwy i najchętniej się z niej wycofują.

Rogont był zajęty wznoszeniem swojej retoryki na nowe wyżyny.

- Stoimy teraz na polu bitwy! Po latach ludzie powiedzą, że walczyli tutaj bohaterowie! Powiedzą, że tutaj decydowały się losy Styrii! Tutaj, przyjaciele, na naszej ziemi! W zasięgu wzroku naszych domostw! Przed wiekowymi murami dumnej Osprii!

Stojące najbliżej kompanie entuzjastycznie wiwatowały. Monza wątpiła, by reszta słyszała choć słowo. Wątpiła nawet, czy większość zgromadzonych widzi księcia. A nawet jeśli widzieli, to błyszczący punkcik w oddali raczej nie wzmocnił ich morale.

- Trzymacie los w swoich rękach! - Wcześniej ich los był w rękach Rogonta, który go roztrwonił. Teraz zależał od Coski i Foscara, którzy zamierzali zadbać o to, by okazał się krwawy.

- Za wolność! - A raczej efektowniejszą odmianę tyranii.

- Za chwałę! - Pełne chwały miejsce na błotnistym dnie rzeki.

Rogont szarpnął wolną ręką za wodze i poderwał

kasztanowego ogiera, który zaczął wymachiwać w powietrzu przednimi kopytami. Efekt nieco zepsuło kilka ciężkich klocków gówna, które w tej samej chwili wypuścił z tyłka. Rumak pomknął wzdłuż oddziałów piechoty, a kompanie wiwatowały na cześć przejeżdżającego księcia, jak jeden mąż unosząc włącznie i wydając z siebie donośny ryk. Mógłby to być imponujący widok, jednak Monza już to wszystko знаła i wiedziała, że nie prowadzi do niczego dobrego. Dobra przemowa nie zrekompensuje trzykrotnej przewagi liczebnej wroga.

Król Zwłoki podjechał do niej oraz reszty swojego sztabu, w którego skład wchodził ci sami obficie udekorowani i niedoświadczeni ludzie, którzy zrobili z siebie głupców w łaźni w Puranti, chociaż teraz byli wystrojeni do walki, a nie na paradę. Delikatnie mówiąc, nie czuli do niej sympatii. Delikatnie mówiąc, miała to gdzieś.

- Niezła przemowa - powiedziała. - Jeśli ktoś lubi przemowy.

- Dziękuję. - Rogont zawrócił konia i zrównał się z Monzą. - Ja lubię.

- Nigdy bym nie zgadła. Ładna zbroja.

- Podarunek od młodej hrabiny Cotardy.

Wianuszek dam obserwował ich ze szczytu zbocza, kryjąc się w cieniu miejskich murów. Kobiety siedziały na damskich siodłach, ubrane w jaskrawe suknie i połyskujące klejnoty, jakby przyjechały obejrzeć ślub, a nie rzeź. Cotarda, blada jak mleko i odziana w powłóczyście żółte jedwabie, nieśmiało pomachała do Rogonta, który energicznie odwzajemnił jej gest.

- Mam wrażenie, że jej wuj chciałby, żebyśmy się pobrali. Oczywiście, jeśli przeżyję dzisiejszy dzień.

- Młodzieńcza miłość. Moje serce się raduje.

- Niech pani powściągnie swą sentymentalną duszę, bo hrabina nie jest w moim typie. Wolę kobiety z odrobiną... pieprzyku. Ale to rzeczywiście ładna zbroja. Postronny obserwator mógłby mnie wziąć za bohatera.

- No cóż, „W rozpaczliwych chwilach bohaterów wypieka się nawet ze zgniłej mąki”, jak pisał Farans.

Rogont ciężko westchnął.

- Obawiam się, że mamy za mało czasu, by ten bochenek zdążył odpowiednio wyrosnąć.

- Myślałam, że kłopoty z rośnięciem niektórych rzeczy to tylko oszczercze plotki... - Dostrzegła coś znajomego w jednej z dam z otoczenia hrabiny Cotardy, ubranej prościej od swoich towarzyszek, długoszyjej i eleganckiej.

Kobieta odwróciła głowę, a następnie konia, po czym zaczęła zjeżdżać z trawiastego wzgórza. Monzie przebiegł po plecach lodowaty dreszcz.

- Co ona tutaj robi, do diabła?

- Carlot dan Eider? Zna ją pani?

- Znam. - Jeśli liczy się uderzenie kogoś w twarz w Sipani.

- To stara... przyjaciółka. - Wypowiedział to słowo w sposób wskazujący na coś więcej. - Przyszła do mnie, błagając o ochronę, gdyż czuła się zagrożona. Czy mogłem odmówić?

- A gdyby była brzydka?

Rogont wzruszył ramionami z delikatnym grzechotem stali.

- Przyznaję otwarcie, że jestem równie płytki jak wszyscy mężczyźni.

- Zacznie płytszy, Wasza Ekscelencjo.

Eider popędziła konia i podjechała do nich, uprzejmie się kłaniając.

- A któż to? Rzeźniczka z Caprile! - zawołała. - Myślałam, że jesteś tylko złodziejką, szantażystką, morderczynią niewinnych i zagorzałą zwolenniczką kazirodztwa! Ale widzę, że jesteś także żołnierzem.

- Carlot dan Eider, cóż za niespodzianka! Myślałam, że to bitwa, ale nagle zapachniało burdelem. Gdzie więc jesteśmy?

Eider uniosła brew, spoglądając na zgromadzone wojska.

- Sądząc po tych wszystkich ostrzach, to pewnie... bitwa? Ale ty powinnaś najlepiej się na tym znać. Widziałam cię u Cardottiego, a teraz widzę cię tutaj. Najwyraźniej równie swobodnie czujesz się w stroju wojowniczkki i dziwki.

- Los dziwnie się plecie, czyż nie? Ja się ubieram jak dziwka, a ty tak żyjesz.

- Może zamiast tego powinnam spróbować mordowania dzieci?

- Na litość boską, dosyć! - zachnął się Rogont. - Czy kobiety w moim towarzystwie zawsze muszą się popisywać? Czyżbyście nie zauważyły, że mam bitwę do przegrania? Tylko czekam, aż ta znikająca diablica Ishri wyskoczy z dupy mojego wierzchowca i wystraszy mnie na śmierć, uzupełniając wasze trio! Moja ciotka Sefeline była taka sama. Zawsze próbowała udowodnić, że to ona ma największego fiuta w towarzystwie! Jeśli to tylko poza, równie dobrze możecie to robić za murami, podczas gdy ja będę samotnie rozmyślał o swoim upadku.

Eider skłoniła głowę.

- Wasza Ekscelencjo, nie chciałabym przeszkadzać. Zamierzałam jedynie życzyć panu szczęścia.

- Na pewno nie masz ochoty walczyć? - odburknęła Monza.

- Och, istnieją inne sposoby walki poza taplaniem się w krwi i błocie, Murcatto. - Pochyliła się w siodle. - Sama zobaczysz! - syknęła.

- Wasza Ekscelencjo! - Piskliwy głos, do którego wkrótce dołączyły kolejne, fala podekscytowania rozlewająca się wśród jeźdźców.

Jeden z oficerów Rogonta wskazywał na rzekę i grzbiet przeciwległego zbocza doliny.

Na tle bladego nieba było widać ruch. Monza odwróciła konia, wyjęła pożyczoną lunetę i przyjrzała się szczytowi zbocza.

Jako pierwsi pojawili się rozproszeni jeźdźcy. Zwiadowcy, oficerowie i chorążowie trzymający białe sztandary z czarnym krzyżem Talinsu, wzdłuż krawędzi ozdobione nazwami wygranych bitew wyszytymi czerwoną i srebrną nicią. Monzie wcale nie poprawiało nastroju to, że przyłożyła rękę do znacznej liczby tych zwycięstw. Następnie pojawiła się szeroka kolumna żołnierzy z włóczniami na ramionach, którzy miarowo maszerowali po brązowym pasie imperialnej drogi w stronę niższego brodu.

Regiment idący na czele zatrzymał się i zaczął rozstawiać w

odległości około pół mili od wody. Następne kolumny nadciągały drogą, formując bitewne szeregi w całej dolinie. Monza nie dostrzegła niczego błyskotliwego w ich taktyce.

Mieli przewagę liczebną, więc nie musieli być sprytni.

- Talińczycy przybyli - mruknął Rogont.

Armia księcia Orso. Ludzie, u których boku walczyła jeszcze przed rokiem, prowadząc ich do zwycięstwa pod Słodkimi Sosnami. Ludzie, którymi dowodził Ganmark, zanim przygnoił go Stolicus. Ludzie, którymi teraz dowodzi Foscar, pełen entuzjazmu młodzieniec z puchem zamiast wąsów, który śmiał się razem z Benną w ogrodach Fontezarmo. Pełen entuzjazmu młodzieniec, którego poprzysięgła zabić. Przygryzła wargę, wodząc lunetą wzdłuż pierwszego szeregu zakurzonych żołnierzy, podczas gdy kolejne oddziały przelewały się przez wzgórze za ich plecami.

- Regimenty z Etrisani i Cesale na prawym skrzydle, trochę Baolińczyków po lewej stronie. - Obdarci ludzie ubrani w futra i ciężkie kolczugi, dzicy wojownicy ze wzgórz i gór na dalekim wschodzie Styrii.

- To zdecydowana większość regularnych wojsk księcia Orso. Ale gdzież są pani kamraci z Tysiąca Ostrzy?

Monza skinęła głową w stronę Wzgórza Menzesa, zielonego garbu usianego gajami oliwnymi, wznoszącego się powyżej górnego brodu.

- Dam głowę, że są tam, za szczytem. Foscar przekroczy dolny bród z całą armią, tak że będziecie musieli spotkać się z nim w polu. Kiedy będziecie zajęci bitwą, Tysiąc Ostrzy swobodnie przekroczą bród w górze rzeki, po czym zaatakuje was od skrzydła.

- To bardzo prawdopodobne. Co pani radzi?

- Trzeba było pojawić się na czas pod Słodkimi Sosnami, w Musselii albo na Wysokim Brzegu.

- Niestety, spóźniłem się na tamte bitwy. Teraz tym bardziej na nie nie zdążę.

- Trzeba było zaatakować już dawno. Zaryzykować, gdy maszerowali imperialną drogą z Puranti. - Monza popatrzyła ze

zmarszczonym czołem na dolinę i licznych żołnierzy zgromadzonych na obu brzegach rzeki. - Mają przewagę liczebną.

- Ale my jesteśmy lepiej ustawieni.

- Aby zająć tę pozycję, oddał im pan inicjatywę. Stracił szansę, by ich zaskoczyć. Znalazł się w pułapce. Generał dysponujący najmniejszymi siłami zawsze powinien atakować.

- To Stolicus, prawda? Nigdy nie podejrzewałem pani o rozległą wiedzę książkową.

- Znam się na swojej pracy, także na teorii.

- Zatem z całego serca dziękuję pani oraz pani przyjacielowi Stolicusowi za wskazanie moich błędów. Być może któreś z was pokusi się jeszcze o opinię na temat tego, jak mam odnieść sukces?

Monza wodziła wzrokiem po okolicy, szacując kąt nachylenia zboczy, odległości między Wzgórzem Menzesa a górnym brodem oraz między pasiastymi murami miasta i rzeką. Ich pozycja wydawała się lepsza, niż była w rzeczywistości. Rogont musiał zająć zbyt duży obszar i miał do tego zbyt mało ludzi.

- Teraz można zrobić tylko jedno. Uderzyć za pomocą wszystkich łuczników, gdy Talińczycy będą się przeprawiali przez rzekę, a kiedy znajdą się po drugiej stronie, zaatakować wszystkimi oddziałami piechoty. Zostawić tutaj kawalerię, by powstrzymała Tysiąc Ostrzy, kiedy oddział się pojawi. Szybko złamać opór Foscara, dopóki jego ludzie wciąż będą w rzece, a potem zająć się najemnikami. Oni nie będą czekać, jeśli zobaczą, że los im nie sprzyja. Ale złamać Foscara... - Popatrzyła na olbrzymią armię ustawioną w dwóch szeregach na szerokość całego brodu oraz na kolejne kolumny wypływane przez imperialną drogę. - Gdyby Orso uważał, że to możliwe, wybrałby bardziej, doświadczonego i mniej cennego dowódcę. Foscara ma ponad dwukrotną przewagę liczebną i musi tylko nas zatrzymać. - Popatrzyła w górę zbocza. Gurkijscy kapłani obserwowali bitwę, usadowieni niedaleko styryjskich dam, a ich białe szaty jaskrawo lśniły w świetle słońca, kontrastując z ponurymi ciemnymi twarzami. - Jeśli Prorok chce panu zesałać

cud, teraz byłaby na to dobra chwila.

- Niestety, posłał tylko pieniądze. Oraz dobre słowo.

Monza parsknęła.

- Będzie pan potrzebował czegoś więcej niż dobre słowo, by dzisiaj zwyciężyć.

- My będziemy potrzebowali - poprawił ją Rogont. - W końcu walczy pani u mojego boku. A tak przy okazji, po co pani to robi?

Ponieważ jest zbyt zmęczona i chora, by dalej walczyć samotnie.

- Wygląda na to, że nie potrafię się oprzeć przystojnym mężczyznom w dużych tarapatach. Kiedy pan trzymał wszystkie karty, ja walczyłam po stronie Orso. Proszę zobaczyć, jak skończyłam.

- Jak oboje skończyliśmy. - Wciągnął powietrze do płuc, po czym odetchnął z radością.

- Co tak pana cieszy, do diabła?

- Mam rozpaczać? - Rogont się uśmiechnął. Przystojny i skazany na zagładę. Być może te dwie cechy idą ze sobą w parze. - Prawdę mówiąc, czuję ulgę, że oczekiwanie dobiegło końca, niezależnie od tego, jak wielkie wyzwanie nas czeka. Ci, którzy noszą na swych barkach olbrzymią odpowiedzialność, muszą się nauczyć cierpliwości, jednak mnie ona nigdy nie pociągała.

- Cieszy się pan zgoła odmienną reputacją.

- Ludzie są bardziej skomplikowani niż ich reputacja, pani generał Murcatto. Powinna pani o tym wiedzieć. Dzisiaj ostatecznie załatwimy swoje sprawy. Koniec zwłoki.

Zawrócił konia, by naradzić się z jednym ze swoich asystentów, pozostawiając Monzę zgarbioną w siodle, z rękami bezwładnie spoczywającymi na łęku, wpatrzoną z zasepioną miną we Wzgórze Menzesa.

Monza zastanawiała się, czy jest tam Nicomo Cosca i patrzy na nich przez lunetę.

Cosca patrzył przez lunetę na żołnierzy na drugim brzegu rzeki. Byli jego wrogami, choć nie żywił wobec nich żadnej urazy. Pole bitwy to nie miejsce na osobiste porachunki. Nad nimi powiewały niebieskie flagi z białą wieżą Osprii, w tym jedna większa od pozostałych, obszyta złotą nicią. Sztandar samego Króla Zwłoki. Wokoło stali rozproszeni jeźdźcy, a także grupka elegancko ubranych dam, które najwyraźniej przyjechały obejrzyć bitwę. Cosce wydawało się nawet, że widzi gurkijskich kapłanów, choć nie wiedział, co mogłoby ich tutaj sprowadzić. Przez chwilę zastanawiał się, czy Monzcarro Murcatto też tam jest. Myśl, że mogłaby siedzieć w damskim siodle wystrojona w powłóczyście jedwabie bardziej pasujące do ceremonii koronacji, zapewniła mu chwilę radości, tak cennej na polu bitwy. Opuścił lunetę, pociągnął łyk z piersiówki i z zadowoleniem zamknął oczy, rozkoszując się promieniami słońca migoczącymi między gałęziami starych drzew oliwnych.

- No i? - rozległ się szorstki głos Andiche'a.

- Co? Och, no wiesz. Wciąż się ustawiają.

- Rigrat donosi, że Talińczycy rozpoczynają atak.

- Ach! Rzeczywiście. - Cosca wyprostował się, kierując lunetę w stronę grzbietu wzgórza po prawej stronie.

Pierwsze szeregi piechoty Foscara znajdowały się już blisko rzeki, równo rozstawione na usianej kwiatami murawie. Tłum żołnierzy przesłaniał twardą piaszczystą imperialną drogę. Cosca słyszał tupot ich stóp, bezcielesne okrzyki oficerów, regularne bębnienie niosące się w ciepłym powietrzu. Zaczął lekko wymachiwać jedną ręką w rytm uderzeń.

- Wspaniały pokaz wojskowego przepychu!

Przesunął swoje okrągłe okno na świat wzdłuż drogi, ku połyskującej, niespiesznie płynącej wodzie, a następnie na drugi brzeg i w górę zbocza. Ospriańskie oddziały rozstawiały się w odległości około stu kroków od rzeki, szykując się do starcia. Kusznicy sformowali długi szereg na wyżej położonym

terenie, po czym uklękli, przygotowując broń.

- Wiesz co, Andiche... Mam przeczucie, że już niedługo będziemy świadkami rozlewu krwi. Rozkaż ludziom, żeby tutaj przemaszerowali. Niech zatrzymają się pięćdziesiąt kroków za szczytem wzgórza.

- Ale... zostaną zauważeni. Stracimy element zaskoczenia...

- Srać na zaskoczenie. Niech zobaczą bitwę i sami się jej pokażą. Niech jej posmakują.

- Ależ generale...

- Wydaj rozkazy. Nie zwlekaj.

Andiche odwrócił się ze zmarszczonym czołem, po czym przywołał jednego ze swoich sierżantów. Cosca ponownie wygodnie się rozsiadł i westchnął z zadowoleniem, rozprostowując nogi i krzyżując stopy w wypolerowanych butach. To były dobre buty.

Ile czasu minęło, odkąd takie nosił? Pierwsi żołnierze Foscara już byli w rzece. Brnęli naprzód z ponurą determinacją, po kolana w lodowatej wodzie, niechętnie zerkając na znaczne siły zgromadzone na wzgórzu. Czekali, aż spadną na nich strzały. Czekali na rozpoczęcie szarży. Pokonywanie tego brodu to zadanie nie do pozazdroszczenia. Cosca był diabelnie zadowolony, że udało mu się z tego wykręcić.

Uniósł piersiówkę Morveera i zamoczył usta.

Dreszcz usłyszał niewyraźne okrzyki, wydawane rozkazy i grzechot kilkuset zwalnianych strzał. Kuznicy Rogonta wypuścili pierwszą salwę, a czarne drzazgi spadły na Talińczyków brodzących na płyciźnie.

Dreszcz poprawił się w siodle i delikatnie potarł swędzącą bliznę, patrząc, jak załamują się szeregi, powstają luki, opadają sztandary. Niektórzy żołnierze zwolnili, chcąc zawrócić, inni przyśpieszyli, pragnąc jak najszybciej dotrzeć na drugi brzeg. Strach i gniew, dwie strony tej samej monety. Nikt nie lubi

maszerować w trudnym terenie pod ostrzałem. Depcząc po trupach. Może po przyjaciołach. Wiedząc, że najłżejszy podmuch wiatru może sprawić, że strzała, która miała wbić się w ziemię obok twojej nogi, trafi cię w twarz.

Oczywiście, Dreszcz widział niejedną bitwę. Walczył w nich przez całe życie. Śledził ich przebieg, słuchał ich odgłosów w oddali, czekając na sygnał, by przyłączyć się do potyczki, szacując swoje szanse, starając się ukryć strach przed tymi, którymi dowodził i za którymi podążał. Pamiętał Czarną Studnię, bieg we mgle z walącym sercem, wzdryganie się na widok każdego cienia. Cumnur, gdzie z bojowym okrzykiem na ustach pędził w dół długiego zbocza razem z pięcioma tysiącami żołnierzy. Dunbrec, gdzie podążał za Ruddem Trójdrzewcem prowadzącym szarżę przeciwko Fenrisowi Groźnemu i niemal postradał życie, próbując utrzymać linię. Bitwę na Wysokich Szczytach, gdzie szankowie wylewali się z doliny, a szaleni Wschodni starali się wspiąć na mur, walcząc na śmierć i życie u boku Krwawego-dziewięć. Wspomnienia tak ostre, że można się było o nie pokaleczyć - zapachy, dźwięki, dotyk powietrza na skórze, rozpaczliwa nadzieja i wściekły gniew.

Patrzył na kolejne strzały wzbijające się w powietrze oraz na potężną armię Talinsu przekraczającą rzekę i nie czuł niczego poza ciekawością. Żadnego pokrewieństwa z którąkolwiek ze stron. Żadnego współczucia dla zmarłych. Żadnego strachu o swój los. Patrząc, jak ludzie padają pod ostrzałem, beknął, a lekkie pieczenie w gardle zmartwiło go bardziej, niż gdyby rzeka nagle wystąpiła z brzegów i zmyła tych wszystkich drani do oceanu. Zatopiła cały pierdolony świat. Gównu go obchodził wynik bitwy. To nie była jego wojna.

Nic dziwnego, że zastanawiał się, czy jest gotów w niej walczyć, zwłaszcza po przegranej stronie.

Przeniósł wzrok z bitewnego zamieszania na Monżę. Poklepała Rogonta po ramieniu, a Dreszcz poczuł się tak, jakby ktoś dał mu w twarz. Bolała go każda ich rozmowa. Wiatr na chwilę odgarnął czarne włosy z jej napiętej twarzy. Dreszcz nie

wiedział, czy ją kocha, pragnie jej, czy po prostu nie może się pogodzić z tym, że ona go nie chce. Była jak strup, którego nie można przestać drapać, jak rozbita warga, której nie można przestać gryźć, jak nitka, której nie można przestać ciągnąć, aż koszula rozpada się na kawałki.

Talińczycy w dolinie mieli większe kłopoty. Pierwszy szereg wygramolił się na brzeg, rozproszony na skutek przeprawy pod ostrzałem. Monza krzyknęła coś do Rogonta, a ten zawołał jednego ze swoich ludzi. Dreszcz słyszał, jak okrzyki pełzną w górę zboczy. Rozkaz do ataku. Ospriańska piechota opuściła włócznie, których ostrza utworzyły lśniąca falę. Ruszyli, najpierw powoli, potem coraz szybciej, w końcu przechodząc do truchtu, oddalając się od kuszników nieprzerwanie szyjących strzałami, zbiegając po długim zboczu w stronę migoczącej wody i Talińczyków usiłujących uformować szereg na brzegu.

Dreszcz patrzył, jak obie strony wpadają na siebie i łączą się w jedno. Po chwili do jego uszu dotarł niesiony wiatrem cichy odgłos zderzenia, a potem grzechot, trzask i brzęk metalu, jak uderzenia gradu w ołowiany dach. Ryki, jęki, wrzaski dobiegające znikąd. Kolejna porcja strzał spadła na żołnierzy, którzy wciąż brnęli poprzez wodę. Obserwując to wszystko, Dreszcz ponownie beknął.

W sztabie Rogonta panowała śmiertelna cisza. Wszyscy patrzyli w stronę brodu, z szeroko otwartymi ustami i oczami, bladymi twarzami i dłońmi ze zmartwienia kurczowo zaciśniętymi na wodzach. Talińczycy także wystawili kuszników, którzy posłali w stronę wrogów syczącą falę płasko lecących bełtów. Kilku żołnierzy upadło. Zabłąkany bełt wbił się w ziemię niedaleko jednego z oficerów Rogonta, płosząc jego konia, który niemal wyrzucił jeźdźca z siodła. Monza podjechała o krok albo dwa i stanęła w strzemionach, by lepiej widzieć. Jej pożyczona zbroja lśniła matowo w blasku porannego słońca. Dreszcz zmarszczył czoło.

Tak czy inaczej, był tutaj dla niej. Aby dla niej walczyć. Chronić ją. Spróbować naprawić to, co ich łączy. Albo może skrzywdzić ją tak, jak ona jego skrzywdziła. Zacisnął pięść,

wbijając paznokcie w dłoń. Knykcie wciąż miał obolałe po wybiciu zębów służącemu. Jednego był pewien, jeszcze ze sobą nie skończyli.

Czysty interes

W górnym brodzie woda płynęła powoli, migocząc w porannym słońcu i rozbijając się o kamienie na płyciźnie. Niewyraźny szlak poprowadził ich z drugiego brzegu między kilkoma rozproszonymi budynkami, a następnie przez sad i w górę długiego zbocza aż do bramy w zdobionym czarnymi obmurowaniami zewnętrznym murze Osprii. Nigdzie nie napotkali żywego ducha. Piechota Rogonta była zajęta dziką walką przy dolnym brodzie. Tylko kilka niewielkich oddziałów pozostało, by bronić kuszników, którzy strzelali jak najszybciej potrafili w tłum kłębiący się na środku rzeki.

Ospriańska kawaleria czekała w cieniu miejskich murów jako ostatnia rezerwa, ale była zbyt nieliczna i znajdowała się za daleko. Wyglądało na to, że nic nie stanie Tysiącu Ostrzy na drodze do zwycięstwa. Cosca delikatnie potarł szyję. W jego ocenie nadeszła idealna chwila do ataku.

Andiche najwyraźniej podzielał jego zdanie.

- Tam na dole robi się gorąco. Mam rozkazać ludziom, żeby wsiedli na koń?

- Jeszcze ich nie męczmy. Wciąż mamy dużo czasu.

- Jesteś pewien?

Cosca odwrócił się i zmierzył go wzrokiem.

- Czy sprawiam wrażenie niepewnego?

Andiche nadał dziobate policzki, po czym odszedł, by naradzić się ze swoimi oficerami. Cosca przeciągnął się, łącząc dłonie za głową i wrócił do obserwowania powoli toczącej się bitwy.

- O czym to ja mówiłem?

- O szansie, żeby to wszystko zostawić - odrzekł Przyjazny.

- A tak! Miałem szansę to wszystko zostawić. A jednak postanowiłem wrócić. Niełatwo się zmienić, prawda sierżancie? Doskonale rozumiem, że to bezcelowe marnotrawstwo, ale i tak to robię. Czy to czyni mnie gorszym, czy lepszym od człowieka, który uważa, że kieruje nim szlachetna idea? Albo od człowieka, który robi to dla zysku, ani przez chwilę nie zastanawiając się, co jest dobre, a co złe? A może wszyscy jesteśmy tacy sami?

Przyjazny tylko wzruszył ramionami.

- Ludzie umierają. Są masakrowani. Ich życie obraca się w gruzy. - Cosca mówił z takim zaangażowaniem, jakby recytował listę warzyw. - Poświęciłem pół życia zniszczeniu, a drugą połowę upartemu dążeniu do samozniszczenia. Niczego nie stworzyłem. Dałem światu tylko wdowy, sieroty, ruiny i cierpienie, być może bękarta albo dwa oraz całą masę wymiocin. Chwała? Honor? Moje szczynty są więcej warte, od nich przynajmniej rosną pokrzywy. - Jeśli zamierzał pobudzić swoje sumienie, to mu się nie udało. Wciąż pozostawało w uśpieniu. - Walczyłem w wielu bitwach, sierżancie Przyjazny.

- Ile ich było?

- Tuzin? Dwadzieścia? Może więcej? Granica pomiędzy bitwą a potyczką jest niewyraźna. Niektóre z oblężeń ciągnęły się bez końca i składały z wielu starć. Czy powinienem je liczyć pojedynczo, czy jako zbiór kilku bitew?

- To ty jesteś żołnierzem.

- Mimo to, nie znam odpowiedzi. Na wojnie nic nie jest proste. O czym to ja mówiłem?

- O wielu bitwach.

- A tak! Było ich wiele! I chociaż zawsze starałem się unikać zaangażowania w walkę, często mi się nie udawało. Dobrze wiem, jakie to uczucie znaleźć się w środku takiego zamieszania. Połyskujące ostrza. Pękające tarcze i łamiące się włócznie. Ścisk, gorąco, pot, smród śmierci. Drobne bohaterskie czyny i małostkowe świństwa. Dumne sztandary i prawi ludzie miażdżeni pod butami tłumu. Odrąbane kończyny, fontanny krwi, rozłupane czaszki, rozlane wnętrzności i cała reszta. -

Uniósł brwi. - W tych okolicznościach nie możemy także wykluczyć kilku utonięć.

- Jak wielu?

- Trudno dokładnie stwierdzić. - Cosca pomyślał o Gurkijczykach, którzy utonęli w kanale w Dagoście, odważnych ludziach zmiecionych do morza, ich trupach wyrzucanych przez przyływ, i przeciągle westchnął. - A jednak okazuje się, że mogę na to patrzeć bez większych emocji. Czy to oznaka bezwzględności? Czy może obojętności właściwej dowódcy? Czy to skutek ułożenia gwiazd przy moich narodzinach? Zawsze zachowuję optymizm w obliczu śmierci i zagrożenia. W większym stopniu niż w innych okolicznościach. Jestem szczęśliwy, gdy powinienem być przerażony, a zaleźniony, gdy powinienem być spokojny. Bez wątpienia jestem zagadką, nawet dla samego siebie. Jestem pomieszany człowiekiem, sierżancie Przyjazny! - Roześmiał się, potem zachichotał, wreszcie westchnął. - Wszystko we mnie jest wywrócone do góry nogami i na lewą stronę.

- Generale. - Andiche znów się nad nim pochylił, kołyszając rzadkimi włosami.

- Czego chcesz, na litość boską? Nie widzisz, że próbuję filozofować!

- Ospriańczycy są pochłonięci walką. Ich cała piechota ściera się z oddziałami Foscara. Nie mają żadnych rezerw poza kilkoma konnymi.

Cosca popatrzył w stronę doliny, mrużąc oczy.

- Widzę, kapitanie Andiche. Wszyscy wyraźnie to widzimy. Nie ma potrzeby objaśniać tego co oczywiste.

- Cóż... zmieciemy tych drani bez problemu. Wydaj rozkaz, generale, a ja się tym zajmę. Lepsza okazja już się nie pojawi.

- Dziękuję, ale tam na dole jest strasznie gorąco. Tutaj jest mi bardzo wygodnie. Może później.

- Ale dlaczego nie...

- Dziwi mnie, że po tylu latach uczestniczenia w kampaniach wciąż nie pojmujesz, czym jest hierarchia dowodzenia! Będzie ci znacznie łatwiej, jeśli zamiast przewidywać moje rozkazy, po

prostu na nie zaczekasz. To naprawdę jedna z najprostszych żołnierskich zasad.

Andiche podrapał się po głowie.

- Rozumiem tę ideę.

- Więc się do niej zastosuj. Poszukaj sobie wygodnego miejsca w cieniu, daj odpocząć nogom. Przestań biec donikąd. Weź przykład z mojej kozy. Czy widziałeś, żeby narzekała?

Koza na chwilę uniosła głowę znad trawy rosnącej pomiędzy drzewami oliwnymi i zamęczała.

Andiche oparł dłonie na biodrach, skrzywił się, popatrzył na dolinę, podniósł wzrok na Coscę, posłał surowe spojrzenie kozie, po czym odwrócił się i odszedł, kręcąc głową.

- Wszyscy tak bardzo się śpieszą, sierżancie Przyjazny. Czy nigdy nie zaznamy spokoju? Czy chwila odpoczynku z dala od słońca to tak wiele? O czym to ja mówiłem?

- Dlaczego on nie atakuje?

Kiedy Monza zobaczyła, jak Tysiąc Ostrzy rozstawia się na szczycie wzgórza - malutkie czarne sylwetki ludzi, koni i włóczy na tle błękitnego porannego nieba - wiedziała, że zaraz rozpoczną szarżę. Radośnie rozchlapując wodę, pokonają górny bród i zaatakują wojsko Rogonta od skrzydła, tak jak przewidziała. Tak jak ona by zrobiła. Żeby położyć krwawy kres bitwie, Lidze Ośmiu i jej nadziejom, jakiegokolwiek one są. Nikt nie zrywa łatwo dostępnych owoców chętniej niż Nicomo Cosca i nikt nie pożera ich szybciej niż ludzie, którymi kiedyś dowodziła.

Jednakże oddział najemników zatrzymał się w dobrze widocznym miejscu na szczycie Wzgórza Menzesa i tylko czekał. Nie wiadomo na co. Tymczasem Talińczycy Foscara kłębili się na brzegach przy dolnym brodzie, zmagając się z wodą, nieprzychylnym terenem i pochyłością wzgórza, nękani pikami Ospriańczyków Rogonta oraz strzałami spadającymi jak

deszcz na żołnierzy za pierwszą linią. Nurt unosił ciała, bezwładne kształty wyrzucane na brzeg i unoszące się na płycznach poniżej brodu.

A oddział Tysiąc Ostrzy wciąż się nie ruszał.

- Po co się pokazali, jeśli nie zamierzają schodzić? - Monza przygryzła wargę. - Cosca nie jest głupcem. Dlaczego zrezygnował z efektu zaskoczenia?

Księżę Rogont tylko wzruszył ramionami.

- Nie ma sensu narzekać. Im dłużej zwleka, tym lepiej dla nas, prawda? Foscar sprawia nam wystarczająco dużo kłopotów.

- Co on zamierza? - Monza podniosła wzrok na jeźdźców ustawionych wzdłuż grzbietu wzgórza obok gaju oliwnego. - Co ten stary drań knuje?

Pułkownik Rigrat wpadł między namioty na pokrytym pianą rumaku, rozpędzając kilku próżnujących najemników, po czym gwałtownie osadził wierzchowca w miejscu. Ześlizgnął się z siodła, prawie upadając, wyrwał stopę ze strzemiona, po czym pośpiesznie ruszył przed siebie, zdzierając rękawice, spocony i czerwony z wściekłości.

- Cosca! Nicomo Cosca, niech cię szlag!

- Pułkowniku Rigrat! Cóż za sympatyczny poranek, mój młody przyjacielu! Mam nadzieję, że wszystko w porządku?

- Dlaczego nie atakujesz? - Pułkownik wskazał palcem rzekę; najwyraźniej zgubił gdzieś buławę. - Toczmy walkę w dolinie! Bardzo ciężką walkę!

- Rzeczywiście. - Cosca pochylił się i płynnym ruchem wstał z generalskiego krzesła. - Może powinniśmy to przedyskutować z dala od żołnierzy. Nie wypada tak się przekomarzać. Poza tym płoszysz mi kozę.

- Co?

Cosca delikatnie poklepał zwierzę po grzbiecie.

- Tylko ona naprawdę mnie rozumie. Chodź do mojego namiotu. Mam tam owoce! Andiche! Dołącz do nas!

Oddalił się, a za nim podążyli gniewny Rigrat oraz zaskoczony Andiche. Minęli Nocaua, który z potężnym bułatem w ręku strzegł wejścia do namiotu, po czym zanurzyli się w chłodnym i ciemnym wnętrzu, otoczeni pamiątkami po dawnych zwycięstwach. Cosca z uczuciem przeciągnął dłonią po kawałku wytartego materiału o osmalonych brzegach.

- Ta flaga wisiała na murach Muris podczas oblężenia... czy naprawdę minęło już dwanaście lat? - Odwrócił się i zobaczył, jak Przyjazny wślizguje się do namiotu w ślad za innymi i staje obok wejścia. - Własnymi rękami zdjąłem ją z najwyższych blanków.

- Przedtem wyrwałeś ją z dłoni martwego bohatera, który dotarł tam pierwszy - odrzekł Andiche.

- Właśnie po to są martwi bohaterowie, by przekazywać kradzione flagi swoim bardziej roztropnym towarzyszom z dalszych szeregów. - Wziął miseczkę z owocami ze stołu i podsunął ją Rigratowi pod nos. - Niezdrowo wyglądasz, pułkowniku. Może winogrono?

Drżąca twarz mężczyzny kolorem przypominała owoce.

- Winogrono?! - Smagnął klapę namiotu rękawicami. - Domagam się, żeby pan natychmiast dał rozkaz do ataku! Żądam tego!

- Do ataku. - Cosca się skrzywił. - Przez górny bród?

- Tak!

- Zgodnie z doskonałym planem, który przedstawiłeś mi wczoraj wieczorem?

- Tak, do diaska! Tak!

- Szczerze mówiąc, nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności. Każdy przyzna, że uwielbiam atakować, ale problem w tym, że... widzisz... - Zapadła pełna napięcia cisza, gdy Cosca szeroko rozłożył ręce. - Gurkijska przyjaciółka księcia Rogonta dała mi taką górę pieniędzy, żebym tego nie robił.

Ishri pojawiła się znikąd. Powstała z cieni na skraju namiotu, dumnie wyslizgnęła się spomiędzy fałd dawnych sztandarów.

- Witam - powiedziała, a Rigrat i Andiche wbili w nią wzrok, obaj równie oszołomieni.

Cosca zerknął na delikatnie łopoczący dach namiotu i postukał się palcem w zaciśnięte usta.

- Dylemat. Moralna rozterka. Tak bardzo pragnę zaatakować, ale nie mogę zaatakować Rogonta. Nie mogę też wystąpić przeciwko Foscarowi, skoro jego ojciec tak sownie mnie wynagrodził. W młodości miotalem się, dając się targać podmuchom wiatru, ale staram się zmienić, pułkowniku, jak już tłumaczyłem poprzedniego wieczoru. Dlatego sumienie podpowiada mi, że jedyne, co mogę zrobić, to siedzieć tutaj. - Wrzucił do ust winogrono. - I niczego nie robić.

Rigrat parsknął i sięgnął po szpadę, ale Przyjazny go uprzedził, zaciskając potężną pięść na rękojeści jego broni, a drugą ręką dobywając lśniące noża.

- Nie, nie, nie. - Pułkownik znieruchomiał, gdy Przyjazny ostrożnie wysunął jego broń z pochwy i odrzucił ją w głąb namiotu.

Cosca złapał szpadę w locie i kilka razy machnął nią na próbę.

- Dobrze ostrze, pułkowniku, gratuluję przynajmniej wyboru broni, skoro nie mogę pochwalić strategii.

- Zapłaciły ci obie strony? Żebyś nie przyłączał się do walki? - Andiche uśmiechnął się od ucha do ucha, obejmując Coscę ramieniem. - Stary druhu! Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? Psiakrew, dobrze znów mieć cię z nami!

- Jesteś pewien? - Cosca sprawnym ruchem wbił mu szpadę Rigrata w pierś aż po rękojeść.

Andiche wytrzeszczył oczy, otworzył usta i wziął długi rżący oddech, a jego dziobata twarz wykrzywiła się, gdy spróbował krzyknąć. Zdołał tylko cicho zakasać.

Cosca się nachylił.

- Myślisz, że pozwolę, by ktoś zwrócił się przeciwko mnie? Zdradził mnie? Oddał komuś innemu moje stanowisko za garść srebrniaków, a potem uśmiechał się i udawał mojego przyjaciela? Pomyliłeś się co do mnie, Andiche. Śmiertelnie się

pomyliłeś. Być może rozweselałam ludzi, ale nie jestem błaznem.

Płaszcz najemnika lśnił od ciemnej krwi, jego drżąca twarz przybrała jaskrawoczerwony kolor, żyły na szyi napęczniały. Bezsilnie przeciągnął paznokciami po napierśniku Coski, a na jego ustach pojawiły się pęcherzyki krwi. Cosca puścił rękojeść, wytarł dłoń o rękaw Andiche'a, po czym go popchnął. Kapitan przewrócił się na bok, splunął krwią, cicho jęknął i znieruchomiał.

- Ciekawe. - Ishri przykucnęła obok zwłok. - Przyznam, że niełatwo mnie zaskoczyć. Czy to nie Murcatto ukradła ci stanowisko? Puściłeś jej to płazem?

- Z perspektywy czasu widzę, że jej opowieść dotycząca okoliczności zdrady nie pokrywa się z faktami. Ale mężczyzna potrafi wybaczyć pięknej kobiecie występki, których nie daruje brzydkiemu mężczyźnie. A jeśli czegoś nie jestem w stanie wytrzymać, to z pewnością nielojalności. W życiu trzeba być czemuś wiernym.

- Nielojalności? - zaskrzeczał Rigrat, który wreszcie odzyskał głos. - Zapłacisz za to, Cosca, ty zdradziecki...

Przyjazny wbił mu nóż w szyję, po czym szybko go wyszarpnął, a krew trysnęła na ziemię i zachlapała musseliańską flagę, którą zdobył Sazine w dniu utworzenia Tysiąca Ostrzy.

Rigrat upadł na kolana, jedną ręką trzymając się za gardło. Krew ściekała mu do rękawa. Przewrócił się na twarz, przez chwilę dygotał, po czym zamarł. Ciemny okrąg wykwitł na podłodze namiotu i połączył się z tym, który pełził od ciała Andiche'a.

- Ach - westchnął Cosca. Zamierzał uzyskać za Rigrata okup od rodziny, ale teraz było to wątpliwe. - To było... nieuprzejme z twojej strony.

- Och. - Skazaniec popatrzył ze zmarszczonym czołem na zakrwawiony nóż. - Myślałem... no wiesz. Podążałem za twoim przykładem. Jak przystało na pierwszego sierżanta.

- Jasne. Biorę całą winę na siebie. Powinienem wyrażać się bardziej konkretnie. Nie pierwszy raz mści się na mnie moja...

niekonkretność? Istnieje takie słowo?

Przyjazny wzruszył ramionami. Podobnie Ishri.

- No cóż. - Cosca delikatnie podrapał się po szyi i popatrzył na ciało Rigrata. - Z tego, co zdążyłem zauważyć, był irytującym, nadętym pyszałkiem. Ale gdyby to była poważna zbrodnia, połowa świata musiałaby zawisnąć na szubienicy, poczynając ode mnie. Być może miał wiele wspaniałych cech, z których nie zdawałem sobie sprawy. Jestem pewien, że powiedziałyby tak jego matka. Ale toczy się bitwa. Śmierć jest smutną koniecznością. - Podeszedł do wyjścia, przez chwilę zbierał siły, po czym gwałtownie odsunął klapę namiotu. - Pomocy! Na litość boską, niech ktoś nam pomoże!

Podbiegł z powrotem do ciała Andiche'a i przykucnął obok niego. Udało mu się znaleźć odpowiednio dramatyczną pozę, zanim Sesaria wpadł do namiotu.

- Na oddech Boga! - zakrzyknął kapitan, widząc dwa trupy. Za nim pojawił się Vietus z szeroko wytrzeszczonymi oczami.

- Andiche! - Cosca wskazał szpadę Rigrata, która wciąż tkwiła tam, gdzie ją zostawił. - Przebity! - Kiedyś zaobserwował, że ludzie w stanie wzburzenia często mówią rzeczy oczywiste.

- Niech ktoś wezwie lekarza! - ryknął Vietus.

- Lepiej kapłana. - Ishri zbliżyła się do nich zawadiackim krokiem. - On nie żyje.

- Co się stało?

- Pułkownik Rigrat przeszył go szpadą.

- Coś ty za jedna, do diabła?

- Ishri.

- To był człowiek o wielkim sercu! - Cosca delikatnie dotknął zbryzganej krwią twarzy Andiche'a o wytrzeszczonych oczach i rozdziawionych ustach. - Prawdziwy przyjaciel. Zasłonił mnie swoim ciałem.

- Andiche? - Sesaria nie wyglądał na przekonanego.

- Oddał życie... by mnie uratować. - Głos Coski załamał się, a generał otarł łzę z kącika oka. - Dziękuję Boginiom Losu, że sierżant Przyjazny zareagował tak szybko, w przeciwnym razie byłoby po mnie. - Uderzył pięścią w pierś Andiche'a, aż

zachlupotała ciepła krew, którą nasiąkł płaszcz kapitana. - To moja wina! Moja wina!

- Ale dlaczego? - warknął Vietus, patrząc surowym wzrokiem na trupa Rigrata. - To znaczy, dlaczego ten drań to zrobił?

- To moja wina! - zawył Cosca. - Rogont zapłacił mi, żebym nie przyłączał się do bitwy!

Sesaria i Vietus wymienili spojrzenia.

- Wzięłeś pieniądze... za to, że nie będziesz walczył?

- Olbrzymią sumę! Oczywiście podzielę ją według hierarchii.

- Cosca machnął ręką, jakby teraz to nie było istotne. - Wynagrodzenie za ryzyko dla każdego. Gurkijskie złoto.

- Złoto? - zagrmiał Sesaria, unosząc brwi, jakby Cosca wypowiedział magiczne słowo.

- Chętnie zatopiłbym je w morzu, byle tylko móc spędzić jeszcze jedną minutę w towarzystwie mojego przyjaciela! Usłyszeć jego głos! Zobaczyć jego uśmiech. Ale to już się nigdy nie stanie. On na zawsze... - Cosca zerwał z głowy kapelusz, delikatnie położył go na twarzy Andiche'a i zwiesił głowę - ...umilkł.

Vietus odchrząknął.

- O jakiej dokładnie ilości złota mówimy?

- Olbrzymiej... - Cosca pociągnął nosem. - To co najmniej tyle samo, ile zapłacił nam Orso, byśmy dla niego walczyli.

- Andiche nie żyje. To duża cena. - Wydawało się jednak, że Sesaria dostrzega także zalety tej sytuacji.

- Zbyt duża. Zdecydowanie. - Cosca powoli wstał. - Przyjaciele... czy moglibyście go pochować? Ja powinienem dalej obserwować bitwę. Musimy jakoś to przetrwać. Dla niego. Na szczęście, mamy coś na pocieszenie.

- Pieniądze? - spytał Vietus.

Cosca położył obu kapitanom dłonie na ramionach.

- Dzięki umowie, którą zawarłem, nie będziemy musieli walczyć. Andiche pozostanie jedyną ofiarą, którą dziś poniesie Tysiąc Ostrzy. Można powiedzieć, że umarł za nas wszystkich. Sierzancie Przyjazny! - Cosca odwrócił się i wyszedł na jaskrawe światło dnia.

Ishri bezszelestnie sunęła u jego boku.

- Niezłe przedstawienie - mruknęła. - Naprawdę powinieneś być aktorem, a nie generałem.

- Różnica między tymi dwoma zawodami nie jest aż tak duża, jak ci się wydaje. - Cosca podszedł do generalskiego krzesła i oparł się o nie, nagle czując się zmęczony i rozdrażniony. Zważywszy na długie lata obmyślania zemsty za Afieri, rezultat go rozczarował. Koniecznie musiał się napić. Znalazł piersiówkę Morveera, ale była pusta. Ze zmarszczonym czołem popatrzył w stronę doliny. Talińczycy toczyli rozpaczliwy bój na przestrzeni pół mili nad dolnym brodem, czekając na pomoc Tysiąca Ostrzy. Pomoc, która nigdy nie nadejdzie. Mieli przewagę liczebną, ale Ospriańczycy wciąż mocno się trzymali, ograniczali szerokość pola bitwy i tłamsili wrogów na płycznach. Walczący tłum falował i połyskiwał, w wodzie roiło się od żołnierzy i unoszących się ciał.

Cosca westchnął.

- Wy, Gurkijczycy, uważacie, że w tym wszystkim jest jakiś sens, prawda? Że Bóg ma plan i tak dalej?

- Słyszałam takie opinie. - Ishri przeniosła na niego spojrzenie czarnych oczu. - A na czym polega Boży plan według ciebie, generale?

- Od dawna podejrzewam, że na robieniu mi na złość.

Uśmiechnęła się. A przynajmniej jej usta uniosły się, odsłaniając ostre białe zęby.

- Wściekłość, paranoja i epicki egocentryzm w jednym prostym zdaniu.

- Czyli wszystkie cechy, których potrzebuje wybitny dowódca... - Osłonił oczy i popatrzył na zachód, w stronę górskiego grzbietu za liniami Talińczyków. - A oto i oni. Dokładnie o czasie.

Pojawiły się pierwsze flagi. Pierwsze połyskujące włócznie. Pierwsze oddziały armii, która robiła wrażenie bardzo licznej.

Los Styrii

- Tam. - Monza wskazała górski grzbiet osłoniętym rękawicą palcem wskazującym oraz, przy okazji także, oczywiście, małym palcem.

Kolejni żołnierze wyłaniali się z za szczytu w odległości mili albo dwóch na południe od miejsca, w którym pojawili się Talińczycy. Było ich wielu. Wyglądało na to, że Orso trzymał w zanadrzu kilka niespodzianek. Może to wsparcie ze strony sojuszników z Unii? Monza poruszyła obolałym językiem w ustach, po czym splunęła. Sytuacja z trudnej zmieniła się w beznadziejną. To niewielka zmiana, ale nikt jej nie lubi. Sztandary niesione na czele wojska załopotwały na wietrze i na chwilę się rozpostarły. Monza popatrzyła na nie przez lunetę, zmarszczyła czoło, potarła oko i spojrzała ponownie. Nie dało się z niczym pomylić muszli Sipani.

- Sipańczycy - mruknęła. Jeszcze przed kilkoma chwilami najbardziej neutralni z ludzi. - Dlaczego do diabła walczą dla Orso?

- A kto powiedział, że tak jest? - Kiedy odwróciła się w stronę Rogonta, księżę uśmiechał się jak złodziej, który właśnie zgarnął najbardziej pękatą sakiewkę w swojej karierze. Szeroko rozłożył ręce. - Niech się pani raduje, Murcatto! Oto cud, o który pani prosiła!

Zamrugęła.

- Są po naszej stronie?

- Jak najbardziej, a do tego na tyłach Foscara! Cóż za ironia, że to wszystko pani dzieło.

- Moje?

- Tylko i wyłącznie! Pamięta pani konferencję w Sipani

zwołaną przez tego mizdrzącego się mydłka Króla Unii? Wielka procesja zatłoczonymi ulicami, wiwaty na cześć jadących na czele Rogonta i Saliera, buczenie, gdy za nimi pojawili się Ario i Foscar.

- Owszem, i co z tego?

- Nie miałem zamiaru pojednać się z Ario i Foscarem, tak jak i oni nie chcieli pokoju ze mną. Zależało mi tylko na przeciągnięciu na swoją stronę starego kanclerza Sotoriusa. Próbowałem go przekonać, że kiedy Liga Ośmiu upadnie, chciwość księcia Orso nie pozwoli mu się zatrzymać na granicach Sipani, niezależnie od tego, czy ogłoszą neutralność. Że kiedy spadnie moja młoda głowa, jego znajdzie się na pieńku jako następna.

To bardzo prawdopodobne. Neutralność nie chroniła przed Orso, tak jak nie chroniła przed ospą. Ambicja księcia nie znała granic. To między innymi dlatego Monzie tak dobrze się dla niego pracowało, dopóki nie postanowił jej zabić.

- Jednak stary kurczowo trzymał się swojej cennej neutralności, jak kapitan uczepiony steru tonącego okrętu, a ja rozpaczliwie starałem się go od niej oderwać. Ze wstydem przyznaję, że w końcu naprawdę wpadłem w rozpacz i rozważałem porzucenie Styrii na rzecz przyjaźniejszego klimatu. - Rogont zamknął oczy i obrócił twarz w stronę słońca. - Ale wtedy nadszedł ten radosny dzień... - otworzył oczy i popatrzył na Monzę - ...gdy zamordowałaś księcia Ario.

Czarna krew tryskająca z bladej szyi, ciało wypadające przez otwarte okno, ogień i dym w płonącym budynku. Rogont uśmiechnął się chytrze jak magik objaśniający szczegóły ostatniej sztuczki.

- Sotorius był gospodarzem, a Ario znajdował się pod jego pieczęcią. Starzec wiedział, że Orso nigdy mu nie wybaczy śmierci syna. Wiedział, że Sipani czeka zagłada. Chyba że uda się powstrzymać Orso. Tamtej nocy zawarliśmy porozumienie, gdy Dom Uciech Cardottiego wciąż płonął. W sekrecie kanclerz Sotorius przyłączył Sipani do Ligi Dziewięciu.

- Dziewięciu - szepnęła Monza, patrząc, jak armia Sipani

maszeruje w dół łagodnego wzgórza ku brodom na rzece i niemal niebronionym tyłom Foscara.

- Długotrwały odwrót z Puranti, który uznała pani za błąd, dał mu czas na przygotowanie. Rozmyślnie wycofałem się w tę pułapkę, aby posłużyć jako przynęta w znacznie większych siłach.

- Jest pan sprytniejszy niż można się spodziewać.

- To łatwe. Moja ciotka zawsze powtarzała, że wyglądam jak osioł.

Ze zmarszczonym czołem popatrzyła na drugą stronę doliny na nieruchome oddziały zgromadzone na szczycie Wzgórza Menzesa.

- A co z Coscą?

- Niektórzy ludzie nigdy się nie zmieniają. Dostał bardzo duże pieniądze od moich gurkijskich sojuszników, by nie przyłączać się do bitwy.

Nagle Monza odniosła wrażenie, że rozumie świat mniej niż jej się wydawało.

- Proponowałam mu pieniądze. Nie chciał ich przyjąć.

- Coś podobnego, zważywszy na pani biegłość w negocjacjach. Nie chciał przyjąć pieniędzy od pani, ale wygląda na to, że Ishri przemawia w bardziej słodki sposób. „Wojna to tylko czubek ostrza polityki. Broń może zabijać ludzi, ale tylko słowa mogą ich poruszać, a dobrzy sąsiedzi to najpewniejszy schron podczas burzy”. Cytuję „Zasady Sztuki” Juvensa. To głównie brednie i przesady, ale rozdział o sprawowaniu władzy jest fascynujący. Powinna pani więcej czytać, generał Murcatto. Pani wiedza książkowa jest zbyt wąska.

- Późno zaczęłam - mruknęła.

- Będzie pani mogła swobodnie korzystać z mojej biblioteki, gdy już wyrznię Talińczyków i podbiję Styrię. - Uśmiechnął się, spoglądając w stronę dna doliny, gdzie armii Foscara groziło okrążenie. - Oczywiście, gdyby dziś wojskami Orso dowodził ktoś bardziej zaprawiony w boju niż młody książę Foscar, sprawy mogłyby się potoczyć zupełnie inaczej. Wątpię, by człowiek o talencie generała Ganmarka wpadł z taką łatwością

w moją pułapkę. Albo ktoś o doświadczeniu Wiernego Carpiego.
- Pochylił się w siodle, a jego twarz wykrzywił pełen satysfakcji uśmiezek. - Jednak ostatnio Orso doznał kilku niefortunnych strat wśród swoich dowódców.

Monza parsknęła, po czym odwróciła głowę i splunęła.

- Cieszę się niezmiernie, że mogłam pomóc.

- Nie poradziłbym sobie bez pani. Teraz musimy tylko utrzymać dolny bród, dopóki nasi dzielni sojusznicy z Sipani nie dotrą do rzeki, a potem zmiażdżyć ludzi Foscara z dwóch stron, topiąc ambicje księcia Orso na płycznach.

- To wszystko? - Monza posłała surowe spojrzenie w stronę rzeki.

Wojownicy z Affoi, obdarta czerwono-brązowa banda, która walczyła po prawej, zaniedbanej stronie pola bitwy, zostali odepchnięci od brzegu. Dwadzieścia kroków ubitego błota wystarczyło, by Talińczycy zyskali punkt oparcia. Teraz wyglądało na to, że część baolskich oddziałów pokonała głębszą wodę w górze strumienia i zaszła Affoiańczyków od skrzydła.

- Wszystko. Zresztą, wydaje się, że jesteśmy na najlepszej drodze do... ach. - Rogont również to zauważył. - Och.

Kolejni ludzie zaczęli odłączać się od walczących i wspinać w stronę miasta.

- Chyba dzielnym sojusznikom z Affoi znudziła się pańska gościnność.

Nastrój radosnego samozadowolenia, który przetoczył się przez sztab Rogonta, kiedy pojawili się Sipańczycy, szybko się rozwiął, gdy kolejne kropki zaczęły odłączać się od wybrzuszonych szeregów Affoiańczyków i rozbiegać na wszystkie strony. Kusznicy spoglądali nerwowo w stronę miasta. Niewątpliwie nie mieli ochoty na bliższe spotkanie z ludźmi, których od godziny zasypywali strzałami.

- Jeśli ci baolińscy dranie się przedrą, zaatakują pana ludzi od skrzydła i rozbiją całą linię. To będzie pogrom.

Rogont przygryzł wargę.

- Sipańczycy są oddaleni o niecałe pół godziny marszu.

- Doskonale. Akurat zdążą policzyć nasze trupy. A potem

swoje.

Księżę obejrzał się nerwowo w stronę miasta.

- Może powinniśmy się wycofać na mury...

- Nie mamy czasu, żeby wyplątać się tego zamieszania. Mimo pana talentu do odwrotów.

Księżę pobladł.

- To co zrobimy?

Nagle Monza odniosła wrażenie, że jednak doskonale rozumie świat. Z cichym brzękiem dobyła broni. To była kawaleryjska szabla, którą pożyczyła ze zbrojowni Rogonta: prosta, ciężka i zabójczo ostra. Księżę popatrzył na stal.

- No tak.

- Właśnie tak.

- W końcu przychodzi taka chwila, gdy człowiek musi odłożyć na bok roztropność. - Rogont zacisnął zęby, mięśnie z boku jego głowy się napięły. - Kawaleria. Za mną... - Jego głos zmienił się w gardłowy skrzek.

„Dla generała donośny głos jest wart tyle, co regiment wojska”, napisał Farans.

Monza stanęła w strzemionach i wrzasnęła na całe gardło:

- Kawaleria, ustawić się w formacji!

Oficerowie księcia zaczęli coś pokrzykiwać, pokazywać, wymachiwać szpadami. Jeźdźcy zbliżyli się i ustawili w długich szeregach. Uprzęże grzechotały, zbroje dzwoniły, lance stukwały o siebie nawzajem, konie parskały i grzebały kopytami w ziemi. Żołnierze zajmowali pozycje, ciągnąc za sobą niespokojne wierzchowce, klnąc i nawołując, zapinając paski hełmów i opuszczając przyłbice.

Baoilińczycy coraz skuteczniej się przebijali przez rosnące luki w rozbitych szeregach wojsk Rogonta na prawym skrzydle, jak wody przypływu przedzierające się przez ścianę z piasku. Monza słyszała ich przenikliwe okrzyki bojowe, gdy sunęli w górę zbocza, widziała powiewające poszarpane sztandary i błyski poruszającego się metalu. Szeregi łuczników ponad nimi szybko się rozpierzchnęły. Żołnierze porzucali łuki i kusze, uciekając w stronę miasta, mieszając się z umykającymi

wojownikami z Affoi oraz pojedynczymi Ospriańczykami, którzy zmienili zdanie. Zawsze ją zadziwiało, jak szybko armia może przestać istnieć, gdy ogarnie ją panika. To jak wyciągnięcie zwornika z konstrukcji mostu. W jednej chwili solidna i uporządkowana budowla może się obrócić w ruinę. Monza miała wrażenie, że właśnie znajdują się na progu takiej katastrofy.

Poczuła, że ktoś się z nią zrównał, i zobaczyła Dreszcza z toporem w jednej i wiodzami oraz ciężką tarczą w drugiej dłoni. Nie kłopotał się zbroją, tylko włożył koszulę z mankietami obszytymi złotą nicią. Tę, którą sama dla niego wybrała. Tę, którą mógłby nosić Benna. Teraz niezbyt mu pasowała. Wyglądała jak kryształowa obroża na psie-zabójcy.

- Myślałam, że może wróciłeś na Północ.

- Bez pieniędzy, które jesteś mi winna? - Jego oko zwróciło się w stronę doliny. - Jeszcze nigdy nie wycofałem się z walki.

- To dobrze. Cieszę się, że jesteś z nami. - W tej chwili to była prawda. Cokolwiek by mówić o Dreszczu, miał pożyteczny zwyczaj ratowania jej życia. Zdążyła odwrócić wzrok, zanim znów na nią spojrział. Musieli ruszać.

Rogont uniósł broń, a południowe słońce odbiło się od lustrzanego ostrza, rozbudzając na nim ogniste błyski. Zupełnie jak w opowieściach.

- Naprzód!

Zakłaskały języki, stuknęły obcasy, strzeliły wodze. Potężny szereg jeźdźców ruszył jak jedno zwierzę. Najpierw szli noga za nogą, konie drgały niespokojnie, parskwały, rzucały się na boki. Szereg rozciągał się i wyginał, gdy niecierpliwi ludzie i rumaki wyrwali się do przodu. Oficerowie pokrzykiwali, przywołując ich do porządku. Potem zaczęli jechać coraz szybciej, zbroje i uprzęże pobrzękiwały, a serce Monzy zabiło gwałtowniej. Czuła pobudzającą mieszankę lęku i radości, która pojawia się, gdy nie ma czasu na myślenie, a pozostaje tylko działanie. Baolińczycy ich zobaczyli i bezskutecznie usiłowali sformować równą linię. Gdy świat na chwilę nieruchomiał, Monza dostrzegała ich wykrzywione gniewem twarze, potargane

włosy, zmatowione kolczugi i poszarpane futra.

Błyszczące czubki lanc jeźdźców zaczęły się opuszczać, a kawaleria przyśpieszyła do kłusa. Zimne powietrze świstało w nosie Monzy, drażniło jej wysuszone gardło i płonęło w piersi. Nie myślała o bólu ani o plewach, których potrzebowała, by go ukoić. Nie myślała o tym, co zrobiła, ani o tym, co jej się nie udało. Nie myślała o swoim martwym bracie ani o ludziach, którzy go zabili. Po prostu z całej siły zaciskała dłonie na wodzach i szabli. Skupiała się na wrogach, którzy rozproszyli się po zboczu tracąc animusz. Byli zmęczeni i wyniszczeni walką w dolinie oraz biegiem pod górę. Poza tym, kilkaset ton szybko nadciągających końskich ciał może zaniepokoić każdego.

Ich na wespół uformowany szereg zaczął się rozpadać.

- Do ataku! - ryknął Rogont.

Monza przyłączyła się do okrzyku, słysząc obok siebie wrzask Dreszcza oraz krzyki i zawodzenie żołnierzy jadących w pierwszej linii. Mocno popędziła konia obcasami, a rumak skręcił, wyrównał bieg, po czym pogalopował w dół zbocza na złamanie karku. Kopyta bębniły o ziemię, błoto i trawa wylatywały w powietrze, zęby Monzy grzechotały. Dolina podskakiwała i drżała, migocząca rzeka szybko się przybliżała. Wiatr oślepiał Monzę. Gdy zamrugła załzawionymi oczami, świat na chwilę zmienił się w rozmazaną, połyskującą smugę, po czym znów nabrał bezlitosnej ostrości. Zobaczyła, jak Baolińczycy się rozpraszają i uciekają, porzucając broń. Kawaleria wpadła między nich.

Koń pędzący na czele oddziału nadział się na włócznie, której drzewce wygięło się i pękło. Potoczył się w dół zbocza, powiewając paskami i uprzężą, pociągając ze sobą włócznika i jeźdźca.

Monza widziała, jak lanca wbiła się w plecy biegnącego mężczyzny, rozerwała go od pośladków do ramion i wyrzuciła wirującego trupa w powietrze. Uciekających wrogów przebijano, sieczono, tratowano i łamano.

Jeden odbił się od piersi konia galopującego na przodzie,

dostał cięcie szablą w plecy, z wrzaskiem zahaczył o nogę Monzy, po czym został rozerwany na strzępy pod kopytami rumaka Rogonta.

Kolejny odrzucił włócznię i odwrócił się, a jego rozmazana twarz pobladła ze strachu. Monza machnęła szablą i poczuła opór, gdy ciężkie ostrze wbiło się głęboko w hełm przy wtórze głuchego łupnięcia.

Wiatr szumiał jej w uszach, kopyta wokół dudniły. Na zmianę śmiała się i wrzeszczała. Powaliła kolejnego przeciwnika, który próbował uciekać, niemal odrąbując mu rękę na wysokości ramienia, posyłając w powietrze strugi czarnej krwi. Kolejny zamaszty cios nie trafił w cel i Monza z trudem utrzymała się w siodle, gdy szabla pociągnęła ją w bok. Złapała równowagę w ostatniej chwili, ściskając wodze obolałą dłonią.

Przebili się przez Baolińczyków, pozostawiając za sobą ich porozrywane i zakrwawione trupy. Wokół leżały strzaskane lance oraz nagie miecze. Gdy zbliżyli się do rzeki, zbocze złagodniało. Ziemię pokrywały ciała żołnierzy Affoi. Przed sobą coraz bardziej szczegółowo widzieli gęsty tłum pochłonięty rzezią. Kolejni Talińczycy przekraczali bród, dołączając do bezmyślnej kotłowaniny na brzegach. Halabardy kołysały się i lśniły, ostrza błyskały, ludzie zmagali się i walczyli. Ponad szumem wiatru i własnym oddechem Monza słyszała szcęk metalu spleciony z głosami ludzi, jak odgłosy odległej burzy. Oficerowie jeździli na tyłach oddziałów, krzycząc i na próżno starając się zaprowadzić porządek w szaleństwie.

Świeży regiment Talińczyków zaczął się przepychać przez lukę, którą Baolińczycy utworzyli po prawej stronie - ciężka piechota, dobrze opancerzona. Okrążyli pole bitwy i teraz naciskali na ospriańskie linie od boku, a żołnierze w niebieskich mundurach starali się ich odeprzeć, ale powoli ulegali przeważającym liczebnie wrogom, gdyż z każdą chwilą od strony rzeki przybywały kolejne oddziały, systematycznie powiększając lukę.

Rogont, ubrany w lśniącą zbroję zbryzganą krwią, obrócił się

w siodle i wskazał ich szpadą, wykrzykując coś, czego nikt nie usłyszał. To i tak nie miało znaczenia. Już nie było odwrotu.

Talińczycy formowali klin wokół białego bitewnego sztandaru, czarny krzyż falował na wietrze, a oficer na czele oddziału wściekle dźgał powietrze, próbując zmobilizować swoich ludzi do stawienia czoła szarzy. Monza przez chwilę zastanawiała się, czy gdzieś go już nie spotkała. Mężczyźni uklękli, tworząc lśniący, opancerzony, najeżony halabardami wierzchołek klina. Z tyłu połowa ich towarzyszy wciąż ścierała się z Ospriańczykami, kłębiąc się w gąszczu grzechoczących ostrzy.

Monza ujrzała chmurę bełtów unoszącą się z tłumu w rzeczonym brodzie. Skrzywiła się, gdy ta pomknęła w jej stronę, i wstrzymała oddech, choć nie miało to żadnego sensu. Wstrzymywanie oddechu nie powstrzyma strzały. Bełty opadły wśród szeptów i grzechotania, trzasku przebijanej ziemi, dzwonienia na ciężkich zbrojach i głuchych uderzeń w ciała koni.

Jeden z wierzchowców, trafiony w szyję, wygiął ciało i przewrócił się na bok. Inny wpadł na niego, zrzucając jeźdźca, który wyleciał z siodła, wymachując kończynami. Jego lanca potoczyła się w dół zbocza w kłębowisku brył czarnej ziemi. Monza okrążyła pobojuwisko. Nagle coś odbiło się od jej napierśnika i uderzyło ją w twarz. Westchnęła i położyła się na siodle, czując ból policzka. Strzała. Pierzysko ją zadrapało. Otworzyła oczy i zobaczyła mężczyznę w zbroi, który chwycił bełt tkwiący mu w ramieniu, zadrżał, po czym spadł na bok, a galopujący koń pociągnął go za sobą za stopę, która utknęła w strzemieniu. Reszta żołnierzy pędziła dalej, omijając, przeskakując bądź tratując poległych.

W którymś momencie Monza musiała przygryźć sobie język. Splunęła krwią i ponownie spięła konia ostrogami, szczerząc zęby, czując w ustach zimne powietrze.

- Trzeba było zostać przy uprawie roli - szepnęła. Talińczycy pędzili jej na spotkanie.

Dreszcz nigdy nie rozumiał, skąd w każdej bitwie biorą się niecierpliwi głupcy, ale najwyraźniej tych drani zawsze było wystarczająco wielu, by urządzić nie lada pokaz. Tym razem pogalopowali w stronę białej flagi powiewającej na wierzchołku klina najeżonego mocno osadzonymi włóczyniami. Pierwszy wierzchowiec zatrzymał się przed dotarciem do celu, poślizgnął i stanął dęba, a jeździec z trudem utrzymał się w siodle. Następny rumak wpadł na niego i pchnął zwierzę razem z człowiekiem na lśniące groty, posyłając w powietrze fontannę krwi i drzazg. Kolejny zarył kopytami, zrzucając jeźdźca do przodu w błoto, gdzie żołnierze z pierwszej linii skwapliwie przeszli go ostrzami.

Rozsądniejsi jeźdźcy odbili na boki, omijając klin, jak strumień omija skałę, i uderzyli od skrzydła, gdzie włóczni nie osadzono w ziemi. Zaatakowani żołnierze zaczęli się przepychać z wrzaskiem, chaotycznie wymachując włóczyniami. Nikt nie chciał się znaleźć na pierwszej linii.

Monza pojechała w lewo, a Dreszcz podążył za nią, nie spuszczając z niej wzroku. Przed nimi dwa konie przeskoczyły nad kłębiącym się pierwszym szeregiem, dostając się w sam środek broniącego się oddziału. Jeźdźcy zaczęli na oślep zadawać ciosy szablami i buzdycami. Kolejne wierzchowce wpadły na stłoczonych żołnierzy, miażdżąc ich, tratując, rozrzucając na boki przy wtórze błagań o litość, przebijając się przez ich szeregi ku rzece. Monza powaliła jakiegoś potykającego się głupca, po czym zagłębiła się w tłumie, siekąc szablą na wszystkie strony. Jeden z włóczników trafił ją w naplecznik i niemal zrzucił z siodła.

Przypomniała sobie słowa Czarnej Dowa: „Nie ma lepszej okazji, by kogoś zabić, niż podczas bitwy, tym bardziej, jeśli chodzi o kogoś, kto jest po twojej stronie”. Dreszcz spiął konia ostrogami i zrównał się z Monzą, stając w strzemionach i wymachując toporem wysoko nad głową. Wyszczrzył zęby i z

rykiem uderzył włócznika w twarz, rozcinając ją i posyłając trupa na ziemię. Cios był tak silny, że topór nie zatrzymał się, tylko zatoczył łuk i pozostawił głębokie wgięcie w czyjejs tarczy, przewracając trzymającego ją człowieka pod kopyta konia jadącego obok. Może był to jeden z ludzi Rogonta, ale teraz nie była pora na zastanawianie się, kto jest kim.

Zabić wszystkich, którzy nie są na koniach. Zabić wszystkich na koniach, którzy staną mu na drodze.

Zabić wszystkich.

Dreszcz wydał z siebie bojowy okrzyk, taki sam jak ten, którego użył pod murami Adui, gdy odstraszyli Gurkijczyków samymi wrzaskami. Było to wysokie zawroźnienie rodem ze skutej lodem Północy, chociaż teraz Dreszcz był zachrypnięty i łamał mu się głos. Uderzał na wszystkie strony, niemal nie patrząc, kogo trafia. Ostrze topora pobrzękiwało, dudniło i łomotało, ludzie krzyczeli, bełkotali i piskliwie wrzeszczeli.

- Gińcie! Gińcie! Wracajcie do ziemi, skurwiele! - Dreszcz ryczał chrapliwie w języku Północy. Uszy wypełniał mu bezmyślny ryk i grzechot.

Wszędzie wokół widział falujące morze dżgających ostrzy, skrzypiących tarcz, błyszczącego metalu, bryzgającej krwi, wściekłych, przerażonych twarzy, wijących się ciał. Siekł je, ćwiartował i rozcinał jak szalony rzeźnik.

Jego mięśnie pulsowały gorącem, skóra płonęła aż po czubki palców, zalana potem w blasku palącego słońca. Naprzód, cały czas naprzód, razem z resztą stada, ku rzece, pozostawiając ślad strzaskanych ciał, martwych ludzi i koni. Tłum walczących rozstał się i Dreszcz znalazł się po drugiej stronie, a ostatni wrogowie rozbiegli się przed jego wierzchowcem. Wjechał pomiędzy dwóch uciekinierów, wpadając razem z nimi do płytkiej wody. Ciał jednego między łopatki, a drugiego na odlew w szyję, przewracając go do rzeki.

Zewsząd otaczali go jeźdźcy, którzy pędzili przez bród, wyrzucając w powietrze jaskrawe fontanny. Dostrzegł Monzę, która wciąż jechała przed nim, a teraz z trudem brnęła przez głęboką wodę, co chwila siekąc połyskującym ostrzem. Szarża

straciła impet. Pokryte pianą konie ugrzęzły na płyciźnie. Jeźdźcy młócili szablami pochyleni w siodłach, gniewnie powarkując, a żołnierze w odpowiedzi dźgali ich włóczniami, cięli po nogach i starali się trafić wierzchowce. Jeden z kawalerzystów runął do wody z przekrzywionym hełmem, a wrogowie zaczęli okładać go buzdycami, pozostawiając głębokie wgniecenia na ciężkiej zbroi.

Dreszcz stęknął, gdy ktoś chwycił go w pasie i odgiął do tyłu, rozrywając koszulę. Próbował trafić napastnika łokciem, ale nie mógł się odpowiednio zamachnąć. Czyjaś dłoń złapała go za głowę, palce wbiły się w pokrytą bliznami stronę twarzy, paznokcie zaczęły drapać martwe oko. Dreszcz ryczał, wierzgał i wił się, próbując uderzyć lewą ręką, ale ją także ktoś przytrzymał. Puścił tarczę i został zwleczony z konia do wody. Przetoczył się na bok, po czym dźwignął na kolana.

Młodzieniec w nabijanej ćwiekami skórzanej kamizeli stał obok niego w rzece, a mokre włosy zwieszały mu się wokół twarzy. Wpatrywał się w coś w swojej dłoni, coś płaskiego i połyskującego. Wyglądało jak oko. Ceramiczna wkładka, która jeszcze przed chwilą tkwiła w oczodole Dreszcza. Chłopak uniósł głowę i przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Nagle Dreszcz poczuł obok siebie jakiś ruch. Uchylił się, czując podmuch na mokrych włosach, gdy jego własna tarcza niemal otarła się o jego głowę. Obrócił się, prowadząc topór po szerokim łuku i wbił go komuś głęboko w żebra. Trysnęła fontanna krwi. Trafiony mężczyzna przechylił się, po czym z wrzaskiem runął do wody w odległości jednego albo dwóch kroków.

Kiedy Dreszcz się obrócił, młodzieniec właśnie ruszał na niego z nożem. Caul okręcił się, złapał napastnika za przedramię i przytrzymał. Zachwiali się, po czym obaj wpadli do zimnej wody, spleceni w walce. Dreszcz poczuł, że nóż drasnął go w ramię, ale on był znacznie potężniejszy i silniejszy od przeciwnika, więc szybko znalazł się na wierzchu. Zmagali się i szarpali, parskając sobie nawzajem w twarz. Woda obmywała głowę chłopaka. Dreszcz przesunął dłoń w górę

rękojeści topora, chwytając go tuż poniżej ostrza, a młodzieniec wolną ręką złapał go za nadgarstek, ale nie miał siły, by go powstrzymać. Dreszcz zacisnął zęby, po czym obrócił topór, tak że potężne ostrze znalazło się na szyi wroga.

- Nie - szepnął chłopak.

Na to był czas przed bitwą. Dreszcz napał na topór całym ciężarem, warcząc i pojękując. Młodzieniec wytrzeszczył oczy, gdy metal powoli wbił się w jego gardło; wnikał coraz głębiej i głębiej, a czerwona rana coraz bardziej się rozwierała. Lepka krew tryskała na rękę Dreszcza i na jego koszulę oraz do rzeki, gdzie zmywał ją nurt. Chłopak przez chwilę dygotał z szeroko otwartymi czerwonymi ustami, po czym sflaczał, wpatrzony w niebo.

Dreszcz z trudem wstał. Podarta koszula nasiąknięta krwią i wodą krępowwała mu ruchy. Zdarł ją z siebie, ale rękę miał tak niezdarną od ściskania tarczy, że jednocześnie wyrwał sobie pęk włosów z piersi. Rozejrzał się i zamrugał pod wpływem bezlitosnego blasku słońca. Ludzie i wierzchowce miotali się w lśniącej wodzie, niewyraźni i zamazani. Pochylił się i wyciągnął topór z na wpół przeciętej szyi chłopca, a skórzana owijka drzewca dopasowała się do jego dłoni jak klucz do zamka.

Ruszył pieszo poprzez wodę, szukając innych. Szukając Murcatto.

Oszłamiający przypływ energii, który wywołała w niej szarża, szybko słabł. Monzę bolało gardło od krzyczenia i nogi od ściskania boków konia. Prawa dłoń trzymająca wodze zmieniała się w powykrzywianą masę cierpienia, ręka, w której trzymała szablę, płonęła od palców aż po ramię, krew huczała w głowie. Monza obracała się, nie wiedząc, gdzie jest wschód, a gdzie zachód. Zresztą, teraz nie miało to już większego znaczenia.

„Na wojnie nie ma linii prostych”, pisał Verturio.

W rzece nie było żadnych linii, tylko jeźdźcy i piechota zaplątani w setkę zabójczych i bezmyślnych potyczek. Trudno było odróżnić przyjaciół od wrogów, a skoro nikt nie miał czasu się zastanawiać, różnica nie była istotna. Śmierć mogła nadejść z każdej strony.

Zobaczyła włócznię, ale za późno. Jej koń zadrżał, gdy grot wbił mu się w bok tuż obok nogi Monzy. Zarzucił łbem, wściekle łypiąc jednym okiem i tocząc pianę z wyszczerzonego pyska. Monza kurczowo chwyciła się lęku, gdy wierzchowiec skoczył do przodu. Włócznia wbiła się głębiej, zachlapując jej nogę gorącą krwią. Murcatto wrzasnęła bezsilnie, padając na ziemię ze stopami wciąż w strzemionach, a szabla wypadła jej z ręki, gdy bezskutecznie próbowała się czegoś złapać. Wpadła bokiem do rzeki, a siodło wbiło się jej w brzuch, odbierając oddech.

Znalazła się pod wodą, jej głowę wypełniało światło, a bąbelki powietrza przemykały wokół twarzy. Wpadła w sidła lodowatego nurtu oraz lodowatego strachu. Na chwilę wydostała się z ciemności na powierzchnię i do jaskrawego światła, a odgłosy bitwy ponownie zaatakowały jej uszy. Złapała gwałtownie powietrze, połknęła trochę wody, wykrztusiła ją, znów zaczerpnęła tchu. Lewą ręką szarpała siodło, usiłując się uwolnić, ale jej noga uwięzła pod rzucającym się ciałem konia.

Coś z trzaskiem uderzyło ją w czoło i na moment znalazła się pod wodą, oszołomiona i sflaczała. Jej płuca płonęły, ręce były jak z błota. Z trudem ponownie wydostała się na powierzchnię, ale coraz bardziej opadała z sił i zdołała tylko raz zaczerpnąć tchu. Błękitne niebo wirowało pokryte strzępami białych obłoków, jak wtedy, gdy spadała z Fontezarmo.

Słońce zamigotało w rytm jej rzęzącego oddechu, po czym rozmazało się i zalsniło, gdy przy wtórze zduszonego bulgotu rzeka zalała jej twarz. Nie pozostało jej wystarczająco dużo sił, by wydostać się z wody. Czy właśnie tak czuł się Wierny w ostatnich chwilach życia, gdy tonął na młyńskim kole?

Oto sprawiedliwość.

Czarny kształt przesłonił słońce. Dreszcz wyglądał, jakby

miał dziesięć stóp wzrostu, gdy nad nią stanął. Coś lśniło jaskrawo w jego okaleczonym oczodole. Zmarszczył czoło i powoli podniósł stopę, pozwalając, by woda ściekła z krawędzi podeszwy na jej twarz. Przez chwilę Monza była pewna, że postawi but na jej szyi i wepchnie ją pod powierzchnię. Ale wtedy z pluskiem upuścił nogę. Usłyszała, jak warczy, siłując się z trupem jej konia. Poczowała, że ciężar spoczywający na jej nodze lekko zelżał. Zaczęła się więc i stękać, zachłysnęła się wodą i ją wykrztusiła, aż w końcu uwolniła nogę, po czym niezdarnie się podzwignęła.

Dygotała oparta na rękach i kolanach, po łokcie zanurzona w skrzęcej się i migoczącej wodzie, a krople skapywały z jej mokrych włosów.

- Psiakrew - szepnęła. Każdy oddech wstrząsał jej obolałymi żebrami. - Psiakrew. - Czuła, że musi zapalić.

- Zbliżają się - odezwał się Dreszcz. Chwycił ją pod pachę i postawił na nogi. - Bierz broń.

Zatoczyła się pod ciężarem mokrych ubrań i zbroi w stronę trupa, który podskakiwał na wodzie, zaczepiony o kamień. Ciężki buzdygan z metalowym trzonkiem wciąż wisiał mu przy nadgarstku. Odczepiła go drżącymi palcami, po czym wyciągnęła długi nóż zza paska ofiary.

W samą porę. Szedł ku niej opancerzony mężczyzna. Uważnie stawiał stopy, zerkając na nią surowymi oczkami ponad krawędzią tarczy, a na jego sterczącym w bok ostrzu lśniły krople wody. Monza cofnęła się o krok albo dwa, udając, że jest wykończona. Nie musiała się specjalnie starać. Gdy zbliżył się o kolejny krok, zaatakowała. Trudno byłoby to nazwać skokiem. Raczej zmęczonym rzutem, nie była bowiem w stanie poruszać nogami w wodzie na tyle szybko, by nadążyły za resztą ciała.

Bezmyślnie zamachnęła się buzdyganem, który z brzękiem odbił się od jego tarczy. Ból przeszył jej rękę. Stęknęła i zwarła się z mężczyzną, po czym dźgnęła go nożem, ale ostrze ześlizgnęło się po boku napierśnika. Zachwiała się, gdy żołnierz staranował ją tarczą. Zobaczyła, że bierze zamach szablą, i

zdążyła się uchylić. Machnęła buzdyganem, ale trafiła tylko powietrze, tracąc przy tym równowagę i z trudem łapiąc powietrze. Niemal opadła z sił. Jego ostrze znów się uniosło.

Za plecami mężczyzny zobaczyła obłąkany uśmiech Dreszcza i czerwony błysk, gdy promienie słońca odbiły się od topora. Ostrze z głuchym łupnięciem rozplatało opancerzone ramię napastnika aż do klatki piersiowej, zachlapując twarz Monzy krwią. Zatoczyła się do tyłu, uszy miała pełne jego bulgoczącego wrzasku, a nos pełen jego krwi. Próbowwała otrzeć oczy grzbietem dłoni.

Pierwszym, co zobaczyła, była brodata twarz pod otwartą przyłbicą należąca do kolejnego żołnierza, który usiłował przebić ją włócznią. Próbowwała się wykręcić, ale trafił ją w klatkę piersiową. Grot ze zgrzytem ześlizgnął się po napierśniku i powalił ją na ziemię, a impet uderzenia zarzucił jej głowę do przodu. Upadła na plecy na płyciznie, a żołnierz ominął ją chwiejnym krokiem, wpadając w szczelinę w dnie rzeki i chlapiąc Monzie wodą w oczy. Z trudem podźwignęła się na jedno kolano; zakrwawione włosy oblepiały jej twarz. Mężczyzna odwrócił się, unosząc włócznię, by ponownie ją uderzyć. Okręciła się i wbiła nóż aż po rękojeść pomiędzy dwie płyty zbroi z boku kolana.

Pochylił się nad nią z wytrzeszczonymi oczami i szeroko otworzył usta do wrzasku. Monza z warknięciem poderwała buzdygan i zdzieliła go od dołu w szczękę. Jego głowa odskoczyła do tyłu, a w powietrze poleciały krople krwi i kawałki zębów. Mężczyzna na chwilę znieruchomiał z obwisłymi rękami. Wtedy uderzyła go buzdyganem w odsłonięte gardło. Gdy runął do rzeki, upadła na niego, po czym przetoczyła się i usiadła.

Wciąż otaczali ją ludzie, ale już nie walczyli. Stali lub siedzieli w siodłach, rozglądając się wokoło. Dreszcz wpatrywał się w nią z toporem w opuszczonej dłoni. Z jakiegoś powodu był do połowy rozebrany, a jego biała skóra była umazana i zachlapana krwią. Ceramiczna wkładka z jego oka zniknęła, a metalowa kulka w oczodole lśniła w promieniach

południowego słońca, upstrzona kropelkami wilgoci.

- Zwycięstwo! - wrzasnął ktoś.

Przez wodę zalewającą jej oczy Monza zobaczyła zamglony i drżący obraz mężczyzny na brązowym koniu, stojącego w strzemionach na środku rzeki, unoszącego wysoko nad głowę lśniące ostrze.

- Zwycięstwo!

Zbliżyła się chwiejnym krokiem do Dreszcza, a on upuścił zmaltretowany topór i podtrzymał ją, gdy zaczęła się przewracać. Chwyciła się go kurczowo i objęła prawą ręką za ramię. W lewej wciąż trzymała buzdygan, gdyż nie mogła rozewrzeć palców.

- Wygraliśmy - szepnęła, czując, że się uśmiecha.

- Wygraliśmy - odpowiedział, mocno ją ściskając, niemal unosząc w powietrze.

- Wygraliśmy.

Cosca opuścił lunetę, zamrugał i potarł oczy, z których jedno prawie oślepiło, po tym jak trzymał je zamknięte niemal przez godzinę, a drugie prawie oślepiło od przyciskania do okularu lunety.

- No i po wszystkim. - Niezręcznie poprawił się na generalskim krześle. Spodnie weszły mu w rowek w spoconym tyłku, więc musiał je wyciągnąć. - Wy, Gurkijczycy, chyba mawiacie, że cel uświęca środki, prawda?

Cisza. Ishri rozplynęła się w powietrzu równie szybko jak się pojawiła. Cosca przechylił się w drugą stronę, ku Przyjaznemu.

- Niezłe przedstawienie, co, sierżancie?

Skazaniec podniósł wzrok znad kości, posłał surowe spojrzenie w głąb doliny i nic nie odpowiedział. Przeprowadzona w samą porę szarża księcia Rogonta wyrwała olbrzymią lukę w jego szeregach, zmiażdżyła Baolińczyków, wbiła się w talińskie oddziały i rozbiła je w pył. To nie było w

stylu Króla Zwłoki. Prawdę mówiąc, Cosca był dziwnie zadowolony, dostrzegając w tej strategii zuchwałą rękę, a raczej pięść Monzcarro Murcatto.

Ospriańska piechota, uwolniona od zagrożenia na prawym skrzydle, całkowicie zablokowała wschodni brzeg dolnego brodu. Ich nowi sipańscy sprzymierzeńcy sprawnie przyłączyli się do bitwy, wygrali potyczkę z zaskoczoną tylną strażą Foscara i byli bardzo bliscy zajęcia zachodniego brzegu. Co najmniej połowa ludzi Orso - a raczej połowa spośród tych, którzy jeszcze nie leżeli martwi na zboczach i brzegach lub nie spłynęli twarzą do dołu w stronę morza - została uwięziona na płycznach pomiędzy obiema armiami i teraz składała broń. Druga połowa uciekała - czarne kropki rozrzucone po zielonych zboczach zachodniej części doliny. Tych samych zboczach, w dół których tak dumnie maszerowali zaledwie kilka godzin wcześniej, pewni zwycięstwa. Sipańska kawaleria ubrana w zbroje lśniące w ostrym południowym słońcu przemieszczała się grupkami po obrzeżach uciekającego tłumu, okrążając ocalałych.

- To już koniec, prawda, Vietusie?

- Na to wygląda.

- Teraz ulubiona część bitwy. Pogrom. - Chyba że jest się wśród przegranych. Cosca patrzył, jak malutkie postacie wylewają się z brodów i rozbiegają po zdeptanej trawie, i musiał odepchnąć od siebie lodowate wspomnienie o Afieri. Zmusił się do utrzymania na twarzy beztroskiego uśmiechu. - Nie ma to jak dobry pogrom, prawda, Sesario?

- Kto by pomyślał? - Olbrzym powoli pokręcił głową. - Rogont zwyciężył.

- Wielki księżę Rogont sprawia wrażenie bardzo nieprzewidywalnego i zaradnego człowieka. - Cosca ziewnął, przeciągnął się i mlasnął. - To moja bratnia dusza. Nie mogę się doczekać, gdy zacznę dla niego pracować. Może powinniśmy pomóc w sprzątaniu. - Przeszukiwaniu zabitych. - Trzeba wziąć jeńców przeznaczonych na okup. - Albo na zabicie i okradzenie, w zależności od statusu społecznego. - Skonfiskować

niepilnowane bagaże, żeby nie popsuły się na świeżym powietrzu. - Albo nie zostały przetrząśnięte bądź spalone, zanim oni zdążą na nich położyć ręce.

Vietus wyszczerzył zęby.

- Zadbam o to, żebyśmy mogli się im bliżej przyjrzeć.

- Otóż to, dzielny kapitanie Vietusie, otóż to. Słońce już się obniża i najwyższy czas ruszać. Byłby wstyd, gdyby poeci kiedyś napisali, że Tysiąc Ostrzy pojawiło się podczas Bitwy o Osprię... ale niczego nie zrobiło. - Cosca szeroko się uśmiechnął, tym razem z uczuciem. - Może coś zjemy?

Zwycięzca bierze wszystko

Czarny Dow zwykł mawiać, że jedyną rzeczą lepszą od bitwy jest bitwa, a po niej ostre rżnięcie, Dreszcz zaś nie mógł się z nim nie zgodzić. Wyglądało na to, że ona też, bo czekała na niego, gdy wtoczył się do ciemnego pokoju, naga jak niemowlę, wyciągnięta na łóżku, z dłońmi za głową i jedną długą, gładką nogą wycelowaną w jego stronę.

- Co tak długo? - spytała, kołysząc biodrami.

Kiedys uważał się za bystrego, ale w tej chwili błyskawicznie zareagował tylko jego fiut.

- Byłem... - Miał problem z myśleniem o czymkolwiek poza kępką czarnych włosów między jej nogami, a złość wyciekła z niego jak piwo z pękniętego słoja. - Byłem... no... - Zatrzasnął drzwi nogą i powoli do niej podszedł. - To chyba nieważne, prawda?

- Niezbyt. - Ześlizgnęła się z łóżka i zaczęła rozpinąć jego pożyczoną koszulę, zupełnie jakby to zaplanowali.

- Raczej się tego nie spodziewałem... - Wyciągnął rękę, niemal bojąc się jej dotknąć, na wypadek gdyby się okazało, że to tylko sen. Powiódł opuszkami palców po jej obnażonych rękach pokrytych gęsią skórką. - Nie po naszej ostatniej rozmowie.

Zanurzyła palce w jego włosach i pociągnęła jego głowę w dół, dysząc mu prosto w twarz. Pocałowała go w szyję, potem w podbródek, wreszcie w usta.

- Mam sobie pójść? - Zaczęła delikatnie ssać jego wargi.

- Ani mi się, kurwa, waż - wychrypiał.

Rozpięła mu pasek, sięgnęła w głąb i wyciągnęła fiuta. Zaczęła go masować jedną dłonią, podczas gdy jego spodnie powoli się zsunęły, zaczepiając o kolana, a sprzączka paska

zaszurała o podłogę.

Całowała go chłodnymi ustami w pierś i brzuch, łaskotała językiem. Jej dłoń wślizgnęła się pod jego klejnoty. Była zimna i drażniąca, więc wzdrygnął się i pisnął jak kobieta. Usłyszał ciche mlaskanie, gdy objęła go wargami. Stał lekko pochylony na drżących kolanach z szeroko otwartymi ustami. Jej głowa zaczęła powoli poruszać się w tył i w przód, a on bezmyślnie kołysał biodrami w tym samym rytmie, postępując jak świnia przy korycie.

Monza otarła usta ręką, po czym wślizgnęła się na łóżko, pociągając go za sobą. Całował jej szyję, mostek, skubał piersi, powarkując jak pies przy kości.

Zmarszczył brwi, gdy uniosła kolano i przeturlała go na plecy. Lewą stronę jego twarzy skrywała ciemność, na prawej tańczyły cienie wywołane zmiennym światłem lampy. Delikatnie przesunął palcami wzdłuż blizn na jej żebrach. Odtrąciła jego dłoń.

- Mówiłam ci. Spadłam z góry. Zdejmuj spodnie.

Szybko je ściągnął, ale zaplątały mu się wokół kostek.

- Zaraza, psia mać, gówniane... Aha!

Wreszcie je odrzucił, a ona ponownie pchnęła go na plecy i wspięła się na niego. Przesunął jedną dłoń w górę jej uda i zaczął poruszać wilgotnymi palcami między jej nogami. Przez chwilę nie zmieniała pozycji, warcząc mu prosto w twarz, czując jego przyśpieszony oddech, napierając na jego dłoń, podczas gdy jego kutas ocierał się o wewnętrzną stronę jej uda...

- Ach, poczekaj! - Odsunął się, usiadł i, krzywiąc się, zaczął poprawiać skórę na końcu fiuta. - Już. No chodź!

- To ja zdecyduję kiedy. - Przesunęła się do przodu na kolanach, odszukała właściwy punkt, po czym delikatnie na niego naparła, tak że wszedł w nią tylko do połowy.

- Och. - Oparł się na łokciach, na próżno próbując wcisnąć się głębiej.

- Ach. - Pochyliła się nad nim, łaskocząc go po twarzy włosami, a on uśmiechnął się i złapał je zębami.

- Och-uch. - Wepchnęła mu kciuk w usta i przechyliła jego głowę w bok, a on zaczął go ssać i gryźć, po czym chwycił ją za nadgarstek, polizał jej dłoń, podbródek, a w końcu język.

- Ach. - Napierała na niego, uśmiechając się i mruczając gardłowo w odpowiedzi na jego pomruki.

- Och.

Trzymała jedną dłonią nasadę jego penisa i ocierała się o jego koniec, cały czas zanurzając go w sobie tylko do połowy. Drugą ręką objęła głowę Dreszcza, przyciskając jego twarz do swoich piersi, podczas gdy on je chwycił, ścisnął i gryzł.

Przesuwała palcami pod jego szczęką, czubkiem kciuka lekko dotykając zmasakrowanego policzka, łaskocząc, drażniąc, drapiąc. Poczul nagle ukłucie złości, mocno złapał ją za nadgarstek i zrzucił z siebie, a gdy uklękła, wykręcił jej rękę za plecami, po czym wepchnął twarz w prześcieradło, aż westchnęła.

Mruczał coś w mowie Północy, choć sam nie wiedział co. Czuł palącą potrzebę, żeby zrobić jej krzywdę. Zrobić krzywdę sobie. Wolną ręką chwycił ją za włosy i mocno przycisnął jej twarz do ściany, powarkując i pojękując na nią od tyłu, podczas gdy ona stękała i wzdychała z szeroko otwartymi ustami, a włosy przesłaniające jej twarz powiewały z każdym oddechem. Cały czas wykręcał jej rękę. Sięgnęła do tyłu, złapała go za nadgarstek i pociągnęła na siebie.

Och, och, bezmyślne stękanie. Skrzyp, skrzyp, jęczenie łóżka. Chlup, chlup, głośne klaskanie jego skóry o jej tyłek.

Monza jeszcze kilka razy poruszyła biodrami. Z każdym jej ruchem on wydawał z siebie cichy okrzyk, odchylając do tyłu głowę, a na jego szyi rysowały się napęczniałe żyły. Z kolei ona z każdym ruchem warczała przez zaciśnięte zęby, napinając mięśnie aż do bólu. W końcu się rozluźniła. Jeszcze przez chwilę pozostawała pochylona, bezwładna jak mokre liście, czując w krtani chrapliwy oddech. Skrzywiła się, a on zadrzał, gdy przycisnęła się do niego po raz ostatni. Potem ześlizgnęła się z niego, chwyciła prześcieradło i się nim wytarła.

Leżał na plecach, a jego spocona pierś szybko falowała. Miał szeroko rozłożone ręce i wpatrywał się w pozłacany sufit.

- A więc to takie uczucie, zwyciężyć. Gdybym wiedział, już wcześniej bym zaryzykował.

- Nie, nie zrobiłbyś tego. Jesteś Królem Zwłoki, pamiętasz?

Popatrzył w dół na swojego wilgotnego fiuta i popchnął go w jedną, a potem w drugą stronę.

- Cóż, w niektórych sprawach nie warto się śpieszyć...

Dreszcz rozwarł palce, zdarte, pokryte strupami i zadrapaniami, szorstkie po ściskaniu rękojeści topora przez cały dzień. Pozostawił na jej nadgarstku białe ślady, które powoli różowiały. Odchylił się do tyłu, siadając na piętach. Jego ciało oklapło, obolałe mięśnie się rozluźniły, płuca ciężko wciągały powietrze. Pożądanie zgasło, a razem z nim wściekłość. Na razie.

Zagrzechotał naszyjnik z czerwonych kamieni, gdy przetoczyła się w jego stronę. Położyła się na plecach z cyckami rozpląszczonymi na żebrach, sterczącymi kośćmi miednicy i obojczykami. Skrzywiła się, obracając dłońią i masując nadgarstek.

- Nie chciałem zrobić ci krzywdy - mruknął, nieudolnie kłamiąc, choć niezbyt go to obchodziło.

- Och, nie jestem taka delikatna. A ty możesz do mnie mówić

Carlot. - Delikatnie otarła mu usta opuszką palca. - Myślę, że znamy się już wystarczająco dobrze...

Monza zgramoliła się z łóżka i podeszła do biurka na słabych, obolałych nogach, klaskając bosymi stopami o zimny marmur. Na blacie obok lampy leżały plewy. Lśniło ostrze noża, połyskiwał wypolerowany cybuch fajki. Usiadła przy biurku. Wczoraj nie byłaby w stanie powstrzymać drżących dłoni. Dziś, pomimo dręczącego ją legionu nowych bólów, skaleczeń i zadrapań pozostałych po bitwie, plewy nie przyzywały jej tak donośnym głosem. Uniosła lewą dłoń, na której knykciach zaczynały się tworzyć strupy, i popatrzyła na nią ze zmarszczonym czołem. Była nieruchoma.

- Nie podejrzewałam, że może mi się udać - wyszeptała.

- Co?

- Pokonać Orso. Myślałam, że dopadnę trzech, może czterech, zanim mnie zabiją. Nie przypuszczałam, że przetrwam tak długo. Że mogę tego dokonać.

- A teraz można powiedzieć, że okoliczności ci sprzyjają. Jak szybko można rozniecić nadzieję.

Rogont stanął przed wysokim lustrem ozdobionym kolorowymi kwiatami rzeźbionymi z visserińskiego szkła. Patrząc, jak się pręży, nie mogła uwierzyć, że kiedyś sama była taka próżna. Ileż godzin zmarnowała na mizdrzeniu się przed lustrem. Razem z Benną wydali fortunę na ubrania. Upadek ze szczytu góry, okaleczone ciało, zmasakrowana ręka i pół roku życia jak zaszczuty pies skutecznie ją z tego wyleczyły. Może powinna zaproponować takie samo lekarstwo Rogontowi.

Książę po królewsku uniósł podbródek i nadał pierś. Zmarszczył brwi, po czym oklapł, przyciskając palec do długiego zadrapania tuż pod obojczykiem.

- Psiakrew.

- Skaleczyłeś się pilnikiem do paznokci?

- Wiedz, że tak poważna rana zadana szablą mogłaby zabić słabszego człowieka! Ale ja zniosłem ją bez skargi i walczyłem dalej jak tygrys, a krew spływała całymi strumieniami po mojej zbroi! Podejrzewam, że zostanie mi blizna.

- Niewątpliwie będziesz ją dumnie nosił. W tym celu możesz wyciąć otwory we wszystkich swoich koszulach.

- Gdybym nie był mądrzejszy, mógłbym pomyśleć, że się ze mnie nabijasz. Zdajesz sobie sprawę, że jeśli wszystko potoczy się zgodnie z moim planem, a jak dotąd tak było, to wkrótce będziesz kierowała swoje sarkastyczne komentarze do króla Styrii. Zresztą, już zamówiłem dla siebie koronę u Zobena Casouma, światowej sławy jubilera z Corontiz...

- Zapewne wykonaną z gurkijskiego złota.

Rogont przez chwilę milczał, marszcząc brwi.

- Świat nie jest taki prosty, jak ci się wydaje, Murcatto. Toczy się wielka wojna.

Prychnęła.

- Myślisz, że mi to umknęło? Żyjemy w Krwawych Latach.

Teraz to on prychnął.

- Krwawe Lata to tylko najświeższa potyczka. Ta wojna rozgorzała, zanim my przyszliśmy na świat. Walka pomiędzy Gurkijczykami a Unią. A przynajmniej pomiędzy siłami, które ich kontrolują, czyli kościołem Gurkhulu a unijnymi bankami. Cały świat jest ich polem bitwy, a każdy człowiek musi się opowiedzieć po którejś ze stron. Pomiędzy nimi są tylko trupy. Orso popiera Unię, ma wsparcie banków. Ja również mam... protektorów. Każdy mężczyzna musi przed kimś klękać.

- Być może nie zauważyłeś, ale nie jestem mężczyzną.

Rogont znów się uśmiechnął.

- Ależ zauważyłem. To był drugi powód tego, że się tobą zainteresowałem.

- A pierwszy?

- Możesz mi pomóc zjednoczyć Styrię.

- A niby dlaczego miałabym to zrobić?

- Zjednoczona Styria... mogłaby być równie potężna jak Unia, a nawet jak Imperium Gurkhulu! Mogłaby wyzwolić się z

konfliktów i stać niezależna. Wolna. Jeszcze nigdy nie byliśmy tak blisko! Nicante i Puranti za wszelką cenę chcą powrócić do moich łask. Affoia zawsze była lojalna. Mój człowiek Sotorius poszedł na kilka drobnych ustępstw wobec Sipani, ofiarowując im kilka wysepek oraz Borlettę...

- Co o tym myślą mieszkańcy Borletty?

- To, co im rozkażę. Sama miałaś okazję się przekonać, jak bardzo są zmienni, gdy ofiarowali ci głowę swojego ukochanego księcia Cantaina. Muris już dawno pokłoniło się Sipani, a Sipani obecnie kłania się mnie, przynajmniej na papierze. Potęga Visserine została złamana. A co do Musselii, Etrei i Caprile, no cóż. Podejrzewam, że ty i Orso skutecznie zdusiliście w nich ducha niepodległości.

- Westport?

- Szczegóły, szczegóły. Jest częścią Unii albo Kanty, w zależności od tego, kogo się spyta. Nie, teraz interesuje nas przede wszystkim Talins. To on jest kluczem w zamku, osią koła, brakującym elementem mojej olśniewającej układanki.

- Uwielbiasz słuchać własnego głosu, prawda?

- Uważam, że przemawia z sensem. Armia Orso jest rozproszona, a jego potęga rozwiała się jak dym. Zawsze polegał przede wszystkim na sile miecza. Zresztą, nie tylko on... - Znacząco uniósł brwi, a ona ponagliła go machnięciem dłoni. - Teraz, kiedy miecz pękł, księżę widzi, że nie ma żadnych przyjaciół, którzy mogliby go wesprzeć. Ale zniszczenie Orso nie wystarczy. Muszę mieć kogoś, kto go zastąpi i pokieruje niespokojnych obywateli Talinsu w moje łaskawe objęcia.

- Daj mi znać, kiedy znajdziesz odpowiedniego pasterza.

- Och, już znalazłem. Kogoś o odpowiednich zdolnościach, sprycie, niezrównanej wytrzymałości i wzbudzającej lęk reputacji. Kogoś, kogo w Talinsie kochają znacznie bardziej niż Orso. Kogoś, kogo księżę próbował zabić... za próbę przejęcia tronu...

Zmrużyła oczy.

- Wtedy nie chciałam jego stanowiska. Teraz także go nie chcę.

- Ale skoro ono jest do wzięcia... co zrobisz, gdy już dokonasz zemsty? Zaslugujesz na to, by cię zapamiętano. Zaslugujesz na to, by kształtować bieg historii.

Benna powiedziała by to samo, a Monza musiała przyznać, że sprawiają jej przyjemność pochlebstwa Rogonta. Poza tym podobało jej się, że znów znalazła się tak blisko władzy. Przywykła do obu, a już od dawna nie miała okazji ich zasmakować.

- Zresztą, czy mogłabyś marzyć o lepszej zemście niż wcielenie w życie najgorszej obawy Orso?

To do niej przemówiło, a Rogont uśmiechnął się chytrze, by pokazać, że zdaje sobie z tego sprawę.

- Będę szczery. Potrzebuję cię.

- Będę szczerą. Potrzebuję cię. - To przyjemnie polechtało dumę Dreszcza, a ona uśmiechnęła się chytrze, by pokazać, że zdaje sobie z tego sprawę. - Nie pozostali mi żadni przyjaciele w całym Kręgu Świata.

- Wygląda na to, że nieźle sobie radzisz z pozyskiwaniem nowych.

- To trudniejsze niż ci się wydaje. Zawsze być kimś z zewnątrz. - Po doświadczeniach ostatnich miesięcy nie trzeba mu było tego mówić. Miał wrażenie, że Carlot nie kłamie, a jedynie wodzi prawdę za nos tam, dokąd ma ochotę. - A czasami trudno odróżnić przyjaciół od wrogów.

- To prawda. - Tego również nie trzeba mu było mówić.

- Zaryzykuję stwierdzenie, że tam, skąd pochodzisz, ceni się lojalność. Tutaj w Styrii człowiek musi naginać się zgodnie z podmuchami wiatru. - Trudno uwierzyć, że ktoś o takim słodkim uśmiechu może mieć mroczne myśli. Niestety, obecnie Dreszcz wszędzie dostrzegał mrok i ukryte ostrza. - Na przykład, nasi przyjaciele pani generał Murcatto i wielki książę Rogont. - Popatrzyła mu w oko. - Ciekawe, co teraz robią?

- Pieprzą się! - warknął, a wściekłość zawrzała w nim z taką siłą, że Carlot aż się wzdrygnęła, jakby się obawiała, że rozbije jej głowę o ścianę. Być może miał na to ochotę. Albo na rozbicie własnej głowy. Jednakże po chwili jej twarz znów się rozpogodziła i zagościł na niej uśmiech, jakby mordercza wściekłość była jej ulubioną cechą u mężczyzny.

- Wąż Talinsu i Robak Osprii, złączeni w lepkich splotach. Ta para zdrajców dobrze się dobrała. Największy kłamca i największa morderczyni w Styrii. - Delikatnie powiodła opuszką palca po bliźnie na jego piersi. - Co się stanie, gdy ona już dokona zemsty? Kiedy Rogont już pomacha nią przed oczami Talińczyków jak zabawką? Czy znajdziecie dla siebie miejsce, gdy Krwawe Lata wreszcie dobiegną końca? Kiedy skończy się wojna?

- Bez wojny nie istnieję. O tym już się przekonałem.

- Więc boję się o ciebie.

Dreszcz prychnął.

- Na szczęście masz mnie na oku.

- Żałuję, że nie mogę zrobić więcej. Ale sam wiesz, jak Rzeźniczka z Caprile rozwiązuje problemy, a księżę Rogont nie szanuje uczciwych ludzi...

- Bardzo szanuję uczciwych ludzi, ale kto walczy bez koszuli? To takie... - Rogont skrzywił się, jakby spróbował zjełczałego mleka. - Banalne. Mnie by się to nigdy nie przydarzyło.

- Co? Walka?

- Jak śmiesz, kobieto, jestem wcieleniem Stolicusa! Wiesz, co mam na myśli. Ten twój współnik z Północy z... - Rogont leniwie pomachał dłonią przed lewą połową twarzy. - Okiem. A raczej bez niego.

- Już jesteś zazdrosny? - szepnęła, czując obrzydzenie na samą wzmiankę o tym temacie.

- Trochę. Ale to jego zazdrość mnie martwi. To człowiek

skłonny do przemocy.

- Dlatego go zaangażowałam.

- Może więc najwyższy czas z niego zrezygnować. Wściekłe psy częściej atakują swoich panów niż ich wrogów.

- Ale przede wszystkim ich kochanków.

Rogont nerwowo odchrząknął.

- Tego z pewnością byśmy nie chcieli. Wydaje się, że jest do ciebie bardzo przywiązany. Kiedy skorupiak przywrze do kadłuba okrętu, trzeba go usunąć nagle, niespodziewanie i... zdecydowanie.

- Nie! - Jej głos zabrzmiał znacznie ostrzej niż zamierzała. - Nie. On ocalił mi życie. Więcej niż raz, samemu narażając się przy tym na śmierć. Zrobił to jeszcze wczoraj, a dzisiaj miałabym go zabić? Nie. Mam wobec niego dług. - Wzdrygnęła się na wspomnienie woni, którą poczuła, gdy Langrier przycisnęła rozpalone żelazo do jego twarzy. „To powinno spotkać ciebie”. - Nie! Nie pozwolę go tknąć.

- Zastanów się jeszcze. - Rogont powoli chodził wokół niej. - Rozumiem twoją niechęć, ale tak będzie najbezpieczniej.

- I najroztropniej? - zakpiła. - Ostrzegam cię. Zostaw go w spokoju.

- Monzcarro, zrozum, proszę, że chodzi mi o twoje bezpieczeństwo... uff!

Zerwała się z krzesła, podcięła go, a gdy padł na kolana, chwyciła go za nadgarstek i wykręciła mu rękę za łopatki, po czym pchnęła go na ziemię, siadając mu na plecach i przyciskając jego twarz do zimnego marmuru.

- Nie słyszałeś, co powiedziałam? Jeśli zechcę zrobić coś nagłego, niespodziewanego i zdecydowanego, to sama sobie poradzę.

- Tak! Ach! Tak! Właśnie widzę!

- To dobrze. Nie wspominaj o nim więcej.

Puściła jego nadgarstek, a książkę przez chwilę leżał nieruchomo, ciężko dysząc. W końcu przewrócił się na plecy, delikatnie masując dłoń i spoglądając w górę z urażoną miną, gdy usiadła mu okrakiem na brzuchu.

- Nie musiałaś tego robić.

- Może sprawiło mi to przyjemność. - Obejrzała się przez ramię. Fiut Rogonta stwardniał i trącał ją w tył nogi. - Tobie chyba też.

- Skoro już o tym mówimy... to muszę się przyznać, że lubię, gdy silna kobieta patrzy na mnie z góry. - Przesunął palcami po jej kolanach, a następnie po wewnętrznej stronie pokrytych bliznami ud, w górę i w dół. - Podejrzewam... że nie dałabyś się namówić... żeby na mnie nasikać?

Monza zmarszczyła brwi.

- Akurat mi się nie chce.

- To może... trochę wody? A później...

- Chyba pozostanę przy nocniku.

- Wielka szkoda. Nocnik tego nie doceni.

- Kiedy już go napełnię, będziesz mógł zrobić z zawartością, co tylko zechcesz, umowa stoi?

- Uch. To nie to samo.

Monza powoli pokręciła głową i wstała.

- Udawana wielka księżna sikająca na niedoszłego króla. Nikt by tego lepiej nie wymyślił.

- Dosyć. - Dreszcz był cały w siniakach, otarciach i zadrapaniach. Miał paskudne rozcięcie na plecach, w miejscu, w które nie mógł się podrapać. Teraz, gdy jego fiut zmiękł, wszystkie te dolegliwości ponownie zaczynały mu doskwierać w lepkim upale, wystawiając na próbę jego cierpliwość. Miał dosyć omijania tematu, który leżał między nimi jak gnijący trup. - Jeśli chcesz zabić Murcatto, powiedz mi o tym wprost.

Zamilkła z szeroko otwartymi ustami.

- Jesteś zaskakująco tępy.

- Nie, jestem tak tępy, jak można się spodziewać po jednookim zabójcy. Dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego tak bardzo chcesz ją zabić? Jestem idiotą, ale nie aż takim. Taką kobietę jak ty raczej nie pociąga moja piękna twarz. Ani moje poczucie humoru. Może chcesz się zemścić za to, co zrobiliśmy w Sipani. Wszyscy lubią się mścić. Ale to tylko część prawdy.

- Niemała część... - Powoli powiodła jednym palcem w górę jego nogi. - Co zaś się tyczy mojego zainteresowania tobą, to zawsze bardziej mnie pociągała uczciwość niż ładne twarze, tylko zastanawiam się... czy mogę ci zaufać?

- Nie. Gdyby tak było, nie nadawałbym się do tego zadania, prawda? - Złapał ją za palec, którym wodziła po jego ciele, wykręcił go i przyciągnął do siebie jej wykrzywioną twarz. - Co ty będziesz z tego miała?

- Ach! W Unii jest pewien człowiek! To dla niego pracuję i to on wysłał mnie do Styrii, żebym szpiegowała Orso!

- Kaleka? - Vitari o nim wspominała. O człowieku, który stoi za Królem Unii.

- Tak! Ach! Ach! - Pisnęła, gdy jeszcze mocniej wykręcił jej palec, a gdy go puścił, przycisnęła dłoń do piersi i wysunęła dolną wargę. - Nie musiałeś tego robić.

- Może sprawiło mi to przyjemność. Mów dalej.

- Kiedy Murcatto zmusiła mnie do zdradzenia Orso... sprawiła, że musiałam zdradzić także Kalekę. Orso mogę znieść jako wroga, jeśli to konieczne...

- Ale nie Kalekę?

Przełknęła.

- Nie. Jego nie.

- To gorszy wróg niż księżę Orso?

- Znacznie gorszy. Murcatto to jego cena. Ona zagraża jego starannie utkanym planom przyłączenia Talinsu do Unii, dlatego Kaleka chce jej śmierci. - Maską spokoju opadła, a Carlot przygarbiła się i wbiła wzrok w pościel. Była głodna, chora i bardzo, bardzo wystraszona.

Dreszczowi to się podobało. Być może po raz pierwszy odkąd przybył do Styrii zobaczył u kogoś szczerą emocję.

- Jeśli uda mi się znaleźć sposób, żeby ją zabić, sama ocale

życie - wyszeptła.

- A ja jestem tym sposobem.

Podniosła na niego surowy wzrok.

- Możesz to zrobić?

- Mogłem to zrobić nawet dzisiaj. - Zastanawiał się nad rozplątaniem jej głowy toporem. Nad postawieniem buta na jej twarzy i wepchnięciem jej pod wodę. Wtedy musiałyby poczuć przed nim respekt. Ale zamiast tego ją uratował. Ponieważ wciąż miał nadzieję. Może nadal ją ma... jednak ta nadzieja uczyniła z niego głupca, a Dreszcz miał już dosyć tej roli.

Jak wielu ludzi zabił? Podczas tych wszystkich bitew, potyczek, rozpaczliwych walk na Północy? Choćby w ciągu pół roku poprzedzającego jego przybycie do Styrii? U Cardottiego, w dymie i szaleństwie? Między posągami w pałacu księcia Saliera? Podczas bitwy zaledwie kilka godzin temu? Być może dwudziestu. Albo więcej. Także kobiety. Był unurzany we krwi, nie mniej niż sam Krwawy-dziewięć. Dodając kolejną osobę do tej listy, raczej nie ryzykował wykluczenia z grona ludzi prawych. Wykrzywił usta.

- Mógłbym to zrobić. - Widział równie wyraźnie jak bliznę na swojej twarzy, że Monza się nim nie przejmowała. Dlaczego on miałby się nią przejmować? - Bez większego problemu.

- Więc to zrób. - Przysunęła się na czworakach z na wpół otwartymi ustami i ciężko zwisającymi cyckami, patrząc mu prosto w oko. - Dla mnie. - Jej sutki otarły się o jego pierś, najpierw w jedną, potem w drugą stronę, gdy po nim pełzła. - Dla siebie. - Naszyjnik z krwistoczerwonych kamieni cicho zagrzechotał na jego podbródku. - Dla nas.

- Będę musiał wybrać właściwy moment. - Przesunął dłoń po jej plecach na pośladki. - Przede wszystkim ostrożność, prawda?

- Oczywiście. Niczego nie da się zrobić dobrze w... pośpiechu.

Miał głowę pełną jej zapachu, słodkiego aromatu kwiatów pomieszanego z ostrą wonią pieprzenia.

- Jest mi winna pieniądze - warknął w ramach ostatniego sprzeciwu.

- Ach, pieniądze. Kiedyś byłam kupcem. Kupowałam. Sprzedawałam.

Czuł jej gorący oddech na swojej szyi, ustach, twarzy.

- Długie doświadczenie nauczyło mnie, że kiedy ludzie zaczynają rozmawiać o cenie, umowa już jest zawarta. - Wtuliła się w niego, muskając ustami blizny na jego policzku. - Zrób to dla mnie, a ja obiecuję, że dostaniesz więcej niż będziesz w stanie wydać. - Chłodnym czubkiem języka delikatnie dotknęła rany wokół metalowego oka, kojąc ból. - Mam układ... z domem bankierskim... Valint i Balk.

Tak wiele za nic

Srebro lśniło w blasku słońca w ten szczególny, rozbudzający apetyt sposób, który jest zarezerwowany dla pieniędzy. Wypełniało po brzegi kasetkę, stojąca i przyciągająca wzrok każdego mężczyzny w obozie równie skutecznie, jak gdyby naga hrabina położyła się na stole w sugestywnej pozie. Sterty skrzących się, migoczących, świeżo wybitych monet. Jedna z najczystszych walut w Styrii spoczywała w najbrudniejszych rękach. Przyjemna ironia. Po jednej stronie monet znajdowały się szalki, od zarania Nowego Imperium tradycyjny symbol styriańskiego handlu, po drugiej surowy profil wielkiego księcia Orso z Talinsu. Dla Coski jeszcze zabawniejszą ironią było to, że płaci swoim ludziom z Tysiąca Ostrzy monetami z wizerunkiem człowieka, którego niedawno zdradzili.

Dziobaci i pokryci błotem, krzywiący się, drapiący, kaszlący i niechlujni, żołnierze i oficerowie pierwszej kompanii pierwszego regimentu Tysiąca Ostrzy przechodzili przed prowizorycznym stołem, by odebrać niezasłużone nagrody. Dokładnie nadzorowali ich główny notariusz brygady oraz tuzin najwierniejszych weteranów, co na niewiele się zdało, gdyż tego ranka Cosca był świadkiem wszelkich możliwych zniechęcających sztuczek.

Ludzie podchodzili do stołu kilkakrotnie w różnych strojach, podając fałszywe imiona bądź podszywając się pod swoich martwych kompanów. Często przesadzali, upiększali rzeczywistość albo beczelnie kłamali, pytani o swoją rangę lub staż służby. Płakali nad chorymi matkami, dziećmi bądź znajomymi. Wygłaszali serie druzgocących skarg na jedzenie, picie, sprzęt, biegunki, przełożonych, smród innych ludzi,

pogodę, kradzieże, doznane obrażenia, zadane obrażenia, domniemane obrazy nieistniejącego honoru i tak dalej. Gdyby wykazywali się taką samą zuchwałością oraz nieustępliwością w walce jak podczas prób nieuczciwego wyciągnięcia choćby niewielkiej sumy od swojego dowódcy, byłiby najwspanialszymi wojownikami wszech czasów.

Jednakże pierwszy sierżant Przyjazny miał na nich oko. Przez lata pracował w kuchniach Bezpiecznego Miejsca, gdzie codziennie tuziny najgorszych oszustów świata walczyły o chleb, więc znał wszystkie najpodlejsze sztuczki, kanty i fortele stosowane po tej stronie piekła. Nie było ucieczki przed jego wzrokiem bazyliszka. Skazaniec nie pozwalał, by choć jeden lśniący portret księcia Orso został niesłusznie wydany.

Cosca pokręcił z konsternacją głową, patrząc w ślad za ostatnim najemnikiem, który nagle w cudowny sposób przestał kuleć, choć przed chwilą domagał się rekompensaty za tę nieznośną dolegliwość.

- Na Boginie Losu, można by pomyśleć, że będą zadowoleni z tego dodatku! Nawet nie musieli walczyć, aby go zdobyć! Ani nawet sami go ukraść! Ale najwyraźniej im więcej się daje człowiekowi, tym więcej on żąda i tym mniej szczęśliwy się staje. Nikt nie docenia tego, co otrzymuje za darmo. Niech szlag trafi dobroczynność! - Klepnął notariusza w ramię, sprawiając, że mężczyzna nagryzmolił nierówną kreskę w poprzek starannie zapisanej strony.

- Najemnicy już nie są tacy jak dawniej - mruknął notariusz, z nadąsaną miną zbierając atrament bibułą.

- Czyżby? Mnie się wydaje, że są równie gwałtowni i złośliwi jak zawsze. „Kiedyś było lepiej”, to ulubione powiedzenie ludzi o wąskich horyzontach. Gdy ludzie tak mówią, zazwyczaj chcą powiedzieć, że to im było lepiej, ponieważ byli młodzi i ich nadzieje jeszcze nie obróciły się w ruinę. Świat zawsze wydaje się coraz mroczniejszym miejscem, gdy zmierzamy w stronę grobu.

- Czyli nic się nie zmienia? - spytał notariusz, ze smutkiem unosząc głowę.

- Niektórzy ludzie stają się lepsi, inni gorsi. - Cosca ciężko westchnął. - Ale w ogólnym rozrachunku nie zauważam żadnych istotnych zmian. Ilu z naszych bohaterów już zapłaciliśmy?

- Wszystkim z kompanii Squire'a z regimentu Andiche'a. To znaczy, byłego regimentu Andiche'a.

Cosca zakrył oczy dłonią.

- Proszę, nie wspominaj o tym dzielnym człowieku. Ta strata wciąż nie daje mi spokoju. Ilu dokładnie zapłaciliśmy?

Notariusz polizał palce, przewrócił kilka szeleszczących kartek księgi rachunkowej i zaczął podliczać wpisy.

- Jeden, dwa, trzy...

- Czterystu czterem - rzekł Przyjazny.

- A ilu członków liczy Tysiąc Ostrzy?

Notariusz się skrzywił.

- Wliczając wszystkich pomocników, służących i handlarzy?

- Oczywiście.

- Także dziwki?

- Przede wszystkim, one pracują najciężej z całej przeklętej brygady!

Prawnik zmrużył oczy, patrząc w niebo.

- No...

- Dwanaście tysięcy osiemset dziewiętnaścioro - rzekł Przyjazny.

Cosca bacznie mu się przyjrzał.

- Słyszałem, że dobry sierżant jest wart tyle co trzech generałów, ale wygląda na to, że ty dorównujesz wartością co najmniej trzem tuzinom, przyjacielu! No, ale trzynaście tysięcy? Posiedzimy tutaj do jutrzejszego wieczora!

- Bardzo możliwe - mruknął notariusz, przewracając stronę. - Następna będzie kompania Crapstane'a z regimentu Andiche'a. To znaczy... z byłego regimentu... Andiche'a.

- Ech. - Cosca odkręcił zatyczkę piersiówki, którą Morveer rzucił mu w Sipani, uniósł ją do ust, potrząsnął i stwierdził, że jest pusta. Zmarszczył brwi, spoglądając na poobijaną metalową butelkę, z niezadowoleniem przypominając sobie kpiącą uwagę

truciciela, że człowiek nie może się zmienić. Jeszcze bardziej zapragnął się napić. - Krótka przerwa na uzupełnienie zapasów. Niech kompania Crapstane'a się ustawi.

Wstał, krzywiąc się, gdy jego obolałe kolana z trzaskiem wróciły do życia, po czym się uśmiechnął. Potężny mężczyzna szedł miarowym krokiem w jego stronę poprzez błoto, dym, płótna namiotów i zamieszanie panujące w obozie.

- Ależ to panicz Dreszcz z lodowatej i krwawej Północy!

Dreszcz najwyraźniej zrezygnował z eleganckich strojów, gdyż miał na sobie skórzaną kurtkę i grubo tkaną koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci. Jego włosy, podczas ich pierwszego spotkania eleganckie jak u musseliańskiego dandysa, urosły i przybrały postać potarganej czupryny, szczękę zaś pokrywało coś pomiędzy brodą a szczeciną. Nic jednak nie zdołało ukryć potężnej blizny znaczącej połowę jego twarzy. Do tego nie wystarczą włosy.

- Mój współnik w przygodzie! - A raczej w morderstwie. - Widzę błysk w twoim oku. - Rzeczywiście widział, gdyż metal w pustym oczodole Północnego odbijał promienie słońca, lśniącoślepiająco. - Dobrze wyglądasz, przyjacielu, wręcz doskonale! - Tak naprawdę wyglądał jak zmasakrowany dzikus.

- Radość na twarzy to radość w sercu. - Północny krzywo się uśmiechnął, a przypalone ciało tylko lekko drgnęło.

- Otóż to. Kto zje uśmiech na śniadanie, do obiadu będzie srał radością. Brałeś udział w bitwie?

- Zgadza się.

- Tak podejrzewałem. Nigdy nie wyglądałeś mi na mężczyznę, który boi się zakasać rękawy. Było krwawo?

- Zgadza się.

- Niektórzy ludzie lubują się we krwi, czyż nie? Zaryzykuję stwierdzenie, że znasz kilka takich osób.

- Zgadza się.

- A gdzie jest twoja pracodawczyni, a moja niesławna uczennica, zastępczyni i poprzedniczka, generał Murcatto?

- Za tobą - rozległ się ostry głos.

Obrócił się.

- Na zęby Boga, kobieto, nadal potrafisz człowieka zaskoczyć!
- Udał szok, aby ukryć drżenie głosu i łzy wzruszenia, które zawsze napływały mu do oczu, gdy ją widział. Miała długie zadrapanie na jednym policzku i kilka siniaków na twarzy, ale poza tym wyglądała dobrze. A nawet znakomicie. - Oczywiście nie posiadam się z radości, że widzę cię żywą. - Zamaszystym ruchem zdjął kapelusz z pokornie obwisłym piórkiem, po czym klęknął przed nią na piasku. - Wybacz mi teatralne gesty. Teraz już widzisz, że przez cały czas myślałem tylko o tobie. Moja sympatia dla ciebie nie zna granic.

Prychnęła, słysząc te słowa.

- Sympatia, tak? - Nie chciała tego wiedzieć ani słuchać z jego ust. - Zatem ta pantomima odbyła się dla mojego dobra? Zaraz zemdleję z wdzięczności.

- Jedną z twoich najbardziej ujmujących cech zawsze była skłonność do omdlewania. - Podźwignął się z powrotem na nogi. - Podejrzewam, że to sprawka twojego czułego, kobiecego serca. Chodź ze mną, muszę ci coś pokazać. - Poprowadził ją między drzewami w stronę gospodarstwa, którego bielone ściany lśniły w południowym słońcu, a Przyjazny i Dreszcz podążali za nimi jak złe wspomnienia. - Muszę się przyznać, że poza chęcią wyświadczenia ci przysługi oraz pokusą, by wreszcie skopać dupsko księciu Orso, kierowały mną także drobne kwestie natury finansowej.

- Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

- Nic nigdy się nie zmienia, więc dlaczego w tym przypadku miałyby być inaczej? Do wzięcia była znaczna ilość gurkijskiego złota. Zresztą, dobrze o tym wiesz, bo zaproponowałaś mi je jako pierwsza. Poza tym, Rogont obiecał, że jeśli zostanie koronowany na króla Styrii, co teraz wydaje się bardzo prawdopodobne, ja otrzymam tytuł wielkiego księcia Visserine. To miło z jego strony.

Z zadowoleniem ujrzał zaskoczenie na jej twarzy.

- Ty? Wielkim, kurwa, księciem Visserine?

- Zapewne nie będę używał słowa „kurwa” w swoich dekretach, ale poza tym wszystko się zgadza. Wielki Książę

Nicomo całkiem dobrze brzmi, nieprawdaż? W końcu Salier nie żyje.

- To wiem.

- Nie miał żadnych spadkobierców, nawet w dalszej rodzinie. Miasto zostało splądrowane, zniszczone przez pożar, rada miejska upadła, duża część mieszkańców uciekła, zginęła lub została wykorzystana w inny sposób. Visserine potrzebuje silnego i bezinteresownego przywódcy, który przywróci mu dawną chwałę.

- A zamiast tego dostaną ciebie.

Pozwolił sobie na chichot.

- Któż byłby bardziej odpowiedni? Czyż nie pochodzę z Visserine?

- Jak wielu ludzi. Ale oni jakoś nie pchają się na stanowisko księcia.

- Ponieważ jest tylko jedno i należy do mnie.

- A właściwie, po co ci ono? Po co ci zobowiązania? Obowiązki? Myślałam, że tego nienawidzisz.

- Też zawsze tak myślałem, ale moja wędrowna gwiazda zawiodła mnie tylko do rynsztoka. Wiodłem bezproduktywne życie, Monzcarro.

- Co ty nie powiesz.

- Marnotrawiłem swoje talenty. Użalanie się nad sobą i nienawiść do samego siebie poprowadziły mnie niegodnymi ścieżkami zaniedbania aż na skraj samozniszczenia. I jaka jest tego przyczyna?

- Ty?

- Właśnie. Próżność, Monzo. Obsesja na punkcie samego siebie. Znamię dziecinnej niedojrzałości. Dla dobra swojego i moich bliźnich muszę dorosnąć. Wykorzystać talenty. Zawsze mi powtarzałaś, że przychodzi taka chwila, gdy człowiek musi się ustatkować. Czy istnieje na to lepszy sposób niż całkowite oddanie służbie miastu, w którym przyszedłem na świat?

- Całkowite oddanie. Biedne Visserine.

- Będzie im się powodziło lepiej niż pod rządami tamtego chciwego złodzieja dzieł sztuki.

- Teraz dostaną złodzieja i pijaka.
- Błędnie mnie oceniasz, Monzcarro. Ludzie się zmieniają.
- Przed chwilą powiedziałaś, że nic się nie zmienia.
- Zmieniłem zdanie. Zresztą, dlaczego miałbym tego nie zrobić? W ciągu jednego dnia zdobyłem fortunę i jedno z najbogatszych księstw w Styrii.

Pokręciła głową z mieszanką obrzydzenia i niedowierzania.

- I to nie ruszając się z miejsca.

- Na tym polega cała sztuczka. Każdy głupi może zapracować na nagrodę. - Cosca odchylił głowę i posłał uśmiech w stronę czarnych gałęzi oraz błękitnego nieba. - Wiesz, wydaje mi się, że jeszcze nigdy w historii jeden człowiek nie zdobył tak wiele, nie robiąc zupełnie nic. Ale nie tylko ja zyskałem na wczorajszych wydarzeniach. Książę Rogont zapewne też jest zadowolony z wyniku. A ty znacznie się przybliżyłaś do swojej wielkiej zemsty, czyż nie? - Pochylił się. - Skoro o tym mowa, mam dla ciebie prezent.

Podejrzliwie zmarszczyła czoło.

- Jaki prezent?

- Nie chcę psuć niespodzianki. Sierżancie Przyjazny, czy mógłbyś zaprowadzić swoją byłą pracodawczynię oraz jej towarzysza z Północy do domu i pokazać, co wczoraj znaleźliśmy? Oczywiście będzie mogła z tym postąpić wedle uznania. - Odwrócił się ze złośliwym uśmiechem. - Teraz wszyscy jesteśmy przyjaciółmi!

- Tutaj. - Przyjazny pchnął niskie drzwi, które otworzyły się ze skrzypieniem.

Monza popatrzyła na Dreszcza, który tylko wzruszył ramionami. Schyliła się i weszła do ciemnego pomieszczenia, chłodnego w porównaniu z upałem panującym na zewnątrz, z ceglanym sklepieniem i plamami światła na zakurzonej kamiennej podłodze. Gdy jej oczy przyzwyczyły się do mroku,

zobaczyła jakąś postać wciśniętą w najdalszy kąt. Mężczyzna zbliżył się, szurając nogami przy wtórze słabego pobrzękiwania łańcucha, którym skuto mu nogi, a krzyżujące się cienie brudnych szyb padły na jedną stronę jego twarzy.

Księżę Foscari, młodszy syn księcia Orso. Monza poczuła, że całe jej ciało sztywnieje.

Dorósł, odkąd widziała go po raz ostatni, gdy uciekał z sali swojego ojca w Fontezarmo, zawodząc, że nie chce brać udziału w morderstwie. Pozbył się meszku nad górną wargą, zyskał siniaki, które wykwitły mu wokół jednego oka, i zamienił przeproszające spojrzenie na przerażone. Popatrzył kolejno na Dreszcza i Przyjaznego, którzy weszli do pomieszczenia za Monzą. Nie byli to ludzie, którzy mogli napełnić więźnia nadzieją. W końcu niechętnie popatrzył w oczy Monzie, posyłając jej zaszczute spojrzenie człowieka, który wie, co go czeka.

- A więc to prawda - wyszeptał. - Żyjesz.

- W odróżnieniu od twojego brata. Przebiłam mu gardło i wyrzuciłam go przez okno. - Wystająca gula na szyi Foscara podskoczyła, gdy przełknął ślinę. - Otrułam Mauthisa. Ganmarka przebiła tona brązu. Wierny został przebity i pocięty, a potem utonął i zawisł na młyńskim kole. Być może wciąż się na nim obraca.

Gobba miał szczęście, bo tylko roztrzaskałam mu w drobny mak dłoń, kolana i czaszkę za pomocą młota. - Ta lista przyprawiła ją o mdłości, zamiast dać jej ponurą satysfakcję, ale zmusiła się do jej dokończenia. - Z siedmiu ludzi, którzy znajdowali się w tamtej sali i zamordowali Bennę, pozostał tylko twój ojciec. - Dobyła ostrza od Calveza przy wtórze cichego zgrzytu, który przypominał nieprzyjemny wrzask dziecka. - Twój ojciec... i ty.

W pomieszczeniu było ciasno i duszno. Pusta twarz Przyjaznego przypominała oblicze trupa. Dreszcz oparł się o ścianę obok Monzy i z uśmiechem skrzyżował ręce na piersi.

- Rozumiem. - Foscari zaczął się zbliżać. Stawiał drobne, niechętnie kroki, ale nieprzerwanie szedł w jej stronę.

Zatrzymał się w odległości niecałego kroku, po czym uklęknął. Niezdarnie, gdyż ręce wciąż miał związane za plecami. Cały czas patrzył jej w oczy. - Przykro mi.

- Jest ci, kurwa, przykro? - wykrztusiła przez zaciśnięte zęby.

- Nie wiedziałem, co się stanie! Kochałem Bennę! - Zadrżały mu wargi, a po policzku spłynęła łza. Strach albo poczucie winy, może jedno i drugie. - Twój brat był dla mnie jak... brat. Nigdy nie chciałbym... czegoś takiego dla żadnego z was. Przykro mi... że brałem w tym udział. - Nie brał w tym udziału. Dobrze o tym wiedziała. - Po prostu... chcę żyć!

- Benna też chciał.

- Proszę. - Kolejne łzy popłynęły mu z oczu, pozostawiając lśniące ślady na policzkach. - Po prostu chcę żyć.

Poczuła ucisk w żołądku oraz kwaśne pieczenie w gardle i ustach, do których napływała ślina. Zrób to. Pokonała taki szmat drogi, wycierpiała tak wiele i naraziła innych na cierpienie, żeby to zrobić. Jej brat by się nie zawahał. Niemal słyszała jego głos.

„Rób co musisz. Sumienie to wymówka. Miłosierdzie i tchórzostwo są tym samym”.

Nadszedł czas, by to zrobić. On musi umrzeć.

Zrób to teraz.

Jej sztywna ręka ważyła tonę. Popatrzyła na bladą twarz Foscara. W jego duże, szeroko otwarte, bezradne oczy. Coś w nim przypominało jej Bennę. Kiedy był młody. Przed Caprile, przed Słodkimi Sosnami, zanim zdradzili Coscę, nawet zanim przyłączyli się do Tysiąca Ostrzy. Chłopca śmiejącego się w pszenicy.

Czubek jej szpady zadrżał, opadł, stuknął o posadzkę.

Foscar westchnął rozdzierająco, zamknął oczy, po czym znów je otworzył. W ich kącikach lśniły łzy.

- Dziękuję. Zawsze wiedziałem, że masz serce... niezależnie od tego, co o tobie mówili. Dziękuję...

Potężna pięść Dreszcza z trzaskiem spadła na jego twarz i rzuciła go na plecy. Bulgocząca krew pociekła mu z nosa. Zdążył tylko wybełkotać coś zszokowanym głosem, zanim Północny

rzucił się na niego i mocno chwycił za gardło.

- Chcesz, kurwa, żyć, co? - syknął Dreszcz, wściekle szczerząc zęby, a ściągną jego przedramion napięły się, gdy zacisnął dłonie.

Foscar bezradnie wierzgał, walcząc w milczeniu, wykręcał ramiona, a jego twarz stała się różowa, potem czerwona, a wreszcie fioletowa. Dreszcz uniósł jego głowę obiema rękami, zbliżając ją do swojej twarzy, jakby chciał go pocałować, po czym z ostrym trzaskiem uderzył nią o kamienne płyty. Stopy Foscaro podskoczyły, łączący je łańcuch zagrzechotał. Dreszcz obrócił głowę księcia w jedną, a potem drugą stronę, poprawiając uchwyt na szyi, a ściągną wyraźnie uwypukliły się na jego pokrytych strupami dłoniach. Ponownie uniósł głowę Foscaro, bez pośpiechu, po czym uderzył nią o posadzkę z głuchym chrupnięciem. Z ust Foscaro wysunął się bezwładny język, jedna jego powieka zamrugała, czarna krew wypłynęła spod włosów.

Dreszcz warknął w mowie Północy coś, czego Monza nie zrozumiała, uniósł głowę Foscaro i huknął nią o podłogę ze starannością kamieniarza pracującego nad detalami. Powtarzał to raz za razem. Monza patrzyła z rozchyłonymi ustami, z trudem trzymając szpadę, ale nie reagowała. Nie była pewna, co mogłaby zrobić, ani czy w ogóle powinna. Nie wiedziała, czy ma powstrzymać Dreszcza, czy mu pomóc. Krew bryzgała na surowe ściany i kamienne płyty. Ponad trzaskiem i chrzęstem pękających kości Monza słyszała głos. Przez chwilę myślała, że to Benna wciąż do niej szepcze, lecz po chwili zrozumiała, że to Przyjazny spokojnie liczy uderzenia czaszki Foscaro o kamienie. Dotarł do jedenastu.

Dreszcz jeszcze raz uniósł zmasakrowaną głowę księcia z włosami pokrytymi lśniącą czernią, zamrugał, po czym upuścił ją na posadzkę.

- Chyba wystarczy. - Powoli wstał, okraczając ciało Foscaro. - Ha. - Popatrzył na swoje dłonie, rozejrzał się za czymś, czym mógłby je oczyścić, ale w końcu wytarł jedną o drugą, rozmazując aż do łokci czarne smugi krwi brązowiejącej po

zaschnięciu. - Kolejny z głowy. - Zerknął w bok na Monzę, uśmiechając się obrzydliwie samym kącikiem ust. - Sześciu z siedmiu, co, Monzo?

- Sześć i jeden - mruknął Przyjazny.

- Wszystko zgodnie z twoimi oczekiwaniami.

Popatrzyła na Foscara, na jego rozplaszczoną i wykręconą głowę, oczy zezujące na ścianę, krew rozlewającą się po kamiennej podłodze w czarną kałużę wokół pękniętej czaszki. Wydawało się, że jej piskliwy głos dobiega z bardzo daleka.

- Dlaczego...

- A dlaczego nie? - wyszeptał Dreszcz, podchodząc bliżej. W jego martwym metalowym oku zobaczyła wygięte i wykręcone odbicie własnej bladej, pokrytej strupami, wymizerowanej twarzy. - Po to tutaj przybyliśmy, czyż nie? Po to walczyliśmy przez cały dzień w błocie. Myślałem, że nigdy się nie wycofujesz. W końcu miłosierdzie i tchórzostwo są tym samym i tak dalej. Na spokój zmarłych, szefowo. - Wyszczrzył zęby, a blizny na jego twarzy zwinęły się i wykrzywiły. Zdrowy policzek był cały spryskany krwią. - Jeszcze pomyślę, że wcale nie jesteś taką suką, jaką udajesz.

Ruchome piaski

Starając się nie zwracać na siebie uwagi, Morveer wślizgnął się do olbrzymiej sali audiencyjnej księcia Orso. Choć było to obszerne i imponujące pomieszczenie, obecnie przebywało w nim zaledwie kilka osób. Być może sprawiły to trudne okoliczności, w jakich znalazł się ten wielki człowiek. Katastrofalny sposób, w jaki przegrał najważniejszą bitwę w historii Styrii, na pewno zniechęcał potencjalnych gości. Jednakże Morveer zawsze lgnął do pracodawców w tarapatach, wiedząc, że mają oni w zwyczaju hojnie płacić.

Wielki książę Talinsu wciąż prezentował się majestatycznie. Siedział na pozłacanym tronie na wysokim podeście, odziany w aksamitny sobolowy płaszcz obszyty złotem, i z królewską furią marszczył czoło, spoglądając ponad lśniącymi hełmami sześciu równie wściekłych strażników. U jego boków zajęli miejsce dwaj mężczyźni, którzy stanowili swoje całkowite przeciwieństwo. Po lewej stronie stał pulchny, czerwonolicy staruszek, zgięty w bolesnym, ale pełnym szacunku ukłonie. Złote guziki pod grubą szyją miał zapięte tak ciasno, że z pewnością bardzo cierpiał. Nieudolnie próbował ukryć łysinę, zaczesując na środek głowy z przodu i z tyłu nędzne kręcone siwe pasemka, które specjalnie w tym celu zapuścił do niezwyklej długości. Po prawej stronie w nadspodziewanie swobodnej pozie stał młody mężczyzna o kręconych włosach. Miał na sobie strój przybrudzony w podróży i wspierał się na długim kijku. Morveer miał frustrujące wrażenie, że skądś go zna, ale nie potrafił sobie przypomnieć szczegółów, zatem relacja nieznanego z księciem na razie musiała pozostać nieco niepokojącą tajemnicą.

Ostatni z gości księcia, elegancko ubrany mężczyzna, był zwrócony do Morveera tyłem i klęczał na jednym kolanie na długim karmazynowym dywanie, ściskając kapelusz w jednej dłoni. Nawet z tyłu sali było widać lśniący od potu placek łysiny na jego głowie.

- Jaką otrzymaliśmy pomoc od mojego zięcia, króla Unii? - spytał Orso tubalnym głosem.

Głos ambasadora, okazało się bowiem, że właśnie nim był elegancki mężczyzna, przypominał skowyczenie zbitego psa, który czeka na kolejną karę.

- Twój zięć, książę, przesyła wyrazy szczerego ubolewania...

- Czyżby? Ale żadnych żołnierzy! Co według niego mam zrobić? Strzelać z jego wyrazów ubolewania do moich wrogów?

- Jego wojska są zaangażowane w niefortunny konflikt na Północy, a bunt w mieście Rostod spowodował kolejne komplikacje. Tymczasem szlachta jest niechętna. Chłopi znów się burzą. Kupcy...

- Kupcy zwlekają z płatnościami. Rozumiem. Gdyby wymówki były żołnierzami, wystawilibyśmy potężną armię.

- Zmaga się z licznymi problemami...

- On się zmaga? Doprawdy? Czy zamordowano mu synów? Czy wyrżnięto w pień jego wojsko? Czy wszystkie jego nadzieje legły w gruzach?

Ambasador załamał ręce.

- Wasza Ekscelencjo, on ma zbyt wiele zobowiązań! Niezmiernie żałuje, ale...

- Ale nie zamierza mi pomóc! Król Unii! Mocny w gębie i uśmiechnięty, gdy świeci słońce, ale kiedy tylko pojawiają się ciemne chmury, Adua nie zapewnia schronienia, prawda? Tylko że ja od razu pośpieszyłem mu z pomocą, gdy gurkijska horda załomotała do jego bram! A gdy teraz potrzebuję jego wsparcia... wybaczone, ojczyste, ale mam zbyt wiele zobowiązań. Precz mi z oczu, draniu, zanim wyrazy ubolewania twojego pana będą cię kosztowały język! Precz mi z oczu i powiedz Kalece, że dostrzegam w tym jego rękę! Powiedz mu, że jeszcze

wychłoszczę jego powykrzywiane plecy! - Wściekłe krzyki wielkiego księcia odbijały się echem, zagłuszając pośpieszne kroki ambasadora, który wycofywał się najszybciej jak śmiał, kłaniając się w pas i obficie pocąc. - Powiedz mu, że się zemszczę!

Ambasador przyklęknął, mijając Morveera, a podwójne drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem.

- Kto tam się czai na końcu sali? - Nagły spokój, który zagościł w głosie Orso, wcale nie działał uspokajająco. Wręcz przeciwnie.

Morveer przełknął ślinę i ruszył po krwistoczerwonym dywanie. Orso wpatrywał się w niego władczo. To spojrzenie przypominało Morveerowi nieprzyjemne spotkanie z dyrektorem sierocińca, gdy wezwano go w sprawie martwych ptaków. Kiedy wspominał tamtą rozmowę, uszy płonęły mu ze wstydu i przerażenia, jeszcze mocniej niż nogi, które także pamiętały otrzymaną karę. Ukłonił się najbardziej służalczo jak tylko potrafił, choć jednocześnie z nerwów uderzył knykciami o posadzkę, co nieco popsuło efekt.

- To niejaki Castor Morveer, Wasza Ekscelencjo - zapowiedział szambelan, zerkając wzdłuż bulwiastego nosa.

Orso się pochylił.

- A kimże jest Castor Morveer?

- Trucicielem.

- Mistrzem... trucicielskim - poprawił Morveer. Potrafił być pokorny, gdy okoliczności tego wymagały, ale stanowczo domagał się, by używano jego pełnego tytułu. W końcu zasłużył na niego ciężką pracą, podejmowanym ryzykiem, głębokimi ranami, zarówno fizycznymi, jak i emocjonalnymi, długą nauką, brakiem litości i licznymi bolesnymi niepowodzeniami.

- Ach tak, mistrzem? - zakpił Orso. - A kogóż to znacznego otrułeś, by zasłużyć na ten tytuł?

Morveer pozwolił sobie na delikatny uśmiech.

- Wielką księżną Sefelinę z Osprii, Wasza Ekscelencjo. Hrabiego Binardiego z Etrei i obu jego synów, chociaż ich łódź następnie zatoneła, a ciał nigdy nie odnaleziono. Ghassana

Maza, satrapę z Kadiru, a gdy pojawiły się kolejne problemy, także jego następcę Souvona-yin-Saula. Starego Lorda Ishera z Midderlandu. Księcia Amrita, który byłby następcą tronu w Muris...

- Słyszałem, że zmarł z przyczyn naturalnych.

- Czy może być naturalniejsza przyczyna śmierci dla potężnego władcy niż dawka kosaćca podana do ucha za pomocą zwisającej nitki? Potem otrułem admirała Branta z floty Muris oraz jego żonę, a także, niestety, jego młodego służącego, który pechowo znalazł się w niewłaściwym miejscu, przez co przedwcześnie pożegnał się z życiem. Nie chciałbym marnować cennego czasu Waszej Ekscelencji. Lista jest długa i pełna znakomitości... bez wyjątku martwych. Jeśli więc książę pozwoli, dodam jeszcze tylko najnowsze nazwisko.

Orso lekko skinął głową. Morveer z zadowoleniem zauważył, że z ust księcia zniknął kpiący uśmiech.

- Ostatni był niejaki Mauthis, dyrektor oddziału domu bankierskiego Valint i Balk w Westporcie.

Twarz księcia przypominała kamienną płytę.

- Kto zlecił ci to zabójstwo?

- Profesjonalizm nie pozwala mi na wyjawianie nazwisk pracodawców... jednak to wyjątkowa sytuacja. Zatrudniła mnie sama Monzcarro Murcatto, Rzeźniczka z Caprile. - Rozochocił się i nie mógł sobie odmówić ostatecznego smaczku. - Jeśli się nie mylę, to pana znajoma.

- Można tak... powiedzieć - szepnął Orso. Strażnicy księcia poruszyli się złowrogo, jakby byli dostrojeni do samopoczucia swojego pana. Morveer zdał sobie sprawę, że być może posunął się odrobinę za daleko. Poczł nagłe ciśnienie w pęcherzu i musiał mocno zewrzeć kolana. - Przeniknąłeś do biura banku Valint i Balk w Westporcie?

- Owszem - wychrypiał Morveer.

Orso zerknął na mężczyznę z kręconymi włosami.

- Gratuluję, chociaż twoje osiągnięcie znacznie skomplikowało życie mnie i moim współpracownikom. Czy mógłbyś wyjaśnić, dlaczego nie miałbym cię za to zabić?

Morveer usiłował skwitować to pytanie żywiołowym chichotem, ale ten powoli zgasł w chłodnych czeluściach sali.

- Cóż... ja... oczywiście nie miałem pojęcia, że w jakikolwiek sposób skomplikuje to pana życie. Absolutnie. Przyjąłem to zlecenie wyłącznie za sprawą godnego pożałowania błędu, a może raczej świadomego niedopatrzenia, rozmyślnej nieuczciwości, a nawet kłamstwa mojej przekłętej asystentki. Nigdy nie powinienem był zaufać tej chciwej suce.... - Zrozumiał, że w niczym mu nie pomoże obwinianie zmarłych. Wielcy ludzie potrzebują żywych sprawców, żeby móc ich torturować, wieszać, ścinać i tak dalej. Trupy nie zapewniają satysfakcji. Szybko zmienił podejście. - Byłem tylko narzędziem, Wasza Ekscelencjo. Bronią. A teraz ofiaruję tę broń tobie, książę, byś skorzystał z niej zgodnie z życzeniem. - Ponownie się uklonił, tym razem jeszcze niżej. Mięśnie pośladków miał obolałe po wspinaczce przeklętym górskim szlakiem prowadzącym do Fontezarmo, więc z trudem powstrzymywał się przed upadkiem na twarz.

- Szukasz nowego pracodawcy?

- Murcatto mnie zdradziła, podobnie jak zdradziła Waszą Lordowską Mość. Ta kobieta rzeczywiście jest jak wąż. Wijący się, jadowity i... pokryty łuskami - zakończył nieudolnie. - Miałem szczęście, że uszedłem z życiem z jej toksycznego uścisku, a teraz szukam sposobu na naprawienie błędów. Jestem gotów szukać go z najwyższym zaangażowaniem i nie mam zamiaru się poddać!

- Wszystkim nam przydałaby się szansa na naprawienie błędów - szepnął mężczyzna z kręconymi włosami. - Wieść, że Murcatto przeżyła, rozniosła się po całym Talinsie z szybkością pożaru. Na każdej ścianie wiszą plakaty z jej podobizną. - Rzeczywiście, Morveer widział je, gdy przejeżdżał przez miasto. - Ludzie powiadają, że Wasza Ekscelencja przebił jej serce, ale to jej nie zabiło.

Książę parsknął.

- Gdybym chciał ją przebić, na pewno nie celowałbym w serce. Bez wątplenia to jej najmniej wrażliwy organ.

- Powiadają, książę, że ją spaliłeś, utopiłeś, poćwiartowałeś i zrzuciłeś kawałki z balkonu, ale ktoś ją pozszywał i wróciła do życia. Powiadają, że zabiła dwustu mężczyzn przy brodach na Sulvie. Że przypuściła samotną szarżę na oddziały Waszej Ekszelencji i rozproszyła je jak wiatr rozrzuca plewy.

- Typowe teatralne zagrywki Rogonta - syknął książę przez zaciśnięte zęby. - Ten drań powinien pisać tanie fantazje, a nie dowodzić ludźmi. Niedługo usłyszymy, że Murcatto wyrosły skrzydła albo że wydała na świat drugie wcielenie Euza!

- Wcale nie byłbym zaskoczony. Na każdym rogu wiszą plakaty głoszące, że jest narzędziem Bogiń Losu i została posłana, by uwolnić Styrię spod jarzma pańskiej tyranii.

- A więc zostałem tyranem? - Książę zachichotał ponuro. - Jakże szybko zmieniają się nastroje ludzi!

- Powiadają, że nie można jej zabić.

- Naprawdę... tak... twierdzą? - Orso spojrział zaczerwienionymi oczyma na Morveera. - Co na to powiesz, trucicielu?

- Wasza Ekszelencjo - Morveer ponownie zgiął się w niskim ukłonie - moja pełna sukcesów kariera opiera się na zasadzie, że nie istnieje żywa istota, której nie można uśmiercić. Jeśli coś mnie zadziwia, to właśnie niezwykła łatwość zabijania.

- Chciałbyś to udowodnić?

- Wasza Ekszelencjo, pokornie proszę o taką szansę. - Znów się uklonił. Uważał, że w towarzystwie ludzi formatu Orso pokłonów nigdy za wiele, chociaż zdawał sobie sprawę, że osoby o potężnym ego wystawiają cierpliwość innych na ciężką próbę.

- Proszę bardzo. Zabij Monzcarro Murcatto. Zabij Nicomo Cosę. Zabij hrabinę Cotardę z Affoi. Zabij księcia Lirozio z Puranti. Zabij pierwszego obywatela Patine'a z Nicante. Zabij kanclerza Sotoriusa z Sipani. Zabij wielkiego księcia Rogonta, zanim zostanie koronowany na króla. Może nie zdobędę Styrii, ale przynajmniej się zemszczę. Tego możesz być pewien.

Morveer uśmiechał się z zadowoleniem, gdy książę zaczynał recytować listę. Gdy skończył, na drżących ustach truciciela

pozostał tylko wymuszony grymas, który Castor utrzymywał z największym trudem. Wyglądało na to, że jego odważna zagrywka okazała się nadzwyczaj udana. Przypomniawszy sobie, jak próbował uprzykrzyć życie czterem prześladowcom w sierocińcu poprzez zatrucie wody lankamskimi solami, co oczywiście skończyło się śmiercią wszystkich pracowników placówki oraz większości dzieci.

- Wasza Ekscelencjo - zaskrzeczał - mówimy o znacznej liczbie ofiar.

- A zarazem o cennych dodatkach do twojej listy, czyż nie? Możesz być pewien, że nagroda również będzie znaczna, nieprawdaż, mistrzu Sulfurze?

- Owszem. - Sulfur przeniósł wzrok ze swoich paznokci na twarz Morveera, który dopiero teraz zauważył jego różnokolorowe oczy, jedno zielone, drugie niebieskie. - W końcu reprezentuję dom bankierski Valint i Balk.

- Ach. - Nagle Morveer przypomniał sobie tego człowieka i poczuł się nieswojo. Widział go w holu banku w Westporcie pogrążonego w rozmowie z Mauthisem zaledwie kilka dni przed tym, jak wypełnił to miejsce trupami. - Ach. Naprawdę nie miałem pojęcia... - Z całego serca żałował, że zabił Dzionek. Mógłby teraz obwinić ją za wszystko, a książkę miałby kogo wtrącić do lochu. Na szczęście, wyglądało na to, że mistrz Sulfur nie szuka kozłów ofiarnych. Przynajmniej na razie.

- Och, przecież byłeś tylko bronią. Jeśli będziesz działał równie skutecznie w naszym imieniu, to nie musisz się niczym przejmować. Poza tym Mauthis był straszliwym nudziarzem. Jeśli ci się uda, zapłacimy milion szalek.

- Milion... szalek? - wymamrotał Morveer.

- Nie istnieje żywa istota, której nie można uśmiercić. - Orso pochylił się, wbijając wzrok w twarz Morveera. - Bierz się do pracy!

Zapadał zmierzch, gdy dotarli na miejsce. Lampy świeciły za brudnymi szybami, a gwiazdy pokrywały nocne niebo jak diamenty rozrzucone na suknie jubilera. Shenkt nigdy nie lubił Affoi. Pobierał tam nauki w młodości, zanim po raz pierwszy uklęknął przed swoim panem i zanim poprzysiągł sobie, że już nigdy przed nikim nie zegn timer kolan. Tam się zakochał, w kobiecie zbyt bogatej, zbyt starej i zdecydowanie zbyt pięknej dla niego, i wyszedł na ostatniego głupca. Gdy patrzył na te ulice, widział nie tylko stare kolumny i nienasycone drzewa palmowe, lecz także gorzkie wspomnienia dziecięcych upokorzeń, zazdrości i niesprawiedliwości. To dziwne, że niezależnie od tego, jak twarda staje się nasza skóra w późniejszym życiu, rany młodości nigdy się nie zablizniają.

Shenkt nie lubił Affoi, ale tutaj doprowadził go trop, a nieprzyjemne wspomnienia to za mało, by porzucił rozpoczęte zadanie.

- To ten dom?

Budynek był schowany wśród krętych bocznych uliczek najstarszej dzielnicy miasta, z dala od głównych arterii, gdzie ściany pokryto nazwiskami ludzi starających się o władzę oraz opisami ich niezwykłych cech, a także innymi, mniej pochlebnymi komentarzami i obrazami. Niewielki dom o wykrzywionych drzwiach i podupadłym dachu, wepchnięty pomiędzy magazyn a pochyloną szopę.

- To ten dom. - Głos żebraka był cichy, a oddech cuchnął zgniłymi owocami.

- Dobrze. - Shenkt położył pięć szalek na jego pokrytej strupami dłoni. - To dla ciebie. - Zacisnął pięść mężczyzny na pieniądzech, po czym ją przytrzymał. - Nigdy tu nie wracaj. - Nachylił się i mocniej zacisnął dłoń. - Nigdy.

Przeszedł na drugą stronę brukowanej ulicy i wspiał się na mur otaczający dom. Jego serce biło niespodziewanie szybko, od potu szczypała go skóra głowy. Przekradł się przez zarośnięty ogród, bezszelestnie stawiając stare buty pomiędzy chwastami, aż do rozświetlonego okna. Niechętnie, niemal z obawą zajrzał do środka. Troje dzieci siedziało na wytartym

czerwonym dywanie przy niewielkim kominku. Dwie dziewczynki i chłopiec, wszyscy z takimi samymi pomarańczowymi włosami. Dzieci bawiły się jaskrawo pomalowanym drewnianym koniem na kółkach. Wspiwały się na niego, woziły nawzajem, po czym spychały z jego grzbietu, cicho popiskując z radości. Shenkt obserwował je z fascynacją.

Niewinne. Nieukształtowane. Pełne możliwości. Nim zaczną podejmować własne decyzje albo ktoś je w tym wyreżyżuje. Zanim drzwi zaczną się przed nimi zamykać, kierując je na jedyną pozostałą ścieżkę. Zanim uklękną. W tej króciutkiej chwili mogą być wszystkim.

- No, no. Co my tu mamy?

Przykucnęła na dachu szopy, przekrzywiając głowę, a smuga ostrego światła z okna naprzeciwko padała jej na twarz, sterczące czerwone włosy, jedną czerwoną brew, przymrużone oko, piegowatą skórę i kącik surowych ust. W jednej dłoni trzymała lśniący łańcuch, na którym lekko kołysał się krzyż z zaostrzonego metalu.

Shenkt westchnął.

- Wygląda na to, że mnie zaskoczyłaś.

Ześlizgnęła się po ścianie i opadła na piach, miękko lądując w kuckach przy wtórze grzechotu łańcucha. Wstała, wysoka i smukła, po czym zbliżyła się do niego o krok, unosząc dłoń.

Powoli wciągnął powietrze.

Widział każdy szczegół jej twarzy: zmarszczki, piegi, delikatne włoski na górnej wardze, jasne brwi, które popęzły w dół, gdy zamruwała.

Słyszał bicie jej serca, głośne jak walenie tarana o bramę.

Łup... łup... łup...

Objęła jego głowę dłonią i się pocałowali. Wziął ją w ramiona, mocno przycisnął do siebie jej szczupłe ciało, a ona wplotła mu palce we włosy, ocierając się podbródkiem o jego plecy i lekko stukając zwisającym kawałkiem metalu o jego nogi. To był długi i czuły pocałunek, który wywołał mrowienie na całym jego ciele, od ust aż po palce u nóg.

Odsunęła się.

- Dawno się nie widzieliśmy, Cas.

- Wiem.

- Zbyt dawno.

- Wiem.

Skinęła głową w stronę okna.

- Tęsknię za tobą.

- Czy mogę...

- Wiesz, że tak.

Zaprowadziła go do drzwi, a potem do wąskiego korytarza, po drodze odpinając łańcuch od nadgarstka i wieszając go na haku razem z dyndającym nożem w kształcie krzyża. Najstarsza dziewczynka wybiegła z pokoju, po czym zamarła, gdy go zobaczyła.

- To ja. - Powoli się do niej zbliżył, a głos uwiązł mu w gardle.

- To ja.

Pozostała dwójka dzieci dołączyła do siostry, zerkając jej przez ramię. Shenkt nie bał się żadnego człowieka, ale w obliczu tych malców był tchórzem.

- Mam coś dla was. - Drżącymi palcami sięgnął pod płaszcz. -

Cas. - Wyciągnął figurkę psa, a mały chłopiec o jego imieniu złapał ją z uśmiechem. - Kande. - Położył ptaszka na złożonych dłoniach najmniejszej dziewczynki, która popatrzyła na rzeźbę bezrozumnym wzrokiem. - A to dla ciebie, Tee. - Podał kotka najstarszej dziewczynce.

Przyjęła go.

- Nikt mnie już tak nie nazywa.

- Przepraszam, że tak długo mnie nie było. - Dotknął jej włosów, ale ona wzdrygnęła się i odsunęła. Zakłopotany cofnął rękę. Gdy się poruszył, poczuł w kieszeni ciężar zakrzywionego rzeźnickiego noża. Gwałtownie wstał i zrobił krok do tyłu. Trójka dzieci wpatrywała się w niego, ściskając w rączkach wyrzeźbione zwierzęta.

- Zmykajcie do łóżek! - zawołała Shylo. - On jutro wciąż tu będzie. - Popatrzyła na niego, marszcząc piegowaty nos. - Prawda, Cas?

- Tak.

Zignorowała ich marudzenie, wskazując schody.

- Do łóżek. - Wspinali się powoli, stopień za stopniem. Chłopiec ziewał, młodsza dziewczynka zwiesiła głowę, starsza narzekała, że nie jest zmęczona. - Później przyjdę wam zaśpiewać. Jeśli do tej pory będziecie cicho, może nawet ojciec coś wam zanuci grubym głosem.

Młodsza z dziewczynek uśmiechnęła się do niego między słupkami balustrady na szczycie schodów, aż w końcu Shylo wepchnęła Shenkta do salonu i zamknęła drzwi.

- Ależ wyrośli - szepnął.

- Jak to dzieci. Po co przyjechałeś?

- Nie mogę po prostu...

- Wiesz, że możesz, i wiesz także, że nigdy tego nie robiłeś. Po co... - Zobaczyła rubin na jego palcu wskazującym i zmarszczyła czoło. - To pierścień Murcatto.

- Zgubiła go w Puranti. Prawie ją tam złapałem.

- Złapałeś? W jakim celu?

Na chwilę zamilkł.

- Wplątała się... w moją zemstę.

- Ty i twoja zemsta. Czy kiedykolwiek pomyślałeś, że byłbyś szczęśliwszy, gdybyś o niej zapomniał?

- Kamień mógłby być szczęśliwszy, gdyby stał się ptakiem i wzbił w niebo. Ale nim nie jest. Pracowałeś dla Murcatto?

- Tak. I co z tego?

- Gdzie ona jest?

- Więc po to tutaj przyjechałeś?

- Po to. - Zerknął na sufit. - I dla nich. - Popatrzył jej w oczy. - Oraz dla ciebie.

Uśmiechnęła się, a drobne zmarszczki przecięły jej skórę w kącikach oczu. Sam się zdziwił, jak bardzo mu się to spodobało.

- Cas, Cas. Jak na takiego spryciarza straszny z siebie tępak. Zawsze szukasz nie tego, co trzeba, nie tam, gdzie trzeba. Murcatto jest w Osprii z Rogontem. Brała tam udział w bitwie. Wie o tym każdy, kto ma uszy.

- Ja nic o tym nie słyszałem.

- Bo nie potrafisz słuchać. Jest teraz blisko związana z Królem

Zwłoki. Podejrzewam, że Rogont zastąpi nią Orso, żeby zyskać poparcie mieszkańców Talinsu, gdy sięgnie po koronę.

- Zatem ona wróci z nim do Talinsu.

- Zgadza się.

- Pojadę tam za nimi. - Shenkt zmarszczył czoło. - Mogłem tam zostać i po prostu zaczekać na nią kilka tygodni.

- Tak to bywa, gdy ciągle się za czymś goni. Czasem lepiej poczekać, aż to, czego szukasz, samo do ciebie przyjdzie.

- Byłem pewien, że znajdziesz sobie innego mężczyznę.

- Znalazłam dwóch. Nie sprawdzili się. - Wyciągnęła do niego dłoń. - Jesteś gotowy, żeby coś zanucić?

- Zawsze. - Wziął ją za rękę, a ona wyprowadziła go z pokoju na schody.

VII

Talins

„Zemsta jest daniem, które najlepiej smakuje na zimno”.

Pierre Choderlos de Laclos

Rogont z Osprii spóźnił się na pole bitwy pod Słodkimi Sosnami, jednak Salier z Visserine dysponował znacznymi siłami i był zbyt dumny, by się wycofać. Zwłaszcza że wrogami dowodziła kobieta. Stanął do walki, przegrał, po czym uciekł, pozostawiając Caprile bezbronne. Zamiast narażać miasto na pewne splądrowanie, mieszkańcy otworzyli bramy przed Wężem Talinsu, licząc na jej łaskę.

Monza wjechała do miasta, jednak większość ludzi pozostawiła na zewnątrz. Orso wszedł w sojusz z Baolińczykami, przekonując ich, by walczyli pod podartymi sztandarami Tysiąca Ostrzy. Byli to zajadli wojownicy, lecz słynęli z okrucieństwa. Monza również, co sprawiało, że jeszcze mniej im ufała.

- Kocham cię.

- Oczywiście.

- Kocham cię, ale nie wpuszczaj Baolińczyków do miasta, Benno.

- Możesz mi zaufać.

- Ufam ci. Nie wpuszczaj Baolińczyków do miasta.

Wracała trzy godziny w blasku obniżającego się słońca na gnijące pole bitwy pod Słodkimi Sosnami, by zjeść kolację z księciem Orso i poznać jego plany dotyczące zakończenia sezonu.

- Okażemy miłosierdzie mieszkańcom Caprile, jeśli całkowicie poddadzą się mojej woli, wypłacą rekompensaty i uznają mnie za swojego prawowitego władcę.

- Miłosierdzie, Wasza Ekscelencjo?

- Chyba wiesz, co to takiego, prawda? - Wiedziała. Ale nie podejrzewała, że on także. - Chcę im zabrać ziemię, nie życie. Trupy nie mogą wykonywać rozkazów. Odniosłaś tutaj wielkie

zwycięstwo. Czeka cię triumfalna procesja ulicami Talinsu.

Przynajmniej Benna będzie miał jakąś przyjemność.

- Wasza Ekscelencja jest zbyt łaskawy.

- Ha. Niewielu ludzi by się z tym zgodziło.

Śmiała się, wracając do miasta chłodnym świtem, a Wierny jej wtórował. Rozmawiali o tym, jak żyzna jest gleba nad brzegami Capry, obserwując bujną pszenicę kołyszącą się na wietrze.

Potem zobaczyła dym nad miastem i już wiedziała.

Na ulicach było pełno zabitych - mężczyzn, kobiet, dzieci, młodych i starych. Gromadziło się na nich ptactwo. Roily się muchy. Zagubiony kulawy pies szedł obok ich koni. Nie dostrzegli żadnego innego śladu życia. Otwarte okna i drzwi ziały pustką. Pożary wciąż nie wygasły, z wielu domów pozostały tylko popiół i chwiejące się kominy.

Poprzedniego wieczoru Caprile tętniło życiem. Tego ranka było piekłem na ziemi.

Wyglądało na to, że Benna jej nie posłuchał. Baolińczycy zaczęli, ale wkrótce z zapalem przyłączyła się do nich reszta Tysiąca Ostrzy - pijana, wściekła, zmartwiona, że ominą ich łatwe łupy. Ciemność i ciemne towarzystwo sprawiają, że nawet porządni ludzie zachowują się jak zwierzęta, a wśród szumowin, którymi dowodziła Monza, nie było ich wielu. Granice cywilizacji nie są nieprzeniknionymi murami, za jakie uważają je cywilizowani ludzie, lecz rozwiewają się równie łatwo jak dym na wietrze.

Monza zeskoczyła z konia i wyrzygała wykwintne śniadanie księcia Orso na zaśmiecony bruk.

- To nie twoja wina - rzekł Wierny, kładąc potężną dłoń na jej ramieniu.

Strąciła ją.

- Wiem o tym.

Jednak jej zbuntowany żołądek miał inne zdanie.

- Żyjemy w Krwawych Latach, Monzo. Tacy jesteśmy.

Weszła po schodach do domu, który zajmowali. Język miała szorstki od wymiocin. Benna leżał na łóżku pogrążony w

głębokim śnie, obok jego ręki spoczywała fajeczka do plew. Monza dźwignęła go na nogi aż jęknął, po czym spoliczkowała z obu stron.

- Kazałam ci nie wpuszczać ich do miasta! - Pchnęła go do okna i zmusiła, żeby popatrzył na zalaną krwią ulicę.

- Nie wiedziałem! Powiedziałem Vietusowi... chyba... - Osunął się na podłogę i zapłakał, a Monzę opuścił gniew, pozostawiając tylko pustkę.

Była winna tego, że przekazała mu dowodzenie. Nie mogła pozwolić, by wziął na siebie całą odpowiedzialność. Był dobrym i wrażliwym człowiekiem, nie zniósłby tego. Mogła tylko ukłęknać, przytulić go i szeptać mu do ucha kojące słowa, podczas gdy za oknem brzęczały muchy.

- Orso chce nam zapewnić triumf...

Wkrótce zahuczało od plotek. Monza rozkazała dokonać masakry. Zachęcała Baolińczyków, wołając o więcej. Nazwali ją Rzeźniczką z Caprile, a ona nie zaprzeczała. Ludzie byli bardziej skłonni uwierzyć w szokujące kłamstwo niż w niefortunny zbieg okoliczności. Woleli wierzyć, że świat jest pełen zła, a nie pecha, egoizmu i głupoty. Poza tym, plotki okazały się użyteczne, gdyż Wąż Talinsu zaczął wzbudzać jeszcze większy strach.

W Osprii ją wyklęto. W Visserine spalono jej wizerunek. W Affoi i Nicante obiecano fortunę za jej głowę. Wokół Morza Lazurowego bito w dzwony, głosząc jej hańbę. Jednakże w Etrisani świętowano. W Talinsie tłum skandował jej imię na ulicach i obsypywał ją płatkami kwiatów. W Cesale wzniesiono jej pomnik. Krzykliwy, pokryty złotymi płatkami, które wkrótce się złuszczyły.

Przedstawiał ją razem z Benną w wydumanych pozach, siedzących na potężnych rumakach, dumnie wpatrzonych w świetlaną przyszłość.

Na tym polega różnica między bohaterem a złoczyńcą, żołnierzem a mordercą, zwycięstwem a zbrodnią. Wszystko zależy od tego, po której stronie rzeki stoi twój dom.

Powrót do ojczyzny

Monza czuła się fatalnie.

Bolały ją nogi, pośladki miała poobcierane od siodła, ramię jej zeszywniało, tak że stale musiała wykręcać głowę w jedną stronę niczym oszalała sowa, na próżno próbując je rozluźnić. Gdy na chwilę pozbywała się jednego źródła cierpienia, zaraz odzywało się kolejne, by wypełnić lukę. Miała wrażenie, że jej żałośnie sterczący mały palec jest oplątany sznurkiem uplecionym z lodowatego bólu, zaciskającym się nieubłaganie na rękę aż do łokcia za każdym razem, gdy poruszała dłonią. Na bezchmurnym błękitnym niebie świeciło bezlitosne słońce, od którego mrużyła oczy, zmagając się z bólem głowy wywołanym przez monety spajające jej czaszkę. Pot drażnił skórę pod włosami, spływał po szyi i zbierał się w potwornie swędzących bliznach pozostałych po strunie Gobby. Ciarki przebiegały po jej kłującej, wilgotnej, lepkiej skórze. Gotowała się w swojej zbroi jak podroby w puszcze.

Rogont upodobił ją do swojej prostackiej wizji Bogini Wojny, niefortunnie łącząc błyszczącą stal z haftowanymi jedwabiami, czyli niewygodę pełnej zbroi płytowej z brakiem ochrony nocnej koszuli. Strój wykonał osobisty płatnerz Rogonta, który pozostawił znacznie więcej miejsca pod złoconym napierśnikiem niż było konieczne. Najwyraźniej Król Zwłoki uznał, że to się spodoba ludziom.

A pojawiło się ich całkiem sporo.

Stali wzdłuż wąskich ulic Talinsu. Tłoczyli się w oknach i na dachach, by choć przez chwilę na nią popatrzeć. Oszalamiający tłum wypełniał place i ogrody, rzucając kwiaty, wymachując sztandarami, kipiąc nadzieją. Ludzie krzyczeli, wrzeszczeli,

ryczeli, piszczele, klaskali, tupali i nawoływali, rywalizując ze sobą, kto jako pierwszy zmiążdży jej czaszkę hałasem. Tworzone na oczekaniu zespoły muzyków ustawiały się na rogach ulic, wygrywając jazgotliwe wojskowe melodie, które stopniowo cichły, gdy ich mijała, i zlewały się w jedno z kolejnymi fałszywymi nutami, tworząc bezmyślny, zabójczy, patriotyczny zgiełk.

Przypominało to triumf po zwycięstwie pod Słodkimi Sosnami, tylko że teraz była starsza i jeszcze bardziej niechętna, jej brat gnił w ziemi, zamiast pławić się w chwale, i do tego, obok niej jechał jej dawny wróg Rogont, a nie dawny przyjaciel Orso. Być może właśnie do czegoś takiego sprowadza się historia. Można najwyżej zamienić jednego drania na drugiego.

Przejechali po Moście Łez, Moście Monet, Moście Mew, gdzie rzeźby morskich ptaków spoglądały wściekle z góry na powoli pełznącą procesję, a brązowe wody rzeki Etris leniwie pienią się w dole. Za każdym razem, gdy Monza skręcała za róg, obmywała ją nowa fala wiwatów. Nowa fala mdłości. Serce waliło jej jak młot. Cały czas spodziewała się, że ktoś ją zabije. Ostrza i strzały wydawały się jej bardziej prawdopodobne niż kwiaty oraz serdeczne słowa, a także znacznie bardziej zasłużone. Agenci księcia Orso, jego sojusznicy z Unii oraz setka innych osób mieli z nią osobiste porachunki. Do diabła, gdyby stała w tłumie i zobaczyła przejeżdżającą kobietę ubraną w taki sposób, sama by ją zabiła dla zasady. Jednakże wyglądało na to, że Rogont skutecznie rozpuścił plotki, gdyż mieszkańcy Talinsu ją kochali. A przynajmniej kochali swoje wyobrażenie o niej. Lub musieli sprawiać takie wrażenie.

Skandowali jej imię oraz imię jej brata, a także nazwy miejsc, w których odniosła najsłynniejsze zwycięstwa. Afieri. Musselia. Caprile. Słodkie Sosny. Wysoki Brzeg. Także brody na Sulvie. Zastanawiała się, czy wiedzą, co fetują. Miejsca, w których pozostawiła za sobą szlak z trupów. Głowę Cantaina gnijącą na bramie Borletty. Nóż wbity w oko Hermona. Gobbę posiekanego na kawałki i rozwleczonego przez szczury w kanałach pod ich stopami. Zatrute księgi Mauthisa i jego urzędników, ich zatrute

palce i języki. Śmierć Ario i innych uczestników zabawy u Cardottiego oraz Ganmarka i jego strażników wyciętych w pień. Wiernego zwisającego z młyńskiego koła, głowę Foscara rozłupaną na zakurzonej posadzce. Całe wozy trupów. Niektórych z tych czynów nie żałowała, innych owszem. I nic z tego nie powinno być powodem do wiwatów. Skrzywiła się, patrząc na roześmiane twarze w oknach. Może właśnie to odróżnia ją od tych ludzi.

Może oni po prostu uwielbiają trupy, dopóki śmierć nie puka do ich własnych drzwi.

Zerknęła przez ramię na swoich tak zwanych sojuszników, ale wcale nie poczuła się pewniej. Wielki księżę Rogont, kandydat do królewskiego tronu, uśmiechający się do tłumów, otoczony wianuszkiem czujnych strażników, człowiek, którego miłość zgaśnie, gdy tylko Monza przestanie mu być potrzebna. Dreszcz z lśniącym metalowym okiem, który pod jej czułym wpływem zmienił się z sympatycznego optymisty w okaleczonego mordercę. Mrugnął do niej Cosca - najmniej godny zaufania współlnik i najbardziej nieprzewidywalny wróg, który wciąż nie zdecydował, którą z tych ról odegra. Przyjazny... kto wie, co się kryje za tym martwym spojrzeniem?

Dalej z tyłu jechali pozostali przy życiu przywódcy Ligi Ośmiu. A raczej Dziewięciu. Lirozio z Puranti o eleganckich nastroszonych wąsach, który zwinnie powrócił do obozu Rogonta po krótkotrwałym sojuszu z Orso. Hrabina Cotarda i jej czujny wuj, który nigdy nie odstępował jej na krok. Patine, pierwszy obywatel Nicante prezentujący maniery imperatora i chłopskie łańchmany, który nie zdecydował się uczestniczyć w bitwie przy brodach, ale z chęcią grzał się w blasku zwycięstwa. Byli nawet przedstawiciele miast, które Monza splądrowała w imieniu Orso - obywatele Musselii i Etrei, sprytna młoda siostrzenica księcia Cantaina, która nagle została księżną Borletty i bardzo jej się to spodobało.

Ludzie, których Monza od tak dawna uznawała za wrogów, że trudno jej się było przestawić. Zresztą, sądząc po ich spojrzeniach, oni mieli podobny problem. Była pajęczycą, którą

musieli tolerować w swojej spiżarni, by pozbyć się much. Lecz gdy muchy już znikną, nikt nie chce znaleźć pająka na swoim talerzu.

Odwróciła się, czując mrowienie na spoconych ramionach, i spróbowała skupić wzrok przed sobą. Jechali po łuku wzdłuż niekończącego się nabrzeża, a nad nimi przelatywały, krążyły i wrzeszczały mewy. Przez całą drogę Monza czuła charakterystyczną zatechłą słoną woń Talinsu. Minęli stocznię, gdzie na wałkach stały na wpół ukończone kadłuby dwóch olbrzymich okrętów wojennych, przypominające szkielety wyrzuconych na plażę gnijących wielorybów. Minęli zakłady powroźników i producentów żagli, składy drewna, siedziby rzemieślników zajmujących się obróbką drewna i mosiądzu oraz wytwarzaniem łańcuchów. Minęli rozległy, cuchnący targ rybny, opustoszały być może po raz pierwszy od czasu, gdy zwycięstwo pod Słodkimi Sosnami wyciągnęło rozradowane tłumy na ulice.

Ściany budynków za plecami wielobarwnej ludzkiej ciżby były oblepione plakatami, co w Talinsie stanowiło normę od czasu wynalezienia prasy drukarskiej. Informacje o dawnych zwycięstwach, ostrzeżenia, zachęty, patriotyczne hasła, bezustannie zaklejane nowymi obwieszczeniami. Na najnowszych plakatach widniała twarz kobiety - surowa, pozbawiona skrupułów, pełna lodowatego piękna. Monza poczuła ucisk w żołądku, gdy zrozumiała, że to jej własne oblicze, pod którym dużymi literami napisano: „Siła, Odwaga, Chwała”. Orso kiedyś jej powiedział, że, aby zmienić kłamstwo w prawdę, wystarczy odpowiednio często je wykrzykiwać. I oto widziała swoją butną twarz porozwieszaną na wszystkich zaplamionych solą ścianach. Na kolejnej sypiącej się fasadzie wisiał inny zestaw plakatów, nieudolnie narysowanych i niewyraźnie wydrukowanych, na których niezdarnie unosiła szpadę pod hasłem: „Nie poddawaj się, nie ustępuj, nie wybaczej”. Powyżej widniały rozmazane czerwone litery, dorównujące wielkością wzrostowi dorosłego człowieka, układające się w jedno proste słowo:

„Zemsta”.

Monza przełknęła ślinę, czując się coraz bardziej nieswojo. Jechali wzdłuż niekończącego się nabrzeża, gdzie kutry rybackie, łodzie wycieczkowe i statki handlowe wszelkich kształtów i rozmiarów, pochodzące ze wszystkich krajów pod słońcem kołysały się na falach olbrzymiej zatoki, a na pajęczych sieciach olinowania tkwili marynarze, którzy wspięli się, by obserwować, jak Wąż Talinsu obejmuje miasto w posiadanie.

Obawy Orso stały się faktem.

Cosca czuł się wyśmienicie.

Było gorąco, ale od strony połyskującego morza wiała orzeźwiająca bryza, a jeden z nowych kapeluszy z jego stale rosnącej kolekcji osłaniał mu oczy. Było niebezpiecznie, gdyż w tłumie niewątpliwie kryło się kilku zabójców, jednak tym razem w ich zasięgu znajdowały się także inne, bardziej znienawidzone cele. Pić, pić, pić, oczywiście pijacki głos w jego głowie nigdy całkowicie nie milkł, ale teraz bardziej przypominał marudne mruczenie niż rozpaczliwy wrzask, a wiwaty tłumów skutecznie go zagłuszały.

Nie licząc niewyraźnej woni wodorostów, wszystko było tak samo jak w Osprii po jego słynnym zwycięstwie w Bitwie o Wyspy. Kiedy stał dumnie w strzemionach na czele kolumny, przyjmując oznaki uwielbienia, unosząc ręce i wołając: „Ależ nie trzeba!”, gdy tak naprawdę myślał „Jeszcze, jeszcze!”. Wtedy wielka księżna Sefelina, ciotka Rogonta, grzała się w odbiciu jego chwały, zaledwie kilka dni przed tym, jak spróbowała go otruć. Zaledwie kilka miesięcy przed tym, jak los się odwrócił i sama padła ofiarą truciciela. Tak się robi politykę w Styrii. Przez chwilę zastanawiał się, po co się w to pakuje.

- Otoczenie się zmienia, ludzie się starzeją, pojawiają się nowe twarze, ale wiwaty zawsze są takie same: energiczne, zaraźliwe i bardzo krótkotrwałe.

- Mmm - stęknął Dreszcz. Obecnie trudno było go nakłonić do dłuższej rozmowy, ale Cosce to nie przeszkadzało. Mimo że kilka razy próbował się zmienić, zawsze zdecydowanie wolał mówić niż słuchać.

- Oczywiście nienawidzę Orso, ale jego upadek mnie nie cieszy. - W jednej z mijanych bocznych uliczek zauważyli potężny pomnik groźnego księcia Talinsu. Orso chętnie sponsorował rzeźbiarzy, jeśli czynili go tematem swoich dzieł. Przed posągiem wznosiło się rusztowanie, na którym tłoczyli się ludzie radośnie rozbijający surowe oblicze księcia młotkami. - Wczorajsi bohaterowie szybko odchodzą w niepamięć. Tak jak ja kiedyś.

- Jednak wygląda na to, że wróciłeś.

- Otóż to! Wszystkich nas niosą przyływy i odpływy. Posłuchaj, jak wiwatują na cześć Rogonta i jego sojuszników, choć niedawno uznawali go za najgorszą szumowinę. - Cosca wskazał plakaty powiewające na najbliższej ścianie. Przedstawiały księcia Orso z twarzą w latrynie. - Wystarczy zedrzeć wierzchnią warstwę, a z pewnością znajdziemy hasła w najgorszy sposób obrażające połowę uczestników tej procesji. Pamiętam plakat, na którym Rogont srał na talerz, a księżę Salier zajadał jego zawartość widelcem. Albo inny, na którym księżę Lirozio próbował dosiąść swojego konia. A kiedy mówię „dosiąść”...

- He - odezwał się Dreszcz.

- Koń nie był zachwycony. Ze wstydem przyznaję, że jeśli dokopiemy się do jeszcze głębszych warstw, znajdziemy plakaty, które nazywają mnie najpodlejszym łotrem w całym Kręgu Świata, ale teraz... - Cosca posłał ekstrawagancki pocałunek w stronę kilku dam stojących na balkonie, a one uśmiechnęły się, pokazując go sobie palcami i najwyraźniej uznając za bohatera, który je wyzwolił.

Północny wzruszył ramionami.

- Tutaj ludzi nic nie trzyma na ziemi. Wiatr miota nimi na wszystkie strony.

- Wiele podróżowałem - jeśli ciągle uciekanie przed wojenną

zawieruchą można tak nazwać - i ze swojego doświadczenia mogę powiedzieć, że ludzie wszędzie są tak samo zmienni. - Odkręcił piersiówkę. - Mają wiele kategoriycznych poglądów, które okazują się bardzo niewygodne, gdy muszą je zastosować w życiu. Niewielu ludzi pozwala, by moralność krzyżowała im plany. Albo nawet ograniczała wygodę. Rzadko spotyka się człowieka gotowego do poświęceń w imię tego, w co wierzy.

- Tylko wyjątkowy głupiec wybiera trudną ścieżkę tylko dlatego, że jest właściwa.

Cosca pociągnął długi łyk z piersiówki, skrzywił się, po czym potarł językiem o przednie zęby.

- Tylko wyjątkowy głupiec w ogóle odróżnia właściwą ścieżkę od niewłaściwej. W każdym razie ja nigdy tego nie potrafiłem.

Stanął w strzemionach, zamaszystym ruchem zdjął z głowy kapelusz i zaczął nim wywijać w powietrzu, pokrzykując jak piętnastoletni chłopak. Tłum ryknął radośnie. Zupełnie jakby mieli do czynienia z człowiekiem godnym wiwatów. A nie z Nicomo Coscą.

Tak cicho, że nikt nie mógł go usłyszeć, tak delikatnie, że nuty pojawiały się niemal wyłącznie w jego umyśle. Shenkt nucił.

- Jedzie!

Nabrzmiała napięciem cisza wybuchła owacjami. Ludzie tańczyli, wyrzucali w górę ręce, wiwatowali z histerycznym entuzjazmem. Śmiali się i płakali, świętowali, jakby ich życie mogło choć trochę się zmienić dzięki temu, że Monzcarro Murcatto otrzymała skradziony tron.

Shenkt często widywał to oblicze polityki. Kiedy pojawia się nowy przywódca, niezależnie od tego, w jaki sposób doszedł do władzy, przez jakiś czas ludzi zaślepia nadzieja na lepszą przyszłość. Oczywiście, taki złoty okres nie trwa wiecznie. Bardzo szybko nieskazitelny wizerunek przywódcy brukają

małostkowe rozczarowania, porażki i frustracje poddanych. Wkrótce każde działanie władcy spotyka się z krytyką, a ludzie czekają na nowego przywódcę, by móc poczuć, że narodzili się na nowo. Ponownie.

Na razie mieszkańcy głosili pod niebiosa chwałę Murcatto, tak głośno, że chociaż Shenkt widział to już wielokrotnie, niemal udzieliła mu się nadzieja tłumu. Być może to rzeczywiście wielki dzień, początek nowej wspaniałej ery, a on po latach będzie z dumą wspominał, że w tym uczestniczył. Nawet jeśli ma do odegrania złowieszczą rolę. W końcu niektórzy ludzie nadają się tylko do tego.

- Na Boginie Losu. - Obok niego Shylo skrzywiła się z pogardą. - Jak ona wygląda? Jak jebany złoty świecznik. Figura dziobowa, którą pomalowali złotą farbą, żeby ukryć zgniliznę.

- Moim zdaniem wygląda dobrze.

Shenkt ucieszył się, że zobaczył Monzę żywą, jadącą na czarnym wierzchowcu na czele migoczącej kolumny. Być może książę Orso jest skończony, jego ludzie kłaniają się nowemu władcy, a pałac w Fontezarmo jest oblężony, ale to niczego nie zmienia. Shenkt ma zadanie do wykonania i doprowadzi je do końca, niezależnie od przykrych skutków. Jak zawsze. W końcu nie wszystkie opowieści muszą się dobrze kończyć.

Murcatto podjechała bliżej, patrząc przed siebie ze wściekłą determinacją. Shenkt miał ochotę wyjść z tłumu, odsuwając na bok ludzi, uśmiechnąć się i wyciągnąć do niej rękę. Niestety, tutaj było zbyt wielu widzów i strażników. Nadejdzie chwila, gdy powita ją twarzą w twarz.

Na razie stał i nucił, gdy go mijala.

Tak wielu ludzi. Zbyt wielu, by ich zliczyć. Gdy Przyjazny spróbował to zrobić, poczuł się bardzo dziwnie. Nagle w tłumie mignęła mu twarz Vitari, a obok niej pojawił się chudy mężczyzna o krótkich, jasnych włosach i wyblakłym uśmiechu.

Przyjazny stanął w strzemionach, ale powiewający sztandar przesłonił mu widok i znajome oblicze rozplynęło się w oślepiającej plataninie tysiąca twarzy. Skupił się więc na dalszym obserwowaniu procesji.

Gdyby znajdowali się w Bezpiecznym Miejscu, a Murcatto i Dreszcz byli skazańcami, Przyjazny bez cienia wątpliwości wyczytałby z twarzy Północnego, że ten chce ją zabić. Ale, niestety, to nie było Bezpieczne Miejsce, więc obowiązywały tutaj zasady, których Przyjazny nie rozumiał. Zwłaszcza gdy w grę wchodziły kobiety, je bowiem traktował jak obcą rasę. Niewykluczone, że Dreszcz ją kocha, a to spojrzenie pełne głodnej wściekłości stanowi wyraz jego uczuć. Przyjazny wiedział, że ta dwójka pieprzyła się w Visserine, dokładnie ich wtedy słyszał, ale pomyślał, że może teraz Monza pieprzy się z wielkim księciem Osprii. Nie miał pojęcia, jakie to może mieć znaczenie. W tym tkwił problem.

Przyjazny nigdy nie rozumiał pieprzenia, nie mówiąc o miłości. Kiedy wrócił do Talinsu, Sajaam czasami zabierał go na dziwki, twierdząc, że to nagroda. Nie wypadało odmawiać, nawet jeśli nie miał na taką nagrodę ochoty. Przede wszystkim miał kłopoty z utrzymaniem twardego fiuta. Największą radość w całym tym brudnym zajęciu sprawiało mu liczenie pchnięć dzielących go od końca.

Starął się uspokoić skołatane nerwy, licząc stuknięcia kopyt swojego konia. Wydawało mu się, że najlepiej zrobi, jeśli zachowa wszystkie wątpliwości dla siebie i pozwoli, by sprawy potoczyły się swoim biegiem. Nawet jeśli Dreszcz zabije Monzę, Przyjazny zbyttno się tym nie zmartwi. Zapewne wielu ludzi chce ją uśmiercić. Tak się dzieje, gdy ktoś zaczyna rzucać się w oczy.

Dreszcz nie był potworem. Po prostu miał już dość.

Dość bycia traktowanym jak głupiec. Dość tego, że jego dobre

intencje wciąż ruchały go w tyłek. Dość troszczenia się o swoje sumienie. Dość zamartwiania się zmartwieniami innych. A przede wszystkim dość tego przekłętego swędzenia. Skrzywił się, wbijając paznokcie w blizny na twarzy.

Monza miała rację. Miłosierdzie i tchórzostwo są tym samym. Nie ma nagród za dobre zachowanie. Ani na Północy, ani tutaj, ani nigdzie. Życie to wredny drań, który pomaga tylko tym, którzy sami biorą to, czego chcą. Racja jest po stronie ludzi najbardziej bezwzględnych, zdradzieckich i krwawych, a wiwaty tych głupców stanowią tego najlepszy dowód. Patrzył, jak Monza powoli jedzie na czele procesji na swoim czarnym wierzchowcu, a jej czarne włosy powiewają na wietrze. Miała rację we wszystkim, mniej więcej.

A on zamierzał ją zamordować, tylko dlatego że pieprzyła się z kimś innym.

Pomyślał o tym, że mógłby ją zasztyletować, pociąć, pokroić na dziesięć różnych sposobów. Pomyślał o śladach na jej żebrach, o tym, że mógłby delikatnie wbić tam ostrze. Pomyślał o bliznach na jej szyi, do których mógłby dopasować dłonie, by ją udusić. Podejrzewał, że miło byłoby jeszcze raz znaleźć się blisko niej. To dziwne, że tak wiele razy ją uratował, samemu ryzykując przy tym życie, a teraz zastanawiał się, jak najlepiej mógłby ją wykończyć.

Rzeczywiście jest tak, jak kiedyś powiedział mu Krwawydziwień - miłość od nienawiści oddziela tylko krawędź noża.

Dreszcz znał sto niezawodnych sposobów na zabicie kobiety. Problem stanowiły miejsce i czas dokonania morderstwa. Monza zachowywała czujność, bezustannie spodziewając się zamachu. Może nie z jego strony, ale skądś na pewno. Niewątpliwie na jej życie dybało wiele innych osób. Rogont o tym wiedział i obchodził się z nią ostrożnie jak skąpiec ze skarbem. Potrzebował jej do przeciągnięcia na swoją stronę tych wszystkich ludzi, więc polecił swoim żołnierzom, by nie spuszczali jej z oka. Dlatego Dreszcz musiał czekać i dokładnie wybrać moment działania. Potrafił być cierpliwy. Carlot miała rację. Niczego nie da się zrobić dobrze w... pośpiechu.

- Trzymaj się blisko niej.

- Co?

Książę Rogont podjechał do niego od jego ślepej strony. Dreszcz musiał się powstrzymać, żeby nie rozkwasić pięścią jego kpiąco uśmiechniętego, przystojnego oblicza.

- Orso wciąż ma tutaj zwolenników. - Rogont nerwowo powiódł wzrokiem po tłumie. - Agentów. Zabójców. Wszędzie czyha zagrożenie.

- Zagrożenie? Wszyscy sprawiają wrażenie takich szczęśliwych.

- Żartujesz sobie?

- Nie wiem, czy bym potrafił. - Twarz Dreszcza była tak nieruchoma, że Rogont nie wiedział, czy Północny z niego kpi, czy mówi poważnie.

- Trzymaj się blisko niej! Masz być jej ochroniarzem!

- Wiem, kim jestem. - Dreszcz posłał Rogontowi swój najszerszy uśmiech. - Bez obaw. - Popędził konia i zbliżył się do Monzy, tak jak mu kazano. Na tyle blisko, że widział mięśnie zaciskające się z boku jej twarzy. Niemal na tyle blisko, by rozplątać jej głowę toporem.

- Wiem, kim jestem - wyszeptał. Nie był potworem. Po prostu miał dość.

Procesja wreszcie zatrzymała się w samym środku miasta, na placu przed starym Senatem. Dach potężnego budynku zapadł się wiele wieków wcześniej, a marmurowe schody popękały i zarosły chwastami. Płaskorzeźby zapomnianych bóstw na olbrzymim frontonie zmieniły się w plątaninę bezkształtnych plam, służąc jako grzędy dla legionu hałasujących mew. Dziesięć okazałych filarów podpierających przednią część budynku niepokojąco się przekrzywiło. Znaczyły je smugi odchodów i poprzyklejane kawałki starych plakatów. Jednakże potężny relikwiczek wciąż przyćmiewał otaczające go budynki,

świadcząc o utraconym majestacie Nowego Imperium.

Od schodów odchodziła zbudowana z dziurawych bloków platforma, która sięgała w głąb morza ludzi na placu. Na jej jednym narożniku stała podniszczona rzeźba Scarpiusa, czterokrotnie wyższa od dorosłego mężczyzny, ofiarowująca światu nadzieję. Wyciągnięta dłoń odłamała się w nadgarstku kilkaset lat wcześniej, ale nikt nie kłopotał się, by ją naprawić, co doprowadziło do powstania najbardziej charakterystycznego wizerunku w Styrii. Ponurzy strażnicy stali przed posągiem, na schodach i przy filarach. Na ich strojach widniał krzyż Talinsu, ale Monza wiedziała, że to ludzie Rogonta. Być może Styria została jedną wielką rodziną, ale żołnierze w niebieskich ospriańskich mundurach nie zostaliby tutaj dobrze przyjęci.

Zeslizgnęła się z siodła i ruszyła wąską doliną pomiędzy ludźmi, którzy napierali na strażników, wołając do niej, błagając o błogosławieństwo. Jakby dotknięcie jej mogło im w czymś pomóc. Jak dotąd nikomu się nie przysłużyło. Cały czas patrzyła przed siebie, boleśnie zaciskając zęby, czekając na ostrze, bełt lub strzałkę, które mogły zakończyć jej życie. Zabiłaby bez wahania za słodkie zapomnienie, które daje dym, lecz starała się ograniczyć, zarówno zabijanie, jak i palenie.

Gdy ruszyła po schodach, Scarpius zerkał na nią z góry kątem pokrytego porostami oka, jakby chciał spytać: „Czy ta suka to najlepsze, na co was stać?”. Za nim wznosił się potężny fronton budynku. Monza zastanawiała się, czy sto ton kamienia opierające się na filarach nie postanowi właśnie teraz runąć, grzebiąc pod sobą wszystkich przywódców Styrii oraz ją samą. Po cichu miała nadzieję, że tak się stanie, a jej męczarnie dobiegną rychłego końca.

Najważniejsi - czyli najbystrzejsi i najbardziej chciwi - obywatele Talinsu nerwowo tłoczyli się na środku platformy, pocąc się w swoich najdroższych strojach, zerkając na nią łapczywie jak gęsi na miskę z okruchami. Gdy Monza i Rogont podeszli bliżej, mieszczanie ukłonili się, jednocześnie pochylając głowy, co wskazywało na to, że ćwiczyli ten gest. Z jakiegoś powodu niezwykle ją to zirytowało.

- Wyprostujcie się - warknęła.

Rogont wyciągnął rękę.

- Gdzie jest obręcz? - Pstryknął palcami. - Obręcz, obręcz!

Pierwszy z obywateli przypominał nieudaną karykaturę mądrości - zakrzywiony nos, śnieżnobiała broda i głęboki skrzypiący głos pod zielonym filcowym kapeluszem, który wyglądał jak odwrócony nocnik.

- Pani, mam na imię Rubine i zostałem wyznaczony, by przemówić w imieniu mieszkańców.

- Jestem Scavier. - Pulchna kobieta miała na sobie błękitny gorset ukazujący przerażająco obfity dekolt.

- A ja jestem Grulo. - Wysoki, szczupły mężczyzna, łysy jak osioł, nieomal wepchnął się przed Scavier.

- Dwoje naszych najważniejszych kupców - wyjaśnił Rubine.

Na Rogoncie nie zrobiło to dużego wrażenia.

- I co?

- Jeśli Wasza Ekscelencja pozwoli, chcielibyśmy omówić kilka szczegółów organizacyjnych...

- Tak? No to miejmy to już z głowy!

- Co się tyczy tytułu, mieliśmy nadzieję na odejście od szlacheckości. „Wielka księżna” kojarzy się z tyranią Orso.

- Mieliśmy nadzieję... - odezwał się Grulo, wulgarnie kołyszając palcem - ...na coś, co będzie odzwierciedlało mandat zwykłych ludzi.

Rogont skrzywił się, patrząc na Monzę, jakby słowa „zwykli ludzie” smakowały szczynami.

- Mandat?

- Może „pani prezydent elekt”? - zaproponowała Scavier. - Albo „pierwsza obywatelka”?

- W końcu, technicznie rzecz biorąc, poprzedni wielki książę wciąż... żyje - dodał Rubine.

Rogont zazgrzytał zębami.

- Jest otoczony dwa tuziny mil stąd w Fontezarmo jak szczur w swojej norze! Wcześniej czy później zostanie postawiony przed obliczem sprawiedliwości.

- Ale rozumie pan, że kwestie prawne mogą nam nastreczyć

pewnych problemów...

- Kwestie prawne? - Rogont wypowiedział te słowa wściekłym szeptem. - Wkrótce zostanę królem Styrii i chcę, żeby wśród osób, które będą mnie koronowały, znalazła się wielka księżna Talinsu! Będę królem, czy wy to rozumiecie? Niech inni martwią się kwestiami prawnymi!

- Ależ, Wasza Ekscelencjo, to może zostać źle odebrane...

Jak na człowieka słynącego z cierpliwości, Rogont w ciągu ostatnich tygodni stał się wyjątkowo drażliwy.

- A jak zostałyby odebrane, gdybym na przykład kazał cię powiesić? Tutaj. Teraz. Razem ze wszystkimi innymi wahającymi się draniami. Moglibyście dyskutować o kwestiach prawnych, dyndając na sznurach.

Groźba unosiła się w powietrzu przez długą, nieprzyjemną chwilę. W końcu Monza pochyliła się w stronę Rogonta, zdając sobie sprawę, że wpatruje się w nich ogromna rzesza ludzi.

- Potrzebujemy jedności, prawda? Mam wrażenie, że wieszanie wysłałoby niewłaściwy sygnał. Załatwmy to w końcu. Potem wszyscy będziemy mogli się położyć w jakimś ciemnym pomieszczeniu.

Grulo ostrożnie odchrząknął.

- Oczywiście.

- Długa rozmowa, która doprowadziła nas do punktu wyjścia!

- parsknął Rogont. - Dajcie mi tę przeklętą obręcz!

Scavier podała mu cienką złotą opaskę. Monza powoli obróciła się przodem do tłumu.

- Mieszkańcy Styrii! - ryknął za jej plecami Rogont. - Daję wam wielką księżną Monzcarro z Talinsu! - Poczwała lekki nacisk, gdy założył jej obręcz na głowę.

I w taki prosty sposób została wyniesiona na wyżyny władzy.

Przy wtórze delikatnego szelestu wszyscy uklękli. Na placu zapadła cisza, tak że Monza słyszała ptaki trzepoczące skrzydłami i pokrzykujące na frontonie nad jej głową. Słyszała plaśnięcie, z jakim ptasie odchody upadły po jej prawej stronie, plamiąc wiekowe kamienie na białło, czarno i szaro.

- Na co oni czekają? - mruknęła do Rogonta, starając się nie poruszać ustami.

- Na przemówienie.

- Moje?

- A czyje?

Ogarnęła ją fala przerażenia. Miała przed sobą co najmniej pięćotysięczny tłum, wiedziała jednak, że wysłałaby niewłaściwy sygnał, gdyby jej pierwszą decyzją jako władczyni była paniczna ucieczka z platformy. Dlatego powoli podeszła do przodu, stawiając najtrudniejszy krok w swoim życiu, próbując uporządkować chaotyczne myśli i w ciągu krótkiej chwili przywołać słowa, których nie było w jej umyśle. Wyłoniła się z potężnego cienia Scarpiusa i stanęła w świetle słońca, widząc morze twarzy, które zwróciły się w jej stronę z szeroko otwartymi oczami pełnymi nadziei. Rozlegające się gdzieniegdzie mamrotanie zmieniło się w nerwowe szepty, aż wreszcie w niepokojącą ciszę. Monza otworzyła usta, wciąż nie wiedząc, co się z nich wydobędzie.

- Nigdy nie byłam... - zaczęła piskliwie. Odkasznęła, żeby oczyścić krtań, splunęła przez ramię, po czym zdała sobie sprawę, że zdecydowanie nie powinna była tego robić. - Nigdy nie byłam dobra w przemowach! - To było oczywiste. - Wolę działać niż o tym mówić! To pewnie dlatego, że urodziłam się na wsi. Najpierw uporamy się z Orso! Pozbędziemy się tego drania. A potem... cóż... potem walka dobiegnie końca.

Wśród klęczącego tłumu poniósł się dziwny szmer. Nikt się nie uśmiechał, ale niektórzy mieli nieobecne spojrzenia, zamglone oczy, kilka osób kiwało głowami. Monza sama była zaskoczona tęsknotą, którą nagle poczuła w piersi. Nigdy wcześniej nie myślała o tym, że pragnie końca walk. Nie znała innego życia.

- Pokój.

Pożądlivy szmer ponownie poniósł się po placu.

- Będziemy mieli króla. Cała Styria pomaszeruje w jednym kierunku. Koniec Krwawych Lat. - Pomyślała o wietrze w pszenicy. - Może postaramy się coś uprawiać. Nie mogę wam

obietąc lepszego świata, ponieważ, no cóż, jest jaki jest. - Niepewnie popatrzyła na swoje stopy i przeniosła ciężar ciała z jednej nogi na drugą. - Mogę tylko obiecać, że zrobię co w mojej mocy. Postaramy się sprawić, żeby każdy miał z czego żyć, i zobaczymy, jak nam pójdzie.

Uchwyciła spojrzenie staruszka, który wpatrywał się w nią ze łzami w oczach i drżącymi ustami, przyciskając czapkę do piersi.

- To wszystko! - burknęła.

Każdy normalny człowiek ubrałby się lekko w tak upalny dzień, ale Murcatto z typową dla siebie przekorą zdecydowała się na pełną i, jak się okazało, absurdalnie ekstrawagancką zbroję. Dlatego Morveerowi pozostało celować w twarz. Choć z drugiej strony, mniejszy cel zapewniał trudniejsze i bardziej satysfakcjonujące wyzwanie dla Strzelca o jego niezwykłych umiejętnościach. Wziął głęboki wdech.

Ku jego przerażeniu poruszyła się w kluczowej chwili, spoglądając w dół na platformę i strzałka minęła jej twarz o włos, po czym odbiła się od jednego z filarów wiekowego Senatu.

- Psiakrew! - syknął w ustnik, jednocześnie szukając w kieszeni kolejnej strzałki, zdejmując z niej zatyczkę i delikatnie ładując dmuchawkę.

Pech, który prześladował Morveera od urodzenia, sprawił, że gdy tylko przyłożył wargi do ustnika, Murcatto zakończyła swą nieudolną przemowę pośpiesznym „To wszystko!”. Tłum eksplodował szaleńczym aplauzem, a entuzjastycznie klaszczący wieśniak stojący obok bramy, w której skrył się Morveer, trącił go w łokieć.

Śmiercionośny pocisk zboczył z celu i zniknął w gęstym tłumie obok platformy. Mężczyzna, który sprawił to swoją obszerną gestykulacją, obejrzał się, a jego szeroka, błyszcząca

od tłuszczu twarz napięła się podejrzliwie. Wyglądał na robotnika, miał dłonie jak skały, a płomień intelektu ledwie się tlił w jego świńskich oczkach.

- Hej, co ty tu...?

Niech szlag trafi proletariat. Morveer zmarnował swoją szansę.

- Serdecznie przepraszam, ale czy mógłby pan łaskawie przez chwilę to potrzymać?

- Co? - Mężczyzna popatrzył na dmuchawkę, która nagle znalazła się w jego pokrytych odciskami dłoniach. - A!

Morveer ukłął go igłą w nadgarstek.

- Co do diabła?

- Serdecznie panu dziękuję. - Morveer odebrał dmuchawkę i wsunął ją razem z igłą do jednej z licznych ukrytych kieszeni.

Większość ludzi potrzebuje dużo czasu, by dać się sprowokować, zazwyczaj wcielając w życie przewidywalny rytuał nasilających się gróźb, zniewag, póż, przepychanek i tak dalej. Natychmiastowe działanie jest im obce. Dlatego mężczyzna, który potracił Morveera, dopiero teraz zaczynał wyglądać na rozgniewanego.

- Hej! - Złapał Morveera za kłapy. - Hej... - Jego oczy sprawiały nieobecne wrażenie. Zadygotał, zamrugął, wywiesił język.

Morveer chwycił go pod pachy, po czym westchnął, zaskoczony nagłym ciężarem, gdy pod wieśniakiem ugięły się kolana. Ostrożnie ułożył go na ziemi, czując nieprzyjemne ukłucie w plecach.

- Nic mu nie jest? - mruknął ktoś.

Morveer podniósł wzrok i zobaczył pół tuzina podobnych mężczyzn, którzy patrzyli na niego surowym wzrokiem.

- Za dużo piwa! - zawołał Morveer, przekrzykując zgiełk, po czym fałszywie zachichotał. - Mój towarzysz jest doszczętnie upojony!

- Że co mu się stało? - spytał jeden z mężczyzn.

- Upił się! - Morveer pochylił się. - To z dumy, że Wąż Talinsu została nową panią naszego losu! Zresztą, czy wszyscy nie jesteśmy z tego dumni?

- Tak - mruknął jeden z mężczyzn, całkowicie zaskoczony, ale częściowo udobruchany. - Jasne. Murcatto! - dokończył nieudolnie, wzbudzając pomruki poparcia u swoich małych kamratów.

- Urodzona pośród nas! - zawołał kolejny, potrząsając pięścią.

- Och, jak najbardziej. Murcatto! Wolność! Nadzieja! Ratunek przed prymitywną głupotą! Oto jesteśmy, przyjacielu! - Morveer stęknął z wysiłku, wciągając olbrzyma, a raczej jego trupa, w cień bramy. Skrzywił się, wyginając obolałe plecy. Korzystając z tego, że nikt nie zwraca na niego uwagi, wmieszał się w tłum, cały czas gotując się z niezadowolenia.

To niewybaczalne, że ta banda imbecylów wiwatuje z takim entuzjazmem na cześć kobiety, która wcale nie przyszła na świat między nimi, tylko na skrawku nieurodzajnej ziemi na samym skraju talińskiego terytorium, gdzie granica słynie z elastyczności. Bezlitosna, podstępna, zakłamana uwodzicielka pomocniczek, masowa morderczyni, hałaśliwie kopulująca złodziejka z gminu bez krzty sumienia, która dowodzi ludźmi jedynie za sprawą naburmuszonego tonu, kilku zwycięstw odniesionych nad nieudolnymi wrogami, wspomnianej skłonności do szybkiego działania, upadku ze szczytu góry oraz, przypadkowo, bardzo atrakcyjnej twarzy.

Po raz kolejny był zmuszony zadumać się nad tym, że życie znacznie lepiej traktuje ludzi urodziwych.

Skóra na niedźwiedziu

Wiele się zmieniło, odkąd Monza po raz ostatni wjeżdżała do Fontezarmo, żartując ze swoim bratem. Trudno uwierzyć, że minął zaledwie rok. Najmroczniejszy, najbardziej szalony i krwawy rok jej życia. Rok, który zmienił ją z trupa w księżną i wciąż mógł pchnąć w przeciwnym kierunku.

Tym razem był zmierzch zamiast świtu, a słońce obniżało się za ich plecami, gdy wspinali się krętym szlakiem. Po jego obu stronach na każdym w miarę płaskim kawałku terenu stały porozstawiane namioty, przed którymi w migoczącym blasku ognisk siedziały grupki leniwych żołnierzy - jedzących, pijących, naprawiających buty lub polerujących zbroje, wpatrujących się ospale w przejeżdżającą Monzę.

Przed rokiem nie miała honorowej straży. Teraz tuzin starannie dobranych ludzi Rogonta podążał za nią pokornie jak stado psów dokądkolwiek zmierzała. Dziwne, że nie pchali się za nią do latryny. Ostatnie, czego pragnął przyszły król, to żeby ktoś ponownie zepchnął ją ze szczytu góry. Przynajmniej dopóki Monza nie pomoże go ukoronować. Przed dwunastoma miesiącami wspierała dążenia Orso do korony, a Rogont był jej śmiertelnym wrogiem. Jak na kobietę, która ceni stabilizację, przeszła niezwykłą metamorfozę na przestrzeni zaledwie czterech pór roku.

Wtedy miała przy sobie Bennę, Teraz Dreszcza. To oznaczało brak rozmowy, a już na pewno brak śmiechu. Widziała tylko czarny zarys jego twarzy i ślepe oko lśniące w ostatnich promieniach słońca. Wiedziała, że jest martwe, ale i tak miała wrażenie, że stale się w nią wpatruje. Chociaż Dreszcz rzadko się odzywał, wydawało się jej, że wciąż na nowo powtarza: „To

powinno spotkać ciebie”.

Na szczycie płonął ogień. Plamki światła na zboczach, żółta luna nad czarnymi zarysami murów i wież, smugi dymu wiszące na ciemnym wieczornym niebie. Droga jeszcze raz zakręciła, po czym napotkała barykadę sporządzoną z trzech wywróconych wozów. Vietus siedział na krześle, grzejąc dłonie przy ognisku, a kolekcja kradzionych łańcuchów lśniła na jego szyi. Wyszczrzył się, gdy zatrzymała konia, po czym absurdalnie zasalutował.

- Sama wielka księżna Talinsu w naszym niechlujnym obozowisku! Wasza Ekscelencjo, cóż za wstyd! Gdybyśmy mieli więcej czasu, by przygotować się na przyjęcie tak znakomitego gościa, zrobilibyśmy coś z tym brudem. - Rozłożył ręce, wskazując morze ubitego błota, nagich skał oraz połamanych kawałków skrzyń i wozów rozrzuconych po górskim zboczu.

- Vietus. Wcielenie ducha najemników. - Zgramoliła się z siodła, starając się ukryć ból. - Chciwy jak kaczka, odważny jak gołąb, lojalny jak kukułka.

- Zawsze wzorowałem się na szlachetnym ptactwie. Obawiam się, że będziecie musieli zostawić konie. Dalej pójdziemy okopem. Książę Orso to niewdzięczny gospodarz, zaczął strzelać do swoich gości z katapult. - Poderwał się, strzepując pył z płótna, na którym siedział, po czym wskazał je upierścienioną dłonią. - Może poproszę kilku chłopaków, żeby cię zanieśli?

- Pójdę na własnych nogach.

Uśmiechnął się do niej kpiąco.

- Z pewnością będziesz się wspaniale prezentować, chociaż myślałem, że przerwiesz się na jedwabie, zważywszy na twoje wysokie stanowisko.

- Nie szata zdoła ozdobi człowieka, Vietusie. - Sama również kpiąco popatrzyła na jego biżuterię. - Gównu pozostanie gównem, niezależnie od tego, jak wiele złota w nie wetkniemy.

- Och, jak ja się za tobą stęskniłem, Murcatto. Chodźcie za mną.

- Zaczekajcie tutaj - warknęła na strażników Rogonta. Ciągłe

za nią chodzili, sprawiając, że w oczach ludzi wyglądała na słabą. Można było odnieść wrażenie, że ich potrzebuje.

Sierżant się skrzywił.

- Jego Ekscelencja stanowczo...

- Szczam na Jego Ekscelencję. Zaczekajcie tutaj.

Zeszła pod ziemię po skrzypiących stopniach wykonanych ze starych skrzynek. Dreszcz szedł obok niej. Okopy nie różniły się zbyt od tych, które rok wcześniej wykopali wokół Muris - ściany ze zbitej ziemi podtrzymywane kawałkami drewna, które tak samo cuchnęły chorobą, pleśnią, wilgotnym gruntem i nudą. Przypominały okopy, w których żyli przez większość półrocznego oblężenia, jak szczury w kanale, i w których zaczęły jej gnść stopy, a Benna dostał tak silnej biegunki, że stracił jedną czwartą masy ciała i całe poczucie humoru. Gdy szli rowami, tunelami i wykopami, zauważyła kilka znajomych twarzy, weteranów, którzy od lat walczyli w szeregach Tysiąca Ostrzy. Kłaniała się im tak samo jak wtedy, gdy nimi dowodziła, a oni odwzajemniali jej gest.

- Jesteście pewni, że Orso jest w środku?! - zawołała do Vietusa.

- O tak, jesteśmy pewni. Cosca rozmawiał z nim pierwszego dnia.

To nie dodało Monzie otuchy. Gdy Cosca zaczynał rozmawiać z wrogiem, zazwyczaj kończył po przeciwnej stronie, znacznie bogatszy.

- Co ci dwaj dranie mieli sobie do powiedzenia?

- Spytaj Cosę.

- Tak zrobię.

- Nie obawiaj się, otoczyliśmy go. Mamy okopy z trzech stron. - Vietus klepnął gruntową ścianę. - Jeśli najemnik coś potrafi, to na pewno wykopać sobie kryjówkę. Oprócz tego rozstawiliśmy pikiety w lesie u podnóża urwiska. - W lesie, w którym Monza zatrzymała się na stercie odpadków, rozbita na miazgę, jęcząc jak potępieńcy w piekle. - Dalej przejścia pilnują najlepsi żołnierze w Styrii. Ospriańczycy, Sipańczycy, Affoiańczycy, wszyscy chcą śmierci naszego dawnego pracodawcy. Nawet

szczer się nie przedostanie. Ale gdyby Orso chciał uciec, to uciekłyby kilka tygodni temu. I nie zrobił tego. Znasz go lepiej niż ktokolwiek inny, prawda? Sądzisz, że teraz spróbuje się wymknąć?

- Nie - przyznała. Prędzej umrze, co jej odpowiadało. - Jak możemy się dostać do środka?

- Ktokolwiek zaprojektował to przeklęte miejsce, znał się na rzeczy. Teren wokół wewnętrznego dziedzińca jest zbyt stromy, byśmy mogli czegokolwiek spróbować.

- Sama mogłam ci to powiedzieć. Najlepiej zaatakować od północnej strony zewnętrznego dziedzińca. Stamtąd można się wspiąć na wewnętrzny mur.

- Właśnie tak planujemy zrobić, ale od pomysłu do realizacji jest daleka droga, zwłaszcza w przypadku tak wysokich murów. Na razie nam się nie udało.

Vietus wgramolił się na skrzynię i przywołał Monzę. Pomiędzy dwoma wiklinowymi ekranami, poza rzędem zaostrzonych kołków sterczących z rozkopanego wzgórza zobaczyła najbliższy narożnik fortecy. Jedna z wież płonęła, jej wysoki dach zapadł się, pozostawiając tylko stożek z nagich belek ogarniętych ogniem. Czerwony i żółty blask podkreślał krawędzie blanków, czarny dym bił w granatowe niebo.

- Podpaliliśmy tę wieżę za pomocą katapulty - rzekł z dumą Vietus.

- Pięknie. Możemy wracać do domu.

- Robi wrażenie, prawda? - Poprowadził ich długim wykopem, w którym cuchnęło wilgocią i kwaśnym potem, a po obu stronach ludzie chrapali na siennikach. - „Wojen nie wygrywa się za pomocą pojedynczych wielkich czynów” - zaintonował jak kiepski aktor - „ale wykorzystując wiele drobnych szans”. Czyż nie tak nam zawsze powtarzałaś? Kto to powiedział? Stolicus?

- Stolicus, ośle.

- W każdym razie jakiś nieboszczyk. Cosca ma plan, ale sam ci o nim opowie. Wiesz, jak bardzo staruszek lubi przedstawienia. - Vietus zatrzymał się przy wgłębieniu w skale,

gdzie zbiegały się cztery okopy, w miejscu zadaszonym delikatnie łopoczącym płótnem i oświetlonym pojedynczą trzaskającą pochodnią. - Generał powiedział, że zaraz przyjdzie. Tymczasem możesz ze wszystkiego swobodnie korzystać. - Wokół był tylko piach. - Czy mogę jeszcze czymś służyć, Wasza Ekscelencjo?

- Jeszcze tylko jedno. - Drgnął zaskoczony, gdy splunęła mu w oko. - To od Benny, ty zdradziecki skurwielu.

Vietus otarł twarz, zerknął na Dreszcza, po czym ponownie przeniósł wzrok na Monzę.

- Nie zrobiłem niczego, czego ty sama byś nie zrobiła. A na pewno niczego, czego nie zrobiłby twój brat. To samo zrobiliście Cosce, a zawdzięczaliście mu więcej niż ja wam...

- Dlatego teraz ocierasz twarz, a nie przytrzymujesz własne flaki.

- Nigdy nie przyszło ci do głowy, że sama to na siebie sprowadziłaś? Wielkie ambicje to wielkie ryzyko. Ja tylko popłynąłem z prądem...

Dreszcz zrobił gwałtowny krok do przodu.

- Więć spływasz, zanim ktoś ci poderżnie gardło.

Monza zauważyła, że Dreszcz trzyma w potężnej dłoni nóż, ten sam, który podarowała mu pierwszego dnia ich znajomości.

- Ejże, wielkoludzie. - Vietus uniósł dłonie z połyskującymi pierścieniami. - Już sobie idę, bez obaw. - Ostentacyjnie odwrócił się i oddalił w ciemność. - Powinniście popracować nad swoimi wybuchowymi charakterami! - zawołał, machając palcem przez ramię. - Nie ma sensu tak się wściekać z powodu drobiazgów. Uwierzcie mi, że to się może skończyć rozlewem krwi.

Monzie nie było trudno w to uwierzyć. Wszystko, co robiła, prowadziło do rozlewu krwi. Zdała sobie sprawę, że została sama z Dreszczem, czego przez ostatnie kilka tygodni starała się unikać jak ognia. Wiedziała, że powinna coś powiedzieć, spróbować jakoś się z nim porozumieć. Wiele ich dzieliło, ale to on był jej prawdziwym sojusznikiem, a nie Rogont. W przyszłości także może potrzebować kogoś, kto ocali jej życie, a

Dreszcz nie jest potworem, niezależnie od tego, jak wygląda.

- Dreszcz.

Odwrócił się w jej stronę, wciąż kurczowo ściskając nóż w dłoni. Stalowe ostrze i stalowe oko odbiły blask pochodni, lśniąc w kolorze ognia.

- Posłuchaj...

- Nie, to ty posłuchaj. - Obnażył zęby i zbliżył się o krok.

- Monzo! Przyjechałaś! - Cosca wyłonił się z jednego z okopów, szeroko rozkładając ręce. - No i mój ulubiony Północny! - Zignorował nóż i serdecznie ujął Dreszcza za wolną dłoń, po czym objął Monzę i ucałował ją w oba policzki. - Jeszcze nie miałem okazji pogratulować ci twojej przemowy. „Urodziłam się na wsi”. Miły akcent. Skromny. Do tego opowieści o pokoju. Z twoich ust? Zupełnie jakby rolnik miał nadzieję na nieurodzaj. Nawet taki stary cynik jak ja się wzruszył.

- Pierdol się, staruchu. - Mimo to, w głębi serca cieszyła się, że nie musi teraz prowadzić tej trudnej rozmowy.

Cosca uniósł brwi.

- Zawsze, kiedy próbujesz powiedzieć prawdę...

- Znajdzie się ktoś, komu się to nie spodoba - dokończył Dreszcz chrapliwym szeptem, chowając nóż. - Jeszcze się tego nie nauczyłeś?

- Każdy dzień to nowa lekcja. Tędy, kamraci! Stamtąd będziemy mieli dobry widok na szturmujące wojska.

- Atakujecie? Teraz?

- Próbowaliśmy w świetle dnia. Nie udało się. - Wyglądało na to, że w ciemności wcale nie szło im lepiej. Obok leżeli ranni, skrzywieni, jęczący, obwiązani zakrwawionymi bandażami. - A gdzie mój szlachetny pracodawca, Jego Ekscelencja książę Rogont?

- W Talinsie. - Monza splunęła na piach. Było go wystarczająco dużo do tego celu. - Przygotowuje się do koronacji.

- Tak szybko? Chyba wie, że Orso wciąż żyje i przynajmniej przez jakiś czas to się nie zmieni? Czy nie mówi się, by nie

dzielić skóry na niedźwiedziu?

- Wspominałam mu o tym. Wielokrotnie.

- Wyobrażam sobie. Wąż Talinsu zalecający ostrożność Królowi Zwłoki. Słodka ironia!

- Nic to nie dało. Zatrudnił wszystkich stolarzy, producentów odzieży i jubilerów w mieście, żeby udekorowali budynek Senatu przed ceremonią.

- To przekłete miejsce na pewno nie zawali mu się na głowę?

- Nigdy nie należy tracić nadziei - mruknął Dreszcz.

- Podobno w ten sposób przywoła dumne cienie imperialnej przeszłości Styrii - odrzekła Monza.

Cosca parsknął.

- Albo haniebnej klęski, jaką zakończyła się ostatnia próba zjednoczenia Styrii.

- O tym także mu wspominałam. Wielokrotnie.

- Zignorował cię?

- Już się przyzwyczajam.

- Ach, buta! Jako człowiek od dawna nią skażony, od razu rozpoznaję objawy.

- Więc to na pewno ci się spodoba. - Monza nie mogła się powstrzymać od kpiącego uśmiechu. - Sprowadzi tysiąc białych śpiewających ptaków z dalekiego Thondu.

- Tylko tysiąc?

- Najwyraźniej ma to być symbol pokoju. Wypuszczą je nad głowami tłumu, gdy Rogont powstanie, by powitać poddanych jako król Styrii. Wielbiciele z całego Kręgu Świata - hrabiowie, książęta, a podobno nawet Bóg pierdolonych Gurkijczyków - będą mu bili brawo i prześcigali się w próbach całowania go po tłustym dupsku.

Cosca uniósł brwi.

- Czyżbym wyczuwał ochłodzenie stosunków między Talinsem a Osprią?

- Korony mają to do siebie, że pod ich wpływem ludzie zaczynają się zachowywać jak głupcy.

- Pewnie o tym także mu wspomniałaś?

- Aż ochryłam od ciągłego mówienia, ale, o dziwo, nie chciał

mnie słuchać.

- Szykuje się nie lada wydarzenie. Żałuję, że mnie tam nie będzie.

Monza zmarszczyła czoło.

- Nie?

- Ależ nie. Tylko obniżyłbym rangę ceremonii. Wyobraź sobie, że księcia niepokoją jakieś podejrzone sprawy w Visserine.

- Niemożliwe.

- Nie wiadomo, kto mógł rozpuścić takie plotki. Poza tym, ktoś musi dotrzymać towarzystwa księciu Orso.

Monza ponownie splunęła.

- Słyszałam, że już rozmawialiście.

- Ot, trochę pogawędziliśmy. O pogodzie, winie, kobietach, jego nadciągającym upadku, takie tam. Powiedział, że dostanie moją głowę na tacy. Odrzekłem, że rozumiem jego entuzjazm, bo sam również jestem do niej przywiązany. Byłem stanowczy, ale zabawny, podczas gdy on sprawiał wrażenie nieco opryskliwego. - Cosca pomachał środkowym palcem. - Zapewne obłączenie wyprowadziło go z równowagi.

- Nie proponował ci przejścia na jego stronę?

- Być może zamierzał do tego przejść, ale przerwała nam salwa z kusz i nieudany atak na mury. Niewykluczone, że powrócimy do tematu, kiedy następnym razem umówimy się na herbatę.

Okop zmienił się w wykop w większości zadaszony deskami, niemal zbyt niski, by w nim stanąć. Pod prawą ścianą stały drabiny, gotowe, by się po nich wspiąć i dołączyć do szturm. Co najmniej sześćdziesięciu uzbrojonych i opancerzonych najemników klęczało w gotowości, właśnie zamierzając to uczynić. Cosca przeszedł za nimi pochylony, poklepując ich po plecach.

- Chwała, chłopcy, chwała i niezła zapłata!

Surowe grymasy na ich twarzach zmieniły się w uśmiechy. Postukali bronią w tarcze, hełmy i napierśniki, grzechocząc z uznaniem.

- Generał!

- Pan generał!

- Cosca!

- Chłopcy, chłopcy! - Cosca zachichotał, rozdając kuksańce, ściskając dłonie, leniwie salutując.

Wszystko to wyraźnie różniło się od sposobu dowodzenia Monzy. Ona musiała być zimna, twarda i nietykalna, w przeciwnym razie nikt by jej nie szanował. Kobieta nie może sobie pozwolić na luksus przyjacielskich stosunków z mężczyznami. Dlatego to Benna żartował w jej imieniu. Ale odkąd Orso go zabił, na polu bitwy nikt się nie śmiał.

- A tutaj, na górze, mam swój mały dom z dala od domu. - Cosca wprowadził ich po drabinie do czegoś w rodzaju szopy zbudowanej z grubych belek, oświetlonej dwiema migoczącymi lampami. W jednej ze ścian znajdował się szeroki otwór, przez który było widać zachodzące słońce rzucające ostatni blask na ciemny, płaski krajobraz na zachodzie. W jednym rogu stała sterta skrzyń, a w drugim generalskie krzesło. Obok niego znajdował się stół pokryty rozrzuconymi kartami, napoczętymi słodyczami oraz różnobarwnymi butelkami o różnym stopniu napełnienia. - Jak idzie walka?

Przyjazny siedział ze skrzyżowanymi nogami, między którymi trzymał kości.

- Jakoś idzie.

Monza podeszła do jednego z wąskich okien. Już niemal zapadła noc, więc nie widziała prawie żadnych oznak szturm. Od czasu do czasu coś poruszało się w blasku ognisk rozsianych po skalistych zboczach. Ale słyszała odgłosy bitwy niesione wiatrem. Niewyraźne okrzyki, ciche wrzaski, szcęk metalu.

Cosca usiadł na poobijanym generalskim krześle i zagrzechotał butelkami, kładąc nogi w ubłoconych butach na stole.

- Cała czwórka znów w komplecie! Jak w Domu Uciech Cardottiego! Jak w galerii Saliera! To były czasy, czyż nie?

Rozległ się trzeszczący świst zwalnianej katapulty i płonący pocisk przemknął nad nimi, po czym rozbił się o najbliższą

potężną wieżę fortecy przy wtórze błysku płomieni i deszczu lśniących rozżarzonych popiołów. Niewyraźny blask oświetlił drabiny pod kamiennymi ścianami i wspinające się po nich małe postacie. Stał na chwilę rozblęśnięty, po czym znów rozpląnęła się w ciemności.

- Jesteś pewien, że to najlepszy moment na żarty? - szepnęła Monza.

- Wesołość najlepiej się sprawdza w nieszczęśliwych chwilach. W końcu nie zapala się świec za dnia, prawda?

Dreszcz patrzył ze zmarszczonym czołem w górę zbocza ku Fontezarmo.

- Naprawdę sądzisz, że masz szansę sforsować te mury?

- Te? Oszalałeś? To najsilniejsze fortyfikacje w Styrii.

- Więc po co...

- Nie wypada beczynnie siedzieć. Im nie brakuje jedzenia, wody, broni ani, co najgorsze, lojalności. Mogą tam siedzieć miesiącami. W tym czasie córka Orso, królowa Unii, może namówić swojego niechętnego męża, by wysłał pomoc.

Monza zastanawiała się, czy gdyby król dowiedział się, że jego żona woli kobiety, cokolwiek by to zmieniło...

- W czym ci pomoże obserwowanie, jak twoi ludzie spadają z tych murów? - spytał Dreszcz.

Cosca wzruszył ramionami.

- W ten sposób zmęczone obrońców, nie pozwolę im wypocząć i odwrócę ich uwagę od innych starań, które możemy podjąć.

- Dużo trupów jak na odwrócenie uwagi.

- Na tym to polega.

- Jak udaje ci się nakłonić ludzi, by wspinali się na drabiny?

- Stosuję starą metodę Sazine'a.

- To znaczy?

Monza przypomniała sobie, że Sazine pokazywał nowym chłopcom pieniądze ułożone w migoczące sterty.

- Jeśli mur padnie, pierwszy człowiek na blankach dostanie tysiąc szalek, a każdy następny sto.

- Pod warunkiem, że przeżyją, by odebrać łup - uzupełnił Cosca. - Jeśli zadanie okaże się niewykonalne, nie stracę

pieniędzy, a jeśli im się uda, no cóż, osiągnę niemożliwe za dwa tysiące szalek. To pozwala zapewnić stały przypływ chętnych do wspinania się na mury, a także pozbyć się najodważniejszych członków kompanii.

Dreszcz sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zbitego z tropu.

- Po co miałbyś to robić?

- „Odważa to cnota martwych” - mruknęła Monza. - „Mądry dowódca nigdy nie pokłada w niej nadziei”.

- Verturio! - Cosca klepnął się w udo. - Uwielbiam pisarzy, którzy potrafią śmiać się ze śmierci! Odważni ludzie mają swoje zastosowania, ale są potwornie nieprzewidywalni. Zagrożają własnemu stadu i osobom postronnym.

- Nie wspominając o tym, że są potencjalnymi rywalami do objęcia dowództwa.

- W każdym razie najbezpieczniej ich usunąć. - Cosca strzepnął palcami. - Średnio tchórzliwi żołnierze są bez porównania lepsi.

Dreszcz pokręcił z niesmakiem głową.

- Prowadzicie wojnę w naprawdę pojebany sposób.

- Nie da się tego robić ładnie, przyjacielu.

- Wspomniałeś o odwróceniu uwagi - wtrąciła się Monza.

- Owszem.

- Od czego?

Nagle rozległo się skwierczenie i Monza kątem oka zobaczyła ogień. Po chwili fala gorąca owionęła jej policzek. Odwróciła się, do połowy wyciągając szpadę z pochwy. Ishri leżała na skrzyniach za ich plecami, wyciągnięta leniwie z odchyłoną głową jak stara kotka na słońcu. Jej chuda zabandażowana noga zwisała z krawędzi i delikatnie kołysała się w przód i w tył.

- Nie możesz zwyczajnie się przywitać? - burknęła Monza.

- A co w tym przyjemnego?

- Musisz zawsze odpowiadać pytaniem na pytanie?

Ishri przycisnęła dłoń do zabandażowanej piersi i szeroko otworzyła czarne oczy.

- Kto? Ja? - Obróciła coś między środkowym palcem a kciukiem, małe czarne ziarenko, po czym z niezwykłą

zręcznością wrzuciła je do lampy obok Dreszcza.

Zapłonęło z błyskiem i skwierczeniem, rozsadzając szklaną osłonę i rozrzucając iskry. Caul odsunął się chwiejnie, przeklinając i strącając rozżarzone drobiny z ramienia.

- Niektórzy nazywają to gurkijskim cukrem. - Cosca mlasnęła. - Jak dla mnie brzmi bardziej słodko niż gurkijski ogień.

- Dwa tuziny beczek - mruknęła Ishri - z pozdrowieniami od Proroka Khalula.

Monza zmarszczyła czoło.

- Jak na człowieka, którego nigdy nie spotkałam, bardzo nas lubi.

- Nawet lepiej... - Ciemnoskóra kobieta ześlizgnęła się ze skrzyń jak wąż, a po jej całym ciele od ramion aż po biodra przebiegły fale, jakby w ogóle nie miała kości. W ślad za ciałem podążyły ręce. - Nienawidzi waszych wrogów.

- Nie ma lepszego fundamentu sojuszu niż wspólny wróg. - Cosca patrzył na jej wyginające się ciało z mieszaniną nieufności i fascynacji. - Nastał nowy wspaniały wiek, przyjaciele. Kiedyś trzeba było miesiącami drążyć korytarze o długości kilkuset kroków, zużywać setki ton drewna na stemple, wypełniać wykop słomą i olejem, podpalać, brać nogi za pas, a w połowie przypadków mury wcale nie padały. Teraz wystarczy wykopać wystarczająco głęboki szyb, zapakować do niego cukier, rzucić iskrę i...

- Bum - zaśpiewała Ishri, stając na palcach i wyciągając się w górę jak struna.

- Ka-bum - odpowiedział Cosca. - Wygląda na to, że dzisiaj wszyscy w ten sposób prowadzą oblężenia, więc dlaczego miałbym ignorować nowy trend? - Strzepnął pył z aksamitnej kamizelki. - Sesaria to geniusz, jeśli chodzi o kopanie. Powalił dzwonnice w Gancetcie. Co prawda, nieco przed czasem i kilku ludzi nie zdążyło uciec. Czy już wam opowiadałem...

- A gdy już zburzysz ścianę? - spytała Monza.

- Cóż, wtedy nasi ludzie wedrą się przez wyłom, pokonają oszołomionych obrońców i zajmą zewnętrzny dziedziniec. Ogrody zapewnią nam pole do manewru i miejsce, żeby

zgrupować wojsko. Sforsowanie wewnętrznego muru powinno być formalnością dzięki drabinom, chciwości i odrobinie rozlewu krwi. Następnie szturm na pałac, a potem już zgodnie z tradycją. Ja zajmę się plądrowaniem, a ty...

- Zemstą. - Monza zmrużyła oczy, patrząc na poszarpany zarys fortecy. Orso gdzieś tam był. W odległości zaledwie kilkuset kroków. Może sprawiała to noc, ogień albo uderzająca do głowy mieszanka ciemności i niebezpieczeństwa, ale wzbierało w niej dawne podekscytowanie. Wściekła furia, którą czuła, gdy wytoczyła się ze zrujnowanego domu złodzieja kości na deszcz. - Kiedy szyb będzie gotowy?

Przyjazny podniósł wzrok znad kości.

- Za dwadzieścia jeden dni i sześć godzin. Jeśli utrzymają dotychczasowe tempo.

- Szkoda. - Ishri wysunęła dolną wargę. - Uwielbiam fajerwerki. Ale muszę wracać na Południe.

- Już cię zmęczyło nasze towarzystwo? - spytała Monza.

- Mój brat zginął. - W jej czarnych oczach nie było emocji. - Zabiła go kobieta szukająca zemsty.

Monza zmarszczyła czoło. Nie wiedziała, czy Ishri z niej kpi.

- Te suki potrafią dobrać się człowiekowi do skóry, prawda?

- Tylko zawsze nie temu, komu trzeba. Mój brat ma szczęście, jest z Bogiem. A przynajmniej tak mi mówią. Ale reszta mojej rodziny cierpi. Teraz musimy pracować jeszcze ciężiej. - Zwinnie zsunęła się na drabinę i przekrzywiła głowę, niemożliwie daleko, opierając ją na górnym szczyblu. - Postarajcie się nie zginąć. Nie chciałabym, żeby moja harówka poszła na marne.

- Na pewno się tym zmartwię, gdy będą mi podrzynali gardło.

Cisza zamiast odpowiedzi. Ishri zniknęła.

- Chyba skończyli ci się odważni ludzie - zachrypiał Dreszcz.

Cosca westchnął.

- Od początku nie mieliśmy ich wielu.

Niedobitki szturmującego oddziału gramoliły się w dół skalistego górskiego zbocza w migoczącym blasku ognia. Monza zauważyła ostatnią upadającą drabinę oraz jedną albo dwie

wymachujące rękami postacie lecące w dół.

- Ale nie martwcie się. Sesaria wciąż kopie. To tylko kwestia czasu, gdy Styria się zjednoczy. - Wyjął metalową piersiówkę z wewnętrznej kieszeni i odkręcił korek. - Albo Orso pójdzie po rozum do głowy i zaproponuje mi wystarczająco dużo pieniędzy, żebym ponownie zmienił front.

Monza się nie roześmiała. Może wcale tego nie oczekiwano.

- Może powinienes wreszcie opowiedzieć się po jednej ze stron.

- A po co miałbym to robić? - Cosca uniósł piersiówkę, pociągnął łyk i mlasnął z zadowoleniem. - To jest wojna. Tutaj nie ma właściwej strony.

Przygotowania

Niezależnie od natury czekającego nas wydarzenia, kluczem do sukcesu zawsze jest dobre przygotowanie. Od trzech tygodni cały Talins szykował się do koronacji wielkiego księcia Rogonta. Tymczasem Morveer przygotowywał się do próby uśmiercenia księcia i jego sojuszników. W oba przedsięwzięcia włożono tyle pracy, że gdy wreszcie nadszedł dzień ich realizacji, Morveer niemal żałował, że powodzenie jednego musi oznaczać spektakularną klęskę drugiego.

Szczerze mówiąc, nie zbliżył się nawet o włos do wcielenia w życie niezwykle ambitnego planu księcia Orso polegającego na zamordowaniu sześciorga przywódców i generała. Nieudana próba zamachu na Murcatto w dniu jej triumfalnego powrotu do Talinsu, która zaowocowała jednym otrutym prostaczkim oraz bólem pleców, okazała się dopiero pierwszą z serii wpadek.

Przedostawszy się przez uchylone tylne okno do zakładu jednego z najlepszych krawców w Talinsie, Morveer ukrył śmiertcionośny cień ameryndu w gorsecie szmaragdowo-zielonej sukni przeznaczonej dla hrabiny Cotardy z Affoi. Niestety, Morveer znalazł się na krawiectwie w ograniczonym stopniu. Gdyby była z nim Dzionek, niewątpliwie zauważyłaby, że strój jest dwukrotnie za duży na ich wychudzoną ofiarę. Tego wieczoru hrabina była gwiazdą wieczorku towarzyskiego, gdzie jej szmaragdowo-zielona suknia zrobiła prawdziwą furorę. Później rozgoryczony Morveer odkrył, że masywna żona jednego ze znaczniejszych kupców również zamówiła zieloną suknię u tego samego krawcy, lecz tajemnicza choroba uniemożliwiła jej udział w przyjęciu. Jej stan szybko się

pogorszył i zmarła w ciągu kilku godzin.

Pięć dni później, po niewygodnym popołudniu spędzonym na leżeniu pod stertą węgla i oddychaniu przez rurkę, Morveerowi udało się skropić ostrzygi księcia Lirozio pajęczym jadem. Gdyby Dzionek towarzyszyła mu w kuchni, zapewne zaproponowałyby skupienie się na prostszych produktach, jednak Morveer nie mógł się oprzeć pokusie zatrucia najbardziej efektownej potrawy. Niestety, po ciężkim obiedzie książę miał mdłości, więc do wieczora zjadł już tylko nieco chleba. Skorupiaki podano kuchennemu kotu, którego wkrótce zabrakło wśród żywych.

Tydzień później, ponownie udając Rotsaca Reevroma, handlarza winami z Puranti, Morveer dostał się na zebranie poświęcone podatkom, któremu przewodniczył kanclerz Sotorius z Sipani. Podczas posiłku Morveer wdał się w ożywioną rozmowę na temat winogron z jednym z asystentów wiekowego męża stanu i ku swojej wielkiej radości zdołał posmarować czubek pomarszczonego ucha Sotoriusa roztworem kosaćca. Z wielkim entuzjazmem wrócił na miejsce, by dalej śledzić przebieg zebrania. Niestety, kanclerz uparcie nie chciał umrzeć, a wręcz wyglądał na okaz zdrowia. Morveer mógł jedynie przypuszczać, że Sotorius stosuje poranne rytuały podobne do jego własnych zwyczajów i wyrobił w sobie odporność na wiele trujących substancji.

Jednakże Castor Morveer nie był człowiekiem, którego może zniechęcić kilka niepowodzeń. Napotkał w życiu wiele przeciwności losu i nie widział powodu, by rezygnować ze stoickiej postawy tylko dlatego, że stojące przed nim zadanie wydawało się niewykonalne. Dlatego w obliczu zbliżającej się koronacji postanowił skupić się na głównych celach: wielkim księciu Rogoncie i jego kochance, znienawidzonej byłej pracodawczyni Morveera, a obecnie wielkiej księżnej Talinsu, Monzcarro Murcatto.

Stwierdzenie, że nie oszczędzono wydatków, by koronacja zapadła w zbiorową pamięć Styrii, byłoby rażącym niedopowiedzeniem. Odmalowano budynki otaczające plac.

Kamienną platformę, na której Murcatto wygłosiła swoją niezręczną przemowę i na której Rogont zamierzał nurzać się w uwielbieniu swych poddanych jako król Styrii, pokryto lśniącym nowym marmurem i ozdobiono złożoną balustradą. Robotnicy na linach i rusztowaniach przystrajali wiekowy kamienny front budynku Senatu świeżymi białymi kwiatami, przekształcając ponury gmach w potężną świątynię próżności wielkiego księcia Osprii.

Pracując w zniechęcającej samotności, Morveer zdobył strój, narzędzia oraz papiery wędrownego stolarza, który przybył do miasta w poszukiwaniu pracy akordowej, więc jego zniknięcia nikt nie zauważył. Wczoraj przeniknął do budynku Senatu w swoim błyskotliwym przebraniu, by zbadać teren i opracować plan. Przy okazji, z niemal podejrzaną biegłością nieco popracował nad balustradą. Świetnie znał się na stolarce, ale nie zapomniał, że jego podstawową profesją jest zabijanie. Dziś powrócił, by zrealizować swój zuchwały pomysł. A także stracić wielkiego księcia Rogonta.

- Dzień dobry - mruknął do jednego ze strażników, przechodząc przez duże drzwi razem z pozostałymi robotnikami wracającymi z obiadu, beztrosko chrupiąc jabłko z niezadowoloną miną typową dla wszystkich ludzi idących do pracy. Przede wszystkim ostrożność, zawsze, ale próbując kogoś oszukać najlepsze efekty można uzyskać dzięki pewności siebie i prostocie. Nie wzbudził zainteresowania strażników, ani przy bramie, ani na końcu przedsionka. Dokończył jabłko i wrzucił ogryzek do skrzynki z narzędziami. Przez jedną sentymentalną chwilę pomyślał o tym, jak bardzo smakowałoby ono Dzionek.

Senat był otwarty od góry, gdyż potężna kopuła zawałiła się przed wieloma wiekami. Trzy czwarte olbrzymiej kolistej przestrzeni wypełniały rozchodzące się koncentrycznie rzędy siedzeń, które mogły pomieścić co najmniej dwa tysiące najważniejszych widzów. Każdy marmurowy stopień znajdował się wyżej od poprzedniego, dzięki czemu sala przypominała teatr. Z przodu znajdowało się miejsce, z którego niegdyś senatorowie wygłaszali ważne przemowy. Teraz

wznosiła się tam starannie pomalowana okrągła platforma z inkrustowanego drewna, na której stał krzykliwy złoty tron otoczony połączanymi splotami dębowych liści.

Potężne sztandary z jaskrawego suljuckiego jedwabiu zwisały wzdłuż ścian, po jednym dla każdego z wielkich miast Styrii. Niektóre miały ponad trzydzieści kroków długości i Morveer wolał nie myśleć o tym, ile kosztowały. Niebieska flaga Osprii z wizerunkiem białej wieży wisiała bezpośrednio nad platformą. Otaczały ją krzyż Talinsu oraz muszla Sipani. Wokół sali zawieszono w równych odstępach most Puranti, czerwony sztandar Affoi, trzy pszczoły Visserine, sześć pierścieni Nicante oraz wielkie flagi Muris, Etrisani, Etrei, Borletty i Caprile. Wyglądało na to, że nikogo nie wykluczono z nowego porządku, niezależnie od tego, czy zasłużył na członkostwo.

W pomieszczeniu roiło się od zapracowanych mężczyzn i kobiet. Krawcy poprawiali draperie i całe mile białych poduszek przygotowanych dla wygody najznakomitszych gości. Stolarze piłowali i stukali młotkami na platformie i schodach. Kwiaciarki zasypywały nieużywaną posadzkę dywanem białych płatków. Handlarze świec starannie ustawiali swoje woskowe towary w niekończących się rzędach i kołysali się na drabinach, by dosięgnąć setki lichtarzy. Wszystko to nadzorował regiment ospriańskich strażników z halabardami i zbrojami wypolerowanymi do lustrzanego blasku.

Jak Rogont mógł zaplanować koronację w dawnym sercu Nowego Imperium? Świadczyło to o jego niezmierzonej arogancji, a była to jedyna cecha, której Morveer nie potrafił znieść. W końcu pokora nic nie kosztuje. Ukrywając niesmak, nonszalancko zszedł po schodach, krocząc z samozadowoleniem typowym dla prostego robotnika, klucząc między innymi rzemieślnikami pracującymi pośród zaokrąglonych rzędów siedzeń.

Na tyłach wielkiej sali, mniej więcej dziesięć kroków nad ziemią, znajdowały się dwa balkoniki, na których niegdyś siedzieli skrybowie zapisujący przebieg debat. Obecnie ozdobiły je dwa olbrzymie portrety księcia Rogonta. Jeden pokazywał go

w surowej, męskiej, bohaterskiej pozie z mieczem i zbroją. Drugi przedstawiał Jego Ekszelencję w refleksyjnym nastroju, ubranego w sędziowską togę i trzymającego książkę oraz kompas. Pan pokoju i wojny. Morveer nie mógł powstrzymać kpiącego uśmiechu. Z jednego z tych balkonów można wystrzelić śmiercionośną strzałkę, która spuści powietrze z nadętej głowy tego idioty i przebije jego wydumane ambicje. Na górę prowadziły wąskie schody biorące początek w niewielkiej, nieużywanej komnacie, w której w dawnych czasach mieściły się archiwa...

Morveer zmarszczył czoło. W wejściu do przedsionka założono ciężkie, grube dębowe drzwi obite stalą i misternie ozdobione polerowanymi ćwiekami. W tej chwili były otwarte, ale Morveerowi nie spodobała się ta zmiana. W pierwszej chwili zamierzał posłuchać intuicji i dyskretnie się ulotnić, jak często czynił w obliczu zmieniających się okoliczności. Jednak ostrożność nie wystarczy, by zapisać swoje imię w historii. Tym razem przedsięwzięcie, wyzwanie oraz potencjalne zyski były zbyt wielkie, by rezygnować z powodu nowych drzwi. Czuł na karku oddech historii. Dziś wieczorem zamieni ostrożność na zuchwałość.

Minął platformę, na której tuzin dekoratorów trudził się nakładaniem złotej farby, po czym podszedł do drzwi. Poruszył nimi w jedną i w drugą stronę, ze znanstwem zaciskając usta, jakby sprawdzał, czy zawiasy gładko pracują. Szybko i dyskretnie się rozejrzał, po czym prześlizgnął się na drugą stronę.

W środku nie było okien ani lamp, sklepioną komnatę rozjaśniało tylko światło docierające od drzwi oraz od strony dwóch krętych klatek schodowych. Pod ścianami piętrzyły się nieuporządkowane sterty skrzyń i beczek. Morveer właśnie się zastanawiał, który balkon wybrać do oddania strzału, gdy usłyszał głosy zbliżające się do drzwi. Szybko wcisnął się bokiem w wąską przestrzeń za skrzyniami, jęknął z bólu, gdy drzazga wbiła mu się w łokieć, po czym w ostatniej chwili przypomniał sobie o skrzynce z narzędziami i zagarnął ją stopą.

Chwilę później drzwi otworzyły się z piskiem i ktoś wszedł do pomieszczenia, powłócząc nogami i stękając, jakby dźwigał potężny ciężar.

- Na Boginie Losu, ale ciężkie!

- Postaw tutaj! - Głośny trzask i zgrzyt metalu o kamień. - Co za gówno.

- Gdzie jest kluczyk?

- Tutaj.

- Zostaw go w zamku.

- Po co komu zamek z kluczem?

- Chcemy uniknąć problemów, idioto. Kiedy postawimy ten przeklęty kufer przed trzema tysiącami ludzi, a Jego Ekscelencja każe nam go otworzyć, nie chcę, kurwa, usłyszeć, że gdzieś zapodziałeś klucz. Już rozumiesz?

- Masz rację.

- Tutaj, w zamkniętym pokoju pilnowanym przez tuzin strażników, będzie bezpieczniejszy niż w twoich dziurawych kieszeniach.

- Przekonałeś mnie. - Rozległ się delikatny grzechot metalu. - Proszę. Zadowolony?

Kroki się oddaliły. Huknęły zamykane drzwi, szcęknęły zamki, zapiszczała sztaba, po czym zapadła cisza. Morveer utknął w pomieszczeniu strzeżonym przez tuzin ludzi. To jednak nie przeraziło człowieka o jego wyjątkowym harcie ducha. Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, spuści linę z jednego z balkonów i spróbuje wymknąć się niepostrzeżenie, gdy wszyscy będą skupieni na spektakularnym zgonie Rogonta. Starając się uniknąć kolejnych drzazg, wysunął się z za skrzyń.

Na środku komnaty stał duży kufer, zdecydowanie będący dziełem sztuki. Był wykonany z inkrustowanego drewna obitego paskami kunsztownie zdobionego srebra lśniącego w półmroku. Najwyraźniej w środku znajdowało się coś niezwykle istotnego dla nadchodzącej ceremonii. A skoro los obdarował go kluczem...

Morveer uklęknął, delikatnie przekręcił klucz w zamku, po czym ostrożnie podniósł wieko. Trudno zrobić wrażenie na

człowieku tak doświadczonym jak on, a jednak Castor wytrzeszczył oczy, szeroko otworzył usta i poczuł pot występujący mu na czoło. Żółty blask złota niemal ogrzewał mu skórę, lecz w jego reakcji było coś jeszcze poza podziwem dla piękna i symbolicznego znaczenia czy nawet niewątpliwej wartości przedmiotu, który przed nim leżał. Jakaś myśl nie dawała mu spokoju...

Inspiracja spadła na niego jak grom z jasnego nieba, aż wszystkie włoski na jego ciele stanęły na baczność. Pomysł tak olśniewający, a zarazem tak oszałamiająco prosty, że niemal się go przestraszył. Cudowna śmiałość, wspaniała oszczędność, idealna ironia. Żałował tylko, że Dzionek nie dożyła tego dnia, by móc docenić jego geniusz.

Uruchomił ukrytą zapadkę w swojej skrzynce z narzędziami, po czym zdjął tackę z przyborami stolarskimi, odsłaniając starannie złożoną jedwabną koszulę i haftowaną kamizelkę, w których zamierzał uciec. Pod nimi leżały jego prawdziwe narzędzia. Starannie włożył rękawiczki - damskie rękawiczki z najdelikatniejszej cielej skóry, które nie utrudniały ruchów palców podczas skomplikowanych czynności - po czym sięgnął po brązowy szklany słoik. Zrobił to z obawą, gdyż naczynie zawierało działający w zetknięciu ze skórą jad, który sam wyprodukował i nazwał Preparatem Numer Dwanaście. Tym razem nie popełni błędu, jaki przydarzył mu się w przypadku kanclerza Sotoriusa, gdyż ta trucizna jest tak silna, że nawet Morveer nie potrafiłby wykształcić odporności na jej działanie.

Ostrożnie odkręcił słoik - przede wszystkim ostrożność, zawsze - po czym wziął do ręki pędzelek i zabrał się do pracy.

Zasady wojny

Cosca pełzył tunelem. Kolana i plecy bolały go od zginania się niemal do ziemi, a urywany oddech odbijał się echem w nieruchomym powietrzu. Przez ostatnie tygodnie zbyt się przyzwyczał do siedzenia na tyłku i pracowania głównie szczęką. Postanowił, że od tej pory każdego ranka będzie się gimnastykował, chociaż doskonale wiedział, że nie zrobi tego nawet następnego dnia. Jednak lepiej coś sobie poprzysiąc, a następnie nie dotrzymać obietnicy, niż niczego nie postanowić. Prawda?

Szpada ciągnęła się za nim, szorując o ściany. Powinien był zostawić to dziadostwo. Zerknął nerwowo na lśniący ślad czarnego proszku, który zniknął w ciemności, trzymając jak najdalej migoczącą lampę wykonaną z grubego szkła i ciężkiego kutego żelaza. Ogień i gurkijski cukier to złe połączenie w ciasnych wnętrzach.

Przed sobą zobaczył migoczące światło, usłyszał czyjś ciężki oddech i po chwili wąski korytarz doprowadził go do komnaty oświetlonej przez dwie dopalające się świece. Nie była większa od przeciętnej sypialni, miała ściany i sufit z nierównej skały i mocno ubitej ziemi, podtrzymywane przez sieć niepewnie wyglądających drewnianych belek. Ponad połowę pokoju, albo jaskini, zajmowały duże beczki. Na każdej z nich wymalowano pojedyncze gurkijskie słowo. Po kantycku Cosca umiał tylko zamówić alkohol, ale rozpoznał symbole oznaczające ogień. Potężna mroczna sylwetka Sesarii majaczyła w ciemności, długie pasma siwych włosów zwisały mu wzdłuż twarzy, krople potu lśniły na czarnej skórze, gdy mocował się z jedną z beczek.

- Już czas - powiedział Cosca, a jego głos zabrzmiał

bezbarwnie w nieruchomym powietrzu pod górą. Wyprostował się z ulgą, po czym zatoczył w bok, gdy krew uderzyła mu do głowy.

- Uważaj! - zaskrzeczał Sesaria. - Co ty wyprawiasz z tą lampą? Wystarczy jedna iskra i obaj polecimy prosto do nieba!

- Nie przejmuj się. - Cosca odzyskał panowanie nad stopami. - Nie jestem religijnym człowiekiem, ale szczerze wątpię, by ktokolwiek dopuścił nas w pobliże nieba.

- Więc prosto do piekła.

- To znacznie bardziej prawdopodobne.

Sesaria stęknął, ostrożnie dosuwając ostatnią beczkę do pozostałych.

- Wszyscy wyszli?

- Powinni już być w okopach.

Olbrzym wytarł dłonie w brudną koszulę.

- Więc jesteśmy gotowi, generale.

- Znakomicie. Ostatnie dni strasznie mi się dłużyły. To zbrodnia nudzić się, gdy pozostało nam tak niewiele czasu. Kiedy się leży na łożu śmierci, zapewne żałuje się tych zmarnowanych tygodni bardziej niż wszystkich najgorszych błędów.

- Trzeba było powiedzieć, że nie masz co robić. Przydałaby się nam pomoc przy kopaniu.

- W moim wieku? Mogę najwyżej wykopać latrynę, a nawet to stanowi dużo większy problem niż kiedyś. Co dalej?

- Podobno będzie coraz gorzej.

- Świetnie, ale chodziło mi o szyb.

Sesaria wskazał szlak czarnego proszku, którego ziarenka połyskiwały w świetle lamp, kończący się przed najbliższą beczką.

- Prowadzi do wejścia do kopalni. - Poklepał woreczek przy pasie. - Połączymy go z beczkami, usypując sporą stertę, żeby na pewno się zapalił, po czym wrócimy do wlotu tunelu, podłożymy ogień pod drugi koniec i...

- Płomienie dotrą do beczek, a wtedy... jak silny będzie wybuch?

Sesaria pokręcił głową.

- Nigdy nie widziałem, by ktoś jednocześnie użył choćby czwartej części proszku, który tutaj zgromadziliśmy. Poza tym produkują coraz mocniejsze mieszanki. Ta nowa odmiana... Obawiam się, że wybuch może być za silny.

- Lepiej zrobić to z rozmachem niż się skompromitować.

- Chyba że zwali się na nas cała góra.

- To możliwe?

- Któż może wiedzieć?

Cosca pomyślał bez entuzjazmu o tysiącach ton skał nad ich głowami.

- Trochę za późno na wątpliwości. Vietus przygotował wybranych ludzi do szturmów. Rogont dziś wieczorem zostanie królem i o świcie ma zamiar zaszczyścić nas swoją majestatyczną obecnością, oczywiście wewnątrz fortecy, skąd będzie mógł dać rozkaz do ostatecznego ataku. Nie mam zamiaru przez cały ranek słuchać biadolenia tego głupca. Zwłaszcza gdy już włoży koronę.

- Myślisz, że będzie ją nosił na co dzień?

Cosca z namysłem podrapał się w szyję.

- Nie mam pojęcia. Ale nie w tym rzecz.

- Racja. - Sesaria popatrzył z surową miną na beczki. - Jakoś mi się to nie podoba. Wykopujesz dziurę, przykładasz pochodnię do jakiegoś pyłu, uciekasz i...

- Łup - dokończył Cosca.

- Nie trzeba pomysłu. Nie trzeba odwagi. Tak się nie powinno walczyć.

- Jedynym dobrym sposobem walki jest taki, który pozwala zabić wroga i zachować wystarczająco dużo sił, by się z tego śmiać. Jeśli nauka może nam to ułatwić, tym lepiej. Cała reszta to bzdury. Zaczynajmy.

- Zgodnie z rozkazem, generale. - Sesaria wyciągnął woreczek z paska, pochylił się i zaczął ostrożnie wysypywać proszek, łącząc szlak z beczkami.

- Ale nie sposób się nie zastanawiać, jak byśmy się czuli na ich miejscu.

- Czyżby?

- W jednej chwili zajmujesz się swoimi sprawami, a w następnej coś rozsada cię na kawałki. Nawet nie możesz popatrzeć swojemu zabójcy w oczy.

- Tak samo jest z wydawaniem rozkazów. Czy zabicie człowieka za pomocą proszku jest gorsze niż polecenie komuś innemu, żeby przebił go włócznią? Kiedy tak naprawdę ostatnio patrzyłeś komuś w oczy? - Na pewno nie wtedy, gdy pomagałeś wbić mi nóż w plecy w Afieri.

Sesaria westchnął, wysypując proszek na ziemię.

- Może to prawda. Ale zdarza mi się tęsknić za dawnymi czasami. Kiedy Sanzine był u władzy. Wtedy świat wyglądał inaczej. Był bardziej uczciwy.

Cosca prychnął.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że Sazine nie cofał się przed stosowaniem żadnej brudnej sztuczki znanej po tej stronie piekła. Ten stary skąpiec wysadziłby w powietrze cały świat, gdyby mógł na tym zarobić.

- Pewnie masz rację. Ale i tak wydaje mi się to niesprawiedliwe.

- Nie wiedziałem, że jesteś takim entuzjastą sprawiedliwości.

- Nie przywiązuję do tego aż tak dużej wagi, ale wolę wygrywać w uczciwej walce. - Odwrócił torbę, wytrzepując resztkę proszku, pozostawiając lśniąca kupkę przy najbliższej beczce. - Walka zgodnie z zasadami lepiej smakuje.

- Hmm. - Cosca zdzielił go lampą w tył głowy, przewracając na twarz i posyłając w górę snop iskier. - To jest wojna. Nie ma żadnych zasad.

Olbrzym stęknął i poruszył się, próbując wstać. Cosca pochylił się, wysoko uniósł lampę i ponownie uderzył go w czaszkę z chrzęstem pękającego szkła, rozplaszczając go na ziemi i zasypując mu włosy rozżarzonymi drobinami. Może zrobił to nieco za blisko proszku, ale zawsze lubił ryzyko.

Lubił także triumfalne przemowy, teraz jednak zależało mu na czasie. Dlatego czym prędzej pośpieszył w głąb mrocznego tunelu. Po tuzinie bolesnych kroków dostał zadyszki. Po

kolejnym tuzinie dojrzał przed sobą słaby blask dziennego światła. Uklęknął, przygryzając wargę. Nie był pewien, jak szybko ogień pomknie wzdłuż szlaku.

- Dobrze, że zawsze lubiłem ryzyko...

Zaczął ostrożnie odkręcać stłuczoną osłonkę lampy. Zablokowała się.

- Zaraza. - Mocował się z nią ślizgającymi się palcami, ale musiała się wygiąć, gdy uderzył Sesarię. - Co za ścierwo!

Przesunął uchwyt i warknął, kręcąc z całej siły. Nagle górna część osłonki odskoczyła. Cosca spróbował chwycić lampę, ale wypadła mu z rąk, uderzyła o ziemię, odbiła się, zasyczała i zgasła, pograżając korytarz w całkowitej ciemności.

- Pieprzone... gówno! - Pozostało mu tylko wrócić i przynieść jedną z lamp z końca tunelu. Zrobił kilka kroków z wyciągniętą dłonią, po omacku szukając drogi. Nagle oślepił go snop światła. Cosca krzyknął, głowa odskoczyła mu do tyłu i poczuł w ustach słony smak krwi.

Zobaczył światło, potrząsnął pulsującą bólem głową i wyteżył wzrok w ciemności. Blask lampy oświetlał powierzchnię drewnianego rusztowania, kamienie i korzenie w ścianach oraz lśniący szlak proszku. Jeśli Cosca całkowicie nie stracił orientacji, to światło miało swoje źródło w miejscu, w którym zostawił Sesarię.

Nagle zabranie szpady wydało mu się genialnym pomysłem. Ostrożnie wysunął ją z pochwy z dodającym otuchy brzękiem metalu, przez chwilę manewrował łokciem w ciasnej przestrzeni, by skierować ostrze do przodu, przypadkowo zahaczając czubkiem o sufit i zrzucając sobie na łysinę długą strużkę ziemi. Światło cały czas się zbliżało.

Sesaria wyłonił się zza zakrętu, trzymając lampę w potężnej dłoni. Po czole ściekała mu krew. Pochylił się nad przykucniętym Coscą i przez chwilę na siebie patrzyli.

- Dlaczego? - stęknął olbrzym.

- Ponieważ nigdy nie pozwalałam, by ktoś zdradził mnie dwukrotnie.

- Myślałem, że jesteś praktycznym człowiekiem.

- Ludzie się zmieniają.

- Zabiłeś Andiche'a.

- To najlepsze, co mi się przytrafiło w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Sesaria pokręcił głową, równie zaskoczony, jak wściekły i obolały.

- To Murcatto zajęła twoje miejsce, nie my!

- To coś zupełnie innego. Kobiety mogą mnie zdradzać, jak często mają na to ochotę.

- Zawsze miałeś słabość do tej zwariowanej suki.

- Jestem nieuleczalnym romantykiem. A może po prostu nigdy cię nie lubiłem.

Sesaria dobył drugą ręką ciężkiego noża.

- Trzeba było od razu przesyć mnie szpadą.

- Cieszę się, że tego nie zrobiłem. Teraz będę mógł wygłosić kolejny błyskotliwy komentarz.

- Pewnie nie zechcesz odłożyć szpady i zmierzyć się ze mną na noże?

Cosca zachichotał.

- To ty lubisz uczciwą walkę. Ja uderzyłem cię od tyłu, a potem próbowałem wysadzić w powietrze, pamiętasz? Przebicie cię szpadą raczej nie będzie mi spędzało snu z powiek. - Po czym wykonał pchnięcie.

W ciasnej przestrzeni potężna sylwetka stanowi poważną wadę. Sesaria niemal całkowicie wypełniał wąski tunel, co sprawiało, że nie dało się go nie trafić. Udało mu się odbić nożem niezdarny cios, ale i tak dostał w ramię. Cosca cofnął się, by wyprowadzić kolejne pchnięcie i wrzasnął, gdy uderzył knykциями o ścianę. Sesaria zamachnął się na niego ciężką lampą, a generał odsunął się, poślizgnął i upadł na jedno kolano. Olbrzym ruszył do przodu, unosząc nóż. Zahaczył pięścią o sufit, zasypując ich ziemią, a jego nóż wbił się głęboko w belkę. Sesaria wymamrotał jakieś kantyckie przekleństwo i skrzywił się, próbując uwolnić ostrze. Cosca wstał i wykonał kolejne niezdarne pchnięcie. Sesaria wytrzeszczył oczy, gdy czubek szpady przebił mu koszulę i gładko wniknął w pierś.

- No! - Cosca warknął mu prosto w twarz. - Czy teraz wyrażam się wystarczająco... dobitnie?

Sesaria rzucił się do przodu, plując krwawą śliną, z twarzą wykrzywioną rozpaczliwym grymasem. Ostrze przeszło przez niego na wylot, a rękoność zaplątała się w lepką koszulę. Chwycił Coscę i przewrócił się na niego, powalając go na plecy, a głowica szpady wbiła się generałowi w brzuch, odbierając mu oddech i wydobywając z jego piersi skrzeczące „Uff”.

Sesaria wyszczerzył czerwone zęby.

- To... ma być... ten błyskotliwy komentarz? - Uderzył lampą w szlak czarnego proszku obok twarzy Coski.

Szkoło się rozbiło, buchnął płomień i proszek zapalił się ze skwierczącym trzaskiem, a fala gorąca niemal poparzyła Cosce policzek. Nicomo zmagął się z bezwładnym cielskiem Sesarii, jednocześnie próbując wyplątać palce z pozłacanej osłony rękoności. Rozpaczliwie usiłował zrzucić z siebie ciężkiego trupa. Nozdrza wypełniał mu smród gurkijskiego cukru, a trzaskające iskry powoli przemieszczały się wzdłuż korytarza.

Wreszcie się uwolnił, stanął na nogi, po czym pobiegł w stronę wejścia. Powietrze rzeźbiło mu w płucach. Jedną ręką przesuwał po ścianie, uderzając o stemple. Przed nim pojawiła się podskakująca owalna plama dziennego światła. Cosca kretyńsko zachichotał, zastanawiając się, kiedy skała, przez którą biegnie, wyleci na milę w niebo. Wypadł na świeże powietrze.

- Uciekajcie! - wrzasnął, wymachując rękami. - Uciekajcie!

Popędził w dół zbocza, potknął się, upadł, przekoziółkował, boleśnie odbił się od skały, z trudem wstał, po czym ruszył dalej w obłoku pyłu i lawinie luźnych kamieni. Mknął w kierunku wiklinowych ekranów, które znaczyły najbliższy okop, wrzeszcząc na całe gardło jak szalenie. Rzucił się na ziemię, pojechał na brzuchu po piachu, wbił się między dwie osłony i spadł głową w dół do okopu pośród deszczu sypkiej ziemi.

Vietus patrzył zaskoczony, jak Cosca z trudem staje na nogi.

- Co, do...?

- Schowajcie się! - zawył Cosca.

Wokół niego rozległ się grzechot zbroi, gdy żołnierze skulili się w okopach, unosząc tarcze nad głowy, zasłaniając uszy rękawicami i szczelnie zamykając oczy, czekając na wybuch, który zniszczy świat. Cosca ponownie przywarł do ubitej ziemi, zaciskając zęby i obejmując głowę rękami.

Cisza się przedłużała.

Cosca uchylił jedną powiekę. Błękitny motyl beztrąsko opadł z nieba, okrążył najemników w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, po czym spokojnie usiadł na grocie włócznie. Vietus zasłaniał twarz hełmem. Teraz powoli zsunął go do tyłu z zaskoczoną miną.

- Co się stało, do diabła? Zapaliliście proszek? Gdzie Sesaria?

Cosca zobaczył w myślach, jak proszek gaśnie, ludzie Vietusa zanurzają się w ciemnym tunelu z uniesionymi lampami, natrafiają na zwłoki Sesarii nabite na szpadę z charakterystycznym złoconym koszem.

- Eee...

Delikatne drżenie poruszyło ziemię na plecach Coski. Chwilę później rozległ się grzmot eksplozji, tak głośny, że przeszył mu głowę bólem. Nagle świat pogrążył się w ciszy podszytej cichym, wysokim piskiem. Zatrzęsła się ziemia. Przez okop przetoczył się nagły podmuch, który potargał włosy Coski i niemal go porwał. Obłok duszącego pyłu wypełnił powietrze, drażniąc mu płuca i zmuszając do kaszlu. Z nieba spadł żwir kłujący go w rękę i skórę głowy. Nicomo westchnął i skulił się jak człowiek zaskoczony przez huragan, napinając wszystkie mięśnie. Nie był pewien, jak długo to trwało.

W końcu otworzył oczy, rozprostował obolałe kończyny i chwiejnie wstał. Świat zmienił się w upiorne miejsce wypełnione cichą mgłą. W krainę umarłych, gdzie ludzie i sprzęt byli tylko widmami w mroku. Mgła zaczęła się rozwiewać. Cosca potarł uszy, ale pisk nie zniknął. Pozostali podnosili się, rozglądali, obracając twarze pokryte szarym pyłem. Niedaleko ktoś leżał w kałuży na dnie okopu z hełmem wgniecionym przez kawałek skały, który kapryśne Boginie Losu skierowały prosto w jego głowę. Cosca spojrział z okopu w

stronę szczytu góry, wyężając wzrok w opadającym pyle.

- Och.

Wyglądało na to, że mur Fontezarmo pozostał nienaruszony, gdyż na tle ołowiano-białego nieba nadal widniał wyraźny zarys wież i blanków. W skale ział rozległy krater, ale potężna okrągła wieża wciąż uparcie trzymała się jego krawędzi, a nawet lekko wystawała ponad pustą przestrzeń. Przez chwilę Cosce wydawało się, że to najbardziej druzgocąca porażka w jego życiu, a przecież doświadczył ich wielu.

Wtedy bezgłośnie i powoli, niczym we śnie, środkowa wieża pochyliła się, wygięła i zawałiła do krateru. Pociągnęła za sobą potężny fragment murów, który złożył się i rozsypał na kawałki pod własnym ciężarem. Wywołana przez człowieka lawina z setek ton kamieni potoczyła się w stronę okopów.

- Ach - rzekł Cosca.

Najemnicy po raz kolejny rzucili się na twarz, zakrywając głowy, modląc się o ocalenie do Bogiń Losu albo innych bóstw i duchów, w które wierzyli bądź nie wierzyli. Cosca stał nieruchomo, patrząc z fascynacją, jak olbrzymi kawał muru o wadze około dziesięciu ton pędzi w dół zbroca prosto na niego, odbijając się, wirując i wyrzucając wysoko w powietrze kawałki kamienia, a wszystko to w ciszy, jeśli nie liczyć słabego chrzęstu przypominającego odgłos kroków na żwirze. Gigant zatrzymał się w odległości niecałych dziesięciu kroków, delikatnie zakołysał, po czym znieruchomiał.

Drugi obłok pyłu pogrzyżył wewnątrz okopu w duszącej ciemności, ale gdy pył wreszcie opadł, Cosca zobaczył rozległy wyłom w zewnętrznym murze Fontezarmo, szeroki na co najmniej dwieście kroków. Krater poniżej wypełnił się gruzem. Druga wieża stojąca na jego skraju pochyliła się pod niepokojącym kątem, jak pijak zerkający w dół urwiska, który w każdej chwili może runąć w otchłań.

Generał zobaczył, jak Vietus staje obok niego, unosi szpadę i wrzeszczy. Rozkaz zabrzmiał tak cicho, jakby go wypowiedział.

- Do ataku.

Najemnicy wygramolili się z okopów, niektórzy nieco

oszołomieni. Jeden postawił kilka chwiejnych kroków, po czym przewrócił się na twarz. Część stała w miejscu, mrugając. Inni niepewnie zaczęli wspinać się na wzgórze. Kolejni podążyli ich śladem i wkrótce kilkuset ludzi przemierzało gruzy, kierując się w stronę wyłomu, a ich broń i zbroje lśniły matowo w wodnistym słońcu.

Cosca został w okopie razem z Vietusem. Obaj byli pokryci szarym pyłem.

- Gdzie Sesaria? - Słowa kapitana zagrzmiały głucho w uszach Coski, przebijając się przez pisk.

Jego własny głos przypominał dziwaczny bulgot.

- Nie było go za mną?

- Nie. Co się stało?

- Wypadek. Zdarzył się wypadek... kiedy wychodziliśmy. - Cosca bez trudu przywołał łyzy, od stóp do głów był pokryty siniakami i obtarciami. - Upuściłem lampę! Upuściłem! Zapaliłem niegotowy szlak z proszku! - Chwycił Vietusa za żłobkowany napierśnik. - Kazałem mu biec za sobą, ale został! Został... żeby zgasić ogień.

- Został?

- Myślał, że zdoła uratować nas obu! - Cosca zakrył twarz dłonią, głos wiązał mu w gardle od emocji. - To moja wina! Wszystko moja wina. Naprawdę był najlepszym spośród nas. - Zawył, zwracając twarz ku niebu. - Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego Boginie Losu zawsze zabierają najlepszych?

Vietus zerknął na pustą pochwę Coski, a następnie na olbrzymi krater w zboczu wzgórza i ziejący wyłom.

- Nie żyje, co?

- Poleciał do piekła - wyszeptał Cosca. - Pieczenie z gurkijskim cukrem to niebezpieczna zabawa.

Wyszło słońce. Ludzie Vietusa wspinali się połyskującą falą na zbocza krateru i znikali w wyłomie, najwyraźniej nie napotykając żadnego oporu. Jeśli jacyś obrońcy przeżyli wybuch, i tak nie mieli nastroju do walki. Wyglądało na to, że najemnicy zdobyli zewnętrzny dziedziniec Fontezarmo.

- Zwycięstwo. Przynajmniej ofiara Sesarii nie poszła na

marne - powiedział Cosca.

- O nie. - Vietus zerknął na niego spod przymrużonych powiek. - Byłby dumny.

Jeden naród

Odbijający się echem pomruk tłumu po drugiej stronie drzwi przybierał na sile, podobnie jak bulgotanie w brzuchu Monzy. Próbowwała rozmasować napięte mięśnie szczęki, ale bezskutecznie.

Mogła tylko czekać. Podczas wieczornego przedstawienia miała jedynie stać w miejscu z poważną miną i wyglądać dostojnie, a najlepsi krawcy z Talinsu napracowali się, by uwiarygodnić to niedorzeczne kłamstwo. Przygotowali dla niej długie rękawy zakrywające blizny na rękach, wysoki kołnierz maskujący blizny na szyi oraz rękawiczki, by polepszyć wygląd zmasakrowanej dłoni. Odetchnęli z ulgą, gdy okazało się, że mogą zachować głęboki dekolt bez straszenia delikatnych gości Rogonta. Dziwne, że nie wycięli wielkiego otworu z tyłu sukni, by wyeksponować tyłek - był to jedyny pozostały fragment jej ciała, którego nie znaczyły blizny.

Usunięto wszystko, co mogłoby popsuć historyczną chwilę księcia Rogonta. Także szpadę Monzy, za której ciężarem tęskniła jak za brakującą kończyną. Próbowwała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio pojawiła się gdzieś bez ostrza pod ręką. Na pewno nie podczas zebrania Rady Talinsu, w którym wzięła udział następnego dnia po objęciu stanowiska.

Stary Rubine zasugerował, że nie ma potrzeby, by nosiła szpadę w izbie. Odpowiedziała, że nosi ją każdego dnia od dwudziestu lat. Rubine grzecznie zauważył, że ani on, ani żaden z jego współpracowników nie są uzbrojeni, chociaż są mężczyznami, więc lepiej znają się na walce. Monza zapytała, czym w takim razie miałyby go przebić. Jako że nikt nie był pewien, czy żartuje, więc nie podejmowano tego tematu.

- Wasza Ekscelencjo. - Jeden ze służących zbliżył się i elegancko uklonił. - Wasza Hrabowska Mość. - Kolejny ukłon był skierowany do hrabiny Cotardy. - Zaraz zaczynamy.

- Dobrze - odburknęła Monza. Stała przed podwójnymi drzwiami, wyprostowała ramiona i uniosła podbródek. - Miejmy już tę pierdoloną pantomimę za sobą.

Nie miała czasu do stracenia. W ciągu ostatnich trzech tygodni każdą chwilę dnia i nocy - rzadko sypiała, odkąd Rogont zatknął jej obręcz na głowę - poświęcała próbom wydobycia Talinsu z bagna, w które sama go z takim wysiłkiem wpakowała.

Pamiętając maksymę Bialovelda - „każde państwo winno się opierać na filarach ze stali i złota” - odnalazła wszystkich ukrywających się biurokratów, którzy akurat nie byli oblężeni w Fontezarmo razem ze swoim dawnym panem. Odbyła dyskusje na temat armii Talinsu, która nie istniała. Dyskusje na temat skarbcza, który był pusty. Na temat systemu podatkowego, robót publicznych, służb bezpieczeństwa oraz sądownictwa, z których wszystkie rozmyły się jak tort w strumieniu. Tylko obecność Rogonta, a raczej jego żołnierzy, chroniła Talins przed anarchią.

Jednakże Monzy nigdy nie zniechęcał przeciwny wiatr. Zawsze potrafiła ocenić zdolności swoich ludzi i wybrać właściwą osobę do danego zadania. Stary Rubine był pompatyczny jak prorok, więc uczyniła go sędzią pokoju. Grulo i Scavier byli najbardziej bezwzględnymi kupcami w mieście. Nie ufała im, więc mianowała oboje kanclerzami, zachęcając do wymyślania nowych podatków i rywalizowania w ich zbieraniu, licząc na to, że z zazdrości będą się nawzajem kontrolować.

Zdołali już wyciągnąć pieniądze od swoich niezadowolonych kolegów, a Monza wydała je na zbrojenia.

Po trzech dniach sprawowania przez Monzę mało obiecujących rządów do miasta przybył stary sierżant nazwiskiem Volfier, człowiek aż do przesady twardy i niemal równie mocno naznaczony bliznami jak ona. Odmówił

kapitulacji i przeprowadził swój regiment złożony z dwudziestu trzech ocalałych żołnierzy z miejsca pogromu w Osprii przez całą Styrię, po drodze nie tracąc broni ani honoru. Monza uznała, że przyda się jej ktoś tak zaprawiony w bojach, i poleciła mu zwerbować wszystkich weteranów przebywających w mieście. Na polu bitwy trudno było o godziwy zarobek, a sierżant wkrótce dysponował dwiema kompaniami ochotników, którzy otrzymali chwalebne zadanie eskortowania poborców podatkowych i dbania o to, by nie zginęła ani jedna moneta.

Dobrze zapamiętała lekcje księcia Orso. Od złota do stali i do jeszcze większej ilości złota - tak wygląda spirala polityki. Opór, apatia i pogarda ze wszystkich stron tylko dodawały jej animuszu. Odczuwała perwersyjną satysfakcję w obliczu pozornie niewykonalnego zadania, praca i plewy pozwalały jej zapomnieć o bólu i zachować bystrość umysłu. Już dawno niczego nie tworzyła.

- Wyglądasz... bardzo pięknie.

- Co?

Cotarda stanęła obok niej i uśmiechnęła się nerwowo.

- Och. I nawzajem - mruknęła Monza, nawet na nią nie patrząc.

- W białym ci do twarzy. Podobno ja jestem zbyt blada, by nosić białe stroje.

Monza się skrzywiła. Oto bezmyślne trajkotanie, na jakie tego wieczoru nie miała ochoty.

- Chciałabym być taka jak ty.

- Wystarczy trochę posiedzieć na słońcu.

- Nie, nie. Odważna. - Cotarda spuściła wzrok na swoje blade palce, splatając je i wyginając. - Chciałabym być odważna. Mówią mi, że mam władzę. Można by pomyśleć, że to oznacza, że nie muszę się niczego obawiać. Ale ja cały czas się boję. Zwłaszcza podczas takich uroczystości. - Słowa wypływały z jej ust nieprzerwanym strumieniem, a Monza czuła się coraz bardziej nieswojo. - Czasami nie mogę nawet drgnąć ze strachu. Jestem taka żalosna. Co mogę z tym zrobić? Co ty zrobiłabyś na

moim miejscu?

Monza nie miała zamiaru rozmawiać o własnych lękach. Tylko by je wzmocniła. Ale Cotarda nie przestawała paplać.

- Brakuje mi siły charakteru, ale skąd ją wziąć? Albo się ją ma, albo nie. Ty masz. Każdy tak mówi. Skąd ją wzięłaś? Dlaczego ja jej nie mam? Czasami mam wrażenie, że jestem jak papierowa wycinanka tylko udająca człowieka. Mówią mi, że jestem tchórzem. Co mogę z tym zrobić? Jak nie być tchórzem?

Patrzyły na siebie przez dłuższą chwilę, po czym Monza wzruszyła ramionami.

- Zachowuj się tak, jakbyś nim nie była.

Drzwi stanęły otworem.

Niewidoczni muzycy zaintonowali dostojny refren, gdy Monza i Cotarda wkroczyły do rozległej misy Senatu. Chociaż w sali brakowało dachu i wkrótce na niebiesko-czarnym niebie miały się pojawić gwiazdy, było gorąco. Gorąco i wilgotno jak w grobowcu, a perfumowany smród kwiatów dławiał Monzę i niemal przyprawiał ją o torsię. W ciemności płonęły tysiące świec, które wypełniały wielką arenę pełzającymi cieniami i sprawiały, że pozłota i klejnoty lśniły, a setki uśmiechniętych twarzy wznoszących się ze wszystkich stron przypominały pożądliwie łypiące maski. Wszystko było olbrzymie - tłum, szeleszczące sztandary za plecami ludzi, samo miejsce ceremonii. Wszystko było przesadzone, niczym scena żywcem wyjęta z barwnej fantastycznej opowieści.

Cała masa przygotowań tylko po to, żeby zobaczyć, jak jeden człowiek wkłada nowe nakrycie głowy.

Publiczność była zróżnicowana. Większość stanowili bogaci i potężni Styryjczycy, kupcy i drobni szlachcice pochodzący z całej krainy. Oprócz tego garstka sławnych artystów, dyplomatów, poetów, rzemieślników, żołnierzy - Rogont nie chciał wykluczyć nikogo, kto mógłby przydać mu choć odrobinę chwały. Zagraniczni goście zajęli większość najlepszych miejsc blisko środka. Przybyli, by okazać szacunek nowemu królowi Styrii, a przynajmniej ugnać coś dla siebie na jego koronacji. Kupcy-kapitanowie z Wysp Tysięcznych ze złotymi kólkami w

uszach. Brodaci Północni, jasnoocy Baolińczycy. Rdzenni mieszkańcy Suljuku w jaskrawych jedwabiach, dwie kapłanki z Thondu, gdzie czczono słońce, z głowami ogolonymi do jasnej szczeciny. Trzej nerwowi członkowie Rady Miejskiej Westportu. Żadnych przedstawicieli Unii, ale to nikogo nie zdziwiło, a gurkijska delegacja z chęcią zajęła ich miejsca. Tuzin obwieszonych złotem ambasadorów Imperatora Uthmana-ul-Doshta. Tuzin kapłanów Proroka Khalula ubranych w stonowane białe stroje.

Monza przeszła między nimi, jakby ich nie zauważała, z wyprostowanymi ramionami, wpatrzona przed siebie, uśmiechnięta kpiąco, jak zawsze, gdy była przerażona. Lirozio i Patine nadeszli z przeciwnej strony, z podobną pompą. Sotorius czekał ciężko wsparty na lasce obok złotego tronu, który stanowił centrum całego wydarzenia. Starzec stanowczo stwierdził, że prędzej wybierze się do piekła niż zejdzie po rampie.

Dotarli do okrągłej platformy, gromadząc się pod pełnymi wyczekiwania spojrzeniami kilku tysięcy par oczu. Pięcioro wielkich przywódców Styrii, którzy mieli dostąpić zaszczytu koronowania Rogonta, wszyscy ubrani w tak wyraźnie symboliczny sposób, że nawet grzyb by to zauważył. Monza miała na sobie perłowo-biały strój z krzyżem Talinsu na piersi, ułożonym z lśniących kawałków czarnego kryształu. Cotarda była ubrana w affoiański szkarłat. Krawędź czarnej szaty Sotoriusa obszyto złotymi muszelkami. Lirozio nosił na swej pozłacanej pelerynie wizerunek mostu Puranti. Byli jak kiepscy aktorzy, którzy reprezentowali różne miasta Styrii w tanim moralitecie, tylko że przygotowanym olbrzymim kosztem. Nawet Patine dał sobie spokój z udawaniem skromności i zamienił grubo tkany chłopski strój na zielone jedwabie, futro i połyskujące klejnoty. Symbolem Nicante było sześć pierścieni, ale on miał na palcach co najmniej dziewięć, w tym jeden ozdobiony szmaragdem, który rozmiarem dorównywał kościom Przyjaznego.

Z bliska nie wyglądali na zachwyconych swoją rolą. Zupełnie

jak grupa, która po pijaku zgodziła się rankiem wskoczyć do lodowatego morza, ale po wytrzeźwieniu zaczęła się zastanawiać, czy to dobry pomysł.

- No - mruknęła Monza, gdy muzycy zakończyli utwór i wybrzmiały ostatnie nuty. - Jesteśmy.

- Zaiste. - Sotorius powiódł wzrokiem po szemrzącym tłumie.

- Miejmy nadzieję, że korona jest duża. Nadchodzi najbardziej rozdęta głowa w Styrii.

Za nimi rozległy się ogłuszające fanfary. Cotarda drgnęła, zachwiała się i byłaby upadła, gdyby Monza instynktownie nie złapała jej za łokieć. Otwarto drzwi w głębi sali, a gdy ucichł hałaśliwy dźwięk trąbek, zastąpił go dziwny śpiew, wysoki i czysty dwugłos niosący się nad widownią. Rogont wkroczył z uśmiechem do budynku Senatu, a goście powitali go dobrze zaplanowanym wybuchem aplauzu.

Przyszły król, ubrany w ospriańskie błękity, rozejrzał się ze skromnym zaskoczeniem i ruszył w dół schodów. To wszystko dla mnie? Nie trzeba było! Chociaż oczywiście sam zaplanował każdy szczegół. Monza przez chwilę zastanawiała się, zresztą nie po raz pierwszy, czy Rogont okaże się dużo gorszym królem niż Orso. Nie będzie mniej bezwzględny ani bardziej lojalny, ale na pewno znacznie bardziej próżny i mniej wesoły w codziennych kontaktach. Teraz ścisnął dłonie swoich ulubieńców, łaskawie dotykając ramienia jednej albo dwóch osób. Nieziemską serenadą towarzyszyła mu, gdy szedł przez tłum.

- Czyżbym słyszał duchy? - szepnął z piorunującą pogardą Patine.

- Słyszysz chłopców bez jaj - odparł Lirozio.

Czterej mężczyźni w ospriańskich liberiach otworzyli ciężkie drzwi za platformą i przez nie przeszli, a po chwili ponownie się pojawili, dźwigając inkrustowany kufer. Rogont szybko minął pierwszy rząd widzów, ścisnął dłonie kilku wybranych ambasadorów, i zwracając szczególną uwagę na gurkijską delegację, a wiwaty ciągnęły się w nieskończoność. Wreszcie wspinał się po stopniach na platformę, uśmiechając się tak, jak

uśmiecha się zwycięzca kluczowego rozdania do zrujnowanych przeciwników. Wyciągnął ręce w stronę piątki władców.

- Moi przyjaciele, moi przyjaciele! W końcu nadszedł ten dzień!

- Rzeczywiście - odrzekł Sotorius.

- Radosny dzień! - śpiewnie zawołał Lirozio.

- Z dawna wyczekiwany! - dodał Patine.

- Dobra robota - odezwała się Cotarda.

- Dziękuję wam wszystkim. - Rogont odwrócił się w stronę swoich gości, uciszył ich owacje delikatnym ruchem dłoni, zarzucił pelerynę, po czym usiadł na tronie i przywołał Monzę. - A ty mi nie pogratulujesz, Wasza Ekscelencjo?

- Moje gratulacje - syknęła.

- Taktowna jak zawsze. - Nachylił się, szepcząc: - Nie przyszłaś do mnie wczoraj w nocy.

- Miałam inne zobowiązania.

- Naprawdę? - Rogont uniósł brwi, jakby zaskoczyło go, że cokolwiek może być ważniejsze od pieprzenia się z nim. - No tak, głowa państwa z pewnością jest bardzo zajęta. - Z pogardą machnął ręką.

Monza zazgrzytała zębami. W tej chwili bardzo chętnie by na niego nasikała.

Czterej tragarze postawili swoje brzemie za tronem, jeden z nich przekreślił klucz w zamku i z namaszczeniem uniósł wieko. Tłum westchnął. Korona leżała na fioletowym aksamicie. Gruba złota obręcz wysadzana ciemno połyskującymi szafirami. Wyrastało z niej pięć złotych liści dębu, a szósty, większy, oplatał potężny błyszczący brylant wielki jak kurze jajo. Tak duży, że Monzę opanowało dziwne pragnienie, by parsknąć śmiechem.

Z miną człowieka, który zamierza oczyścić zatkaną latrynę gołą ręką, Lirozio sięgnął do kufra i chwycił jeden ze złotych liści. Patine z rezygnacją wzruszył ramionami, po czym uczynił to samo. Po nim Sotorius i Cotarda. Monza złapała ostatni listek prawą dłonią w rękawiczce. Sterczący mały palec wcale nie wyglądał lepiej mimo osłonięcia białym jedwabiem. Zerknęła

na twarze swoich rzekomych towarzyszy. Dwa wymuszone uśmiechy, lekka kpina oraz wyraźny grymas gniewu. Zastanawiała się, kiedy dumni książęta, przywykli do bycia panami swojego losu, zmęczą się tym niekorzystnym układem.

Wyglądało na to, że jarzmo już zaczyna im doskwierać.

Razem podnieśli koronę i wykonali kilka niezdarnych kroków. Sotorius musiał ominąć kufer, więc pociągnął za sobą resztę. Dotarli do tronu i wspólnie wzniesli bezcenny symbol władzy wysoko ponad głowę Rogonta. Na chwilę znieruchomieli, jakby zastanawiali się, czy istnieje jakieś inne wyjście. W ogromnym pomieszczeniu zapadła niepokojąca cisza, wszyscy wstrzymali oddech. W końcu Sotorius pokiwał głową z rezygnacją i opuścili koronę, ostrożnie umieszczając ją na czaszce Rogonta, po czym się odsunęli.

Wyglądało na to, że Styria stała się jednym narodem.

Jej król powoli wstał z tronu i szeroko rozłożył ręce z otwartymi dłońmi, wpatrując się przed siebie, jakby przenikał wzrokiem stare mury budynku Senatu i widział świetlaną przyszłość.

- Bracia Styryjczycy! - zawołał, a jego głos odbił się echem od kamiennych ścian. - Nasi pokorni poddani! A także nasi zagraniczni przyjaciele, witajcie! - Głównie gurkijscy przyjaciele, ale skoro Prorok postarał się o tak duży brylant do korony... - Krwawe Lata dobiegły końca! - A przynajmniej wkrótce tak się stanie, gdy Monza już przeleje krew Orso. - Wielkie miasta naszej dumnej krainy już nie będą ze sobą walczyły! - To się jeszcze okaże. - Ale połączy je wiekuiste braterstwo, radosne więzi przyjaźni, kultury i wspólnego dziedzictwa. Pomaszerają razem! - Zapewne w kierunku narzuconym przez Rogonta. - Zupełnie jakby... Styria budziła się z koszmaru. Koszmaru, który trwał dziewiętnaście lat. Jestem pewien, że niektórzy z nas nie pamiętają życia bez wojny.

Monza zmarszczyła czoło, myśląc o pługu ojca orzającym czarną ziemię.

- Ale teraz... wojny się skończyły! I wszyscy wygraliśmy! Każdy z nas. - Oczywiście niektórzy wygrali więcej od innych. -

Oto nastał czas pokoju! Wolności! Leczenia ran!

Lirozio głośno odchrząknął i skrzywił się, poluzowując haftowany kołnierzyk.

- Oto nastał czas nadziei, przebaczenia, jedności!

Oraz, oczywiście, unżonego posłuszeństwa.

Cotarda wpatrywała się w swoją rękę. Jej blada dłoń pokryła się różowymi plamami, które odcieniem niemal pasowały do szkarłatnej sukni.

- Oto nastał czas budowy potężnego państwa, którego pozazdrości nam cały świat! Oto nastał czas...

Lirozio zaczął kaszleć, krople potu wystąpiły mu na rumianą twarz. Rogont zerknął na niego z wściekłością.

- Oto nastał czas, by Styria stała się...

Patine pochylił się i jęknął rozdzierająco, szczerząc zęby.

- Jednym narodem...

Coś było nie w porządku i wszyscy już to dostrzegali. Cotarda zatoczyła się do tyłu, oparła o złoconą balustradę i ciężko dysząc osunęła na podłogę przy wtórze szelestu czerwonego jedwabiu. Oszołomiona publiczność westchnęła.

- Jednym narodem... - wyszeptał Rogont.

Kanclerz Sotorius, drżąc, runął na kolana, trzymając się zaróżowioną dłonią za wyschnięte gardło. Poczzerwieniały Patine opadł na czworaki; żyły na jego szyi nabrzmiały. Lirozio przewrócił się na bok, zwrócony plecami do Monzy, cicho rżąc. Wyciągnął za siebie drgającą prawą dłoń pokrytą różowymi plamami. Cotarda lekko wierzgnęła nogą, po czym znieruchomiała. Przez cały czas tłum milczał jak zahipnotyzowany, niepewny, czy przypadkiem to wszystko nie jest szalonym punktem programu. Jakimś paskudnym żartem. Patine upadł na twarz. Sotorius przewrócił się do tyłu, wyginając plecy i z piskiem szorując obcasami po wypolerowanym drewnie, po czym zwiotczał.

Rogont patrzył na Monzę, a ona wpatrywała się w niego, sparaliżowana i bezsilna jak wtedy, gdy obserwowała śmierć Benny. Otworzył usta, uniósł jedną dłoń, ale oddech zamarł mu w gardle. Jego czoło pod obszytą futrem krawędzią korony

przybrało wściekle czerwony kolor.

Korona. Wszyscy jej dotknęli. Monza spuściła wzrok na swoją rękawiczkę. Wszyscy oprócz niej.

Twarcz Rogonta wykrzywił grymas. Zrobił jeden krok, ale ugięła się pod nim kostka i runął na twarz, patrząc w bok niewidzącymi wytrzeszczonymi oczami. Korona spadła mu z głowy, odbiła się od ziemi, potoczyła do krawędzi inkrustowanej platformy i z brzękiem spadła na posadzkę. Ktoś na widowni zaczął ogłuszająco wrzeszczeć.

Rozległ się szum opadającej przeciwwagi i grzechot drewna, po czym tysiąc białych ptaków wyfrunęło z klatek ukrytych na obrzeżach komnaty, wznosząc się w bezchmurne nocne niebo piękną świergoczącą chmurą.

Wszystko odbyło tak, jak zaplanował Rogont.

Tylko że z sześciorga mężczyzn i kobiet, którzy mieli zjednoczyć Styrię i zakończyć Krwawe Lata, przy życiu pozostała tylko Monza.

Tylko pył

Dreszcz odczuwał niemałą satysfakcję na myśl o tym, że wielki książę Rogont nie żyje. Być może powinien go nazywać królem Rogontem, lecz teraz to już nie miało większego znaczenia. Ta świadomość sprawiała, że uśmiechał się szeroko.

Możesz być niezwykle potężny za życia, ale to nic nie znaczy, gdy wrócisz do ziemi. A do tego wystarczy drobiazg. Śmierć przychodzi w najgłupszych okolicznościach. Pewien stary przyjaciel Dreszcza walczył przez wszystkie siedem dni w bitwie na Wysokich Szczytach i nie został nawet draśnięty. Gdy następnego ranka opuszczał dolinę, zadrapał się cierniem, zgnilizna zaatakowała jego rękę i kilka nocy później umarł, bełkocząc w malignie. Nie było w tym sensu. Żadnej życiowej lekcji. Może tylko przestroga, by uważać na ciernie.

Jednakże szlachetna śmierć, jaką wywalczył dla siebie Rudd Trójdrzewiec, na czele szarży, do ostatniego tchu z ostrzem w dłoni, wcale nie była lepsza. Może ludzie będą o nim śpiewać pieśni, gdy się napiją, strasznie przy tym fałszując, ale dla tego, który zginął, śmierć to tylko śmierć. Ludzie ze wzgórz nazywają ją Wielkim Rozjemcą, który zrównuje panów i żebraków.

Wszystkie wzniosłe ambicje Rogonta poszły do piachu. Jego władza rozwiała się jak mgła na porannym wietrze. Dreszcz, zwykły jednooki zabójca, wczoraj niegodny lizania przysłemu królowi butów, dziś był w bez porównania lepszej sytuacji. Wciąż rzucał cień. Jeśli można z tego wynieść jakąś lekcję, to na pewno: bierz, co tylko możesz, póki wciąż oddychasz. Ziemia nie szykuje dla ciebie żadnych nagród poza ciemnością.

Wyjechali z tunelu na zewnętrzny dziedziniec Fontezarmo, a Dreszcz cicho i przeciągle gwizdnął.

- Trochę tu przebudowali.

Monza pokiwała głową.

- A przynajmniej sporo wyburzyli. Wygląda na to, że podarunek od proroka się sprawdził.

Gurkijski cukier okazał się straszliwą bronią. Spory fragment murów po ich lewej stronie zniknął, a jedna z wież, poprzecinana pęknięciami, pochylała się szaleńczo, gotowa w każdej chwili runąć w dół zbrocza w ślad za resztą. Kilka bezlistnych krzewów trzymało się kurczowo krawędzi urwiska, gdzie kiedyś stały mury, wyciągając gałęzie ku pustce. Dreszcz podejrzewał, że znajdowały się tam ogrody, jednak płonące pociski miotane z katapult przez ostatnie tygodnie zmieniły je w płataninę osmalonych badyli, porozbijanych pni i wypalonego błota, rozmazanego i usianego kałużami po nocnym deszczu.

Brukowana droga prowadziła przez sam środek tego chaosu, między sześcioma niedziałającymi fontannami, do czarnej bramy, wciąż szczelnie zamkniętej. Kilka poskręcanych kształtów najeżonych strzałami leżało obok jakiejś rozbitej konstrukcji. Trupy wokół spalonego tarana. Wodząc wyćwiczonym okiem wzdłuż blanków, Dreszcz wypatrzył włócznie, łuki i połyskujące zbroje. Wyglądało na to, że wewnętrzne mury wciąż są silnie bronione, a księżę Orso się za nimi zaszył.

Ominęli dużą stertę wilgotnych płócien obciążonych kamieniami i pokrytych kałużami deszczówki. Dreszcz dostrzegł buty wystające z jednej strony, a także kilka par brudnych bosych stóp upstrzonych kroplami wody.

Najwyraźniej jeden z chłopców Volfiera był świeżym rekrutem, bo pobladł na widok zabitych. Tymczasem Dreszcz, widząc te wszystkie ciała, zaczął się zastanawiać, kiedy tak się przyzwyczaił do zwłok. Obecnie były dla niego tylko częścią scenerii, równie obojętną jak rozbite pniaki. Trzeba będzie czegoś więcej niż kilka trupów, by popsuć mu nastrój tego ranka.

Monza zatrzymała konia, po czym ześlizgnęła się z siodła.

- Z koni - mruknął Volfier, a pozostali poszli w jej ślady.

- Dlaczego niektórzy z nich są boso? - Chłopak wciąż wpatrywał się w trupy.

- Ponieważ mieli dobre buty - odparł Dreszcz.

Młody spuścił wzrok na własne skórzane obuwie, ponownie zerknął na mokre bose stopy i zakrył usta dłonią.

Volfier klepnął go w plecy, mrugając do Dreszcza. Chłopiec aż podskoczył. Najwyraźniej na całym świecie tak samo drażniono się z nowymi żołnierzami.

- Buty czy nie, to bez znaczenia, jeśli cię zabiją. Nie martw się, chłopcze, przywykniesz.

- Naprawdę?

- Jeśli będziesz miał szczęście, pożyczysz wystarczająco długo - rzekł Dreszcz.

- Jeśli będziesz miał szczęście, najpierw znajdziesz sobie inny fach - rzuciła Monza. - Zaczekajcie tutaj.

Volfier pokiwał głową.

- Wasza Ekscelencjo. - Dreszcz patrzył, jak Monza się oddala, klucząc między gruzami.

- Opanowaliście sytuację w Talinsie? - mruknął.

- Mam nadzieję - stęknął naznaczony bliznami sierżant. - W końcu ugasiliśmy pożary. Zawarliśmy układ z przestępcami w Starej Dzielnicy. Przez tydzień będą mieli tamtą okolicę na oku, a my potem przez miesiąc damy im wolną rękę.

- Do czego to doszło, skoro zwracamy się do złodziei, by pilnowali porządku.

- To zwariowany świat. - Volfier zmrużył oczy, patrząc na wewnętrzne mury. - Tam, po drugiej stronie, jest mój dawny pan. Człowiek, dla którego walczyłem przez całe życie. Nigdy nie mieliśmy zamieszek, gdy był u władzy.

- Żałujesz, że nie jesteś z nim?

Volfier zmarszczył czoło.

- Żałuję, że nie wygrał w Osprii, wtedy nie musiałbym się nad tym zastanawiać. Ale żałuję także, że moja żona rznąła się z piekarzem, kiedy walczyłem w unijnej kampanii trzy lata temu. Rozpamiętywanie przeszłości niczego nie zmienia.

Dreszcz się wyszczerzył, po czym postukał paznokciem w

metalowe oko.

- To racja.

Cosca siedział na krześle w jedynej części ogrodów, która pozostała względnie nienaruszona, i patrzył, jak jego koza pasie się na mokrej trawie. Było coś dziwnie uspokajającego w jej stopniowym, regularnym wgryzaniu się w resztki trawnika. Jej poruszające się wargi, delikatnie skubiące zęby, drobne cierpliwe ruchy żuchwy wkrótce ostrzygą trawę do samej ziemi. Cosca wsadził czubek palca do ucha i trochę nim poświdrował, starając się pozbyć słabego dzwonienia, które wciąż czaiło się na granicy słyszalności. Bezskutecznie. Westchnął, uniósł piersiówkę, po czym znieruchomiał, gdy usłyszał chrzęst kroków na żwirze. Monza szła w jego stronę. Sprawiała wrażenie wyczerpanej. Zgarbione ramiona, wykrzywione usta, zapadnięte i podkrążone oczy.

- Po co ci koza, do diabła?

Cosca powoli napił się z piersiówki, skrzywił się i pociągnął kolejny łyk.

- Koza to szlachetne zwierzę. Gdy ciebie nie ma w pobliżu, przypomina mi, że powinienem być wytrwały, zdeterminowany i pracowity. Trzeba się czegoś trzymać w życiu, Monzcarro.

Koza uniosła wzrok i zamęczała, jakby potwierdzała jego słowa.

- Mam nadzieję, że się nie obrazisz, jeśli powiem, że wyglądasz na zmęczoną.

- To była długa noc - mruknęła Monza, a Cosca uznał, że to olbrzymie niedopowiedzenie.

- Z pewnością.

- Ospriańczycy wycofali się z Talinsu. Rozgorzały zamieszki. Wybuchła panika.

- To nieuniknione.

- Ktoś rozpuścił pogłoski, że nadciąga flota Unii.

- Plotki mogą narobić więcej szkód niż same okręty.
- Korona była pokryta trucizną - szepnęła.
- Przywódcy Styrii pochłonięci przez własną rządzą władzy.

Można w tym dostrzec wyraźne przesłanie, czyż nie? Morderstwo z metaforą. Naszemu trucieliowi-poecie jednego wieczoru udało się zabić kanclerza, księcia, hrabinę, pierwszego obywatela i króla oraz dać światu cenną lekcję na temat życia. Czyżby to był nasz wspólny przyjaciel Morveer?

Splunęła.

- Być może.
- Nigdy nie przypuszczałem, że ten pedantyczny drań ma takie poczucie humoru.
- Wybacz, że się nie śmieję.
- Dlaczego cię oszczędził?
- Nie oszczędził. - Monza uniosła prawą dłoń. - Uratowała mnie rękawiczka.

Cosca parsknął śmiechem.

- Tylko pomyśl, ktoś mógłby powiedzieć, że miażdżąc twoją prawą dłoń, książę Orso i jego kohorty ocalili ci życie! Cóż za wielowarstwowa ironia!

- Pozachwykam się nią w spokojniejszej chwili.

- Och, na twoim miejscu bym nie zwlekał. Straciłem całe lata, czekając na chwile spokoju. Mówię ci z doświadczenia, że one nie nadchodzą. Tylko się rozejrzyj. Affoiańczycy jeszcze przed świtem zdezerterowali niemal w komplecie. Sipańczycy już dzielą się na frakcje i wycofują z powrotem na południe, zapewne po to, by ze sobą walczyć. Żołnierze Puranti tak bardzo nie mogli się doczekać wojny domowej, że zaczęli się zabijać już w okopach. Vietus musiał ich rozdzielić! Wyobrażasz sobie: Vietus powstrzymujący walkę? Część Ospriańczyków wciąż tutaj jest, ale tylko dlatego, że nie mają pojęcia, co ze sobą zrobić. Biegają w kółko jak kurczaki z obciętymi głowami. Zapewne nimi są. Wiecznie zadziwia mnie to, jak szybko wszystko może się rozsypać. Styria była zjednoczona przez zaledwie minutę, a teraz pogrążyła się w chaosie głębiej niż kiedykolwiek. Kto wie, komu przypadnie władza, gdzie znajdzie

się jej ośrodek i jak będzie rozległa? Wygląda na to, że koniec Krwawych Lat... - Cosca wysunął podbródek i podrapał się w szyję - ...został ogłoszony nieco przedwcześnie.

Monza jeszcze bardziej się przygarbiła.

- Idealna sytuacja dla najemnika, prawda?

- Na pierwszy rzut oka. Ale nawet ktoś taki jak ja może nie poradzić sobie ze zbyt dużym chaosem. Tysiąc Ostrzy to najbardziej spójny i uporządkowany oddział, jaki pozostał w mieście. To powinno dać ci wyobrażenie o tym, jaki nieporządek zapanował wśród twoich sojuszników. - Wyciągnął przed siebie nogi i je skrzyżował. - Pomyślałem, że zabiorę swoją brygadę do Visserine i tam przedstawię nasze roszczenia. Rogont już raczej nie dotrzyma umowy...

- Zostań - powiedziała i popatrzyła mu prosto w oczy.

- Mam zostać?

- Zostań.

Długo milczeli, uważnie się sobie przypatrując.

- Nie masz prawa mnie o to prosić.

- Ale proszę. Pomóż mi.

- Pomóc ci...? Do czego to doszło, skoro jestem czyjąś ostatnią nadzieją. A co z twoimi lojalnymi poddanymi, obywatelami Talinsu? Czy z ich strony nie możesz liczyć na wsparcie?

- Nie są tak chętni do walki, jak do parady. Nie ruszą palcem, bo gdyby Orso kiedyś odzyskał władzę, wszystkich by powiesił.

- Nieprzewidywalne zmiany na szczytach władzy, co? Nie zbudowałaś sobie armii, gdy nimi rządziłaś? To do ciebie niepodobne.

- Zbudowałam, co mogłam, ale im nie ufam. Nie przeciwko Orso. Kto wie, w którą stronę się zwrócą?

- Ach, konflikt lojalności. Mam w tej materii doświadczenie. Nieprzewidywalny scenariusz. - Cosca wetknął palec w drugie ucho, również bezskutecznie. - Czy zastanawiałaś się kiedyś nad tym... żeby to wszystko... rzucić?

Popatrzyła na niego, jakby mówił w obcym języku.

- Co takiego?

- Ja sam pozostawiłem tysiąc niedokończonych, nie

rozpoczętych albo zawalonych spraw w całym Kręgu Świata. W ostatecznym rozrachunku obchodzą mnie znacznie mniej od moich sukcesów.

- Nie jestem tobą.

- Niewątpliwie oboje bezustannie tego żałujemy. Ale mimo to, mogłabyś dać sobie spokój z zemstą. Pójść na kompromis. Okazać... miłosierdzie.

- Miłosierdzie i tchórzostwo są tym samym - warknęła, spoglądając spod przymrużonych powiek na czarną bramę na drugim końcu spalonych ogrodów.

Cosca smutno się uśmiechnęła.

- Czyżby?

- Sumienie to wymówka, by nie robić tego, co konieczne.

- Rozumiem.

- Nie ma co nad tym płakać. Taki jest świat.

- Ach.

- Dobrzy ludzie wcale nie mają łatwiej. Kiedy umierają, zmieniają się w gówno, tak samo jak pozostali. Trzeba stale patrzeć przed siebie i skupiać się na obecnie toczonych bitwach. Nie można się wahać, niezależnie od kosztów, niezależnie od...

- Wiesz, dlaczego zawsze cię kochałem, Monzo?

- Co? - Przeniosła na niego zaskoczone spojrzenie.

- Nawet wtedy, gdy mnie zdradziłaś? A wtedy może nawet bardziej. - Cosca pochylił się w jej stronę. - Ponieważ wiem, że tak naprawdę nie wierzysz w te bzdury. To kłamstwa, które sobie powtarzasz, żeby móc żyć z tym, co zrobiłaś. Z tym, co musiałaś zrobić.

Zapadła długa cisza. W końcu Monza głośno przełknęła ślinę, jakby miała ochotę wymiotować.

- Zawsze mówiłaś, że mam w sobie diabła.

- Naprawdę? Cóż, jak my wszyscy. - Machnął ręką. - Nie jesteś święta, to wiemy na pewno. Jesteś dzieckiem krwawych czasów. Ale nosisz w sobie mniej mroku niż mogłoby się wydawać.

- Czyżby?

- Udaję, że dbam o swoich ludzi, ale tak naprawdę gówno mnie obchodzi, czy przeżyją. Ty zawsze troszczyłaś się o innych,

choć udawałaś, że jest inaczej. Nigdy nie widziałem, żebyś poświęciła na darmo czyjeś życie. A jednak oni wolą mnie. Oto sprawiedliwość. Według mnie, zawsze postępowałaś właściwie, Monzo. Nawet wtedy, gdy mnie zdradziłaś, potraktowałaś mnie lepiej, niż na to zasłużyłem. Nigdy nie zapomnę, jak wtedy w Muris po oblężeniu nie pozwoliłaś handlarzom niewolników zabrać dzieci. Każdy chciał zgarnąć pieniądze. Ja. Wierny. Nawet Benna. On przede wszystkim. Ale nie ty.

- Tylko cię drasnęłam - mruknęła.

- Nie bądź taka skromna, byłaś gotowa mnie zabić. Żyjemy w bezlitosnych czasach, gdy miłosierdzie i tchórzostwo to całkowite przeciwieństwa. Wszyscy zmieniamy się w gówno po śmierci, Monzo, ale nie wszyscy jesteśmy nim za życia. Chociaż większość z nas tak. - Wzniósł oczy ku niebu. - Bóg jeden wie, że mnie to dotyczy. Ale nigdy nie dotyczyło ciebie.

Przez chwilę patrzyła na niego, mrugając.

- Pomożesz mi?

Cosca ponownie uniósł piersiówkę, zauważył, że jest pusta, po czym ponownie ją zakręcił. To draństwo trzeba zdecydowanie za często napełniać.

- Oczywiście, że pomogę. Ani przez chwilę nie miałem co do tego wątpliwości. Tak naprawdę już zaplanowałem szturm.

- Więc...

- Po prostu chciałem, żebyś mnie poprosiła. I prawdę mówiąc, jestem zaskoczony, że to zrobiłaś. Skąd przyszło ci do głowy, że Tysiąc Ostrzy po wykonaniu najcięższej pracy podczas oblężenia i zdobyciu jednego z najbogatszych pałaców w Styrii zechce odejść bez żadnych łupów? Czyżbyś straciła rozum? Nie byłbym w stanie powstrzymać tych chciwych drani. Zaatakujemy jutro o świcie, z tobą albo bez ciebie, i doszczętnie ogołocimy to miejsce. Do obiadu moi chłopcy zerwą nawet ołów z dachów. Zasada ćwiartek i tak dalej.

- A Orso?

- Orso to przeszłość. - Cosca rozparł się na krześle i z czułością poklepał swoją kozę po boku. - Zrobisz z nim, co zechcesz.

Nieuniknione

Na kościach wypadła dwójka i jedynka.

Tego dnia przed trzema laty Sajaam wykupił Przyjaznego z Bezpiecznego Miejsca. Od tamtej pory Przyjazny był bezdomny. Podążał za trojgiem ludzi, dwoma mężczyznami i jedną kobietą, przez całą Styrię. W tym okresie najmniej źle czuł się pośród Tysiąca Ostrzy, nie tylko dlatego, że mieli liczbę w nazwie, choć to stanowiło dobry początek.

Tutaj panował porządek, przynajmniej do pewnego stopnia. Poszczególnym zadaniom byli przypisani konkretni ludzie, którzy znali swoje miejsce w olbrzymiej maszynerii. Wszystkie dane kompanii były skrupulatnie odnotowywane przez notariusza w trzech księgach. Liczba ludzi pod dowództwem każdego z kapitanów, długość służby i wysokość wynagrodzenia, godziny zbiórek, lista wypożyczonego sprzętu. Przestrzegano jasnych zasad dotyczących picia, hazardu i bójek. Zasad dotyczących korzystania z usług dziwki. Zasad dotyczących tego, gdzie poszczególne osoby mogą siadać, dokąd i kiedy mogą chodzić, kto bierze udział w walce, a kto nie. A także niezwykle istotnej Zasady Ćwiartek, w oparciu o którą dzielono łupy i której stosowania bacznie pilnowano.

Za łamanie zasad groziły ustalone kary, które wszyscy rozumieli. Zazwyczaj była to chłosta. Poprzedniego dnia Przyjazny widział, jak wychłostano mężczyznę, który wysikał się w niewłaściwym miejscu. Wydawało się, że nie jest to poważne wykroczenie, ale Vietus wyjaśnił, że kiedy już się zacznie sikać gdzie popadnie, wkrótce wszyscy będą również srali gdzie popadnie, a wtedy zabije ich zaraza. Dlatego wymierzono trzy uderzenia. Dwa i jedno.

Ulubionym miejscem Przyjaznego była kuchnia. Uspokajająca regularność posiłków przypominała mu Bezpieczne Miejsce. Surowi kucharze w poplamionych fartuchach. Parujące wielkie garnki. Grzechot i stukot sztućców. Siorbanie i mlaskanie ust, języków. Kolejka przepychających się ludzi, którzy stale domagali się większych porcji i nigdy ich nie dostawali.

Najemnicy, którzy tego ranka mieli forsować mury, otrzymali po dwa dodatkowe pulpety oraz dodatkową łyżkę zupy. Dwa i jeden. Cosca powiedział, że może się pogodzić z tym, że ktoś zostanie strącony włócznią z drabiny, ale nie dopuści, by jego ludzie padali z głodu.

- Atakujemy za godzinę - powiedział.

Przyjazny pokiwał głową.

Cosca wziął głęboki wdech, wypuścił powietrze nosem, po czym rozejrzał się ze zmarszczonym czołem.

- Najpierw drabiny.

Przez kilka ostatnich dni Przyjazny obserwował, jak je konstruowano. Dwadzieścia jeden sztuk. Dwa i jeden. W każdej trzydziści jeden szczebli, oprócz jednej, w której było ich trzydziści dwa. Jeden, dwa, trzy.

- Monza pójdzie z nimi. Chce pierwsza dopaść Orso. Jest zdeterminowana. Przepelnia ją żądza zemsty.

Przyjazny wzruszył ramionami. Monza zawsze taka była.

- Naprawdę się o nią martwię.

Przyjazny wzruszył ramionami. Jemu była obojętna.

- Pole bitwy to niebezpieczne miejsce.

Przyjazny wzruszył ramionami. To oczywiste.

- Przyjacielu, chciałbym, żebyś trzymał się blisko niej podczas szturm. Zadbaj, żeby nic się jej nie stało.

- A ty?

- Ja? - Cosca poklepał przyjaznego po ramieniu. - Jedyłą tarczą, jakiej potrzebuję, jest szacunek, którym darzą mnie ludzie.

- Jesteś pewien?

- Nie, ale będę tam, gdzie zawsze. Daleko z tyłu w

towarzystwie mojej piersiówki. Coś mi mówi, że ty bardziej się jej przydasz. Tam wciąż czają się wrogowie. I jeszcze jedno...

- Tak?

- Miej się na baczności. Lis jest najniebezpieczniejszy w potrzasku. Orso na pewno ma w zanadrzu kilka zabójczych sztuczek, to nieuniknione... - Wydał policzki. - Szczególnie uważaj... na Morveera.

- W porządku. - Murcatto będzie miała do ochrony jego i Dreszcza. Trzyosobowa drużyna, jak wtedy, gdy zabili Gobbę. Dwóch pilnuje jednej. Schował kości do kieszeni. Patrzył na parujące jedzenie nakładane do misek. Słuchał narzekania najemników. Liczył skargi.

Rozmyta szarość świtu ustępowała miejsca złocistemu blaskowi dnia. Słońce wyłoniło się zza blanków na szczycie muru, na który musieli się wspiąć, a jego szczyrbaty cień powoli sunął przez zniszczone ogrody.

Wkrótce wyruszą. Dreszcz zamknął oko i wyszczerzył zęby, zwracając twarz ku słońcu. Odchylił głowę i wystawił język. Rok zbliżał się do końca i robiło się chłodniej. Ten dzień niemal przypominał letnie poranki na Północy. Poranki, podczas których walczył w wielkich bitwach. Kiedy dokonywał wzniosłych czynów, a także kilku podłych.

- Wyglądasz na zadowolonego - odezwała się Monza - jak na człowieka, który za chwilę położy na szali swoje życie.

Dreszcz otworzył oko i zwrócił w jej stronę uśmiechniętą twarz.

- Pogodziłem się ze sobą.

- Cieszę się. To zwycięstwo zawsze przychodzi najciężej.

- Nie powiedziałem, że wygrałem. Po prostu przestałem walczyć.

- Zaczynam myśleć, że to jedyne zwycięstwo, które jest cokolwiek warte - mruknęła.

Przed nimi pierwsza fala najemników stanęła obok drabin. Na wolnych rękach mieli duże tarcze. Sprawiali wrażenie nerwowych, co nie mogło dziwić. Dreszcz im nie zazdrościł. Nawet nie próbowali ukrywać swoich zamiarów. Wszyscy po obu stronach murów wiedzieli, co się wydarzy.

Niedaleko Dreszcza do ataku szykowała się także druga fala. Kończyli ostrzyć szpady oselkami, poprawiali paski zbroi, opowiadali ostatnie dowcipy, mając nadzieję, że jeszcze kiedyś będą mieli okazję je powtórzyć. Dreszcz się wyszczerzył, obserwując ich przygotowania. Rytuały, które widział już dziesiątki razy. Poczul się niemal jak w domu.

- Czy kiedykolwiek miewasz wrażenie, że jesteś w niewłaściwym miejscu? - spytał. - Że gdybyś tylko przedostała się za kolejne wzgórze, przez kolejną rzekę, popatrzyła w głąb kolejnej doliny, wszystko zaczęłoby... pasować. Ułożyłoby się tak jak trzeba.

Monza zmrużyła oczy, patrząc na wewnętrzny mur.

- Mniej więcej od zawsze.

- Całe życie poświęcasz na przygotowania do tego, co ma nadejść. Wspiąłem się już na wiele wzgórz. Przekroczyłem wiele rzek. Przekroczyłem nawet morze, pozostawiłem wszystko, co znałem, i przybyłem do Styrii. Ale kiedy zszedłem ze statku na nabrzeże, okazało się, że wcale się nie zmieniłem i czeka tutaj na mnie takie samo życie. Kolejna dolina nie będzie inna od tej. A na pewno nie będzie lepsza. Myślę, że nauczyłem się... trwać w miejscu, w którym się znajduję. Być człowiekiem, którym jestem.

- A kim jesteś?

Opuścił wzrok na topór, który leżał mu na kolanach.

- Chyba zabójcą.

- Tylko tyle?

- Szczerze? Raczej tak. - Wzruszył ramionami. - Dlatego mnie zatrudniłaś, czyż nie?

Wbiła wzrok w ziemię, marszcząc czoło.

- A co się stało z tamtym optymistą?

- Czy nie mogę być optymistycznym zabójcą? Pewien

człowiek - tak się składa, że ten sam, który zabił mojego brata - powiedział mi kiedyś, że dobro i zło zależą od miejsca, w którym stoimy. Wszyscy mamy swoje motywy. Czy są one szlachetne? Zależy, kogo spytamy.

- Naprawdę?

- Myślałem, że akurat ty przyznasz mi rację.

- Kiedyś pewnie bym to zrobiła, ale teraz nie jestem pewna. Może to po prostu kłamstwa, które sobie powtarzamy, żeby móc żyć z tym, co zrobiliśmy.

Dreszcz nie mógł się powstrzymać i wybuchnął śmiechem.

- Co cię tak bawi?

- Ja nie potrzebuję usprawiedliwienia, szefowo, właśnie to staram się powiedzieć. Jakim słowem opisujecie coś, co musi się stać? Macie takie słowo, prawda? Gdy czegoś nie da się powstrzymać, niezależnie od tego, co się robi?

- Nieuniknione - odpowiedziała Monza.

- Właśnie. Nieuniknione. - Dreszcz wesoło obrócił to słowo w ustach jak kawałek smakowitego mięsa. - Czuję się dobrze z tym, co robię. A także z tym, co mnie czeka.

Ostry gwizd przeszył powietrze. Przy wtórce grzechotu zbroi pierwsza fala żołnierzy uklękła i podniosła długie drabiny. Ruszyli truchtem w nierównym szeregu, ślizgając się na mokrej ziemi. Za nimi podążyli bez entuzjazmu kusznicy, którzy celowali w górę, by zająć czymś łuczników na murach. Rozległo się kilka stęknień, kilka okrzyków „gotowi”, ale ogólnie szarża przebiegała w ciszy. Wznoszenie bojowych okrzyków podczas szturm na mur wydawało się niewłaściwe. Co zrobisz, gdy już tam dotrzesz? Nie możesz bez przerwy krzyczeć podczas wspinaczki po drabinie.

- Ruszyli. - Dreszcz wstał, podniósł topór i potrząsnął nim nad głową. - Dalej! Dalej, dranie!

Dotarli do połowy ogrodów, gdy Dreszcz usłyszał wrzask „ognia!”. Po chwili od strony murów dobiegł trzask i w stronę szarżujących ludzi pomknęły bełty. Rozległo się kilka krzyków, szlochów, kilku chłopców upadło, ale większość coraz szybciej parła naprzód. Najemnicy z kuszami przyklękli i posłali salwę

w stronę blanków, a strzały odbiły się od muru lub nad nim przeleciały.

Ponownie zabrzmiał gwizd i ruszyła następna fala atakujących, szczęściarze, którym przypadła w udziale wspinaczka. Większość była ubrana w lekkie zbroje, dzięki czemu mogli się poruszać swobodnie i zwinnie. Pierwsza grupka dotarła do podstawy murów i zaczęła ustawiać drabinę. Jeden z żołnierzy upadł z bełtem wbitym w szyję, ale pozostali zdolali dopełnić dzieła. Dreszcz patrzył, jak drabina uderza ze stukiem o blanki. Wkrótce zaczęto stawiać kolejne drabiny, a na murach zaroilo się od ludzi zrzucających kamienie. Grad strzał spadł na drugą falę napastników, ale większość z nich już się zbliżała do ściany i zaczynała na nią wspinać. Stało sześć drabin, po chwili dziesięć. Kolejna rozpadła się po uderzeniu w blanki, a kawałki drewna posypały się na zaszokowanych chłopców, którzy ją postawili. Dreszcz zachichotał.

Spadły kolejne kamienie. Jakiś człowiek runął z połowy wysokości drabiny, wylądował na nogach, które wygięły się w dziwny sposób, po czym poderwał się z wrzaskiem. Wszędzie dookoła rozlegały się krzyki. Grupka obrońców na dachu wieży opróżniła duży zbiornik z wrzątkiem na głowy najemników próbujących postawić drabinę, a ci zaczęli biegać w kółko jak szaleńcy, przeraźliwie hałasując i trzymając się za twarze.

Bełty i strzały latały z sykiem w górę i w dół. Spadały kamienie. Ludzie umierali na murach albo w drodze do nich. Inni zaczęli odczołgiwać się od fortecy, grzebiąc się w błocie, albo byli wleczeni przez kamratów, którzy cieszyli się, że zyskali pretekst do ucieczki. Najemnicy, którzy dotarli na szczyt, wściekle siekli ostrzami. Kilku z nich przebili czekający włócznicy, posyłając ich najkrótszą drogą w dół.

Dreszcz zobaczył, jak ktoś na blankach wylewa na wspinających się ludzi jakąś ciecz z garnka. Ktoś inny podbiegł z pochodnią i po chwili górna połowa drabiny stanęła w płomieniach. A więc olej. Caul patrzył na płonące drewno i dwóch żołnierzy. Po chwili spadli z drabiny, pociągając za sobą kilku towarzyszy przy wtórze kolejnych krzyków. Północny

wsunął drzewce topora w pętlę na ramieniu. To najlepsze miejsce dla takiej broni podczas wspinaczki. Chyba że się poślizgniesz i ostrze odetnie ci głowę. Ta myśl sprawiła, że znów zachichotał. Chociaż otaczali go sami ponurzy ludzie, nie dbał o to i zaśmiewał się w najlepsze, a krew coraz szybciej pulsowała mu w żyłach. Powaga kamratów bawiła go jeszcze bardziej.

Wyglądało na to, że część najemników przedostała się na szczyt muru po prawej stronie. Dreszcz zobaczył ostrza połyskujące na blankach. Za nimi tłoczyli się kolejni atakujący. obrońcy odepchnęli za pomocą żerdzi drabinę wypełnioną ludźmi. Przez chwilę chwiała się jak najwyższe szczudła świata, a biedacy na szczycie wili się i chwyтали powietrze, po czym powoli się przewróciła, miażdżąc, ich wszystkich na bruku.

Mury sforsowano także po lewej stronie, tuż obok strażnicy. Dreszcz zobaczył, jak grupka najemników przebija się po schodach na dach. Pięć albo sześć drabin przewróciło się na ziemię, dwie wciąż płonęły, oparte o mury, posyłając w niebo kłęby ciemnego dymu, ale na większości pozostałych roilo się od wspinających się żołnierzy. obrońców najwyraźniej nie było wielu i przewaga liczebna atakujących zaczynała dochodzić do głosu.

Ponownie zabrzmiał dźwięk gwizdka i ruszyła trzecia fala, ciężej uzbrojeni wojownicy, którzy zaczęli wspinać się po drabinach.

- Ruszamy - powiedziała Monza.

- Jasne, szefowo. - Dreszcz odetchnął głęboko, po czym potruchtał w stronę fortecy.

Kusze już prawie przestały strzelać, z pozycji strzeleckich na wieżach wylatywały tylko pojedyncze bełty. Dzięki temu mieli łatwiejszą drogę niż ich poprzednicy. Ot, poranna przechadzka wśród trupów rozrzuconych po spalonych ogrodach, ku jednej z drabin na środku. Pod nią stali dwaj żołnierze i sierżant, który opierał stopę na pierwszym szczeblu i mocno ścisnął drabinę. Klepał po plecach każdego najemnika, który zaczynał się wspinać.

- Do góry, chłopcy, do góry! Szybko, ale równo! Bez zwłoki!

Wejdźcie tam i pozabijajcie tych skurwieli! Ty też, draniu... och, przepraszam, Wasza... eee... Ekscelencjo?

- Po prostu ją mocno trzymaj. - Monza ruszyła w górę.

Dreszcz poszedł w jej ślady. Dłonie ślizgały mu się po szorstkich pionowych belkach, buty szorowały o drewno, oddech z sykiem wydobywał się przez uśmiechnięte usta, a mięśnie zaczynały odczuwać ból. Skupiał wzrok na ścianie przed sobą. Nie było sensu patrzeć gdziekolwiek indziej. A jeśli nadleci strzała? Nic się na to nie poradzi. Jeśli jakiś drań zrzuci na ciebie kamień albo wyleje wrzątek? Nic się na to nie poradzi. Jeśli odepchną drabinę? Gówniany pech, ale wypatrywanie takich zagrożeń może cię spowolnić i przez to jeszcze bardziej narazić. Dlatego nie przestawał się wspinać, ciężko dysząc przez zaciśnięte zęby.

Wkrótce dotarł na szczyt i przerzucił ciało nad blankami. Monza już stała na kładce ze szpadą w dłoni, spoglądając w dół na wewnętrzny dziedziniec. Słyszał odgłosy walki, ale dobiegały z daleka. Po obu stronach kładki leżało kilka trupów. Najemnik oparty o kamienną ścianę miał jedną rękę odrąbaną na wysokości łokcia. Owinął sobie ramię liną, by powstrzymać krwawienie, i raz za razem jęczał:

- Spadła z krawędzi, spadła z krawędzi.

Dreszcz wątpił, by mężczyzna przeżył do obiadu, ale uznał, że dzięki temu pozostali dostaną większe porcje. Trzeba szukać jasnych stron, czyż nie? Na tym polega bycie optymistą.

Zdjął tarczę z pleców i wsunął ją na rękę, a następnie chwycił topór i obrócił rękojeść w dłoni. Lubił to uczucie. Jak kowal przygotowujący młot przed solidną pracą. W dole zobaczył kolejne ogrody, zasadzone na stopniach wyciętych w zboczu góry. Nie były tak zniszczone jak zielone tereny położone na obrzeżach fortecy. Z trzech stron otaczały je wysokie budynki. Płatanina połyskujących okien, efektownych murów, kopuł i wieżyczek wyrastających na szczycie, pokrytych posągami i błyszczącymi szpikulcami. Nie trzeba było wielkiej bystrości, by dostrzec pałac księcia Orso. I dobrze, bo Dreszcz wiedział, że nie grzeszy bystrością. Najwyżej krwiożerczością.

- Chodźmy - rzekła Monza.
- Dreszcz się wyszczerzył.
- Nie odstępuję cię na krok, szefowo.

Okopy przecinające pokryte pyłem zbocze były puste. Żołnierze, którzy je zajmowali, rozproszyli się, wrócili do domów albo postanowili odegrać swoje drobne role w licznych potyczkach o władzę sprowokowanych przez przedwczesną śmierć króla Rogonta i jego sojuszników. Pozostali tylko najemnicy z Tysiąca Ostrzy, którzy kłębili się chciwie w pałacu księcia Orso jak robaki na trupie. Shenkt już to wszystko widział. Lojalność, służba i duma to ulotne pobudki, które dają ludziom satysfakcję w spokojnych czasach, lecz w obliczu burzy natychmiast się rozmywają. Ale chciwość? Na niej zawsze można polegać.

Ruszył w górę krętym szlakiem przez spustoszone pole bitwy przed murami, po czym przeszedł po moście, zbliżając się do potężnej stróżówki. Przed otwartą bramą stało krzesło, a na nim siedział w niedbalej pozie najemnik. Swoją włócznię oparł o ścianę.

- W jakiej sprawie? - spytał bez zainteresowania.

- Książę Orso zlecił mi zabicie Monzcarro Murcatto, obecnie wielkiej księżnej Talinsu.

- Bardzo zabawne. - Strażnik naciągnął kołnierz na uszy i oparł się o mur.

Często najtrudniej uwierzyć w prawdę. Shenkt zastanawiał się nad tym, gdy szedł długim tunelem na zewnątrz dziedziniec fortecy. Starannie uporządkowane piękno ogrodów księcia Orso całkowicie się ulotniło, a wraz z nim połowa północnej ściany. Najemnicy obrócili to miejsce w perzynę. Ale taka jest wojna. Wszędzie panował chaos. To też typowe na wojnie.

Ostatni szturm najwyraźniej trwał w najlepsze. Drabiny

opierały się o wewnętrzny mur, a pod nimi leżały trupy zaścielające spalone ogrody. Wśród nich wałęsali się sanitariusze, którzy podawali wodę, mocowali łupki, wiązali bandaże i kładli ludzi na noszach. Shenkt wiedział, że przeżyje niewiele, a ci nie będą mogli nawet czołgać się o własnych siłach. A jednak ludzie zawsze kurczowo trzymają się choćby najdrobniejszego skrawka nadziei. To jedna z niewiele cech, które można w nich podziwiać.

Zatrzymał się obok rozbitej fontanny i patrzył, jak ranni walczą z tym co nieuniknione. Nagle jakiś człowiek wyślizgnął się zza strzaskanych kamieni i niemal na niego wpadł. Mało charakterystyczny łysiejący mężczyzna ubrany w nabijaną ćwiekami skórzaną kamizelę.

- Ach! Najmocniej pana przepraszam.

Shenkt nie odpowiedział.

- Czy pan... czy... chciałem spytać... czy bierze pan udział w obłączeniu?

- W pewnym sensie.

- To tak jak ja, tak jak ja. W pewnym sensie.

Nie ma nic bardziej naturalnego od najemnika uciekającego z pola bitwy, ale tutaj coś się nie zgadzało. Mężczyzna był ubrany jak bandzior, ale mówił jak kiepski aktor. Jedna dłoń poruszała się zamasyście, jakby miała odwrócić uwagę od drugiej, która najwyraźniej przesuwiała się w stronę ukrytej broni. Shenkt zmarszczył czoło. Nie miał ochoty niepotrzebnie zwracać na siebie uwagi. Dlatego dał temu człowiekowi szansę, jak czynił zawsze, gdy to było możliwe.

- Zatem obaj mamy pracę do wykonania. Nie zajmujmy sobie więcej czasu.

Nieznajomy się rozpromienił.

- Otóż to. Bierzmy się do pracy.

Morveer fałszywie zachichotał, po czym zdał sobie sprawę,

że przypadkowo odezwał się swoim normalnym głosem.

- Bierzmy się do pracy - mruknął nieprzekonującym barytonem prostego człowieka.

- Do pracy - powtórzył mężczyzna, wpatrując się w niego niewzruszonymi bystrymi oczami.

- Racja. No.

Morveer ominął nieznanego, po czym ruszył w dalszą drogę, zdejmując dłoń z igły osadzonej na rękojeści i opuszczając rękę wzdłuż ciała. Ten człowiek z pewnością zachowywał się nietypowo, ale gdyby zadanie Morveera polegało na otruciu wszystkich takich osób, nie wystarczyłoby mu życia, by wykonać je choćby w połowie. Na szczęście, jego misja polegała jedynie na otruciu siedmiu najbardziej wpływowych przedstawicieli tego narodu, a ostatnio osiągnął w tej materii spektakularny sukces.

Wciąż oszałamiała go skala jego osiągnięcia, śmiałość działania i niezrównane powodzenie jego planu. Bez wątplenia był największym trucicielem w dziejach i na stałe zapisał się w historii. Dręczyło go, że nigdy nie będzie mógł w pełni podzielić się ze światem swoim triumfem i spotkać się z uwielbieniem, na które zasłużył. Gdyby tylko niewierny dyrektor sierocińca mógł być świadkiem tego radosnego dnia, musiałby przyznać, że Castor Morveer rzeczywiście miał wyjątkowy talent! Gdyby to mogła ujrzeć jego żona, wreszcie by go zrozumiała i nigdy więcej nie narzekałaby na jego nietypowe zwyczaje! Gdyby jego niesławny były nauczyciel Moumah-yin-Bek mógł tutaj być, wreszcie uznałby, że jego uczeń całkowicie go przyćmił. Gdyby żyła Dzionek, zachichotałaby dźwięcznie, doceniając jego geniusz, uśmiechnęłaby się niewinnie i delikatnie go dotknęła, a może nawet... Ale nie pora na takie fantazje. Miał ważne powody, by otruć całą czwórkę, więc teraz musiał sam sobie pogratulować.

Wyglądało na to, że zamordowanie Rogonta i jego sojuszników sprawiło, że oblężenie Fontezarmo odbywało się z pogwałceniem wszelkich standardów. Zewnętrzny dziedziniec fortecy był niemal niestrzeżony. Morveer wiedział, że Nicomo

Cosca jest nadętym mistrzem przechwałek, zatwardziałym pijakiem i ignorantem, ale spodziewał się, że generał zastosuje chociaż minimalne środki bezpieczeństwa. Tymczasem truciciel dostał się do środka bez żadnego wysiłku.

Chociaż walki na murach najwyraźniej dobiegały końca - brama prowadząca na wewnętrzny dziedziniec znajdowała się w rękach najemników i stała otworem - w ogrodach wciąż rozbrzmiewały niewyraźne odgłosy bitwy. Wyjątkowo nieprzyjemna sprawa; Morveer cieszył się, że nie będzie musiał się tam zbliżyć. Wszystko wskazywało na to, że oddział Tysiąc Ostrzy zdobył cytadelę i zagłada księcia Orso jest nieunikniona, jednak ta myśl wcale go nie zmartwiła. W końcu wielcy ludzie przychodzą i odchodzą. Miał gwarancję wypłaty z domu bankierskiego Valint i Balk, która nie była uzależniona od jednego człowieka ani narodu. Była ponadczasowa.

Morveer zobaczył rannych, których ułożono na nieregularnym kawałku trawnika, w cieniu drzewa, do którego ktoś z niewyjaśnionych przyczyn uwiązał kozę. Skrzywił się i ominął leżących, marszcząc usta na widok zakrwawionych bandaży, podartych i zabrudzonych ubrań, poszarpanego ciała...

- Wody... - szepnął jeden z rannych, chwytając go za kostkę.

- Zawsze chcecie wody! - Morveer szarpnięciem uwolnił nogę. - Sam ją sobie znajdź! - Pośpiesznie wszedł przez otwarte drzwi do największej wieży na zewnętrznym dziedzińcu, w której, jak go poinformowano, niegdyś mieszkał majordomus fortecy, a obecnie Nicomo Cosca.

Prześlizgiwał się wąskimi mrocznymi korytarzami, do których światło docierało tylko przez otwory strzelnicze. Wspiął się po spiralnych schodach, szorując plecami o szorstką kamienną ścianę i przyciskając język do podniebienia. Najemnicy Tysiąca Ostrzy byli równie niedbali i łatwi do przechytrzenia jak ich dowódca, ale Morveer w pełni zdawał sobie sprawę, że ślepy los może w każdej chwili zburzyć jego radość. Przed wszystkim ostrożność, zawsze.

Pierwsze piętro przekształcono w magazyn wypełniony

ukrytymi w cieniu skrzyniami. Morveer skradał się dalej. Na drugim piętrze minął puste koje, zapewne wcześniej używane przez obrońców fortecy. Jeszcze dwukrotnie okrążył spiralną klatkę schodową, dotarł do drzwi, uchylił je palcem z cichym skrzyknięciem i przyłożył oko do szpary.

W okrągłym pomieszczeniu znajdowało się duże łóżko z baldachimem, półki z imponującą kolekcją książek, biurko, kufry na ubrania, stojak z wypolerowaną zbroją płytową, półka z kilkoma szpadami, stół otoczony czterema krzesłami, na którym leżała talia kart, a także potężny inkrustowany kredens zastawiony kieliszkami. Na rzędzie kołków obok łóżka wisiało kilka krzykliwych kapeluszy, lśniły kryształowe spinki, połyskiwały złocone opaski, tęcza różnobarwnych piór powiewała na wietrze wpadającym przez otwarte okno. Z pewnością była to komnata, którą wybrał dla siebie Cosca, gdyż żaden inny mężczyzna nie odważyłby się nosić tak absurdalnego nakrycia głowy. Jednakże chwilowo nigdzie nie było widać tego pijaczyny. Morveer wślizgnął się do środka i cicho zamknął za sobą drzwi. Podszedł na palcach do kredensu, zręcznie unikając zderzenia z zakrytym wiadrem, po czym delikatnie otworzył drzwiczki.

Pozwolił sobie na ulotny uśmiech. Nicomo Cosca zapewne uważał się za niepokornego i barwnego indywidualistę, nieskrępowanego więzami rutyny. A tak naprawdę był przewidywalny jak układ gwiazd i regularny jak przypływ. Większość ludzi nigdy się nie zmienia, a pijak zawsze pozostanie pijakiem. Główny problem nastęczało zróżnicowanie butelek, które zgromadził. Morveer nie mógł być pewien, z której z nich generał się teraz napije. Musiał zatruć wszystkie.

Włożył rękawiczki, po czym ostrożnie wyjął z wewnętrznej kieszeni roztwór zielonego nasienia. Był on śmiertcionośny tylko po połknięciu, a czas działania substancji znacznie się różnił, w zależności od ofiary, ale jego słaby owocowy aromat był całkowicie niewykrywalny po zmieszaniu z winem lub mocniejszym alkoholem. Morveer uważnie przyjrzał się

ustawieniu butelek, a nawet ułożeniu korków, po czym zaczął kolejno je otwierać. Wpuszczał do każdej z szyjek po jednej kropli z pipety, a następnie zatykał butelki i ustawiał w takiej samej pozycji, w jakiej je zastał. Z uśmiechem zatruwał naczynia rozmaitych rozmiarów, kształtów i kolorów. To żmudne zajęcie nie mogło się równać z fascynującą pracą nad koroną, ale wcale nie było mniej szlachetne. Morveer przetoczył się przez ten pokój niczym wiatr śmierci, niezauważony, w stosowny sposób kończąc żywot odrażającego pijaka. Kolejne doniesienia o śmierci Nicomo Coski tym razem okazały się prawdziwe. Większość ludzi uzna czyn truciciela za prawy i służący publicznemu dobru...

Zamarł. Na schodach rozległy się kroki. Szybko wepchnął korek do ostatniej butelki, ostrożnie odstawił ją na miejsce, po czym wpadł przez wąskie drzwi do jakiegoś małego ciemnego pomieszczenia, gdzie...

Zmarszczył nos, czując silny smród moczu. Surowa Fortuna nie marnowała żadnej okazji, by go upokorzyć. Było do przewidzenia, że ukryje się w latrynie. Teraz musiał mieć nadzieję, że Cosca nie poczuje nagłej potrzeby opróżnienia kiszek...

Wyglądało na to, że walka na murach dobiegła bez większych komplikacji końca. Zapewne nadal walczono na wewnętrznym dziedzińcu, w bogatych salach recepcyjnych i rozległych marmurowych komnatach pałacu księcia Orso, jednak ze swojego punktu obserwacyjnego na szczycie wieży majordomusa Cosca tego nie widział. A nawet gdyby, to cóż to zmieniało? Gdy już się widziało jedno oblężenie fortecy...

- Vietus, przyjacielu!

- E? - Ostatni pozostały przy życiu kapitan Tysiąca Ostrzy opuścił lunetę i posłał Cosce typowe dla siebie podejrzliwe spojrzenie.

- Odnoszę wrażenie, że wygraliśmy.
- Odnoszę wrażenie, że masz rację.
- Zatem nic tutaj po nas, nawet gdybyśmy mogli cokolwiek zobaczyć.

- Mówisz prawdę, jak zawsze.

Cosca potraktował to jako żart.

- Teraz to już nieuniknione. Pozostało tylko podzielić łupy. - Z nieobecny wzrokiem Vietus pogłaskał się po licznych podbródkach. - To moja ulubiona część oblężenia.

- Może zagramy w karty?

- Dlaczegoż by nie?

Cosca złożył lunetę, po czym ruszył w dół krętych schodów do komnaty, którą dla siebie wybrał. Podszedł do kredensu i zdecydowanym ruchem otworzył inkrustowane drzwi. Wielobarwne butelki powitały go niczym tłum starych przyjaciół. Ach, pić, pić, pić. Zdjął kieliszek i z cichym pyknięciem wyciągnął korek z najbliższej butelki.

- Może się napijemy? - rzucił przez ramię.

- Dlaczegoż by nie?

Wciąż toczyły się walki, ale trudno było mówić o zorganizowanej obronie. Najemnicy oczyścili mury, wyparli obrońców z ogrodów i teraz wdzierali się do wież, budynków i pałacu. Coraz większe tłumy kłębiły się na drabinach, za nic na świecie nie chcąc przegapić plądrowania. Nikt nie walczy bardziej zaciekle ani nie porusza się szybciej niż ludzie z Tysiąca Ostrzy, gdy zwietrzą łupy.

- Tędy. - Monza pośpieszyła w kierunku głównej bramy pałacu, pokonując tę samą trasę, co w dniu, w którym zabito jej brata. Ominęła okrągły zbiornik, w którym dwa ciała unosiły się na wodzie twarzami do dołu w cieniu kolumny Scarpiusa.

Dreszcz podążał jej śladem, a na jego pokrytej bliznami twarzy od rana gościł taki sam dziwny uśmiech. Minęli grupkę

rozentuzjasmowanych mężczyzn zgromadzonych przed drzwiami jednego z budynków. W ich oczach lśniła chciwość. Dwóch uderzało toporami w zamek, a drzwi drżały przy każdym ciosie. Gdy wreszcie się otworzyły, mężczyźni zaczęli się przepychać, krzycząc, wrzeszcząc, uderzając się łokciami. Dwaj potoczyli się po ziemi, walcząc o to, czego jeszcze nie ukradli.

Trochę dalej dwóch najemników posadziło na krawędzi fontanny służącego ubranego w obszytą złotem kamizelkę. Przerażona twarz mężczyzny była usmarowana krwią. Jeden z najemników spoliczkował go i wrzasnął:

- Gdzie pieniądze, kurwa?!

Potem drugi zrobił to samo. Głowa służącego odskakiwała na boki.

- Gdzie pieniądze, kurwa, gdzie pieniądze, kurwa, gdzie pieniądze, kurwa...?!

Jedno z okien otworzyło się na oścież i wiekowy kredens runął na bruk w deszczu kawałków ołowiu oraz tłuczonego szkła, rozpadając się na drzazgi. Obok przebiegł pokrzykujący najemnik niosący naręczę jakiegoś lśniącego materiału. Może to były zasłony. Monza usłyszała krzyk, okręciła się na pięcie i zobaczyła, jak ktoś wypada głową do przodu z okna na górze, po czym spada bezwładnie do ogrodu. Dobiegł ją czyjś wrzask. Brzmiał jak głos kobiety, ale był tak rozpaczliwy, że trudno było to jednoznacznie stwierdzić. Wszędzie rozlegały się krzyki, wrzaski i śmiechy. Monza powstrzymała torsje, starając się nie myśleć, że to jej dzieło. Oto, do czego doprowadziła jej zemsta. Mogła tylko patrzeć przed siebie i liczyć na to, że jako pierwsza odnajdzie Orso.

Znajdzie go i odbierze swoją zapłatę.

Nabite ćwiekami drzwi pałacu wciąż były zamknięte, ale najemnicy znaleźli okrężną drogę, przebijając się przez jedno z potężnych sklepionych okien z boku. Ktoś najwyraźniej pokaleczył się w pogoni za bogactwem, gdyż parapet był usmarowany krwią. Monza wślizgnęła się do środka, z chrzęstem miażdżąc butami tłuczone szkło, które wpadło do

jadalni za oknem. Przypomniała sobie, że kiedyś jadła tutaj kolację razem z roześmianym Benną i Wiernym, a także Orso, Ario, Foscarem i Ganmarkiem oraz tłumem innych oficerów. Uświadomiła sobie, że niemal wszyscy goście z tamtego wieczoru już nie żyją. Sala również nie ocalała.

Wnętrze przypominało pole po przejściu szarańczy. Najemnicy wynieśli połowę obrazów i dla zabawy pocięli resztę. Dwie potężne wazy stojące obok kominka okazały się zbyt ciężkie, by je unieść, więc je rozbili i zabrali pozłacane uchwyty. Zerwali draperie, ukradli wszystkie talerze poza tymi, które leżały porozbijane na podłodze. To dziwne, że w takich okolicznościach ludziom niemal równie dużą przyjemność sprawia rozbijanie przedmiotów, jak ich rabowanie. Najemnicy wciąż krążyli po pałacu, wyciągając szuflady z kredensów, odłupując lichtarze ze ścian, ogoławając wnętrza ze wszystkiego, co przedstawiało jakąś wartość. Jakiś głupiec ustawił chwiejące się krzesło na stole i usiłował dosięgnąć żyrandola. Inny próbował za pomocą noża oderwać kryształowe gałki z drzwi.

Dziobaty najemnik wyszczerzył się do Monzy, trzymając w dłoniach złocone sztuce.

- Mam łyżki! - zawołał.

Monza odepchnęła go z drogi, a mężczyzna potknął się, rozsypując swój skarb. Jego towarzysze rzucili się na sztuce jak kaczki na okruchy chleba. Murcatto weszła przez otwarte drzwi do wyłożonego marmurem korytarza. Dreszcz cały czas trzymał się tuż za nią. Odgłosy walki odbijały się echem. Jęki i wrzaski, zgrzyt metalu, trzask drewna, dobiegające zewsząd i znikąd. Rozejrzała się, mrużąc oczy w półmroku, próbując się uspokoić. Swędziała ją spocona skóra głowy.

- Tędy.

Minęli obszerny pokój dzienny, w którym najemnicy rozcinali obicia wiekowych foteli, zupełnie jakby Orso ukrywał złoto w poduszkach. Kolejna grupa kopała z zapalem w drzwi obok. Gdy się otworzyły, jeden z mężczyzn dostał w szyję strzałą, a kolejni przepchnęli się obok niego i włali do pomieszczenia przy wtórze pokrzykiwać i szczęką broni.

Monza wpatrywała się przed siebie, myśląc tylko o Orso. Wspięła się na schody, zaciskając zęby, niemal nie czując bólu w nogach.

Znalazła się w mrocznej galerii na końcu sklepionej komnaty o wypukłym suficie usianym złożonymi listkami. Całą ścianę zajmowały potężne organy, rzędy polerowanych rurek wyrastających z rzeźbionego drewna. Przed klawiaturą ustawiono taboret.

W dole, za kunsztownie zdobioną drewnianą balustradą, znajdowała się sala prób. Najemnicy, zanosząc się śmiechem, wygrywali szaloną symfonię, roztrzaskując instrumenty na kawałki.

- Już niedaleko - szepnęła przez ramię.

- To dobrze. W takim razie najwyższy czas z tym skończyć.

Uważała tak samo. Podkradła się do wysokich drzwi w przeciwległej ścianie.

- Komnaty Orso są na górze.

- Ależ nie.

Zmarszczyła czoło, zerkając przez ramię. Dreszcz uśmiechał się, a jego metalowe oko lśniło w półmroku.

- Nie o to mi chodziło.

Poczuła lodowaty dreszcz na plecach.

- Więc o co?

- Przecież wiesz. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej, aż blizny na tego twarzy się wykrzywiły, po czym wyciągnął szyję w jedną, a potem w drugą stronę.

W ostatniej chwili zdążyła przykucnąć, przyjmując bojową pozycję. Rzucił się na nią z warczeniem, tnąc toporem po skosie. Wpadła na taboret i go wywróciła, niemal upadając. Jej umysł wciąż nie nadążał za ciałem. Topór wbił się z głuchym hukiem w organy, wydobywając z nich wściekłą brzęczącą nutę. Dreszcz uwolnił ostrze, pozostawiając ziejącą ranę w cienkim metalu. Ponownie ruszył za Monzą, ale ona już otrząsnęła się z szoku, którego miejsce zajął lodowaty gniew.

- Ty jednooki kutasie! - Może nie był to najmądrzejszy komentarz, lecz wypływał prosto z serca.

Skoczyła do przodu, ale Dreszcz odbił tarczą jej uderzenie, po czym zamachnął się toporem. Ledwie uskoczyła, a ciężkie ostrze trafiło w obudowę organów, posyłając w powietrze drzazgi. Cofnęła się, ostrożnie utrzymując dystans. Miała taką samą szansę na sparowanie ciosu zadanego tym żelastwem jak na zagranie pięknej melodii na organach.

- Dlaczego? - warknęła, poruszając czubkiem ostrza od Calveza po niewielkich okręgach. Tak naprawdę głównie ją obchodziły jego motywy. Po prostu chciała zyskać na czasie, poczekać na swoją szansę.

- Może znudziła mi się twoja pogarda. - Podszedł bliżej, ukryty za tarczą, a ona ponownie się cofnęła. - A może Eider zaoferowała mi więcej niż ty.

- Eider? - Parsknęła mu w twarz. - A więc na tym polega twój problem! Jesteś pieprzonym idiotą! - Przy ostatnim słowie wykonała pchnięcie, starając się go zaskoczyć, ale nie dał się nabrać i spokojnie odbił jej ostrze tarczą.

- Ja jestem idiotą? Ile razy uratowałem ci życie? Oddałem za ciebie oko! Wszystko po to, żebyście mogli kpić ze mnie razem z tym pustym draniem Rogontem? Kurwa, traktujesz mnie jak głupca i nadal oczekujesz ode mnie lojalności? I to niby ja jestem idiotą?

Trudno było się z nim nie zgodzić. Powinna była posłuchać Rogonta, gdy chciał pozbyć się Dreszcza, ale powstrzymała ją poczucie winy. Miłosierdzie to akt odwagi, jak powiedział Cosca, ale niekoniecznie mądrości. Dreszcz zbliżył się, a ona ponownie się odsunęła. Miała coraz mniej miejsca.

- Powinnaś była to przewidzieć - wyszeptał.

Monza wiedziała, że to prawda. Od dawna się na to zanosilo. Odkąd zaczęła się pieprzyć z Rogontem. Odkąd odwróciła się od Dreszcza. Odkąd stracił oko w celi pod pałacem Saliera. Może nawet od czasu ich pierwszego spotkania. Albo jeszcze dłużej. Od zawsze.

Niektóre rzeczy są nieuniknione.

I tak fortuna kołem się toczy...

Topór Dreszcza ponownie z brzękiem uderzył w organy. Północny nie wiedział, co to za ustrojstwo, ale z pewnością robiło mnóstwo hałasu. Monza zdążyła się uchylić i teraz ważyła szpadę w dłoni, obserwując jego broń spod przymrużonych powiek. Powinien był po prostu rozplatać jej czaszkę z zaskoczenia i mieć spokój. Ale chciał, żeby wiedziała, kto to zrobił i dlaczego. Musiała się dowiedzieć.

- Nie musisz tego robić - syknęła. - Nadal możesz odejść.

- Myślałem, że przebaczenie należy do umarłych - odparł, okrążając ją, ograniczając jej pole manewru.

- Daję ci szansę, Dreszcz. Wracaj na Północ, nikt nie będzie cię ścigał.

- Mogą, kurwa, próbować, ale chyba zostaną jeszcze trochę. Człowiek powinien się czegoś trzymać w życiu, prawda? Wciąż mam swoją godność.

- Sram na twoją godność! Gdyby nie ja, handlowałbyś dupą na ulicach Talinsu! - Pewnie miała rację. - Znałeś ryzyko. Postanowiłeś przyjąć moje pieniądze. - To też prawda. - Niczego ci nie obiecywałam i nie zламаłam żadnej przysięgi. - Prawda. - Ta suka Eider nie zapłaci ci ani szalki!

Trudno się z tym wszystkim nie zgodzić, ale było już za późno, by się wycofać, a poza tym cios toporem w głowę stanowi ostatnie słowo w każdej dyskusji.

- Zobaczmy. - Dreszcz zbliżył się do Monzy, trzymając przed sobą tarczę. - Ale tutaj nie chodzi o pieniądze, tylko o... zemstę. Myślałem, że to zrozumiesz.

- Sram na twoją zemstę! - Chwyciła taboret i rzuciła nim w Dreszcza od dołu.

Zasłonił się tarczą i odbił wirujący mebel za balustradę, ale Monza natychmiast zaatakowała. Zdołał zasłonić się rękojeścią topora przed jej szpadą. Ostrze ześlizgnęło się ze zgrzytem i zatrzymało na ćwiekach wbitych w drewno. Murcatto, warcząc, przywarła do Dreszcza i przysunęła czubek szpady do jego zdrowego oka.

Splunęła mu w twarz, a gdy się wzdrygnął, trafiła go łokciem od spodu w szczękę, odrzucając jego głowę w bok. Cofnęła szpadę, by wyprowadzić kolejne pchnięcie, ale on ją uprzedził. Uchyliła się przed ciosem, a topór wbił się w balustradę, odrąbując kawał drewna. Dreszcz się okręcił, wiedząc, że Monza za chwilę zaatakuje. Nagle poczuł, jak stal przebija jego koszulę i pozostawia linię gorącego bólu na brzuchu. Monza zatoczyła się w jego stronę, wytrącona z równowagi. Przeniósł ciężar ciała na drugą nogę i z rykiem zamachnął się tarczą, wkładając w uderzenie wszystkie siły i całą wściekłość. Trafił ją prosto w twarz. Wpadła na organy i z brzękiem uderzyła głową w piszczalki, pozostawiając w nich potężne wgniecenie. Odbiła się i runęła na bok na drewnianą podłogę, a szpada wypadła z trzaskiem z jej dłoni.

Dreszcz przez chwilę się jej przyglądał, czując pulsowanie krwi w głowie oraz pot łaskoczący go po naznaczonej bliznami twarzy. Na szyi Monzy drgnął mięsień. Nie była to gruba szyja. Mógłby podejść i odrąbać jej głowę z równą łatwością, z jaką rąbie się drewno. Nerwowo zacisnął palce na rękojeści topora. Monza wykrztusiła trochę krwi, jęknęła i potrząsnęła głową, wodząc wkoło szklanym wzrokiem. Przetoczyła się, po czym oparła na rękach i kolanach. Zamroczone sięgnęła ku rękojeści szpady.

- Nie, nie. - Podszedł i odkopnął jej broń w kąt pomieszczenia.

Wzdrygnęła się, odwróciła głowę i zaczęła powoli pełznąć w stronę ostrza, ciężko dysząc i znacząc drewnianą podłogę krwią kapiącą z nosa. Dreszcz ruszył za nią i zaczął mówić. Dziwne. Krwawy-dziewięć kiedyś mu powiedział: „Jeśli chcesz zabić, to zabij, zamiast o tym gadać”. Caul zawsze starał się trzymać tej

zasady. Mógłby ją wykończyć równie łatwo, jak zgniata się żuka, ale tego nie robił. Nie był pewien, czy mówi po to, by przedłużyć tę chwilę, czy ją oddalić. W każdym razie mówił.

- Nie udawajmy, że to ty jesteś tutaj poszkodowaną stroną! Wymordowałaś połowę Styrii, żeby postawić na swoim! Jesteś podstępna, zakłamaną trucicielką i morderczynią, zdradziecką pizdą pieprzącą się z własnym bratem. Czyż nie? Ja robię to co trzeba. Wszystko zależy od tego, gdzie stoimy. Nie jestem potworem. Może moje motywy nie są najszlachetniejsze, ale każdy ma jakiś motyw. Tak czy inaczej, świat będzie lepszym miejscem bez ciebie! - Żałował, że jego głos zmienił się w cichy skrzek, ponieważ mówił prawdę. - Robię to, co trzeba! - Chciał, by to przyznała. Tyle była mu winna. - Świat będzie lepszy bez ciebie!

Pochylił się nad nią, szczerząc zęby. Nagle usłyszał czyjeś głośne kroki zbliżające się z boku, odwrócił się...

Przyjazny staranował go z całej siły i wyrzucił w powietrze. Dreszcz warknął i padając, chwycił skazańca za kark ręką, na której miał tarczę, jednak zdołał tylko pociągnąć przeciwnika za sobą. Obaj z trzaskiem przebili balustradę i runęli w pustkę.

W polu widzenia pojawił się Nicomo Cosca, który zerwał z głowy kapelusz i teatralnym gestem rzucił go przez pokój. Zapewne nie trafił w kołek, gdyż Morveer zobaczył, jak kapelusz upada na podłogę niedaleko drzwi latryny, za którymi się ukrył. W cuchnącej ciemności jego usta wykrzywił triumfalny grymas. Stary najemnik trzymał w dłoni metalową pierścionkę. Tę samą, którą Morveer rzucił mu w Sipani, by z niego zakpić. Parszywy stary pijaczyna musiał potem po nią wrócić, pewnie licząc na to, że uda mu się wylizać ostatnie krople grogu. Jak płytkie okazało się jego ślubowanie, że już nigdy nie tknie trunków. Człowiek jednak nie potrafi się zmienić. Oczywiście, Morveer nie spodziewał się niczego

lepszego po takim specjaliście od pustych przechwałek, jednak nawet jego zaskoczył stopień żalostnego upodlenia Coski.

Do jego uszu dotarł odgłos otwieranego kredensu.

- Tylko ją napełnię - rozległ się głos Coski. Zabrzęczał metal.

Morveer widział tylko szczurze oblicze jego kompana.

- Jak możesz pić te szczyzny?

- Coś muszę pić, czyż nie? Polecił mi to mój stary przyjaciel, który, niestety, już nie żyje.

- Masz jakichś żywych starych przyjaciół?

- Tylko ciebie, Vietusie. Tylko ciebie.

Zabrzęczało szkło i Cosca chwiejnie przemaszerował przez wąski pasek, do którego ograniczało się pole widzenia Morveera, trzymając w jednej ręce swoją piersiówkę, a w drugiej kieliszek i butelkę. Było to charakterystyczne fioletowe naczynie, które Morveer zatrzał zaledwie kilka chwil temu. Kolejny przejaw śmiertelnej ironii. Cosca sam sprowadzi na siebie zniszczenie, jak czynił już wielokrotnie. Jednakże tym razem robi to w sposób ostateczny. Morveer usłyszał szelest i trzask tasowanych kart.

- Wejście za pięć szalek? - rzekł Cosca. - Czy może zagramy o honor?

Obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

- Za dziesięć.

- Niech będzie dziesięć. - Znów odgłos tasowania. - Oto prawdziwie cywilizowane zajęcie. Nie ma to jak partyjka kart, gdy inni walczą, prawda? Jak za dawnych czasów.

- Tylko że nie ma z nami Andiche'a, Sesarii ani Sazine'a.

- To prawda - zgodził się Cosca. - No dobrze. Kto rozdaje, ty czy ja?

Przyjazny warknął, dźwigając się z rumowiska. Dreszcz znajdował się w odległości kilku kroków, po drugiej stronie sterty połamanego drewna i kości słoniowej, poskręcane

mosiądzu i splątanego drutu, jedynej pozostałości po klawesynie księcia Orso. Północny przetoczył się na kolana. Na rękę wciąż miał tarczę, w drugiej dłoni ścisnął topór, krew ściekała mu po policzku z rozcięcia tuż ponad lśniącym metalowym okiem.

- Ty liczący skurwielu! Do tej pory nic do ciebie nie miałem. Ale teraz to się zmieniło.

Powoli wstali, obserwując się nawzajem. Przyjazny wysunął nóż z pochwy i tasak spod kurtki. Poczł znajomy dotyk wytartych rękojeści. Wreszcie mógł zapomnieć o chaosie w ogrodach i szaleństwie w pałacu. Jeden na jednego, jak kiedyś w Bezpiecznym Miejsu. Jeden i jeden. Najprostsza arytmetyka.

- No dobra - rzekł z uśmiechem.

- No dobra - syknął Dreszcz przez zaciśnięte zęby.

Jeden z najemników, którzy demolowali pomieszczenie, zbliżył się do nich o pół kroku.

- Co jest, do...?

Dreszcz jednym susem przeskoczył rumowisko i zadał cios lśniącym toporem. Przyjazny uskoczył w prawo, nurkując pod ostrzem, a podmuch wywołany uderzeniem potargał mu włosy. Trafił tasakiem w krawędź tarczy Dreszcza, a róg ostrza odłamał się i drasnął Północnego w ramię. Dreszcz błyskawicznie się okręcił, tnąc toporem ku dołowi. Przyjazny uchylił się i usłyszał, jak ostrze uderza w rumowisko za jego plecami. Dźgnął nożem, ale Północny zdążył zasłonić się tarczą, po czym gwałtownie ją przekręcił, wytrącając Przyjaznemu nóż z dłoni i posyłając go na wypolerowaną posadzkę. Skazaniec ciął tasakiem, ale Dreszcz staranował go i uderzył ramieniem w łokieć. Ostrze tylko lekko pacnęło Północnego w ślepą połowę twarzy, pozostawiając krwawe nacięcie pod uchem.

Przyjazny cofnął się o pół kroku i zamachnął tasakiem z boku, nie chcąc dać Dreszczowi miejsca na użycie topora. Północny zaszarżował schowany za tarczą, odbił ostrze Przyjaznego i uniósł go w powietrze, warcząc przy tym jak wściekły pies. Przyjazny uderzył przeciwnika pięścią w bok, z trudem sięgając ręką za wielki krąg drewna, ale Dreszcz miał

przewagę wagi i pędu. Przepchnął skazańca przez drzwi, uderzając jego ramieniem o futrynę, wgniatając mu tarczę w pierś i cały czas przyśpieszając. Przyjazny wściekle szorował butami po podłodze, ale po chwili podłoga zniknęła i runął w dół. Uderzył tyłem głowy o kamień, po czym odbił się i potoczył, stękając i rżąc, a wokół niego zawirowały światło i ciemność. Schody. Spadał ze schodów, a co najgorsze, nawet nie mógł ich policzyć.

Gdy znalazł się na dole, ponownie ryknął i spróbował się pozbierać. Znalazł się w długiej kuchni, sklepionej piwnicy, do której światło wpadało przez małe okienka pod sufitem. Lewa noga, prawe ramię, tył głowy, wszystko pulsowało bólem. Miał krew na policzku, rozdarty rękaw i długie zadrapanie na przedramieniu oraz krew na nogawce, w miejscu, w które zapewne skaleczył się tasakiem, gdy spadał. Wciąż jednak mógł wszystkim poruszać.

Dreszcz stanął na szczycie czternastu schodów, dwa razy po siedem, duży czarny kształt ze świeatełkiem migoczącym w jednym oku. Przyjazny przywołał go gestem.

- Na dół.

Nie przestawała się czołgać. Tylko tyle mogła zrobić. Wlec się metr po metrze. Patrząc przed siebie na rękojeść szpady leżącej w kącie. Czołgać się i pluć krwią, siłą woli starając się zmusić pomieszczenie, by znieruchomiało. Przez cały czas czuła na plecach swędzenie i mrowienie. Czekala, aż topór Dreszcza wbije się w jej ciało, przynosząc paskudny koniec, na który zasłużyła.

Przynajmniej ten jednooki drań na razie przestał mówić.

Zacisnęła dłoń na rękojeści, po czym przetoczyła się z warczeniem, wymachując przed sobą ostrzem, jak tchórz wymachuje pochodnią w nocy. Nikogo nie zobaczyła. Tylko nierówną wyrwę w balustradzie na skraju galerii.

Otarła zakrwawiony nos rękawiczką, po czym powoli podźwięła się na kolana. Zawroty głowy ustępowały, a ryk w uszach ucichł do równomiernego łomotania. Twarz pulsowała bólem, wydawało się, że każda jej część jest dwukrotnie większa niż powinna. Monza dowlekła się do strzaskanej balustrady i spojrzała w dół. Trzej najemnicy, którzy wcześniej byli zajęci demolowaniem pomieszczenia, wciąż to robili. Popatrzyła na rozbitą klawesyn pod galerią. Nadal nie widziała Dreszcza i nie miała pojęcia, co się stało. Ale głowę zaprzętały jej inne sprawy.

Orso.

Zacisnęła obolałe zęby, podeszła do drzwi w głębi i je otworzyła. Ruszyła mrocznym korytarzem, słysząc coraz donośniejsze odgłosy walki. Ostrożnie wyszła na szeroki balkon. Malowidło na potężnej kopule ponad jej głową przedstawiało niebo dotknięte promieniami wschodzącego słońca oraz siedem skrzydlatych kobiet z mieczami. Wielki fresk Aropelli przedstawiający Boginie Losu dzierżące przeznaczenie świata. W dole po obu stronach pomieszczenia wznosiły się imponujące schody wyrzeźbione z trójbarwnego marmuru. Na ich szczycie znajdowały się podwójne drzwi inkrustowane rzadkimi gatunkami drewna ułożonymi w wizerunki lwich pysków. Przed tymi drzwiami po raz ostatni stała z Benną i mówiła mu, że go kocha.

Można powiedzieć, że od tamtej pory wiele się zmieniło.

Na okrągłej podłodze pokrytej mozaiką, na szerokich marmurowych schodach i na balkonie toczyła się wściekła bitwa. Najemnicy z Tysiąca Ostrzy walczyli na śmierć i życie ze strażnikami księcia Orso. Było ich co najmniej sześćdziesięciu, kłębiąca się ludzka masa wymachująca kończynami. Szpady uderzały w tarcze, buzdygany wgniały zbroje, topory unosiły się i opadały, włócznie dźgały i przebijały. Ludzie wrzeszczeli z wściekłości, bełkotali z bólu, walczyli i umierali pod uderzeniami ostrzy. Najemnicy byli podnieceni obietnicą łupów, a obrońcy nie mieli dokąd uciec. Po obu stronach nie było miłosierdzia. Dwóch mężczyzn w talińskich mundurach

klęczało na balkonie niedaleko Monzy i nakręcało kusze. Gdy jeden z nich wstał, by strzelić, sam dostał strzałą w pierś i przewrócił się do tyłu, kaszłąc, wytrzeszczając zdumione oczy, zachlapując krwią piękny posąg za plecami.

„Nigdy sam nie tocz swoich bitew, jeśli ktoś inny jest gotowy walczyć za ciebie”, napisał Verturio. Monza ostrożnie wycofała się w cień.

Korek wyskoczył z butelki z pyknięciem, które stanowiło ulubiony dźwięk Coski. Generał pochylił się nad stołem z butelką w dłoni i nalał trochę gęstego płynu do kieliszka Vietusa.

- Dzięki - mruknął kapitan. - Chyba.

Mówiąc delikatnie, gurkijska winogronówka nie każdemu smakowała. Cosca również za nią nie przepadał, ale nauczył się ją tolerować w czasach, gdy został wynajęty do obrony Dagoški. Tak naprawdę wyrobił w sobie silną tolerancję na wszystko, co zawiera alkohol, a gurkijska winogronówka zawierała go dużo za bardzo rozsądną cenę. Na samą myśl o cudownie odrażającym palącym smaku przypominającym wymiociny do ust napłynęła mu ślina. Pić, pić, pić.

Odkręcił korek piersiówki i poprawił się na generalskim krześle, czule głaszcząc poobijaną drewnianą poręcz.

- I co?

Chuda twarz Vietusa promieniowała podejrzliwością. Cosca pomyślał, że jeszcze nigdy nie spotkał człowieka o bardziej niespokojnym spojrzeniu. Vietus zerknął na swoje karty, potem na karty Coski, na pieniądze leżące na stole i znów na Coscę.

- W porządku. Podwajam. - Rzucił kilka monet na środek blatu ze wspaniałym brzękiem, jaki potrafią wydać tylko pieniądze. - Co masz, staruszk?

- Ziemię! - Cosca rozłożył karty z chytrą miną.

Vietus rzucił swoje karty na stół.

- Przeklęta ziemia! Zawsze słyłęś z diabelnego szczęścia.

- A ty z diabelnej lojalności. - Cosca pokazał zęby, zgarniając monety. - Nie martw się, niedługo chłopcy przyniosą nam znacznie więcej srebra. Zasada Ćwiartek i tak dalej.

- W tym tempie przegram całą swoją działkę, zanim wrócą.

- Mam nadzieję. - Cosca pociągnął łyk z piersiówki i się skrzywił. Z jakiegoś powodu jej zawartość smakowała jeszcze bardziej kwaśno niż zazwyczaj. Ściągnął usta, cmoknął i zmusił się do przełknięcia kolejnego cierpkiego łyku, po czym do połowy zakręcił piersiówkę. - No! A teraz koniecznie muszę się wysrać. - Klepnął dłonią blat i wstał. - Nie manipuluj przy talii, kiedy mnie nie będzie, słyłęś?

- Ja? - spytał urażony Vietus. - Możesz mi zaufać, generale.

- Oczywiście, że mogę.

Cosca ruszył w stronę latryny, wpatrując się w ciemną szparę przy krawędzi drzwi i oceniając odległość, czując mrowienie na plecach, gdy wyobrażał sobie, gdzie siedzi Vietus. Skręcił nadgarstek i poczuł, jak nóż do rzucania wpada mu w dłoń.

- Tak jak mogłem ci zaufać w Afieri... - Obrócił się i zamarł. - Ach.

Vietus jakimś cudem zdążył wyjąć oraz załadować małą kuszę i teraz z imponującym spokojem celował Cosce w serce.

- Andiche zasłonił cię własnym ciałem? - zakpił. - Sesaria się poświęcił? Przecież ja znałem tych dwóch drani! Masz mnie, kurwa, za idiotę?

Shenkt przeskoczył przez rozbite okno i bezgłośnie wylądował w sali po drugiej stronie. Przed godziną zapewne mieściła się tutaj elegancka jadalnia, ale Tysiąc Ostrzy ogołociło ją ze wszystkiego, co mogło mieć jakąkolwiek wartość. Pozostały tylko kawałki szkła i talerzy, pocięte płótna w połamanych ramach oraz puste skorupy mebli zbyt dużych, by je przenieść. Trzy niewielkie muchy ścigały się nad pustym

stołem, kreśląc w powietrzu geometryczne kształty. Obok kłócili się dwaj mężczyźni, których nerwowo obserwował chłopiec, na oko czternastoletni.

- Mówiłem ci, że zabrałem pieprzone łyżki! - wrzeszczał dziobaty mężczyzna do drugiego, ubranego w zmatowiały napierśnik. - Ale ta suka na mnie wpadła i je upuściłem! Dlaczego ty niczego nie masz?

- Bo pilnowałem drzwi, kiedy ty miałeś się obłowić, ty pierdolony...

Chłopiec w milczeniu uniósł palec i wskazał Shenkta. Pozostała dwójka przerwała kłótnię i wbiła wzrok w przybysza.

- Coś ty za jeden, do diabła? - ostro spytał złodziej łyżek.

- Czy kobieta, przez którą zgubiłeś łyżki, to Murcatto?

- Pytałem, coś ty za jeden, do diabła!

- Nikt ważny. Po prostu tędy przechodzę.

- Czyżby? - Mężczyzna wyszczerzył się do swoich kamratów i dobył szpady. - To nasza sala, więc musisz zapłacić myto.

- Myto - syknął najemnik w zmatowiałym napierśniku, najwyraźniej starając się brzmieć groźnie.

Dwaj mężczyźni zaczęli okrążyć Shenkta, a chłopak niechętnie poszedł w ich ślady.

- Co dla nas masz? - spytał pierwszy.

Shenkt popatrzył mu w oczy i postanowił dać mu szansę.

- Nic, czego byś chciał.

- Sam to ocenię. - Najemnik popatrzył na pierścień z rubinem na palcu wskazującym Shenkta. - A to?

- Nie należy do mnie, więc nie mogę go oddać.

- No to sami będziemy musieli go wziąć. - Zbliżyli się do niego, a dziobaty trącił go czubkiem szpady. - Ręce za głowę i na kolana.

Shenkt zmarszczył czoło.

- Ja nigdy nie klękam.

Trzy bzyczące muchy zwolniły, leniwie unosząc się w powietrzu, po czym niemal znieruchomiały.

Bardzo powoli chciwy rehot złodzieja łyżek zmienił się w

warczenie.

Bardzo powoli jego ręka cofnęła się, by zadać pchnięcie.

Shenkt ominął szpadę, zagłębił krawędź dłoni w piersi złodzieja, po czym gwałtownie ją wyciągnął. Wyrwał potężny kawał żeber oraz mostka i cisnął je w powietrze, aż wbiły się głęboko w sufit.

Odrzucił szpadę, chwycił drugiego mężczyznę za napierśnik, po czym rzucił go przez całe pomieszczenie, tak że głowa ofiary roztrzaskała się o przeciwległą ścianę, a krew trysnęła pod takim ciśnieniem, że ochlapała złożoną tapetę od podłogi do sufitu, rysując na niej potężną gwiazdę. Podmuch wywołany lotem mężczyzny wprowadził muchy w szaleńcze wirowanie. Gdy czas odzyskał normalny bieg, ogłuszający huk eksplodującej czaszki dołączył do syku krwi, która tryskała z przedziurawionej piersi pierwszego z najemników prosto na oszołomionego chłopca.

- Czy kobieta, przez którą twój przyjaciel zgubił łyżki, to Murcatto? - Shenkt strząsnął z dłoni kilka kropel krwi.

Chłopak tępo pokiwał głową.

- Którędy poszła?

Wytrzeszczone oczy wskazały drzwi w głębi pomieszczenia.

- Dobrze.

Shenkt wolałby być miły, ale chłopiec mógł pobiec po kolejnych najemników i niepotrzebnie go opóźnić. Czasami trzeba odebrać jedno życie, by ocalić więcej istnień, a w takich chwilach skrupuły niczemu nie służą. To była jedna z lekcji jego starego mistrza, której Shenkt nigdy nie zapomniał.

- Przykro mi.

Z ostrym trzaskiem zatopił palec wskazujący w czole chłopca aż po knykieć.

Przebili się przez kuchnię, ze wszystkich sił starając się nawzajem pozabijać. Dreszcz nie miał tego w planach, ale

zawrzała w nim krew. Pierdolony Przyjazny stanął mu na drodze, więc trzeba go usunąć, prosta sprawa. Teraz to już kwestia honoru. Dreszcz był lepiej uzbrojony, miał przewagę zasięgu, tarczę. Jednak Przyjazny był śliski niczym węgorz i nieustępliwy jak zima. Cofał się, robił uniki, nie ryzykował, nie odsłaniał się. Miał tylko tasak, ale Dreszcz wiedział, że za jego pomocą skazaniec zabił wielu ludzi, i nie miał zamiaru dopisać swojego imienia do tej listy.

Znów się starli. Przyjazny uchylił się przed ciosem topora i doskoczył do Dreszcza, tnąc tasakiem. Dreszcz odbił uderzenie tarczą, po czym zaszarżował, rzucając Przyjaznego na stół przy wtórze głośnego grzechotu. Wyszczerył się, ale nagle zauważył, że na blacie jest pełno noży. Przyjazny chwycił jeden z nich i zamachnął się do rzutu. Dreszcz schował się za tarczą, a nóż z głuchym łupnięciem wbił się w drewno. Północny zerknął ponad krawędzią i zobaczył kolejne nadlatujące wirujące ostrze. Odbiło się od metalowego brzegu tarczy, pozostawiając na policzku Dreszcza palące zadrapanie. Przyjazny chwycił następny nóż.

Dreszcz nie miał zamiaru służyć za cel. Z rykiem ruszył do przodu, schowany za tarczą. Przyjazny odskoczył i przeturlał się po stole, w ostatniej chwili unikając ostrza topora, które wyrzuciło noże w powietrze i pozostawiło głęboką ranę na drewnianym blacie. Dreszcz skoczył za przeciwnikiem, korzystając z tego, że został on wytracony z równowagi. Uderzył krawędzią tarczy i wziął zamach toporem. Skóra piekła go i swędziała od potu; wściekle łypał jedynym okiem, warcząc przez zaciśnięte zęby. Wkoło tłukły się talerze, toczyły rondle, pękały butelki, latały drzazgi, słoń z mąką eksplodował, wypełniając powietrze oślepiającym pyłem.

Dreszcz pozostawiał za sobą szlak zniszczenia, z którego byłby dumny sam Krwawy-dziewięć, jednak skazaniec cały czas robił uniki i tańczył, siekąc nożem i tasakiem, wciąż pozostając poza zasięgiem. Jak na razie jedynym skutkiem furii Dreszcza było krwawiące skaleczenie na jego własnym ramieniu oraz ślad po ciosie tarczą czerwieniejący na twarzy Przyjaznego.

Skazaniec czekał w gotowości na drugim stopniu schodów prowadzących na górę, trzymając w opuszczonych dłoniach nóż i tasak. Jego płaska twarz lśniła od potu, a całe ciało było zakrwawione i naznaczone tuzinem śladów po drobnych cięciach i uderzeniach, a także po upadku z balkonu i schodów. Jednakże jak dotąd Dreszcz nie zadał mu żadnego poważnego ciosu. Nie wyglądało na to, by Przyjazny miał być bliski porażki.

- Chodź tutaj, ty podstępny skurwielu! - syknął Dreszcz. Od wymachiwania toporem bolała go cała ręka. - Zaraz cię wykończę.

- Sam chodź - mruknął Przyjazny. - To ja zaraz cię wykończę.

Dreszcz wzruszył ramionami, potrząsnął rękami, otarł rękawem krew z czoła, pokręcił głową.

- Już to... kurwa... widzę! - Po czym ponownie zaatakował. Nie potrzebował kolejnego zaproszenia.

Cosca zmarszczył czoło, spoglądając na swój nóż.

- Czy uwierzyłbyś mi, gdybym powiedział, że zamierzałem obrać pomarańczę?

Vietus się wyszczerzył, a Cosca pomyślał, że nigdy nie spotkał człowieka o bardziej niespokojnym uśmiechu.

- Raczej nie uwierzę w żadne twoje słowo. Ale nie przejmuj się. Nie wypowiesz ich już wielu.

- Dlaczego ludzie celujący z kuszy zawsze się przechwalają, zamiast strzelać?

- Bo to przyjemne. - Vietus sięgnął po kieliszek, nie spuszczając kpiącego spojrzenia z Coski, a lśniący czubek bełtu nie drgnął nawet o włos, gdy kapitan wypił alkohol jednym haustem. - Auć. - Wystawił język. - Ależ kwaśne gówno.

- Słodsze niż moje położenie - mruknął Cosca. - Zapewne teraz ty zasiądziesz na generalskim krześle. - Szkoda. Sam dopiero zdążył się ponownie do niego przyzwyczaić.

Vietus parsknął.

- A niby, kurwa, po co? Jeszcze nikomu nie wyszło to na dobre. Sazine, ty, rodzeństwo Murcatto, Wierny Carpi, a teraz znowu ty. Każdy kończył martwy albo bliski śmierci, a ja cały czas stałem z tyłu i bogaciłem się bardziej, niż na to zasługuje taki drań jak ja. - Skrzywił się i położył dłoń na brzuchu. - Nie, znajdę jakiegoś innego idiotę, który zajmie to stanowisko i uczyni mnie jeszcze bogatszym. - Znow się skrzywił. - Ach, przeklęte gównu. Ach! - Chwiejnie wstał z krzesła, kurczowo chwytając krawędź stołu, a na jego czole wybrzuszyła się gruba żyła. - Co ty mi zrobiłeś, stary draniu? - Zmrużył oczy, a jego kusza nagle zaczęła się chwiać.

Cosca rzucił się do przodu. Trzasnął spust, brzęknęła cięciwa i bełt uderzył w ścianę po jego lewej stronie. Nicomo przetoczył się po stole z triumfalnym okrzykiem, unosząc nóż.

- Ha ha...

Vietus uderzył go kuszą w twarz, tuż ponad okiem.

- Gaa! - Nagle Cosce przed oczami stanęły światła, a jego kolana zaczęły wściekle dygotać. Złapał się stołu i na oślep machnął nożem. - Sosię...

Na jego szyi zacisnęły się dłonie ozdobione ciężkimi pierścieniami. Przed nim pojawiła się różowa twarz Vietusa, który toczył pianę z wykrzywionych ust.

Cosca stracił oparcie w nogach, pokój zawirował i generał uderzył głową o stół. Potem była już tylko ciemność.

Bitwa pod kopułą dobiegła końca, a obie strony narobiły strasznego bałaganu w ukochanej rotundzie księcia Orso. Połyskująca mozaika na podłodze oraz szerokie schody były zasłane trupami i porzuconą bronią, a także wysmarowane, zachlapane i zalane ciemną krwią.

Najemnicy wygrali, jeśli można nazwać zwycięzcami tuzin ocalałych.

- Pomocy! - wrzaskliwie prosił jeden z rannych. - Pomocy! - Ale jego kompani mieli inne sprawy na głowie.

- Otworzyć to kurestwo! - Dowództwo objął Secco, kapral, który stał na straży, gdy Monza wjechała do obozowiska Tysiąca Ostrzy, by odkryć, że Cosca ją uprzedził. Secco odciągnął martwego talińskiego żołnierza spod drzwi zdobionych lwim pyskiem i zrzucił trupa ze schodów. - Ty tam! Przynies topór!

Monza zmarszczyła brwi.

- W środku na pewno jest więcej żołnierzy Orso. Lepiej poczekajmy na posiłki.

- Mamy czekać? Żeby podzielić się łupem? - Secco posłał jej kpiący uśmiech. - Pierdol się, Murcatto, już nam nie rozkazujesz! Otworzyć drzwi!

Dwaj mężczyźni zaczęli rąbać toporami, posyłając w powietrze kawałki forniru. Reszta ocalałych kłębiła się niebezpiecznie blisko za ich plecami, ledwie dysząc z chciwości. Wyglądało na to, że drzwi miały za zadanie robić wrażenie na gościach, a nie powstrzymywać wrogie armie. Zadrżały i poluzowały się na zawiasach.

Jeszcze kilka uderzeń i jeden z toporów przebił się na wylot, odłupując wielki kawał drewna. Secco krzyknął triumfalnie, po czym wbił włócznię w powstałą szparę i zrzucił sztabę z uchwytów. Przez chwilę mocował się z poszarpaną krawędzią drzwi, aż w końcu otworzył je na oścież.

Piszcząc jak dzieci w dniu uczty, płacząc się sobie nawzajem pod nogami, pijani krwią i chciwością, najemnicy włąli się do widnej sali, w której umarł Benna. Monza wiedziała, że nie warto iść za nimi. Wiedziała, że księcia Orso może tam wcale nie być, a jeśli jest, to na pewno gotowy na ich przyjęcie.

Jednak czasami trzeba chwycić pokrzywę.

Szybko prześlizgnęła się obok futryny, trzymając się nisko na nogach. Po chwili usłyszała grzechot kusz. Najemnik biegnący przed nią upadł, więc musiała go ominąć. Kolejny runął do tyłu, ściskając bełt sterzący mu z piersi. Było słyhać tupot stóp, krzyki ludzi; rozległa sala z olbrzymimi oknami i malowidłami przedstawiającymi historycznych zwycięzców podskakiwała

wokół niej, gdy Monza pędziła naprzód. Widziała postacie w pełnych zbrojach, połyskującą stal. Gwardziści księcia Orso.

Zobaczyła, jak Secco uderza jednego z nich włócznią, a bezużyteczny grot odbija się od grubej płyty. Usłyszała głośny huk, gdy jeden z najemników rozbił czyjś hełm potężnym buzdyganem, a następnie wrzask, gdy sam został niemal przecięty na pół od tyłu dwuręcznym mieczem. Kolejny bełt zwałił szarżującego najemnika z nóg i rzucił go na plecy. Monza kucnęła, podparła ramieniem krawędź marmurowego stołu, po czym go przewróciła, zrzucając na podłogę stojącą na nim wazę. Schowała się za blatem i wzdrygnęła, gdy bełt odbił się od kamienia.

- Nie! - krzyknął ktoś. - Nie!

Jeden z najemników przemknął obok niej, biegnąc do drzwi, przez które wpadł z takim entuzjazmem zaledwie chwilę wcześniej. Rozległ się odgłos zwalnianej cięciwy i mężczyzna zachwiał się, trafiony w plecy, postawił jeszcze jeden chwiejny krok, po czym upadł, ślizgając się twarzą po podłodze. Spróbował się podźwignąć, wykrztusił trochę krwi i opadł bezwładnie na posadzkę. Umarł, patrząc na Monzę.

Oto cena, którą płaci się za chciwość. Utknęła za przewróconym stołem, pozbawiona przyjaciół, czekając na swoją kolej.

- Chwyć te jebaną pokrzywę - warknęła pod nosem.

Przyjazny wycofał się po ostatnich stopniach i odgłos jego kroków nagle odbił się echem w olbrzymiej przestrzeni. Znalazł się w potężnym okrągłym pomieszczeniu pod kopułą ozdobioną malowidłem przedstawiającym skrzydlate kobiety. Do środka prowadziło siedem wysoko sklepionych wejść. Ze ścian spoglądały posągi i reliefy, setki par oczu, które śledziły każdy jego krok. Najwyraźniej obrońcy stawiali tutaj opór najemnikom, gdyż na podłodze i dwóch zakrzywionych ciągach

schodów leżały trupy, zarówno ludzi Coski, jak i strażników księcia Orso. Teraz wszyscy byli po tej samej stronie. Przyjazny miał wrażenie, że słyszy echa bitwy dobiegające gdzieś z góry, ale tutaj wciąż czekało na niego mnóstwo walki.

Dreszcz wyłonił się spod jednego z łuków. Jego włosy po jednej stronie były ciemne od krwi i przyklejone do czaszki, a na pokrytej bliznami twarzy widniały czerwone smugi. Cały był w skaleczeniach i obtarciach, prawy rękaw miał rozdarty, a po ręku spływała krew. Jednak Przyjaznemu nie udało się zadać ostatecznego ciosu. Północny wciąż trzymał topór oraz tarczę naznaczoną krzyżującymi się wgłębieniami i był gotowy do walki. Pokiwał głową, powoli wodząc dookoła jedynym okiem.

- Dużo trupów - szepnął.

- Czterdzieści dziewięć - odrzekł Przyjazny. - Siedem razy siedem.

- Coś podobnego. Jak dodamy twojego, będzie pięćdziesiąt.

Rzucił się naprzód, zamarkował wysoki cios, po czym uderzył na wysokości kostek. Przyjazny podskoczył i zaatakował tasakiem od góry, celując w głowę Północnego. Dreszcz zdążył unieść tarczę i ostrze z brzękiem odbiło się od jej wgniecionego szczytu. Cios wstrząsnął ręką Przyjaznego aż do ramienia. Skazaniec spróbował dźgnąć Dreszcza w bok, zaczepił ręką o rękojeść cofającego się topora, ale i tak pozostawił na żebrach Północnego długie rozcięcie. Odwrócił się i uniósł tasak, by dopełnić dzieła, ale zanim zdążył opuścić rękę, otrzymał cios łokciem w gardło, zatoczył się do tyłu i niemal potknął o jedno z ciał.

Znów stanęli naprzeciwko siebie. Dreszcz pochylał się z obnażonymi zębami i ręką przyciśniętą do zranionego boku, a Przyjazny kaszłał, walcząc o jednoczesne odzyskanie oddechu oraz równowagi.

- Jeszcze? - szepnął Dreszcz.

- Jeszcze raz - zaskrzeczał Przyjazny.

Ponownie ku sobie skoczyli, a ich urywane oddechy, piszczenie butów, stękanie i warczenie, zgrzyt metalu o metal oraz brzęk metalu o kamień odbijały się echem od

marmurowych ścian i malowanego sufitu, zupełnie jakby wokół nich toczyła się bitwa na śmierć i życie. Cięli, siekli, pluli, kopali i dźgali, przeskakiwali nad trupami, potykali się o porzuconą broń, ślizgali z piskiem butów na czarnej krwi pokrywającej wypolerowaną kamienną posadzkę.

Przyjazny uskoczył przed niezdarnym ciosem topora, który trafił w ścianę, odłupując okruchy marmuru, i zauważył, że zaczyna się wycofywać w górę schodów. Obaj byli już zmęczeni i poruszali się wolniej. Człowiek nie może walczyć, pocić się i krwawić bez końca. Dreszcz ruszył za swoim przeciwnikiem, ciężko dysząc i trzymając przed sobą uniesioną tarczę.

Wycofywanie się tyłem po schodach to fatalny pomysł nawet wtedy, gdy nie są one zasłane ciałami. Przyjazny był tak zajęty obserwowaniem Dreszcza, że postawił stopę na dłoni trupa i skręcił sobie kostkę. Dreszcz to zauważył i ciął toporem. Przyjaznemu nie udało się na czas cofnąć nogi i ostrze rozpruło mu łydkę, niemal go przewracając. Dreszcz warknął, po czym uniósł topór nad głowę. Przyjazny skoczył do przodu, ciął Północnego nożem w przedramię, zadając mu czerwono-czarną krwawiącą ranę. Dreszcz stęknął i upuścił ciężki topór. Przyjazny próbował rozplatać mu tasakiem głowę, ale Caul zasłonił się tarczą i obaj mężczyźni znów się zwarli, a ostrze tylko ześlizgnęło się po czaszce Północnego. Bulgocząca krew trysnęła z rany na obu walczących. Dreszcz chwycił Przyjaznego zakrwawioną dłonią za ramię i przyciągnął go bliżej, wściekle łypiąc zdrowym okiem i błyskając zabarwioną na czerwono stalową protezą. Odchylił głowę do tyłu, a usta wykrzywił mu szalony grymas.

Przyjazny wbił mu nóż w udo, czując, że metal wnika w ciało aż po rękojeść. Dreszcz wrzasnął z bólu i gniewu. Uderzył przeciwnika czołem w usta z obrzydliwym chrzęstem. Sala zawirowała Przyjaznemu przed oczami, upadł plecami na schody i uderzył głową o marmur. Zobaczył nad sobą potężną sylwetkę Dreszcza i pomyślał, że powinien unieść tasak. Jednakże, zanim zdążył to zrobić, Dreszcz z całej siły opuścił tarczę. Metalowa krawędź zabrzączała na kamieniu. Przyjazny

poczuł, jak pękają dwie kości w jego przedramieniu, a tasak wypadł mu z bezwładnej dłoni i zjechał po schodach.

Dreszcz schylił się i zacisnął dłoń na rękojeści topora. Kropelki różowej śliny odrywały się od jego zaciśniętych zębów z każdym jęczącym oddechem. Przyjazny patrzył na niego z zaciekawieniem. Wszystko stało się jaskrawe i rozmazane. Widział bliznę na grubym nadgarstku Północnego. Miała kształt siódemki. Siedem to dobra cyfra, tak samo dzisiaj, jak w dniu, gdy spotkali się po raz pierwszy. Jak zawsze.

- Przepraszam.

Dreszcz na chwilę zamarł i zerknął w bok. Potem gwałtownie się odwrócił, biorąc zamach toporem. Za nim stał szczupły mężczyzna o wypłowiałych włosach. Przyjazny nie widział dokładnie, co się wydarzyło. Topór chybił, tarcza rozpadła się na kawałki, Dreszcz został podniesiony i rzucony na drugą stronę komnaty. Z bulgotem uderzył w ścianę, odbił się, powoli stoczył po przeciwległych schodach, trzykrotnie przekeziołkował i znieruchomiał na dole.

- Trzy razy - zbulgotał Przyjazny przez rozbite wargi.

- Leż - odezwał się blady mężczyzna, po czym ominął go i wspiął się po schodach.

Nietrudno było go posłuchać. Przyjazny nie miał innych planów. Jedynie wypłuł ząb z odrętwiałych ust. Leżał, powoli mrugając i wpatrując się w skrzydlate kobiety na suficie.

Było ich siedem, z siedmioma mieczami.

W ciągu ostatnich kilku chwil przez Morveera przetoczyła się cała gama emocji. Triumfalny zachwyty, gdy Cosca łyknął z piersiówki i tym samym nieświadomie skazał się na zagładę. Przerazenie i bezcelowe poszukiwanie kryjówki, gdy stary najemnik obwieścił swój zamiar udania się do latryny. Zaciekawienie, gdy Vietus wyjął spod stołu załadowaną kuszę i wycelował w plecy generała. Ponownie triumf, gdy Vietus

wychylił swoją porcję śmiertelnie niebezpiecznego alkoholu. W końcu Morveer musiał zakryć usta dłonią, by stłumić wesołość, gdy otruty Cosca niezdarnie rzucił się na swojego otrutego przeciwnika, po czym obaj mężczyźni zaczęli walczyć, upadli na podłogę i znieruchomieli w ostatecznym uścisku.

Cóż za nagromadzenie ironii. Ze wszystkich sił starali się nawzajem pozabijać, nie zdając sobie sprawy, że Morveer już wcześniej ich w tym wyręczył.

Z uśmiechem na ustach wyjął igłę osadzoną na rękojeści z ukrytej kieszeni w podszewce kamizelki. Przede wszystkim ostrożność, zawsze. Gdyby jakaś iskierka życia wciąż tliła się w którymkolwiek z tych starych morderczych najemników, wystarczy lekkie ukłucie lśniącem odpryskiem metalu pokrytym Preparatem Numer Dwanaście, by ją ostatecznie zgasić dla dobra świata. Morveer ostrożnie uchylił lekko skrzypiące drzwi latryny, po czym na palcach przekradł się do pokoju.

Stół leżał na boku otoczony rozsypanymi monetami i kartami. Cosca leżał obok niego na plecach, a jego lewa dłoń zwisała bezwładnie w pobliżu piersiówki. Vietus spoczywał na nim, wciąż ściskając niewielką kuszę, której koniec był umazany krwią. Morveer przyklęknął obok zmarłych, podłożył rękę pod ciało Vietusa i ze stęknieniem przetoczył trupa.

Cosca miał zamknięte oczy i otwarte usta, a po jego policzku spływała krew z rany na czole. Błada jak wosk skóra lśniła trupio.

- A więc człowiek może się zmienić, co? - zakpił Morveer. - To tyle, jeśli chodzi o twoje obietnice!

Ku jego olbrzymiemu zaskoczeniu Cosca nagle otworzył oczy.

Jeszcze bardziej zaskakujący był potworny ból, który przeszył brzuch truciciela. Morveer rozpaczliwie wciągnął powietrze, po czym nieludzko zawył. Spojrzał w dół i zobaczył, że stary najemnik wbił mu nóż w pachwinę. Znowś hałaśliwie odetchnął, po czym rozpaczliwie uniósł dłoń.

Rozległo się ciche plaśnięcie, gdy Cosca złapał go za

nadgarstek i ostro go wykręcił, zatapiając igłę w szyi Morveera. Zapadła pełna napięcia cisza. Obaj znieruchomieli niczym ludzka rzeźba: nóż wbity w pachwinę truciciela, igła w jego szyi trzymana jego własną dłonią, którą z kolei trzymała dłoń Coski. Generał patrzył surowo w górę. Morveer spoglądał w dół wytrzeszczonymi oczami. Jego ciało dygotało. Milczał. Cóż mógł powiedzieć? Konsekwencje były miażdżąco oczywiste. Najsilniejsza znana mu trucizna już zmierzała od jego szyi do mózgu, wprawiając jego członki w odrętwienie.

- Zatrueś winogronówkę, tak? - syknął Cosca.

- Ku... - wybełkotał Morveer, nie potrafiąc już formować słów.

- Zapomniałeś, że obiecałem już nigdy nie pić? - Stary najemnik puścił nóż, sięgnął zakrwawioną dłonią po pierśówkę, wyćwiczonym ruchem odkręcił korek i ją przechylił. Biały płyn rozlał się po podłodze. - Kozie mleko. Podobno jest dobre na trawienie. Najmocniejszy trunek, jakim się raczyłem odkąd opuściliśmy Sipani, ale nie chciałem, żeby ktokolwiek o tym wiedział. Muszę dbać o reputację. Stąd te wszystkie butelki.

Popchnął Morveera. Siła szybko opuszczała truciciela i nie mógł się bronić. Bezwładnie upadł na trupa Vietusa. Prawie nie czuł szyi. Ból w pachwinie osłabł do tępego pulsowania. Cosca popatrzył na niego z góry.

- Czy nie obiecywałem ci, że przestanę? Za kogo mnie uważasz? Myślałeś, że złamię dane słowo?

Morveerowi brakowało powietrza, by mówić, a co dopiero krzyczeć. Tak czy inaczej, ból zniknął. Zastanowił się - co czynił często - jak mogłoby się potoczyć jego życie, gdyby nie otruł matki i nie skazał się na dorastanie w sierocińcu. Świat rozmazywał mu się przed oczami i ciemniał.

- Muszę ci podziękować. Widzisz, Morveerze, człowiek może się zmienić, jeśli ma odpowiednią motywację. Twoja pogarda była tym, czego potrzebowałem.

Zabity za pomocą własnej substancji. W ten sposób zakończyło życie wielu wybitnych przedstawicieli jego profesji.

I to w przededniu odejścia na emeryturę. Był pewien, że jest w tym jakaś ironia...

- Wiesz, co jest w tym wszystkim najlepsze? - usłyszał donośny głos Coski, a ponad sobą zobaczył jego uśmiech. - Teraz znów mogę zacząć pić.

Jeden z najemników bełkotliwie błagał o darowanie życia. Monza siedziała oparta o zimny marmurowy blat i słuchała jego próśb, ciężko dysząc, pocąc się i ważąc ostrze w dłoni. Wiedziała, że szpada niezbyt się przyda przeciwko ciężkim zbrojom strażników Orso, nawet jeśli zdecyduje się zmierzyć z tyloma przeciwnikami naraz. Usłyszała wilgotny odgłos ostrza wbijanego w ciało i błagania zakończyły się przeciągłym wrzaskiem i krótkim bulgotem.

Nie był to odgłos, który może komuś dodać otuchy.

Wyjrzała zza krawędzi stołu. Naliczyła siedmiu strażników. Jeden właśnie wrywał włócznię z piersi martwego najemnika, dwaj obracali się w jej stronę, trzymając w gotowości ciężkie miecze, jeden wyciągał ostrze topora z rozplątanej czaszki Secco, a trzech kłęczeli, naciągając kusze. Za nimi stał duży okrągły stół, na którym wciąż leżała rozłożona mapa Styrii, na niej zaś spoczywała korona, obręcz z połyskującego złota, z której wyrastały zdobione klejnotami liście dębu, podobnie jak na koronie, która uśmierciła Rogonta i jego marzenie o zjednoczonej Styrii. Obok korony, odziany w czerń, z jak zwykle elegancko przystrzyżonymi przyprószonymi siwizną włosami i brodą, stał wielki książę Orso.

Zobaczył ją, ona zobaczyła jego i zawrzał w niej gniew, gorący i dodający otuchy. Jeden ze strażników umieścił strzałę na kuszy i wycelował w Monzę. Już miała schować się za płytą marmuru, gdy Orso uniósł dłoń.

- Zaczekaj! Stój. - Ten sam głos, któremu ani razu się nie sprzeciwiła przez osiem ciężkich lat. - Czy to ty, Monzcarro?

- A żebyś wiedział! - odburknęła. - Przygotuj się na śmierć, kurwa! - Chociaż wyglądało na to, że to ona umrze pierwsza.

- Jestem gotowy już od dłuższego czasu - odpowiedział cicho.
- Sama się o to postarałaś. Brawo! Dzięki tobie moje nadzieje leży w gruzach.

- Nie musisz mi dziękować! - zawołała. - Zrobiłam to dla Benny!

- Ario nie żyje.

- Ha! - zakrzyknęła. - Tak to bywa, gdy się przebije jakąś bezwartościową cipę i wyrzuci przez okno!

Policzek Orso zadrżał.

- Ale dlaczego wspominasz tylko o nim? - zapytała. - Był jeszcze Gobba, Mauthis, Ganmark i Wierny, wyrznęłam całe towarzystwo! Każdego, kto był w tej sali, kiedy zamordowałeś mojego brata!

- A Foscar? Nie miałem z nim kontaktu od czasu porażki przy brodach.

- Więc możesz już nie czekać! - odrzekła z radością, której wcale nie czuła. - Leży z czaszką rozbitą na miazgę w jakimś gospodarstwie!

Gniew zniknął z twarzy Orso i zastąpiło go potworne zobojętnienie.

- Pewnie jesteś z siebie zadowolona.

- Na pewno, kurwa, nie jestem smutna!

- Monzcarro, wielka księżna Talinsu. - Orso powoli postukał dwoma palcami w dłoń, a ostry odgłos odbił się echem od wysokiego sufitu. - Gratuluję zwycięstwa. W końcu masz to, czego chciałaś.

- Czego chciałam? - Przez chwilę nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. - Myślisz, że mi na tym zależało? Po tych wszystkich bitwach, które dla ciebie stoczyłam? Po zwycięstwach, które wywalczyłam?! - wrzasnęła piskliwie, wściekle plując. Zerwała rękawiczkę zębami i pomachała w jego stronę zmasakrowaną dłonią. - Tego, kurwa, chciałam? Czym sobie na to zasłużyliśmy, że nas zdradziłeś? Byliśmy wobec ciebie lojalni! Zawsze!

- Lojalni? - Orso z niedowierzaniem wstrzymał oddech. -

Napawaj się swoim triumfem, jeśli musisz, ale nie udawaj niewiniątka! Oboje wiemy, że to bzdury!

Wszystkie trzy kusze były załadowane i wycelowane w Monzę.

- Byliśmy lojalni! - wrzasnęła łamiącym się głosem.

- Czy zaprzeczysz, że Benna spotykał się z malkontentami, rewolucjonistami i zdrajcami, których nie brakowało wśród moich niewdzięcznych poddanych? Że obiecywał im broń? Że zapowiadał, że poprowadzisz ich do zwycięstwa? Zajmiesz moje miejsce? Sięgniesz po tron! Myślałaś, że się o tym nie dowiem? Myślałaś, że będę się temu beczynnie przyglądał?

- Co...? Ty pierdolony kłamco!

- Wciąż zaprzeczasz? Nie uwierzyłem, gdy mi o tym doniesiono! Moja Monza? Ludzie, którzy byli mi bliżsi niż własne dzieci? Moja Monza miałyby mnie zdradzić? Widziałem go na własne oczy! Na własne oczy!

Echa jego głosu powoli umilkły i w sali zapadła niemal całkowita cisza. Rozlegało się tylko delikatne pobrzękiwanie zbroi czterech strażników, którzy przesuwali się w jej stronę. Nie mogła niczego zrobić, ale powoli zaczynała rozumieć.

„Moglibyśmy otrzymać własne miasto”, powiedział Benna. „Mogłabyś zostać księżną Monzcarro z... skądś”. Chciał powiedzieć „z Talinsu”. „Zasługujemy na to, by nas pamiętano”. Sam to zaplanował i nie pozostawił jej wyboru. Tak samo jak wtedy, gdy zdradził Coscę. „Tak jest lepiej”. Tak samo jak wtedy, gdy zabrał złoto Hermona. „To dla nas”.

Zawsze snuł wielkie plany.

- Benno - wyszeptała. - Ty głupcze.

- Nie wiedziałaś - cicho rzekł Orso. - Nie wiedziałaś i oto, do czego doszło. Twój brat zgubił siebie, nas oboje i pół Styrii. - Książę zachichotał ponuro. - Kiedy wydaje mi się, że już wszystko wiem, życie zawsze znajdzie sposób na to, by mnie zaskoczyć. Spóźniłeś się, Shenkt. - Zerknął w bok. - Zabij ją.

Monza poczuła, że padł na nią cień, i gwałtownie się obróciła. Kiedy rozmawiali, podkradł się do niej jakiś mężczyzna, którego miękkie obuwie nie robiło żadnego hałasu.

Teraz stał nad nią, tak blisko, że mógłby jej dotknąć. Wyciągnął rękę. Na dłoni miał pierścień. Pierścień z rubinem, który dostała od Benny.

- To chyba twoje - powiedział.

Błada, szczupła twarz. Nie stara, ale poprzecinana zmarszczkami, o ostrych kościach policzkowych i głodnych lśniących oczach otoczonych siniakami. Monza wytrzeszczyła oczy, a szok obmył jej ciało lodowatą falą, gdy go rozpoznała.

- Zabij ją! - krzyknął Orso.

Przybysz uśmiechnął się, ale był to pusty grymas przypominający uśmiech czaszki.

- Zabić ją? Po tym, jak się natrudziłem, żeby zachować ją przy życiu?

Z twarzy Monzy odpłynęła krew. Wyglądała równie blado jak wtedy, gdy znalazł ją po raz pierwszy, połamaną wśród odpadków na zboczach Fontezarmo. Albo kiedy ocknęła się po usunięciu szwów i z przerażeniem popatrzyła na swoje okaleczone ciało.

- Zabić ją? - spytał ponownie przybysz. - Po tym, jak zniosłem ją z góry? Po tym, jak nastawiłem jej kości i pozszywałem ją do kupy? Po tym, jak obroniłem ją przed twoimi zbirami w Puranti?

Shenkt odwrócił dłoń i pierścień upadł na podłogę, odbił się dźwięcznie, po czym zawinął obok jej powykręcanej prawej ręki. Nie podziękowała mu, ale wcale nie oczekiwał podziękowań. Nie zrobił tego, by zyskać jej wdzięczność.

- Zabić ich oboje! - wrzasnął Orso.

Shenkta zawsze dziwiło, jak łatwo ludzie zdradzają w drobnych sprawach, a jak lojalni potrafią być, gdy kładą na szali swoje życie. Ostatnich kilku strażników było gotowych walczyć do końca w imieniu księcia, mimo że jego czas minął. Może nie rozumieli, że tak potężny człowiek jak wielki książę

Talinsu może umrzeć jak każdy, a wtedy jego potęga obróci się w pył. Może dla niektórych ludzi posłuszeństwo staje się nawykiem, z którego nie potrafią zrezygnować. A może definiują siebie poprzez służbę swemu panu i wolą zrobić krótki krok w stronę śmierci, który postrzegają jako część czegoś większego, niż pokonywanie długiej, ciężkiej drogi pozbawionej znaczenia.

Jeśli tak, Shenkt nie miał zamiaru ich rozczarować. Bardzo powoli wciągnął powietrze.

Rozwlekły brzęk cięciwy zabrzmiał mu w uszach. Odsunął się z drogi pierwszego bełtu, przepuszczając go pod uniesioną ręką. Kolejny strzał był wymierzony prosto w gardło Murcatto. Shenkt złapał wlokącą się obok niego strzałę palcem wskazującym i kciukiem, po czym ostrożnie położył ją na wypolerowanym blacie, ruszając w poprzek sali. Podniósł wyidealizowane popiersie jednego z przodków Orso, które stało obok stołu - zapewne był to dziadek księcia, który sam był najemnikiem. Rzucił nim w najbliższego kusznika, który zaskoczony opuszczał broń. Pocisk trafił mężczyznę w brzuch i zagłębił się w zbroi, a w powietrze wzbił się obłok kamiennych okruchów. Strażnik zgiął się wpół, po czym z wyciągniętymi rękami i nogami poleciał w stronę przeciwległej ściany, a jego kusza, wirując, wzleciała pod sufit.

Shenkt uderzył w hełm najbliższego żołnierza, wbijając go głęboko między ramiona. Krew trysnęła spod pogiętej przyłbicy, topór powoli wysunął się z obracającej się dłoni. Kolejny przeciwnik miał otwarty hełm, a na jego twarzy zaczynało się odmalowywać zdziwienie. Pięść Shenkta wbiła się w jego napierśnik z taką siłą, że aż wygięła naplecznik przy wtórze jęku zgniatanego metalu. Shenkt przeskoczył stół, a marmurowa posadzka pękła mu pod butami, gdy wylądował. Bliższy z dwóch pozostałych kuszników powoli uniósł kuszę, jakby chciał jej użyć w charakterze tarczy. Dłoń Shenkta rozplątała ją na pół, zrywając cięciwę i wyrzucając pod sufit hełm razem z głową. Ciało przewróciło się na bok, chlapiąc krwią, po czym znieruchomiało pod ścianą, obsypane tynkiem.

Shenkt chwycił drugiego kusznika, po czym wyrzucił go przez jedno z wysokich okien. Na posadzkę spadł deszcz połyskujących kawałków szkła, które odbijały się, wirowały i rozbijały, wypełniając powietrze donośnym brzękiem.

Przedostatni ze strażników uniósł miecz, a kropelki śliny trysnęły z jego wykrzywionych ust, gdy wydał bojowy okrzyk. Shenkt złapał go za nadgarstek, po czym cisnął w pozycji do góry nogami przez całą salę prosto w ostatniego przeciwnika. Obaj mężczyźni runęli w płataninie pogiętych zbroi na regał z połączanymi książkami, rozrywając je i wyrzucając w powietrze luźne kartki, które zaczęły powoli opadać. Shenkt wypuścił powietrze z płuc i pozwolił, by czas odnalazł swój właściwy bieg.

Wirująca kusza spadła, odbiła się od płyt i potoczyła w kąt. Wielki książę Orso stał tam, gdzie wcześniej, obok okrągłego stołu z mapą Styrii, na której spoczywała lśniąca korona. Miał szeroko otwarte usta.

- Zawsze kończę rozpoczęte zadanie - rzekł Shenkt. - Ale nie pracowałem dla ciebie.

Monza wstała, patrząc na posplatane, rozrzucone, powyginane ciała w drugim końcu sali. Papiery opadały powoli z rozbitego regału, w którym tkwiły zakrwawione zbroje otoczone pęknięciami rozbiegającymi się po marmurowej ścianie.

Ominęła przewrócony stół. Przeszła obok ciał najemników i strażników oraz nad trupem Secco, którego rozsmarowany mózg lśnił w długim pasie światła wpadającego przez jedno z wysokich okien.

Orso patrzył w milczeniu, jak Monza się zbliża. Za jego plecami wisiał wysoki na dziesięć kroków obraz, na którym książę odnosił dumne zwycięstwo w Bitwie pod Etreą. Mały człowiek i jego rozdmuchany mit.

Złodziej kości odsunął się i obserwował ich z rękami po łokcie ubrudzonymi krwią. Monza nie wiedziała, co zrobił ani jak tego dokonał, nie знаła też jego motywów, ale teraz to nie miało znaczenia.

Pod jej butami chrzęściło potłuczone szkło, strzaskane drewno, podarty papier i kawałki rozbitej porcelany. Wszędzie widniały czarne plamki krwi, które wsiąkały jej w podeszwy, przez co zostawiała za sobą krwawe ślady. Zupełnie jak krwawy szlak, który wytyczyła przez Styrię, by tutaj dotrzeć. By stanąć w miejscu, w którym zabili jej brata.

Zatrzymała się na wyciągnięcie szpady od Orso. Czekala, choć nie była pewna na co. Gdy wreszcie nadeszła chwila, za którą tęskniła całym sercem, dla której wytrzymała tak wiele cierpienia, wydała tak wiele pieniędzy i zabiła tak wielu ludzi, okazało się, że nie może się ruszyć. Co się stanie potem?

Orso uniósł brwi. Z przesadną ostrożnością wziął koronę z blatu, tak jak matka podnosi nowo narodzone dziecko.

- Miała być moja. Już prawie była. To właśnie o to walczyłaś przez te wszystkie lata. I ostatecznie mi to odebrałaś. - Powoli obrócił koronę w dłoniach; klejnoty zalśniły. - Kiedy budujesz swoje życie wokół tylko jednej rzeczy, kochasz tylko jedną osobę, masz tylko jedno marzenie, ryzykujesz, że utracisz wszystko w jednej chwili. Ty zbudowałaś swoje życie wokół brata. A ja swoje wokół korony. - Ciężko westchnął, zacisnął usta, po czym odrzucił złotą obręcz, która zawirowała na mapie Styrii. - Tylko na nas popatrz. Oboje tak samo żałośni.

- Nie tak samo. - Uniosła porysowane, wyszczerbione, zużyte ostrze od Calveza. Szpadę, którą zamówiła dla Benny. - Ja wciąż mam ciebie.

- A kiedy już mnie zabijesz, po co będziesz żyła? - Oderwał wzrok od ostrza i popatrzył jej w oczy. - Monzo, Monzo... co ty beze mnie zrobisz?

- Coś wymyślę.

Czubek szpady przebił jego kamizelkę z cichym trzaskiem, bez trudu prześlizgnął się przez klatkę piersiową i wyszedł plecami. Orso cicho stęknął, szerzej otworzył oczy, a Monza

wyciągnęła ostrze. Przez chwilę stali naprzeciwko siebie.

- Och. - Dotknął ciemnego materiału palcem, na którym został czerwony ślad. - To wszystko? - Zaskoczony podniósł na nią wzrok. - Spodziewałem się... czegoś więcej.

Upadł kolanami na wypolerowaną posadzkę, po czym przewrócił się do przodu i z wilgotnym plaśnięciem uderzył bokiem twarzy o marmur obok buta Monzy. Oko, którym był zwrócony w jej stronę, popatrzyło na nią, a kącik ust drgnął, układając się w uśmiech. Potem książkę znieruchomił.

Siedmiu z siedmiu. Udało się.

Nasiona

To był zimowy poranek, zimny i słoneczny, a oddech Monzy parował w powietrzu.

Stała na tarasie komnaty, w której zabito jej brata. Na tarasie, z którego ją zrzucano. Opierała dłonie na balustradzie, przez którą ją przetoczono. Ponad górskim zboczem, o które się roztrzaskała. Wciąż czuła ten sam drażniący ból w kościach nóg, na wierzchu dłoni osłoniętej rękawiczką, z boku czaszki. Dręczyła ją potrzeba zapalenia płew; wiedziała, że nigdy do końca się jej nie pozbędzie. Czuła się bardzo niepewnie, spoglądając w przepaść ku malutkim drzewom, które wtedy powstrzymały jej upadek. Właśnie dlatego przychodziła tutaj każdego ranka.

„Dobry przywódca nigdy nie powinien czuć się pewnie”, napisał Stolicus.

Słońce wspinało się po nieboskłonie, wypełniając świat kolorami. Krew odpłynęła z nieba, które przybrało jaskrawobłękitną barwę. Wysoko w górze pełżyły białe obłoki. Na wschodzie las rozpadał się w szachownicę pól - kwadraty zielonych ugorów, czarnej żyznej gleby i złocistych zbóż. Jej pól. Jeszcze dalej rzeka spotykała się z szarym morzem, rozlewając się w szeroką deltę usianą wysepkami. Monza z trudem dostrzegła zarysy malutkich wież, budynków, mostów i murów. Wielki Talins, nie większy od jej paznokcia. Jej miasto.

Ta myśl wciąż przypominała bredzenie szaleńca.

- Wasza Ekscelencjo. - Szambelan Monzy pojawił się w wysokich drzwiach, kłaniając się tak nisko, że prawie polizał kamienną posadzkę.

Człowiek, który przez piętnaście lat służył księciu Orso,

jakimś cudem przetrwał oblężenie Fontezarmo bez żadnych obrażeń, a teraz z godną podziwu sprawnością zamienił pana na panią. W końcu Monza ukradła księciu miasto, pałac, a nawet część strojów, które oczywiście przerobiła, więc dlaczego nie służących? Któż lepiej znał się na swoim fachu?

- O co chodzi?

- Przybyli ministrowie. Lord Rubine, kanclerz Grulo, pani kanclerz Scavier, pułkownik Volfier i... pani Vitari. - Szambelan odchrząknął i zrobił zbolalą minę. - Czy pani Vitari już ma jakiś oficjalny tytuł?

- Zajmuje się sprawami, z którymi nie poradzi sobie nikt z oficjalnym tytułem.

- Oczywiście, Wasza Ekscelencjo.

- Wprowadź ich.

Otworzyły się ciężkie drzwi zdobione miedzianymi płytami, na których wyrzeźbiono wijące się węże. Może nie było to dzieło sztuki na miarę fornirów z lwimi łbami, ale prezentowało się znacznie solidniej. Monza osobiście o to zadbała. Pięcioro gości dumnie wkroczyło, swobodnie weszło, pośpiesznie wpadło i nieśmiało wsunęło się do komnaty, a ich kroki odbiły się echem od chłodnych marmurów w prywatnej sali audiencyjnej księcia Orso. Minęły dwa miesiące, a Monza nadal nie potrafiła jej uznać za swoją.

Pierwsza weszła Vitari, ubrana w taki sam ciemny strój i tak samo kpiąco uśmiechnięta jak podczas ich pierwszego spotkania w Sipani. Po niej Volfier, który kroczył sztywno w mundurze z ozdobnymi sznurami. Scavier i Grulo walczyli o to, by wejść zaraz za nim. Stary Rubine wlekł się na końcu, zgięty pod ciężarem urzędowego łańcucha, jak zwykle nie śpiesząc się z przejściem do sedna.

- Więc wciąż się tego nie pozbyłaś. - Vitari obrzuciła surowym spojrzeniem olbrzymi portret Orso, który patrzył na nich z przeciwległej ściany.

- A po co? Przypomina mi o moich zwycięstwach i porażkach. Przypomina mi, skąd się wzięłam, oraz że nie mam najmniejszej ochoty tam wracać.

- Poza tym, to udany obraz - zauważył Rubine, rozglądając się ze smutkiem. - Niewiele ich pozostało.

- Ludzie z Tysiąca Ostrzy są wyjątkowo dokładni.

Z sali zniknęło niemal wszystko, co nie było przybite do podłogi lub wyrzeźbione w górskim zboczu. Masywne biurko Orso wciąż czaiło się ponuro po drugiej stronie pomieszczenia, lekko poranione toporem, gdyż ktoś na próżno szukał w nim ukrytych schowków. Kominiek podtrzymywany przez gigantyczne marmurowe rzeźby Juvenisa i Kanediasa okazał się odporny na kradzież i teraz płonęło w nim kilka drewnianych belek, które nie były w stanie ogrzać wielkiego wnętrza. Duży okrągły stół również stał na swoim miejscu, a na blacie leżała ta sama rozwinięta mapa. Podobnie jak w dniu śmierci Benny, tylko że teraz jeden z narożników był zaplamiony na brązowo kilkoma kroplami krwi Orso.

Monza podeszła do mapy, krzywiąc się pod wpływem uporczywego bólu biodra, a jej ministrowie utworzyli krąg wokół stołu, tak jak kiedyś ministrowie księcia. Podobno historia lubi zataczać koło.

- Jakie wieści?

- Dobrze - odrzekła Vitari - jeśli lubisz złe wieści. Podobno Baolińczycy przekroczyli rzekę w sile dziesięciu tysięcy i przypuścili inwazję na terytorium Osprii. Muris ogłosiło niepodległość i ponownie ruszyło na wojnę z Sipani, podczas gdy synowie Sotoriusa walczą ze sobą na ulicach miasta. - Jej palec poruszył się nad mapą, lekkomyślnie roznosząc chaos po całym kontynencie. - Visserine wciąż nie ma przywódcy i jest tylko splądrowanym cieniem swej dawnej chwały. Słysząc pogłoski o zarazie w Affoi oraz wielkim pożarze w Nicante. W Puranti szaleją zamieszki. W Musselii również wrze.

Rubine pociągnął się z niezadowoleniem za brodę.

- Biada Styrii! Powiadają, że Rogont miał rację. Krwawe Lata dobiegły końca. Rozpoczynają się Lata Ognia. W Westporcie święci mężowie ogłaszają koniec świata.

Monza parsknęła.

- Ci dranie ogłaszają koniec świata za każdym razem, kiedy

gdzieś nasra ptak. Czy gdzieś panuje spokój?

- W Talinsie? - Vitari rozejrzała się po sali. - Chociaż doszły mnie słuchy, że pałac Fontezarmo został ostatnio splądrowany. A także w Borletcie.

- W Borletcie? - Niewiele ponad rok wcześniej w tej sali Monza powiedziała Orso, że doszczętnie splądrowała to miasto. A także zatknęła głowę jego władcy nad bramą.

- Młoda siostrzenica księcia Cantaina udaremniła spisek szlachciców, którzy chcieli się jej pozbyć. Podobno wygłosiła tak wspaniałą przemowę, że wszyscy odrzucili broń, padli na kolana i przysięgli jej dozogonną wierność. A przynajmniej taką wersję rozgłaszają.

- Zmuszenie uzbrojonych ludzi do padnięcia na kolana to niezła sztuczka, niezależnie, jak tego dokonała. - Monza przypomniała sobie, w jaki sposób Rogont odniósł swoje wielkie zwycięstwo. „Broń może zabijać ludzi, ale tylko słowa mogą ich poruszać, a dobrzy sąsiedzi to najpewniejszy schron podczas burzy”. - Czy mamy ambasadora?

Rubine powiódł wzrokiem wokół stołu.

- Myślę, że moglibyśmy jakiegoś znaleźć.

- Więc to zróbcie i pošlijcie go do Borletty z odpowiednim podarunkiem dla tej przekonującej księżnej... oraz propozycją siostrzanej miłości.

- Siostrzanej... miłości? - Vitari miała taką minę, jakby znalazła gówna w swoim łóżku. - Nie sądziłam, że to w twoim stylu.

- W moim stylu jest wszystko, co działa. Słyszałam, że dobrzy sąsiedzi to najpewniejszy schron podczas burzy.

- A także dobre ostrza.

- To nie podlega dyskusji.

Rubine zrobił służalczą minę.

- Wasza Ekscelencjo, pani reputacja nie jest... tak dobra jak mogłaby być.

- Nigdy taka nie była.

- Ale powszechnie obwinia się panią o śmierć króla Rogonta, kanclerza Sotoriusa i ich towarzyszy z Ligi Dziewięciu. To, że

ocalała pani jako jedyna...

Vitari uśmiechnęła się kpiąco.

- Wygląda podejrzenie jak diabli.

- Oczywiście, w Talinsie dzięki temu ludzie jeszcze bardziej panią kochają, ale gdzie indziej... Gdyby Styria nie była tak podzielona, niewątpliwie zjednoczyłyby się przeciwko pani.

Grulo posłał Scavier surowe spojrzenie.

- Potrzebujemy kogoś, na kogo moglibyśmy zrzucić winę.

- Może chociaż raz obwinimy tego, kto na to zasługuje - odrzekła Monza. - Castor Morveer zatruł koronę, niewątpliwie na polecenie Orso. Rozgłoście to. Wszędzie, gdzie się da.

- Ależ, Wasza Ekscelencjo... - Rubine zamienił służalczość na skrajne uniżenie. - Nikt nie zna tego nazwiska. Za wielkie zbrodnie ludzie lubią obwiniać wielkie postacie.

Monza przewróciła oczami. Książę Orso uśmiechał się triumfalnie z obrazu przedstawiającego go podczas bitwy, w której nie brał udziału. Odpowiedziała mu takim samym uśmiechem. Efektowne kłamstwa zawsze wygrywają z nudną prawdą.

- Więc uczynicie go sławnym. Castor Morveer, śmierć bez twarzy, najgroźniejszy ze wszystkich mistrzów trucicielskich. Najwybitniejszy i najsprytniejszy morderca w historii. Truciciel-poeta. Człowiek, który zdołał wślizgnąć się do najlepiej strzeżonego budynku w Styrii, zamordować monarchę oraz czworo najpotężniejszych przywódców, po czym ulotnić się niezauważony jak wieczorna bryza. Któż może cię obronić przed samym królem trucizn? Sama uszłam z życiem tylko dzięki łutowi szczęścia.

- Biedna niewinna ofiara. - Vitari pokręciła głową. - Nie podoba mi się rozślawianie tego śmiecia.

- Robiłaś gorsze rzeczy.

- Zmarli słabo się sprawdzają jako kozły ofiarne.

- Och, daj spokój, na pewno uda ci się tchnąć w niego trochę życia. Wystarczą plakaty na każdym rogu ulicy obwiniające go o tę ohydłą zbrodnię i obiecujące, powiedzmy, sto tysięcy szalek za jego głowę.

Volfier sprawiał wrażenie coraz bardziej zmartwionego.

- Ale... on nie żyje, prawda?

- Został pochowany razem z pozostałymi, kiedy zasypywaliśmy okopy. Co oznacza, że nigdy nie będziemy musieli wypłacić nagrody. Co tam, zaproponujcie dwieście tysięcy, dzięki temu jednocześnie sprawimy wrażenie bogatych.

- A to niemal równie użyteczne jak rzeczywiste bogactwo - rzekła Scavier, spoglądając ze zmarszczonym czołem na Grulo.

- Dzięki naszej opowieści nazwisko Morveera będzie powtarzane z podziwem długo po naszej śmierci. - Vitari się uśmiechnęła. - Matki będą nim straszyły dzieci.

- Nie wątpię, że on uśmiecha się w grobie na samą myśl o tym - odrzekła Monza. - Przy okazji, słyszałam, że zapobiegliście niewielkiej rewolcie?

- Nie zamierzam szargać tego słowa, używając go w odniesieniu do tych amatorów. Głupcy rozwieszali plakaty informujące o ich spotkaniach! I tak o nich wiedzieliśmy, ale plakaty? W publicznych miejscach? Moim zdaniem zasługują na karę śmierci choćby za głupotę.

- Albo na wygnanie - zaproponował Rubine. - Władca, który okazuje łaskę, jest postrzegany jako bardziej sprawiedliwy, prawy i potężny.

- A mnie przydałyby się wszystkie te cechy, prawda? - Zastanawiała się przez chwilę. - Ukarzcie ich dotkliwą grzywną, ujawnijcie ich nazwiska, przeprowadźcie ich nago przed budynkiem Senatu, a potem... puśćcie wolno.

- Wolno? - Rubine uniósł gęste białe brwi.

- Wolno? - Vitari uniosła cienkie pomarańczowe brwi.

- Dzięki temu wyjdę na jeszcze bardziej sprawiedliwą, prawą i potężną! Jeśli surowo ich ukarzymy, ich przyjaciele będą mieli powód do zemsty. Ale jeśli ich oszczędzimy, sprawimy, że ich opór wyda się absurdalny. Obserwujcie ich. Sami powiedzieliście, że są głupi. Jeśli zaplanowali kolejne akty zdrady, sami nas doprowadzą do celu. Wtedy będziemy mogli ich powiesić.

Rubine odchrząknął.

- Jak Wasza Ekscelencja rozkaże. Zajmę się drukiem plakatów obwieszczających pani łaskę wobec tych ludzi. Wąż Talinsu powstrzymuje się od użycia zębów.

- Na razie. Co słyszeć na targach?

Na łagodnym obliczu Scavier pojawił się surowy uśmiech.

- Praca wre od rana do nocy. Przybyli do nas handlarze uciekający przed chaosem w Sipani, Osprii i Affoi, którzy chętnie nam zapłacą, byle tylko mogli bez problemów sprowadzić swoje towary.

- A spichlerze?

- Zbiory były na tyle dobre, że powinniśmy przetrwać zimę bez zamieszek. - Grulo mlasnął. - Jednak duża część gruntów między Talinsem a Musselią wciąż jest jałowa. Rolników wypędziły wojska Rogonta. Potem Tysiąc Ostrzy zdewastował wszystko, co napotkał na swej drodze, aż do brzegów Etris. W ciężkich czasach rolnicy zawsze cierpią jako pierwsi.

Monza doskonale o tym wiedziała.

- W mieście jest pełno żebraków, prawda?

- Żebraków i uciekinierów. - Rubine ponownie pociągnął się za brodę. Jeszcze kilka smutnych opowieści i całkiem ją wyrwie.

- To znak czasów...

- Zatem rozdajcie ziemię wszystkim, którzy potrafią ją uprawiać i mogą płacić podatki. Ziemia uprawna bez rolników jest warta tyle co błoto.

Grulo skłonił głowę.

- Zajmę się tym.

- Dlaczego milczysz, Volfierze? - Weteran wpatrywał się w mapę, zgrzytając zębami.

- Pieprzone Etrisani! - wybuchnął, uderzając potężną pięścią w rękojeść szpady. - To znaczy... proszę o wybaczenie, Wasza Ekscelencjo, ale... ci dranie!

Monza się wyszczerzyła.

- Znów kłopoty na granicy?

- Spalili trzy gospodarstwa. - Uśmiech ulotnił się z jej twarzy.

- Rolnicy zaginęli. Potem patrol, który wybrał się na ich

poszukiwanie, został ostrzelany z lasu. Jeden człowiek zginął, dwóch zostało rannych. Pozostali ruszyli w pościg, ale pamiętając o pani rozkazach, wycofaliśmy się na granicy.

- Sprawdzają cię - rzekła Vitari. - Są wściekli, ponieważ byli pierwszymi sojusznikami Orso.

Grulo pokiwał głową.

- Zrezygnowali dla niego ze wszystkiego, licząc na złote plony, gdy zostanie królem.

Volfier wściekle uderzył dłonią w krawędź stołu.

- Dranie myślą, że jesteśmy zbyt słabi, by ich powstrzymać!

- A jesteśmy? - spytała Monza.

- Mamy trzy tysiące piechurów i tysiąc kawalerzystów, uzbrojonych, wyszkolonych i zaprawionych w boju.

- Gotowych do walki?

- Wystarczy dać im hasło, a pokażą, co potrafią!

- A wojsko Etrisani?

- Tylko się przechwalają - zakpiła Vitari. - Nawet w najlepszych czasach dysponowali drugorzędną armią, a najlepsze czasy mają już dawno za sobą.

- Mamy przewagę ilościową i jakościową - ryknął Volfier.

- Niewątpliwie sprawiedliwość jest po naszej stronie - rzekł Rubine. - Wystarczy krótki wypad za granicę, by dać im ostrą lekcję...

- Mamy fundusze na poważniejszą kampanię - odparła Scavier. - Mam już pomysł na kilka finansowych żądań, dzięki którym moglibyśmy znacznie się wzbogacić...

- Ludzie panią poprą - wtrącił się Grupo. - A odszkodowania pokryją wydatki z nadwyżką!

Monza popatrzyła surowym wzrokiem na mapę, a zwłaszcza na ślady krwi w narożniku. Benna doradzałyby ostrożność. Poprosiłby o trochę czasu na obmyślenie planu... ale Benna od dawna nie żył, a Monza zawsze lubiła działać szybko, uderzać mocno i dopiero później kłopotać się planem.

- Przygotuj ludzi do wymarszu, pułkowniku Volfierze. Mam zamiar wziąć Etrisani w oblężenie.

- Oblężenie? - szepnął Rubine.

Vitari zerknęła na niego z uśmiechem.

- To taki manewr, gdy okrąża się miasto i zmusza je do poddania.

- Znam definicję! - odburknął starzec. - Ale zalecam ostrożność, Wasza Ekscelencjo. Talins niedawno doświadczył bolesnych niepokojów...

- Bardzo szanuję twoją znajomość prawa, Rubine - odparła Monza - ale wojna to moja domena i uwierz mi, że kiedy już się ją rozpocznie, nie ma niczego gorszego od półśrodków.

- Ale co z zawieraniem sojuszy...

- Nikt nie chce sojusznika, który nie potrafi go obronić. Musimy pokazać naszą determinację, w przeciwnym razie wkrótce wilki będą obwąchiwać naszą padlinę. Musimy przywołać te psy z Etrisani do porządku.

- Odpłacić się im - syknęła Scavier.

- Zmiażdżyć ich! - ryknął Grulo.

Volfier zasalutował z szerokim uśmiechem.

- Przygotuję ludzi w ciągu tygodnia.

- Wypoleruję swoją zbroję - odrzekła, chociaż i tak regularnie to robiła. - Coś jeszcze?

Cała piątka milczała.

- Zatem dziękuję.

- Wasza Ekscelencjo. - Ukłonili się, każde na swój sposób, Rubine z surową miną naznaczoną wątpliwościami, Vitari z delikatnym kpiącym uśmiechem.

Monza patrzyła, jak wychodzą. Wolałyby odłożyć szpadę i zacząć budować. Tak jak dawno temu, gdy umarł jej ojciec. Zanim rozpoczęły się Krwawe Lata. Ale widziała wystarczająco dużo, by wiedzieć, że żadna bitwa nie jest ostatnia, niezależnie od tego, w co chcą wierzyć ludzie. Życie trwa dalej. Każda wojna nosi w sobie nasiona kolejnej, a ona zamierzała być gotowa na żniwa.

„Oczywiście, możesz przygotować pług”, pisał Farans, „ale na wszelki wypadek trzymaj pod ręką sztylet”.

Ze zmarszczonym czołem popatrzyła na mapę, kładąc lewą dłoń na brzuchu. Zaczynał się powiększać. Minęły trzy miesiące

od ostatniego krwawienia. Czyli to dziecko Rogonta. A może Dreszcza. Dziecko trupa czy zabójcy, króla czy żebraka? Najważniejsze, że jej.

Powoli podeszła do biurka, opadła na krzesło, zdjęła łańcuch z koszuli i przekręciła klucz w zamku. Wyjęła koronę Orso, czując jej uspokajający ciężar oraz uspokajający ból w prawej dłoni, gdy ostrożnie położyła koronę na dokumentach rozrzuconych na porysowanym skórzanym blacie. Złoto lśniło w zimowym słońcu. Klejnoty wydłubała i sprzedała, by zapłacić za broń. Złoto zmienia się w stal, a ta w jeszcze więcej złota, tak jak jej powtarzał Orso. A jednak nie potrafiła się rozstać z samą koroną.

Rogont umarł bezzennie i bezpotomnie. Jego dziecko, nawet bękart, mogłoby rościć pretensje do jego tytułów. Zostać wielkim księciem Osprii, a nawet królem Styrii. W końcu Rogont włożył koronę, nawet jeśli była zatruta i miał ją na głowie tylko przez krótką chwilę. Kącik jej ust lekko się uniósł. Kiedy stracisz wszystko, możesz szukać zemsty. Ale co zrobisz, gdy wszystko zdobędziesz? Orso powiedział prawdę. Życie trwa dalej. Potrzebne są nowe marzenia.

Otrząsnęła się, chwyciła koronę i wsunęła ją z powrotem do biurka. Patrzenie na nią nie było lepsze od patrzenia na fajkę do plew i zastanawiania się, czy ją zapalić. Gdy przekręcała klucz w zamku, drzwi komnaty otworzyły się i szambelan ponownie otarł się twarzą o posadzkę.

- Kto tym razem?

- Przedstawiciel domu bankierskiego Valint i Balk, Wasza Ekscelencjo.

Oczywiście, Monza wiedziała, że się pojawią, ale i tak nie zamierzała ich powitać z otwartymi rękami.

- Wpuść go.

Nie wyglądał na członka instytucji, którą stać na kupowanie i sprzedawanie całych narodów. Był młodszy, niż się spodziewała, miał bujne kręcone włosy, sympatyczny sposób bycia i swobodny uśmiech. To ją jeszcze bardziej zmartwiło.

„Najbardziej zajadli wrogowie najbardziej słodko się

uśmiechają”. Verturio. Któżby inny?

- Wasza Ekscelencjo. - Ukłonił się niemal tak nisko jak szambelan, co wymagało nie lada wysiłku.

- Panie...?

- Sulfur. Yoru Sulfur, do usług. - Gdy zbliżył się do biurka, zauważyła, że ma różnokolorowe oczy, jedno niebieskie, a drugie zielone.

- Z domu bankierskiego Valint i Balk.

- Mam zaszczyt reprezentować tę szacowną instytucję.

- Szcześciarz z pana. - Rozejrzała się po obszernej komnacie. - Obawiam się, że podczas szturmu wiele rzeczy uległo zniszczeniu. Teraz wewnątrz jest bardziej... funkcjonalne niż za czasów Orso.

Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Po drodze zauważyłem niewielkie uszkodzenia murów. Ale lubię funkcjonalność, Wasza Ekscelencjo. Przyszedłem, żeby porozmawiać o interesach. Żeby zaproponować pani pełne wsparcie moich pracodawców.

- Rozumiem, że często bywał pan u mojego poprzednika, wielkiego księcia Orso, by proponować mu wsparcie.

- Zgadza się.

- A gdy go zamordowałam i ukradłam jego stanowisko, przychodzi pan do mnie.

Sulfurowi nawet nie drgnęła powieka.

- Zgadza się.

- Wasze wsparcie sprawnie dostosowuje się do nowych sytuacji.

- Jesteśmy bankiem. Każdą zmianę musimy postrzegać jako okazję.

- A co proponujecie?

- Pieniądze - odparł pogodnie Sulfur. - Pieniądze na finansowanie armii. Pieniądze na finansowanie robót publicznych. Pieniądze na przywrócenie dawnej świetności Talinsowi i Styrii. Może nawet na uczynienie pani pałacu mniej... funkcjonalnym.

Monza pozostawiła majątek w złocie zakopany w pobliżu

gospodarstwa, w którym przyszła na świat. Na razie wołała go stamtąd nie ruszać. Na wszelki wypadek.

- A jeśli podoba mi się taki, jaki jest?

- Nie wątpię, że możemy udzielić także wsparcia politycznego. W końcu dobrzy sąsiedzi to najlepszy schron podczas burzy. - Nie spodobał jej się jego dobór słów, wkrótce po tym, jak sama ich użyła, ale Sulfur spokojnie kontynuował. - Valint i Balk są głęboko zakorzenieni w Unii. Niezwykle głęboko. Nie wątpię, że moglibyśmy zaaranżować sojusz między panią a jej królem.

- Sojusz? - Nie wspomniała o tym, że prawie skonsumowała innego rodzaju sojusz z królem Unii w krzykliwej sypialni w Domu Uciech Cardottiego. - Mimo że jest mężem córki Orso? Mimo że jego synowie mogą rościć sobie prawa do księstwa Talinsu? Wielu nawet uznałoby, że byłyby to bardziej uzasadnione roszczenia niż moje.

- Zawsze staramy się jak najlepiej wykorzystać zastaną sytuację, nim spróbujemy ją zmienić. Odpowiedni przywódca z odpowiednim wsparciem może sięgnąć po władzę w Styrii. Valint i Balk chcą stanąć po stronie zwycięzcy.

- Mimo że włamałam się do waszego biura w Westporcie i zamordowałam waszego człowieka Mauthisa?

- Powodzenie tego przedsięwzięcia tylko dowodzi pani niezwykłej pomysłowości. - Sulfur wzruszył ramionami. - Ludzi łatwo zastąpić. Jest ich pełno na świecie.

Z namysłem postukała palcami w blat biurka.

- Dziwne, że przychodzi pan tutaj z taką propozycją.

- Dlaczego?

- Zaledwie wczoraj podobną wizytę złożył mi przedstawiciel Proroka Gurkhulu, który również zaproponował... wsparcie.

To na chwilę uciszyło Sulfura.

- Kogo przysłali?

- Kobietę zwaną Ishri.

Sulfur lekko zmrużył oczy.

- Nie można jej ufać.

- Ale panu można, ponieważ słodko się pan uśmiecha? Mój

brat też to robił, a kłamał na każdym kroku.

Sulfur uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Zatem powiem prawdę. Być może zdaje sobie pani sprawę, że Prorok i moi pracodawcy stoją po przeciwnych stronach wielkiego konfliktu.

- Owszem, słyszałam.

- Więc proszę mi uwierzyć, że lepiej nie znaleźć się po niewłaściwej stronie.

- Nie jestem pewna, czy chcę się znaleźć po którejkolwiek ze stron. - Powoli usiadła na krześle, udając swobodę, chociaż czuła się jak oszustka przy skradzionym biurku. - Ale bez obaw. Powiedziałam Ishri, że cena za jej wsparcie jest zbyt wygórowana. Niech mi pan powie, panie Sulfur, jakiej ceny żądają Valint i Balk za swoją pomoc?

- Uczciwej. Odsetek od swoich pożyczek. Preferencyjnego traktowania dla siebie i swoich partnerów oraz współpracowników. Odrzucenia przez panią wszelkich ofert Gurkijczyków i ich sojuszników. Współdziałania z siłami Unii, gdy zażądają tego moi pracodawcy...

- Tylko kiedy zażądają tego pana pracodawcy?

- Czyli raz albo dwa razy w ciągu całego pani życia.

- Albo częściej, jeśli uznacie to za stosowne. Chcecie, żebym sprzedała wam Talins i jeszcze podziękowała za ten przywilej. Chcecie, żebym uklękała u wrót waszego skarbcza i błagała o przysługi.

- Dramatyzuje pani...

- Ja nie klękam, panie Sulfur.

Tym razem to on zamilkł, wytrącony z równowagi jej doborem słów. Jednak tylko na chwilę.

- Czy mogę być z panią szczerą, Wasza Ekscelencjo?

- Chętnie zobaczę, jak pan próbuje.

- Jest pani nowa w świecie władzy. Każdy musi przed kimś klękać. Jeśli jest pani zbyt dumna, by przyjąć od nas przyjazną dłoń, zrobią to inni.

Monza parsknęła, chociaż pod przykrywką pogardy była zaniepokojona.

- Więc życzę powodzenia, im i pana pracodawcom. Niech wasza przyjazna dłoń bardziej im się przysłuży niż księciu Orso. Jeśli się nie mylę, Ishri zamierzała zacząć szukać przyjaciół w Puranti. Może zatem najpierw powinniście się udać do Osprii, Sipani albo Affoi. Jestem pewna, że w Styrii znajdziecie kogoś, kto chętnie przyjmie wasze pieniądze. W końcu słyniemy z dziwek.

Sulfur uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Talins ma wielkie długi wobec moich pracodawców.

- To Orso ma wobec was długi, możecie go poprosić o ich spłatę. Jeśli dobrze pamiętam, został wyrzucony razem z kuchennymi odpadkami, ale powinniście go znaleźć, jeśli trochę pokopiecie u podnóża urwiska. Chętnie pożyczę wam łopatę.

Wciąż się uśmiechał, ale nie dało się nie usłyszeć groźby w jego głosie.

- Byłoby szkoda, gdyby zmusiła nas pani do ulegnięcia gniewowi królowej Terez, która szuka zemsty za śmierć ojca.

- Ach, zemsta, zemsta. - Monza również się uśmiechnęła. - Nie boję się cieni, panie Sulfur. Nie wątpię, że Terez zapowiada potężną wojnę, ale Unia walczy na zbyt wielu frontach. Ma wrogów na Północy, Południu, a także we własnych granicach. Jeśli żona waszego króla chce usiąść na moim krześle, może tutaj przyjechać i się ze mną zmierzyć. Ale podejrzewam, że Jej Wysokość ma inne zmartwienia.

- Chyba nie zdaje sobie pani sprawy z niebezpieczeństw, które czyhają w mrocznych zakątkach świata. - W szerokim uśmiechu Sulfura już nie było wesołości. - Nawet teraz, gdy rozmawiamy, siedzi pani tutaj... sama. - Uśmiech zmienił się w chciwy grymas pełen ostrych białych zębów. - Tak bardzo, bardzo delikatna.

Zamrugła, jakby zaskoczona.

- Sama?

- Mylisz się. - Shenkt podszedł do biurka w całkowitej ciszy i niezauważony stanął tuż przy ramieniu Sulfura, blisko jak cień.

Przedstawiciel domu bankierskiego okręcił się na pięcie,

cofnął zaszokowany i zamarł, jakby zobaczył trupa dyszącego mu do ucha.

- To ty - wyszeptał.

- Tak.

- Myślałem...

- Nie.

- A więc... to twoja sprawka?

- Przyłożyłem do tego rękę. - Shenkt wzruszył ramionami. - Ale chaos to naturalny stan rzeczy, gdyż ludzie zawsze zmierzają w różnych kierunkach. Tylko ci, którzy chcą, by świat maszerował w jednym kierunku, podejmują wyzwanie.

Spojrzenie różnokolorowych oczu przeniosło się na chwilę na Monzę.

- Nasz pan nie...

- Twój pan - odparł Shenkt. - Ja już nie mam panów, pamiętasz? Powiedziałem mu, że to koniec. Zawsze staram się wcześniej ostrzegać, więc posłuchaj uważnie. Odejdź stąd. Jeśli wrócisz, nie będę skory do dalszych ostrzeżeń. Wracaj i powiedz mu, że to ty jesteś jego sługą, a nie ja. My już przed nikim nie klękamy.

Sulfur powoli pokiwał głową, po czym na jego usta wypłynął kpiący uśmiech, z jakim przyszedł.

- Zatem umrzecie na stojąco. - Odwrócił się do Monzy i jeszcze raz elegancko się uklonił. - Odezwiemy się. - Po czym swobodnie wyszedł z sali.

Gdy Sulfur zniknął z pola widzenia, Shenkt uniósł brwi.

- Dobrze to przyjął.

Monza nie była w nastroju do żartów.

- Jest wiele rzeczy, o których mi nie mówisz.

- Tak.

- Kim naprawdę jesteś?

- Byłem wieloma osobami. Uczniem. Ambasadorem. Rozwiązywałem trudne problemy i sam je sprawiałem. Wygląda na to, że dziś wyrównuję za innych rachunki.

- Gówniane tajemnice. Jeśli będę chciała zagadek, odwiedzę wróżkę.

- Jesteś wielką księżną. Pewnie mogłabyś ją tutaj sprowadzić. Skinęła w stronę drzwi.

- Znasz go.

- Tak.

- Mielście tego samego pana?

- Kiedyś. Dawno temu.

- Pracowałeś dla banku?

Na jego ustach pojawił się uśmiech.

- W pewnym sensie. Oni zajmują się nie tylko liczeniem monet.

- Właśnie widzę. A teraz?

- Teraz przed nikim nie klękam.

- Dlaczego mi pomogłeś?

- Ponieważ oni stworzyli Orso, a ja niszczyć wszystko, co jest ich dziełem.

- Zemsta - szepnęła.

- Może to niezbyt szlachetne, ale nawet ze złych motywów mogą wynikać dobre skutki.

- I odwrotnie.

- Oczywiście. Dałaś księciu Talinsu jego wszystkie zwycięstwa, więc cię obserwowałem i zamierzałem zabić, żeby go osłabić. Ale okazało się, że on postanowił mnie uprzedzić. Dlatego cię wyleczyłem i chciałem przekonać, abyś zabiła Orso, a następnie zajęła jego miejsce. Tylko że nie doceniłem twojej determinacji. Wymknęłaś mi się i sama postanowiłaś zabić Orso...

Poprawiła się niezręcznie na krześle swojego byłego pracodawcy.

- I zajęłam jego miejsce.

- Po co tamować rzekę, która płynie we właściwym kierunku? Powiedzmy, że pomogliśmy sobie nawzajem. - Ponownie uśmiechnął się jak czaszka. - Wszyscy mamy swoje rachunki do wyrównania.

- Wygląda na to, że wyrównując swoje narobiłeś mi potężnych wrogów.

- Wygląda na to, że pogrzyłaś Styrię w chaosie, wyrównując

swoje.

To była prawda.

- Nie miałam takiego zamiaru.

- Kiedy już zdecydujesz się otworzyć tę skrzynkę, twoje intencje przestają mieć znaczenie. A skrzynka stoi otwarta szeroko jak grób. Zastanawiam się, co się z niej wyleje? Czy prawi przywódcy powstaną wśród szaleństwa, by oświetlić drogę do jaśniejszej, sprawiedliwszej Styrii, która będzie przykładem dla całego świata? A może do głosu dojdą bezlitosne cienie dawnych tyranów, które będą krążyć po tych samych krwawych ścieżkach? - Shenkt nie spuszczał z niej spojrzenia lśniących oczu. - Kim ty będziesz?

- Pewnie będziemy się musieli o tym przekonać.

- Pewnie tak. - Odwrócił się i oddalił, bezgłośnie stawiając stopy, po czym cicho zamknął za sobą drzwi, zostawiając ją samą.

Wszystko się zmienia

- Wiesz, że nie musisz tego robić.

- Wiem. - Ale Przyjazny chciał.

Sfrustrowany Cosca wiercił się w siodle.

- Gdybym tylko mógł cię przekonać, że na świecie wprost...
roi się od możliwości!

Starał się to zrobić przez całą drogę z pechowej wioski, w której Tysiąc Ostrzy rozbili obóz. Jednak nie zdawał sobie sprawy, że dla Przyjaznego jest to bolesnie oczywiste i wcale mu się nie podoba. Skazaniec był zdania, że im mniej możliwości, tym lepiej. Roje możliwości były zdecydowanie zbyt liczne, by podchodzić do nich ze spokojem.

- Świat się zmienia, każdego dnia rodzi się na nowo i pokazuje nam inne oblicze! Człowiek nigdy nie może być pewien, co mu przyniesie następna chwila!

Przyjazny nienawidził zmian, ale jedyną rzeczą, której nienawidził bardziej, była niepewność jutra.

- Można tutaj próbować rozmaitych przyjemności.

Różnym ludziom przyjemność sprawiają różne rzeczy.

- Zamykanie się przed życiem to... przyznanie się do porażki!
Przyjazny wzruszył ramionami. Nigdy nie bał się porażek. Nie kierował się dumą.

- Potrzebuję cię. Rozpaczliwie. Dobry sierżant jest wart tyle, ile trzech generałów.

Przez dłuższą chwilę milczeli, słuchając chrzęstu końskich kopyt na suchym szlaku.

- A niech to! - Cosca pociągnął z piersiówki. - Próbowałem wszystkiego.

- Doceniam to.

- Ale już postanowiłeś?

- Tak.

Przyjazny najbardziej się bał, że nie wpuszczą go z powrotem. Dopóki Murcatto nie wręczyła mu dokumentu opatrzonego potężną pieczęcią, skierowanego do władz Musselii. Dokument opisywał ze szczegółami jego udział w zamordowaniu Gobby, Mauthisa, księcia Ario, generała Ganmarka, Wiernego Carpiego, księcia Foscara oraz wielkiego księcia Talinsu Orso i skazywał go na dożywotnie więzienie. Chyba że Przyjazny zechce, by wypuszczono go wcześniej. Był jednak przekonany, że to nigdy nie nastąpi. To była jedyna zapłata, o którą poprosił, najlepszy podarunek, jaki kiedykolwiek otrzymał. Dokument spoczywał starannie poskładany w wewnętrznej kieszeni tuż obok kości.

- Będę za tobą tęsknił, przyjacielu, będę tęsknił.

- A ja za tobą.

- Ale nie tak bardzo, żebyś dał się przekonać do pozostania u mego boku?

- Nie.

Dla Przyjaznego był to z dawna oczekiwany powrót do domu. Znał liczbę drzew przy drodze prowadzącej do bramy; gdy je odliczał, w piersi czuł wzbierającą falę ciepła. Z entuzjazmem stanął w strzemionach, dostrzegając błysk stróżówki i narożnik wysokiego budynku z ciemnej cegły wystający ponad roślinność. Widok tej budowli rzadko sprawiał skazańcom radość, ale serce Przyjaznego aż podskoczyło w piersi. Znał dokładną liczbę cegieł w łukowatej bramie, czekał na nie, tęsknił za nimi, od tak dawna o nich śnił. Znał liczbę żelaznych ćwieków na potężnych drzwiach, znał...

Przyjazny zmarszczył czoło, gdy szlak zakręcił i doprowadził go do bramy. Drzwi stały otworem. Straszliwe przecucie wyparło radość. Cóż może być gorszego w więzieniu niż otwarte drzwi? To nie należy do ustalonego porządku.

Zeslizgnął się z konia, krzywiąc się pod wpływem bólu w zeszywniałej prawej ręce, która wciąż się nie zagoiła, mimo że usunięto łubki. Powoli podszedł do bramy, niemal bojąc się

zajrzeć do środka. Na stopniach chatki, gdzie powinni stać strażnicy, siedział samotny obdarty mężczyzna.

- Nic nie zrobiłem! - Uniósł dłonie. - Przysięgam!

- Mam list podpisany przez wielką księżną Talinsu. - Przyjazny rozłożył cenny dokument i pokazał go mężczyźnie, wciąż nie tracąc nadziei. - Mam zostać natychmiast uwięziony.

Mężczyzna przez chwilę mu się przypatrywał.

- Nie jestem strażnikiem, przyjacielu. Po prostu nocuję w tej chatce.

- Gdzie są strażnicy?

- Odeszli.

- Odeszli?

- Podejrzewam, że z powodu zamieszek w Musselii przestano im płacić, więc... zabrali się i poszli.

Przyjazny poczuł na karku lodowaty dreszcz przerażenia.

- A więźniowie?

- Uwolnili się. Większość od razu uciekła. Niektórzy czekali.

W nocy pozamykali się w swoich celach, wyobrażasz sobie?

- Wyobrażam - odparł Przyjazny tęsknym głosem.

- Pewnie nie wiedzieli, dokąd uciec. Ale w końcu zgłodnieli i też odeszli. Teraz nikogo tu nie ma.

- Nikogo?

- Tylko ja.

Przyjazny popatrzył wzdłuż wąskiego szlaku na łukowatą bramę w skalistym zboczu. Pusto. W salach panowała cisza. Okrąg nieba wciąż otwierał się nad starym kamieniołomem, ale wieczorem nikt nie grzechotał kratami. Nie było pocieszającej rutyny, która otulała ich życie, jak matka otula dziecko. Dni, miesiące i lat już nie dzielono na równe pakunki. Potężny zegar stanął.

- Wszystko się zmieniło - wyszeptał Przyjazny.

Poczuł na ramieniu dłoń Coski.

- Świat cały czas się zmienia, przyjacielu. Wszyscy chcielibyśmy cofnąć się w czasie, ale przeszłość minęła. Musimy patrzeć przed siebie. Musimy się zmieniać, choćby sprawiało nam to ból, w przeciwnym razie zostaniemy w tyle.

Na to wyglądało. Przyjazny odwrócił się od Bezpiecznego Miejsca i odrętwiały wgramolił się na grzbiet konia.

- Patrzeć przed siebie. - Ale na co? Na rój nowych możliwości? Poczuł, że ogarnia go panika. - W którą stronę powinienem się zwrócić?

Cosca wyszczerzył się, zawracając konia.

- Podjęcie tej decyzji to sedno życia. Ale czy mogę coś zasugerować?

- Proszę.

- Zamierzam poprowadzić Tysiąc Ostrzy, a przynajmniej tych spośród nich, którzy nie odeszli po splądrowaniu Fontezarmo ani nie znaleźli pracy u księżnej Monzcarro, ku Visserine, żeby zgłosić swoje roszczenia do tronu Saliera. - Odkreślił piersiówkę.

- Całkowicie uzasadnione roszczenia. - Pociągnął łyk, po czym beknął, obezwładniając Przyjaznego smrodem mocnego alkoholu. - W końcu ten tytuł obiecał mi król Styrii. Miasto jest pogrążone w chaosie i ci dranie potrzebują kogoś, kto wskaże im drogę.

- Ciebie?

- A także ciebie, przyjacielu! Nikt nie przyda się bardziej władcy wielkiego miasta niż uczciwy człowiek, który potrafi liczyć.

Przyjazny po raz ostatni tęsknie obejrzał się na stróżówkę, która już zniknęła za drzewami.

- Być może kiedyś wrócą.

- Być może. Ale tymczasem mogę zrobić dobry użytek z twojego talentu w Visserine. Moje roszczenia są całkowicie uzasadnione. W końcu urodziłem się w tym mieście. Czeka mnie tam dużo pracy. Mnóstwo...

Przyjazny zerknął na niego surowo.

- Jesteś pijany?

- Wręcz nedorzecznie pijany, przyjacielu. To dobry trunek Stara winogronówka. - Cosca pociągnął kolejny łyk i mlasnął. - Zmiany, Przyjazny... zmiany to dziwna sprawa. Czasami ludzie zmieniają się na lepsze. Czasami na gorsze. A często, bardzo często, jeśli mają ku temu czas i okazję... - Przez chwilę

wymachiwał piersiówką, po czym wzruszył ramionami. -
Zmieniają się z powrotem w ludzi, którymi byli.

Szczęśliwe zakończenia

Kilka dni po tym, jak wtrącili go do celi, tuż przed budynkiem ustawili szubienicę. Widział ją przez niewielkie okno, gdy wspinał się na siennik i przyciskał twarz do krat. Kogoś mogłoby zdziwić, po co więzień zadaje sobie aż tyle trudu, by się dręczyć, ale musiał to zrobić. Może właśnie o to mu chodziło. To była duża drewniana platforma z poprzeczną belką i czterema eleganckimi pętlami. W podłodze znajdowały się zapadnie, dzięki czemu wystarczyło przerzucić dźwignię, by jednocześnie skręcić kark czterem osobom, zupełnie jakby łamało się gałązki. Imponujący sprzęt. Istniały maszyny do obsiewania pól, do drukowania na papierze i jak widać także do zabijania. Może właśnie o to chodziło Morveerowi, gdy kilka miesięcy temu mądrzył się na temat nauki.

Tuż po upadku fortecy powieszono kilka osób. Głównie ludzi Orso, których oskarżono o jakieś przewinienia wymagające odwetu, ale także dwóch najemników z Tysiąca Ostrzy, którzy musieli zrobić coś naprawdę złego, gdyż podczas plądrowania pałacu nie obowiązują zbyt wiele zasad, które można złamać. Jednakże już od dłuższego czasu nikt nie zawisł na szubienicy. Od siedmiu albo ośmiu tygodni. Może powinien liczyć dni, ale co by to zmieniło? Egzekucja się zbliżała, tego był pewien.

Każdego ranka, gdy budziły go pierwsze promienie słońca wpełzające do celi, Dreszcz zastanawiał się, czy właśnie tego dnia go powieszą.

Czasami dochodził do wniosku, że nie powinien był się zwrócić przeciwko Monzie. Ale tylko dlatego, że wszystko tak się skończyło, a nie dlatego, że żałował tego, co zrobił. Zapewne jego ojciec by tego nie pochwalił. Zapewne jego brat śmiałby się

kpiąco i stwierdził, że niczego lepszego się po nim nie spodziewał. Niewątpliwie Rudd Trójdrzewiec pokręciłby głową i powiedział, że osiągnie go sprawiedliwość. Ale Trójdrzewiec nie żył, a jego sprawiedliwość umarła razem z nim. Brat Dreszcza był draniem o twarzy bohatera i jego kpiny już nic nie znaczyły. A ojciec wrócił do ziemi, dając mu wolną rękę w wyborze życiowej drogi. To tyle, jeśli chodzi o szlachetnych ludzi i czynienie dobra.

Od czasu do czasu zastanawiał się, czy Carlot dan Eider wyplątała się z kłopotów, w których ją zostawił, czy też Kaleka ją dopadł. Zastanawiał się, czy Monzie udało się zabić księcia Orso i czy sprawiło jej to taką satysfakcję, na jaką liczyła. Zastanawiał się, kim był ten drań, który pojawił się znikąd i cisnął nim przez całą salę. Wątpił, czy kiedyś pozna odpowiedzi na te pytania. Ale takie jest życie. Nie zawsze znajduje się wszystkie odpowiedzi.

Właśnie stał przy oknie, gdy usłyszał grzechot kluczy na korytarzu, i niemal uśmiechnął się z ulgą, wiedząc, że nadszedł jego czas. Zeskoczył z siennika. Prawą nogę wciąż miał zeszywniałą po tym, jak Przyjazny przebił ją nożem. Wyprostował się i stanął przed metalową bramą.

Nie spodziewał się, że przyjdzie osobiście, ale ucieszył się, że to zrobiła. Dzięki temu będzie miał okazję, by po raz ostatni spojrzeć jej w oczy, nawet jeśli będą im towarzyszyli dozorca więzienny oraz pół tuzina strażników. Świetnie wyglądała, nie była tak wychudzona ani surowa jak kiedyś, ale czysta, gładka, smukła i bogata. Jak królowa. Trudno uwierzyć, że kiedykolwiek się z nim zadawała.

- No proszę - powiedział. - Wielka księżna Monzcarro. Jakim cudem wyszłaś z tego zamieszania bez szwanku?

- Łut szczęścia.

- Otóż to. Ja nigdy go nie miałem.

Dozorca otworzył skrzypiącą bramę. Do celi weszli dwaj strażnicy i zatrzasnęli kajdany na nadgarstkach Dreszcza. Wiedział, że walka nie ma sensu. Tylko by się upokorzył. Wyprowadzili go na korytarz.

- Odbyliśmy razem nie lada podróż, prawda, Monzo?
- Zgadza się - odpowiedziała. - Ale ty się zgubiłeś, Dreszczu.
- Nie, raczej się odnalazłem. Teraz mnie powieszisz? - Nie cieszyło go to, ale również zbytnio nie smuciło. To lepsze niż gnienie w celi.

Przez dłuższą chwilę patrzyła na niego niebieskimi, lodowatymi oczami. Tak samo jak podczas ich pierwszego spotkania. Jakby nie mógł jej niczym zaskoczyć.

- Nie.

- Słucham? - Tego się nie spodziewał. Czuł się niemal rozczarowany. - Więc co zrobisz?

- Możesz odejść.

Zamrugął.

- Co mogę?

- Odejść. Jesteś wolny.

- Nie sądziłem, że wciąż ci na mnie zależy.

- A kto powiedział, że kiedykolwiek mi zależało? Robię to dla siebie, nie dla ciebie. Mam już dosyć zemsty.

Dreszcz parsknął.

- No, no, kto by się, kurwa, spodziewał? Rzeźniczka z Caprile. Wąż Talinsu. Okazuje się, że w głębi serca to szlachetna kobieta. Myślałem, że nie zależy ci na czynieniu dobra. Że miłosierdzie i tchórzostwo są tym samym.

- Więc nazwij mnie tchórzem. Mogę z tym żyć. Tylko nigdy więcej tu nie wracaj, bo moje tchórzostwo ma swoje granice. - Zdjęła z palca pierścień z dużym, krwistoczerwonym rubinem i rzuciła go na brudną słomę u jego stóp. - Weź.

- W porządku. - Pochylił się, wygrzebał pierścień z brudu i wytarł go o koszulę. - Nie jestem dumny.

Monza odwróciła się i odeszła w stronę schodów, od których bił blask lamp.

- Więc tak to się kończy?! - zawołał za nią. - To koniec?

- Myślisz, że zasługujesz na coś lepszego? - Po czym zniknęła.

Wsunął pierścień na mały palec i popatrzył, jak lśni.

- Raczej na coś gorszego.

- Ruszaj się, draniu - warknął jeden ze strażników,

wymachując szpadą.

Dreszcz się do niego wyszczerzył.

- Już sobie idę, bez obaw. Mam serdecznie dosyć Styrii.

Z uśmiechem wyszedł z ciemnego tunelu na most prowadzący na zewnątrz Fontezarmo. Podrapał się po swędzącej twarzy, po czym wciągnął do płuc długi haust zimnego powietrza. Ostatecznie nie wyszedł na tym najgorzej. Co prawda, stracił oko w Styrii i nie był bogatszy niż w dniu, w którym zszedł z pokładu statku. Mimo to, stał się lepszym człowiekiem, co do tego nie miał wątpliwości. Lepszym i mądrzejszym. Kiedyś był swoim najgorszym wrogiem. Teraz stał się nim dla innych.

Nie mógł się doczekać powrotu na Północ i znalezienia dla siebie jakiegoś odpowiedniego zajęcia. Może po drodze wstąpi na chwilę do Uffrithu i odwiedzi swojego starego przyjaciela Vossulę? Ruszył w dół zbocza, oddalając się od fortecy, a pod butami chrząścił mu szary pył.

Słońce wschodzące za jego plecami miało barwę krwi.

Podziękowania

Jak zwykle, dziękuję czterem osobom:

Bren Abercrombie, którą bolą oczy od czytania,
Nickowi Abercrombiemu, którego bolą uszy od słuchania,
Robowi Abercrombiemu, którego bolą palce od przewracania
stron,
Lou Abercrombiemu, którego bolą ręce od podtrzymywania
mnie.

A także z całego serca dziękuję:

wszystkim cudownym i utalentowanym ludziom pracującym dla mojego brytyjskiego wydawcy, Gollancza, oraz ich macierzystej grupy wydawniczej Orion, a zwłaszcza Simonowi Spantonowi, Jo Fletcher, Jonowi Weirowi, Markowi Stayowi i Jonowi Woodowi. Jak również wszystkim, którzy zajmują się wydawaniem, reklamowaniem, tłumaczeniem, a zwłaszcza sprzedawaniem moich książek na całym świecie.

Artystom, którym jakimś cudem udało się sprawić, abym wyglądał na człowieka z klasą: Didierowi Graffetowi, Dave'owi Seniorowi i Laurze Brett.

Redaktorom za oceanem: Deviemu Pillai i Lou Andersowi.

Innym zaprawionym w bojach profesjonalistom, którzy zajmują się różnymi tajemniczymi usługami: Robertowi

Kirby'emu. Darrenowi Turpinowi, Matthew Amosowi, Lionelowi Boltonowi.

Wszystkim pisarzom, z którymi miałem okazję się kontaktować, elektronicznie bądź osobiście, a którzy ofiarowali mi pomoc, wiele zabawnych uwag oraz kilka pomysłów, które warto było podkraść, między innymi Jamesowi Barclayowi, Aleksowi Bellowi, Davidowi Devereux, Rogerowi Levy'emu, Tomowi Lloydowi, Joemu Mallozziemu, Johnowi Meaneyowi, Richardowi Morganowi, Adamowi Robertsowi, Pat Rothfuss, Marcusowi Sakeyowi, Wimowi Stolkowi i Chrisowi Woodingowi.

A na koniec, choć to najważniejsze:

za nieustające wsparcie, porady, jedzenie, picie oraz pracę redaktorską, nawet po godzinach, dziękuję mojej redaktorce Gillian Redfearn. Niech nasza współpraca trwa jak najdłużej. W końcu sam nie dam rady pisać tych cholernych książek...

O autorze

Joe Abercrombie spędza większość czasu na pisaniu, ale czasami pracuje jako niezależny montażysta filmów dokumentalnych oraz koncertów na żywo. Mieszka w Bath ze swoją rodziną.